Śladów pobicia brak

W pułapce przemocy domowej

RACHEL LOUISE SNYDER

Michelle wycofała oświadczenie. To jeden z najbardziej niezrozumiałych momentów w każdej sytuacji przemocy domowej. Michelle nie wycofała wniosku dlatego, że stchórzyła, ani dlatego, że uznała własną reakcję za przesadzoną, ani dlatego, że jej zdaniem Rocky nie był już tak niebezpieczny. Nie wycofała się, bo była wariatką albo histeryczką, ani dlatego, że ta sprawa nie dotyczyła życia i śmierci. Nie wycofała się, bo wcześniej kłamała. Wycofała wniosek, żeby ocalić życie. Żeby ocalić życie swoich dzieci.



SERIA AMERYKAŃSKA

James Grissom *Szaleństwa Boga. Tennessee Williams i kobiety z mgły*

Patti Smith *Pociąg linii M*

Billie Holiday William Dufty *Lady Day śpiewa bluesa*

Dan Baum *Dziewięć twarzy Nowego Orleanu*

Jill Leovy *Wszyscy wiedzą. O zabójstwach czarnych w Ameryce*

Brendan I. Koerner *Niebo jest nasze. Miłość i terror w złotym wieku piractwa powietrznego*

Hampton Sides *Ogar piekielny ściga mnie. Zamach na Martina Luthera Kinga i wielka obława na jego zabójcę*

Paul Theroux *Głębokie Południe. Cztery pory roku na głuchej prowincji*

S. C. Gwynne *Wrzask rebeliantów. Historia geniusza wojny secesyjnej*

Jon Krakauer *Missoula. Gwałty w amerykańskim miasteczku uniwersyteckim*

James McBride *Załatw publikę i spadaj. W poszukiwaniu Jamesa Browna, amerykańskiej duszy i muzyki soul*

Dan Baum *Wolność i spluwa. Podróż przez uzbrojoną Amerykę*

David McCullough *Bracia Wright*

Lawrence Wright *Wyniosłe wieże. Al-Kaida i atak na Amerykę*

Linda Polman *Laleczki skazańców. Życie z karą śmierci*

Jan Błaszczak *The Dom. Nowojorska bohema na polskim Lower East Side*

Charlie LeDuff *Detroit. Sekcja zwłok Ameryki* (wyd. 3)

Charlie LeDuff *Shitshow! Ameryka się sypie, a oglądalność szybuje*

Tom Clavin Bob Drury *Serce wszystkiego, co istnieje. Nieznana historia Czerwonej Chmury, wodza Siuksów* (wyd. 2)

Andrew Smith *Księżycowy pył. W poszukiwaniu ludzi, którzy spadli na Ziemię*

Nikki Meredith *Ludzkie potwory. Kobiety Mansona i banalność zła*

Nick Bilton *Król darknetu. Polowanie na genialnego cyberprzestępcę*

Patti Smith *Rok Małpy*

Magda Działoszyńska-Kossow *San Francisco. Dziki brzeg wolności*

David Treuer *Witajcie w rezerwacie. Indianin w podróży przez ziemie amerykańskich plemion*

Sam Quinones *Dreamland. Opiatowa epidemia w USA* (wyd. 2)

Ronan Farrow *Złap i ukręć łeb. Szpiedzy, kłamstwa i zmowa milczenia wokół gwałcicieli*

S. C. Gwynne *Imperium księżyca w pełni. Wzlot i upadek Komanczów* (wyd. 2)

Matt Taibbi *Nienawiść sp. z o.o. Jak dzisiejsze media każą nam gardzić sobą nawzajem*

Holly George-Warren *Janis. Życie i muzyka*

Jessica Bruder *Nomadland. W drodze za pracą*

Laura Jane Grace Dan Ozzi *Trans. Wyznania anarchistki, która zdradziła punk rocka*

Legs McNeil Gillian McCain *Please kill me. Punkowa historia punka* (wyd. 2)

Alex Kotlowitz *Amerykańskie lato. Depesze z ulic Chicago*

Magdalena Rittenhouse *Nowy Jork. Od Mannahatty do Ground Zero* (wyd. 2 zmienione)

RACHEL LOUISE SNYDER

ŚLADÓW POBICIA BRAK

W pułapce przemocy domowej

Przełożyła Kaja Gucio



Wołowiec 2021



Tytuł oryginału angielskiego *No Visible Bruises. What We Don't Know About Domestic Violence Can Kill Us*

Projekt okładki Agnieszka Pasierska

Projekt typograficzny i redakcja techniczna Robert Oleś / d2d.pl

Fotografia na okładce © by Edivandro Spencer / EyeEm / Getty Images

Opieka redakcyjna Przemysław Pełka

Redakcja Marta Höffner

Korekta Gabriela Niemiec, Małgorzata Tabaszewska

Skład Robert Oleś / d2d.pl

Skład wersji elektronicznej d2d.pl

ISBN 978-83-8191-238-9

Spis treści

Dla Barbary J. Snyder

Wstęp

Wynajętym samochodem wyruszam z centrum miejscowości Billings do położonego na wzgórzu daleko za miastem czteropiętrowego domu, z którego okien rozciąga się widok na całą okolicę. Teleskopowa obserwacja zewnętrznego świata: góry, równiny, trasy ucieczki do dowolnego miejsca w Montanie i dalej. Człowiek, z którym mam się spotkać, bardzo długo mnie unikał. Było to bierne unikanie. Przyjechałam do Billings z Waszyngtonu, gdzie mieszkam, rozmawiałam z jego córkami, byłą żoną i pracownikami opieki społecznej. Wróciłam. Zdążyłam dobrze poznać to miasteczko – kilkoro policjantów, ludzi z prokuratury, aktywistki, personel hoteli, a nawet drukarza, którego żona prowadzi w piwnicy muzeum poświęcone kobietom. Teraz jestem tu chyba trzeci raz, a on wreszcie zgodził się na spotkanie.

Często mam do czynienia z osobami, które nie mają ochoty ze mną rozmawiać. To ludzie, którzy wymordowali swoje rodziny, niemal padli ofiarą morderstwa, aresztowali tych morderców albo dorastali z tymi, którzy prawie ich zamordowali. Ludzie tacy jak Paul Monson zawsze niechętnie ze mną rozmawiają, niechętnie mówią o tym, co stracili, bo ta strata wykracza poza granice ich wyobraźni.

Po przyjeździe na miejsce z wnętrza domu dobiegają mnie stłumione dźwięki kroków i przez chwilę mam wrażenie, że Paul mi nie otworzy, że rozmyślił się i jednak nie udzieli mi wywiadu. Jestem w Billings od kilku dni, wiedział, że mam przyjechać. Spędziłam wiele godzin z Sally Sjaastad, jego byłą żoną, ale kiedy ta go zapytała, czy się ze mną spotka, za pierwszym razem odmówił. Za drugim i trzecim też. Szczerze mówiąc, zdziwiłam się, gdy wreszcie przystał na rozmowę. Szare, jednolite drzwi wejściowe są usiane wgnieceniami.

W końcu się uchylają. Paul nie patrzy na mnie. Jest lekko zgarbiony, ma przerzedzone siwe włosy i pooraną zmarszczkami twarz. Wygląda na swój wiek, tuż po sześćdziesiątce. Otwiera drzwi szerzej i gestem zaprasza mnie do środka, cały czas unikając mojego

wzroku. Jest ubrany w niebieską, zapiętą pod szyję koszulę i dżinsy. Wygląda, jakby z całej siły zaciskał szczęki.

Dom, dzieło własnych rąk Paula, sprawia wrażenie, jakby dopiero co się do niego wprowadzono. Oszczędny wystrój, tu i ówdzie otwarte pudła porozstawiane po kątach. Teleskop jest skierowany na dywan, niczym w geście rezygnacji. Nad widocznym za oknem krajobrazem dominują góry. Paul jest zdystansowany, milczący i pedantyczny. Siedzimy przy stole w jadalni, a on przesuwa palcami po gładkiej krawędzi, nie odrywając oczu od swoich dłoni. Na blacie piętrzą się stosy papierów. Rzucam jakiś niezobowiązujący komentarz o samochodzie z wypożyczalni, żeby stworzyć bezpieczny grunt pod rozmowę.

Ojciec nauczył mnie wszystkiego, co wiem o autach: jak wymieniać olej i opony, jak mierzyć poziom płynu i zakładać nowe filtry powietrza. Jak działają tłoki. Same podstawy, ale mnie to wystarcza. Paul jest technikiem projektowania instalacji elektrycznych – taki rodzaj inżyniera – zatem samochody to dla niego znajomy temat, czuje się swobodnie, gdy mowa o maszynach. Tu wszystko się zgadza: cewka zamontowana do świecy zapłonowej tworzy iskrę, a ta uruchamia silnik. Tu wszystko da się przewidzieć. Naprawić. Jeśli coś nie działa, łatwo można to rozwiązać. Pozwalam mu się wygadać. Mówi, że kupił każdej z córek pierwszy samochód. Alyssa miała hondę civic. Michelle dostała białe subaru. Mówi, że Melanie to „pożeraczka samochodów”, więc jej kupił kilka. Wie, że jeszcze nie poruszyłam kwestii, która mnie do niego sprowadza. Napięcie między nami narasta, gęstnieje jak wilgoć w powietrzu.

Rocky też lubił samochody. Paul pamięta jego pierwsze auto, małe i zielone. To chyba był opel. Rocky był zięciem Paula, ożenił się z jego córką Michelle.

– Pierwszy raz go zobaczyłem, jak podjechał pod mój dom, żeby zobaczyć się z Michelle – wspomina Paul. Najpierw samochód, potem mężczyzna. Później Paul miał wrażenie, że Rocky poświęca większość czasu na naprawianie swojego mustanga.

– Miał dwa, jednego remontował, a drugi był na części – opowiada. – Bardzo się tym interesował i wyglądało na to, że całymi go-

dzinami przesiaduje sam w garażu. – Paul mówi, że w zasadzie nie łączyła go z Rockym typowa relacja teścia z zięciem. Jego związek z Michelle trwał niemal dziesięć lat, ale Paul pamięta, że właściwie tylko raz z nim rozmawiał, o tym mustangu. Rocky poprosił kiedyś Paula o poradę w wyborze koloru lakieru.

– Jak człowiek nie bardzo wie, co robi, to najlepiej wybrać biały – mówi mi Paul. Ten kolor wszystko wybacza. Nawet jak spieprzysz robotę z bielą, to ostateczny rezultat i tak będzie przyzwoity. – Biały to kolor sam w sobie – dodaje.

W listopadzie 2001 roku Rocky Mosure kupił pistolet z ogłoszenia w gazecie „Thrifty Nickel", w której można nabyć wszystko – od tchórzofretki przez traktor po fortepian. Następnie poszedł do domu, gdzie Michelle właśnie dała dzieciom kolację. Sąsiad widział go, jak wpatrywał się w okna. Jakiś czas potem zastrzelił ich, jedno po drugim. Michelle, Kristy, Kyle. A potem sam się zastrzelił.

Ta sprawa wstrząsnęła całym stanem. Michelle była młoda, miała dwadzieścia trzy lata, jej dzieci – sześć i siedem. Chodziły do pierwszej i drugiej klasy. Uczyły się czytać. Rysowały ludziki z kresek i drzewa, które wyglądały jak lizaki. Paul znalazł skulone ciało Kyle'a na schodach. Rocky leżał u ich podnóża, jego twarz wykrzywiał grymas, ramiona były pokryte jakimiś bazgrołami, chyba zrobionymi markerem. Samochód Michelle stał na swoim miejscu i przez chwilę Paul myślał, że może ona żyje. Pobiegł na podwórko, a potem do garażu. Zobaczył mustangi Rocky'ego. Worek kaset z rodzinnymi nagraniami. Potem zjawili się policjanci. I znaleźli Michelle.

Do domu Paula Monsona zaprowadziło mnie to samo, co sprawia, że większość dziennikarzy natrafia na najważniejsze historie – zawiła sieć ludzi i miejsc oraz lata badań. Latem 2010 roku byłam w Nowej Anglii u mojego znajomego Andre Dubusa. Stałam na podjeździe przed domem Andre, kiedy przyjechała jego siostra Suzanne. Wybierała się właśnie z rodziną na wakacje. Następne kilka godzin naznaczyło kolejną dekadę mojego życia.

Niespełna rok wcześniej wróciłam do Stanów po wieloletnim pobycie za granicą, ostatnio w Kambodży, gdzie spędziłam sześć lat.

Niełatwo było mi na powrót się przystosować. Siedziałam na zebraniach wydziału na uniwersytecie, dołączywszy właśnie do grona wykładowców, i udawałam, że owszem, posiadam wiedzę z zakresu biurokracji i pedagogiki, choć w rzeczywistości nie miałam na ten temat pojęcia. Mieszkając w Kambodży, pisałam o gwałtach zbiorowych i społeczeństwie po ludobójstwie, o biedzie i prawach pracowniczych, o historiach, które niemal namacalnie mówiły o przetrwaniu, a w moim nowym życiu zupełnie tego brakowało. W Phnom Penh przy kolacji rozmawialiśmy o trybunale do spraw zbrodni wojennych[1], handlu ludźmi na tle seksualnym, ciągłej przemocy czy korupcji politycznej. Pewnego razu wybrałam się do pobliskiego parku na spacer z psem. Nagle podjechał do mnie kierowca motocykla-taksówki, który znał mnie z widzenia i mieszkał w mojej okolicy, z impetem posadził mnie, z psem na kolanach, na siedzeniu za sobą i oddalił się pędem od Hun Sen Park. Parę sekund wcześniej, zaledwie kilka metrów od miejsca, gdzie się wówczas znajdowałam, postrzelono mężczyznę, a Sophal, ów kierowca, postanowił zabrać mnie stamtąd w bezpieczne miejsce. Innym razem spacerowałam w tym samym parku (znowu z psem), kiedy na moich oczach podpalił się człowiek, a ja zamarłam w panice i patrzyłam, jak płonie. Moja przyjaciółka Mia, która również mieszkała w Phnom Penh, mawiała, że czasami czuje się, jakbyśmy żyli na pierwszej linii frontu człowieczeństwa.

Nie żeby w Stanach Zjednoczonych było idealnie – bieda, choroby i klęski żywiołowe bynajmniej nie omijały kraju, ale ja już zapomniałam, jak żyje się w miejscu, gdzie – jeśli tylko masz chęć i środki – można się z łatwością odizolować od większości problemów. A moje nowe życie zapewniło mi izolację od tego rodzaju trudności i historii opisywanych przez kilkadziesiąt lat, w stopniu, jakiego się nie spodziewałam. Byłam nie tyle nieszczęśliwa, ile niespokojna. Na studiach doktoranckich zajmowałam się beletrystyką, ale wkrótce porzuciłam ją na rzecz literatury faktu, ponieważ szybko zdałam sobie sprawę, że to dokument skuteczniej prowokuje do zmiany. Ciągnęło mnie do ukrytych zakątków świata, do ludzi pozbawionych podstawowych praw obywatelskich, bo miałam bardzo nikłe pojęcie o tym, jak to jest, gdy jesteśmy niewidzialni, gdy nikt nie słu-

cha naszego głosu, gdy przychodzi nam zmierzyć się z bólem, który jeszcze niedawno wydawał nam się ponad nasze siły.

Tamtego dnia w 2010 roku gawędziłam z Suzanne na podjeździe przed domem jej brata. Cała rodzina pakowała się na coroczne wakacje w stanie Maine, a Andre na powitanie wręczył siostrze długą listę zakupów. Powiedziała mi, że pracuje dla instytucji zajmującej się przemocą domową, że niedawno opracowali nowy program – Domestic Violence High Risk Team, czyli Zespół do spraw Przemocy Domowej Wysokiego Ryzyka, powołany w jednym, prostym celu.

– Próbujemy przewidzieć zabójstwa w wyniku przemocy domowej, zanim do nich dojdzie, żeby im zapobiec.

Nie mieściło mi się to w głowie. W pierwszej chwili uznałam, że musiałam się przesłyszeć.

– Jak to „przewidzieć"? – zapytałam. – Chcesz przez to powiedzieć, że „przewidujecie" zabójstwa?

W pracy reporterskiej z przemocą domową miałam do czynienia od dawna, nie tylko w Kambodży, ale też w takich miejscach jak Afganistan, Niger czy Honduras. Jednak nigdy nie była to dla mnie centralna kwestia – po prostu zawsze pojawiała się na obrzeżach tematu, którym się akurat zajmowałam, niemal banalna w swojej powszechności. Młode dziewczyny w kabulskim więzieniu, odsiadujące karę za zbrodnię miłości; dziecięce panny młode w Indiach, które udzielały mi wywiadu wyłącznie w obecności kontrolujących je mężczyzn; tybetańskie kobiety przymusowo poddawane sterylizacji przez chiński rząd; nastoletnie mężatki w Nigrze wyrzucane z rodzinnych wiosek, gdy w wyniku powstałej po ciąży przetoki dróg rodnych stawały się pariaskami; Rumunki, które pod rządami Ceaușescu były zmuszane do rodzenia kolejnych dzieci, a dziś, ledwo przekroczywszy trzydziestkę, mają już wnuki, ale i tak są skazane na ubóstwo; kambodżańskie prostytutki, bite i zbiorowo gwałcone dla zabawy przez khmerskich nastolatków z zamożnych rodzin. Wszystkie te kobiety na całym świecie były systematycznie krzywdzone i kontrolowane przez mężczyzn. To mężczyźni tworzyli zasady, przede wszystkim poprzez przemoc fizyczną. W zasadzie niemal każda historia, jaką się zajmowałam, rozgrywała się na takim mrocznym tle, na tyle

oczywistym, że najczęściej nie musiałam nawet o nic pytać. Było to coś równie powszechnego jak deszcz. Przed tamtą rozmową z Suzanne Dubus rzadko myślałam o przemocy domowej w Stanach, a jeśli już, to wydawało mi się, że jest ona udziałem nielicznych pechowych jednostek i wynika ze złych decyzji oraz patologicznego środowiska. Dotyka kobiet zaprogramowanych na cierpienie. Mężczyzn zaprogramowanych na cierpienie. Jednak nawet przez chwilę nie myślałam o tej kwestii w kategoriach choroby społecznej, epidemii, z którą moglibyśmy coś zrobić. A tu Suzanne Dubus opowiada mi o środkach zapobiegania przemocy, która zresztą, jak właśnie się od niej dowiedziałam, stanowi swoiste spektrum. Młoda dziewczyna w Indiach wydana za mąż jako dziecko, ubezpłodniona tybetańska kobieta, uwięziona Afganka, gospodyni domowa w Massachusetts pobita przez męża – łączyło je to samo, co wszystkie inne ofiary przemocy domowej na całym świecie: odebrano im prawo do decydowania o własnym życiu. Te same siły, które doprowadziły prostytutkę z Kambodży na skraj śmierci, zabijały tysiące kobiet i dzieci oraz mężczyzn (choć głównie kobiety i dzieci) w Ameryce i na całym globie, każdego roku. Na świecie każdego dnia średnio sto trzydzieści kobiet ginie z rąk partnerów lub w wyniku przemocy w rodzinie[2]. Ta liczba nie uwzględnia mężczyzn. Ani dzieci.

Tamtego dnia całe moje ciało nagle ożyło. Przez dwadzieścia lat kariery reporterskiej oglądałam twarze kobiet na całym globie, ale dopiero wówczas dotarło do mnie, jak rzadko zwracałam uwagę na to, co dzieje się w moim własnym kraju, na nasze własne błędy i ich znaczenie. Na to, jak się to wszystko ma do innych, zbieranych latami opowieści i innych twarzy. Na uniwersalność przemocy domowej i na to, jak przenika ona bariery geograficzne, kulturowe i językowe. Kto wie, może te wcześniejsze historie przygotowały mnie na dzień, w którym spotkam Paula Monsona i spojrzę na góry z okien jego salonu.

Skończyło się na tym, że poszłam z Suzanne na rynek, a potem do sklepu spożywczego i monopolowego i towarzyszyłam jej w zakupach na wyjazd. Pomagałam jej dźwigać zapasy lodu, brzoskwiń i mięsa na hamburgery. Podczas jazdy samochodem zasypywałam ją pytaniami, a Pat, jej matka, od czasu do czasu dorzucała coś od siebie

z siedzenia pasażera. „Jak się to sprawdziło? Ilu udało się powstrzymać? Co jeszcze można przewidzieć?” Nie przestawałam jej wypytywać o kolejne, coraz to nowsze rzeczy. Jak to zwykle bywa w przypadku osób, które mają co najwyżej pobieżną znajomość tematu, wierzyłam w to, co większość: że jeśli robi się ciężko, ofiara po prostu odchodzi. Że zakaz zbliżania rozwiązuje problem (a jeśli ofiara nie zgłasza się, żeby taki zakaz odnowić, to problem najwyraźniej sam się rozwiązał). Wierzyłam, że ofiary i ich dzieci powinny iść do schroniska. Że przemoc w domu to sprawa prywatna, że nie ma związku z innymi formami przemocy, a na pewno nie z masowymi strzelaninami. Że brak widocznych obrażeń oznacza, że to nic poważnego. A przede wszystkim sądziłam, że jeśli to nie w ciebie uderza podniesiona pięść, to nie masz z taką przemocą nic wspólnego.

Przez kilka kolejnych lat Suzanne Dubus i jej współpracownica Kelly Dunne cierpliwie wprowadzały mnie w meandry kwestii, która po dziś dzień zbyt często jest głęboko ukrywana. Dowiedziałam się, dlaczego dawne metody zawiodły i co można zrobić skuteczniej. W latach 2000–2006 zginęło trzy tysiące dwustu amerykańskich żołnierzy; w tym samym okresie przemoc domowa w Stanach Zjednoczonych pochłonęła dziesięć tysięcy sześćset istnień ludzkich. (Liczba ta jest prawdopodobnie zaniżona, ponieważ zaczerpnięto ją z dokumentacji uzupełniającej FBI na temat zabójstw, czyli *Supplementary Homicide Reports* – SHR; gromadzi się tam dane z lokalnych wydziałów policji, a ich przesłanie jest dobrowolne). Co minutę dwadzieścia osób w Stanach Zjednoczonych doznaje przemocy ze strony partnerów. Były Sekretarz Generalny ONZ Kofi Annan nazwał przemoc wobec kobiet i dziewcząt „najbardziej haniebnym naruszeniem praw człowieka”, a Światowa Organizacja Zdrowia uznała, że to „globalny problem zdrowotny o rozmiarach epidemii”[3]. Raport Biura Narodów Zjednoczonych do spraw Narkotyków i Przestępczości (United Nations Office on Drugs and Crime – UNODC) stwierdza, że tylko w 2017 roku pięćdziesiąt tysięcy kobiet na całym świecie zginęło z rąk partnerów lub członków rodziny[4]. Pięćdziesiąt tysięcy kobiet. W tym dokumencie dom określa się mianem „najniebezpieczniejszego miejsca dla kobiet”[5]. I choć rośnie świadomość, że mężczyźni również doznają przemocy domowej, to jednak przytłaczającą większość

ofiar – około osiemdziesięciu pięciu procent – nadal stanowią kobiety i dziewczęta[6]. A na każdą kobietę zabitą w Stanach Zjednoczonych w wyniku przemocy domowej przypada niemal dziewięć niedoszłych ofiar, którym ledwo udaje się uniknąć śmierci[7]. W 2013 roku ukazał się mój pierwszy artykuł dla magazynu „New Yorker”, poświęcony programowi, który Suzanne Dubus i Kelly Dunne stworzyły, aby przewidywać zabójstwa w wyniku przemocy domowej.

Ów tekst stał się również zalążkiem niniejszej książki, kiedy dotarło do mnie, ile jeszcze kwestii wymaga omówienia. Po kilku latach zajmowania się tym tematem zaczęłam rozumieć, że z przemocą domową można coś zrobić, jeśli tylko zaczniemy zwracać na nią uwagę. Przez kolejne osiem lat zgłębiałam między innymi to, jak przemoc domowa wiąże się z wieloma innymi problemami, z jakimi zmagamy się jako społeczeństwo: edukacją, ekonomią, zdrowiem psychicznym i fizycznym, przestępczością czy równością płciową i rasową. Reformatorzy, którzy naciskają na zmiany w systemie więziennictwa, nieustannie borykają się z kwestią przemocy domowej, ponieważ jej sprawcy trafiają na pewien czas za kratki, tam są poddawani czysto symbolicznej terapii, a czasem wręcz żadnej, wracają na łono społeczeństwa obywatelskiego i powtarzają cykl od nowa. Indywidualna przemoc ma daleko idące konsekwencje społeczne. Na Florydzie, w Kalifornii, w stanach Maryland, Ohio, Nowy Jork, Massachusetts, Oregon i innych poznałam ludzi, którzy próbowali przetrwać własną prywatną wojnę, i dzięki nim zobaczyłam, jakie ponosimy tego koszty – osobiście i jako zbiorowość, jak destrukcyjny ma to wpływ na społeczności, rodziny i jednostki. Płacimy cenę w postaci przerwanego życia i utraconych szans, a także ogromnych obciążeń finansowych dla ofiar, podatników i systemu sądownictwa karnego. Koszty zdrowotne i medyczne związane z przemocą domową, ponoszone przez podatników w skali roku, przekraczają kwotę ośmiu miliardów dolarów, a ofiary opuszczają ponad osiem milionów[8] dni roboczych rocznie. Ponad połowa bezdomnych kobiet znalazła się w takiej sytuacji bezpośrednio wskutek przemocy, która stanowi także trzecią najczęstszą przyczynę bezdomności w kraju. Wśród osadzonych w więzieniach mężczyzn przeważają osoby, które po raz pierwszy były świadkami przemocy lub jej do-

świadczyły w dzieciństwie z rąk domowników, a dzieci dorastające w przemocowych domach są znacznie bardziej narażone na zaburzenia rozwojowe[9]. A te masowe strzelaniny z roku na rok nękające nasz kraj coraz częściej?

Większość z nich to również przemoc domowa.

W kwietniu 2017 roku Everytown for Gun Safety, grupa aktywistów na rzecz wprowadzenia kontroli broni, opublikowała raport, z którego wynika, że obecnie pięćdziesiąt cztery procent masowych strzelanin w Ameryce wiąże się z przemocą domową lub rodzinną[10]. Dane te natychmiast obiegły wszystkie media. Korelację między masowymi strzelaninami a przemocą domową omawiano w artykułach informacyjnych i felietonach w całym kraju – z jedną drobną zmianą. Zamiast frazy „wiąże się” w mediach zaczęto używać określenia „zwiastuje”, na przykład: „Przemoc domowa zwiastuje masową strzelaninę w ponad połowie przypadków”. Reporter portalu internetowego PolitiFact zakwestionował statystyki przedstawione przez grupę Everytown, powołując się przy tym na badania Jamesa Alana Foxa[11], profesora Northeastern University, który przytacza w tym kontekście znacznie niższy odsetek. Jednak to, co najistotniejsze, kryje się w dalszej części artykułu, w wypowiedzi naukowca, który tak odpowiada na pytanie dziennikarza: „Można stwierdzić z całą pewnością, że połowa incydentów, w których dochodzi do masowej strzelaniny, to ekstremalne przypadki przemocy domowej”.

Innymi słowy, chodzi nie o to, że przemoc domowa zwiastuje masową strzelaninę. Rzecz w tym, że masowe strzelaniny w ponad połowie przypadków stanowią przemoc domową.

Weźmy na przykład Adama Lanzę z miasta Newtown w stanie Connecticut, który – zanim wtargnął z bronią do szkoły podstawowej Sandy Hook – najpierw zabił swoją matkę w domu. Tuż przed dokonaniem masakry w Pierwszym Kościele Baptystów w teksaskiej miejscowości Sutherland Springs Devin Patrick Kelley przywiązał żonę do łóżka sznurem i przykuł kajdankami[12]. Można też przytoczyć tu wydarzenie, które powszechnie uznaje się za pierwszą masową strzelaninę w Stanach Zjednoczonych: w sierpniu 1966 roku Charles Whitman otworzył ogień do studentów na University of Te-

xas w Austin i zabił szesnaście osób. Ale dziś rzadko się już pamięta, że mordowanie zaczął poprzedniego wieczoru od własnej żony i matki.

Z przemocą domową mamy jednak również do czynienia w pozostałych czterdziestu sześciu procentach przypadków masowych strzelanin. Znajdziemy jej ślady w życiu wielu zabójców. Omar Mateen, który w czerwcu 2016 roku zabił czterdzieści dziewięć osób w klubie Pulse w Orlando, dusił swoją pierwszą żonę – na Florydzie, gdzie mieszkał, taki czyn stanowi przestępstwo, a według przepisów prawa federalnego jego sprawca mógł trafić za kratki na dziesięć lat. Tyle że Mateenowi nigdy nie postawiono zarzutów. Wcześniej, przez trzy koszmarne tygodnie w październiku 2002 roku, snajper o nazwisku John Allen Muhammad terroryzował stany Wirginia i Maryland oraz stolicę kraju, Waszyngton, strzelając do przypadkowych osób. Uczniowie podstawówek nie wychodzili wówczas na przerwę poza budynek szkoły, zaś na stacjach benzynowych zawisły plandeki, które miały osłonić klientów. Tymczasem Muhammad przez wiele lat znęcał się nad żoną Mildred, aż w końcu od niego odeszła, a jak się później okazało, ataki snajperskie stanowiły zwykłą przykrywkę. Sprawca zeznał policjantom, że zabijając przypadkowych, nieznanych mu ludzi, chciał odwrócić uwagę od swojego zasadniczego planu – zamordowania Mildred. A co byłoby, gdyby Dylann Roof, który przez lata patrzył, jak ojciec znęca się nad macochą, w porę otrzymał wsparcie i pomoc[13]? Czy to ocaliłoby życie dziewięciu osób, które w czerwcu 2015 roku zginęły w Afrykańskim Kościele Metodystyczno-Episkopalnym w miejscowości Charleston w Karolinie Południowej?

Niestety, przytoczone tu przypadki to wyłącznie te, które zapisały się w świadomości publicznej. W rzeczywistości jest ich o wiele, wiele więcej. W Stanach Zjednoczonych masową strzelaniną nazywa się takie sytuacje, w których są przynajmniej cztery ofiary, co oznacza, że wzmianki o znacznej większości tego typu incydentów pojawiają się tylko w wiadomościach lokalnych lub regionalnych, o ile w ogóle media o nich wspominają. Nazajutrz, najwyżej po dwóch dniach, nikt już o nich nie mówi, choć co roku w ich wyniku giną tysiące kobiet, mężczyzn i dzieci. Przywołane przypadki, podobnie jak

wiele innych, wyraźnie pokazują, że przemoc domowa to bynajmniej nie problem prywatny, ale najbardziej paląca kwestia zdrowia publicznego.

Wszystko to ostatecznie sprawiło, że wiosną 2015 roku stanęłam na progu usianych wgnieceniami drzwi Paula Monsona. Wtedy znałam już od kilku lat większość członków jego rodziny i usłyszałam historię Michelle i Rocky'ego od matki i sióstr Michelle. Jednak Paul nie potrafił mówić o tym zabójstwie. Ból zdawał się go przytłaczać, poczucie winy czasem go wręcz dusiło. O przemocy domowej mówi się trudno. Jak dowiedziałam się w trakcie prowadzonych badań, jest to też jeden z najtrudniejszych tematów w pracy dziennikarskiej. Jest to kwestia zarówno rozległa i niewygodna, jak i pozostająca w całkowitym ukryciu. Jako reporter możesz stanąć w środku strefy wojny i opisać to, co widzisz. Możesz pojechać na miejsce klęski głodu czy zarazy i opowiadać o nich w czasie rzeczywistym. Możesz odwiedzić klinikę HIV/AIDS, centrum onkologiczne, obóz dla uchodźców czy sierociniec i na bieżąco donosić o tym, co się tam dzieje. Możesz pisać o problemach społecznych i środowiskowych, związanych ze zdrowiem publicznym i geopolityką, których konsekwencje widzisz na własne oczy. Nawet jeśli piszesz o powojennej rzeczywistości, co często robiłam w Kambodży, możesz założyć, że twoi rozmówcy są już w pewnym stopniu bezpieczni, bo wojna, klęska żywiołowa czy jakakolwiek katastrofa, która cię tam sprowadziła, dobiegła już końca.

Oto jeden z najtrudniejszych aspektów zajmowania się przemocą domową: piszesz o sytuacji tak zapalnej, że możesz narazić na niebezpieczeństwo ofiarę, która i tak znajduje się w samym epicentrum szalenie groźnej, niepewnej sytuacji. Jednak etyka dziennikarska nakazuje, by każdemu dać szansę opowiedzieć swoją wersję wydarzeń – zarówno ofierze, jak i sprawcy przemocy. W kilku przypadkach oznaczało to, że nie mogłam wykorzystać przeprowadzanych wywiadów przez całe tygodnie, a czasem miesiące, bo gdybym tylko zwróciła się do sprawcy z prośbą o komentarz, naraziłabym ofiarę. Jedna kobieta, z którą przeprowadzałam rozmowy przez ponad rok, musiała się wycofać dla własnego bezpieczeństwa. Jej wieloletni partner i

oprawca przyciskał czasem jej nagie ciało do rur instalacji grzewczej w ich mieszkaniu albo zarzucał jej koc na głowę i owijał szyję taśmą. Historia o tym, jak po latach maltretowania wreszcie się od niego uwolniła, to jedna z najbardziej przejmujących opowieści, jakie słyszałam. Nawet teraz, kiedy o niej piszę, nie mogę wspomnieć o żadnych innych szczegółach, które pozwoliłyby ją zidentyfikować, a te elementy – rury grzewcze czy koc – pojawiają się także w relacjach wielu innych kobiet.

W przypadku ofiar przemocy domowej cierpienie często nigdy się nie kończy. Kobiety, którym udaje się uwolnić od oprawców, muszą ustalić z nimi kwestię opieki nad dziećmi. A nawet jeśli nie mają dzieci, to wiele ofiar trwa w stanie czujności jeszcze długo po ucieczce od przemocy – zwłaszcza jeśli z jej powodu sprawca trafił do więzienia. Jeśli znajdują nowego partnera, oboje mogą być narażeni na niebezpieczeństwo. Jedna z moich rozmówczyń określiła ten stan jako „oczy dookoła głowy" – przynajmniej do czasu, gdy dzieci dorosną. Momenty odwiedzin czy przekazania dziecka są szalenie ryzykowne nawet dla tych ofiar, którym udaje się uciec. Poznałam kobietę, której w takich właśnie okolicznościach były mąż rozbił twarz o kamienny mur na oczach dzieci, obserwujących zajście z tylnego siedzenia samochodu. Byli już wówczas wiele lat po rozwodzie. Kiedy to piszę, wiem już, że poprzedniego dnia, to jest 12 września 2018 roku, w kalifornijskiej miejscowości *Bakersfield* zginęło sześć osób, w tym była żona zabójcy i jej nowy partner (wpisanie w wyszukiwarkę Google fraz „mąż w separacji" i „zabił" daje ponad piętnaście milionów wyników). Ucieczka z przemocowego związku rzadko kiedy gwarantuje, że zagrożenie znikło. Dlatego też dokładałam wszelkich starań, by w miarę możliwości zachować równowagę między etyką dziennikarską a bezpieczeństwem osób, które wykazały się nie lada odwagą i udzieliły mi wywiadu. Tak często, jak to tylko możliwe, rozmawiałam z wieloma osobami na temat danego incydentu albo relacji, ale zdarzało się, że nie mogłam się kontaktować ze sprawcą, bo było to zwyczajnie zbyt niebezpieczne dla ofiary. W kilku przypadkach pozostali uczestnicy zajścia lub jego świadkowie już nie żyli. Nazwiska kilkorga rozmówców zostały zmienione, a ich tożsamość ukryta, aby ochronić ich bezpieczeństwo i prywatność.

Przyjęta przeze mnie metodologia zakładała, że pewne dane mogę pominąć, ale niczego nie zmieniam, z wyjątkiem nazwisk. Za każdym razem zaznaczałam to odpowiednią adnotacją w tekście.

Przemoc domowa nie przypomina innych przestępstw. Nie dochodzi do niej w próżni. Nie dochodzi do niej, ponieważ ktoś znalazł się w złym miejscu i o złym czasie. Nasz dom i rodzina powinny stanowić święte terytorium, „azyl w bezdusznym świecie”, jak uparcie określała to moja wykładowczyni socjologii na studiach. (I na jej zajęciach po raz pierwszy usłyszałam to zdanie). To właśnie sprawia, że przed przemocą domową nie sposób się obronić. Doświadczasz jej z rąk kogoś, kogo znasz, kto twierdzi, że cię kocha. Najczęściej ukrywa się ją nawet przed najbliższymi, a często przemoc fizyczna przynosi mniejsze szkody niż agresja emocjonalna i słowna. Nie umiem powiedzieć, jak często słyszałam skargi sprawców, że nie potrafią przestać kochać tej samej kobiety, nad którą znęcali się tak bardzo, że wylądowali w więzieniu. Kto wie, może to potężny afrodyzjak – idea, że ktoś dał się ponieść miłości tak głębokiej, że jest wobec niej bezsilny. Niemniej ów intelektualny przymus, niezbędny, by człowiek uwierzył, że jego miłość i agresja wyrastają w nim z tego samego miejsca, opiera się, rzecz jasna, na całkowicie fałszywych przesłankach. Z czasem zauważyłam u sprawców wysoki poziom narcyzmu. A występujące z wysoką częstotliwością inne czynniki, które mogą sprawić, że fałsz to kwestia przetrwania – uzależnienia, ubóstwo i inne akty desperacji – często okazują się szczególnie zabójcze w połączeniu ze swoistą toksyczną męskością.

Żyjemy w kulturze, w której mówi się nam, że dzieci muszą mieć ojca, że związek to najwyższa wartość, że rodzina stanowi fundament społeczeństwa, że lepiej zostać i rozwiązywać swoje „problemy” między dwojgiem ludzi, niż odejść i wychowywać dzieci jako samotna matka. Michelle Monson Mosure powtarzała to w kółko, tłumacząc mamie, że nie chce, by jej dzieci wychowywały się w „rozbitym domu”. Jakby dom, w którym jedno z rodziców znęca się nad drugim, nie był wystarczająco rozbity, jakby istniały różne rozbicia. Takie komunikaty są tyleż podstępne, co konsekwentne. Docierają do nas, gdy politycy debatują nad ponownym wprowadzeniem ustawy o

przeciwdziałaniu przemocy wobec kobiet, a następnie przeznaczają na ten cel fundusze tak nikłe, że w budżecie federalnym to w zasadzie okruszek. Na wdrażanie wspomnianej ustawy – Violence Against Women Act (VAWA) – przekazano fundusze w wysokości niespełna czterystu osiemdziesięciu dziewięciu milionów dolarów[14]. Dla porównania, cały roczny budżet Departamentu Sprawiedliwości, który nadzoruje Biuro do spraw Przemocy wobec Kobiet, wynosi obecnie dwadzieścia osiem miliardów dolarów[15]. Można też ująć to inaczej: najbogatszy człowiek na świecie, Jeff Bezos, którego majątek szacuje się na sto pięćdziesiąt miliardów dolarów, mógłby sfinansować obecny budżet VAWA na trzysta lat i jeszcze zostałoby mu parę milionów na skromne życie[16].

Tymczasem do ofiar z różnych stron dociera przekaz, żeby nie odchodziły od swojego oprawcy. Spójrzmy na system wymiaru sprawiedliwości: podczas procesu zmusza się ofiarę do konfrontacji z człowiekiem, który już kiedyś próbował ją zabić i któremu – o czym ona dobrze wie – następnym razem może się to udać. Świadczą również o tym decyzje sądów, które wymierzają nader łagodne kary – często grzywnę czy kilka dni aresztu dla sprawcy brutalnego pobicia. Taki sygnał dostajemy także wtedy, gdy organy ścigania traktują przemoc domową jako drobny wyskok czy „małżeńską sprzeczkę”, a nie jako przestępstwo, którym przecież bezspornie jest. Chcę wierzyć, że gdyby karty się odwróciły, gdyby to kobiety maltretowały i zabijały mężczyzn na tak ogromną skalę – każdego miesiąca w Stanach Zjednoczonych z rąk swoich partnerów ginie pięćdziesiąt kobiet, nie licząc przypadków innych niż morderstwo z użyciem broni – to problem nie schodziłby z pierwszych stron gazet w całym kraju. Najpewniej znalazłyby się też nieograniczone fundusze na badania naukowe, które pomogłyby ustalić, co jest nie tak ze współczesnymi kobietami.

A my mamy czelność pytać, dlaczego ofiara nie zostawi oprawcy.

W rzeczywistości wiele z nich – w tym Michelle Monson Mosure i jej dzieci – niejednokrotnie podejmuje potajemne próby odejścia, działając w ramach istniejącego systemu i – krok po kroku, zachowując nieustanną czujność – robi wszystko, co w ich mocy, żeby uciec.

Gdy rozpatrujemy przypadek Michelle oraz wielu innych osób, wydaje nam się, że widzimy kogoś, kto postanowił pozostać w związku z dręczycielem, podczas gdy tak naprawdę nie potrafimy rozpoznać ofiary, która powoli i ostrożnie odchodzi od oprawcy.

Nie jest to przesadnie zaskakujące, jeśli weźmiemy pod uwagę, że poza nielicznymi wyjątkami ludzkość od zarania dziejów w zasadzie nie widziała w przemocy domowej nic złego. W judaizmie, islamie, chrześcijaństwie tradycyjnie panowało przekonanie, że mąż ma wszelkie prawo karać żonę, podobnie jak wolno mu dyscyplinować i kontrolować wszystko, co do niego należy, w tym służbę, niewolników i zwierzęta. Rzecz jasna, święte teksty – Koran, Biblia czy Talmud – z których takie przeświadczenia wyrastają, stanowią po prostu interpretację dokonaną przez (jakżeby inaczej) mężczyzn z ówczesnej epoki[17]. Czasem interpretacje te zawierały nawet wskazówki co do sposobu bicia żony, na przykład należało unikać bezpośrednich ciosów w twarz albo zadbać o to, by nie spowodować trwałych uszkodzeń ciała. W IX wieku gaon z akademii talmudycznej w Surze argumentował, że kobieta pobita przez męża doświadcza mniejszej traumy, niż gdyby spotkało ją to z rąk obcego, ponieważ zgodnie z prawem żona podlega mężowskiej władzy[18]. W Stanach Zjednoczonych ustanowione przez purytanów prawa zakazywały wprawdzie bicia żony, ale miały w dużej mierze charakter czysto symboliczny i egzekwowano je rzadko albo wcale. Uważano natomiast, że maltretowane żony prowokowały swoich mężów – to samo przekonanie przewija się w literaturze na temat przemocy domowej przez całe stulecia, a pierwsze teksty, w których kwestionuje się ten pogląd, pojawiły się w zasadzie dopiero w latach sześćdziesiątych i siedemdziesiątych XX wieku. W tych nielicznych przypadkach, gdy sprawca przemocy domowej trafiał przed oblicze wymiaru sprawiedliwości, sąd zwykle stawał po stronie mężczyzny, o ile żona nie odniosła trwałych obrażeń[19].

Dopiero w ostatnim stuleciu w Stanach Zjednoczonych uchwalono prawo zakazujące bicia żony, ale nawet stany, które pod koniec XIX wieku jako pierwsze rozpoczęły prace nad wprowadzeniem ustaw przeciw przemocy małżeńskiej – Alabama, Maryland, Oregon,

Delaware i Massachusetts – nieczęsto egzekwowały własne przepisy[20]. Amerykańskie Towarzystwo Zapobiegania Okrucieństwu wobec Zwierząt (American Society for the Prevention of Cruelty to Animals – ASPCA) powstało kilkadziesiąt lat przed uchwaleniem prawa zakazującego okrucieństwa wobec własnej żony, co oznacza, jak przypuszczam, że losem psów przejmowaliśmy się bardziej niż sytuacją maltretowanych kobiet. (W latach dziewięćdziesiątych w kraju działało niemal trzykrotnie więcej schronisk dla zwierząt niż schronisk dla ofiar przemocy domowej)[21]. Jesienią 2018 roku, kiedy piszę te słowa, w kilkunastu krajach na świecie przemoc wobec współmałżonka lub członka rodziny pozostaje całkowicie legalna – nie wprowadzono tam żadnych konkretnych przepisów przeciwdziałających przemocy domowej. Są to, między innymi, Egipt, Haiti, Łotwa, Uzbekistan i Kongo[22]. Jest jeszcze Rosja, gdzie w 2017 roku zdekryminalizowano wszelką przemoc domową, której skutkiem nie były obrażenia ciała[23]. A także, rzecz jasna, Stany Zjednoczone, gdzie pierwszy prokurator generalny mianowany przez administrację Trumpa uznał, że przemoc domowa nie stanowi podstawy do przyznania azylu i że w przypadku takich cudzoziemców można co najwyżej mówić o „pechu" (*misfortune*)[24]. Innymi słowy, w dzisiejszych czasach, jeśli masz dość szczęścia i prześladują cię poza domem siły twojego własnego rządu, to możesz ubiegać się o azyl, ale jeśli to prześladowanie odbywa się w czterech ścianach za zamkniętymi drzwiami – masz pecha i możesz liczyć wyłącznie na siebie.

Ogromna większość precedensów prawnych związanych z przemocą domową zaistniała naprawdę niedawno. Dopiero w 1984 roku Kongres uchwalił ustawę o przeciwdziałaniu przemocy w rodzinie i służbach publicznych (Family Violence Prevention and Services Act), która miała pomóc maltretowanym kobietom i dzieciom – wspomagać finansowanie schronisk i innych środków wsparcia dla ofiar[25]. Stalking uznano za przestępstwo dopiero na początku lat dziewięćdziesiątych, choć często nadal nie jest on postrzegany jako prawdziwe zagrożenie – ani przez organy ścigania, ani przez sprawców, ani nawet przez same ofiary, mimo że trzy czwarte kobiet zabitych w Ameryce doświadczyło wcześniej stalkingu ze strony obec-

nych lub byłych partnerów[26]. Niemal dziewięćdziesiąt procent ofiar zabójstw w wyniku przemocy domowej było uporczywie nękanych i pobitych w roku poprzedzającym ich śmierć[27]. Krajowy telefon alarmowy dla ofiar przemocy domowej zorganizowano dopiero w 1996 roku[28].

Od Suzanne Dubus dowiedziałam się, że w całym kraju podjęto zasadniczo trzy inicjatywy, które rewolucjonizują nasze podejście do kwestii przemocy domowej. Należy do nich jej własny program, uruchomiony w 2003 roku. Polega on na tym, że w instytucjach zajmujących się przemocą domową powołano zespoły do spraw wysokiego ryzyka, które starają się oszacować potencjalne niebezpieczeństwo każdego przypadku, a następnie otoczyć ofiary ochroną. Druga to otwarcie w 2002 roku pierwszego w kraju ośrodka sprawiedliwości rodzinnej – Casey Gwinn, były pełnomocnik miasta San Diego, zaproponował, żeby pod jednym dachem zgromadzić wszystkie miejskie służby pomagające ofiarom: policję, prawników, wsparcie w zakresie odszkodowania, doradztwo, edukację i dziesiątki innych. (W ramach ośrodka w San Diego działało trzydzieści pięć różnych instytucji. W innych miejscowościach liczba współpracujących agencji może się różnić). Trzecią ze wspomnianych inicjatyw był Program Oceny Śmiertelności (Lethality Assessment Program – LAP), zapoczątkowany w stanie Maryland w 2005 roku przez byłego policjanta Dave'a Sargenta, powołany przede wszystkim po to, by monitorować postępowanie organów ścigania podczas interwencji wobec sprawców przemocy domowej[29].

To nie przypadek, że wszystkie trzy programy zainicjowano mniej więcej w tym samym czasie. Ruchy kobiece w latach siedemdziesiątych i osiemdziesiątych zwróciły uwagę narodu, dopiero zaczynającego akceptować ideę równości, na sytuację maltretowanych kobiet. Skupiono się wówczas na tworzeniu schronisk, zapewnieniu im finansowania i izolacji bitych kobiet od ich oprawców. Jednak w latach dziewięćdziesiątych zaczęło się to zmieniać. Aktywistki, prawnicy, policja i sędziowie w całym kraju mówili mi, że spowodowały to dwa wydarzenia. Pierwszym z nich był proces O. J. Simpsona.

Dla wielu osób Nicole Brown Simpson stała się symbolem ofiary nowego typu. Była piękna, bogata i sławna. Skoro ją spotkało coś takiego, to równie dobrze mogło się przydarzyć każdemu. Organy ścigania miały pełną świadomość, że O. J. dopuszczał się wobec niej przemocy. Został aresztowany, zwolniony za kaucją, a następnie skazany na udział w „terapii telefonicznej” przez kalifornijskiego sędziego (ostatecznie sprawę umorzono). Nagranie rozmowy Nicole z operatorem numeru alarmowego dało słuchaczom wgląd w sytuację rzadko obecną w przestrzeni publicznej: oto kobieta osaczona przez mężczyznę, który twierdzi, że ją kocha. Groźby, manipulacje, zastraszanie – wszystko tam było. Jej zabójstwo wysunęło na pierwszy plan kwestię, o której aktywiści mówili od lat – że to może się zdarzyć wszędzie, każdemu. W tamtym okresie najważniejsze dla nich było to, jak dotrzeć do ofiar, którym nie udaje się poprosić o wsparcie. Jednak kiedy w lokalnych gazetach zaczęły pojawiać się relacje na temat morderstwa Nicole Brown Simpson i Rona Goldmana, po raz pierwszy niemal zawsze towarzyszyły im informacje, gdzie szukać pomocy. Dzięki procesowi ofiary uzyskały dostęp do wsparcia na niespotykaną dotąd skalę. Dzwoniły więc na telefony zaufania, do schronisk i na policję[30]. Przemoc domowa wkroczyła w dyskurs na poziomie ogólnokrajowym.

Sprawa Simpsona stała się również katalizatorem działań na rzecz ofiar pochodzących z mniejszości etnicznych, które słusznie pytały, dlaczego społeczeństwo zainteresowało się problemem śmiertelnych konsekwencji przemocy domowej dopiero wtedy, gdy zginęła bogata, piękna, biała kobieta. Przedstawicielki mniejszości etnicznych doświadczały tego typu przemocy w tym samym lub nawet wyższym stopniu co białe kobiety, a dodatkowo zmagały się jeszcze z uprzedzeniami na tle rasowym. W następstwie sprawy Simpsona ten aspekt ogólnokrajowej debaty coraz częściej pojawia się dziś w kontekście społeczności rdzennych Amerykanów, imigrantów oraz grup, które są defaworyzowane na skalę większą niż kiedykolwiek wcześniej. Po części przyczynił się do tego drugi kamień milowy, który zmienił nasze podejście do kwestii przemocy domowej: ustawa o przemocy wobec kobiet (Violence Against Women Act – VAWA).

To właśnie ten akt prawny sprawił, że kwestią przemocy między partnerami życiowymi zajęli się wreszcie ustawodawcy, którzy dotąd postrzegali ją jako sprawę prywatną, problem kobiet, a nie systemu sądownictwa karnego. Projekt ustawy przedstawił w 1990 roku w Kongresie ówczesny senator Joseph Biden, ale weszła ona w życie dopiero jesienią 1994 roku, zaledwie kilka tygodni po zakończeniu procesu O. J. Simpsona. Wtedy też po raz pierwszy w historii miasta i miasteczka w całym kraju mogły ubiegać się o dotacje federalne na walkę z przemocą domową w swoich społecznościach. Fundusze te przeznaczano na organizację specjalistycznych kursów dla służb ratowniczych i mundurowych, zatrudnienie pracowników społecznych, tworzenie schronisk i mieszkań tymczasowych, prowadzenie zajęć interwencyjnych dla sprawców oraz szkoleń z zakresu prawa. Fundusze VAWA oznaczały, że ofiary nie muszą już płacić z własnej kieszeni za zestawy sprzętu do pobierania materiału dowodowego w sprawie o gwałt, a maltretowane przez partnera kobiety, eksmitowane z domu w następstwie zdarzeń związanych z przemocą, mogły liczyć na odszkodowanie i pomoc; znalazły się też środki na wsparcie dla ofiar z niepełnosprawnościami oraz osób potrzebujących konsultacji prawnej. Wszystkie te mechanizmy wsparcia dla osób dotkniętych przemocą domową, a także wiele innych, jakimi dziś dysponujemy, zawdzięczamy bezpośrednio ustawie VAWA. Po jej uchwaleniu ówczesny senator Biden oświadczył agencji Associated Press: „[Przemoc domowa] to przestępstwo nienawiści. Chcę zapewnić kobietom wszelkie przewidziane przepisami możliwości dochodzenia zadośćuczynienia, nie tylko w ramach prawa karnego, ale także w postępowaniu cywilnym. Chcę uświadomić ludziom w tym kraju, że prawa obywatelskie kobiet – ich prawo do życia w spokoju – są zagrożone”[31].

VAWA wymaga ponownego przegłosowania co pięć lat. W 2013 roku głosowanie zablokowano, ponieważ republikanie oprotestowali projekt uwzględniający partnerów tej samej płci, rdzennych Amerykanów zamieszkałych w rezerwatach oraz pochodzące z innych krajów ofiary maltretowania, które znalazły się w USA bez dokumentów i ubiegały się o wizę tymczasową. Po zaciekłych dyskusjach zarówno w Izbie Reprezentantów, jak i w Senacie ustawa ostatecznie przeszła.

Kiedy to piszę, Kongres szykuje się właśnie do kolejnego głosowania. Docierają do mnie sygnały od aktywistek z całego kraju – mają one pełną świadomość, jak niepewna jest ich sytuacja i szanse na kontynuację finansowania w obecnym klimacie politycznym, pod rządami przywódcy, który nie kryje się z seksizmem i mizoginią, którego kilkanaście kobiet oskarżyło o molestowanie, a pierwsza żona zarzuciła mu napaść na tle seksualnym. (Później stwierdziła, że nie miała na myśli przestępstwa, ale raczej poczucie, że naruszona została jej nietykalność[32]). Funkcję sekretarza Trumpa w Białym Domu pełnił Rob Porter, o którym było wiadomo, że znęcał się nad partnerkami, aż w końcu media i naciski z zewnątrz – a więc bynajmniej nie moralny imperatyw – zmusiły go do złożenia dymisji. Naprawdę żyjemy w czasach, w których prawo do posiadania broni staje się ważniejsze niż prawo do życia. „To, co [Trump] mówi i robi, ma dla kobiet ogromne konsekwencje – powiedziała mi Kit Gruelle, ocalała z doświadczenia przemocy i aktywistka. – Cofamy się w przerażającym tempie”.

Jakiś czas temu wybrałam się na lunch z Lynn Rosenthal, pierwszą konsultantką w relacjach między Białym Domem a Biurem do spraw Przemocy wobec Kobiet. Nawiasem mówiąc, to utworzone za czasów Obamy stanowisko pod rządami administracji Trumpa od dwu lat pozostaje nieobsadzone. Zapytałam ją: gdyby miała nieograniczone fundusze i swobodę dysponowania nimi według własnej woli, to jak rozwiązałaby problem przemocy domowej? Odparła, że wybrałaby społeczność, zbadała, co się sprawdza, a potem zainwestowała we wszystko. „Nie można spojrzeć na pojedynczy fragment systemu i stwierdzić: »Och, to jest lek na całe zło. Właśnie tego ludzie chcą«. Gdybyśmy mogli zainwestować w jedną rzecz, co by to było? Prawda jest taka, że jedna rzecz niczego nie rozwiąże”.

Właśnie o to w tym wszystkim chodzi: przemoc prywatna w taki czy inny sposób wpływa na niemal każdy aspekt współczesnego życia, a jednak nasza zbiorowa nieumiejętność publicznego postępowania z tym problemem odsłania zdumiewający brak zrozumienia dla owej wszechobecności.

Przystępując do pracy nad niniejszą książką, chciałam rzucić światło na najciemniejsze zakamarki, pokazać, jak przemoc domowa wygląda od środka. Podzieliłam ją na trzy części, a w każdej staram się rozwiązać jedno fundamentalne zagadnienie. Część pierwsza próbuje odpowiedzieć na najbardziej uporczywie zadawane pytanie: dlaczego ofiary nie odchodzą. (Kit Gruelle powiedziała mi kiedyś: „Po napadzie rabunkowym nikt nie mówi prezesowi: »Musisz przenieść ten bank«"). Życie i śmierć Michelle Monson Mosure pokazały nam jasno, że nie rozumiemy tego, co rozgrywa się na naszych oczach, że rozważanie, czy ktoś powinien odejść, czy też zostać, nie uwzględnia całej masy czynników, jakie oddziałują w przemocowym związku.

W części drugiej, dla mnie chyba najtrudniejszej, badam samo sedno przemocy – rozmawiam ze sprawcami. Ich punkt widzenia, tak przecież istotny dla sprawy, zazwyczaj się pomija, a wypowiadają się wyłącznie ofiary, aktywistki i policja. W obecnym klimacie dominacji toksycznej męskości chciałam się dowiedzieć, jak wygląda taki człowiek, jak postrzega samego siebie w społeczeństwie i we własnej rodzinie. Przez lata zbierania materiałów do książki po wielokroć pytałam, czy można nauczyć przemocowca nie stosować przemocy. Odpowiedzi niemal zawsze były takie same: od policjantów i aktywistek słyszałam „nie", ofiary mówiły, że mają taką nadzieję, natomiast mężczyźni sprawcy twierdzili, że owszem, można. W moim odczuciu ta ostatnia odpowiedź to nie tyle teoria, ile raczej wyraz ich chęci. W świecie przemocy domowej co rusz ktoś cytuje powiedzenie „skrzywdzeni krzywdzą innych". Co więc musiałoby się wydarzyć, żeby taki zraniony człowiek zmierzył się z własnym bólem i spróbował stawić mu czoła, zamiast jak zwykle skierować go na zewnątrz i wyładować na bliskich?

W trzeciej części podążam śladem osób, dzięki którym coś się zmienia, działających na pierwszej linii frontu walki z przemocą domową i zabójstwami w jej wyniku – jak Suzanne Dubus czy Kelly Dunne. Badam, co można zrobić i kto się tym zajmuje. Zgłębiam inicjatywy grup interesu, wymiaru sprawiedliwości i organów ścigania, a także przyglądam się, jak one wyglądają z poziomu ulicy.

W książce używam w stosunku do ofiar zaimka „ona", a w odniesieniu do sprawców – „on". Nie sugeruję przez to bynajmniej, że

mężczyźni nie mogą być ofiarami, a kobiety sprawczyniami, jestem także świadoma, na jak skromne wsparcie mogą liczyć maltretowani partnerzy w związkach jednopłciowych oraz jak ponure są statystyki dotyczące przemocy domowej w relacjach i społecznościach LGBTQ. Moje rozumowanie jest tu dwojakie: po pierwsze, mężczyźni stanowią przytłaczającą większość sprawców, a kobiety – ofiar. Po drugie zaś, zaimki „on/ona" pomagają mi zachować spójność tekstu. Należy zatem przyjąć, że kiedy piszę „ona" o ofiarach, a „on" o sprawcach, jestem świadoma, że każdy może znaleźć się w obu tych sytuacjach, niezależnie od płci.

Coraz częściej słychać głosy, że ofiary przemocy domowej należałoby określać mianem „ocalałych", a w niektórych przypadkach „klientów/klientek". Ja jednak tego nie robię, o ile nie wiem z całą pewnością, że mam do czynienia z ocalałymi – że udało im się uciec z przemocowego związku i stworzyć nowe życie dla siebie i najbliższych. Ponadto podaję imiona i nazwiska rozmówców i rozmówczyń w pełnym brzmieniu, a o osobach, które podzieliły się ze mną swoją historią – stając się tym samym „postaciami" w rozumieniu literatury faktu – piszę, posługując się ich imionami.

Ostatnia kwestia: termin „przemoc domowa" od dawna stanowi przedmiot sporów wśród ocalałych i grup interesu. „Udomowienie" przemocy sugeruje pewnego rodzaju złagodzenie, jak gdyby pobicie przez członka rodziny nie zasługiwało na taką samą uwagę co napaść ze strony obcego człowieka. W środowisku grup interesu zauważa się obecnie tendencję do używania terminów „przemoc wobec partnera" lub „terroryzm wobec partnera". Te rozwiązania również nie są idealne, chociażby dlatego, że pomijają przemoc ze strony kogokolwiek innego niż partner. „Przemoc małżeńska" wiąże się z podobnymi ograniczeniami. W ostatnim dziesięcioleciu popularność zyskało wyrażenie „przemoc prywatna". Wszystkie te pojęcia są eufemistyczne w tym sensie, że nie uwzględniają konkretnej konstelacji sił – fizycznych, emocjonalnych i psychologicznych – z jakimi ma się do czynienia w takich relacjach. Od lat staram się wymyślić lepsze określenie, jak dotąd bezskutecznie, choć moim zdaniem słowo „terroryzm" najdokładniej oddaje to, jak czuje się osoba w takim związku. Niemniej skoro jest to termin powszechnie zrozumiały, w książce piszę o

„przemocy domowej” lub „przemocy prywatnej”, chyba że kogoś cytuję albo wystąpi oczywista redundancja kontekstowa – w takim przypadku od czasu do czasu używam innych wymienionych powyżej określeń.

A teraz wróćmy do domu Paula Monsona i do tamtego późnego popołudnia. Kończymy rozmowę o samochodach i przechodzimy do tematu, którego unika, źródła jego głębokiej żałoby: córki i wnuków, których już nie ma.

Część I

Koniec

Mali wariaci

Dom Paula Monsona został zbudowany na otwartym planie, salon połączony z jadalnią, a jadalnia z kuchnią. Paul mówi, że wnuki tędy biegały. Kristy i Kyle – to pierwsze, co robili, kiedy tu przyjeżdżali. Szaleli po domu jak mali wariaci. Kristy i Kyle to dzieci Rocky'ego i Michelle.

Paul pochodzi z miejscowości Minot w Dakocie Północnej. Przyjechał do Montany w poszukiwaniu pracy. Jego ojciec zmarł dawno temu. Gil, jego ojczym, był właścicielem wędrownego wesołego miasteczka, Lunder's Kiddyland, a wcześniej uprawiał rolę. Paul mówi, że to był „facet, co za dolca zrobi wszystko". Michelle kochała swoich dziadków.

– Ludzie często myślą, że dziewczyny wybierają facetów, którzy przypominają im tatę – stwierdza Paul. – Ale Rocky w niczym mnie nie przypominał.

Może to energia Rocky'ego przyciągnęła Michelle, zastanawia się Paul. A może to, że była nastolatką, kiedy się poznali, a Rocky, który wyglądał znacznie młodziej niż na swoje dwadzieścia cztery lata, miał dostęp do dorosłego świata, wówczas zupełnie dla niej nowego. Własne lokum, alkohol, nikogo nie musiał słuchać. Gdyby nie zaszła w ciążę w wieku czternastu lat, nie urodziła Kristy jako piętnastolatka, gdyby nie był o wiele starszy, ich związek pewnie zakończyłby się tak jak większość nastoletnich miłości. Wielkie emocje, zakochanie, a potem nic. Kolejny obiekt uczuć.

– Moim zdaniem był już w takim wieku, że chciał załatwić sprawę – uważa Paul. – Założyć rodzinę i tak dalej.

Paul mówi, że jadał razem z Michelle obiad niemal codziennie. Pracował niedaleko i w południe wpadał do niej podczas przerwy, ale wątpi, czy Rocky o tym wiedział.

– Jadłem u niej obiad, w telewizji leciał Jerry Springer, a myśmy siedzieli razem i go oglądali – opowiada. – Byłem z nią związany

bardziej niż z innymi córkami. Nie wiem dlaczego. Ja też byłem jej bliższy niż inni.

Paul sięga po stosik spiętych gumką płyt DVD. Mówi, że mogę je zabrać, to kopie, które dla mnie nagrał przed moim przyjazdem. Filmy rodzinne. Rocky filmował wszystko, rok po roku, szczególnie wycieczki na pole kempingowe, na które jeździli w zasadzie co weekend. Zamiast szczególnych okazji, wakacji, urodzin, tego typu rzeczy, nagrania w większości przedstawiają codzienne życie Michelle, Kristy oraz Kyle'a. Paul mówi, że oglądał je wszystkie. Więcej niż raz. Szukał sygnałów, czegoś, co zwiastowałoby to, co nadeszło, ale nic nie znalazł. Wyglądali jak każda rodzina. Trzyletnia Kristy siedzi na kanapie i ogląda kreskówki. Kyle, z dziecięcą wędką w ręku, stoi na brzegu strumienia i próbuje złowić rybę. Na kilku filmach Michelle śpi w łóżku i budzi się, kiedy mąż woła do niej zza obiektywu kamery. Nie było żadnych sygnałów, mówi Paul. Minie kilka lat, zanim będę w stanie je obejrzeć.

Była żona Paula, Sally Sjaastad, znała Rocky'ego równie słabo, choć widywała go przez wiele lat. Dwie starsze córki, Alyssa i Michelle, przeprowadziły się do Paula, gdy miały piętnaście i czternaście lat. Sally i Paul byli wówczas od dawna rozwiedzeni – odkąd Michelle miała osiem lat – i dziewczynki mieszkały głównie z Sally. Ale kiedy weszły w wiek dorastania, odkryły w domu ojca wolność, na jaką u mamy nie mogły liczyć.

Czasami Sally dzwoniła do Paula, a on nie miał pojęcia, gdzie są córki, albo mówił: „Poszły tu-czy-tam", a ona tam jechała i dziewczyn nie było. Raz Paul dał jej adres, pod którym – jak się okazało – mieścił się dom przejściowy dla chłopców, którzy wyszli z Pine Hills i przygotowywali się na powrót do prawdziwego świata. Chłopców z uzależnieniami lub problemami wychowawczymi. Chłopców za młodych na więzienie, ale zbyt niebezpiecznych – dla siebie samych i dla innych – by można ich było zostawić w domu. Pine Hills to ośrodek z internatem dla chłopców z problemami. Miejsce dobrze znane Sally, ponieważ pracowała dla stanu Montana i zajmowała się rehabilitacją zawodową – pomagała osobom z niepełnosprawnościami, starała się znaleźć im pracę.

Tamtego wieczoru zajechała wściekła pod dom przejściowy w poszukiwaniu Michelle, która miała wtedy tylko jakieś trzynaście czy czternaście lat. Mężczyzna, który otworzył drzwi, potwierdził, że Michelle tam była, ale wyszła z chłopakiem o imieniu Cody. Sally wpadła w szał. „Mojej córce – oświadczyła mężczyźnie – nie wolno tu więcej przychodzić. Nigdy". Michelle zjawiła się trzy godziny później.

Innym razem Sally przyjechała do Paula i zobaczyła zaparkowanego przed domem zielonego hatchbacka. Nie znała tego samochodu. Zapukała do drzwi, ale nikt nie odpowiadał. Widziała jednak, że w środku ktoś się rusza, więc zapukała głośniej. Znowu brak odpowiedzi. Pojechała dalej, ale jakiś czas później wróciła. To samo. Przez szczelinę w drzwiach krzyczała, że jeśli nie otworzą, zadzwoni na policję. Podziałało. Michelle otworzyła drzwi. Stał za nią młody mężczyzna o potarganych, warstwowo obciętych włosach, w dżinsach i koszulce. Miał silnie zarysowaną szczękę, jakby całe życie ją zaciskał. Pełne usta i blizny po trądziku na policzkach. Wówczas Sally po raz pierwszy zobaczyła Rocky'ego. Wydawał się nieśmiały, unikał jej wzroku. Kazała mu się stamtąd zabierać, powiedziała, że nie może przyjeżdżać, kiedy taty Michelle nie ma w domu. Pod nosem burknął, że właśnie wychodzi.

Sally powiedziała później Paulowi, że chłopak jest za stary dla Michelle. Nie wiedziała, ile ma lat, ale każdy chłopiec na tyle dorosły, by mieć własny samochód, był za stary dla czternastolatki. Wydawało jej się, że razem z Paulem rozwiązali wtedy ten problem. Myślała, że Rocky zniknął z życia Michelle. Nie wyobrażała sobie nawet, że Michelle może być nieposłuszna. Sądziła, że to ciągle jej mała córeczka, która bez szemrania wykonuje swoje obowiązki i nie wagaruje. Michelle nigdy nie była typem buntowniczki. Kiedy nadszedł czas dojrzewania, co nastąpiło o wiele wcześniej, niż wszyscy sobie życzyli, to po prostu dojrzała. Weszła od razu w dorosłość. Życie nastolatki niemal całkiem ją ominęło.

Rocky był szczupłym facetem, metr sześćdziesiąt pięć, wiecznie spiętym, nerwowym. Energicznym. (Jego krewni opisują go nieco inaczej, mówią, że był cichy i czasem przebiegły, trochę nieśmiały).

Zanim się zastrzelił, wziął te filmy, zapakował je do torby i zaniósł do garażu. Chciał mieć pewność, że ktoś je znajdzie. Hołd dla szczęśliwej amerykańskiej rodziny. Gdyby wszystko poszło zgodnie z planem, być może właśnie taka historia by po nich została. Wielka Amerykańska Tragedia. Napisał sobie coś na rękach. To nie było przeznaczone dla oczu postronnych i nikt nie pamięta, co to dokładnie było. Coś w rodzaju: Zasługuję na to, by pójść do piekła.

Paul mówi, że wgniecenia na drzwiach wejściowych zrobił Rocky, który próbował je wyłamać, gdy przyszedł po Michelle. Ale wówczas Paul nie uznał tego za przemoc, w każdym razie za nic, co byłoby niebezpieczne. Przemoc takiego rodzaju trudno ocenić na gorąco, ale z perspektywy czasu wydaje się oczywista – to znaczy, że właśnie tak wygląda przemoc domowa. Nie tylko Paul nie zauważył jej przejawów. Teraz wyobraźmy sobie, że to nie Rocky stoi pod drzwiami do domu Paula, wali w nie pięściami, kopie, wrzeszczy na kobietę w środku. Wyobraźmy sobie, że to ktoś obcy. Kto nie zadzwoniłby na policję? Kto nie próbowałby wkroczyć, żeby powstrzymać przemoc? A jednak, gdy w grę wchodzą osoby, które znamy, które widzimy w innym kontekście – jako ojców, braci, synów, kuzynów, matki, nieważne – nie potrafimy rozpoznać przemocy. Dziś Paul mówi, że by interweniował, że coś by zrobił. Wziął prawo we własne ręce. To kwestia Montany, libertariańskiej, indywidualistycznej kultury tego miejsca. On nie ufa systemowi. Uważa, że policja prawie nic nie zrobiła, żeby uratować jego córkę. Ani prokuratura.

– Coś ci powiem, żebyś lepiej zrozumiała Montanę – mówi Paul.

Kiedy poprosił o wyniki sekcji rodziny, koroner powiedział, że może udzielić mu informacji wyłącznie o osobach, z którymi jest spokrewniony. Michelle, Kristy, Kyle. Ale nie o Rockym. Ale kiedy ojciec Rocky’ego, Gordon Mosure, poprosił o te dokumenty, to je dostał. Całej czwórki.

– Tu się uważa, że rodzina należy do faceta – mówi. Patriarchat ustala zasady. Paul kręci głową. – Im więcej o tym myślisz, tym bardziej cię to wkurza – oznajmia. Wyciąga dokumenty z brązowej teczki i pokazuje mi trzy raporty z sekcji, które udało mu się zdobyć. Raport Kyle’a otwiera następujące stwierdzenie: „Ten mały chłopiec otrzymał… z krwią… nasiąknięte ubrania”. Koroner odnotował, że

ofiara zjadła przed śmiercią żelki. W raporcie Kristy napisano, że jej rana postrzałowa pozostawiła „wzór metalicznego śniegu”. Jej serce ważyło sto osiemdziesiąt gramów.

Wskazuję na tabliczkę w salonie Paula. Jest nieco przekrzywiona, wisi na dużej, białej ścianie. Została wygrawerowana, kiedy Michelle skończyła liceum. Szkoła średnia w Billings, rocznik 1997. Mieszkała już wtedy z Rockym i miała dwójkę dzieci poniżej trzeciego roku życia, a i tak zaliczyła ostatnią klasę w terminie. Urodziła-Kyle’a rok po Kristy. Przeniosła się do placówki dla – jak określa to Paul – „dzieci, które mają dzieci”, jakieś sześć przecznic od starej szkoły. Miała wózek, do którego wkładała dzieci, i musiała pchać tę dwójkę maluchów pod górę, a zimy w Montanie bywają srogie.

– Pamiętam, jak na nią wtedy patrzyłem i myślałem sobie, że robi coś naprawdę niezwykłego.

Właśnie tego momentu Paul się obawiał. Pochyla głowę. W rękach trzyma tabliczkę. Przed chwilą wstał i zdjął ją ze ściany, a teraz ściska ją i delikatnie wyciera z kurzu. A potem jego dłoń opada, a oczy wzbierają łzami. Bierze głęboki wdech, próbuje się opanować. To dlatego rodzice tacy jak on niechętnie ze mną rozmawiają, zwłaszcza mężczyźni. Zrobią wszystko, żeby uniknąć tej chwili.

Ze Sally Sjaastad jest inaczej. Na przestrzeni kilku lat spędziłam z nią wiele godzin. Stara się do pewnego stopnia zachować życie córki w opowieściach i wspomnieniach. Przechowuje wszystko, co zostało po niej i dzieciach, listy i obrazki, które maluchy rysowały dla babci na wakacjach, kartki od Michelle, gdy była mała, wycinki z lokalnych gazet dotyczące zabójstwa. Wiezie mnie pod szkołę, do której uczęszczali Kristy i Kyle, gdzie upamiętniają ich dedykowane im głaz i ławka. Sally mówi, że po zabójstwie postarzała się w ciągu jednej nocy, a przez kolejne cztery miesiące przybyło jej osiem kilo, wyglądała koszmarnie. Nie rozpoznaję jej na zdjęciu zrobionym za życia Michelle, nawet gdy sama mi siebie na nim wskazuje. Zauważyłam, że w obliczu ogromnej tragedii kobiety zazwyczaj nie przestają mówić, a mężczyźni milczą. Sally oplata się wirem wspomnień niczym gniazdem. Paul trzyma je w sobie jak kamienie.

Sally zawsze się wydawało, że Michelle była ponad wiek odpowiedzialna. Kosiła trawnik, myła naczynia, odkurzała dywan i o nic nie trzeba jej było prosić. Pewnego roku pracowała z siostrami przy maszynie do waty cukrowej i innych atrakcjach w wesołym miasteczku, a potem włożyła zarobione tam dwadzieścia dolarów do koperty i napisała, że to dla mamy, na zakupy spożywcze i inne wydatki. Sally rozpłakała się, kiedy to zobaczyła.

– [Michelle] mogła rzucić [szkołę] – stwierdza Paul. Mówi cicho, głos lekko mu się łamie. Ociera oczy wierzchem ręki. – Nie byłem z niej dumny, kiedy zaszła w ciążę, ale za to ją podziwiałem. Nigdy się nie poddała.

Takie kobiety jak Michelle Monson Mosure są wytrwałe. Łączy je determinacja, by za wszelką cenę utrzymać siebie i dzieci przy życiu. Nigdy się nie poddają. Tkwią w przemocowych małżeństwach, ponieważ rozumieją coś, czego większość z nas nie umie pojąć, coś, co widać tylko od środka, co wydaje się sprzeczne z logiką: w domu grozi im niebezpieczeństwo, ale odejście jest niemal zawsze o wiele bardziej niebezpieczne. Wiele z nich to jednak planuje, jak Michelle. Zostają. Czekają na właściwy moment. Dbają o bezpieczeństwo dzieci. Utrzymują się w stałej gotowości na linii frontu. Czujne i cierpliwe, nieustannie sprawdzają, kiedy będą mogły się wymknąć. Robią to tak długo, jak się da.

Siostry nierozłączki

Michelle poznała Rocky'ego w domu, w którym po szkole przesiadywała grupa nastolatków. Alyssa miała wtedy najlepszą przyjaciółkę, nazywała się Jessica, i najpierw to ona spotykała się z Rockym. Byli razem tylko przez kilka tygodni, najwyżej miesiąc. Alyssa właściwie prawie go nie zauważała, ot, jakiś obcy facet z grzywą. Dopiero później, kiedy Michelle zwierzyła jej się ze swoich uczuć, Alyssa przypomniała sobie Rocky'ego. Miał muskularną budowę ciała i twarz całą w drobnych bliznach. Nosił włosy do ramion, cieniowane. Był przystojny, tak mówiły dziewczyny. Zabawny.

Alyssa powiedziała, że Rocky od razu wpadł Michelle w oko. Wydawał się przystępny, solidny. Był od niej starszy o dziesięć lat i spędził rok w więzieniu w Teksasie pod zarzutem posiadania narkotyków, ale jej to nie przeszkadzało. Miał pracę i własne mieszkanie. Ekscytowało ją, że zainteresował się nią starszy facet. Że wyrwała się spod skrzydeł rodziców. Że była wolna.

To pragnienie wolności sprawiło, że w ogóle zamieszkała u Paula. Paul był cichy, nie dzielił się z nikim tym, co myślał i czuł. Jego mózg ciągle coś kalkulował, dopasowywał do siebie różne rzeczy, szukał ich sensu. Może trochę za dużo popijał. Ale tak robi większość mężczyzn. Zwłaszcza w takim miejscu jak Montana, gdzie określenie „fajny chłopak" jest równie oczywiste, co burza śnieżna w maju, i oznacza każdego faceta, od kowboja po prawnika, pod warunkiem że można się z nim napić browara, umie się on obchodzić z bronią i wie, jak łowić na muchę. Rocky to był fajny chłopak. Większość ówczesnych znajomych Alyssy, Michelle i Melanie to fajne chłopaki.

Michelle po raz pierwszy zobaczyła Rocky'ego, gdy cała paczka spotkała się w domu pary, której dziećmi opiekowała się Jessica. W Billings relacje i przyjaźnie nakładają się na siebie jak warstwy geograficzne. Wszyscy się znają albo o sobie słyszeli. W domu były stół bilardowy oraz garaż, gdzie czasem spotykały się nastolatki. Kiedy Rocky podjechał samochodem i Michelle go zobaczyła, musiała po-

czuć jakieś ściśnięcie w podbrzuszu, bo niemal natychmiast zostali parą. Dwa, najwyżej trzy dni i pozamiatane, mówi Alyssa. Pod koniec tego pierwszego tygodnia Rocky i Michelle byli w sobie po uszy zakochani.

Gdy Michelle powiedziała jej o ciąży, Sally chciała oskarżyć Rocky'ego o gwałt na nieletniej. Nie mogła uwierzyć, że facet w jego wieku mógł polecieć na nastolatkę. Co było z nim nie tak? Ale Michelle przysięgała, że ucieknie z Rockym i dzieckiem, jeśli mama przekroczy tylko próg komisariatu. Sally strasznie to zabolało. Czy Michelle naprawdę by uciekła? Na zawsze? Jak miałaby ją chronić, gdyby nawet nie wiedziała, gdzie jest? Gdyby poszła w świat z małym dzieckiem, za młoda nawet na prawo jazdy?

W końcu Sally poprosiła o pomoc psychologa, który doradził, żeby to przeczekała, na ile to możliwe, zaakceptowała sytuację i starała się wspierać córkę. Michelle znudzi się Rocky'emu. Sally pamięta, że psycholog powiedział jej: „Będzie miał dość dziewczyny, która nie może nigdzie wychodzić ani nic robić". Przed śmiercią Michelle tylko raz w życiu była w barze. Nigdy nie pojechała na wakacje z przyjaciółką. Nigdy nie odwiedzili jej znajomi. Nie należała do kółka czytelniczego, szkoły jogi ani klubu młodych matek. Tak naprawdę nigdzie nie należała. Rocky był całym jej światem.

Alyssa zastanawia się, czy to przez to, że sama spotykała się wówczas ze starszym facetem, Michelle tak bardzo zależało na związku z Rockym. Alyssa i Michelle były najlepszymi przyjaciółkami. Od początku, niemal od kołyski. Na filmach rodzinnych zawsze są razem. Siostry nierozłączki. Ciągle chichotały przytulone przed pasiastą kanapą w salonie. Kiedy Alyssa nauczyła się jeździć na rowerze bez dodatkowych kółek, Michelle stała obok na trawie i patrzyła na jej niepewny rajd po chodniku, na różowym rowerku z białym koszykiem. Na filmie Alyssa znika z kadru, po czym wraca, jedzie już nieco pewniej, na twarzy ma dumny uśmiech. Hamuje, ale za późno opiera stopy na ziemi i spada z rowerka, zahaczając pupą o pedał. Zaczyna płakać, a wtedy Sally bierze ją na ręce.

W kolejnym ujęciu Michelle jedzie na srebrnym rowerze z czerwonym siodełkiem. Pędzi tym samym chodnikiem na dwóch kołach, zawraca i macha. Podniesioną wysoko ręką macha do ojca, który trzyma kamerę, drugą dłoń zaciska na kierownicy, a uśmiech na jej twarzy jest szeroki i pewny niczym rogal księżyca.

Wszystkie siostry były ze sobą mocno związane. Melanie, najmłodsza, cierpiała na ADHD i najgorzej zniosła rozwód rodziców. Krzyczała, kopała, wściekała się. Niemal cała uwaga Sally skupiała się na niej, a Michelle i Alyssa były pozostawione same sobie. Tapirowały grzywki, malowały usta szminką, tuszowały rzęsy i słuchały Aerosmith i AC/DC. Michelle zadurzyła się w Stevenie Tylerze. Wałęsały się po miejskich parkach. Czasami jeździły na urwiska znane jako Rims, liczące sobie osiemdziesiąt milionów lat formacje z piaskowca nieopodal Billings. Miejsce przyciąga górołazów, turystów, właścicieli psów i zagubionych nastolatków. O wschodzie i zachodzie słońca promienieje ognistym pięknem, które przywodzi na myśl czerwone skały Sedony. Znad Rims rozciąga się widok na całą dolinę Billings i hen w dal. W tym krajobrazie zawarte są miliony lat, fale beznamiętnie mijającego czasu.

Jednak skały Rims budzą też inne skojarzenia. Niemal co roku znajduje się tam czyjeś ciało, ktoś popełnia samobójstwo albo ucieka przed policją i kończy ranny lub zabity, spada z Klifu Ofiar, występu z piaskowca, który wrzyna się w koryto rzeki Yellowstone i w najwyższym miejscu mierzy sto pięćdziesiąt metrów. Według opowieści miejsce nazwano tak na pamiątkę dwóch wojowników z ludu Kruków, którzy skoczyli z klifu, odkrywszy, że podczas ich nieobecności całe plemię wymarło na ospę[33].

Rims to najbardziej znany punkt orientacyjny w okolicy Billings, siedlisko świstaków, mulaków, sokołów, nietoperzy, jastrzębi i kilku różnych gatunków węży, w tym grzechotnika teksaskiego. Tego ostatniego charakteryzują wzór w kształcie diamentów na skórze i wysoka jadowitość. Później Rocky kupi takiego węża i przyniesie go do domu, w którym mieszkał z Michelle i dwójką ich dzieci.

Cokolwiek w sobie dusi

Pod wieloma względami Rocky bywał cichy, podobnie jak cicha bywała Michelle. W tłumie albo w towarzystwie nowo poznanych ludzi. Był niespokojny, zbuntowany, ale uwielbiał przebywać pod gołym niebem. Wędkowanie, biwakowanie. To łączyło go z tatą. Tak naprawdę wszystko go z nim łączyło: upodobanie do otwartych przestrzeni, cisza, nawet prawdziwe imię, Gordon. Ojciec nadał mu przezwisko, gdy Rocky był mały, w hołdzie bokserowi Rocky'emu Marciano.

Gordon i jego pierwsza żona, Linda, mieli trójkę dzieci, z których Rocky był najstarszy. Mieszkali wówczas w miejscowości Columbus w stanie Ohio. Rocky miał młodszego brata o imieniu Mike i młodszą siostrę Kelly. Dzieci były ze sobą zżyte, ale nie przesadnie. Kłóciły się, trzymały razem, ignorowały się i wzajemnie chroniły. Mike i Kelly podziwiali Rocky'ego, swojego starszego brata.

Gordon mówi, że gdyby to były inne czasy, inna epoka, to pewnie nie ożeniłby się z Lindą. Odsłużył cztery lata w siłach powietrznych, a kiedy wrócił, rewolucja seksualna w Ameryce rozwijała się w najlepsze. „Myślałem, że umarłem i trafiłem do nieba" – oznajmił mi. Powiedział to z kamienną twarzą, bez śladu zadowolenia czy nostalgii. Poznał dziewczynę, ona zaszła w ciążę, a on zapomniał o rewolucji seksualnej. Wróciło poczucie obowiązku i honoru, więc doszedł do wniosku, że skoro wpadli, to powinien się ożenić.

– Jej matka i ojciec powtarzali: „Dziecko musi mieć ojca". Dzisiaj bym im powiedział: „Dziecko przecież ma ojca, wielka mi sprawa". Ale wtedy postanowiłem jednak się z nią ożenić.

To nie tak, że nie chciał dzieci. Kochał je, wszystkich troje. Kochał Rocky'ego nawet wtedy, gdy ten zaczął sprawiać kłopoty.

Kiedy się rozwiedli, Linda oddała mu pełną opiekę nad całą trójką. Wkrótce po rozstaniu poznał kogoś w pracy. Sarah. (Linda odmówiła mi wywiadu, ale stwierdziła, że Gordon zaczął się spotykać z Sarah jeszcze przed rozwodem). Sarah zajęła się dziećmi jak wła-

snymi. Wychowywała je. Kochała. Czasem je też dyscyplinowała. Wspomina, że kiedy mieszkali jeszcze w Columbus, Rocky i Mike wdali się w bójkę w salonie. Mówi, że Rocky bezustannie prowokował brata, aż ten w końcu nie wytrzymał.

– Mike miał potem przechlapane, ale ja powiedziałam Gordonowi, że to nie jego wina, tylko Rocky'ego – opowiada mi Sarah. Mike był hałaśliwy. Mike wrzeszczał, ale to Rocky był prawdziwym prowodyrem. – Wiecznie pakował innych w kłopoty.

Gordon i Sarah pobrali się w Ohio, a dwa dni później przeprowadzili się z trójką dzieci do Montany, gdzie na niego czekała nowa praca. Nie uprzedzili o swoich planach dzieci. Ani Lindy. Dzisiaj uważają, że powinni byli o tym porozmawiać z dzieciakami, pozwolić, żeby się z tym oswoiły. Dać im nieco czasu, by przywykły do myśli o wyjeździe, może nawet pojechać wcześniej i pokazać im nowe miejsce.

– To chyba nie było z naszej strony najmądrzejsze – przyznaje Sarah.

Linda twierdzi, że musiała ich szukać z pomocą prywatnego detektywa. Gordon mówi, że znalazła ich właściwie od razu – jego nowy szef przyjaźnił się z ludźmi ze starej pracy. Jednak listy i kartki od Lindy przychodziły sporadycznie i dzieci zobaczyły się z nią dopiero pięć lat później.

– O tylu rzeczach się myśli, tyle rzeczy przychodzi ci do głowy, częściowo, no wiesz, przez całe to „mężczyźni są z Marsa", ale zawsze czułem, że coś pewnie mogłem zrobić, jakoś to naprawić i uratować wnuki – mówi Gordon. – Ciągle wracam do naszego rozwodu. Jak coś takiego ma nie wpłynąć na dzieci? Ale, z drugiej strony, ile milionów dzieci co roku przeżywa rozwód rodziców?

Dzieci zawsze miały jakieś problemy z nauką, ale dopiero po przeprowadzce Gordon i Sarah odkryli, jak duże mają zaległości. Zatrudnili korepetytorów, ale dzieciaki nigdy ich nie nadrobiły. Żadne nie skończyło szkoły. Gordon twierdzi, że Linda sadzała je przed telewizorem albo wszędzie ze sobą ciągnęła, na zakupy czy gdzie tam chodziła w ciągu dnia.

– Zamiast uczyć je abecadła i czego tam jeszcze, normalnie nic z tego nie dostały – mówi Gordon.

Linda naturalnie pamięta to zupełnie inaczej. Gordon przyznaje, że był typem ojca, który wolał unikać konfliktów zamiast stawiać im czoła. Nawet Sarah twierdzi, że Gordon nigdy nie okazuje emocji, chyba że „w telewizji jest coś o polityce".

– Wtedy całkiem puszczają mu nerwy. Rusza go tylko to, co nie ma bezpośredniego związku z rodziną. Ale kiedy chodzi o nasz dom, nasze dzieci czy coś w tym stylu, to zero reakcji – oświadcza Sarah. – Częściowo to przez to, w jakich czasach dorastał.

– Normalnie mam dyplom z unikania – komentuje Gordon.

Problemy z Rockym zaczęły się niemal natychmiast po przeprowadzce. W wieku dwunastu lat upijał się i podkradał drobne rzeczy, jak kasety z muzyką ulubionych zespołów – Aerosmith, Black Sabbath. Pewnego razu ukradł rower. Sarah znajdowała butelki po winie Mad Dog 20/20 za płotem, na porośniętym chwastami spłachetku ziemi za podwórkiem, i wiedziała, że to Rocky je tam wyrzucił. On był bierny, a Mike – agresywny. Kiedy Rocky zdał do siódmej klasy, Sarah i Gordon wiedzieli już, że potrzebuje pomocy.

Wysłali go do Pine Hills, ośrodka dla chłopców z problemami.

Wysłali go do psychologa.

Gordon mówi, że wszyscy się zafiksowali na tym rozwodzie. Terapeuci, nauczyciele w szkole. Jakby to była odpowiedź na wszystko: co poszło nie tak, w którym momencie Rocky zszedł na złą drogę, dlaczego zaczął tyle pić – Sarah znajdowała go czasem w takim stanie, że oczy uciekały mu do tyłu, a język zwisał z ust. Ale Gordon myślał: „Jak to możliwe? Po rozwodzie kłótnie się skończyły. Czy nie o to chodziło?". Podczas rodzinnej sesji terapeuta zapytał Rocky'ego, czy jest smutny, że matka odeszła, a on odparł: „Nie. Tak jest lepiej". Sarah spytała, czy naprawdę tak uważa, a on odpowiedział: „Tak, było lepiej, jak jej nie było, bo spędzaliśmy więcej czasu z [Tatą], a oni przestali się ciągle kłócić".

Nawet jeśli rzeczywiście chodziło o rozwód i przeprowadzkę, nawet jeśli to z tego powodu z Rockym coś poszło nie tak, może dałoby się naprawić to, co się w nim zepsuło? Terapia. Ośrodek wychowaw-

czy. Czy nie takie właśnie było zadanie Pine Hills? Naprawić ich syna? Jakie to miało znaczenie, skąd wzięły się w nim ból i złość? Przez co upijał się do nieprzytomności w wieku trzynastu, czternastu lat? Kradł w sklepach co popadło? Co sprawiało, że godził się na zasady, na ustaloną godzinę powrotu do domu i zakaz picia alkoholu, a potem po prostu je lekceważył, jak gdyby nie musiał nikogo słuchać? Czasami Sarah myślała, że Rocky przyszedł na świat pozbawiony sumienia. Raz był czarusiem, a raz manipulatorem, bywał przebiegły lub uroczy, zabawny lub wyciszony. Gordon pamięta, jak jeden z terapeutów, do którego Rocky trafił w ramach leczenia alkoholizmu, powiedział mu kiedyś: „Nie wiem, co on w sobie dusi, ale się nie poddaje".

Sarah twierdzi, że Rocky niespecjalnie ufał kobietom. Tak naprawdę wcale za nimi nie przepadał.

– Wydaje mi się, że kiedy Linda w końcu odeszła, to oni zupełnie o tym nie rozmawiali. Gordon z dziećmi. Linda z dziećmi. Moim zdaniem to musiało na niego wpłynąć, bo przecież był ich pierworodnym i ulubieńcem – mówi Sarah.

Potem wspomina o przeprowadzce, o tym nagłym wyjeździe z Ohio do Montany. „Dlaczego właściwie o tym nie rozmawialiśmy?" Dzisiaj wydaje się jej to kompletnie niedorzeczne. Czego się obawiali? „Niedorzeczne" to nie jest odpowiednie słowo. Nie ma na to słowa. Dlaczego o tym nie rozmawiali? O tym wszystkim? Jako rodzina? Z perspektywy czasu widzą koszmar, jaki stał się ich udziałem, w oślepiająco jasnym świetle – dlaczego wierzyli wówczas, że otwarta, szczera rozmowa o czymś tak pospolitym jak rozwód, ponowne małżeństwo czy przeprowadzka do nowego stanu byłaby błędem, że o takich sprawach nie należy mówić na głos? Czy wyjaśniłoby to Rocky'emu coś, co dla niego wyjaśnienia potrzebowało? Czy uśmierzyłoby to jakoś jego ból?

Zarówno Sarah, jak i Gordon twierdzą, że Rocky nigdy tak naprawdę nie dorósł. Kiedy Michelle pojawiła się w jego życiu, była młodziutka, ale potem została matką i szybko go wyprzedziła.

– Nie potrafił tego pojąć – ocenia Gordon. – Ona była bardzo dojrzała, a on nie. I w zasadzie, im więcej się człowiek dowiaduje… –

przerywa. Zastanawia się, czy wczesny kontakt z narkotykami i alkoholem nie przyczynił się do zahamowania rozwoju emocjonalnego Rocky'ego.

Tak właśnie wygląda dziś rzeczywistość Sarah i Gordona. Oboje tkwią w błędnym kole nieustannych prób odpowiedzi na pytanie, co mogli byli zrobić. Oto dziedzictwo zabójstwa w wyniku przemocy domowej, trauma na stałe wrośnięta w całe rzesze rodzin. Co przeoczyliśmy? Nie mogą nawet opłakiwać Michelle, Kristy i Kyle'a, bo natychmiast pojawia się myśl, że przecież oni powinni tu być. Kristy kończyłaby dziś college, Kyle pewnie wybierałby kierunek studiów. Albo jeździł na ryby ze starzejącym się tatą. Michelle, w pielęgniarskim kitlu, schylałaby się nad jakimś maleńkim noworodkiem. Nie mogą jednak uciec od tego, co zrobił Rocky. Ten ostatni czyn całkowicie przyćmił to, kim był, przesłonił wszystko, co było w nim dobre.

Sarah powiedziała mi kiedyś, że jakiś rok przed tym, nim wszystko się skończyło, pojechali razem na biwak, a ona w pewnej chwili poczuła niewiarygodną ulgę i wdzięczność, że przetrwali jako rodzina. Wszystkie te straszne, gorączkowe lata dorastania, Rocky w Pine Hills, a później w więzieniu w Teksasie, i Mike, który nieustannie się buntował i walczył ze wszystkimi. Wreszcie, pomyślała, wreszcie są normalną rodziną. Ale dziś już nie wraca do tego wspomnienia. Kiedy tylko myśli o tamtym okresie, natychmiast czuje przypływ żalu. Żałuje tego, co mogli wówczas przegapić, co być może mieli pod samym nosem.

To nie oni ponoszą odpowiedzialność.

Teoretycznie to wiedzą.

Ale wcale tak nie czują.

– Po prostu nie chce się dalej żyć – mówi mi Gordon. – Ale człowiek nie ma wyboru.

Więc żyją, pogrążeni w nieustannym bólu. Tkwią w czymś w rodzaju emocjonalnego czyśćca. Wiedzą, że nie są osamotnieni w swoim smutku, w swojej wściekłości, ale uważają, że w poczuciu winy są sami. Bliscy Michelle również to wszystko w sobie noszą.

Gniew, smutek, ale głównie niewiarygodny, ogromny ciężar winy. Co przeoczyliśmy?

Ale żeby coś przeoczyć, musisz wiedzieć, że trzeba tego szukać.

Kiedy Rocky po raz pierwszy przyprowadził Michelle do domu, była tak samo cicha jak on.

– Okazało się, że tak naprawdę jest inna – mówi Sarah. Jej cisza różniła się od milczenia Rocky'ego. – Mawiała, że kiedy mało się odzywasz, ludzie biorą cię za głupka. Wiedziała, że o niej też tak myślą, ale jeśli uważała, że o czymś nie warto rozmawiać, to milczała i tylko słuchała.

Michelle nie przychodziła zbyt często, bo Rocky miał przyczepę w Lockwood. Ale Sarah i Gordon od razu zauważyli, że traktował tę dziewczynę poważnie. Kiedy zaszła w ciążę i wyszło na jaw, ile naprawdę miała lat, wpadli we wściekłość. Rodzice Michelle chcieli wnieść przeciw Rocky'emu oskarżenie, a Sarah oznajmiła mu: „Nie wydamy cię, ale nie będziemy ratować".

Michelle dowiedziała się, że jest w ciąży, w dniu swoich piętnastych urodzin, we wrześniu 1993 roku. Dziecko, Kristy, miało się urodzić w kwietniu. Sally była wściekła. Chciała winić Paula za to, że nie upilnował córki. Chciała winić Rocky'ego za to, że związał się z czternastolatką. Chciała winić rodziców Rocky'ego. Chciała winić siebie. Ale żadna z tych rzeczy nie rozwiązałaby problemu. Michelle oświadczyła, że Rocky to wspaniały facet. Wspaniały facet. Trzeba mu po prostu dać szansę. Musieli go tylko lepiej poznać, tak jak znała go ona.

W grudniu 1993 roku Sally zabrała swoje trzy córki na wakacje do Minot w Dakocie Północnej. Michelle bolały plecy, ale uznali, że to efekt ośmiogodzinnej jazdy samochodem. Nie mogła jeść, miała mdłości i pojawiła się gorączka. Sally się wystraszyła. Michelle była dopiero w szóstym miesiącu.

Po powrocie z Minot Sally zabrała Michelle do szpitala i powiedziała pielęgniarkom na oddziale, że jej córka rodzi.

– Mam trójkę dzieci. Wiedziałam, co to znaczy, że poród zaczyna się tak wcześnie – mówi. Ale musiały czekać godzinami, zanim ktoś

wreszcie przyszedł zbadać Michelle. Sally miała wrażenie, że lekarze nie traktują dziewczyny poważnie, że widzą w niej po prostu jeszcze jedną nastoletnią matkę, spisaną na straty. Strasznie ją to wkurzało. Michelle spędziła w szpitalu kolejne dwa tygodnie.

Kiedy personel w końcu zorientował się, że u Michelle naprawdę zaczął się poród, było już za późno, by go powstrzymać. Dziecku spieszyło się na świat. Nikt nie wiedział, czy urodzi się żywe, czy nie. Sally była przerażona. Bała się o córkę i o wnuka. W końcu pojawił się noworodek – dziewczynka z płucami tak malutkimi i niedorozwiniętymi, że trafiła na oddział intensywnej terapii i nikt nie wiedział, czy przeżyje noc, a co dopiero tydzień, miesiąc, resztę życia. Nazwali ją Kristy Lynn. Nosiła nazwisko Rocky'ego, Mosure. Była lustrzanym odbiciem swojej młodziutkiej mamy – ostro zarysowana górna warga, przenikliwe, blade oczy.

Kristy była niewiele większa niż filiżanka. A Michelle patrzyła – godzina po godzinie, dzień po dniu – jak pielęgniarki opiekują się jej maleńką córeczką, wtłaczają jej powietrze do płuc, monitorują jej stan, ciągle do niej przemawiają. Uważała, że tak naprawdę to nie maszyny utrzymywały jej córkę przy życiu, ani lekarze, ani nawet ona sama. Dziewuszka życie zawdzięczała pielęgniarkom. Były cudowne. Kristy spędziła w szpitalu kilka miesięcy. Kiedy ją w końcu wypisano – mniej więcej w czasie pierwotnie wyznaczonego terminu porodu – ciągle jeszcze była pod tlenem, a jej czynności życiowe monitorowała maszyna. W domu zajęły się nią Michelle i Sally. Nastoletnia mama wprowadziła się z córeczką do własnego pokoju z dzieciństwa, na piętrze w domu Sally. Rocky codziennie je odwiedzał. Trzeba mu to przyznać, mówi Sally. Przychodził, dzwonił. Nie pozwoliła mu tam zamieszkać, ale mógł przychodzić codziennie, na cały dzień. Oddany, przejęty, starał się pomóc, jak tylko mógł. Sally nadal za nim nie przepadała, ale szanowała go za przywiązanie, jakie okazywał. No i wydawało się, że byli z Michelle naprawdę zakochani – w sobie nawzajem i w swoim nowo narodzonym dziecku.

Tata zawsze przeżyje

Pewnego dnia w lipcu 1994 roku, kiedy Kristy skończyła sześć miesięcy, Sally po powrocie z pracy znalazła wiadomość od Michelle. Dziewczyna napisała matce, że razem z Rockym i Kristy spróbują żyć jak „prawdziwa rodzina". Oznajmiła, że jest to winna swojej córce i że chce dać swojej nowej, młodej rodzinie szansę. Że przeprowadza się do niewielkiej przyczepy Rocky'ego i będzie tam z nim mieszkać. Zdruzgotana Sally przekazała wieści Paulowi. Nie mogli zmusić Michelle do powrotu. Jedyne, co im pozostało, to pokazać córce, że może liczyć na ich wsparcie.

Paul nie mógł pogodzić się z myślą, że cała trójka gnieździ się w tej malutkiej przyczepie. „Jak człowiek rozłożył ramiona, to można było dotknąć obu ścian" – powiedział. Kupił więc działkę na obrzeżach Billings i zaczął budować dla siebie nowy dom – ten sam, w którym go później poznałam. Dom ze śladami wgnieceń w drzwiach wejściowych. Zamierzał wynająć obecny dom Rocky'emu i Michelle, gdy zamieszka w nowym, a oni będą mogli wyprowadzić się z tej strasznej przyczepy.

Michelle dotrzymała słowa. Podrzucała Kristy do ośrodka Young Families Early Head Start, przedszkola dla dzieci uczennic liceum, i wróciła do szkoły. Ku zaskoczeniu rodziny wkrótce potem ponownie zaszła w ciążę i urodziła Kyle'a, nieco ponad rok po Kristy. Nie miała jeszcze osiemnastu lat i już opiekowała się dwójką dzieci poniżej drugiego roku życia, ale mimo to sobie poradziła. To wówczas Paul widywał, jak córka jedną ręką pcha wózek z Kristy, drugą przytrzymuje nosidełko z Kyle'em i pokonuje trzykilometrową trasę do przedszkola w środku srogiej zimy w Billings. Nigdy nie prosiła o pomoc. W końcu Paul kupił jej stary samochód, żeby mogła jeździć na lekcje. Szkołę skończyła w terminie.

Kiedy się poznali, Rocky pracował dla firmy prowadzącej badania geofizyczne i jeździł po zachodnich stanach. Wymagało to ogromnej

dyspozycyjności, nawet do dwudziestu godzin dziennie, siedem dni w tygodniu, w miejscach odległych od Billings. Rzucił więc to zajęcie, bo nie chciał zostawiać rodziny na tak długo. Pracował przez jakiś czas, a potem tracił zatrudnienie z takiego czy innego powodu. Zaczepiał się na jakiejś budowie albo przy dekarstwie. Zwykle imał się zajęć, które łączyły się z ciężką pracą fizyczną za marną wypłatę, która nigdy nie starczała na długo. Michelle powiedziała mu, że chce się dołożyć do domowego budżetu; w motelu, niecały kilometr od ich domu, akurat szukali pokojówki. Byłaby na tyle blisko, że mogłaby wrócić, gdyby dzieci jej potrzebowały, i nie musiałaby nawet jeździć samochodem. Ale Rocky się wkurzył, stwierdził, że matka jego dzieci nie będzie się puszczała z tymi wszystkimi gośćmi w motelu. Był tak wściekły, że Michelle zadzwoniła do Alyssy i poprosiła ją, żeby przyjechała i wsparła ją swoją obecnością. Był kompletnie irracjonalny i uparty, powiedziała mi później Alyssa, chodził po domu tam i z powrotem, oburzał się, że Michelle mogło w ogóle przyjść do głowy coś podobnego. Potem już nikt nigdy nie słyszał, by Michelle zasugerowała, że znajdzie sobie pracę poza domem.

Kontrola tego rodzaju, jaką przejmował Rocky, rozwija się powoli. Zaczyna się od drobnych rzeczy, z których większość nie jest nielegalna (choć stalking, którego Rocky w końcu dopuścił się wobec Michelle, często staje się częścią mechanizmu kontrolowania. Stalking uznaje się za przestępstwo we wszystkich pięćdziesięciu stanach USA, ale w ponad dwóch trzecich z nich może być podstawą oskarżenia o zbrodnię [*felony*] tylko wówczas, gdy stalker jest recydywistą[34]). Sally i Alyssa mówią, że nie minęło kilka lat, a Rocky kontrolował Michelle nie tylko pod względem pracy. Zabraniał jej się malować. Zabraniał jej mieć przyjaciół. Upierał się, żeby jeździli na biwak niemal co weekend, jeśli tylko pozwalała na to pogoda. Ona nigdy nie wychodziła z domu bez niego. Evan Stark, autor książki *Coercive Control. How Men Entrap Women in Personal Life* [Represyjna kontrola. Jak mężczyźni zamykają kobiety w pułapce życia rodzinnego], ukuł sformułowanie „represyjna kontrola" – opisuje ono sposób, w jaki sprawca przemocy potrafi zdominować i kontrolować każdy aspekt życia ofiary, nigdy nie podnosząc na nią ręki. Badania Starka wykazały, że w związkach, w których występuje przemoc do-

mowa, aż w dwudziestu procentach relacji nigdy nie dochodzi do fizycznego znęcania się nad ofiarą. Jak ujęła to Abby Ellin w swoim artykule dla „New York Timesa” z 2016 roku: „Ofiara represyjnej kontroli może wziąć groźby za objaw miłości, szczególnie we wczesnej fazie związku lub w chwilach, gdy czuje się szczególnie bezbronna”[35]. Tak jak szczególnie bezbronna jest nastolatka uwodzona przez dorosłego mężczyznę. Tak jak szczególnie bezbronna jest młoda matka, która nie ma środków do życia.

W 2012 roku Stark napisał artykuł, w którym opowiadał się za koniecznością wprowadzenia przepisów prawa chroniących ofiary przed takimi zachowaniami: „Większość taktyk stosowanych w represyjnej kontroli nie ma statusu prawnego, rzadko uznaje się je za objaw przemocy i niemal nigdy nie są przedmiotem interwencji”. Przytoczył takie taktyki jak nadzór czy kontrolowanie zwykłych dziedzin życia, zwłaszcza tych tradycyjnie kojarzonych z kobietami – jak rodzicielstwo, dom i seks. Kontrola ta obejmuje „całą gamę zachowań – jak pisze Stark – od dostępu do pieniędzy, jedzenia i transportu po to, jak się ubierają, sprzątają, gotują czy uprawiają seks”[36]. W obowiązującym obecnie amerykańskim orzecznictwie próżno szukać odniesień do kompletnej destrukcji, jaka staje się udziałem osoby w takiej sytuacji, do utraty wolności, która ostatecznie i nieuchronnie prowadzi do utraty własnej tożsamości. Kit Gruelle, aktywistka z Karoliny Północnej, nazywa takie ofiary „biernymi zakładniczkami” w swoich własnych domach. Stark domaga się, byśmy dostrzegli, że oznaką ekstremalnej przemocy fizycznej nie są wyłącznie obrażenia fizyczne; jego zdaniem kobiety takie jak Michelle są więźniarkami. Osoby, które znalazły się w takim położeniu, często opowiadają, jak ich partnerzy kontrolowali to, jak wyglądały, co jadły, co nosiły i z kim się komunikowały. Sprawca przez lata powoli odcinał im kolejne drogi ucieczki – rodzinę, przyjaciół czy najbliższe otoczenie. W ostatecznym rozrachunku represyjna kontrola polega zatem na kradzieży całej wolności drugiej osoby.

Stark przyczynił się do uchwalenia ustawy o represyjnej kontroli, która weszła w życie w Wielkiej Brytanii w 2015 roku, a która przewiduje karę do pięciu lat więzienia za takie działania[37]. Również

Francja wpisała „przemoc psychiczną” do kodeksu karnego. Tymczasem w Stanach Zjednoczonych takiego prawa nadal nie ma.

Alyssa pamięta, jak pewnego popołudnia jechała z Michelle autem. To było po narodzinach Kristy, ale zanim Michelle zaszła w ciążę z Kyle’em. Alyssa sądzi, że jej siostra miała wtedy jakieś szesnaście lat. Nagle z tyłu nadjechał pędem Rocky, wykręcił gwałtownie tak, że znalazł się po stronie kierowcy, po czym jechał dalej obok samochodu dziewcząt, nie zwracając uwagi na nadjeżdżające z przeciwka pojazdy. Przez otwarte okno zaczął wrzeszczeć na Michelle.

– Dlaczego się wtedy nie zabił? – Alyssa pyta teraz. – Robił tyle głupot, ciągle ryzykował, ale nigdy nic mu się nawet nie stało.

Skakał z klifów do jeziora, pokonywał po cienkich pniach drzew kilkumetrowe szczeliny, ćpał metamfetaminę i nigdy niczym się nie zaraził, nie złamał ani jednej kości. Jak gdyby chroniła go jakaś zewnętrzna siła. Jak gdyby był silniejszy niż wszystko, co mogło mu zagrozić. Pokazywał Michelle na wszelkie możliwe sposoby, że prędzej narazi własne życie, niż zaryzykuje utratę kontroli nad nią.

Kolejny istotny element represyjnej kontroli to izolacja ofiary od jej własnej rodziny. Taka izolacja często nie ma nic wspólnego z odległością geograficzną. Na pierwsze urodziny Kristy Gordon podarował Rocky’emu kamerę wideo, ale członkowie rodziny Michelle niemal nigdy nie pojawiają się na nagraniach. Rocky filmował dzieci bawiące się na podwórku albo otwierające świąteczne prezenty u Sarah i Gordona. Albo tylko ich czwórkę na biwaku. Czasami na filmach pojawia się córka Mike’a – najstarsza kuzynka Kristy i Kyle’a. Ale rodzina Michelle? Na podstawie nagrań można by sądzić, że Michelle nie miała żadnych bliskich. Sally rzadko widywała ją podczas wakacji, choć mieszkały zaledwie kilka minut od siebie. Mówi, że Rocky się wściekał, gdy ich odwiedzała, niemal nigdy nie pozwalał Kristy i Kyle’owi nocować u babci. Raz, kiedy Sally wpadła do nich na chwilę, Michelle powiedziała: „Mamo, zacznij żyć własnym życiem i przestań tu ciągle przychodzić”.

Było w tym coś, co sprawiło, że Sally czuła się potem nieswojo. W tamtej chwili komentarz córki ją zaskoczył i nie dociekała, co właściwie ją tak zdenerwowało. Rozumiała, że Michelle ma własne ży-

cie, własną rodzinę, ale przecież zawsze były sobie bliskie. Nawet w tym burzliwym roku, w którym Michelle zaszła w pierwszą ciążę, to właśnie do niej się zwróciła. Wtedy Sally nie przyszło do głowy, że to nie Michelle zakazała jej wizyt. Owszem, słowa padły z ust Michelle. Ale intencja, jaka za nimi stała? „To nie była Michelle" – powiedziała Sally. W każdym razie nie ta Michelle, którą wychowała. Sally dziś już wie, co to oznacza – że ofiary często stają po stronie sprawców w relacjach ze światem zewnętrznym: rodziną, policją, prokuraturą. Dzieje się tak dlatego, że jeszcze długo po wyjściu policji, nawet po wniesieniu oskarżenia i wydaniu wyroku, to właśnie z oprawcą ofiara musi nieustannie negocjować w sprawie własnego życia. I życia jej dzieci. Ofiary, które stają po stronie oprawcy w trakcie policyjnych interwencji, czynią to nie z powodu niestabilności psychicznej, jak zakłada wielu funkcjonariuszy organów ścigania, ale w wyniku pragmatycznych kalkulacji dotyczących ich przyszłego bezpieczeństwa. Sally widziała to na własne oczy u swojej córki, choć wówczas nie miała pojęcia, co tak naprawdę dostrzega.

Mówiąc dziś o Michelle, ludzie wspominają, że nic jej nie wyprowadzało z równowagi, że potrafiła zachować spokój w obliczu stresu i że była niezwykle oddana dzieciom. Ale członkowie rodziny pamiętają, że była również uparta. I dumna. Nie chciała wrócić do rodziców i przyznać im racji. Chciała być przykładem jednostki, która rzadziej pojawia się w statystykach: tą, której się udało. Postanowiła, że jej dzieci nie będą dorastać w tym, co nazywała „rozbitym domem". Oto jedno z tych niemożliwych równań, które w jakiejś mierze każdy rodzic próbuje rozwiązać: co jest dla dzieci gorsze – mieć rodzica niedoskonałego, a w przypadku Rocky'ego przemocowego, uzależnionego od metamfetaminy, czy nie mieć rodzica wcale? Podskórnie czujemy, że istnieje całe nieskończone spektrum sposobów krzywdzenia naszych dzieci – które z nich przyniosą najmniejsze szkody?

A Michelle kochała Rocky'ego, przynajmniej na początku. Wiedział, jak ją rozśmieszyć. Był pełen życia. Uczył dzieci, jak rozbić namiot, jak łowić ryby, jak zawiesić hamak. Nauczył je strzelać z wiatrówki do celu. Podrzucał je wysoko w powietrze, gdy były malutkie, i zmieniał im pieluchy. Huśtał je na huśtawce na podwórku, a

zimą ubierał ciepło do jazdy na sankach. Kontrolował, znęcał się, był uzależniony od metamfetaminy; bywał też nieśmiały, niepewny siebie i czuły. Przez długi czas wydawało się, że jedno równoważy drugie, że da się z tym żyć.

Sally nie wie, dlaczego Michelle nie zwierzała się jej przez te wszystkie lata; przypuszcza, że była na to zbyt dumna – nie chciała się przyznać do pomyłki – i że próbowała w ten sposób uchronić uczucia Sally, żeby nie czuła się winna rozwodu z ojcem Michelle. Zatem zamiast zwierzać się matce, Michelle czasami rozmawiała z Sarah. Wspominała o tym, że Rocky nadal bierze narkotyki, albo o tym, że prowadzą oddzielne życie – Rocky przez całą noc pracował w garażu nad swoim samochodem, palił, co tylko wpadło mu w ręce, i powoli przeistaczał się w ćpuna, a Michelle była w domu z dziećmi. Nawet ludzie, którzy spędzali czas z Michelle, jak Paul, który jadał z nią obiady i oglądał Jerry'ego Springera, nie wiedzieli, jak naprawdę wygląda jej życie, bo Rocky'ego nigdy nie było wówczas w pobliżu. Melanie nie miała w zwyczaju prowadzić długich, głębokich rozmów z Michelle; przesiadywała głównie w garażu, gdzie ćpała z Rockym. Została więc Sarah, ale nawet przy niej Michelle pozostała skryta.

– Po jakimś czasie zaczęła opowiadać o swojej rodzinie, dlaczego uważa, że jest taka, jaka jest – mówi Sarah. – Miała w szkole zajęcia z rozwoju dziecka, sporo wiedziała na temat tego, jak działa ludzki umysł i dlaczego ludzie robią to, co robią, wzorce zachowań i tak dalej… Z czasem nabrałam ogromnego podziwu dla jej inteligencji i wyczucia.

Naprawdę była inteligentna. Wystarczająco inteligentna, by wiedzieć, że od Rocky'ego nie da się po prostu uciec pewnej nocy. Ucieczka wymagałaby skrupulatnego zaplanowania i przygotowania. Ucieczka to nigdy nie jest pojedynczy moment; to cały proces.

Po tym wszystkim, co się stało, po tym, jak Michelle została zabita, Sally była wstrząśnięta, kiedy dotarło do niej nie tylko, że Michelle walczyła z Rockym o życie, lecz także że nie zająknęła się o tym własnej matce – dopiero na kilka tygodni przed śmiercią, a nawet

wtedy pominęła bardzo, bardzo wiele rzeczy. Rzeczy, o których Sally dowiedziała się później.

Na kilka miesięcy przed zabójstwem Sarah próbowała – czasem subtelnie, a czasem bardziej otwarcie – wyrwać Michelle z domu. Raz zostawiła jej broszurę poświęconą lokalnym służbom zajmującym się przemocą domową, w tym Gateway House, schronisku dla ofiar w Billings. Próbowała o tym rozmawiać z Michelle, ale ta nie chciała nawet o tym słyszeć. Zasugerowała synowej, by zabrała dzieci do swojej siostry w Arizonie, ale Michelle odmówiła. Sarah robiła to wszystko z troski, ale obawiała się również, że przekracza jakieś granice, nieproszona wtyka nos w życie Michelle. Często tak się przy niej czuła, nawet w drobnych sprawach. Na jednym z domowych nagrań widać, jak siedzi z Kristy na podwórku Michelle. Kyle huśta się obok, a Rocky ich wszystkich filmuje. Kyle nie ma jeszcze dwóch lat, jego włoski są dziko potargane. Sarah pyta, czy ktoś je podcinał, a Rocky odpowiada, że nie, chyba nie.

– Mogłabym je podciąć trochę z tyłu – mówi Sarah. W jej głosie słychać lęk. Jest letni dzień, twarze dzieciaków są lepkie, wymazane resztkami przysmaków. – Jeśli ona się zgodzi. Nie chcę się wtrącać.

Powtarza to dwa, trzy razy. Mogłaby to zrobić, ale nie chce zdenerwować Michelle, nie chce się pchać tam, gdzie jej nikt nie zaprosił. To bardzo znamienna chwila. Czy Sarah, jako teściowa, powinna zająć się czymś, co jest jednocześnie tak banalne i intymne?

– Odrosną – rzuca Rocky. – To tylko włosy.

Jest rok 2017, a ja siedzę na tylnym ganku domu Gordona i Sarah Mosure, przy stole pod parasolem słonecznym, w jasny, wiosenny dzień na obrzeżach Billings. Sarah podała mrożoną herbatę, krakersy i ser. Jest Dzień Matki. Nie mają żadnych planów. Podobnie jak Paul, Gordon nigdy z nikim nie rozmawiał o morderstwach.

Dwa psy węszą wokół nas w poszukiwaniu okruszków sera. Podwórko, przynajmniej według miejskich standardów – czyli moich – jest rozległe, porasta je jasna, zielona trawa, która wygląda na starannie pielęgnowaną. Na dalekim krańcu podwórka w trawniku wycięto

prostokąt na rabatkę, na której rosną lawenda i serduszka. Pośrodku rabatki znajduje się głaz z brązową tablicą.

Ojciec Rocky'ego, podobnie jak jego syn, jest drobny, ma niecałe metr siedemdziesiąt i również niewiele się odzywa. Kiedy mówi, często muszę się pochylać, żeby go usłyszeć. Nosi czapkę z daszkiem, Rainbow Run Fly Shop, szarą koszulę marki Eddie Bauer i płócienny pasek ozdobiony rybami. Widać, że najlepiej czułby się nad rzeką, w woderach i z wędką w dłoni.

– Uwierzyłem mu, jak głupek – mówi Gordon.

Opowiada o tym, jak zabrał Rocky'emu broń – pamiątkę po dziadku Michelle – i uznał, że to załatwiło sprawę. Potrzeba ogromnej wyobraźni, by uwierzyć – zanim to nastąpi – że osoba, którą wychowuje się od dziecka, może być zdolna do zabójstwa. A kiedy już do tego dojdzie:

– Jak sobie z czymś takim poradzić? – pyta Gordon. – Kiedy zaczynasz o tym myśleć, to nie możesz przestać, bo ciągle tylko słyszysz w głowie „dlaczego, dlaczego, dlaczego?", a ty przecież nigdy się nie dowiesz dlaczego.

Opowiada mi o tym, jak pewnej nocy Michelle zadzwoniła do nich w panice. Rocky groził, że ich pozabija, tak powiedziała. Trzymał karabin myśliwski jej dziadka. Gordon pojechał na miejsce i zabrał Michelle i dzieci. Rocky'ego nie było już w domu, uciekł. Po pewnym czasie Michelle przekonała Gordona, że wie, jak rozmawiać z Rockym, i wrócili do domu, cała czwórka.

– Zabrałem go do drugiego pokoju – mówi Gordon – i zapytałem: „Synu, co ty wyprawiasz? Nie możesz robić takich rzeczy". Rocky odparł, że wie, że przecież wie.

Oczywiście, że wiedział. Gordon opróżnił magazynek, zebrał wszelką amunicję, jaką znalazł w garażu i w innych pomieszczeniach, a potem pojechał do domu. Kryzys zażegnany.

– To było szaleństwo – mówi mi Gordon. – Spojrzałem mu prosto w oczy. Powiedziałem: „Takich rzeczy się po prostu nie robi". Odparł, że za nic w świecie by ich nie skrzywdził. Uwierzyłem mu, jak głupek.

Uwierzyłem mu, jak głupek.

Gordon zaczyna cicho płakać. Sarah kładzie mu rękę na ramieniu. Przypomina mu, że to nie była jego wina. Czuję, że coś w nim rozlatuje się na kawałki. Poczucie winy, wyrzuty sumienia.

– Po prostu – zaczyna mówić, po czym wciąga powietrze – człowiek myśli, że powinien był wiedzieć, jak to naprawić albo jak ochronić wnuki, bo my, mężczyźni, właśnie to robimy, prawda? A wtedy zaczynam myśleć, dlaczego nie byłem dość mądry, żeby zauważyć, co się dzieje? Żeby to rozgryźć? Cokolwiek zrobić?

Opowiada, że Rocky był milczący i potrafił być bardzo delikatny. „W życiu nikomu nie przyszłoby do głowy, że może zrobić coś takiego". Gordon mówi łamiącym się szeptem. Myślę o Paulu Monsonie, o tym, jak bardzo ci mężczyźni starają się, by nie okazać tak kolosalnego bólu. Jakże niesprawiedliwe jest to, że żyjemy w świecie, który każe im wierzyć, że ich łzy są powodem do wstydu.

Z biegiem lat Michelle dorosła, wyrosła z Rocky'ego, mówi Sarah. Na licznych nagraniach z biwaków na twarzy Michelle niemal zawsze maluje się pobłażliwy wyraz. Czasem wygina usta, ale rzadko się uśmiecha. Przewraca oczami. Odwraca wzrok od kamery, chowa głowę w łokieć, kuli się na kamieniu. Nie gra do kamery jak Rocky, nie pajacuje. Nie udaje, że jest szczęśliwa, jeśli nie jest. Nie ukrywa, że nie lubi być filmowana, i nie chce zdjęć. Są tu całe godziny nagrań, na których widać, jak siedzi na głazie, obserwuje dzieci łowiące ryby nad brzegiem rzeki lub zanurzające stopy w lodowatej wodzie; słychać odgłosy ptaków leśnych, szum wody rozbryzgującej się o kamień, trzask gałęzi drzewa – to niczym nieskończona orkiestra. Ta muzyka natury zaczyna brzmieć jak izolacja – smutek dźwięku samotnego dzięcioła.

Rocky stoi za kamerą. Filmuje kamienie i brzozy, aż w końcu kieruje obiektyw na młodą żonę. Jej długie brązowe włosy są proste jak druty, na rękach trzyma córkę, Kristy, niesie ją w dół przez skały. Kristy ma na sobie różowe spodnie od dresu i za dużą bluzę z kapturem. Na głowie ma czapeczkę z dzianiny. Nie wygląda na szczęśliwą. Jest cicho. Pogrążona w myślach, głęboko jak na dziecko, jak gdyby

rozwiązywała jakiś skomplikowany problem. Może zastanawia się, jak się przebić przez skały. Kyle'a nie widać w kadrze. Jest gdzieś obok. Wiecznie się wygłupia, chichocze. Zza kamery słychać Rocky'ego mówiącego do żony: „Uśmiechnij się". Ona patrzy w obiektyw. Na wpół ironiczny grymas, na wpół uśmiech. Potem Michelle przycupnięta na ogromnym głazie, u jej boku siedzą dzieci. Kristy opiera się o mamę. Wyglądają identycznie, kod genetyczny objawia się w ich szczuplutkich kończynach i zębatych uśmiechach. Kamera rejestruje rozmaite obiekty, od sosny po oset pod stopami, a potem nagle jesteśmy w przyczepie, a Michelle i Kristy siedzą naprzeciw siebie przy stole. Na parapecie za Kristy leżą rolki papieru toaletowego. Jedną rękę wyciągnęła na blacie, położyła się na niej i kaszle. „Chora dziewczynka – mówi Rocky. – Nie wyglądasz na zadowoloną". Nikt mu nie odpowiada. Pitbull o imieniu Bandyta jest na zewnątrz, wyleguje się na śpiworach w namiocie. Kyle siedzi na kłodzie w koszulce z Myszką Miki. W oddali słychać szum wodospadów, wiosenny śpiew ptaków. Cisza kempingu kontrastuje ostro ze scenami w domu – tam w tle wiecznie dudni muzyka heavymetalowa. Kiedy dzieci oglądają telewizję, kiedy bawią się na podwórku, kiedy siedzą przy stole lub na kanapie – muzyka jest wszechobecna, nieustanna, jak ból zęba.

Następne ujęcie to widok za głazem. Wstęga wodospadów wije się wokół kamieni, które otaczają Rocky'ego. Mężczyzna woła Bandytę. Pies nie rusza się z miejsca. Woła go ponownie. Bez powodzenia. Sięga, chwyta psa za przednie łapy i próbuje go wyciągnąć do przodu. Ale pies trzęsie się, niczym kłębek mięśni, buntu i strachu. Rocky próbuje jeszcze raz, a potem się poddaje. Bandyta wycofuje się bojaźliwie, nieświadomy własnej siły. „Racja, Bandyta – mówi Michelle. – To zbyt niebezpieczne". Nagranie się urywa.

Górna prycza w maleńkiej przyczepie, na niej wyprostowane ciało.

– Wielka Mama śpi w swoim łóżku – mówi Kristy.

– Wielka Mama – mamrocze Michelle.

Kristy trzyma kamerę. Rocky szuka czystych skarpet w szafce; Kyle pyta, czy może „pokamerować". Oboje dzieci używa takiego

czasownika. Obraz faluje, gdy Kristy wręcza mu kamerę bez słowa skargi. Kyle kieruje obiektyw w górę ciała ojca. Dżinsy, bordowa koszulka, biała czapka z daszkiem z czarnym obrzeżem. „Wielki Tata" – mówi.

– Jak się nazywam? – pyta Wielki Tata.

– Rocky Mosure.

– Rocky i dalej jak? – pyta.

Dzieci nie są pewne.

– Rocky Edward Mosure.

Tak naprawdę to Gordon Edward Mosure.

Z perspektywy Kyle'a ojciec góruje nad chłopcem jak lampa uliczna, tak wysoki, że głową może sięgnąć chmur.

– Dlaczego ja nigdy nie jestem Michelle? – mówi Wielka Mama do Rocky'ego. – Jestem Mama.

Dlaczego ja nigdy nie jestem Michelle?

W nagraniu z wiosny 2001 roku Michelle stoi za kamerą. Rzadko się to zdarzało. Kristy ma na sobie niebiesko-żółtą koszulkę bez rękawów, Kyle – kamizelkę rybacką. Rocky jest widoczny w oddali, brodzi w rzece, zanurzony po uda, żyłka wędki wije się przed nim jak arabeska, a Bandyta obwąchuje piasek w pobliżu. Michelle przesuwa obiektyw wzdłuż linii horyzontu. Sosna wydmowa, jałowiec, jodła. Wędkują w potoku. Morris Creek, może. Antelope Creek. Nikt już właściwie nie wie. Za Rockym piętrzą się spiczaste formacje skalne. Michelle pyta, czy dzieciaki wiedzą, jaki jest miesiąc.

– Nie – odpowiada Kyle.

– Nie?

Milczą przez długi czas. Potem Kristy rzuca:

– Kwiecień.

– Kwiecień. Maj – mówi Michelle. – A jaki dzień?

Ale dzieci nie odpowiadają. Siedzą na piasku. Kyle łowi ryby. Kristy obserwuje wodę. Bandyta przebiega przed kamerą, ma jasnobrązową sierść z dużą białą plamą na szyi. Michelle szybko wodzi obiektywem po krajobrazie, po całej rodzinie, a potem kieruje go na

dół, na własną rękę. Lewa ręka, obrączka ślubna. Zatrzymuje go tam przez chwilę. Wystarczająco długo, by było jasne, że robi to celowo. Palce ma cienkie i długie, obrączka to mały kwadratowy diament osadzony na diamentowej szynie. Kamera się zatrzymuje, widzi to, utrwala, przesuwa się dalej. Kieruje się w górę i film się urywa.

W kolejnym ujęciu widzimy, jak Rocky przechodzi na palcach po zwalonym drzewie, które łączy pomostem ogromne głazy ponad siatką wodospadów. Spogląda w obiektyw kamery, uśmiecha się, podnosi jedno kolano i ręce, jak Karate Kid. Dzieci się śmieją. Tata jest szalony! Rocky dociera na drugą stronę, podbiega do kamienia, rozgląda się, potem wraca, rozkładając przy tym ramiona na boki dla równowagi. Kiedy przechodzi na drugą stronę i ląduje bezpiecznie na liściastych pędach wilczomlecza, Kyle woła: „Tata zawsze przeżyje!".

Michelle celuje z karabinu myśliwskiego w punkt na drzewie. Nie trafia. Potem kolej na Rocky'ego. Potem na Kristy w zielonym kostiumie kąpielowym. Potem Kyle; karabin jest wyższy niż dzieci. Tym razem towarzyszą im Alyssa i jej chłopak Ivan Arne. Ivan ma blond włosy spięte w długi, potargany kucyk. Rocky mianuje sam siebie rodzinnym fotografem.

– Alyssa, mogę odstąpić ci swoją pracę. – Michelle ma na myśli to, że Alyssa może przejąć za nią obowiązek filmowania, kiedy przyjdzie na nią kolej. Ivan bierze siekierę i zaczyna rąbać drewno na opał.

Rocky mocuje muchę do żyłki, a potem idzie z Ivanem na brzeg i zarzucają wędki. Rzeka płynie wartko, grzebienie białej piany unoszą się nad skałami.

– Kochanie – mówi jej Rocky. – Ty nie masz żadnej pracy.

Niedźwiedź idzie po ciebie

Pewnego wieczoru spotykam się z Ivanem w jego domu, który dzieli z kilkoma dużymi psami – wszystkie ciągle węszą za mięsem, które własnoręcznie uwędził i zaserwował mi na papierowym talerzu. To najsmaczniejsze mięso, jakie w życiu jadłam. W Montanie wędzarnia na podwórku jest zjawiskiem równie powszechnym co grille dla reszty Ameryki. Dla mnie to kulturowe kuriozum, nie miałam pojęcia, że można coś takiego mieć w domu, dopóki tutaj nie przyjechałam i nie zobaczyłam na własne oczy. U Ivana jest też dziś Alyssa z córką. Dawno już się rozstali, ale Alyssa i Ivan nadal się przyjaźnią. Jacyś ludzie to wchodzą, to znowu wychodzą. Twardziele w typie motocyklistów w skórzanych kurtkach podają mi rękę, po czym zabierają się do mięsa przyrządzonego przez Ivana, wychodzą na zewnątrz zapalić i napić się piwa. Ivan ma teraz krótsze włosy, a jego twarz jest bardziej okrągła niż na nagraniach, ale i tak wygląda jak potomek wikingów.

Ivan był najlepszym przyjacielem Rocky'ego, gdy razem dorastali. Jako dzieci grali w gry na atari i jeździli na rowerach po okolicy. Ivan mówi, że Rocky zawsze sprawiał problemy – kradzieże, picie – ale nikomu się nie zwierzał z kłopotów w domu. Pewnego dnia Rocky po prostu zniknął i okazało się, że pojechał do Pine Hills na większość roku, a potem przeprowadził się na chwilę na Florydę, do swojej prawdziwej mamy, która się tam przeniosła, a Ivan nic o nim nie słyszał.

Ivan spotkał Rocky'ego ponownie, kiedy ten już poznał Michelle i urodziły się im dzieci. Wtedy Ivan i Alyssa też zaczęli się spotykać i zamieszkali razem. Rocky czasem odwiedzał Ivana, ale Michelle prawie nigdy tam nie zaglądała. „Nigdy nie wspominał, ile miała lat – opowiadał mi Ivan. – Wiedziałem, że ma skłonność do kontrolowania, ale nie miałem pojęcia, że jest agresywny".

Na początku Rocky i Ivan razem imprezowali, wciągali kokę, pili do nieprzytomności. Ale po pewnym czasie Ivan stwierdził, że ma

już tego dosyć. Zwolnił, przestał imprezować, poszedł do szkoły i został projektantem w firmie konsultingowej zajmującej się transmisją energii elektrycznej.

– Nie chciał przestać – mówi Ivan. – Nie miał zamiaru rezygnować… Mówiłem mu: „Stary, zabijesz się. Co ty wyprawiasz? Co za dużo, to niezdrowo”. A on odpowiadał: „Nic mi nie będzie”.

Czasami nie rozmawiali całymi tygodniami, a nawet dłużej. Rocky nie miał ochoty na konfrontację, gdy chodziło o to, co uważał za swoje życie osobiste, a co miało związek z Michelle i dziećmi. Ivan zaczął spotykać się z Alyssą, gdy miał trochę po dwudziestce, i powoli, w miarę jak słyszał od Alyssy opowieści o tym, co dzieje się w domu Michelle, próbował poruszyć ten temat z Rockym.

– On mówił: „Stary, to nie twoja sprawa”. On się tym zajmie; to była jego rodzina i mam się tym nie przejmować – wspomina Ivan.

Ivan wiedział, że jest źle, ale nie wiedział, jak bardzo, i nie miał pojęcia, co robić. Kilka razy, kiedy Michelle udawało się wyrwać na parę godzin do Alyssy i Ivana, zastanawiała się na głos, do czego zdolny jest Rocky. Mówiła ogólnikowo o tym, jak groził jej albo dzieciom. Ivan przyznaje, że nie zdawał sobie sprawy z tego, o co tak naprawdę go wówczas pytała, był jedynym znanym jej przyjacielem Rocky’ego z czasów dorastania, a ona chciała wiedzieć, musiała wiedzieć, czy jej mąż kiedykolwiek spełni groźby, czy może ją zabić, zabić ich dzieci. Ivan nie rozumiał, co próbowała przekazać tym szyfrem, używając tych samych słów co większość ofiar przemocy domowej – pod ciężarem wstydu, strachu i biedy. Ivan odpowiadał jej: „Nie wyobrażam sobie, żeby cię skrzywdził, a już zwłaszcza dzieci”. Na pewno nie dzieci.

Ivan nie wiedział wtedy, a Michelle się o tym nie zająknęła, że Rocky czasami zabierał jej dzieci, gdy był na nią zły. Znikał z nimi na całe godziny, zabierał je do kina, na biwak czy gdziekolwiek indziej, a Michelle tkwiła sama w domu, zamartwiając się, że może tym razem nie wróci. Dzieci stały się pionkami, sposobem, który gwarantował, że jest posłuszna, ugodowa. Który gwarantował, że od niego nie odejdzie. Kiedy w końcu z nimi wracał, była już tylko

wdzięczna, że są całe i zdrowe. Nie musiał jej bić. Miał nad nią całą kontrolę, jakiej potrzebował.

Alyssa i Melanie spędzały wówczas więcej czasu w domu Michelle niż ktokolwiek inny. Melanie była już wtedy uzależniona od narkotyków. Rocky poczęstował ją metamfetaminą, kiedy była w liceum, i po raz pierwszy w życiu poczuła, że może się skupić. To był dla niej rodzaj autoterapii, była pobudzona przez wiele dni, mogła odrabiać szkolne zadania, spotykać się z przyjaciółmi, potem miała jeszcze czas na wszystko, co tylko przyszło jej do głowy. Nie lubiła Rocky'ego, niechętnie przebywała w jego towarzystwie, ale to on załatwiał jej narkotyki i dlatego tolerowała jego manię. Przesiadywali w garażu, z dala od domu, Rocky miał na warsztacie jednego albo drugiego mustanga, maska podniesiona, koła zdjęte, a on mówił i mówił, i mówił, w niczym nie przypominał cichego mężczyzny z wiecznie spuszczonym wzrokiem, siadającego z nimi przy świątecznym stole. Melanie mówi, że parał się dilerką, dorabiał tak trochę na boku. Jako robotnik budowlany często bywał bezrobotny przez całą zimę, a ponieważ nie pozwalał pracować Michelle, pieniędzy wiecznie brakowało.

Melanie pamięta, że zabrał ją kiedyś ze sobą na narkotykową transakcję do innego stanu, do Dakoty Północnej. Po przekroczeniu granicy stanowej groził mu większy wyrok, gdyby został złapany. Rocky powiedział jej, że właśnie dlatego zabrał ją ze sobą, a jedyne, co musiałaby zrobić, gdyby ich aresztowali, to powiedzieć, że narkotyki należą do niej. Była nieletnia, a on przysięgał, że nie będzie miała żadnych kłopotów. Melanie była młoda i głupia i chciała narkotyków, więc się zgodziła. Od czasu do czasu jeździli tak razem, wychodzili, kiedy Michelle poszła już spać, i wracali do domu, zanim się obudziła. Dawał Melanie uncję zioła za to, że z nim pojechała. Czasami wracają do niej teraz te wspomnienia, tym bardziej że ma własne dzieci. Od jakiegoś czasu już nie bierze, od kilku lat, ale pokusa nigdy jej nie opuszcza, a potworna świadomość, czego udało się jej uniknąć, wisi nad nią nieustannie.

Z biegiem lat, jak mówi Melanie, Rocky robił się coraz bardziej paranoiczny, narkotyki zabijały w nim logikę i rozsądek. Powiedział

jej kiedyś, że FBI go obserwuje, obserwuje ich oboje. Że muszą być bardzo ostrożni. Wierzył, że zainstalowali kamery w alejce za domem. Melanie wiedziała, że to narkotyki przez niego przemawiają, ale milczała i próbowała ignorować jego gadkę. Kiedy zaczął walić w żyłę, przestała przychodzić. Była wtedy tuż przed dwudziestką, a pewnego wieczoru Rocky oznajmił jej, że federalni wychodzą z pojemników na śmieci w alejce, i – jak Melanie dziś mówi – po prostu nie mogła już z nim dłużej wytrzymać. Była tym wyczerpana. Tak się składa, że na rok przed zabójstwami Rocky rzucił ćpanie. Ale Melanie uważa, że było już za późno, jego umysł był już zbyt pokręcony.

Alyssa wspomina, że kiedyś, na samym początku, Rocky ją także próbował skusić narkotykami, ale mu odmówiła. Twierdzi, że nigdy mu nie ufała po tym, jak jechał pod prąd, żeby nawrzeszczeć na Michelle. Dało jej to wgląd w jego szaleństwo, w to, jak narażał życie swoje i innych na niebezpieczeństwo, żeby zemścić się za rzekomo doznaną krzywdę. Zdarzało się, że krzyczał na Michelle za to, że Alyssa często ją odwiedza, za to, ile czasu razem spędzają, ale wyglądało na to, że akurat jej nie uda mu się oddzielić od siostry.

Jednak Michelle nie przyznawała się Alyssie, ile tak naprawdę znosiła ze strony Rocky'ego. A przecież w ich małżeństwie nie brakowało normalnych problemów, z jakimi boryka się większość par: pieniądze, małe dzieci, oczekiwania i obowiązki w domu i poza nim.

Sally mówi, że Michelle zawsze chciała iść na studia, ale czuła, że musi poczekać, aż dzieci będą w szkole. Kiedy Kyle zaczął chodzić do przedszkola, od razu zapisała się na Montana State University w Billings i złożyła wniosek o pomoc finansową. Uczelnia odpowiedziała, że zakwalifikowanie jej do jakiegokolwiek wsparcia wymaga przedstawienia zeznania podatkowego rodziców, co wprawiło Michelle w osłupienie. Od lat nie była na utrzymaniu rodziców, od piętnastego roku życia nie uwzględniali jej w rozliczeniach, musi być przecież jakiś inny sposób, żeby otrzymać wsparcie. Myślała, że jako osoba dorosła bez własnych dochodów, na utrzymaniu chłopaka, bez żadnych oszczędności, automatycznie kwalifikuje się do pomocy.

Wyjdź za mąż, powiedzieli jej, to się zakwalifikujesz.

Jeszcze tego samego popołudnia Sally odebrała telefon od Michelle. Dziewczyna powiedziała, że zamierza wziąć ślub z Rockym przed sędzią pokoju w następną środę po południu i że Sally może przyjechać. To było tyleż nagłe, co trochę banalne. Ona i Rocky byli razem od niemal ośmiu lat. Dla Michelle była to największa ironia w jej życiu – oto system zmusza ją do poślubienia mężczyzny, od którego za wszelką cenę starała się uwolnić.

Na zdjęciach ślubnych Michelle jest przeraźliwie chuda i ma na sobie pastelową sukienkę do pół łydki. Kristy i Kyle czołgają się na trawie pod stołem, na blacie stoi tort, który Michelle i Rocky kroją. Towarzyszą im obie rodziny, kilkoro innych gości, a wesele odbywa się pod markizą piknikową w parku. Dzień jest słoneczny, wszystko zielone. Michelle się nie uśmiecha.

Tamtej jesieni zaczęła uczęszczać na obowiązkowe zajęcia kształcenia ogólnego na uczelni. Miała zamiar zostać pielęgniarką. Nigdy nie zapomniała, jak pielęgniarki opiekowały się Kristy na oddziale neonatologii, wierzyła, że to im zawdzięcza życie córki. Kampus był na tyle blisko domu, że mogła chodzić na zajęcia pieszo. Podrzucała więc dzieci do szkoły, a potem sama szła się uczyć, i zawsze, ale to zawsze był tam Rocky, śledził ją, kiedy tylko mógł, upewniał się, że idzie tam, gdzie powiedziała, że pójdzie, robi to, co powiedziała, że zrobi. Nie krył się specjalnie z tym śledzeniem, jak gdyby chciał, żeby o tym wiedziała, chciał, żeby dotarło do niej, że to on ją kontroluje, że pozwala jej na ten luksus nauki, ale wystarczy jeden błąd i to wszystko zostanie jej odebrane.

Trudno jej było uczyć się popołudniami czy wieczorami, bo dzieci ciągle czegoś potrzebowały: jedzenia, rozrywki, utulenia przed snem, poza tym Rocky też wiecznie jej przeszkadzał, więc powiedziała mu, że musi się uczyć w bibliotece, bo inaczej nie zaliczy zajęć. Ale Rocky odmówił. Powiedziała mu, że organizują z innymi studentami wspólną powtórkę. Wszyscy mieli spotkać się w bibliotece. Ale i tak Rocky odmówił. Mogła się uczyć w domu albo zapomnieć o college’u. Więc kłamała. Powiedziała mu, że zapisała się na kolejne zajęcia, a potem zakradała się do biblioteki, żeby się pouczyć w ciszy i spokoju. Musiała pilnować harmonogramu, żeby nie pomylić godzin,

bo Rocky by się dowiedział. Udało jej się ukryć przed nim to kłamstwo aż do śmierci.

Jesienią 2001 roku Michelle zaczęła podejrzewać Rocky'ego o romans. Twierdziła, że ma dowody, ale Rocky zaprzeczył. Alyssa pamięta tę rozmowę, Michelle mówiła, że tyle już wytrzymała ze strony Rocky'ego, ale tego nie zamierza tolerować. Sally ma na to nieco inny pogląd: „Michelle potrzebowała powodu, żeby go zostawić. Była zbyt dumna, by po prostu odejść, i wiedziała, że on ją znajdzie". Romans stanowił swoistą przykrywkę dla Michelle, racjonalny powód zakończenia małżeństwa, który każdy by zrozumiał. Michelle powiedziała, że boi się, że się czymś od niego zarazi, więc Sally zabrała ją do lekarza w Riverstone Clinic. Powiedziała też, że nie może się uczyć. Przepełniały ją strach i gniew. Zawsze miała trochę skłonności do hipochondrii, mówi Sally. Do tego musiała odrabiać pracę domową na studia. Lekarz dał jej receptę na antydepresanty. Potem Michelle wyznała Sally, że Rocky znalazł te leki i oznajmił, że nie chce „psychicznej żony" na prochach, więc je wyrzuciła.

Pewnego popołudnia pod koniec września Michelle pojawiła się u Sally z dziećmi i poprosiła mamę, żeby je popilnowała. Oznajmiła, że jedzie do domu porozmawiać z Rockym o tym romansie. Sally pamięta, że Michelle powiedziała wtedy: „W żadnym wypadku nie pozwól, żeby Rocky je zabrał". A potem wyszła.

Półtorej godziny później Rocky zjawił się u Sally. Zobaczyła, jak jego białe subaru podjeżdża do krawężnika, i pobiegła do drzwi wejściowych, żeby je zamknąć zgodnie z instrukcjami Michelle. Spojrzała mu w oczy i, jak powiedziała potem, poczuła przerażenie. Rocky zawsze był dla niej cichą postacią przy stole albo cieniem w samochodzie. Kiedy go teraz zobaczyła z twarzą wykrzywioną grymasem wściekłości, doznała szoku. Pokonał podwórko i dopadł tylnego wejścia w chwili, w której zatrzasnęła zamek. Rzucił się całym ciężarem ciała na drzwi, a ona usłyszała, jak pękają. Powiedziała Kristy i Kyle'owi, żeby poszli do salonu. Melanie też tam była, w szóstym miesiącu ciąży. Sally usłyszała kolejny trzask, gdy Rocky znowu naparł na drzwi drobnym ciałem. Krzyknęła do Melanie, żeby zadzwoniła po policję. Kristy i Kyle siedzieli na kanapie, a gdy na

nich spojrzała, zobaczyła coś, co po dziś dzień przyprawia ją o dreszcze. Nie okazywali strachu ani histerii. Nie krzyczeli. Nie płakali. Zamarli w bezruchu, ze wzrokiem niczym w jakiejś katatonii. Mój Boże, Sally pomyślała, oni to już wcześniej widzieli. Widzieli już ojca w takim stanie.

Usłyszała trzask pękającego szkła, gdy Rocky rozbił szybę w tylnych drzwiach, a potem jego głośne kroki w kuchni. Zasłoniła Kristy i Kyle'a, chwyciła się z całej siły kanapy i próbowała ochronić dzieci przed ojcem. Rocky złapał Sally za kark i ramię, po czym ją odepchnął. Chwycił Kristy wpół. Dziewczynka nie wydała żadnego dźwięku, powiedziała tylko do Sally: „W porządku, Bugga. Ja pójdę". Melanie dodzwoniła się na 911. Sally nadal próbowała osłonić Kyle'a. Krew z rany na ręce Rocky'ego cały czas kapała dookoła. Wyminął gwałtownie Melanie, która próbowała zablokować mu drogę wyjścia przez drzwi frontowe. Szarpnął ją i gwałtownie odepchnął. Po chwili był już przy samochodzie, wrzucił Kristy do środka jak maskotkę wygraną na wesołym miasteczku. Odjechał spod domu Sally z piskiem opon.

Wszystko trwało najwyżej kilka minut.

Policjanci, kiedy dotarli w końcu na miejsce, nie wykazali szczególnego zainteresowania. Zapytali Sally, jakie zarzuty jej zdaniem mają postawić Rocky'emu. „Ej, a czy to przypadkiem nie wy powinniście to wiedzieć?" – taka myśl przemknęła jej przez głowę. Rok po zabójstwie ówczesny szef policji Ron Tussing przyznał dziennikarzowi, że mogli wtedy wykazać nieco więcej „współczucia". Po chwili dodał jednak: „Dla nas takie zajścia są znacznie bardziej rutynowe niż dla ofiar".

Ostatecznie uznano, że wtargnięcie Rocky'ego do domu Sally to tylko wykroczenie. Jej zdaniem złożony tego dnia raport policyjny bagatelizował jego agresję – stłuczenie szyby, krzyki, erupcję furii. Zapisano w nim jedynie, że Rocky „wybił tylne okno w domu teściowej, gdy wchodził tam po dziewięcioletnią córkę". (Miała siedem lat). Ale Sally ma zdjęcia, na których widać potłuczone szkło, krew na ścianie, obrażenia Melanie, jej posiniaczone od łokcia do nadgarstka ramię, zadrapania i strupy w miejscach, gdzie zranił ją do

krwi. Sally pamięta też oczy dzieci – puste, obojętne – i przerażająco zimne oczy Rocky'ego. Wzrok, który opisała potem jako czyste zło.

Michelle i Kyle spali tej nocy w domu jej mamy. Był koniec września 2001 roku i Michelle po raz pierwszy zaczęła opowiadać Sally o tym, jak wygląda jej życie z Rockym, jak kontroluje każdy jej krok, to, z kim spędza czas, jak stara się powstrzymać ją przed spotkaniem z Alyssą, o tym, jak wykorzystuje dzieci do wywierania na nią presji, o tym, jak grozi całej ich trójce. Opowiadała o tym, jak bije ją na oczach dzieci. Wiele osób mówiło mi, że nie sądzili, by Rocky maltretował ją fizycznie. Gordon i Sarah, Paul, Melanie. Żadne z nich nie widziało jednoznacznych dowodów. Sarah mówi, że przecież zauważyłaby siniaki na ciele Michelle, a nigdy ich nie widziała. Ale Sally i Alyssa twierdzą, że Rocky znęcał się nad nią również fizycznie, a sama Michelle napisała o biciu w złożonym pod przysięgą oświadczeniu, które później wycofała. Kiedy Sally mi o tym opowiada, siedzimy u niej w domu na kanapie, a w kącie pokoju widzę duże, oprawione w ramki zdjęcie Michelle i dwójki dzieci. Dom Sally znajduje się zaledwie półtora kilometra od miejsca, w którym Michelle mieszkała i zginęła razem z dziećmi, w cichym zakątku Billings w pobliżu lotniska i uniwersytetu stanowego, na którym się uczyła. Bezpośrednio za domem Michelle znajduje się parking pogotowia ratunkowego szpitala St. Vincent's, dosłownie kilka kroków od miejsca, gdzie zmarła.

Tej nocy Sally po raz pierwszy usłyszała o grzechotniku, którego Rocky niedawno skądś przyniósł i trzymał w klatce w salonie. Michelle była przerażona. Powiedział, że włoży go jej do łóżka, gdy będzie spała, albo wrzuci go jej pod prysznic. Morderstwo, które wyglądałoby na dziwny wypadek. Wiedza Sally o przemocy domowej była dość przypadkowa i powierzchowna, ale kobieta od razu zdała sobie sprawę, że sytuacja jej córki jest znacznie poważniejsza niż wszystko, co wie na ten temat. Siedziała i słuchała, ale nie miała pojęcia, co konkretnie powinna zrobić. Zadzwoniła do Paula i poprosiła go, by pozbył się węża. Błagała Michelle, żeby wystąpiła o zakaz zbliżania dla Rocky'ego. Michelle obiecała matce, że to zrobi.

– Mówiłam, żeby to wszystko notowała – powiedziała Sally.

Michelle to zrobiła. W oświadczeniu napisała: „Bił mnie na oczach dzieci. Raz pobił mnie we wtorek wieczorem, na tylnym ganku, w obecności mojego syna Kyle'a. Groził mi śmiercią na oczach moich dzieci, sióstr i rodziców. Groził, że zabije mnie, siebie i moje dzieci, jeśli kiedykolwiek od niego odejdę”[38].

Tymczasem Rocky i Kristy spędzili noc w samochodzie. Później Kristy mówiła, że pojechali na „biwak”. Rankiem, gdy Rocky wrócił do domu po rzeczy do przyczepy, został aresztowany. Przypuszczalnie planował zabrać Kristy na weekend do lasu. Zamiast tego trafił do aresztu.

Michelle wystąpiła o zakaz zbliżania. Oskarżono go o napaść na partnera i członka rodziny (w USA to wykroczenie określane akronimem PFMA, *partner or family misdemeanor assault*), a prokurator złożył wniosek – pod tą samą sygnaturą – wraz z wcześniejszą skargą Sally, łącząc obie sprawy w administracyjnej czkawce, która później miała daleko idące konsekwencje. W stanie Montana napaść z użyciem przemocy domowej zostaje uznana za przestępstwo dopiero po trzecim oskarżeniu z tytułu PFMA[39].

Tamtego sobotniego wieczoru, gdy Rocky siedział w celi miejskiego aresztu, Alyssa zabrała Michelle do baru z okazji jej urodzin. Michelle była w barze pierwszy raz w życiu. Pierwszy raz siostry wyszły gdzieś razem same, bez obawy przed Rockym. Alyssa powiedziała, że Michelle była ciągle spięta. Martwiła się o dzieci, o to, czy dobrze postępuje z Rockym. Nie chciała oddzielać dzieci od ich ojca, chciała tylko, żeby się zmienił.

– Wypiła jednego drinka – mówi Alyssa. Zaraz potem wróciła do domu, do dzieci. Miała dwadzieścia trzy lata.

– On usiłował przekonać Michelle, że to świat zewnętrzny stanowi dla niej zagrożenie – mówi mi Melanie. – Miał na nią ogromny wpływ. Nie chciał, by zdała sobie sprawę, że to on jest groźny. On nie był bezpieczny.

W poniedziałek Sarah i Gordon wpłacili pięćset dolarów kaucji i wyciągnęli Rocky'ego z aresztu. Sarah mówi, że to był jeden jedyny raz, kiedy za niego poręczyli, że była temu przeciwna, ale postanowiła, że

nie będzie się sprzeciwiać Gordonowi. Mówi też, że zadzwoniła do Michelle, aby ją uprzedzić. Wspomina, że Rocky zadzwonił do nich w weekend, płakał, był zdenerwowany, mówił, że nie zrobił nic złego, że po prostu chciał odzyskać swoje dziecko. A potem Gordon zadzwonił do osoby odpowiedzialnej za poręczenia – tak się złożyło, że była to kobieta. Pamięta, jak opowiadała mu, że wiele „tych kobiet" wymyśla te wszystkie historie o przemocy. Zadzwonili do Michelle i powiedzieli, że go wyciągną. Wtedy jeszcze Sarah i Gordon wierzyli, że zakaz zbliżania ma jakąkolwiek wartość.

Michelle, jak mówi Sally, „spanikowała". Zaczęła krzyczeć do słuchawki telefonu, a oni obiecali jej, że zawiozą go do brata, że on tam zostanie, dopóki sprawa się nie wyjaśni, cokolwiek to miało znaczyć. Sarah pomyślała, że jeśli Rocky zostanie u Mike'a, będą mogli go lepiej dopilnować. Myśleli też, że może się zmienił. Wtedy nie ćpał od pół roku. Michelle miała swój zakaz zbliżania. Sarah mówi, że była „podminowana". To nie była ta Michelle, którą znała. W jednej chwili irracjonalna, wściekła, a w kolejnej wystraszona. Powiedziała, że nie pójdzie do schroniska. Dlaczego miałaby to zrobić? Dom należał do niej, do jej ojca. A Rocky i tak by ich znalazł. Powiedziała, że zostanie striptizerką i z tego utrzyma dzieci. Potem oznajmiła, że wszystko będzie dobrze, bo jej ojciec dał jej gaz pieprzowy. Gaz będzie ją chronił. Gaz zapewni jej bezpieczeństwo.

– Nie dało się z nią racjonalnie rozmawiać – twierdzi Sarah.

Michelle zareagowała tak samo jak większość ofiar.

Myślała o dzieciach.

Nie myślała o systemie sądownictwa karnego ani o tym, na co może liczyć jako ofiara przemocy domowej. Nie kalkulowała, które obszary Billings obejmie zakaz zbliżania wydany wobec Rocky'ego. Jej reakcja była odruchowa: walka czy ucieczka? Co robisz, gdy niedźwiedź szykuje się, żeby cię zaatakować? Krzyczysz i usiłujesz sprawiać wrażenie większej niż w rzeczywistości czy udajesz, że nie żyjesz? Na pewno nie siedzisz z założonymi rękoma i nie rozważasz, co służby ochrony przyrody mają ci do zaoferowania, gdyby tylko niedźwiedź dał ci chwilę na zastanowienie.

I jeszcze jedno: niedźwiedź nie idzie tylko po ciebie. Idzie też po twoje dzieci. Co robisz?

Czy prokurator okręgowy będzie na miejscu, w jej domu, kiedy Rocky wyjdzie z aresztu? Czy ją ochroni? Czy będzie tam policjant z bronią w ręku, czy przekona Rocky'ego, że Michelle i dzieci nie mieli zamiaru go wkurzyć? Czy będą tam członkowie jej rodziny? Czy ktokolwiek, gdziekolwiek, w jakimkolwiek systemie będzie tam, by go powstrzymać? By powstrzymać grzechotnika wrzuconego jej do łóżka o trzeciej nad ranem? Kulę wystrzeloną z pamiątkowego karabinu po dziadku? Melanie powiedziała, że po telefonie od Gordona i Sarah zachowanie Michelle zupełnie się zmieniło. „Jej wiara w zakaz zbliżania – wszystko się zmieniło" – stwierdziła Melanie.

Michelle wycofała oświadczenie.

To jeden z najbardziej niezrozumiałych momentów w każdej sytuacji przemocy domowej.

Michelle nie wycofała wniosku dlatego, że stchórzyła, ani dlatego, że uznała własną reakcję za przesadzoną, ani dlatego, że jej zdaniem Rocky nie był już tak niebezpieczny. Nie wycofała się, bo była wariatką albo histeryczką, ani dlatego, że ta sprawa nie dotyczyła życia i śmierci. Nie wycofała się, bo wcześniej kłamała. Wycofała wniosek, żeby ocalić życie. Żeby ocalić życie swoich dzieci.

Ofiary nie odchodzą, bo wiedzą, że każdy nagły ruch sprowokuje niedźwiedzia.

Nie odchodzą, ponieważ przez lata wypracowały narzędzia, które czasami pozwalają uspokoić rozgniewanego partnera: błaganie, żebranie, pochlebstwa, obietnice i publiczne gesty solidarności, również przeciw tym samym osobom – policji, adwokatom, sędziom, prawnikom, rodzinie – które jako jedyne mogą uratować im życie.

Nie odchodzą, bo widzą, że idzie po nie niedźwiedź. A one chcą żyć.

Pytanie nie powinno brzmieć: dlaczego ofiary nie odchodzą? Myślę raczej, że należałoby zapytać: jak ochronić tę osobę? Bez żadnych warunków. Bez zastanawiania się, dlaczego nie odeszła, co takiego pozornie robi czy też czego nie robi. Tylko jedno proste pytanie: jak ją chronić?

Kilka minut po tym, jak Rocky dotarł do domu brata, Michelle już rozmawiała z nim przez telefon, robiła plany, składała obietnice, negocjowała – choć ona by tego tak nie ujęła – o własne życie.

„Musiała zyskać na czasie, zorientować się, jakie on miał zamiary – powiedziała Melanie. – Teraz wiem, że to wszystko było ze strachu, zmieniła się, jak tylko się dowiedziała, że Rocky wyszedł z aresztu”.

Michelle wpadła do prokuratury okręgowej w Billings – w histerii, jak opisała mi to później była prokurator Stacy Farmer (obecnie Tenney). Odwołała wszystko. On nigdy jej nie groził, oznajmiła. Nie ma żadnego węża. To ona jest winna. Rocky to wspaniały mąż. Cudowny ojciec. Ich dwoje, ona i Rocky, przeciw całemu światu. To system szkodzi jej rodzinie. Stacy Tenney wiedziała, że Michelle kłamie. Oczywiście, że kłamała. Ale co prokurator może zrobić z wrogo nastawionym świadkiem? Nie było żadnych dowodów. Nie było żadnego świadka.

Wiele lat później pomyślałam o Michelle, o tamtej chwili, kiedy prawniczka ofiar przemocy domowej powiedziała mi: „Dziś już wiemy, że to te osoby, które nie pojawiają się w sądzie, które nie przedłużają zakazów zbliżania, są w największym niebezpieczeństwie”[40].

Stacy Tenney zapamiętała, że wszyscy zwrócili uwagę na tego węża. To był tak specyficzny szczegół, tak jednoznaczny fakt w całokształcie tej historii, jednak kiedy policjanci rzekomo sprawdzali dom, nie zauważyli w nim żadnego węża. Gdyby go znaleźli, mieliby dowód rzeczowy. Ale nie znaleźli żadnego węża. (Nie wiadomo, czy w ogóle szukali. Czy sprawdzili garaż? Raporty policyjne w Montanie nie są dostępne publicznie). To było jej słowo przeciw jego słowu, a teraz ona odwoływała zeznania i stawała po jego stronie. Co mogli zrobić? W dokumentach sądowych, w oświadczeniu złożonym w sprawie zgłoszenia Sally, do napaści w jej domu odnoszą się zaledwie dwa zdania: „Oskarżony wybił szybę w tylnych drzwiach domu teściowej, wchodząc tam po swoją dziewięcioletnią [sic!] córkę. Oskarżony był zdenerwowany, że jego żona ją tam zostawiła, zanim między małżonkami doszło do konfliktu”. Ani słowa o napaści na

Sally czy Melanie, nic o krwi na ścianie domu, o tym, że według Sally dzieci wyglądały na skamieniałe, o przerażeniu i o nadludzkiej sile Rocky'ego w tamtej chwili.

– System sądownictwa karnego – mówi Tenney – nie został pomyślany dla świadków niewspółpracujących.

Do tego było wiele rzeczy, o których Tenney wówczas nie wiedziała, o których nikt inny w historii Rocky'ego i Michelle nie wiedział. To samo w kolejnych latach usłyszę od prokuratorów w całym kraju.

Ale usłyszę także to: procesy o morderstwo toczą się w tym kraju codziennie bez współpracy z ofiarami.

Po wyjściu z aresztu Rocky natychmiast złamał zakaz zbliżania, odbierając telefon od Michelle. Powiedziała potem, że miał prawo do rozmowy z dziećmi. Spotkali się nazajutrz po południu, w parku, gdzie dawniej przesiadywały z Alyssą po szkole i paliły papierosy. Michelle pewnie czuła, jak gdyby to się działo w innym życiu. Nikt nie wie dokładnie, co Rocky jej powiedział, ale przekonał ją, by pozwoliła mu wrócić do domu. Być może znalazł sposób, by przypomnieć jej, że to on zarabiał na rachunki, na jedzenie na stole, na ubrania dla dzieci. Utrzymywał Michelle, ale też nie pozwalał jej utrzymywać się samodzielnie. Jak miałaby się ukryć w takim małym miasteczku jak Billings, gdzie wszyscy znają wszystkich? Miała zabrać dzieci ze szkoły i zamknąć się z nimi na szczycie lodowca?

A teraz sama pozwoliła, by biurokracja wkroczyła do ich domu, ich życia. „Przekroczyła tyle granic między nimi, kiedy złożyła na niego doniesienie – powiedziała Alyssa. – Obnażyła to, kim naprawdę był, przed innymi, po raz pierwszy w życiu. Odebrała mu w ten sposób część kontroli, więc musiała mu ją zwrócić, żeby nie przypłacić tego życiem".

Na początku roku Michelle otrzymała niewielki spadek po dziadku z Dakoty Północnej. Za te pieniądze kupiła kamper na weekendowe wyjazdy, a resztę oddała ojcu, w tajemnicy, jako zaliczkę za dom, który wynajmowali od niego z Rockym od wyprowadzki z przyczepy. To była część jej długofalowej strategii. Jej tata miał za-

stąpić bank, ponieważ nie miała zdolności kredytowej ani historii zatrudnienia. Tylko jej nazwisko miało widnieć na tytule własności, żeby mogła kiedyś zgodnie z prawem wykluczyć Rocky'ego. Ten, rzecz jasna, nie miał o tym pojęcia.

Ale nawet gdyby to wszystko się udało, z czego miałaby żyć z dziećmi do tego czasu? Nie miała żadnych dochodów ani doświadczenia zawodowego. W dniu, w którym Rocky rozbił drzwi w domu Sally, stało się jasne, że przeprowadzka Michelle do jednego z rodziców bynajmniej go nie powstrzyma. Może powinna była uciec do innego stanu, zaryzykować areszt pod zarzutem porwania albo zostawić dzieci na wychowanie ojcu, który jednego dnia uczył je pływać, a następnego groził im bronią. Alyssa wymyślała jeden szalony pomysł za drugim, co tylko przyszło jej do głowy. Może Michelle mogłaby przeprowadzić się do Kalifornii? Co powiesz na perukę, zakrycie ciała tatuażami, zmianę nazwiska, ucieczkę z kraju? Może do Kanady? Sarah zadeklarowała, że da Michelle pieniądze na wyjazd do domu swojej siostry w Arizonie. Dawna przyjaciółka Michelle zaoferowała domek w lesie poza granicami stanu. Ale Michelle powiedziała Alyssie: „Dokąd niby miałabym wyjechać? Ten człowiek będzie mnie ścigał do ostatniego tchu, do ostatniego grosza".

Alyssa opowiada, że rozważała wówczas każdy możliwy scenariusz. Zmienić tożsamość Michelle, ukryć ją, jakoś pozbyć się Rocky'ego.

– W takich sytuacjach wyobraźnia nie cofa się przed żadnym rozwiązaniem – mówi. – Ktoś musi go zabić, bo inaczej on zabije ją.

Michelle odwołała zeznania z tych samych powodów, z których odwołują je ofiary na całym świecie: uważają, że nie mają innego wyboru. Rocky wrócił do domu jeszcze tego samego dnia.

Kiedy Sarah się o tym dowiedziała, natychmiast zadzwoniła do Sally. Żadna z nich nie miała pojęcia, że Michelle już wycofała wniosek o zakaz zbliżania. Kobiety zadzwoniły na policję. Sarah stwierdziła, że Rocky jest niebezpieczny, ale kiedy Sally zadzwoniła i powiedziała, że oskarża go o napaść i wtargnięcie do jej domu, dowiedziała się, że zarzuty już zostały oddalone. To właśnie była ta administracyjna czkawka. Jej zeznania trafiły do akt z tą samą sygnaturą co

wniosek Michelle, a kiedy ta się wycofała, cała sprawa została oddalona. Dzisiaj Sally uważa, że ta biurokratyczna pomyłka kosztowała jej córkę życie. Powstrzymała Sally przed wniesieniem oskarżenia.

Wkrótce potem Michelle zadzwoniła do obu kobiet i poinformowała je z wściekłością, że policja próbowała aresztować Rocky'ego na oczach dzieci, które bardzo się tym przejęły. Sally i Sarah dopiero teraz dowiedziały się, że Michelle wycofała wniosek. Powiedziała im, że nie muszą się o nią martwić. Ma przecież gaz pieprzowy.

Zatem Michelle i Rocky odcięli się od nich wszystkich, od obu rodzin. Październik ciągnął się w nieskończoność. Sarah i Gordon, przyzwyczajeni do widywania wnuków kilka razy w tygodniu, czuli wyraźną pustkę. Raz, gdy Rocky podjechał do nich, żeby oddać im pieniądze za kaucję, dzięki którym wyciągnęli go z aresztu, Michelle siedziała w samochodzie z dziećmi. Gordon wyszedł na zewnątrz. Sarah nadal była wściekła i nie chciała do niego dołączyć, ale patrzyła przez okno, jak dzieci uśmiechają się do dziadka. Potem Gordon powiedział jej, że Michelle nie pozwoliła im wysiąść i go uściskać.

– Nie mogłam uwierzyć, że to zrobiła – mówi Sarah. – To był ostatni raz, kiedy widzieliśmy dzieci. – Milknie, patrzy w górę, a potem dodaje: – Czy w ogóle którekolwiek z nich.

Siedzimy na podwórku ich domu. Sarah opowiada. Gordon cicho szlocha z twarzą ukrytą w dłoniach.

We wtorek przed Świętem Dziękczynienia Alyssa wyszła z pracy i pojechała do Michelle. Dzwoniła do siostry poprzedniego wieczoru, a potem przez cały kolejny dzień, ale Michelle nie odbierała ani nie oddzwaniała; w domu było ciemno i cicho, a Alyssa od razu poczuła, że coś jest nie tak, chociaż nie umiała – ani wtedy, ani później – dokładnie stwierdzić co. Chciała zatrzymać samochód i to sprawdzić, ale nie potrafiła zdjąć nogi z gazu. Jak gdyby własne ciało pchało ją do przodu. Pojechała dalej.

Zadzwoniła do Sarah z pytaniem, czy rozmawiała z Michelle. Sarah odparła, że od października nie miała z nią kontaktu. Kiedy się

rozłączyły, Sarah spojrzała na Gordona i powiedziała: „Alyssa nie może znaleźć Michelle”.

Alyssa zadzwoniła do ojca.

– Tato – powiedziała. – Chyba coś się stało.

Osoba, którą kochasz, odbierze ci życie

Jest mroźny, lutowy poranek na obrzeżach Detroit, a Jacquelyn *Campbell* stoi w rozległej sali wykładowej, nieco przytłoczonej trzema ogromnymi ekranami. Campbell przyleciała z Baltimore specjalnie na dzisiejsze przedpołudnie z wykładem dla zgromadzonej tu setki osób. Opowie o czymś, co opracowała trzydzieści lat temu i nazwała Oceną Zagrożenia (Danger Assessment). Pierwotnie stworzona, by pomóc pracownikom służby zdrowia w identyfikacji potencjalnych ofiar przemocy domowej na pogotowiu, Ocena Zagrożenia to prawdopodobnie najważniejsze narzędzie wykorzystywane obecnie w przypadkach przemocy domowej, w późniejszej terapii i kampaniach uświadamiających. To, jak ofiara odpowiada na pytania podczas Oceny Zagrożenia, decyduje o tym, co nastąpi dalej: czy sprawca zostanie aresztowany, osądzony, uznany za winnego, oraz czy ofiara wniesie oskarżenie, zostanie zabrana do schroniska, czy jej sprawa będzie przeprowadzona przez system sądowy. Często te odpowiedzi mają o wiele większe znaczenie: od nich zależy, czy ktoś będzie żył, czy też zginie. Ocena Zagrożenia zmieniła sposób pojmowania i traktowania przemocy wobec partnerów życiowych w Ameryce i poza nią. Przełamała bariery kulturowe i polityczne, została przystosowana do wykorzystania między innymi przez policję, prawników, sędziów, adwokatów i pracowników służby zdrowia. Przyczyniła się do rozwoju badań i polityki postępowania oraz ocaliła niezliczoną ilość istnień ludzkich.

Campbell, wysoka i elegancka, jest ubrana w tweedowy żakiet i czarną koszulę, ma gęste, kręcone, kasztanowate włosy i masywny naszyjnik na dekolcie. Przemawia pogodnym głosem, niczym prezenterka radiowa, która musi słuchaczom przekazywać straszne wiadomości, ale wciąż brzmi kojąco. Chciałoby się, by taki właśnie głos przekazał nam informację o ciężkiej chorobie matki albo odejściu ukochanego psa. Campbell mówi o przemocy w rodzinie, o najpotworniejszych rzeczach, jakie ludzie sobie nawzajem robią, ale w jej

głosie jest coś, co przywodzi na myśl terapeutkę, która obiecuje, że jesteś w dobrych rękach. W samym tylko stanie Michigan w ciągu jednego miesiąca – w styczniu 2017 roku – zginęło osiemdziesiąt sześć kobiet i pięcioro dzieci, mówi do publiczności. Znajomi wielu z tych ofiar są dziś na widowni.

Osoby słuchające jej wystąpienia przybyły tu porozmawiać o przemocy w rodzinie – są wśród nich policjanci w mundurach i w cywilu, prokuratorki i adwokaci, a także aktywistki organizacji wsparcia dla ofiar przemocy domowej, psychoterapeuci, osoby pracujące w służbie zdrowia oraz wolontariusze ze schronisk. Na kolejnych slajdach Campbell przytacza ponure statystyki dotyczące przemocy domowej: druga główna przyczyna zgonów wśród Afroamerykanek, trzecia główna przyczyna zgonów wśród reprezentantek rdzennej ludności USA, siódma główna przyczyna zgonów wśród białych kobiet.

Campbell mówi, że każdego roku w Stanach Zjednoczonych ginie tysiąc dwieście maltretowanych kobiet[41].

Ta liczba nie uwzględnia dzieci. Ani sprawców popełniających samobójstwo po zabiciu partnerki – to samobójstwa rozszerzone, o których codziennie czytamy w gazetach. Ani związków jednopłciowych, w których jeden z partnerów może nie być „wyautowany”. Ani pozostałych członków rodziny, jak siostry, ciotki, babcie, które często giną wraz z główną ofiarą. Ani postronnych: jak dwadzieścia sześć osób w kościele w Teksasie, które zginęły, gdy zięć wtargnął z bronią na nabożeństwo, żeby zastrzelić teściową, czy jak dwie pracownice spa w Wisconsin, zabite wraz z klientką przez jej byłego męża. Lista ciągnie się w nieskończoność. I nie uwzględnia jurysdykcji, które nie zgłaszają zabójstw, ponieważ zgłaszanie zabójstw do rejestru dokumentacji uzupełniającej FBI jest dobrowolne. A zatem ile osób ginie co roku w wyniku przemocy domowej? Postronni świadkowie, inni członkowie rodziny, sami sprawcy z własnej ręki? Ofiary, które po prostu nie mogą już dłużej wytrzymać i odbierają sobie życie? Wypadki, które wcale nie są wypadkami, ofiary wyrzucane z samochodów, spychane z urwisk albo ginące wskutek zderzenia z drzewem. Te tragedie nie doczekały się własnej kategorii.

Dziś na tej sali Campbell należy do wspólnoty osób, które rozumieją podstawy działania przemocy domowej. Wiele z nich doskonale zna statystyki, to znaczy widzą nie liczby, ale twarze kobiet, mężczyzn, dzieci uwikłanych w ten najwyraźniej niemożliwy do rozwiązania cykl przemocy. Campbell opowiada historię dwudziestosześcioletniej kobiety, która zginęła niedawno w stanie Maryland z ręki swojego siedemnastoletniego chłopaka. W Maryland zabójstwo stanowi główną przyczynę śmiertelności kobiet, które niedawno rodziły. Tak samo jak w Nowym Jorku i Chicago, dodaje Campbell. Zagraniczne wojska, międzynarodowi terroryści i pijani kierowcy nie muszą nas zabijać, na tym polu sami znakomicie sobie radzimy.

Tamta para z Maryland, dwudziestosześciolatka i siedemnastolatek, miała też dwumiesięczne dziecko, a kobieta urodziła wcześniej trójkę dzieci trzech innych mężczyzn. Płaczący pięciolatek patrzył, jak jego matka ginie od kuli. Dwójka pozostałych maluchów przybiegła i zobaczyła, że ich matka nie żyje. Troje małych dzieci, które doznały głębokiej traumy, oraz noworodek. Jedna z dziewczynek była molestowana przez biologicznego ojca. Ojciec matki wykorzystywał ją, gdy była dzieckiem. Siedemnastoletni chłopak doświadczał w dzieciństwie przemocy tak strasznej, że na pięć lat zabrano go z rodzinnego domu. Całe warstwy, lata, pokolenia przemocy.

Kiedy Campbell i jej współpracownicy zainteresowali się losem tej czwórki dzieci, okazało się, że noworodek trafił do rodziców zmarłej matki – w tym jej własnego ojca, który ją niegdyś molestował. Pozostała trójka również jest wychowywana przez sprawców przemocy. Kiedy siedemnastoletni zabójca odsiedzi dwanaście lat za zabójstwo i wyjdzie z więzienia, prawdopodobnie zajmie się wychowaniem najmłodszego dziecka, które wówczas będzie już nastolatkiem. I tak dalej, cały cykl przemocy widać dokładnie na przykładzie jednej, skomplikowanej rodziny. Campbell oznajmiła urzędnikom stanu Maryland: „[Za dwadzieścia lat] te dzieci też staną przed sądem". Urzędnicy się oburzyli i oświadczyli Campbell, że nie interesuje ich to, co może się wydarzyć w przyszłości. To, że dzieci będące świadkami przemocy powtarzają ten sam cykl jako dorośli. Chcieli natychmiastowej odpowiedzi. Co mają zrobić tu i teraz? Ale ona mówiła właśnie o przyszłości.

– Tu chodzi o długą perspektywę prewencji – tłumaczy *Campbell*. Jak uczyć ludzi, że można wychowywać dziecko bez znęcania się nad nim, jak stworzyć system, który dotrze do dzieci i rodziców i zapewni dostęp do terapii na wysokim poziomie. Nawet po zabójstwie rodzica dzieci często mają szczęście, jeśli uda im się odbyć choć jedno spotkanie z terapeutą w zakresie zdrowia psychicznego.

Są też dobre wieści, oznajmia Campbell, a kilka osób wybucha śmiechem, bo przecież do tej pory wszystko jawiło się w dość ponurych barwach. Campbell stwierdza, że w tych stanach, w których „mamy dobre przepisy i zasoby dotyczące przemocy domowej”, zarówno mężczyźni, jak i kobiety (choć szczególnie mężczyźni) rzadziej giną z rąk partnerów. Owszem, mężczyźni. To w tej różnicy płci tkwi związek przyczynowy. Jak mówi Campbell, to w stanach, w których ginie mniej mężczyzn, policja reaguje prawidłowo, obowiązują skuteczne przepisy chroniące ofiary, a one same mają dostęp do przyzwoitej pomocy. Innymi słowy, jak wyjaśnia Campbell:

– Maltretowane kobiety rzadziej czują, że nie mają innego wyjścia jak tylko zabić partnera. – Od 1976 roku liczba mężczyzn zabijanych przez kobiety spadła o prawie trzy czwarte[42].

Campbell zmierza tu do tego, że istnieją stany, gdzie maltretowane kobiety nie muszą uciekać się do zabijania swoich oprawców, aby odzyskać wolność. Nie istnieją co prawda statystyki ogólnokrajowe, ale niektóre stany gromadzą własne dane. Na przykład w stanie Nowy Jork w 2005 roku dwie trzecie odbywających karę więzienia kobiet doznało wcześniej przemocy ze strony osoby, którą zabiły[43]. Jednak do dziś w wielu stanach prawo nadal zakazuje ofiarom wykorzystywać do obrony podczas procesu argumentu o wieloletniej przemocy ze strony partnerów. Latina Ray, jedna z moich rozmówczyń, odsiadująca w Karolinie Północnej wyrok za morderstwo pierwszego stopnia, mówi, że znosiła maltretowanie przez ponad dziesięć lat. Partner pobił ją tak mocno, że całkowicie straciła wzrok w prawym oku, a jednak długa historia wiktymizacji nie została wykorzystana w jej procesie[44]. Zanim zastrzeliła go z jego własnej broni, nie dostała nawet mandatu. Na zdjęciu zrobionym podczas aresztowania widzimy piękną kobietę o śniadej skórze i z bielmem na oku.

Przysłuchuję się Campbell i jednocześnie myślę o pytaniu, które najczęściej zadają rodziny ofiar. Co mogliśmy zrobić? Co mogliśmy dostrzec, co przegapiliśmy?

Ale tu tak naprawdę nie chodzi o rodziny. Oczywiście, można je uświadamiać, a Campbell mówi, że ofiary czasami zwierzają się przyjaciołom lub krewnym. Ale jest jeszcze jedna grupa, którą należy wziąć pod uwagę: ponad połowa wszystkich ofiar zabójstw w pewnym momencie miała do czynienia ze służbą zdrowia. Innymi słowy, wszystko zależy od ludzi takich jak sama Campbell. Nie tylko pracowników pogotowia, ale i lekarzy podstawowej opieki zdrowotnej, ginekolożek i ginekologów oraz wielu innych specjalistów. Są to często pierwsze lub wręcz jedyne osoby, które mają kontakt z potencjalną ofiarą zabójstwa. Myślę o klinice, do której Sally zabrała Michelle, kiedy sądziła, że Rocky zaraził jej córkę chorobą weneryczną. Przepisy zabraniają lekarzom ujawniania jakichkolwiek informacji o Michelle, ale przecież zauważyli wystarczająco dużo, by przepisać jej antydepresanty. Co jeszcze widzieli? Co mogli przegapić? Czy podczas rozmowy pojawił się temat przemocy w życiu Michelle? Młoda, dwudziestotrzyletnia, zamężna matka dwojga dzieci trafia do lekarza z podejrzeniem choroby wenerycznej, ale ostatecznie wychodzi na to, że potrzebuje antydepresantów. Przecież to już wystarczająco dużo sygnałów alarmowych, by zainteresować się jej sytuacją.

Campbell pamięta, jak czytała akta pewnej kobiety, która w chwili śmierci miała rękę w gipsie – zginęła od strzału w skroń. W raporcie policyjnym oraz w notatkach z izby przyjęć, gdzie ją badano, próżno szukać choćby jednej wzmianki o przemocy domowej. Ręka w gipsie! Skąd to się wzięło? Według raportu nikt nawet nie zadał sobie trudu, żeby ją o to zapytać. Kolejną kobietę, którą Campbell poznała, oprawca postrzelił, wskutek czego została sparaliżowana, ale po wyjściu ze szpitala wróciła do niego. Campbell zapytała ją, czy ktoś pokierował ją do służb zajmujących się przemocą domową, a ona powiedziała, że nie, ale bardzo żałuje, że się tak nie stało. Wróciła do swojego oprawcy, bo – jak stwierdziła – nie ma nikogo innego, kto by się nią zaopiekował. Campbell tak się wkurzyła, że pomaszerowała wprost na oddział urazowy, na który sparaliżowana kobieta trafiła tuż po zajściu, a tam usłyszała ponoć od pracowników, że nie

mają czasu na ocenę przemocy domowej. Campbell pomachała im przed nosem jej kartą przyjęcia na oddział i wskazała zapis stwierdzający wyraźnie, że *pacjentka została postrzelona przez męża*.

Podczas krótkiej przerwy uczestnicy sprawdzają telefony i nalewają sobie kawy. Pytam jednego z policjantów, jak tu trafił, a on odpowiada, że burmistrz ich miasta, Auburn Hills, polecił ostatnio skuteczniej zająć się przemocą domową. Przeszli szkolenie w zakresie Oceny Zagrożenia. Tydzień wcześniej szkolili się w rozpoznawaniu podduszania. Później Campbell przerwie na chwilę wykład, spojrzy na dwóch umundurowanych funkcjonariuszy i powie: „Dziękuję za to, co robicie, żeby zapewnić kobietom bezpieczeństwo".

Kiedy jej wystąpienie dobiega końca, w przejściu pośrodku sali ustawiają się ludzie, którzy chcą jej podziękować, chcą jej opowiedzieć swoje historie o tym, jak jej praca uratowała nie tylko „życie" w ogóle, ale tę czy tamtą konkretną osobę. Jak pomogła kobiecie, której nigdy nie pozna, dziecku, które dzięki niej nie musi dorastać bez matki. Jeśli w tym świecie można w ogóle mówić o statusie gwiazdy, to Campbell niewątpliwie taki status ma.

Kariera zawodowa Campbell zaczęła się od posady pielęgniarki szkolnej w śródmieściu Dayton. Znała większość uczniów w szkole, chłopców i dziewczęta, choć to właśnie dziewczęta szczególnie zapisały się w jej pamięci. Dziewczęta, które zaszły w ciążę, przychodziły do jej gabinetu porozmawiać z nią o życiu. Pamięta, że nie miały wyboru ani poczucia sprawczości. Że nie wierzyły, by miały jakąkolwiek kontrolę nad tym, jak potoczy się ich życie. Poznała instytucje opieki społecznej w całym mieście, a czasem dzwoniła do któregoś z ich pracowników i opowiadała o problemach, z jakimi borykały się dziewczyny. Pewna młoda kobieta, Annie, trafiła do niej jako nastolatka i powiedziała, że jest w ciąży, a rodzice uprzykrzają jej życie. Campbell poczuła szczególną więź z Annie, najprawdopodobniej odwzajemnioną, ale nie wiedziała do końca, jak jej pomóc. Znała także nastoletniego ojca, Tyrone'a, choć nie wiedziała wcześniej, że on i Annie są parą. „Był przemiły, niesamowicie czarujący – wspomina Tyrone'a Campbell. – Cudowny facet". Tyrone, rzecz jasna, nie palił się do tego, żeby wziąć na siebie dożywotnie zobowią-

zanie, a Annie była nieszczęśliwa w domu, więc udało się zorganizować wsparcie od pomocy społecznej i znaleźć dla dziewczyny samodzielne mieszkanie. Rzuciła szkołę, ale nie straciła kontaktu z Campbell i od czasu do czasu dawała jej znać, jak sobie radzi. Campbell czasami zasięgała języka u pedagożki, która poznała Annie w ramach programu dla młodych matek. Modliła się, by Annie ułożyła sobie życie jak najlepiej.

Pewnego dnia w 1979 roku pedagożka zadzwoniła do Campbell i powiedziała, że ma wieści o Annie. Tyrone zadał jej kilkanaście ciosów nożem. Campbell była przerażona i zrozpaczona. Zrobiła to samo co wszyscy w bezpośrednim następstwie takiego zdarzenia: próbowała ustalić, co przeoczyła, czy mogła temu jakoś zapobiec, dlaczego coś się tak straszliwie potoczyło. Poszła na pogrzeb i starała się jakoś sobie z tym poradzić. Kiedy się później nad tym zastanawiała, przypomniała sobie, że kilka razy widziała Annie z podbitym okiem, pamiętała, jak dziewczyna mówiła ogólnikami, tańczyła wokół tematu: „Nie dogadujemy się” albo „Mamy trochę problemów”. Annie nie umiała znaleźć odpowiednich słów, a *Campbell* nie znała jeszcze języka przemocy. Annie mówiła, ale *Campbell* jej nie rozumiała. Czuła się, jakby dostała pięścią w brzuch. Myślała, że wystarczy, jeśli wysłucha Annie i po prostu przy niej będzie. „Gdybym była na tyle mądra, żeby ją zapytać…” – mówi. Na tyle mądra, by zadawać kolejne pytania, naciskać trochę mocniej, nie bać się, że wyjdzie na wścibską.

Całe jej życie zawodowe to nauka, o co pytać.

Campbell zawsze interesowała się zdrowiem publicznym, ale nie miała żadnych konkretnych ambicji zawodowych związanych z tą dziedziną. Co najwyżej czuła, że choć odnajduje się w pielęgniarstwie, może jednak zrobić coś więcej. Chciała zrobić coś więcej. Przeprowadzała się za ówczesnym mężem tam, gdzie akurat pracował – do Dayton, do Detroit, do Rochester. Nie straciła zainteresowania zdrowiem publicznym i rozpoczęła studia magisterskie na uniwersytecie stanowym w hrabstwie Wayne. Promotor Campbell dał jej niejasne wskazówki – miała wyjść „do społeczności i czemuś zapobiec”. Planowała jakąś kampanię, na przykład namawianie ludzi, żeby zapinali pasy bezpieczeństwa.

Te wskazówki zmieniły bieg jej życia.

Kiedy Campbell zaczynała pisać pracę dyplomową, literatura na temat zabójstw w wyniku przemocy domowej była nader skąpa. Pomyślała o czasach, kiedy pracowała jako pielęgniarka, o tych młodych kobietach, które z taką rezygnacją mówiły o własnej przyszłości, i postanowiła, że zajmie się głównymi przyczynami zgonów wśród młodych Afroamerykanek. „Wyobrażałam sobie, że nauczę je, jak badać piersi" – mówi. Była zszokowana, gdy okazało się, że najczęstsza przyczyna śmierci młodych Afroamerykanek to zabójstwo. Morderstwo? Jak to możliwe, że tyle młodych czarnych kobiet traci życie w wyniku *morderstwa*[45]?

Campbell pozostawała w kontakcie z kilkoma byłymi uczennicami z Dayton, więc wybrała te Afroamerykanki, obecnie dwudziestokilkuletnie, jako swoją „społeczność". Gdy spotkałyśmy się w jej biurze w Johns Hopkins School of Nursing, oznajmiła mi, że w dziedzinie zdrowia publicznego zaczyna się od analizy tabeli śmiertelności. Pod jej gabinetem koczowali doktoranci, którzy chcieli z nią porozmawiać tuż obok szafek na dokumenty, zwanych tu „szufladami przemocy". Wspomina, że próbowała wytłumaczyć promotorowi, że na temat zabójstw istnieje niewiele danych klinicznych, więc powiedział jej, żeby sama je stworzyła. W ramach pracy magisterskiej, a później doktoratu na University of Rochester badała policyjne akta dotyczące zabójstw w Dayton i Detroit oraz w Rochester, a jednocześnie w wielu miastach zbierała wywiady z maltretowanymi kobietami. Zaczęła dostrzegać pewne wzorce, które dziś mogą wydawać się oczywiste, ale których wówczas nikt nie zmierzył.

Okazało się wtedy nagle, że potrafi określić ilościowo to, co dotąd pozostawało w dużej mierze teorią: że najważniejszym czynnikiem ryzyka śmierci z rąk partnera jest na przykład wcześniejsze występowanie przemocy domowej. (Jej wstępne badania akt policyjnych z Dayton wykazały, że pięćdziesiąt procent ofiar zabójstw domowych przynajmniej raz zaliczyło wcześniejsze odwiedziny policji, wezwanej z powodu przemocy domowej). Poziomy zagrożenia działały na określonej linii czasu. Zagrożenie wzrastało, gdy ofiara próbowała odejść od sprawcy przemocy, i utrzymywało się na bardzo wysokim poziomie przez trzy miesiące, po czym nieznacznie spadało na ko-

lejne dziewięć miesięcy. Po roku niebezpieczeństwo gwałtownie spadało. Może więc Rocky'ego Mosure'a nie trzeba było wcale zamykać na zawsze, wystarczyło go po prostu zamknąć na odpowiednio długo. Tak jak Michelle potrzebowała czasu, by pozbierać swoje życie, by zapewnić sobie i swoim dzieciom utrzymanie, tak potrzebował go Rocky, by zrozumieć, że jego życie może toczyć się dalej bez niej. Campbell zauważyła, że coś, co wydaje się przypadkowe, jak gdyby rozgrywało się w mgnieniu oka, tak naprawdę można określić ilościowo i skatalogować. Przynajmniej połowa kobiet, z którymi Campbell przeprowadziła wywiad, nie zdawała sobie sprawy z powagi sytuacji – jak mówi, tak jest do dziś.

I nawet kobietom zdającym sobie z tego sprawę lub to wyczuwającym, takim jak Michelle Monson Mosure, ciężko jest wyobrazić sobie, że ten sam człowiek, którego kochają albo kochały, człowiek, z którym miały dziecko, z którym się związały, ten sam człowiek, z którym dzieliły każdy szczegół swojego życia, obojętnie, czy drobny, czy wielki, naprawdę mógłby im to życie odebrać. Miłość jest tym, co odróżnia przemoc domową od każdego innego przestępstwa. To, że dochodzi do tego między osobami, które niegdyś oznajmiły sobie nawzajem i całemu światu, że są dla siebie najważniejsze. A potem, w jednej chwili, taki związek miałby się przerodzić w śmiertelną pułapkę? To wymaga od nas pokonania mentalnej, intelektualnej i emocjonalnej bariery i wykracza daleko poza to, co potrafimy sobie wyobrazić. „Jaka to musi być trauma, kiedy dociera do nas, że ktoś, kogo kochamy, jest zdolny, by nas zabić? – pyta Gael Strack, aktywistka pomagająca ofiarom przemocy domowej z San Diego. – Jak z tym żyć?"

Z czasem Campbell wyodrębniła dwadzieścia dwa czynniki wysokiego ryzyka, które po połączeniu w niemal nieskończoną serię kombinacji mogą stanowić zapowiedź potencjalnego zabójstwa. Niektóre mają dość ogólny charakter: nadużywanie substancji psychoaktywnych, posiadanie broni, skrajna zazdrość. Inne są bardziej szczegółowe: groźby zabójstwa, podduszanie i zmuszanie do seksu. Izolacja od przyjaciół i rodziny, wychowujące się w domu dziecko innego biologicznego rodzica, groźby samobójstwa lub przemocy w czasie

ciąży i stalking zwiększają zagrożenie. Dostęp do broni, narkotyków lub alkoholu oraz kontrola codziennych czynności to także czynniki ryzyka, podobnie jak groźby wobec dzieci, zniszczenie mienia oraz podejmowana przez ofiarę w ciągu poprzedniego roku próba odejścia od oprawcy. Jedynym czynnikiem ekonomicznym, który Campbell zidentyfikowała, jest chroniczne bezrobocie. Wiele z wymienionych wskaźników nie powoduje przemocy, jednak mogą one sprawić, że niestabilna sytuacja doprowadzi do śmierci. To nie obecność jednego czynnika ma znaczenie, ale szczególna kombinacja czynników, z których każdy ma inną wagę. Campbell prosiła kobiety, by prowadziły rejestr zdarzeń na osi czasu, coś w rodzaju katalogu przemocy, dzięki któremu mogły same monitorować eskalację zachowań. (Campbell mówi, że wiele osób przeprowadza Ocenę Zagrożenia bez takiej osi, a tym samym nie uwzględnia istotnych danych na temat eskalacji – dopiero uzbrojone w taką wiedzę, ofiary zyskują ogląd całej swojej sytuacji, a to daje im poczucie sprawczości. Rzeczywiście, z mojego doświadczenia wynika, że rozmaite służby w całym kraju, od policji po organizacje pomocowe, korzystają z Oceny Zagrożenia, ale rzadko włączają do niej oś czasu).

Jednym z sygnałów zagrożenia, zidentyfikowanym przez Campbell na samym początku, jest podduszanie. Jak się jednak okazuje, jest to znacznik daleko bardziej istotny niż – powiedzmy – uderzenie czy kopnięcie. Sześćdziesiąt procent ofiar przemocy domowej doświadcza w pewnym momencie podduszania[46] ze strony przemocowego partnera, często po wielokroć, przez całe lata, a zdecydowana większość sprawców to mężczyźni (dziewięćdziesiąt dziewięć procent) [47]. Osoby podduszane do utraty przytomności są najbardziej narażone na śmierć w ciągu pierwszych dwudziestu czterech do czterdziestu ośmiu godzin po zdarzeniu; możliwe powody zgonu to udar, zakrzep krwi lub aspiracja (zadławienie się własnymi wymiocinami). Takie incydenty mogą spowodować uszkodzenie mózgu – łagodne lub poważne – nie tylko wskutek odcięcia dopływu tlenu, ale także dlatego, że często towarzyszy im uraz głowy. Mimo to w ramach rutynowego postępowania na pogotowiu rzadko sprawdza się, czy doszło do podduszania albo urazu mózgu, a same ofiary przemocy do-

mowej często nie wiedzą nawet, że wcześniej straciły przytomność, ponieważ zwykle niezbyt dokładnie pamiętają szczegóły zdarzenia. W konsekwencji takie diagnozy rzadko się pojawiają w karcie informacyjnej, przemoc i powstałe w jej wyniku urazy są bagatelizowane, a sprawcom przemocy stawia się łagodniejsze zarzuty[48].

Gael Strack, szefowa Training Institute on Strangulation Prevention, to jedna z największych ekspertek w dziedzinie badań nad objawami i skutkami duszenia. W 1995 roku, gdy była asystentką prokuratora okręgowego miasta San Diego, „na jej warcie" – jak sama to określa – zabito dwie nastolatki. Na kilka tygodni przed śmiercią jedna z dziewcząt – została później zadźgana nożem na oczach jej przyjaciółek – wezwała policyjny patrol po tym, jak oprawca ją dusił. Jednak kiedy na miejscu pojawili się policjanci, wycofała zgłoszenie, a sprawcy nie postawiono żadnych zarzutów. Druga dziewczyna została uduszona i podpalona. Obie szukały pomocy u służb wspierających ofiary przemocy domowej i próbowały zapewnić sobie bezpieczeństwo. Strack uważa, że pod względem systemu interwencji w przypadkach szczególnie brutalnej przemocy domowej San Diego znajdowało się w ścisłej czołówce. Działały tam nawet specjalna rada do spraw przemocy domowej i sąd. Jak mówi: „Wszyscy byli wysoko wyspecjalizowani".

Zarówno sama Strack, jak i Casey Gwinn, współzałożyciel *Training* Institute i jej ówczesny szef, czuli się poniekąd odpowiedzialni za śmierć dziewcząt. Podobnie jak wiele innych osób w tej branży zadawali sobie pytanie, co takiego im umknęło. Często zdarza się, że kiedy w danej społeczności dochodzi do głośnego zabójstwa – jak w przypadku Michelle Monson Mosure czy tych dwu nastolatek – dopiero to wydarzenie staje się impulsem do zmiany. Nagle znajdują się fundusze. Organizuje się szkolenia, wdraża nowe programy. Ludzie zwracają się do Kelly Dunne, Gael Strack czy Jacquelyn Campbell z prośbą o pomoc.

Strack przestudiowała akta trzystu przypadków przemocy domowej, które obejmowały podduszanie, ale nie zakończyły się śmiercią ofiary[49]. Jak ustaliła, podduszanie drastycznie zwiększa prawdopodobieństwo zabójstwa w wyniku przemocy domowej. Jednak zaledwie u piętnastu procent ofiar stwierdzono urazy na tyle widoczne, by

ich zdjęcia trafiły do policyjnych raportów. To powodowało, że funkcjonariusze często bagatelizowali te przypadki, opisywali wyłącznie takie obrażenia, jak „zaczerwienienie, skaleczenia, zadrapania lub otarcia na szyi”[50]. A pogotowie ratunkowe zazwyczaj wypisywało ofiary do domu bez przeprowadzenia tomografii komputerowej i rezonansu magnetycznego. Specjaliści w dziedzinie przemocy domowej uważają dziś, że większość urazów związanych z duszeniem ma charakter wewnętrzny i że sam akt duszenia często stanowi ostatnią formę maltretowania partnerki przed zabójstwem[51]. „Wiemy teraz, że statystycznie, jeśli ktoś raz położy ofierze ręce na szyi, kolejnym krokiem będzie zabójstwo – stwierdziła Sylvia Vella, klinicystka i detektyw z Wydziału Policji w San Diego, pracująca w jednostce do spraw przemocy domowej w San Diego Family Justice Center. – Sprawcy już się nie cofają”[52].

Niektórzy naukowcy się z tym nie zgadzają[53]. Niezależnie od badań i zgromadzonych danych ludzkie zachowanie jest nieprzewidywalne, a czasami wręcz niewytłumaczalne, liczby zaś nie stanowią nieomylnego rozwiązania. Są przestępcy, którzy zabijają bez wcześniejszych incydentów duszenia, jak i tacy, którzy duszą, ale nigdy nie zabijają.

W wielu spośród trzystu przeanalizowanych przez Strack przypadków duszenia ofiary oddały mocz lub kał – badaczka uznała, że to efekt strachu. Jednak George McClane, lekarz medycyny ratunkowej, zasugerował inne rozwiązanie. Mikcja i defekacja stanowią funkcje fizjologiczne, jak pocenie się i trawienie, które odbywają się poniżej naszego poziomu świadomości i są kontrolowane przez autonomiczny układ nerwowy. Nerwy krzyżowe, które kontrolują mięśnie zwieracza, znajdują się w pniu mózgu, a ta jego część przestaje działać jako ostatnia. Doktor McClane wyjaśnił zatem Strack, że oddawanie moczu i kału stanowiło nie tyle oznakę strachu ofiar, ile raczej dowód, że każda z nich była bardzo bliska śmierci. Przy czym wszystkie te przypadki zakwalifikowano jako wykroczenie[54].

Strack rozpoczęła akcję edukacyjną dotyczącą rozpoznawania oznak duszenia i skierowaną do wszystkich osób, które mogą się zetknąć z ofiarami przemocy domowej: dyspozytorów, służb ratunko-

wych, policji, personelu schronisk oraz prawników. Od połowy lat dziewięćdziesiątych ubiegłego wieku razem z Gwinnem podróżują po całym kraju i prowadzą szkolenia obejmujące między innymi kwestie anatomii, technik dochodzeniowych, postępowania sądowego oraz bezpieczeństwa ofiar w sprawach, w których sprawca dopuścił się duszenia; Gwinn szacuje, że przeszkolił ponad pięćdziesiąt tysięcy osób. Oboje przyczynili się do tego, że w 2011 roku dzięki dotacji z Urzędu do spraw Przemocy wobec Kobiet powstał Training Institute on Strangulation Prevention[55]. W siedzibie instytutu w San Diego prowadzone są czterodniowe ogólnokrajowe sesje „szkolenia szkoleniowców” – odbywają się one z pomocą grupy doradczej złożonej z personelu służby zdrowia, sędziów, osób, które doświadczyły przemocy, a także przedstawicieli policji i prokuratury. Jednak nieoficjalne informacje, jakie docierają do mnie z policyjnych wydziałów na terenie całego kraju, sugerują, że dostęp do takich szkoleń jest bardzo ograniczony – zazwyczaj jest to najwyżej kilka godzin – a często w ogóle się nie odbywają.

W 2013 roku Gwinn, Strack i kilkoro innych czołowych specjalistów w dziedzinie przemocy domowej przedstawili komisji do spraw orzecznictwa Sądu Najwyższego raporty, w których wykazano, dlaczego duszenie jest szczególnie niebezpieczne. Sąd Najwyższy uzupełnił raport komisji o sformułowania, które odnosiły się bezpośrednio do duszenia (*strangulation and suffocation*)[56], i zalecił orzekanie wyższych wyroków pozbawienia wolności dla sprawców uznanych za winnych tej czynności. Obecnie czterdzieści pięć stanów[57] traktuje duszenie jako przestępstwo, a według Gwinna „wszędzie tam, gdzie w ściganie duszenia jako przestępstwa zaangażowany był międzydyscyplinarny zespół, nastąpił spadek liczby zabójstw”. Na przykład w latach 2012–2014 w hrabstwie Maricopa w Arizonie odnotowano spadek liczby zabójstw w wyniku przemocy domowej o trzydzieści procent[58]. Gwinn oraz Daniel Rincon, policjant w randze detektywa sierżanta z miejscowości Scottsdale i wykładowca instytutu, twierdzą, że jest to wynik szkoleń przeprowadzanych przez ich zespół w całym hrabstwie – począwszy od dyspozytorów, przez służby medyczne i policyjne, a skończywszy na technikach kryminalistyki – a także efekt zastosowania technik pielęgniarstwa kryminali-

stycznego w badaniu ofiar duszenia. Hrabstwo zakupiło również aparaty cyfrowe wysokiej rozdzielczości, które pozwalają zarejestrować dowody fizyczne, takie jak pęknięte naczynia krwionośne, ślady palców na skórze i inne markery. Wcześniej ścigano sprawców zaledwie czternastu procent przypadków duszenia; dziś odsetek ten sięga sześćdziesięciu dwu procent[59]. Program jest na razie zbyt nowy, by można było wskazać bezpośredni związek przyczynowy, jednak Bill Montgomery, prokurator z hrabstwa Maricopa, powiedział mi: „Jeśli spojrzeć na obiektywne dane, widać moment, kiedy skupiliśmy się na sprawach przemocy domowej, w których ofiara była duszona, i usprawniliśmy procedury dochodzenia, stawiania zarzutów i sądzenia sprawców. Odnotowaliśmy także znaczny spadek liczby zabójstw w wyniku przemocy domowej". W chwili gdy to piszę, w 2016 roku, w stanach Kentucky, New Jersey, Karolina Południowa i Dakota Północna nie ma przepisów, które pozwalałyby zakwalifikować duszenie jako przestępstwo. Podobnych rozwiązań legislacyjnych brakuje też w stanie Ohio oraz Waszyngtonie[60].

Jednak niezależnie od kwalifikacji czynu zarówno duszenie, jak i uraz mózgu należy rozpoznać i zdiagnozować. Sylvia Vella poświęciła temu zagadnieniu rozprawę doktorską. W ramach badań rozmawiała z kobietą przed trzydziestką, u której zauważyła siniaki wokół szyi i ucha tak poważne, że natychmiast wysłała ją na pogotowie, gdzie wykryto u niej rozwarstwioną tętnicę szyjną. Kobieta zadzwoniła do badaczki ze szpitala i powiedziała, że trafiła do zabezpieczonej, odizolowanej sali pod pseudonimem. „Nikt nie wie, jakim cudem nie doszło do udaru – powiedziała mi Vella. – Lekarze nie mogli uwierzyć, że przeżyła".

O ile podduszanie jest dość dobrze udokumentowane w literaturze medycznej, o tyle o urazach mózgu dopiero od niedawna mówi się w kontekście przemocy domowej. Zdecydowana większość ofiar, które wykazują oznaki takiego urazu, nigdy nie otrzymuje formalnej diagnozy, po części dlatego, że ich obrażenia rzadko są widoczne, a na pogotowiu nie bada się ich pod tym kątem[61]. „Kiedy na izbę przyjęć trafia dzieciak z urazem sportowym albo ktoś, kto miał wypadek samochodowy, umiemy ich zbadać na okoliczność zespołu pourazo-

wego" – stwierdza Campbell, autorka opracowania dotyczącego wpływu urazów mózgu spowodowanych przez przemoc domową na centralny układ nerwowy ofiary. Do objawów należą problemy ze wzrokiem i słuchem, napady drgawek, dzwonienie w uszach, utrata pamięci, bóle głowy i utrata przytomności. „Ale z jakiegoś powodu znacznie gorzej idzie nam z ofiarami [przemocy domowej] – kontynuuje. – Nie pytamy o to, czy ofiara straciła przytomność z powodu tych siniaków ani czy doświadczyła wcześniej duszenia i/lub urazu głowy. Musimy usprawnić stosowanie tej procedury w postępowaniu z maltretowanymi kobietami".

Istnieje wprawdzie narzędzie dla służb ratunkowych, określane akronimem HELPS, które ma na celu identyfikację ofiar przemocy domowej z potencjalnym urazem mózgu, ale jego stosowanie nie jest ani rozpowszechnione, ani znormalizowane. Audrey Bergin, dyrektorka grupy działającej na rzecz ofiar przemocy domowej DOVE w Northwest Hospital w Maryland, stwierdza, że choć narzędzie HELPS nie jest używane na tamtejszym pogotowiu, to jednak w programie bierze udział pielęgniarka, która przegląda dokumentację medyczną dotyczącą przypadków przemocy domowej i poszukuje ofiar, u których mogło dojść do urazu mózgu. Jak napisała w mejlu, taką osobę jeszcze niedawno określono by jako „trudną, nawet w naszym szpitalu"[62]. „Policjanci zakładają, że jest pijana, a prokuratura – że cierpi na chorobę psychiczną. […] Nawet personel medyczny lekceważy takie kobiety jako histeryczki. Udało nam się przeprowadzić w ich imieniu interwencję i pomóc innym służbom zrozumieć, że to uraz mózgu jest przyczyną części z ich zachowań i objawów".

Bariery w diagnostyce i leczeniu miewają czasem charakter jeszcze bardziej fundamentalny. Nie każdy szpital jest wyposażony w urządzenie do rezonansu magnetycznego, a nawet jeśli dysponuje takim sprzętem, obsługujący go personel nie pracuje przecież dwadzieścia cztery godziny na dobę przez siedem dni w tygodniu. Ofiary z obszarów wiejskich lub o niskich dochodach niemal na pewno trzeba przewieźć do centrum urazowego, co jest niezwykle kosztowne. Dodajmy do tego brak przeszkolenia i świadomości wśród osób udzielających pierwszej pomocy i personelu medycznego, a staje się jasne, dlaczego wiele ofiar przez całe życie zmaga się z konsekwencjami

niewidocznego, niezdiagnozowanego, nieleczonego urazu, który niemal nieuchronnie stygmatyzuje je w oczach otoczenia – mówi się o nich, że są szalone albo same sobie winne[63]. Aktywistki opowiadają o kobietach, które straciły pracę i prawo do opieki nad dziećmi. O kobietach, które otrzymują szczątkowe bądź wręcz zerowe wsparcie medyczne, emocjonalne i finansowe. Vella pamięta ze swoich badań uczestniczkę, której „życie doszczętnie zrujnowały” urazy mózgu powstałe w wyniku podduszania. Straciła pracę, wprowadziła się z powrotem do rodziców i nigdzie nie mogła poruszać się sama. „Wychodzi za próg do ganku i nie pamięta, dokąd szła” – mówi Vella. Opowiada o innej badanej, która straciła umiejętność czytania i pisania, a służby socjalne odebrały jej dzieci, bo uznano, że nie może się nimi opiekować. (Vella twierdzi, że ta kobieta nauczyła się czytać na nowo i odzyskała prawo do opieki nad swoimi dziećmi).

Nierzadko zdarza się, że ofiary przemocy domowej słabo pamiętają przebieg wypadków, które doprowadziły ich partnerów do kłopotów z prawem. Były w jednej części domu, a potem nagle w innej i nie pamiętają kolejności zdarzeń. Ich zeznania są mętne, a organy ścigania i sądy obarczają je ciężarem przedstawienia dowodu. Laik mógłby uznać, że kłamią. Często brzmią też histerycznie, co może stanowić jeden z symptomów. To, czego nauka dowiedziała się, badając żołnierzy, piłkarzy oraz ofiary wypadków samochodowych, dopiero teraz przebija się do świadomości w środowisku osób zajmujących się problematyką przemocy domowej: że luki w pamięci, odwoływanie wcześniejszych zeznań, zmieniające się szczegóły, a także szereg innych znaczników, jak niepokój, nadpobudliwość i bóle głowy, mogą świadczyć o urazie mózgu.

Campbell nazwała te czynniki ryzyka Oceną Zagrożenia. Według jej pierwotnych założeń z tego narzędzia miały korzystać pielęgniarki na pogotowiu – widziała tu siebie samą z przeszłości. Tymczasem zastosowanie Oceny Zagrożenia wyszło daleko poza pogotowie ratunkowe – do centrów kryzysowych, schronisk, wydziałów policji, kancelarii prawnych i sal sądowych. Narzędzia zaczęto używać w całych Stanach Zjednoczonych, od wybrzeża do wybrzeża, a następnie w wielu krajach na całym świecie. Zmieniło ono sposób, w jaki po-

strzega się ofiary przemocy domowej, i reguły, według których się z nimi postępuje.

Mówiąc, że kobiety często nie są świadome poziomu zagrożenia, Campbell ma na myśli, iż tego, co im grozi, nie potrafią umiejscowić w szerszym kontekście. Mogą nie zdawać sobie sprawy z faktu, że ten poziom wciąż rośnie. Mogą nie znać konkretnych danych dotyczących zabójstw z rąk partnera życiowego. Mogą zakładać, że dzieci będą bezpieczne, a nawet zapewnią im swego rodzaju ochronę. Coś w stylu: „On mnie nie skrzywdzi, jeśli dzieci będą w pobliżu".

Dziś bliscy Michelle wiedzą już, że kiedy Rocky ją od nich odizolował, była to oznaka represyjnej kontroli. Wtedy nie mieli pojęcia. Nie wiedzieli też o innej rzeczy: dostęp do broni to jeden z trzech podstawowych wskaźników ryzyka zabójstwa w wyniku przemocy domowej. Paul Monson nigdy nie zastanawiał się, czy Rocky ma dostęp do broni. Każdy w Montanie ma broń, a przynajmniej może ją bez większych problemów zdobyć.

Policjant z Billings powiedział mi kiedyś, że w Montanie niemal wciskają ci broń do ręki, gdy tylko wkroczysz w pełnoletność. Sally wie teraz o stalkingu, uzależnieniach i problemach z pracą. Ona i Paul zyskali tę wiedzę, gdy było już za późno. Dźwigają emocjonalne piętno żalu i poczucia winy, nie mogą zapomnieć tego, co już wiedzą, ale żałują, że nie mieli szansy, by dowiedzieć się o tym wcześniej.

Jednak Michelle wiedziała, że Rocky jest niebezpieczny, nawet jeśli nie była do końca świadoma, jak bardzo. Miała przeczucie. Instynktownie odmówiła wniesienia oskarżenia. Wiedziała o tym, bo w niedzielę przed śmiercią odwiedziła Alyssę i Ivana, zwierzyła im się, że Rocky zrobił się podły. Mówiła, jak bardzo jest przerażona. Jak bardzo zdeterminowana, żeby się uwolnić. To właśnie ten szczególny kontekst, ów zestaw elementów, sprawił, że sytuacja nagle zrobiła się niebezpieczna. „Miała już tego dosyć. To było widać" – powiedział mi Ivan. Alyssa i Melanie to potwierdziły. Sposób, w jaki o tym mówiła przez cały ten ostatni weekend swojego życia – miała dosyć. A jeśli Alyssa, Ivan i Melanie to zauważyli, można założyć z dużą dozą prawdopodobieństwa, że Rocky też musiał to dostrzec i że coś w nim

się zapaliło, przeraziło go nie na żarty. Tym razem miała to zrobić naprawdę. Wiedziała o tym, bo dla bezpieczeństwa wysłała dzieci do Sally. Wiedziała, bo złożyła wniosek o zakaz zbliżania, wypróbowała działanie systemu, żeby sprawdzić, czy może jej pomóc.

Nie wiedziała jednak, jak poskładać te wszystkie wskazówki, całe lata, tygodnie i miesiące przed jej zabójstwem. Wskazówki, z których mogłaby ułożyć obraz – i dzięki niemu zobaczyć, w jak wielkim niebezpieczeństwie się wówczas znalazła. Nie dostrzegała tej eskalacji, choć instynktownie czuła, że musi postępować tak, jak gdyby tworzyła z nim jeden zjednoczony front.

Zamiast tego Michelle widziała to, co tyle innych kobiet przed nią: że sprawca wydaje się potężniejszy od systemu.

A skąd dokładnie wzięło się u niej takie przekonanie? Stąd, że Rocky włamał się do domu Sally, uderzył Melanie, chwycił Sally za kark i odepchnął, kiedy próbowała osłonić Kristy i Kyle'a własnym ciałem, usiłowała zapewnić im bezpieczeństwo, a potem porwał Kristy. Rozszyfrowanie tych działań ma krytyczne znaczenie. Rocky włamał się do cudzego domu, napadł na dwie kobiety, wyciągnął stamtąd dziecko. Każdym z tych działań wysyłał Michelle sygnał, że środki bezpieczeństwa, które próbowała zastosować – zostawiając dzieci z mamą, samotnie stawiając mu czoła, w końcu przysięgając, że odejdzie na dobre – nie dorównywały temu, czego chciał Rocky. Policja zachowała się tak, jak gdyby ofiary – Sally i Melanie – histeryzowały i wyolbrzymiły całe zajście. Facet zabrał własne dziecko. W końcu to jego dziecko. Kluczowe są przesłania dotyczące płci: mężczyźni są silni, kobiety słabe. Mężczyźni mają władzę, kobiety są bezsilne. Mężczyźni są racjonalni, kobiety są histeryczkami. Niezależnie od tego, czy jesteś brutalnym oprawcą, czy przestrzegającym prawa funkcjonariuszem, mężczyźni po obu stronach równania rodziny Monsonów wysłali kobietom taki sygnał.

Kiedy Rocky wyszedł za kaucją, było to jeszcze ważniejsze przesłanie dla Michelle. Tym razem oznaczało: nie tylko jestem silniejszy od ciebie, ale system przedkłada moją wolność nad twoje bezpieczeństwo. Rocky manipulował, kim mógł, żeby zapewnić sobie wolność – w tym przypadku Gordonem i Sarah – i w ten sposób utrzy-

mał kontrolę nad Michelle. Ale teraz to nie była już wyłącznie kontrola; to była kontrola i wściekłość.

Poprzez te drobne, pozornie niepowiązane zdarzenia Rocky pokazywał jej coś jeszcze ważniejszego: że jeśli będzie próbowała go powstrzymać, użyć systemu, by go pokonać, on i tak wygra, a na wypadek, gdyby nie dotarły do niej te dwa komunikaty, dopilnował, by zrozumiała, że nastąpi eskalacja, że odbierze jej to, co dla niej najważniejsze na świecie: jej dzieci.

Michelle zrobiła zatem to samo, co przez lata całe rzesze innych ofiar. Mogły one nawet nie zdawać sobie sprawy z tego, że to ostatnia, desperacka próba ochrony przed mężczyzną, który zawsze był niebezpieczny, ale teraz był niebezpieczny, wściekły i wystraszony. Mężczyzną, który teraz był niedźwiedziem. Michelle stanęła po jego stronie. Podporządkowała się systemowi i próbowała okazać Rocky'emu lojalność, wycofując wniosek o zakaz zbliżania i odwołując zeznania. Próbowała wrócić do jego łask, kupić sobie trochę czasu, by znaleźć bezpieczne wyjście z sytuacji. Można o tym myśleć także w taki sposób: Michelle Monson Mosure z całą pewnością nie zamierzała zostać. Była ofiarą, która usiłowała znaleźć sposób na to, by stać się ocalałą – choć raczej nie myślała o sobie w ten sposób.

Kiedy sytuacja osiąga tak krytyczny poziom, często jest już za późno, chyba że funkcjonariusze systemu – policja, aktywistki, sądownictwo – są świadomi kontekstu tego rodzaju działań i dysponują odpowiednimi środkami, aby im zaradzić. Takimi jak oskarżenie oparte na dowodach (a nie na świadkach, tak aby ofiary nie musiały zeznawać w sądzie, co omówię szerzej w kolejnym rozdziale), policjanci przeszkoleni w niuansach dynamiki emocjonalnej i psychologicznej czy sędziowie, którzy potrafią ocenić śmiertelne zagrożenie i zaproponować taką strategię powstrzymania sprawcy, którą ten nie będzie mógł łatwo manipulować. Kiedyś wypełniłam Ocenę Zagrożenia dla Michelle. Wynik wyniósł szesnaście do osiemnastu punktów. (Na dwa pytania w jej przypadku nigdy nie poznamy odpowiedzi). Tym samym znalazła się w kategorii najwyższego zagrożenia zabójstwem w wyniku przemocy domowej.

To właśnie nieumiejętność zrozumienia owych krytycznych momentów w kontekście sprawia, że pytanie „Dlaczego nie odeszła?"

jest tak frustrujące.

Przyjrzyjmy się Michelle Monson Mosure. Przyjrzyjmy się każdemu przypadkowi zabójstwa popełnionego przez partnera życiowego w dowolnym miejscu i w dowolnym roku, a będzie to wyglądało tak samo: próbowała wszystkiego, co mogła. Próbowała raz za razem, ale równanie, a raczej pytanie, to nie jest kwestia odejścia czy pozostania. To kwestia życia lub śmierci.

Zostają, bo chcą żyć.

A i tak umierają.

Michelle Mosure została dla swoich dzieci i dla siebie. Została z dumy, z miłości, ze strachu i z powodu sił kulturowych i społecznych, na które nie miała wpływu. A każdy, kto ma dość kompetencji, by dostrzec kontekst, zobaczy w niej nie kogoś, kto został, ale kobietę, która skradała się ostrożnie ku wolności.

A potem będą się modlić

Michelle odebrała Kristy i Kyle'a ze szkoły w poniedziałek przed Świętem Dziękczynienia. Na chwilę wpadła do domu koleżanka Kristy, ale potem wyszła. Michelle podała dzieciom kolację. Może trochę się z nimi pobawiła. Może oglądali telewizję. Miała iść do ojca i pomóc mu posprzątać dom przed wolnym, na przyjazd babci z Dakoty Północnej. Nigdy tam nie dotarła. Około godziny siedemnastej sąsiad widział, jak Rocky gapi się w okna.

Alyssa nie przestawała do niej dzwonić. Poniedziałek wieczorem, wtorek rano, wtorek po południu, wtorek wieczorem.

Sally, podobnie jak Sarah i Gordon, nie miała z nimi kontaktu od incydentu z września, kiedy Michelle odwołała zeznania. Widziała dzieci raz, na Halloween, gdy Michelle przyprowadziła je, żeby pokazać ich kostiumy. Sarah widziała Rocky'ego tylko raz, w dniu, w którym został zwolniony za kaucją, kiedy rozmawiała z nim o włamaniu do domu Sally. Jego wersja wydarzeń tak bardzo różniła się od tego, co opisała Melanie, że – być może po raz pierwszy – dotarło do niej, jakim był „patologicznym kłamcą… Powiedziałam: Jesteś chory". To były jedne z ostatnich słów, jakie od niej usłyszał.

W Billings spadł śnieg i zrobiło się zimno. Michelle powiedziała Alyssie, że ma teraz więcej dowodów na romans Rocky'ego, choć nie wspomniała, co konkretnie miała na myśli. W piątek przed Świętem Dziękczynienia Michelle zjawiła się w domu Paula z dziećmi i walizką. Oznajmiła, że w końcu odchodzi od Rocky'ego, i spytała ojca, czy mogą u niego przenocować.

Rano Michelle kazała Paulowi obiecać, że nie odda Rocky'emu dzieci, bez względu na wszystko. Rocky musiał obserwować dom, bo kiedy tylko Michelle wyszła, był przy drzwiach i błagał Paula, żeby pozwolił mu zabrać dzieci, choć na kilka godzin. Obiecał, że nic im nie zrobi. Chciał tylko zabrać je na *Harry'ego Pottera*. Zaraz po filmie przywiózłby je z powrotem. A Paul mu uwierzył.

Rocky spędził tę noc z dziećmi w hotelu, a Michelle szalała z niepokoju. Rozmawiała z Melanie i Alyssą, pojechała do Alyssy i Ivana i została na wiele godzin – w przeszłości rzadko kiedy wolno jej było to zrobić. Siedzieli w jacuzzi i rozmawiali o tym, że tym razem naprawdę miała dość. Była absolutnie i całkowicie pewna, że Rocky nigdy się nie zmieni, i zamierzała go zostawić.

W niedzielę Rocky znowu zjawił się w domu Paula, tym razem wrzeszczał na Michelle, kopał w drzwi i walił w nie pięścią. Rzucił się na nie całym ciężarem ciała, tak samo jak w domu Sally sześć tygodni wcześniej – pozostawił wgniecenia, które widziałam po latach. Tym razem nie udało mu się wedrzeć do środka, więc zmienił taktykę: powiedział Michelle, że Kristy wymiotowała krwią. Michelle doskonale wiedziała, że Rocky kłamie, ale i tak z nim pojechała, bo jaki rodzic by tego nie zrobił? Kristy, rzecz jasna, nic nie dolegało. Ostatecznie Michelle wróciła tamtej nocy do domu ojca, zostawiwszy dzieci z Rockym.

W poniedziałek Kristy i Kyle poszli do szkoły. Napisali wypracowania o nadchodzącym święcie, a Kristy wspomniała o tym, jak dobrze się bawiła, pływając w weekend w hotelowym basenie, o tym, że na Święto Dziękczynienia chce zobaczyć swoje ciocie („ciocze"), i że kiedy jej babcia przyjedzie z Dakoty Północnej, usiądą razem przy dużym stole i „będą się modlić do pana boga za to, co dobrego dla nas zrobił". Kyle pisał o nauce jazdy na rowerze.

Gdy dzieci po raz ostatni siedziały na lekcjach, ich ojciec zajrzał do najnowszego numeru gazetki „Thrifty Nickel" i znalazł ogłoszenie faceta, który miał na sprzedaż używany pistolet Llama kaliber czterdzieści pięć. Jak potem sprzedawca powiedział policji, Rocky wspomniał, że kupuje go dla żony. Facet założył, że ma to być prezent. Prawo nie nakazywało wywiadu środowiskowego ani trzydniowego okresu oczekiwania.

Michelle odebrała dzieci ze szkoły i cała trójka pojechała do domu – zapisanego na jej nazwisko. Rocky tymczasem zgodził się zostać u Sarah i Gordona. Michelle dała dzieciom kolację, a potem zaczęła je układać do snu. Na szczoteczkach do zębów była nałożona, nieuży-

wana pasta. W pewnym momencie, tuż zanim położyły się do łóżek, zjawił się Rocky.

Może pomyślała: „Muszę uciekać”.

Może pomyślała: „Jak się go stąd pozbyć?”.

Może pomyślała: „Mam już dość, nigdzie się nie ruszam”.

Nikt się już tego nie dowie.

Rocky miał broń z ogłoszenia w „Thrifty Nickel” i puszkę benzyny, planował spalić dom, żeby wyglądało, jak gdyby zginęli przez przypadek. Straszna tragedia. Pożar domu. Gumą do żucia zatkał zapłon w samochodzie Michelle, na wypadek gdyby próbowała uciec.

Kiedy wszedł do domu, Michelle musiała spanikować, bo zabrała dzieci do piwnicy. Na jej torebce były ślady zadrapań, a jej zawartość leżała rozrzucona dokoła. Może gorączkowo szukała gazu pieprzowego od ojca. Rocky strzelił najpierw do niej. Cztery razy. Dwa razy w klatkę piersiową, raz w głowę, raz w ramię. Upadła w najdalszym pomieszczeniu piwnicy. Dzieci musiały widzieć, co robi ich ojciec. Uciekły, oboje. Kristy została postrzelona w następnej kolejności, w głowę, i upadła u stóp schodów. A potem Kyle, który niemal dotarł do szczytu, kiedy ojciec też go zastrzelił. Chłopczyk przewrócił się, zsunął po stopniach i zatrzymał na dole, zostawiając za sobą smugę krwi od szczytu schodów do ich stóp.

Rocky zebrał rodzinne filmy, włożył do torby i zaniósł do garażu. Napisał kartkę z wiadomością: „Niezdradziłem” [*sic*]. A dalej: „Kocham Michelle całym sercem. Dopóki nas śmierć nie rozłączy”.

Następnie rozlał benzynę dokoła domu, zapalił zapałkę, zszedł do piwnicy i się zastrzelił. Ogień płonął powoli.

Nie zginął od wystrzału. Zginął od zatrucia dymem. Może leżał tam i myślał o tym, co zrobił, w otoczeniu martwych członków rodziny. Może to wtedy napisał na ramieniu: „Jestem diabłem”, a może miało to znaczyć: „Zasłużyłem na to, żeby pójść do piekła”.

Zginęli w poniedziałek w nocy, cała czwórka.

Ogień w domu tlił się, ale nigdy tak naprawdę nie zapłonął. Była zima, okna były szczelnie zamknięte, więc brakowało tlenu, który

pozwoliłby na dobre rozszaleć się płomieniom. Dym krążył i wirował, aż ogień wygasł, a wszystko wewnątrz było czarne, zniszczone. Ściany wyglądały, jakby się stopiły. Kiedy policja weszła do domu, telewizor jakimś cudem wciąż był włączony, ale widać było tylko niebieski ekran. Alyssa też to pamięta. Niebieski ekran i stopiona obudowa telewizora z czarnego plastiku. To było sprzeczne z logiką. Sadza pokrywała wszystko: ściany, podłogi, okna. Większość mebli spłonęła.

We wtorek wieczorem, kiedy Michelle ciągle nie odbierała telefonu, Alyssa zadzwoniła do ojca. Potem razem zadzwonili do Sally. A potem we trójkę poszli do domu. Kiedy wysiedli z samochodu przed pogrążonym w ciemności budynkiem, poczuli ten zapach. Gęsty dym, benzyna. Paul miał klucz, ale gdy zbliżał się do drzwi, przemknęła mu przez głowę nagła, przerażająca myśl. Może Rocky zastawił jakąś pułapkę? Powiedział Sally i Alyssie, żeby niczego nie dotykały.

Serce biło mu jak oszalałe, otworzył drzwi i ostrożnie wszedł do środka. Zawołał Michelle. Panowała złowieszcza, głęboka cisza, od czasu do czasu przerywana jakimś trzaskiem, a potem ten zapach, który niemal zwalił ich z nóg. Zakrztusili się. Alyssa powiedziała później: „Już wiedziałam. Wiedziałam od razu". Sally zauważyła dzieci na schodach w piwnicy, a na dole leżał Rocky. Jego twarz wykrzywiał grymas. Ta twarz nawiedza ją po dziś dzień, oczy otwarte i wytrzeszczone. Czyste zło, jak mówi. Twarz diabła. Musiała długo patrzeć, zanim dotarło do niej, że to naprawdę on. Nigdy tego nie zapomni. Twarz wykręcona agonią i wściekłością. Twarz kogoś, kto był też kiedyś kochany. Później pomyślała, że na twarzy miał wypisane coś, co określiła jako „zamęt". „Było w nim wiele bólu – powiedziała. – W pewnym sensie nosił w sobie jakąś ranę". Choć wiele lat upłynęło, zanim to dostrzegła.

Sally nie widziała Michelle, ale i tak wiedziała. Już wiedziała. Oddała mocz tam, na schodach, a potem wybiegła na zewnątrz, na krawężnik. Poszła do sąsiadów, od których zadzwoniła na policję i pożyczyła parę czystych spodni.

Alyssa pobiegła na środek podwórka przed domem, padła na kolana i zwymiotowała.

Paul wybiegł tylnymi drzwiami, szukał Michelle, myślał, że może, może jeszcze gdzieś jest, że jakoś przeżyła. Pobiegł do garażu, gdzie Rocky trzymał swoje mustangi, a tam znalazł kasety wideo i kartkę od Rocky'ego.

Przyjechała policja.

I znaleźli Michelle.

Nie mogę już tu mieszkać

Wieczorem w Święto Dziękczynienia, półtorej doby po znalezieniu ciał w zwęglonym domu, Sarah poszła do sklepu spożywczego. Normalnie się tam gubiła, bo to głównie Gordon robił zakupy. Teraz była oszołomiona, wszyscy ci krewni przyjechali na święto, a to życie, które dotąd znali, właśnie się skończyło. A mimo to musieli oddać się prostej czynności bycia człowiekiem: musieli jeść, spać, kąpać się, ubierać. W tamtym roku zjedli świąteczny obiad w Perkins, w niemal zupełnym milczeniu. Pomyślała, że wieczorem w Święto Dziękczynienia w sklepie nie będzie nikogo, więc pobiegła tam, a w kolejce do kasy stała jej była współpracownica z córką. Kobieta przywitała się z Sarah, życzyła jej wszystkiego najlepszego. Sarah odwzajemniła życzenia, choć nie pamięta jak. Kobieta przedstawiła jej córkę i powiedziała, że jest strasznie miło, kiedy w odwiedziny przyjeżdżają wnuki i cała rodzina. Wyciągnęła zdjęcia swoich wnuków i pokazała je Sarah. Urocze. A tak przy okazji, czy Sarah ma wnuki?

No więc? Ma czy nie ma?

Zaledwie dzień wcześniej miała czworo. Teraz miała dwójkę. Czy to znaczyło, że miała czworo czy dwoje? Jak obliczyć taką arytmetykę, morderstwo plus morderstwo plus morderstwo? Nie wiedziała, jak odpowiedzieć. Mam… Miałam. Czworo, teraz już dwoje. Straciłam je. Wyrzucała z siebie różne rzeczy, nie wiedziała co.

Je? Sarah pamięta, że ta kobieta tak powiedziała. Oboje?

I wtedy Sarah po raz pierwszy wypowiedziała te słowa na głos: „Ich ojciec je zabił”.

Mówili już o tym w wiadomościach w całym kraju, od Billings po Salt Lake City i Spokane.

Taśma zatrzymała się, a kasjerka wyszła zza kasy i otoczyła Sarah ramionami, i tak stały tam razem, cztery kobiety, we fluorescencyjnym świetle sklepowych lamp, zawieszone w agonii, której nie sposób wyrazić słowami.

W następstwie takiej straty przybierasz inny kształt. Bliscy *Michelle* zrobili dokładnie to samo co Campbell, kiedy dowiedziała się o śmierci Annie: zadawali sobie pytanie, co przeoczyli, jak mogliby interweniować. Obwiniali siebie. Skierowali swój ból do wewnątrz. Sally, Paul, Alyssa, Melanie, Gordon, Sarah, Ivan… wszyscy oni dźwigają widmo tych pytań jak kamienie młyńskie. Sally przybrała na wadze i postarzała się z dnia na dzień. Alyssa popadła w otępienie, kłóciła się z Ivanem, próbowała uchwycić Michelle w rysunku, który kompulsywnie poprawiała, kreśląc i wymazując w kółko te same linie przez całe lata, jak gdyby była uwięziona w papierze. Sarah i Gordon żyli w płytkiej przestrzeni pomiędzy żalem a poczuciem winy, w swoim prywatnym wiecznym czyśćcu.

– Straciliśmy ich wszystkich, tak samo jak oni – mówi Sarah, mając na myśli rodzinę Michelle – ale to nam przypadł w udziale cały wstyd.

Sally prześladowały sny. Niekończące się sny, które trwały przez lata. Śniła o Michelle i o dzieciach, a w jej domu działy się rzeczy, których nie potrafiła wyjaśnić: zabawka, którą bawił się Kyle, nagle uruchamiała się, chociaż nie działała od miesięcy. A ona czuła jego obecność. Coś ocierało się o jej rękę, a ona wiedziała, że to Michelle.

Melanie była w ciąży, więc Sally, która najpierw była babcią, a teraz już nie, za kilka miesięcy znów miała nią zostać. Mitchell, tak chcieli go nazwać. Na cześć ciotki, której miał nigdy nie poznać.

Echa śmierci Michelle Monson Mosure nadal odczuwa się w Montanie. Podczas jednej z moich licznych podróży do Billings, gdzie rozmawiałam z rodziną Rocky’ego i Michelle, pracownikami służb socjalnych i policją, wybrałam się do biura prokuratora. Funkcję tę pełnił wówczas Ben Halverson, mężczyzna o dziecięcej twarzy i jasnych włosach. Kiedy uprzedziłam go przez telefon, że chcę porozmawiać o sprawie Michelle, zamilkł na chwilę, a potem odparł zdławionym głosem: „Ta sprawa do dzisiaj mnie prześladuje”. Ben Halverson był nastolatkiem w czasie, gdy zginęła Michelle. Nie znał jej. Nie znał nikogo z jej rodziny. Jak stwierdził, we własnym środowisku nie zetknął się nigdy z przemocą domową. W dzieciństwie jeździł z rodzicami do elitarnego ośrodka wypoczynkowego, gdzie nikt

nie mówił o przemocy w rodzinie. Ale śmierć Michelle stanowi siłę napędową jego pracy.

W dniu, w którym miałam umówioną rozmowę z Benem Halversonem, odwiedziła mnie Stacy Tenney – przyniosła stos akt dotyczących przemocy domowej. Przejrzała je ponownie przed naszym spotkaniem i przygotowała dane na temat tego, kogo i o co oskarżyli. Na temat postępów, jakie poniekąd poczynili od czasu śmierci Michelle.

Stacy jest subtelna i cicha, w kontakcie z nią ma się wrażenie, że jako dziecko musiała chodzić na lekcje baletu. Jedwabna bluzka delikatnie ją opływała. Powiedziała mi, że bardzo przeżyła śmierć Michelle. Ciągle przeglądała akta, podobnie jak rodzina Michelle, zastanawiała się, co takiego jej umknęło. A Stacy umknęło to, czego Michelle jej nie powiedziała. „Nie jestem pewna, czy dzisiaj postąpiłabym inaczej" – wyznała, a ja miałam wrażenie, że mówiąc to, odczuwa niemal fizyczny ból. To jej biuro odpowiada za umorzenie sprawy wtargnięcia do domu Sally, kiedy Michelle odwołała zeznania, chociaż to policja napisała wstępny raport, bagatelizując powagę sytuacji, przez co trudno było znaleźć podstawy do postawienia Rocky'emu zarzutów. Pomyślałam, że wykazała się odwagą, w ogóle godząc się, by ze mną porozmawiać.

Sally podwiozła mnie do szkoły podstawowej, do której uczęszczali Kristy i Kyle. Są tam drzewo poświęcone ich pamięci oraz ławka do medytacji i tablica z wygrawerowanymi nazwiskami. Nauczycielka Kristy nie była w stanie udźwignąć żałoby i musiała wziąć urlop na resztę roku szkolnego. Sally mówi, że czasami zdarza się, że otwiera książkę, którą jedno z jej wnucząt wypożyczyło z biblioteki, a w książce na liście czytelników widnieje nazwisko Kristy albo Kyle'a, wpisane tam przed laty za ich życia – za każdym razem jest to jak porażenie prądem.

Pewnej nocy, mniej więcej rok po ich śmierci, Sally śniła o Michelle, na drugim brzegu rzeki, której wodą się chrzciła, i poczuła, że piecze ją ucho. „Kiedyś po ich śmierci modliłam się cały czas: »Błagam, niech do mnie przyjdą« – a teraz poczułam to pieczenie i ten impuls, by iść na górę do dawnego pokoju Michelle, a tam była Kristy i powiedziała do swojej Bugga: – »Nic nam nie jest. Tata się za-

bił, bo było mu źle«”. Sally powiedziała, że znalazła w tym pocieszenie.

Po tym, co zrobił Rocky, Paul chciał zrównać dom z ziemią, ale Sally mówi, że władze miasta mu na to nie pozwoliły, więc sprzedał go za grosze, żeby się go pozbyć raz na zawsze. Nowy właściciel zadzwonił do Sally i powiedział, że pewnego dnia piaskował ściany i znalazł w sadzy drobne ślady stóp. „Znam teraz świat duchów – powiedziała mi Sally. – Nigdy wcześniej w to wszystko nie wierzyłam”.

Alyssa powiedziała, że ciągle śni jej się, że ratuje dzieci, że zawija je w dywany, ukrywa pod materacem albo w szafce, wszędzie, byleby tylko Rocky im nie zagrażał. Alyssa narysowała Michelle, ale nie potrafiła dobrze uchwycić jej nosa i cały czas pracowała nad rysunkiem, to wymazując go, to szkicując w kółko na nowo, aż pewnego wieczoru, kiedy była sama, usłyszała, jak jakiś głos wypowiada szeptem jej imię, i mogła przysiąc, że rysunek się do niej uśmiechnął, a potem przestała się nim zajmować. Podjechała tam, gdzie Michelle, Rocky i dzieci jeździli kiedyś na biwaki, zrobiła zdjęcie lasu, a później, gdy jej wywołała, zobaczyła twarz Michelle w drzewie – siostra obejmowała dzieci ramionami; Rocky i Bandyta też tam z nimi byli.

Michelle została pochowana z dziećmi w jednej ponadwymiarowej trumnie – ułożono ją tak, że obejmowała je rękami. Pewnego wieczoru Alyssa pokazała mi rysunek – cała trójka leży na nim z zamkniętymi oczami – a ja poczułam się przez chwilę tak, jak gdyby Michelle była także moją siostrą, jak gdybym ja także ją straciła. Musiałam wtedy odwrócić wzrok, nie mogłam dłużej patrzeć. Alyssa znalazła książkę *Life After Trauma* [Życie po traumie] – przeczytała całą, wypełniła wszystkie testy i dowiedziała się z niej tego, co już sama dobrze wiedziała: że przeżywała żałobę. Że miała stres pourazowy. Że nie mogła przestać tęsknić za swoją siostrą.

Sally stwierdziła, że nie może już mieszkać w domu, w którym wychowała swoje trzy córki. To było zbyt bolesne. Natomiast Alyssa powiedziała jej, że nie może mieszkać nigdzie indziej, tylko w tym domu, więc kupiła go od matki i mieszka tam do dziś. Sally jest tuż obok, na tej samej ulicy. Melanie, od kilku lat czysta, właśnie kupiła swój pierwszy dom, niedaleko nich, też w Billings, a Sally myśli z

ulgą, jakie to wielkie szczęście, że Melanie po wszystkim daje sobie radę i że narkotyki jej nie odbiorą, że nie straci kolejnej córki.

Ivan przyznaje, że długo kłócili się z Alyssą, aż w końcu się rozstali. Mówi, że po tych morderstwach nie dało się uratować ich związku. Ona była miłością jego życia, a Rocky mu to życie zniszczył, przynajmniej na jakiś czas. „Oni nienawidzili [Rocky'ego] – powiedział Ivan o krewnych Alyssy – co zupełnie zrozumiałe. Ale to przecież mój przyjaciel z dzieciństwa. Nie zawsze taki był". Ivan przybrał na wadze, przez kilka lat szukał zapomnienia w alkoholu, a potem się ogarnął i wrócił do życia. Ma teraz swoje psy, wspólną opiekę nad córką, pyszne wędzone mięso, pracę i dom, i w zasadzie daje sobie radę.

Sarah i Gordon usunęli się w cień. W pracy przez niemal rok nikt nie wspominał o morderstwach, nawet kolega, którego Sarah uważała za jednego z najbliższych przyjaciół. Dopiero wiele, wiele później zwierzył się jej, że nie miał pojęcia, co powiedzieć, więc milczał. Codziennie po pracy wracała do cichego domu i cichego męża. Nie mogli o tym rozmawiać. Nie mogli przeżywać żałoby. Nie mogli dzielić się swoim bólem. Utknęli, jakby zamrożeni w miejscu. Nie potrafili się z tego podnieść. Sarah chodziła na terapię, ale Gordon się zaciął.

– Robił się coraz bardziej wycofany, aż kiedyś po prostu się zamknął – mówi Sarah. – I w końcu pewnego dnia powiedziałam mu, że już dłużej tego nie wytrzymam. W nocy ten dom jest jak czarna chmura.

Spakowała się i odeszła, choć miała za sobą kilka dekad małżeństwa z Gordonem i nie wyobrażała sobie życia bez niego. Wynajęła mieszkanie w mieście i powiedziała mu, że nie wróci.

– Takie rzeczy rozbijają rodziny – stwierdza. – Nie chciałam się rozwodzić, ale nie mogłam tak dalej żyć.

Coś w nim wtedy pękło. Być może dotarło do niego, że stracił już tak wiele, że nie może stracić i jej. Dla mężczyzny takiego jak on otwarcie się i rozmowa to gigantyczne wyzwanie, a mimo to poszedł po pomoc do specjalisty i zaczął brać antydepresanty, a potem oboje wybrali się na terapię dla par. Pomyślał sobie, że może powinien był to zrobić już dawno, dawno temu. Kiedy Sarah się wyprowadziła,

chodził do jej mieszkania i zabierał ją na randki, próbował ją odzyskać, a ona przez pół roku mówiła mu, że jeszcze nie wie, czy do niego wróci. Dalej więc umawiał się z własną żoną, na nowo się do niej zalecał. Jej przyjaciele stwierdzili, że w życiu nie widzieli takiej wariackiej separacji. Terapia pomagała. Trochę z nią o tym rozmawiał. Niewiele, ale biorąc pod uwagę jego cichy stoicyzm, to i tak było bardzo ważne, a Sarah to zauważyła, widziała, jak Gordon bardzo się stara i jak bardzo cierpi. W końcu do niego wróciła. Na tyłach domu urządzili mały ogródek, z różnymi drobiazgami, które spodobałyby się dzieciom. Kolorowy blaszany żółw, karmnik dla ptaków wykonany ze starej tablicy rejestracyjnej, metalowa koza pomalowana na biało. Posadzili szałwię i serduszkę dla Michelle. A pośrodku tego wszystkiego – niewielki kamień, który widziałam z daleka. *Na zawsze w naszych sercach. Gordon Edward „Rocky" Mosure*. On nie ma grobu. Został skremowany, a oni nie wiedzieli, co mają z nim zrobić. Jest daleko od pozostałych, a ja pomyślałam o Paulu Monsonie i o tym, jak opisał biel. Kolor sam w sobie. Najlepszy wybór, gdy nie wiesz, co zrobić. Rocky jest ukryty przed wzrokiem wszystkich poza nimi, w tym „ogrodzie pamięci", w ich domu, na zawsze.

Zatem wszyscy szukali dla siebie sposobu, by dalej żyć, by pozostać wśród żywych. Sarah w końcu zgłosiła się jako wolontariuszka do schroniska dla ofiar przemocy domowej w Billings. Nie jest religijna, ale mówi, że kiedy czasami widzi tęczę, to wierzy, że to dzieci.

– To bzdura, ale człowiek chwyta się, czego tylko może – oznajmia.

A Sally w końcu przeczytała w lokalnej gazecie coś, co przyniosło jej pewną pociechę po bezsensownej śmierci Michelle, Kristy i Kyle'a. Coś, co sprawiło, że ich śmierć będzie miała znaczenie dla wielu osób spoza ich własnej rodziny. Wsiadła więc do samochodu i pojechała do oddalonego o dwie godziny drogi Bozeman, bo tam mieszkał niejaki Matthew Dale.

Systemy, wypadki, incydenty

Wiele lat temu Neil Websdale, wykształcony w Anglii kryminolog, profesor na Northern Arizona University, potrzebował zabiegu okulistycznego. W dniu operacji w gabinecie chirurga okulisty przywitała go pielęgniarka, która bezceremonialnie nakreśliła wielki znak „X" nad jego chorym okiem. Websdale, który był nie tylko naukowcem, ale i człowiekiem z natury dociekliwym, zapytał, czemu ma to służyć. Pielęgniarka odparła: „Pewnie wolałby pan, żebyśmy operowali to oko, co trzeba, prawda?". W rzeczy samej, faktycznie wolał. Martwiło go jednak, że musieli to najpierw zaznaczyć. Czyżby lekarze aż tak często się mylili?

Pielęgniarka powiedziała mu, że powinien poczytać badania dotyczące wypadków w medycynie. To niesamowite, ile pomyłek popełnia się podczas operacji w Stanach Zjednoczonych – wówczas były to dziesiątki tysięcy rocznie. W szczególności poleciła mu artykuły w piśmie „Atlantic" poświęcone katastrofom lotniczym oraz literaturę dotyczącą błędów medycznych. Później rzeczywiście to wszystko przeczytał, ale tego dnia, kiedy wszedł do poczekalni, zobaczył, że wszyscy mieli znak „X" nad jednym okiem. „To było takie proste remedium – powiedział po latach do sporego audytorium podczas wideokonferencji. – Prosty sposób, by zapobiec błędom podczas operacji. […] Badania błędów w medycynie, lotnictwie czy wykorzystywaniu paliw nuklearnych wykazały, że problemom można w przyszłości zapobiec, jeśli tylko poddamy każdą tragedię i każdy wypadek starannej analizie".

Websdale, żwawy mężczyzna po sześćdziesiątce, zazwyczaj zaczyna dzień od energicznego biegu w górskim, rozrzedzonym powietrzu miejscowości Flagstaff, gdzie mieszka. Włosy ma srebrnobiałe, a oczy jasnobłękitne. Wyrzuca z siebie statystyki, fakty i teorie z prędkością karabinu maszynowego; jest urodzonym gawędziarzem, a jego brytyjski akcent stępiły nieco dziesięciolecia spędzone w Ameryce.

Jak sam przyznaje, jego poglądy są dość kontrowersyjne. Uważa, że sprawcy są tak samo uwięzieni jak ich ofiary.

– Wszyscy pytają, dlaczego ofiara po prostu nie odejdzie – oświadcza. – Ale nikt nie pyta, dlaczego sprawca zostaje.

Oto kolejny pogląd, który Websdale nazywa paradoksem przemocy domowej: zarówno literatura dotycząca przemocy wobec partnerów życiowych, jak i organizacje pomocowe zgodnie twierdzą, że sprawcy chodzi o władzę i kontrolę, ale Websdale wierzy, że sprawcy są jednocześnie potężni i bezsilni. Mają kontrolę i są jej pozbawieni.

Websdale to specjalista od połączeń i systemów, nieustannie poszukuje znaczeń i metafor. Jak na przykład to oznakowanie przedoperacyjne. Genialna sprawa. Takie proste rozwiązanie. Jakie inne rozwiązania czekają jeszcze na odkrycie? Rozwiązania naszych najgorszych błędów. Nie tylko zrobił to, co tamtego dnia zasugerowała mu pielęgniarka, ale poszedł znacznie dalej. Nawiązał kontakt z innymi branżami – z Federalną Administracją Lotnictwa, ale też z przedstawicielami przemysłu paliwowego i medycznego. Jak radzą sobie z pomyłkami w swoich dziedzinach? Jak tworzą systemy, w których minimalizuje się ryzyko błędu? Usłyszał o National Transportation Safety Board (NTSB), czyli Krajowej Radzie Bezpieczeństwa Transportu, i o jej roli w zapobieganiu katastrofom samolotowym. Specjaliści NTSB opracowali sekwencję zdarzeń katastrofy, analizując każdy istotny szczegół, począwszy od sprzedawcy biletów, poprzez pilota i obsługę lotu, a skończywszy na mechanice i kontroli ruchu lotniczego oraz warunkach pogodowych. Poszukiwano luk w systemie, momentów, które załoga mogła przeoczyć, wszystkiego, czego jeszcze brakuje w mechanizmie bezpieczeństwa. Członkowie rady pracowali nie jako samodzielni eksperci, ale jako zespół, dzieląc się wiedzą niezależnie od tytułów naukowych i pozycji zawodowej. Websdale czytał o błędach medycznych, o paliwach jądrowych, o tym, czego nauczyliśmy się po Czarnobylu i Fukushimie. Rozmawiał z Michaelem Durfeem, koordynatorem medycznym w zespole do spraw zapobiegania przemocy wobec dzieci z Wydziału Zdrowia w hrabstwie Los Angeles, który w poszukiwaniu rozwiązań przeanalizował przypadki śmierci i znęcania się nad dziećmi. Powoli w głowie

Websdale’a zaczął dojrzewać pewien pomysł. A gdyby tak zebrać te wszystkie informacje z rozmaitych dziedzin i dostosować je do zabójstw w wyniku przemocy domowej? Gdyby system działał wydajniej, a ludzie byli mniej odizolowani w biurach i skupieni wyłącznie na własnych zadaniach, być może udałoby się zmniejszyć odsetek zabójstw popełnianych przez partnerów życiowych, podobnie jak dzięki NTSB lotnictwo stało się o wiele bezpieczniejsze.

Websdale jeździł wówczas na Florydę, gdzie prowadził badania do swojej trzeciej książki, *Understanding Domestic Homicide* [Zrozumieć zabójstwo w kręgu rodzinnym]. Analizował w niej sprawy o zabójstwo, przeglądał stare policyjne raporty, rozmawiał z organami ścigania. Zauważył wtedy, że to, co przeczytał o innych branżach, pokrywa się z dokumentacją badanych zabójstw.

Dzięki funduszom z rezerw stanowych, przyznanym przez Lawtona Chilesa, ówczesnego gubernatora Florydy, Websdale stworzył pierwszy w kraju zespół zajmujący się badaniem zgonów w wyniku przemocy domowej. Projekt opierał się na wykorzystaniu modelu NTSB i dostosowaniu go do zabójstw związanych z przemocą domową, a nie – jak mówi – na „obwinianiu i zawstydzaniu”. Chodziło o to, by zarówno systemy, jak i ludzie poczuwali się do odpowiedzialności za polepszanie standardów i skuteczniejsze programy. Jak dowiedział się Websdale, samoloty rozbijają się z wielu powodów: uszkodzeń mechanicznych, błędów ludzkich, awarii bezpieczeństwa i tym podobnych. Przyczyną jest kombinacja wielu czynników.

– To samo widzimy w sprawach o zabójstwa w wyniku przemocy domowej – mówi Websdale. Nie ma jednego czynnika, który można by wskazać i zmienić; istnieje seria drobnych błędów, straconych szans i nieudanej komunikacji.

Analiza zgonu działa zatem tak samo jak dochodzenie NTSB. Członkowie zespołu odtwarzają sekwencję wydarzeń danej sprawy, gromadzą jak najwięcej informacji o ofierze i sprawcy i stopniowo próbują określić, w których momentach przedstawiciele systemu mogli byli interweniować, ale tego nie zrobili, albo powinni byli zrobić to inaczej. Zapoczątkowany na Florydzie program Websdale’a rozprzestrzenił się dziś w całym kraju i na świecie. Obecnie w ponad czterdziestu stanach działa zespół do spraw analizy zgonu – często

więcej niż jeden; podobne rozwiązania stosują też Wielka Brytania, Australia, Nowa Zelandia i inne kraje[64].

Mniej więcej rok po morderstwie Michelle Monson Mosure uwagę Sally przykuł artykuł w lokalnej gazecie. Pisano tam, że w stanie Montana powstaje nowy zespół – Komisja do spraw Analizy Zgonu w Wyniku Przemocy Domowej (Montana Domestic Violence Fatality Review Commission – MDVFRC), powołana do analizy zabójstw w wyniku przemocy domowej, z myślą o zmniejszeniu liczby ofiar, które co roku tracą życie w całym stanie. Sally natychmiast dostrzegła, że oto pojawiła się możliwość uzyskania odpowiedzi na pytanie, co spotkało Michelle; skoro nie mogła uratować życia córki, to może przynajmniej pomogłaby innej rodzinie w tej samej sytuacji. Sally mogła wskazać na moment, w którym jej własne oskarżenie przeciw Rocky'emu zostało przypadkowo oddalone, ponieważ trafiło do akt z tą samą sygnaturą co wycofane zeznania Michelle. Ale to wyglądało na błąd człowieka, a nie systemu. I nikt nie potrafił jednoznacznie stwierdzić, co by się stało, gdyby to oskarżenie o napaść procedowano dalej. W końcu Rocky'emu postawiono tylko zarzut wykroczenia.

Sally pojechała do Bozeman, gdzie odbyła się mała konferencja na temat nowej komisji; kiedy gość specjalny skończył przemawiać, Sally do niego podeszła. Nazywał się Matthew Dale i kierował Urzędem Ochrony Konsumentów i Biurem Usług dla Ofiar (które działa przy Urzędzie Ochrony Konsumentów) w Departamencie Sprawiedliwości stanu Montana. Od wielu lat przyjaźnił się z Websdale'em. Sally opowiedziała Dale'owi historię Michelle, Kristy i Kyle'a, a on jej wysłuchał. Poprosiła go, by jak najszybciej zajął się tą sprawą. Dla nowo powołanego zespołu w Montanie był to pierwszy przypadek poddany analizie. Wszyscy próbowali ustalić, co można było zrobić, żeby Michelle i jej dzieci przeżyli.

Chciałam lepiej zrozumieć, na czym dokładnie polega praca zespołu, wybrałam się więc do maleńkiej miejscowości położonej niedaleko miasta Missoula i znalazłam pokój w hotelu, w którego wystroju dominowała taksydermia. Ze sklepionego niczym w katedrze sufitu

zwisał żyrandol z jeleniego poroża. Jedną ze ścian zdobiła wypchana głowa jelenia. Wnętrze było dość przytulne, pod stropem biegły grube drewniane belki. Na tyłach mieściło się wyłożone wykładziną dywanową pomieszczenie, które wyglądało dokładnie tak samo jak każde centrum konferencyjne w dowolnym hotelu w całym kraju – za długim stołem zasiadły tam trzydzieści dwie osoby. Widoki oszałamiały pięknem. Był październik, ale górskie szczyty okrywał już śnieg, przez oszklone drzwi widać było jesienne liście wirujące po parkingu. Hotel mieścił się nad niewielką rzeką, a w powietrzu czuć było ową specyficzną kryształową ostrość, jakiej ponoć próżno szukać poza Zachodem Stanów Zjednoczonych. Równie dobrze mogło to być spotkanie jakiejś grupy amatorów ekstremalnych sportów plenerowych – klubu łowieckiego, stowarzyszenia wędkarzy – gdyby nie tematyka, która wszystkich tu sprowadziła. (Zgodnie z zasadami obowiązującymi członków zespołu nie podaję prawdziwych danych osobowych, a zatem takie informacje jak imiona i nazwiska, miejsce zamieszkania i inne szczegóły, które mogłyby pozwolić na identyfikację, na przykład zawody czy wiek, zostały zanonimizowane).

Ruth zginęła z rąk swojego chłopaka – postrzelił ją kilka razy w plecy i w rękę, którą próbowała się zasłonić, a potem raz w głowę. Policja często określa takie zabójstwo jako egzekucję. Ona była skulona, on nad nią górował – sporo nam to mówi o dynamice w tej relacji. O władzy i kontroli. Ślady po kulach znaleziono w rozmaitych miejscach w pomieszczeniu, gdzie zginęła, jak gdyby uciekała i próbowała wydostać się na zewnątrz, zanim w końcu zamarła w pozycji, w której została zabita, strzałami z bliska. Nazwijmy go Timothy. Kiedy Timothy zabił Ruth, kilkakrotnie obszedł cały dom. To typowe, że między morderstwem bliskiej osoby a własnym samobójstwem mija sporo czasu. Jak wyjaśnia Websdale, łatwiej jest zabić kogoś niż siebie samego. W końcu Timothy się zastrzelił. W odróżnieniu od śmierci Ruth, która stanowiła istne pandemonium, pełne krwi, zamieszania i chaosu, samobójstwo Timothy’ego odbyło się schludnie: dwa strzały i po wszystkim. Za kilka godzin nasz zespół będzie dyskutował o tym obrazie i o jego znaczeniu.

Są lata, kiedy w Montanie odnotowuje się zaledwie trzy zabójstwa w wyniku przemocy domowej, ale czasami jest ich kilkanaście. W

roku, w którym Ruth została zamordowana, popełniono ich jedenaście w całym stanie[65].

Matthew Dale prowadzi to dwudniowe spotkanie. Zespół spędził miesiące na zbieraniu danych i dzieleniu się informacjami, wyszukiwaniu akt starych spraw, przeprowadzaniu wywiadów z przyjaciółmi, rodziną, koleżankami z pracy, członkami społeczności, sąsiadami, organami ścigania, duchownymi, terapeutami, sędziami, kuratorami, byłymi nauczycielami, opiekunkami dzieci, niemal wszystkimi osobami obecnymi w życiu zarówno ofiary, jak i sprawcy. Zespoły zajmujące się badaniem śmiertelności nie analizują wszystkich zabójstw popełnianych przez partnerów życiowych w danym stanie, ale wybierają kilka przypadków, na podstawie których można udoskonalić działanie procedur lub systemów ratujących życie ofiar. Być może zginęły też osoby postronne albo dzieci, a może pozostało po nich coś, co mogłoby dać wgląd w ich sytuację, jak pamiętniki, listy, posty w mediach społecznościowych czy mejle. Być może sam związek był pod jakimś względem nietypowy – jedno z nich było znacznie starsze, znacznie młodsze, dysponowało ogromnym majątkiem albo zmagało się z chronicznym ubóstwem. Być może należałoby liczyć na współpracę rodzin, jak w przypadku Michelle Monson Mosure. Jeśli chodzi o Timothy’ego i Ruth, to oboje zostawili po sobie informacje na piśmie, listy, posty w mediach społecznościowych i mejle, które potwierdzały informacje z akt policyjnych.

Dale to niewysoki mężczyzna o gęstych, krzaczastych włosach i sylwetce biegacza. Nosi telefon komórkowy w etui na pasku spodni i codziennie wiąże krawat, chociaż okoliczności tego nie wymagają. Mówi obecnym – którzy zjechali ze wszystkich zakątków stanu, kilka osób ma za sobą ośmiogodzinną podróż – że zdjęcia z miejsca zbrodni można obejrzeć na komputerze, ale nie będzie ich pokazywał na forum grupy. Fotografie są drastyczne i przerażające, niezwykle krwawe, czego można się przecież spodziewać, i potwornie smutne, ale także niezwykle wymowne. Ruth została znaleziona w kuchni, na kolanach, pochylona do przodu. Timothy leżał na łóżku z pistoletem w obu dłoniach, ręce miał skrzyżowane na sercu, a w klatce piersiowej dziury od kuli. O tych szczegółach będzie mowa potem, bo na

ich podstawie można wiele wywnioskować, zarówno o sprawcy, jak i o samym związku.

Zespół z Montany zasługuje na szczególną uwagę z dwóch powodów. Po pierwsze, przyjął strategię głębokiego zanurzenia. Dale mówi, że działają wielowymiarowo, „na długość i szerokość", jak to określił. Inne zespoły prowadzą mniej wnikliwe dochodzenia, ale zajmują się większą liczbą spraw. Zespół z Montany bada co najwyżej dwa przypadki w roku. Po drugie, populacja stanu Montana jest na tyle niewielka, że łatwiej dotrzeć do ustawodawców i sędziów, a to oni dysponują uprawnieniami, które pozwalają im na faktyczną zmianę polityki. Prokurator stanowy należy nawet do zespołu, podobnie jak co najmniej jeden sędzia. Można założyć, że prawo łatwiej zmienić w takim miejscu jak Montana niż na obszarze o znacznie większej gęstości zaludnienia, jak Nowy Jork.

Zespoły tego typu nie pełnią żadnej funkcji regulacyjnej ani wykonawczej, ale badają konkretne przypadki i starają się ustalić, czy jakieś zmiany systemowe mogłyby coś zmienić. Być może system sądownictwa mógł zadziałać bardziej zdecydowanie i doprowadzić do zamknięcia danego sprawcy lub zapewnić bezpieczeństwo ofierze? Może policja mogła postąpić inaczej? Albo lokalny kościół? Tak naprawdę istnieje nieskończona liczba możliwości, jeśli się nad tym zastanowić, zatem zespół musi w pewnym sensie przeanalizować wyniki z wyprzedzeniem, zanim uda się je definitywnie określić. Opisywany powyżej przypadek rozszerzonego samobójstwa wytypowano do analizy z kilku względów. Przede wszystkim ofiara przeczuwała własną śmierć; kiedy odchodziła od chłopaka, miała świadomość, że znalazła się w niebezpiecznym położeniu, bo wspominała o własnym pogrzebie. Sprawca miał też na koncie konflikt z prawem i funkcjonariusze miejscowej policji spodziewali się, że może zareagować agresywnie. Jeden z policjantów znał go i użył określenia: „Samobójstwo z użyciem gliniarzy". Oznacza to sytuację, w której ktoś zmusza policję, by go zastrzeliła, na przykład nie wykonując polecenia, by rzucić broń. Z nieznanych nikomu powodów Montana ma jeden z najwyższych wskaźników „samobójstw z użyciem gliniarzy" w kraju. Skoro zatem było wiadomo, że Timothy jest niebezpieczny, a Ruth obawiała się o swoje życie, dlaczego system jej nie chronił? Co

jeszcze można było wówczas zrobić? Co jeszcze można zrobić w przyszłości?

Oszkloną ścianę przesłonięto arkuszami papieru, a Dale otwiera spotkanie, przypominając zebranym o obowiązku zachowania poufności; wszystkie akta należy niezwłocznie zniszczyć. Podczas wielomiesięcznych rozmów z rodzinami, przyjaciółmi i współpracownikami ofiar wyłoniły się rozmaite bolesne szczegóły.

Najważniejszym elementem analizy zgonu wydaje się coś, o czym niewielu członków zespołu dyskutuje otwarcie: muszą zadać sobie pytanie, jak to możliwe, że system, którego są częścią, pełen ciężko pracujących ludzi o jak najlepszych intencjach, zawiódł do tego stopnia, że ktoś stracił życie. W ciągu dwóch spędzonych tutaj dni często słyszę powiedzenie Websdale'a – „nie obwiniać, nie zawstydzać" – jak się okazuje, nie bez przyczyny. Websdale powiedział mi, że przez ostatnie dwadzieścia lat lotnictwo stało się zdecydowanie bezpieczniejsze, podczas gdy błędy medyczne wciąż zdarzają się znacznie częściej, niż powinny. (Śmierć w wyniku błędu medycznego w szpitalu jest obecnie trzecią najpowszechniejszą przyczyną zgonów dorosłych w Stanach Zjednoczonych[66]). Websdale uważa, że to właśnie kulturze otwartości na podkreślanie ludzkich błędów, zapoczątkowanej przez NTSB, zawdzięczamy to, że latanie samolotem jest dziś względnie bezpieczne. Jak mówi: „Jeśli dziś wejdziesz do kokpitu i jest jakiś problem z bezpieczeństwem, to pilot posłucha drugiego pilota, załogi, kogo tam jeszcze". W medycynie obowiązuje jednak wszechobecna hierarchia, która zamyka ścieżki komunikacji. Na sali operacyjnej chirurg jest bogiem, a poczynań boga się nie kwestionuje. Ale systemy, które sprawdzają się najlepiej w całym kraju – policja, aktywistki, pracownicy socjalni, kuratorki, sędziowie, a nawet po prostu członkowie rodziny – koncentrują się na pracy zespołowej. W przypadku przemocy domowej na pierwszej linii frontu stoją dwie formacje: aktywistki i policja. Dwie grupy o zupełnie różnych kulturach: nowoczesne feministki i tradycyjny patriarchat. Piszę o przemocy domowej w całej Ameryce od niemal dekady i rzeczywiście zauważyłam, że miejscowości, w których udało się zredukować liczbę zabójstw w wyniku przemocy domowej albo zwiększyć zakres

pomocy ofiarom, łączy jedna wspólna cecha: przełamały bariery kulturowe między wydziałami policji a centrami kryzysowymi zajmującymi się przemocą domową.

Dale zaczyna od pytania, co wiemy o życiu ofiary. Za zebranie jak największej ilości informacji biograficznych na temat Ruth odpowiadała jedna z członkiń zespołu, Beki. Ruth dorastała na Zachodzie, ale przez większość życia przeprowadzała się z miasta do miasta. Jej dorosłe dzieci nadal mieszkały w zachodniej części kraju. Beki zaczyna zapisywać te aspekty życia kobiety na arkuszach papieru markerem.

Ruth pracowała jako opiekunka w domu spokojnej starości, a wiele lat wcześniej rozwiodła się z ojcem swoich dzieci. Poznała Timothy'ego przez internet i natychmiast zaczęła się z nim spotykać. W wiadomościach Timothy wyznawał jej, że znalazł kobietę swoich marzeń, choć spędził z nią zaledwie tydzień. Listy i notatki znalezione po morderstwie dają członkom zespołu wgląd w ówczesny sposób myślenia Ruth, a nawet Timothy'ego. Ruth odwiedzała go kilka razy w parku przyczep w Montanie, gdzie wówczas mieszkał, a po trzech miesiącach poprosił ją, by się do niego wprowadziła, co też zrobiła. Kilka tygodni zajęła jej sprzedaż większości mebli i sprzętów z domu w Utah, po czym spakowała dobytek do samochodu i przeniosła się do Montany, aby z nim zamieszkać. Obiecał jej, że przyczepa to tylko tymczasowe lokum, że wkrótce znajdą ładny, mały domek.

Ruth nie mogła znaleźć pracy w domu spokojnej starości, więc zatrudniła się przy sprzątaniu biur, choć Timothy utrzymywał się z zasiłku z tytułu niepełnosprawności, do którego dorabiał od czasu do czasu jako złota rączka. Nowe zajęcie oznaczało, że Ruth musi pracować nocami i w weekendy, a Timothy najwyraźniej poczuł się niepewnie. Natychmiast pojawiły się konflikty i zmienne nastroje. Wściekał się, gdy Ruth za dużo pracowała, ale potem narzekał, że wiecznie brakuje pieniędzy. Raz złościł się, gdy nie chciała gotować albo nie posprzątała kuchni, a raz, kiedy spała do południa. Tymczasem w dzienniku, który miał najprawdopodobniej trafić do jej dzieci, Ruth pisała, że utknęła w miejscu. Zostawiła przyzwoitą pracę w sąsiednim stanie, sprzedała praktycznie wszystko, co posiadała, a teraz czuła, że musi dać temu „związkowi szansę za wszelką cenę". Uwie-

rzyła Timothy'emu, gdy opowiadał jej, że cierpi, że to przez ból zachowuje się nieprzewidywalnie, byle drobiazg prowokuje go do wybuchu, jak wtedy, gdy była zbyt zmęczona na seks lub gdy nie miała ochoty na wspólne wędkowanie. Napisała, że odkąd wie, jak wygląda choroba, rozumie, jak ból może kogoś zmienić, jak niewłaściwa kombinacja leków może wpłynąć na osobowość. Zastanawiała się, czy przypadkiem nie miała poznać Timothy'ego właśnie po to, aby mu z tym wszystkim pomóc, czy nie było jej to z góry pisane. Kto wie, może tylko ona mogła go uratować. Bo gdy był dla niej miły, gdy stawał za nią, gdy rano nalewała kawy do kubka, gdy obejmował ją na kanapie przed telewizorem, był ciepły i czuły. Minęło tyle czasu, odkąd ostatnio się zakochała. Kilkadziesiąt lat spędziła samotnie. A teraz już nie była sama.

U podstaw szczegółowej analizy biografii leży pytanie, które członkowie zespołu nieustannie sobie zadają: czy jakakolwiek interwencja na którymś etapie życia Ruth mogła uchronić ją przed śmiercią? Czy jej znajomi dowiedzieli się o przemocy, a jeśli tak, to kiedy? Czy chodziła do kościoła? Jeśli tak, to czy któryś z członków kościelnej wspólnoty wiedział? Może pastor? Czy kiedykolwiek pojawiła się tam ze śladami maltretowania? A co z jej historią zatrudnienia? Czy opuszczała jakieś dni w pracy? Czy miała wcześniej partnerów, którzy użyli wobec niej przemocy? Jeśli tak, jak się skończyły te związki? Czy da się sprowadzić morderstwo do jednego momentu, który mógł sprawić, że wszystko potoczyłoby się inaczej? Fakt, że związek tak szybko stał się poważny, też ma tu znaczenie. Krótkie zaloty – nazwijmy to miłością od pierwszego wejrzenia – są cechą charakterystyczną przemocy. To samo widzimy w przypadku Rocky'ego i Michelle.

Kiedy kończymy, a zapis kolejnych wydarzeń z życia Ruth zajmuje kilka arkuszy, dochodzi południe. Historia Timothy'ego zapełni resztę przestrzeni na ścianie, a papier spowije całe pomieszczenie.

Zespół z Montany zaprasza przedstawicieli lokalnej społeczności do udziału w analizie. Nie są to członkowie zasadniczej części zespołu, ale włączają się do dyskusji na temat danego zabójstwa. W przypadku Timothy'ego i Ruth kilku miejscowych policjantów opowiada,

co wiedzieli o mężczyźnie. Kiedyś służył w wojsku i kochał psy. Miał manię wielkości i często chwalił się rzekomymi wyczynami z akcji poszukiwawczych, choć nigdy nie był członkiem żadnej ekipy ratowniczej. Spowodował kilka wypadków – samochodowy, na quadzie – i brał silne leki przeciwbólowe, przy czym wyglądało na to, że ma kilka różnych źródeł recept, od organizacji wsparcia dla weteranów po różnych miejscowych lekarzy. Jak wielu mieszkańców Montany trzymał w domu mały arsenał broni, choć inaczej niż u pozostałych każda sztuka była naładowana i gotowa, by w dowolnej chwili rozpętać armagedon. Websdale mówi, że często gniew odczuwany przez sprawcę objawia się w konkretnych szczegółach strzelaniny lub miejsca zbrodni. Jeden wspólny scenariusz: liczne kule w ciele ofiary to dowód na to, że sprawca strzelał długo po tym, jak zabił, być może nawet opróżnił cały magazynek. Takie miejsca zbrodni wskazują na poziom wściekłości sprawcy. Często ten, kto stawi największy opór, ginie jako pierwszy (jak w przypadku Michelle Monson Mosure). Czasem pasierb, który stanowi źródło napięć między parą, skończy z największą liczbą postrzałów. Czasami jedna ofiara ginie od jednej kuli, a u drugiej osoby policja znajduje całą masę pocisków. To nie są nieznaczące szczegóły, mówi Websdale. To wskazówki co do sposobu myślenia przestępcy, szczegóły dotyczące konkretnej psychologicznej sytuacji w związku. One często pokazują, w którym miejscu rozmaite służby mogły interweniować, na przykład specjaliści w dziedzinie zdrowia psychicznego.

W przypadku Timothy’ego i Ruth zespół zaczyna dostrzegać powiązania, które stwierdzano już wcześniej w innych sprawach. Ostatecznie Timothy faktycznie znalazł dla nich mieszkanie i wyprowadzili się z przyczepy, ale dom stał na pustkowiu, a Ruth była tam zupełnie odizolowana. Skłonność Timothy’ego do fabrykowania opowieści o swoim rzekomym bohaterstwie sygnalizowała głęboko zakorzeniony kompleks niższości i brak poczucia bezpieczeństwa, a także prawdopodobnie osobowość narcystyczną. Jako były żołnierz od czasu do czasu korzystał ze wsparcia Veterans Affairs (VA), czyli instytucji pomagającej weteranom, wchodził w konflikt z miejscową policją, która go doskonale znała. Jeden z funkcjonariuszy nazwał go Yosemite Sam, nawiązując do kowboja z kreskówki. Inny stwierdził,

że Timothy wiedział dokładnie, co może mu ujść na sucho, i omijał prawo. W innych stanach wydano za nim kilka nakazów aresztowania, o czym organy ścigania Montany nie wiedziały, ponieważ służby w różnych stanach rzadko się ze sobą komunikują. Ruth pewnie też nie miała pojęcia. Nawet dziś, w świecie nieustannej hiperłączności, gdzie dron dostarczy nam papier toaletowy, a robot odkurzy mieszkanie, z jakiegoś powodu nie umiemy stworzyć bazy danych osób z historią agresji, z której mogłyby korzystać jednocześnie różne stany, a także sądy cywilne oraz karne. Jedna z byłych dziewczyn Timothy'ego powiedziała członkowi zespołu, że śledziła go na portalach społecznościowych wyłącznie dlatego, że martwiła się o własne bezpieczeństwo i chciała mieć pewność, że nie ma go nigdzie w jej pobliżu – choć mieszkała wówczas w odległości ponad półtora tysiąca kilometrów, miała własną rodzinę i nie rozmawiała z nim od wielu lat. W kilku przypadkach nałożono na niego tymczasowy zakaz zbliżania – wtedy czekał, aż zakaz wygaśnie, a jeśli partnerka go nie odnowiła, znowu zaczynał ją nachodzić. To był jeden ze sposobów na obchodzenie prawa, bez łamania przepisów.

– Tyle kobiet wniosło przeciw niemu wniosek o tymczasowy zakaz zbliżania – mówi jedna z członkiń zespołu. – Ale nie Ruth. Zabił tę, która nie odeszła.

Zespół słyszy, że był już wcześniej żonaty, ale bardzo krótko. Jego żona szukała pomocy u pastora, który przyjechał tu dziś porozmawiać o swoich doświadczeniach z Timothym. Pastor jest wysoki, nosi wąsy i, jak niemal wszyscy na sali, ma przy sobie broń – w końcu to Montana. Emerytowana pielęgniarka medycyny sądowej tak otwarcie mówi o swojej nienawiści do broni, że pozostali członkowie zespołu zaczynają się z nią przekomarzać. Za każdym razem, gdy o tym wspomina, trzyma w rękach druty, na których dzierga kamizelkę. Kiedy przychodzi czas na zgłaszanie zaleceń, bierze od Beki wielki pisak i kreśli słowa BROŃ BROŃ BROŃ, wielkimi literami.

– Chcecie się pozbyć zabójstw? – pyta. – Pozbądźcie się broni.

Powtarza to w kółko przez całe dwa dni zjazdu.

Pastor mówi o byłej żonie Timothy'ego. Poszedł razem z nią złożyć wniosek o zakaz zbliżania i przekonał ją, by powiedziała sę-

dziemu, jak bardzo jest przerażona. Sędzia odrzucił jej wniosek. Ale pastor wiedział, że kobieta jest w niebezpieczeństwie, więc sam stworzył dla niej plan ochrony.

– Załatwiliśmy jej nowy samochód – mówi, więc Timothy nie mógł jej namierzyć. A kościół znalazł jej bezpieczne miejsce do życia, choć wcześniej pojawiły się anonimowe pogróżki. – Jesteśmy pewni, że to on za nimi stał – mówi pastor.

Policja nie miała o tym pojęcia, nawet lokalni funkcjonariusze, którzy znali dziwną historię Timothy'ego. Nie wiedzieli nawet, że był kiedyś żonaty.

Łatwo w takim przypadku zrzucić winę na sędziego, ale on też nie wiedział, że Timothy ma na koncie stalking i prześladowanie innych kobiet ani że objęto go kilkoma zakazami zbliżania do byłych partnerek, ponieważ większość tych incydentów miała miejsce, zanim zamieszkał w Montanie. A co może nawet ważniejsze, wnioski o zakaz zbliżania generalnie są rozpatrywane przez sądy cywilne; dopiero kiedy ktoś taki zakaz złamie, staje się to sprawą karną. Niezależnie od tych zakazów – choć mało kto o nich wiedział – Timothy, rzecz jasna, nie miał żadnej kartoteki kryminalnej. Jeśli chodzi o komunikację między sądami, poszczególnymi urzędami i stanami, luki w systemie są gigantyczne.

Dlatego praca zespołu ma tak duże znaczenie. Jego członkowie zgromadzili informacje o kolejach losu Ruth i Timothy'ego. Słuchali tego, co lokalna policja i miejscowy duchowny mają do powiedzenia na ich temat. Dowiedzieli się nieco o tle ekonomicznym i kulturowym wydarzenia, a teraz składają to wszystko razem i szukają czerwonych flag. Timothy był znany stróżom prawa, miał niestabilną pracę, stalking i kilka zakazów zbliżania na koncie, przyjmował znaczne ilości leków przeciwbólowych, wykazywał manię wielkości, głęboki narcyzm i skłonność do manipulacji. Kłamał w kwestii tego, co robił w wojsku, i zamieszczał na portalach społecznościowych relacje o własnej odwadze i bohaterstwie, na które nikt nigdy nie znalazł dowodów (jak choćby artykuł w lokalnej gazecie). Patrząc na miejsce zbrodni, można stwierdzić, że jego śmierć była czysta: leżał wygodnie w łóżku, było bardzo mało krwi. Tymczasem to, jak zginęła Ruth, nosiło znamiona szaleństwa, chaosu i terroru. Co do Ruth,

to pisała o tym, że chce go uratować, o tym, że się od niego świat odwrócił, ale ona tego nie zrobi. Jej sytuacja zawodowa również była niestabilna, a oprócz tego nie mogła liczyć na niemal żadne wsparcie w swoim środowisku – nie miała w pobliżu żadnej rodziny ani przyjaciół. Miała wyłącznie pastora w kościele, do którego czasem uczęszczała. Związek Ruth i Timothy'ego bardzo szybko zrobił się poważny, a Ruth znalazła się w niemal całkowitej izolacji. Timothy rzadko pozwalał jej wychodzić z domu, pod pozorem tego, jak bardzo jej potrzebował. Widać tu szereg czerwonych flag, które zawsze są obecne w przypadkach przemocy domowej: szybkie zaloty, izolacja i kontrola, bezrobocie, lekarstwa, narcyzm oraz kłamstwo i stalking.

Na tym etapie pytanie brzmi, w którym momencie Timothy i Ruth zetknęli się jakoś z systemem, w którym miejscu możliwa była interwencja. Powoli zmierzamy do zaleceń, które zostaną uwzględnione w raporcie przygotowywanym co dwa lata dla władz stanu Montana. Można powiedzieć, że to przysłowiowy znak „X" nad okiem.

Pierwszym miejscem wskazanym przez członków zespołu jest organizacja dla weteranów, z której pomocy Timothy korzystał. Następnie sąd, do którego zgłosiła się jego była żona. Policja go znała, miał na koncie stalking i zakazy zbliżania. Asystentka społeczna, która pracowała z nim kilka razy w tygodniu, próbowała ostrzec przełożonych o jego niestabilności, ale usłyszała, że ma nie zwracać na to uwagi i działać dalej. Następny na liście jest pastor Ruth.

– Oto pięć punktów interwencji – stwierdza Matt Dale. – VA, zdrowie psychiczne, organy ścigania, sądownictwo i duchowni.

Jedna z aktywistek podnosi rękę, mówi, że wcześniej nie była pewna, więc zadzwoniła do swojej organizacji i okazuje się, że Ruth kiedyś odwiedziła ich biuro, dawno temu. Ona akurat nie miała z nią kontaktu, ale rozmawiała z nią inna osoba. Tego dnia Ruth przyjechała z całym swoim dobytkiem w samochodzie. Aktywistka nie miała żadnych informacji, nie wiadomo, czy było to w czasie związku Ruth z Timothym, czy też nie, ani czy kobieta rzeczywiście uzyskała jakieś wsparcie, ale był to kolejny punkt możliwej interwencji dla zespołu. Jeśli doliczyć schronisko dla bezdomnych, to mamy jeszcze jedną straconą szansę.

Drugiego dnia, tuż przed przerwą obiadową, pada prośba do wszystkich obecnych o zgłaszanie rekomendacji. Emerytowana pielęgniarka mówi:

– Broń, broń, broń. Pozbądźcie się broni.

Część policjantów z zespołu wybucha śmiechem.

– To jest Montana – rzuca ktoś inny.

– I co z tego?! – odpowiada kobieta. Ma w sobie coś, co przywodzi na myśl uroczą babunię (to przez te robótki na drutach), ale jest niezwykle kategoryczna w swoim sprzeciwie. Wie, że to walka, której w tym stanie nigdy nie wygra, ale bynajmniej jej to nie zniechęca.

Zalecenia padają ze wszystkich stron, pięć, dziesięć, piętnaście. Celem jest przedstawienie wszystkich pomysłów, a następnie wybranie tych najbardziej realistycznych – tych, których wdrożenie pociągnie za sobą najmniejsze koszty albo wręcz żadne, bądź tych, które nie będą się wiązały z batalią dla ustawodawcy. Do najważniejszych kwestii należy przepaść między kartoteką Timothy'ego a tym, co wiedziała lokalna policja, która się nim zajmowała. Tak brzmi jedno z podstawowych zaleceń: dostęp do historii zakazów zbliżania w innych stanach. Dale mówi, że powinni również wziąć przykład z przepisów dotyczących prowadzenia pojazdów pod wpływem alkoholu. W Montanie informacja o zatrzymaniu pijanego kierowcy na zawsze zostaje w jego kartotece. To proste rozwiązanie, które pozwoliłoby zachować dane o tymczasowych zakazach zbliżania w systemie, nawet po ich wygaśnięciu.

Są też inne zalecenia, pozornie drobne poprawki, niektóre pochodzą z innych analiz: zaprosić duchownych na szkolenia, żeby wiedzieli, jak radzić sobie z przemocą domową. („Wiele kobiet prędzej zwróci się do pastora niż do policji czy organizacji wsparcia dla ofiar przemocy domowej" – powiedział mi kiedyś Websdale). Porozmawiać z VA o tym, jak udostępnić informacje o leczeniu i receptach innym lekarzom. Zlikwidować lukę technologiczną w sądach. Ogółem pada ponad dwadzieścia zaleceń, ale Dale i zespół przesiewają je, aż ostatecznie do raportu trafia tylko kilka, a chociaż raporty obejmują co najmniej cztery analizy przeprowadzone przez zespół, z uwagi na ochronę prywatności zalecenia nie są powiązane z żadnym konkret-

nym przypadkiem. A zatem w sprawozdaniu za okres objęty analizą, w której miałam okazję uczestniczyć, znajduję potem co najwyżej dwa lub trzy, które mogą pochodzić ze sprawy Timothy'ego i Ruth. Są to: rozszerzenie zastosowania Oceny Zagrożenia, oceny potencjalnej śmiertelności oraz szkolenia dla sędziów, organów ścigania i pracowników służby zdrowia w zakresie złożoności i kontekstu spraw dotyczących przemocy domowej.

Zmiany wydają się tak drobne, że to niemal przygnębiające. Jednak zarówno w Montanie, jak i w innych stanach te pozorne drobiazgi zaowocowały głęboką transformacją. Matt Dale bardzo chętnie opowiada o sprawie kobiety, która uzyskała zakaz zbliżania dla oprawcy, ale kiedy ten złamał ów zakaz i wezwano policję, funkcjonariusz na miejscu zdarzenia nie umiał odczytać dokumentu z błahego powodu: był wydrukowany na kartce papieru. Papier po pewnym czasie ulega degradacji. Zakaz wydany przez sąd stał się nieczytelny, choć nadal przecież obowiązywał. W rezultacie w Montanie wdrożono coś, co nazwano Kartą Nadziei. Ma ona rozmiar prawa jazdy i jest laminowana – zawiera dane identyfikujące sprawcę, w tym zdjęcie, daty obowiązywania zakazu zbliżania i wszelkie inne istotne informacje. Ofiary dostają tyle sztuk karty, ile potrzebują, mogą rozdać je współpracownikom, nauczycielkom i pracownikom administracji w szkole dzieci lub innym osobom, które mogą potrzebować takich danych. Dwa inne stany, Idaho i Indiana, także wdrożyły Kartę Nadziei, a kilkanaście kolejnych zapoznało się z programem Montany.

Historia Michelle Monson Mosure i jej dzieci stanowiła pierwszy przypadek zbadany w ramach przeprowadzonej przez zespół z Montany analizy zgonu. W rezultacie przyjętych później rozwiązań Rocky nie zostałby dzisiaj wypuszczony za kaucją nazajutrz rano po aresztowaniu. To znaczy, że zostałby w areszcie na dłużej. Daje to przedstawicielkom organizacji więcej czasu na nawiązanie kontaktu z klientką, omówienie planów ochrony, zastosowanie Oceny Zagrożenia i sporządzenie zapisu sekwencji wydarzeń, zaoferowanie miejsca w schronisku lub przedstawienie innego planu awaryjnego czy stworzenie kontekstu dla tego, z czego ofiary i ich rodziny niekoniecznie

zdają sobie sprawę. Michelle nie miała czasu. Niedźwiedź szedł po nią. Gdyby Rocky nadal siedział w areszcie, aktywistka miałaby szansę spotkać się z Michelle i przeprowadzić Ocenę Zagrożenia. W Billings pracuje teraz Katie Nash, policjantka oddelegowana do zajmowania się kwestiami przemocy domowej. Nash zajęłaby się Michelle, tak jak zajmuje się wszystkimi przypadkami przemocy domowej, które trafiają do niej za pośrednictwem wydziału od szeregowych funkcjonariuszy. Opracowano by plan bezpieczeństwa, który mógł obejmować wymianę zamków w domu, umieszczenie Michelle, Kristy i Kyle'a w bezpiecznym domu lub hotelu na kilka dni czy założenie Rocky'emu opaski z GPS-em. Można mu było również postawić kilka zarzutów: bezprawne wtargnięcie i nielegalne przebywanie w domu (włamanie), wandalizm, możliwe porwanie, stworzenie poważnego zagrożenia dla zdrowia lub życia, a być może i kilka innych. Policja mogła odwiedzać Michelle w domu. Sędzia mógł nakazać Rocky'emu uczestnictwo w zajęciach interwencyjnych dla sprawców przemocy. Możliwości są tu nieograniczone.

Zespół z Montany sformułował również inne zalecenia na podstawie analizy tego przypadku. Zarekomendowano na przykład automatyczny zakaz kontaktu dla każdej osoby aresztowanej w związku z napaścią na partnerkę lub członka rodziny; dziś Rocky nie miałby prawa kontaktować się z Michelle z więzienia. Zalecono również, by ostrzegać ofiarę, kiedy sprawca ma zostać zwolniony – po odbyciu kary lub po zwolnieniu za kaucją. Tak więc Michelle dowiedziałaby się z dużym wyprzedzeniem, że Rocky ma wyjść na wolność. Kolejne zalecenie dotyczyło tego, by każda ofiara, która wycofa lub odwoła zeznania, tak jak Michelle, otrzymała informacje o organizacjach wsparcia dla ofiar przemocy domowej, w tym działających lokalnie. Miejmy nadzieję, że w najbliższych latach system sprawiedliwości częściej będzie się opierał na dowodach podczas postępowania.

Istnieją zalecenia, które z roku na rok pojawiają się w sprawozdaniach w Montanie oraz w innych stanach. Obejmują one częstsze korzystanie z Oceny Zagrożenia i usuwanie luk technologicznych, zwłaszcza tych, które tak często występują w komunikacji między sądami cywilnymi i karnymi lub między aktywistkami organizacji a

funkcjonariuszami policji. Na liście wielokrotnie powtarza się też postulat zwiększenia liczby szkoleń. Jednak mało kto wspomina o ograniczeniu posiadania broni, przynajmniej w Montanie.

Jedną z rzeczy, które Sally nieustannie podkreślała, był moment, kiedy Michelle dowiedziała się, że Rocky wyszedł z aresztu za kaucją. Od razu się zmieniła. Zniknęła cała jej determinacja, żeby od niego odejść, wspominała Sally. „Ona wtedy naprawdę myślała, że Rocky tam na jakiś czas zostanie” – powiedziała mi. Trudno jednoznacznie orzec, czy te zmiany utrzymałyby Michelle Monson Mosure i jej dzieci przy życiu. To tak, jakby próbować dowieść przeczenia. Jedynym pewnikiem jest to, że jeśli nie podejmiemy żadnych działań, to nic się nigdy nie zmieni. A o czym wszyscy, z którymi rozmawiałam w Montanie, byli całkowicie przekonani? Że śmierć Michelle Monson Mosure uratowała wiele innych istnień.

I co dalej

Minęło wiele czasu, zanim wreszcie obejrzałam nagrania, które dał mi Paul Monson. Sally opowiadała mi, jak na początku ciągle oglądała te filmy, żeby usłyszeć głos Michelle. Paul też oglądał je po wielokroć, ale nie mógł w nich znaleźć nic, żadnego momentu olśnienia, który tłumaczyłby, dlaczego stracił córkę i wnuki.

Długo się do tego zabierałam, częściowo zakładałam, że ja również nie dostrzegę niczego, czego Paul nie zauważył. Poza tym – jeśli mam być szczera – bałam się je obejrzeć. Myślałam, że może nie chcę zobaczyć Rocky'ego jako ojca rodziny. Albo bałam się, że – tak jak Paul – będę je obsesyjnie przeczesywać w poszukiwaniu wskazówek i nic nie znajdę. Albo że struktura ich życia przypomni mi, że Rocky i Michelle, i ich dzieci byli tacy sami jak my wszyscy, tak samo wątli, tak samo bezbronni, tak samo przestraszeni, wściekli i spragnieni uwagi i uczucia. I że każda z nas, nasze krewne, znajome, sąsiadki, wszystkie możemy znaleźć się w takiej samej sytuacji co Michelle. Nie spotkałam jeszcze żadnej osoby z doświadczeniem przemocy, która w ten czy inny sposób nie powiedziałaby mi: „Ja nie jestem taką typową ofiarą".

Ale był też inny powód. Powód, do którego rzadko przyznają się reportażystki i dziennikarki: spędziłam tyle czasu z rodzinami Monsonów i Mosure'ów, że strata Michelle, Kristy oraz Kyle'a, a nawet Rocky'ego na zawsze miała zmienić mój sposób patrzenia na świat. Był taki czas, kiedy wymagało ode mnie sporej siły woli, by nie widzieć w każdym mężczyźnie potencjalnego sprawcy, a w każdej kobiecie możliwej ofiary. Nikt nie chce tak iść przez życie. Miałam tego świadomość. Dzisiaj też o tym wiem. Zatem zanim usiadłam, żeby obejrzeć te nagrania, wzięłam rok wolnego od wszystkiego, co ma jakikolwiek związek z przemocą. Uprawiałam sport, czytałam, malowałam, chodziłam na terapię, a przede wszystkim unikałam tematu maltretowania, zabójstw i raportów policyjnych.

W końcu pewnego letniego dnia, nie tak dawno temu, to wszystko do mnie wróciło. Byłam akurat z wizytą u przyjaciół, miałam te filmy na dysku komputera i zaczęłam je oglądać. W przypadkowej kolejności.

Na pierwszym nagraniu zobaczyłam Kristy w różowych spodniach i bluzie z kapturem, obejrzałam, jak mama znosi ją z tego dużego głazu, a potem jak ojciec nosi ją na barana.

Zza kamery Rocky mówi do swojej żony: „Uśmiechnij się, uśmiechnij".

W innej scenie Michelle jest pijana – to dosyć wyjątkowa sytuacja – ma na sobie beżowe szorty z szelkami, próbuje wstać z podłogi w kuchni. Zaśmiewa się do rozpuku. Rocky też się śmieje. Mówi jej, żeby zrobiła kilka kroków prosto, potem do tyłu, potem każe jej wyrecytować alfabet od końca. Michelle bierze łyk piwa, rozlewa trochę. On mówi: „Za chwilę wrócimy". Jakby był reporterem wiadomości. W następnym ujęciu Michelle leży na podłodze w łazience, wciąż pijana, tym razem w czarnej bieliźnie, ściągniętej nisko na biodra. Niekomfortowo ogląda się tak intymną scenę. Czuję się jak intruz. On mówi: „Kto ci to zrobił?" i się śmieje. Ona też wygina usta, ale oczy ma zamknięte. „Zostaw mnie w spokoju" – powtarza w kółko. Sekundę później jest naga, wymiotuje do toalety, a on chce ją sfilmować. Jest wkurzona, ale bezbronna, kończyny jej się rozjeżdżają, gdy próbuje wstać. On mówi: „Wrócimy potem, moi drodzy. Jeszcze do tego wrócimy".

Co pewien czas pojawia się urywek z jakiegoś spotkania świątecznego albo rodzinnego, zwykle w domu Sarah i Gordona, ale na zdecydowanej większości nagrań jest tylko ich czwórka, najczęściej na biwaku. Rocky namawia Kyle'a, żeby wskoczył z nim z głazu do lodowatej wody, ale Kristy nie skacze. On też jej o to nie prosi. Oczekiwania co do płci są już ustalone. Później Rocky ustawia kamerę na głazie i tak powstaje rzadkie ujęcie całej ich czwórki razem. Michelle i Kyle mają na sobie kamizelki ratunkowe. Kristy podchodzi do kamery, uśmiecha się i mówi: „Jem jabłko". Owoc jest dwa razy większy od jej dłoni. Jest ożywiona, bardziej niż na którymkolwiek innym filmie. Była cichym dzieckiem. Uważna, ale nie gadatliwa. Kyle

uwielbiał się wygłupiać. Kristy idzie w stronę rodziny. Rocky i Kyle skaczą razem z głazu. Chwilę później Michelle zeskakuje. W tle słychać jej pisk, kiedy wpada do lodowatej wody, znikając za skałą. Zostawili Kristy, która stoi teraz samotnie na kamieniu ze swoim jabłkiem w dłoni.

Dzieci bawią się w hamaku, wiją się jak larwy. Tom Petty podśpiewuje w tle: „Ciężko znaleźć dobrą miłość". Rocky wyciąga ręcznik z dna rzeki. Ratuje ten ręcznik i w kółko powtarza:

– Nie jest zimno, jest ciepło. – Siła umysłu panuje nad materią. – Trzeba się po prostu psychicznie zahartować.

Zabiera Kyle'a w żółtym nadmuchiwanym kajaku w dół niewielkiego, ale wartkiego potoku.

– Idiota! – Michelle krzyczy do niego. On się prostuje.

Długie ujęcia odległych ośnieżonych gór, wodospad, bezgłośny z oddali. Kyle chodzi po szuwarach w kamizelce ratunkowej z wiosłem od kajaka w ręce. Są długie fragmenty, w których Kyle kieruje obiektyw to tu, to tam, rozmyty obraz ukazuje kamienisty, usiany skałami teren.

– W wodzie są robaki – mówi Kyle dziecięcym głosikiem.

– Kyle, ile tam jest robaków? – pyta Kristy. Stoją przy drodze, mija ich kilka samochodów.

W domu dzieciaki huśtają się na huśtawce na podwórku. Jest lipiec 2001. Kyle wznosi się tak wysoko, że łańcuch zgrzyta. Później Kyle siedzi na kanapie obok dziecka, które je zielonego lizaka. Telewizor jest włączony. Słychać reklamę, a spiker mówi: „…cieszyć się życiem na jej własnych warunkach". Jasnowłosy maluch to synek sąsiadów, nazywa się Tyler.

Potem Rocky przynosi z podwórka zaskrońca w żółtym wiadrze.

– Gdzie jest Kristy? Mam dla niej węża – mówi, idąc przez dom.

– Nie, nie, boję się go! – krzyczy dziewczynka zza drzwi łazienki.

On się śmieje.

Podnosi lizaka.

– Nie rób takich rzeczy – mówi Kristy. – To nie jest zabawne.

On śmieje się z jej strachu, wręcza jej lizaka i zabiera wiadro.

Kolejny biwak. Kristy wrzuca gałęzie do ognia. Z ogniska unosi się dziki dym. Michelle filmuje. Rocky ma na sobie czerwony T-shirt i dżinsy, pije piwo. Kyle huśta się na hamaku i woła tatę: „Tato, patrz! Patrz, tatusiu, patrz!”. W tle dudni kawałek AC/DC. Sally powiedziała, że kiedy ich odwiedzała, ciągle grał heavy metal. Zawsze na pełen regulator. Rocky podskakuje w stronę Kyle’a – tyłem, z jedną nogą do góry – ale chłopiec się nie odwraca. Kyle zeskakuje z hamaka, ląduje na czworakach. Rocky spogląda w jego stronę, ale nie przerywa podskoków. Kyle wspina się z powrotem na hamak. „Tatusiu, patrz. Patrz!” Rocky udaje, że gra na gitarze, potrząsa głową w rytm perkusji. Podchodzi do Michelle, wykrzywia twarz w grymasie i przysuwa ją w kierunku obiektywu. Przez chwilę wygląda groźnie, ale potem cofa się i uśmiecha. Podnosi piwo i jednym haustem opróżnia butelkę, a grdyka na jego szyi podskakuje.

Pomiędzy filmami z biwaków znajduję jedną płytę z czasów, gdy Alyssa, Michelle i Melanie były małe. Czasami na nagraniach widać Melanie, a kiedy indziej jest oczywiste, że jeszcze się wtedy nie urodziła. Wszystkie trzy są niezwykle podobne do siebie nawzajem i do Sally. Wydatna górna warga, duże, okrągłe oczy, pociągłe twarze. Jako dzieci Alyssa i Michelle zawsze tworzą tandem. Przebierają się za klaunów lub kowbojki na Halloween. Karmią się nawzajem tortem w dniu swoich urodzin. Na jednym nagraniu Paul sadza je obie na stosie liści na bagażniku pick-upa. Paul i Sally są wówczas małżeństwem, Sally pojawia się w tle, szczupła i uśmiechnięta, z włosami zakręconymi na wałkach i owiniętymi apaszką albo obciętymi na pazia jak u Dorothy Hamill. Wszystkie trzy dziewczynki kąpią się razem, jeżdżą na rowerkach, razem pchają miniaturowy wózek na zakupy po salonie. Śpiewają *Stary niedźwiedź mocno śpi*. Jak się zbudzi, to nas zje.

Rocky miał zwyczaj nagrywać Michelle w bieliźnie. Jej nogi są długie i chude. Latami filmował jej pupę w zbliżeniu – męska perspektywa w najbardziej niedojrzałym wydaniu. Ona od czasu do czasu protestuje, prosi go, by zostawił ją w spokoju, ale najczęściej wydaje się, że po prostu go ignoruje, wie, że prędzej czy później

skieruje obiektyw na coś innego. Podobnie jak w kinie to uprzedmiotowienie – kobieta jako erotyczny obiekt dla filmowca czy widza – podkreśla dynamikę władzy w ich związku. On robi coś, czego ona sobie nie życzy. Nie przestaje mimo jej sprzeciwu. W końcu ona uznaje jego władzę, a on wygrywa, tak jak cały czas oczekiwał. Kusi mnie, rzecz jasna, żeby nie doszukiwać się w tych momentach zbyt wielu znaczeń, żeby machnąć ręką i powiedzieć: „Och, dajcie spokój. To zwykłe rodzinne nagrania. On tak tylko żartował!". Myślę również o tym, że oddanie kontroli innej osobie nie dzieje się w próżni. To powolna erozja rozłożona w czasie. Krok po kroku, chwila po chwili, aż w końcu człowiek przestaje się czuć jak człowiek. W przypadku Michelle utrata kontroli była zupełna, jest to dla mnie oczywiste – od pozbawienia jej szansy na niezależność ekonomiczną, przez filmowanie poszczególnych części jej ciała, aż po odebranie jej życia. Dlaczego to nie w porządku, że w kółko filmował ją w samej bieliźnie?

Bo poprosiła go, żeby przestał.

A on tego nie zrobił.

A ona w końcu przestała prosić.

Właśnie na tym polega utrata kontroli.

Oto rzadki moment, kiedy to Michelle trzyma kamerę. Filmuje Kyle'a na rowerze w lesie, na niewielkiej polanie. W ujęciu widać Rocky'ego – schodzi ze skały, bez koszuli, z ręcznikiem na ramionach i papierosem zwisającym z ust. Końcówki włosów ma rozjaśnione od słońca, całe lato spędzili na biwakach. Podchodzi do niej i zadaje jej jakieś pytanie, którego nie słychać, coś w rodzaju: co to ma być? A ona odpowiada: „Mój dowód".

Trwa to ułamek sekundy. Nadal nie mam pojęcia, jak Paul mógł to przegapić. Rocky podchodzi do niej bliżej, wygina wargę w grymasie. Z ruchu ust można odczytać coś jak „kurwa", prawą ręką robi zamach w stronę kamery albo Michelle i nagranie się urywa. Nagrał się jednak przebłysk gniewu. Natychmiastowego i dzikiego. W jego ciele nie ma nic, co sugerowałoby żart, zabawę. Jego ręka, szybka jak bicz, leci w jej stronę i obraz znika. Oglądam to jeszcze raz, w zwol-

nionym tempie. Nie ma żadnych wątpliwości. Na ułamek sekundy jego twarz zmienia się w oblicze bestii. Ręka wystrzeliwuje w jej kierunku. Nie tylko Rocky reaguje tu bezwarunkowo – Michelle także. Wyłącza kamerę jednym, dobrze przećwiczonym ruchem. Publiczność wychodzi. Dzwonię do kolegi z biura, ale nie daję mu żadnego kontekstu. „Obejrzyj to – proszę go – i powiedz mi, co twoim zdaniem będzie dalej”.

W sumie trwa to jakieś dwie sekundy. Można przegapić, gdyby człowiek kichnął. Oglądamy tę scenę razem, mój kolega Don i ja. Widziałam ją już trzy, cztery, pięć razy.

– Jasna cholera – mówi Don, kiedy to widzi.

Ostatnia płyta DVD ojca Michelle nosi tytuł *Rodzina Mosure – Ostatnie nagranie 2001*. Kolejne sceny z biwaków, Kristy i Kyle siedzą na kanapie i oglądają telewizję. Rocky zdejmuje złowioną rybę z haczyka, szczęki poruszają się, jak gdyby coś żuł. Mały nadmuchiwany basen na podwórku, a w nim pływa malutka kaczka.

– Kaczuszka! – woła Kristy i próbuje ją pogłaskać. – Zanurzyłam się pod wodę, a ty mnie wystraszyłaś!

Później widzę, jak przez podwórko idzie żółw. Biały samochód Rocky’ego zaparkowany w poprzek trawnika, obok przewróconej hulajnogi. Samochód ma zdjętą maskę. Potem są nagrania bez dźwięku, Rocky wiecznie dłubiący w swoim mustangu, Rocky w garażu.

Kolejne nagranie, nie wiadomo, ile czasu minęło od poprzedniego. Tygodnie. Miesiące. Kristy w fioletowym ubranku, Michelle znowu za kamerą, nagrywa, jak jej córeczka stoi nad krawędzią wody z głową schyloną ku ziemi. Kristy robi kilka niepewnych kroków. Zatrzymuje się, kiedy woda sięga palców jej stóp. I tam zostaje.

Potem są w jaskini. Jest wrzesień 2001.

Michelle ma na sobie wycięte dżinsowe szorty.

– Nawet w tych ciemnościach – mówi Rocky i kieruje obiektyw kamery na pupę żony – pokaż mamie, jak naprawdę wygląda.

W ostatniej scenie nagrania widać terrarium w kształcie sześciokąta. Wewnątrz leży zwinięty wąż – wbija wzrok w kamerę, a górna część

ciała wygina się w kształt litery S. Na grzbiecie ciemnobrązowe łuski układają się w kształt diamentów, gruby korpus wysuwa się na pierwszy plan. Grzechotnik. Jest zwinięty w ciasną wstęgę, o wiele za duży na taką klatkę. Rocky filmuje, w tle słychać głosy dzieci. Palcem lewej dłoni Rocky stuka w szybę pięć czy sześć razy. Wąż nie reaguje, porusza jedynie powiekami, leniwie, powoli, obserwując, jak ten palec stuka, stuka, stuka. Kilka razy wysuwa język, ale wygląda, jakby nie był w najmniejszym stopniu zainteresowany człowiekiem, który próbuje zwrócić jego uwagę. Wtedy nagle… trach! Wąż uderza w szybę i cofa się tak szybko, że nawet nie widać ruchu. Jedyne, co słychać, to uderzenie.

– O rany – mówi Rocky, bezpieczny za szklaną barierą. Tata zawsze przeżyje. – Wariactwo.

To ostatnia scena. Wąż. Puk, puk, puk. Rocky pokazuje swoją władzę nad tym, co w innych okolicznościach mogłoby go zabić w ułamku sekundy.

Głos Rocky’ego.

„Wariactwo”.

A potem nic.

Część II

Początek

Pokuta

Dziewczyny, na które polował Jimmy Espinoza, były słabe. Ta kruchość kleiła się do ich skóry niczym puder. Miały ją wypisaną w oczach i w tym, jak się poruszały, a Jimmy od razu je rozpoznawał. Jeśli odpowiedziały na spojrzenie poszukującym, głodnym wzrokiem, wiedział, że może je zdobyć. Przeważnie były młode, choć nie zawsze. Były zagubione. Łatwo je było kontrolować. „Jak dziewczyna nie miała ojca – stwierdził Jimmy – to wiedziałem, że łatwo mi z nią pójdzie". Traktował partnerki tak samo jak swoje prostytutki: jak przedmioty, które mógł w każdej chwili wziąć albo wyrzucić. Uderzyć albo nie. Zerżnąć albo nie. To od niego zależało, gdzie, kiedy i jak. Ich rolą było mu służyć.

Nigdy nie zastanawiał się nad tym, czy robi coś złego, czy dobrego. Moralność nijak się miała do jego wewnętrznego monologu. Na ulicy pieniądze kierowały się własną kanibalistyczną logiką. Im więcej miałeś, tym więcej było do stracenia. Im więcej było do stracenia, tym więcej potrzebowałeś. Im więcej potrzebowałeś, tym bardziej zmuszałeś dziewczyny do pracy, i tak dalej, i tak dalej. Był taki czas w latach dziewięćdziesiątych, kiedy Jimmy Espinoza był jednym z najbardziej znanych alfonsów w San Francisco. Szacuje się, że w najlepszy dzień wyciągał piętnaście kawałków. To było w czasach, gdy do Mission nie chodziło się bynajmniej po latte i designerskie dżinsy. Tam się chodziło, jak człowiek prosił się o kłopoty.

Z powyższej historii raczej trudno wywnioskować, że pewnego dnia Jimmy poprowadzi program walki z przemocą domową w tym samym więzieniu, w którym niegdyś odsiadywał wyrok. Jego przemoc – ludzie w świecie, w którym teraz żyje, przyjmują ją z tym zaimkiem dzierżawczym jako własną – była skierowana przeciw kobietom, które dla niego pracowały, i kobietom, które wchodziły z nim w związki, przeciw członkom wrogiego gangu, przeciw każdemu, kto spojrzał na niego nie tak, jak trzeba. Gwałt stanowił broń w jego arsenale; jak sam to określił, był „skurwiałą mendą". Największym

zmartwieniem w tamtych czasach było to, gdzie schować zapas gotówki. Upychał ją po materacach, fotelach samochodowych, gdzie się tylko dało. A co, miał ją wpłacić do banku? Studolarowe banknoty wciskane do pudełek po butach Nike. Miał BMW, mercedesa, kozackie dwa kółka.

– Chcę, żeby wszyscy wiedzieli, jakim jestem pasożytem – mówi o sobie, jak zawsze używając przy tym czasu teraźniejszego. – Samo dno.

Łysą głowę Jimmy'ego pokrywają tatuaże przedstawiające charakterystyczne elementy San Francisco: budynek Transamerica, most Golden Gate, tramwaj. Na jego czaszce można wyznaczyć trasę turystyczną. Na kostkach dłoni ma wytatuowane słowa *tuff enuf*, a na szyi *Est. 1969*.

Nie tak dawno temu przekazał pięćset dolarów – dziś to dla niego majątek – na Huckleberry House, ośrodek dla zagrożonej młodzieży z okolicy. Jimmy opisuje go jako miejsce dla „dziewczyn na gigancie, które zazwyczaj uprawiają prostytucję". To dla niego rodzaj pokuty, sposób na zadośćuczynienie ogromnej rzeszy kobiet, które niegdyś terroryzował. Kobiet zagubionych w świecie, kobiet, które chciałby odnaleźć i przeprosić. On wtedy nie wiedział, mówi. Nie wiedział. Obawia się, że część z nich, może nawet wiele, już nie żyje.

Są trzy historie, które składają się na emocjonalną oś życia Jimmy'ego. To sztuka w trzech aktach o tak ogromnym znaczeniu, że są one tyleż somatyczne, co psychiczne. Można je podsumować w trzech pytaniach: Jaka jest najgorsza rzecz, która kiedykolwiek ci się przytrafiła? Jaka jest najgorsza rzecz, którą kiedykolwiek zrobiłeś? Jaka jest najgorsza rzecz, która przytrafiła się komuś, kogo kochasz? Każdy, kto doświadczył życia, w którym odpowiedzi na te trzy pytania padają od razu, może w jakimś stopniu zrozumieć, co napędza dziś Jimmy'ego. W pierwszej historii jest dzieckiem, ma jakieś osiem czy dziewięć lat. W drugiej jest młodym facetem, trochę po dwudziestce. W trzeciej jest już zupełnie dorosły. W kółko dzieli się tymi trzema historiami – nie dlatego, że ich opowiadanie to dla niego jakieś katharsis, ale dlatego, że mają one wielką siłę oddziaływania na ludzi, z którymi Jimmy pracuje. Świat wali w ciebie jakąś nieprzewidzianą grozą i co dalej? Nikt przed tym nie ucieknie. Jeśli jesteś taki

jak Jimmy, to robisz się wredny. A wredota oznacza, że znowu coś w ciebie walnie, bo prowokujesz siły dokoła, żeby zrobiły to ponownie. Proszę bardzo. Ja to wytrzymam. Jestem twardy. Ja jestem, kurwa, mężczyzną. I to działa. Im bardziej się wściekasz, tym więcej rzeczy ci się przytrafia. Im więcej rzeczy ci się przytrafia, tym bardziej się wściekasz. Prawdziwy symbol nieskończoności.

I tak to sobie idzie, aż pewnego dnia kończysz martwy lub zdarza się jakiś cud, który cię, kurwa, budzi. Jimmy'emu przydarzył się ten cud. Gdyby urodził się w innym stanie, trafił do innego więzienia po tym, co zrobił, to może właśnie „skończyłby martwy", a nie tylko jako facet, który ma te trzy historie. Wielu kolesi, których znał, skończyło w ten sposób. Niektórych grzebie po dziś dzień. Ale Jimmy urodził się w dzielnicy Excelsior w San Francisco, gdzie gangsterka, w którą się bawił, zaprowadziła go do więzienia o nazwie San Bruno dokładnie wtedy, kiedy San Bruno stało się miejscem niezwykłego i odważnego eksperymentu.

Zanim opowiem o laboratorium San Bruno i o trzech kluczowych momentach w życiu Jimmy'ego, muszę sięgnąć do innej historii. Zaczyna się ona ponad sześćdziesiąt lat temu w robotniczej wiosce w Szkocji, od pewnego ciekawskiego dzieciaka, który nazywał się Hamish Sinclair.

Dziadek Sinclaira był kamieniarzem i zmarł młodo na krzemicę. Ojciec Sinclaira, człowiek autorytarny, pracował jako piecowy i również zmarł młodo, gdy Hamish miał zaledwie trzynaście lat. Całe życie był świadom zmagań klasy robotniczej. Doświadczał ich na własnej skórze, w jego rodzinnej wiosce Kinlochleven życie każdej rodziny zależało od pracy w miejscowej hucie aluminium. Kinlochleven z trzech stron otaczały góry. Kiedy Sinclair dorastał, nie było tu żadnego innego przemysłu, poza tą fabryką nikt nie miał innych możliwości.

„Chodziło o to, żeby się stamtąd wyrwać – powiedział mi. – Jak facet pracował w fabryce i miał czwórkę dzieci, to tylko jedno mogło zająć jego miejsce. Pozostała trójka musiała pójść gdzie indziej".

Sinclair się wyrwał. Planował zostać artystą malarzem. Uczęszczał do szkoły Bryanston w Anglii, stosującej system daltoński, który

– podobnie jak metoda Montessori – podchodzi do nauczania holistycznie. Edukacja daltońska odrzuca wymagane w większości szkół na początku XX wieku uczenie pamięciowe, a uczniowie mają być własnymi nauczycielami. Plany nauczania są zindywidualizowane, a wychowankowie mają za zadanie nauczyć się uczyć – samodzielnie. W szkole Sinclaira zawsze był nauczyciel, którego można było o wszystko pytać i który udzielał wskazówek, uczniów wspierali też pedagodzy, ale cała idea polegała na tym, by być aktywnym uczestnikiem własnej formacji edukacyjnej. Ta filozofia obecna jest w życiu Sinclaira i jego pracy po dziś dzień. Kiedy pewnego wieczoru usiadłam z nim w restauracji w dzielnicy Tenderloin w San Francisco i opowiedział mi o swoim życiu, stało się jasne, że jego kariera składa się z projektów i że stworzył metodologię dla każdego z nich, niezależnie od tego, czy chodziło o dokumentowanie nowojorskich marszów przeciw wojnie w Wietnamie, czy też o nurkowanie w Tamizie, żeby sfilmować protest przeciw atomowym okrętom podwodnym. Rozmawialiśmy wiele godzin, po zamknięciu restauracji przenieśliśmy się do baru, a potem przed kominek w lobby pobliskiego hotelu, bo było długo po północy, bar już zamknięto, a reszta miasta dawno zasnęła. A w każdej nowej historii, w każdej dekadzie ów fakt tworzenia miał kluczowe znaczenie.

Sinclair ma teraz osiemdziesiąt pięć lat, szopę siwych loków na głowie i brzmi tak, jakby właśnie wyszedł z hippisowskiej komuny i był rok 1968. Nosi crocsy i ma w sobie urok rozczochranego wujka ekscentryka. Całymi latami nie umiałam rozpoznać jego ledwo słyszalnego akcentu. Kanada? Irlandia? Minnesota? Szkocja.

Historia jego losów po ukończeniu Bryanston jest długa, zagmatwana i fascynująca i być może kiedyś opowie ją inny autor w innej książce. Pojawiają się w niej: hotelik na irlandzkim wybrzeżu, ciemna i burzliwa noc, kiedy to oddał swoją sypialnię amerykańskiemu filmowcowi, który później ściągnął go jako kamerzystę i działacza do Nowego Jorku, gdzie Sinclair przypadkowo napadł na oficera FBI podczas protestów przeciw wojnie w Wietnamie, po czym na krótko opuścił miasto i wrócił do Londynu, a następnie został kluczową postacią w ruchu związkowym, najpierw wśród górników z Kentucky, a później wśród pracowników przemysłu samocho-

dowego z Michigan. „Znalazłem się na fali społecznych niepokojów, na samym jej grzbiecie” – tak mówił o swoim przybyciu do Ameryki, wczesnych latach aktywizmu i obywatelskiego nieposłuszeństwa. Obserwował ruch Black Power w Detroit, rozkwit feminizmu w latach siedemdziesiątych XX wieku, a gdy tak podróżował, organizował i uczył się od Amerykanów w całym kraju, coraz częściej zadawał sobie jedno pytanie.

Dlaczego mężczyźni ciągle się biją?

Rzecz jasna, nie wszyscy mężczyźni to robili. Ale ci, z którymi pracował, ci, których organizował, z którymi się przyjaźnił – owszem, i to często. Mężczyźni z klasy robotniczej w Nowym Jorku, Kentucky, Michigan. Nawet w jego rodzinnym kraju, w Wielkiej Brytanii. Przemoc domowa nie pojawiła się nawet na jego radarze. Myślał o radykalnym działaniu. Polityka klasowa i prawa pracownicze. Myślał o tym, co ruch Black Power w Detroit ma wspólnego z tymi górnikami z Kentucky. Był aktywistą społecznym, starał się zorganizować robotników w jednolity ruch, ale nadal przeciwstawiał się patriarchatowi, postawie macho, która dyktuje, kto powinien przewodzić, dlaczego i jak. Po zamieszkach w Chicago w 1968 roku pojechał do Detroit, żeby tam organizować chłopaków z branży motoryzacyjnej. Skupiał się, przynajmniej częściowo, na relacjach rasowych, na tym, by namówić więcej białych do pracy z czarnymi braćmi. Na kwestie płciowe nie było w jego planach miejsca.

Po kilku latach pobytu w Detroit zwróciła się do niego grupa kobiet, które też chciały się zorganizować. Były wśród nich żony mężczyzn, z którymi pracował w przeszłości. Widział to tak: pomagał każdemu, kto chciał taką pomoc otrzymać. Jeśli człowiek był gotów walczyć z uprzedzeniami systemowymi czy niesprawiedliwymi warunkami pracy, jeśli walczyło się o sprawiedliwość, to Sinclaira nie obchodziło, kim ten ktoś jest. Im więcej ludzi, tym większy wpływ. Im większy wpływ, tym większe szanse na zmianę. Ale okazało się, że mężczyźni, z którymi pracował, nie byli aż tak egalitarni w swoich poglądach na temat płci. Nie chcieli, żeby kobiety się organizowały. Był rok 1975, emancypacja była jeszcze w powijakach. W miarę jak coraz więcej kobiet zaczęło pojawiać się na wydarzeniach organizowanych przez społeczność Sinclaira, pewna część mężczyzn, którym

pomagał wcześniej w organizacji, zaczęła na nie narzekać i mówić, że kobiety nie powinny się w ten sposób angażować. Organizacja była dla mężczyzn. „Pięć lat robiłem tę ogólnomiejską organizację – powiedział mi Sinclair o swoim pobycie w Detroit – i wszystko padło, kiedy ci faceci stwierdzili: »Nie możesz organizować dziewczyn«”. Sinclair był zszokowany.

Odbył serię spotkań z mężczyznami, a po każdym emocje tylko się nasilały i patriarchat okopywał się coraz bardziej, aż pewnego wieczoru po trzecim spotkaniu jeden z mężczyzn, kluczowa postać w organizacji Sinclaira, poszedł do domu i pobił swoją żonę tak bardzo, że kilka kobiet – „twardych herod-bab”, jak określił je Sinclair – przyszło do niego nazajutrz i powiedziało, że chcą się wycofać. Tamten facet nie żartował. Wielu z ich mężów nie chciało, żeby się organizowały. Najwyższa pora dać sobie spokój. Sinclair powiedział wtedy, że mąż nie powinien bić żony, ale nie dlatego, że to moralnie naganne, tylko dlatego, że dzieli to społeczność.

– Znalazłem się w samym epicentrum tego wszystkiego, a chłopaki wyznaczyły cenę za moją głowę – stwierdza. Na pół roku zszedł „pod ziemię”, rzadko wychodził z domu, a jeśli już, to zabierał ochroniarzy.

Po sześciu miesiącach ogłosili rozejm. Mężczyźni przyszli do niego i chcieli znowu rozpocząć organizowanie. Sinclair odparł, że w porządku, a następnie zapytał, czy są teraz gotowi sprowadzić kobiety. Jego rozmówcy nie kryli szoku.

– Chyba już załatwiliśmy tę kwestię raz na zawsze? – zapytali.

A on im odpowiedział:

– Nie będę pracował dla kogoś, kto chce podzielić społeczność na pół według płci.

Jego partner przekonał go, że czas zabierać się z Detroit. Mężczyźni i kobiety utkwili w niemożliwym do rozwiązania impasie, a gdyby Sinclair nie wyjechał, skończyłby martwy.

Zatem skierował się na zachód, do Berkeley, gdzie poznał Claude’a Steinera.

Steiner był prawdziwym gigantem w dziedzinie teorii gender, ojcem „radykalnej psychiatrii", ruchu, który powstał w Berkeley w latach siedemdziesiątych XX wieku. Pisał o „zinternalizowanej opresji" mężczyzn i kobiet oraz propagował terapie oparte na sprawiedliwości społecznej; pomagał też popularyzować ideę kompetencji emocjonalnej (*emotional literacy*). Psychiatria radykalna krytykowała standardowe metody leczenia klinicznego, które często ignorują kontekst społeczny życia pacjentów – świat, gdzie wojny, bieda, rasizm i nierówności stanowią endemiczny problem. Wzywała natomiast do systemowego przewrotu porządku społecznego i politycznego. Był to ruch antyautorytarny, wywodzący się z kontrkultury, która odrzucała standardowe metody terapeutyczne, takie jak leki, przymusowa hospitalizacja czy elektroterapia. Dążył do modelu leczenia, który zakładał, że w postępowaniu z chorobami psychicznymi lepiej sprawdzą się teoria społeczna i zmiany osobiste niż przemysł medyczny.

Sinclair zachwycił się Steinerem i przyjaźnił się z nim aż do jego śmierci w 2017 roku.

Przez pięć lat pracował pod kierownictwem Steinera z chorymi na schizofrenię w zakładzie psychiatrycznym nieopodal San Francisco i czytał jego pisma oraz książki współczesnych mu autorów. Zaczął rozumieć, że przemoc to wynik systemu przekonań, które najwyraźniej podzielają wszyscy mężczyźni, a które mówią im, że są autorytetami w swoim życiu, że należy im się szacunek i podziw. Że ich miejsce jest na szczycie hierarchii ludzkości. Był to system przekonań, który nie tylko dystansował ich od otoczenia, ale także ich ograniczał, zamykał w ustalonych ramach przez ich własne wąskie wyobrażenia o tym, kim mogą być i jak się zachowywać.

Ale dlaczego? Skąd u mężczyzn takie przekonanie? Sinclair, rzecz jasna, rozumie argumenty ewolucyjne, to, że musimy zabijać, aby przeżyć (ma tu na myśli pożywienie). Jest skłonny uwierzyć, że być może w pewnym momencie, u zarania ludzkości, mężczyźni mieli jakieś predyspozycje do przemocy, potrzebne im, żeby mogli wyżywić rodziny. Ale to się zmieniło, i to setki lat temu. Nie licząc tej historii, odrzuca pogląd, jakoby przemoc stanowiła nieodłączną cechę męskiego gatunku, a mężczyźni rodzili się do walki. Przede wszystkim nie potrzebujemy już takiej przemocy, żeby przetrwać; potrzebna jest

nam natomiast intymność. Akurat w tym zakresie mężczyźni nie mają żadnego systemu przekonań, ponieważ uczy się ich przemocy, a nie intymności. „Przemoc to umiejętność, którą wszyscy musieliśmy sobie przyswoić w okresie dorastania choćby po to, by zostać w swojej grupie – powiedział. – Problem w tym, że w przypadku intymności to się nie sprawdza. To zupełnie inny zestaw umiejętności”[67]. Wystarczy przeczytać dziś dowolne doniesienia prasowe o zabójstwie w wyniku przemocy domowej, a gdzieś pojawi się jakaś wersja pytania: dlaczego od niego nie odeszła? Natomiast próżno szukać kogoś, kto zapyta: dlaczego on był taki agresywny? Albo jeszcze lepiej: dlaczego nie mógł powstrzymać się przed przemocą? Sinclair uważa, że mężczyzn uczy się czegoś zupełnie innego niż kobiety. Przesłał mi kiedyś referat z konferencji sprzed kilku lat, w którym przytoczył sparafrazowane słowa zastępcy szeryfa z San Francisco:

> Mężczyzna uczy się, jak być mężczyzną, dowodząc swojej wyższości nad innymi mężczyznami i nad kobietami, a duża część przemocy w naszych wspólnotach wynika z nieustannego egzekwowania przez mężczyzn tej wyuczonej wiary we własną wyższość, niezależnie od tego, czy chodzi o znęcanie się nad żoną, wojny gangów, rabunek na ulicy, napady z bronią w ręku, czy wszelkie inne przestępstwa, o które oskarżono mężczyzn w więzieniach. Mężczyźni […] nauczyli się, że używanie siły i przemocy we wszystkich powyższych przypadkach jest normalne, że tak mogą spełnić swoje społeczne zobowiązanie do bycia lepszym.

Sinclair nie ma najmniejszych oporów przed zastosowaniem tak kategorycznego rozróżnienia płci. To mężczyźni są agresywni. To mężczyźni są sprawcami większości przemocy na świecie, niezależnie od tego, czy jest to przemoc domowa, czy wojna. Nawet te stosunkowo nieliczne kobiety, które dopuszczają się agresywnych zachowań, robią to – jak twierdzi Sinclair – najczęściej w reakcji na przemoc ze strony mężczyzn. To jeden z najskuteczniejszych argumentów za tym, że nie ma sensu uzbrajać kobiet, by mogły chronić się przed mężczyznami: ponieważ dając kobiecie broń, oczekujemy od niej, że będzie się zachowywała jak mężczyzna, że uosobi somatyczne, psychologiczne oraz kulturowe doświadczenie mężczyzny, jednocześnie tłumiąc wszystko, czego ją nauczono. Dałoby to kobie-

tom sygnał, że jeśli chcą uchronić się przed brutalnymi mężczyznami, same muszą stać się brutalne. Sinclair uważa, że to najgorsze rozwiązanie. To nie kobiety muszą uczyć się przemocy; to mężczyźni muszą uczyć się, jak jej nie stosować.

Mężczyzn uczy się, żeby nie płakali, kobiety – że płacz jest w porządku. Mężczyzn uczy się, że gniew to jedyna dopuszczalna emocja, a kobiety – że nie wolno im odczuwać gniewu. Mężczyzna, który krzyczy, to mężczyzna; kobieta, która krzyczy, uchodzi za wrzaskliwą, dramatyzuje („królowa dramatu") albo jest histeryczką. (Wiele osób przede mną zwróciło już uwagę, że trudno o większy „dramat" niż masowa strzelanina, a jednak określenie „król dramatu" jakoś się nie przyjęło). Na opisanie tego zjawiska Sinclair używa idiomu „słoń w pokoju" – nie powiemy po prostu, że to mężczyźni są agresywni. Że to mężczyźni wyżywają się swoją przemocą na rzeszach innych. Strzelaniny w szkołach to dzieło młodych mężczyzn. Podobnie jak masowe morderstwa. Wojny gangów, rozszerzone samobójstwa i samobójstwa rodzinne, matkobójstwo, a nawet ludobójstwo: za wszystko to odpowiadają mężczyźni. Zawsze mężczyźni.

> Wszystkie powszechnie dostępne statystyki dotyczące przemocy domowej i przemocy ogółem, a także nieoficjalne przekazy na ten temat w Stanach Zjednoczonych i na całym świecie wyraźnie wskazują na fakt, że mężczyźni niemal monopolizują wszystkie sektory popełniania przemocy – napisał Sinclair. – Ogólne opisy przemocy sprawiają wrażenie ostrożnej próby zignorowania tego kluczowego dowodu, […] sposobu na uniknięcie konstatacji o tym, że źródło przemocy ma swoją płeć. Ten błąd w analizie niweczy próby znalezienia dla tego problemu rozwiązania.

Innymi słowy, jeśli nie potrafimy uczciwie określić, kim są sprawcy, jak możemy rozwiązać ten problem?

Sinclair sugeruje, że strach przed nazwaniem prawdziwych sprawców jest sam w sobie rodzajem metaprzemocy; nie chcąc wskazać w tym kontekście mężczyzn, podżegamy do utrwalania tego przekonania. Jednak strach przed konsekwencjami jest uzasadniony. Żyjemy w świecie, gdzie przywódcy dosłownie chwalą się takim systemem przekonań, gdzie napaści na tle seksualnym na kampusach uczelni osiągnęły krytyczny poziom i gdzie przypadkowa przemoc jest ak-

ceptowaną i celebrowaną formą rozrywki. W świecie, gdzie były prokurator generalny Jeff Sessions uznał, że terroryzowanie przez partnera życiowego to niewystarczający powód, żeby przyznać imigrantce azyl w USA, i gdzie mężczyźni, którzy dopuszczali się przemocy, jak na przykład Rob Porter, otrzymują nominacje na wysokie stanowiska z rąk przywódcy kraju. Mało tego, przywódca sam także ma na koncie przemoc, przynajmniej wobec pierwszej żony Ivany, co potwierdzają jej zeznania złożone w postępowaniu rozwodowym. David Frum, w swoim czasie autor przemówień prezydenta George'a W. Busha, w artykule dla magazynu „Atlantic" z 2018 roku napisał: „Przemoc w domu wskazuje, że wysoki rangą urzędnik państwowy ma niebezpieczny charakter i może być podatny na szantaż […]. Obecny prezydent wysłał swojemu otoczeniu sygnał o tym, co dozwolone, a w każdym razie co można wybaczyć"[68].

Pomyślałam o wyjeździe na musical *Camelot*, zorganizowanym niedawno przez szkołę mojej córki, na który pojechałam jako opiekunka. Na widowni siedziały dzieci z czwartej klasy z całego miasta. Po spektaklu aktorzy wyszli na scenę, żeby odpowiedzieć na pytania widzów, a moderujący spotkanie pracownik teatru zadał dzieciakom dwa pytania: po pierwsze, czy uważacie, że Ginewra popełniła błąd, kiedy pozwoliła, by jej uczucie do Lancelota doprowadziło ją do zdrady męża, króla Artura? A po drugie, czy król Artur powinien był wybaczyć Lancelotowi, czy skazać go na śmierć? W odpowiedzi na pierwsze pytanie dzieci krzyczały chórem, że tak, popełniła błąd. Powinna była zignorować swoje uczucia. Co do drugiego, cienkie głosy chłopców przed mutacją rozbrzmiały zbiorowym wołaniem: „Tak! Zabić go! Zabić go!". Były to dzieci dorastające w liberalnej enklawie Waszyngtonu, dzieci z obojgiem pracujących rodziców, pochodzące z rodzin, które często kwestionują stereotypy płciowe od dnia pojawienia się tych dzieciaków na świecie. Jednak pytanie dotyczyło tylko uczuć postaci kobiecej, a nie męskiej – jak gdyby Lancelot i Artur byli pozbawieni ludzkich emocji. A kiedy pojawiła się możliwość wybaczenia lub zemsty, podział przebiegał dokładnie według linii płci. Chłopcy woleli zabić, bez wahania. Sygnał dotarł już do czwartej klasy, pomimo liberalnego środowiska. (Bardzo mnie rozczarowało, że nikt z dorosłych – nauczycielek, obsady aktorskiej czy

opiekunów – nie skorzystał z okazji, by odnieść się do tych zależnych od płci odpowiedzi[69]. W sumie to nie jestem wcale pewna, czy ktokolwiek oprócz mnie to zauważył).

Słysząc to, Sinclair macha ręką i pyta: „Serio?". Opowiada mi o konferencji antyprzemocowej, w której uczestniczył kilka lat temu. Padło wówczas pytanie o rodzinę, w której zachęcano dziecko, by wróciło do swojego prześladowcy i go pobiło. Celem ataku miał być chłopiec. Pierwsze dziecko także było chłopcem. Rodzicem udzielającym rady był ojciec. (Rzadko która matka namawia syna, by „wrócił na miejsce i pobił tamtego"). Ojciec opowiadał się więc za takim rozwiązaniem problemu synka z przemocą, które było jeszcze bardziej brutalne; wzmocniło system przekonań o męskiej roli i przekazało go kolejnemu młodemu człowiekowi. Przemoc rodzi przemoc. Żaden z uczestników konferencji nie wspomniał nawet o dynamice płci w tym scenariuszu, powiedział Sinclair. Zamiast tego skupiono się na samej historii, na potencjalnym wyniku bijatyki, a nie na uwarunkowanej płcią zachęcie do brutalności. Sinclair uważa, że to stanowi „część problemu". Owa niechęć, by dostrzec czy też uznać powiązane z konkretną płcią źródło przemocy. Że „kto" liczy się tak samo jak „dlaczego". Przemoc, mówi Sinclair, to nie „problem w związku. To problem przywiązania partnera [kobiety] do przemocy".

– Brutalni mężczyźni są swojej brutalności świadomi, a nawet szczycą się własną męskością przed znajomymi – twierdzi. – Ale gdy ich o to zapytać, często zaprzeczają, jakoby ich przemoc miała naprawdę brutalny charakter. To wyparcie pozwala brutalnemu mężczyźnie zminimalizować wpływ przemocy na ofiarę, zrzucić na nią winę i szukać u jej rodziny i przyjaciół kogoś, kto poprze jego wersję wydarzeń.

Sinclair ma tu na myśli bagatelizowane przypadki przemocy: sprawca zwykle używa zwrotów typu „nie było aż tak źle". Oskarża ofiarę o przesadną reakcję. Twierdzi, że nie miał zamiaru jej „skrzywdzić", kiedy rzucił jakimś sprzętem w jej stronę, zatrzasnął na niej drzwi albo rzucił nią o ścianę. Jak gdyby przedmioty – ściana, drzwi – były winne. Ci mężczyźni robią wszystko, co w ich mocy, aby nie przyznać się do aktu przemocy.

Pięć lat po przeprowadzce do Kalifornii Sinclair zrobił się niespokojny i chciał wrócić do pracy organizacyjnej. Pewnego dnia znajoma, która pracowała w ośrodku wsparcia dla maltretowanych kobiet w miejscowości San Rafael, zapytała go, czy nie podjąłby się pracy w oddziale dla mężczyzn w ich schronisku. Rozważył propozycję, ale nie potrafił do końca wyobrazić sobie, jak miałoby to wyglądać. A potem wrócił do swoich korzeni. Przecież był nie administratorem, tylko organizatorem. Był aktywistą. Połączył metodę daltońską i tych związkowców z Detroit, którzy nie chcieli kobiet, z psychiatrią radykalną, uwzględniającą świat, w którym wszyscy żyjemy – a wtedy w jego głowie zaczął kiełkować pomysł. Powiedział znajomej, że nie chce prowadzić męskiego oddziału w schronisku dla kobiet. Zamiast tego chciał stworzyć zupełnie nowy program interwencyjny dla agresywnych mężczyzn.

– Miał stanowić odpowiedź na pilną potrzebę kobiet – opowiada. – Kobiety chciały programu, który dotyczyłby ich doświadczeń z naszą przemocą. Tak mówiły: wasza przemoc.

Męska przemoc. To wątek, który przewija się po dziś dzień we wszystkich interwencjach Jimmy'ego w San Bruno, gdzie każdego dnia ma do czynienia z brutalnymi mężczyznami.

Sinclair wcielił swój plan w życie w 1980 roku, ale dopiero cztery lata później znalazł dla niego nazwę – od 1984 roku program działa jako ManAlive i trwa pięćdziesiąt dwa tygodnie, podzielone na trzy etapy. Podczas pierwszej, dwudziestotygodniowej części mężczyźni uczą się brać odpowiedzialność za swoją przemoc. Podczas drugiej, szesnastotygodniowej sesji zdobywają umiejętność szukania zachowań alternatywnych wobec przemocy. Trzecia część, która także trwa szesnaście tygodni, uczy ich strategii tworzenia intymności i spełnienia w życiu. Przez pierwszą dekadę trudno było znaleźć chętnych do udziału w programie, który miał wywrócić na nice wszystkie ich dotychczasowe przekonania na temat tego, jaki mężczyzna powinien być i co powinien robić. Potem weszła w życie ustawa o przemocy wobec kobiet i nagle sądy zaczęły kierować chłopaków nie tylko do ManAlive, ale też do programów interwencyjnych w całym kraju, w Massachusetts, Kolorado i Minnesocie. W Kalifornii uchwalono ustawę, na mocy której agresywny mężczyzna miał do wyboru obo-

wiązkowy udział w programie albo więzienie, a jeden z jej zapisów stwierdzał wyraźnie, że interwencja musi być oparta na płci, a nie na terapii. Nie można było ich po prostu wysłać na zajęcia z radzenia sobie z gniewem. Tu nie wystarczyło kilka sesji z terapeutą. W ramach swojego programu nauczania musieli poznać role i oczekiwania związane z płcią; musieli zbadać rolę płci we własnej akulturacji. (Choć Sinclair jako pierwszy przyzna, że wiele z tego, co zawiera program ManAlive, w rzeczywistości zostało zapożyczone z terapii). Za inspirację posłużyły teoria gender i programowanie neurolingwistyczne (NLP)[70]. W projekcie ManAlive polega to po prostu na tym, że mężczyźni uczą się zwracać uwagę na swoje ciało, głos i reakcje osób z otoczenia podczas incydentu przemocowego w taki sposób, w jaki zdecydowana większość z nich nigdy wcześniej tego nie robiła.

Program ManAlive został liderem wśród licznych projektów interwencyjnych, które pojawiły się po uchwaleniu VAWA; uruchomiono go w tym samym czasie co kilka innych ważnych przedsięwzięć: Amend w Denver, Emerge w Bostonie oraz Domestic Abuse Intervention Project w Duluth. A wszystkie one zrobiły coś, czego nikt wcześniej nie wziął pod uwagę: skupiły się nie tyle na następstwach przemocy i jej ofiarach, ile na jej epicentrum i sprawcach.

Program cieszył się coraz lepszą reputacją w całym regionie. Pod koniec lat dziewięćdziesiątych XX wieku zwróciła na niego uwagę Sunny Schwartz, strażniczka więzienna. Schwartz nie bała się innowacji, a była sfrustrowana tym, jak nieudolnie system radzi sobie z przemocą mężczyzn, którą obserwowała rok po roku, dekada po dekadzie. Na własne oczy widziała, że przemoc działa w cyklach, zarówno w życiu mężczyzn w więzieniu, jak i w skali pokolenia. Mężczyźni, których spotykała na co dzień w swojej pracy, popełniali akty przemocy, lądowali za kratkami i odsiadywali wyrok w kulturze przemocy panującej obecnie w amerykańskim więziennictwie, a następnie wnosili ten podwyższony poziom przemocy z powrotem do swoich rodzin i społeczności. Schwartz zauważyła, że do poprawczaka zaczęły trafiać dzieci mężczyzn, których znała z pierwszych lat pracy w tej branży. A potem ich wnuki. Musi być jakiś lepszy sposób, pomyślała. Przemoc nie jest przecież dziedziczna. Widziała, że

odsetek skazanych na karę więzienia wzrasta z roku na rok, ale miała świadomość, że przestępczość w Stanach Zjednoczonych bynajmniej nie spada w analogicznym tempie. Zamykanie mężczyzn za karę nie wpływało na przyczyny ich zamknięcia.

Po wielu latach spędzonych wśród tych mężczyzn zaczęła się zastanawiać, czy przemocy nie można by zredukować, gdyby więzienie stało się miejscem, gdzie nie tyle wyrzuca się tych, którzy złamali prawo, i o nich zapomina, ile się ich reformuje. Jej program opierał się na dwu filarach filozoficznych. Pierwszym był projekt ManAlive: interwencja i przerwanie cyklu przemocy przekazywanej z mężczyzny na mężczyznę, z ojca na syna i na syna. Ale Schwartz chciała więcej. Drugim filarem była koncepcja sprawiedliwości naprawczej. Sprawiedliwość naprawcza wymaga, by sprawca wziął odpowiedzialność za ból i cierpienie, jakie spowodował, i zadośćuczynił swojej ofierze i wspólnocie na tyle, na ile to możliwe. Główny cel stanowi pojednanie podczas spotkania sprawców z ofiarami przemocy domowej. Chociaż sprawiedliwość naprawcza oznacza czasami, że sprawca spotyka się ze swoją ofiarą, to w kontekście San Bruno polega to na tym, że co tydzień grupa osób dotkniętych przemocą przychodzi porozmawiać o swoich doświadczeniach i o życiu z traumą i po niej.

Patrzeć na przemoc w akwarium

Kobieta, która dzisiaj o sobie opowiada, nazywa się Victoria[71]. Ma pięćdziesiąt lat, a od pięciu już nie rozmyśla o broni ojca wycelowanej w jej głowę. Kiedyś słyszała, jak ciało jej matki uderza o ścianę, ale myślała, że matka jest słaba i nudna. Jej ojciec był czarujący, wręcz charyzmatyczny. Pewnego razu, gdy Victoria wybrała się rowerem do domu chłopaka, ojciec pojechał za nią samochodem, przywiózł do domu i przyłożył matce do głowy pistolet, po czym powiedział: „Jeśli kiedykolwiek pozwolisz jej to zrobić jeszcze raz, to cię zabiję". Victoria mówi, że kiedy jej brat nabroił, ojciec czasem groził, że pozabija ich zwierzęta.

Dziś jestem w więzieniu San Bruno (nigdy tu wcześniej nie byłam), siedzę na niebieskim plastikowym krześle między dziesiątkami mężczyzn i wraz z nimi słucham Victorii. Mężczyźni mają na sobie pomarańczowe kombinezony i białe buty bez sznurówek. Niektórzy pod spodem noszą bluzy z długimi rękawami. U niektórych widać tatuaże na niemal każdym centymetrze skóry: palcach, szyi, twarzy. Większość z nich po raz pierwszy w życiu ma okazję siedzieć w milczeniu i przez kilka godzin słuchać kogoś, kto mówi o przemocy domowej w swoim życiu.

Pewnego dnia szesnastoletnia wówczas Victoria znowu usłyszała, jak ciało matki uderza o ścianę, łup, łup, łup. Wtedy już nauczyła się, że nie ma co dzwonić na policję. (Pamięta, jak raz podczas jednej z rozmów z operatorem numeru alarmowego usłyszała w słuchawce: „No, twarda sztuka z tej kobitki"). A potem matka uciekła z sypialni i pobiegła do samochodu. Victoria wyszła za nią na zewnątrz. „Próbował mnie zabić – powiedziała jej matka, bez tchu. – Masz dwie sekundy. Możesz wsiąść do samochodu albo nie".

Victoria zamarła. Zostać. Jechać. Zostać.

Matka uruchomiła silnik.

Victoria została.

– Przez całe lata nosiłam w sobie poczucie winy za to, że zostałam – mówi. – Wpadłam w anoreksję.

Dla wielu z tych mężczyzn to nie tylko pierwsza okazja, żeby naprawdę wysłuchać, jak osoba, która doświadczyła przemocy domowej, opowiada swoją historię, ale i pierwszy raz, kiedy biorą pod uwagę, że trauma i przemoc mogą wywrzeć na kogoś długotrwały wpływ. Wielu ociera łzy.

– Mój tata pisał listy do więźniów, którzy zabili całe swoje rodziny, mówił im, że są odważni – kontynuuje Victoria. – Wiecznie miałam przeczucie, że wydarzy się coś złego.

Mówi, że w końcu, kiedy była już dorosła, zdała sobie sprawę, jak bardzo jest zły, i wyrzuciła go ze swojego życia. Odnalazła matkę i się z nią pogodziła. Pamiętała, że matka była strasznie głośna, ciągle krzyczała i wrzeszczała, ale – jak przyznaje – okazało się, że tak naprawdę matka to cicha i zamknięta w sobie osoba. Victoria mieszka teraz blisko niej. Któregoś roku, na Dzień Ojca, postanowiła się spotkać z tatą. Nie widzieli się od lat, ale od razu rozpoznała jego stan po szklistych oczach. Po spędzonym w niezbyt przyjemnej atmosferze śniadaniu, na którym był także jej brat, wszyscy troje wyszli z restauracji, a wtedy ojciec objął ją ramieniem i wyszeptał: „Mam pistolet w skarpetce. Zamierzałem zabić całą rodzinę, ale kiedy spojrzałem na ciebie, to jednak nie mogłem”.

Wtedy widziała go po raz ostatni. Teraz pilnuje, żeby trzymał się z dala od jej córki.

– Słyszeliście pewnie to powiedzenie: „Krzywdzeni krzywdzą innych” – mówi do zebranych mężczyzn. – No więc ja uważam, że uleczeni leczą innych.

Po wszystkim mężczyźni mogą zadawać pytania. Są skrępowani, odnoszą się do niej z niemal nabożnym szacunkiem, gdy wstają z krzesła, żeby ją o coś zapytać. Niektórym drżą ręce, kiedy je podnoszą. Pytają, czy jej relacja z córką jest taka jak związek z matką. („Zupełnie inna”; nawet nie podnosi głosu). Pytają, czy wybaczyła ojcu. („Nie”). Pytają, gdzie jest teraz jej ojciec. („Nie mam pojęcia. Może w południowej Kalifornii”). Pytają, czy spotykała się z mężczyznami takimi jak jej ojciec. („Z narcyzami, o tak. I babiarzami”).

A potem wstaje jeden facet, młody, tuż po dwudziestce, ręce mu się trzęsą, trzyma wystrzępiony notatnik i na wpół rapuje, na wpół recytuje wiersz, który napisał, właśnie wtedy, dla niej, o jej cierpieniach, a potem o jej przetrwaniu, o tym, jaka była dzielna[72]. Zanim skończy, Victoria płacze, a wielu mężczyzn także ma łzy w oczach.

Po południu mężczyźni w małych grupach rozmawiają o jej historii, kontekstualizują to, co rozpoznają z programu nauczania, i dopasowują do własnych doświadczeń związanych z przemocą – Victorii grożono słownie; ojciec obwiniał ją i wypierał się błędów, odmawiając w ten sposób przyjęcia odpowiedzialności za własną przemoc, a był fizycznie agresywny wobec jej matki; Victoria doznała emocjonalnej krzywdy; ojciec manipulował nią; jej doświadczenie było trywializowane przez ojca; jeden z facetów z włosami splecionymi w krótkie warkoczyki zauważa, że kiedy matka odeszła, był to zasób, który został jej odebrany. Przez „zasób" rozumie coś, co mogło zapewnić jej bezpieczeństwo. Rozmawiają o własnej przemocy, o momentach, w których wypierali się agresji, momentach, w których manipulowali lub słownie grozili partnerkom, przypadkach trywializowania swoich własnych brutalnych poczynań. Zaczynają dostrzegać, niektórzy z nich po raz pierwszy w życiu, wpływ, jaki ich przemoc mogła wywrzeć na ich ofiary. To znaczy, że zaczynają widzieć świat cudzymi oczami.

– Teraz wyobraźcie sobie – prosi ich facylitator o imieniu Reggie – że wasze dziecko stoi tam, gdzie stała Victoria. Co by o was powiedziało wasze dziecko?

Program San Bruno nosi nazwę Resolve to Stop the Violence (RSVP). Sunny Schwartz przekonała Michaela Hennesseya, byłego szeryfa San Francisco, by sfinansował jej wizję, której początki sięgają końca lat dziewięćdziesiątych[73]. ManAlive i Survivor Impact (czyli sprawiedliwość naprawcza) stanowią filary tego eksperymentalnego przedsięwzięcia, dzięki któremu Jimmy Espinoza porzucił przemoc i zaczął nowe życie. Program rozpoczął się w więzieniu San Bruno, na południe od San Francisco, i – o dziwo – mimo względnego sukcesu nie rozprzestrzenił się zbytnio poza mury ośrodka. Przez pewien czas jego wersja była realizowana w San Quentin, ale

Sinclair powiedział, że potem obcięto fundusze. Nad stworzeniem podobnego programu dyskutowano w Westchester w stanie Nowy Jork. W momencie powstania RSVP stanowił program całoroczny, zaplanowany na sześć dni w tygodniu po dwanaście godzin dziennie, który miał na celu przywrócić brutalnych mężczyzn do życia w społeczeństwie, tak aby nie stosowali przemocy i działali na rzecz swojej społeczności. O ile w większości programów interwencyjnych spotkania odbywają się raz w tygodniu przez dwadzieścia, czterdzieści, najwyżej pięćdziesiąt tygodni, o tyle RSVP polega na całkowitym zanurzeniu i wieloaspektowym działaniu. Zasadniczy cel to sprawić, żeby uczestnicy wzięli odpowiedzialność za swoje agresywne zachowanie i nauczyli się alternatywnych rozwiązań, ale program Schwartz dotyczył również kwestii związanych z alkoholem i narkotykami, molestowaniem dzieci i zdrowiem psychicznym. Zaczynał się każdego dnia od medytacji, a kończył sesją jogi. Podstawą było rzucenie wyzwania normom dotyczącym płci, w szczególności temu, jak mężczyźni i kobiety są uwarunkowani przez społeczne i kulturowe normy oraz jak mężczyźni uczą się rozwiązywać problemy, odwołując się do przemocy, kobiety zaś przyswajają to, że powinny być podporządkowane swoim mężczyznom. Dla wielu uczestników oznaczało to postawienie na głowie wszystkiego, co wiedzieli o swoim świecie.

Schwartz nie wystarczała nadzieja, że RSVP działa. Chciała to wiedzieć jednoznacznie. Skontaktowała się zatem z Jamesem Gilliganem i Bandy Lee, dwojgiem czołowych badaczy przemocy w kraju, i poprosiła ich o analizę programu. W drugim skrzydle więzienia znajdowała się ich grupa kontrolna. Gilligan i Lee przeanalizowali wiele danych, w tym incydenty przemocy zarówno na oddziale RSVP, jak i w skrzydłach kontrolnych, a także wskaźniki recydywy i przemocy w społecznościach już po zwolnieniu osób skazanych. Wyniki niemal wszystkich obliczeń okazały się oszałamiające: wskaźnik recydywy spadł o osiemdziesiąt procent, a ci, którzy znaleźli się z powrotem w więzieniu, zazwyczaj popełniali wykroczenia bez użycia przemocy, związane z narkotykami czy samochodami. W roku poprzedzającym wdrożenie programu Gilligan i Lee odnotowali dwadzieścia cztery incydenty przemocy, które mogłyby skończyć się zarzutami przestęp-

stwa, gdyby doszło do nich poza więziennym kontekstem. Po uruchomieniu programu RSVP w pierwszym kwartale roku doszło do jednego incydentu, a potem w skrzydle programu nie odnotowano już ani jednego przypadku przemocy; w grupie kontrolnej wystąpiło jednak dwadzieścia osiem takich incydentów[74]. Badacze ustalili także, że jeśli sprawcy ukończyli cały program, to gdy już wyszli na wolność i trafili z powrotem do swoich społeczności, często zaczynali przeciwdziałać przemocy. Mowa tu o takich ludziach jak Jimmy Espinoza.

Dzięki programowi udało się też zaoszczędzić pieniądze. Gilligan i Lee stwierdzili, że chociaż RSVP zwiększył koszt utrzymania jednego więźnia o dwadzieścia jeden dolarów dziennie, to za każdego dolara wydanego na tego rodzaju program redukcji przemocy społeczność zyskała cztery dodatkowe[75].

Od uruchomienia RSVP minęło dwadzieścia lat i pomimo sukcesu programu wdrożono go zaledwie w kilku więzieniach, w większości za granicą. Podstawowa struktura się nie zmieniła, jednak zamiast sześciu dni w tygodniu po dwanaście godzin dziennie spotkania odbywają się raczej pięć dni w tygodniu po sześć godzin. Dzieje się tak po części dlatego, że finansowanie programów dla więźniów często zależy od tego, kto wygrał wybory i jakie priorytety panują w świecie ograniczonych zasobów, a po części dlatego, że San Bruno oferuje obecnie wiele różnych programów dla przestępców, w tym szkołę średnią i college, terapię artystyczną, teatr oraz terapię dla narkomanów i alkoholików. (Z tego powodu San Bruno potocznie nazywa się „więzieniem wszystkich programów”). Pewnego wieczoru rozmawiałam nieoficjalnie z obecną dyrektorką do spraw programowych w San Bruno i kiedy zapytałam ją, dlaczego RSVP nie przyjął się w innych ośrodkach, odparła, że w przeciwieństwie do wielu innych grup więźniów mężczyźni stosujący przemoc po prostu nie mają swojego „orędownika”[76]. W odwrotnej sytuacji są na przykład weterani wojenni w więzieniach, którzy otrzymują duże wsparcie z zewnątrz, a poza tym wszyscy się zgadzają, że nasz kraj musi robić więcej, żeby zaspokoić ich potrzeby, zwłaszcza w świetle stresu pourazowego. Jednak w kontekście przemocy domowej najważniejsze są głosy

osób, które jej doświadczyły, a które z oczywistych względów przedkładają własne potrzeby nad potrzeby krzywdzicieli.

Sunny Schwartz, obecnie już na emeryturze, cieszy się, że program nadal działa, ale jest rozczarowana, że nie udało się go upowszechnić.

– Dlaczego [RSVP] to wyjątek, a nie reguła? – pyta. – Najbardziej mnie wkurza to, że nie umiemy się wczuć w położenie ludzi, którzy mają inne doświadczenia niż my. Jak gdyby ludzkie losy przystawały do siebie.

Siedzimy w knajpie w Noe Valley, Schwartz ma na sobie dżinsy i podkoszulek, jej ciemnobrązowe włosy są przetykane siwymi kosmykami. Jest wysoka i władcza.

Frustruje ją, jak mało zasobów mają do dyspozycji ludzie, którzy uczestniczą w programie RSVP i powracają na łono społeczeństwa obywatelskiego. Brakuje wsparcia w postaci szkolenia zawodowego, medytacji, zajęć z rodzicielstwa, spotkań dla anonimowych alkoholików i narkomanów, pomocy mieszkaniowej, programów dwunastu kroków, terapii sztuką oraz dostępu do edukacji. Ci faceci przechodzą przez RSVP i uczą się tego wszystkiego o płci, o sobie, o kulturze i społeczeństwie, o przemocy i komunikacji, a potem wracają do świata, w którym cała ta teoria jest znowu prawdziwa i wszystkie te wyzwania są znowu prawdziwe, tak jak wszystkie te zagrożenia i cały ten ból, i są w zasadzie zostawieni sami sobie.

Stany Zjednoczone wydają aż dwadzieścia pięć razy więcej na badania nad rakiem czy chorobami serca niż na zapobieganie przemocy pomimo ogromnych kosztów, jakie ponoszą nasze społeczności z tego ostatniego powodu**[77]**. W badaniu z 2018 roku, opublikowanym w „American Journal of Preventive Medicine”, przemoc ze strony partnerów życiowych pociąga za sobą koszty rzędu 3,6 biliona dolarów (badanie objęło czterdzieści trzy miliony dorosłych Amerykanów, więc nie uwzględnia kosztów związanych na przykład z przemocą randkową); jest to równowartość dwu bilionów dolarów kosztów medycznych i siedemdziesięciu trzech miliardów dolarów wydatków na wymiar sprawiedliwości rozpatrujący sprawy karne, pomijając inne koszty, takie jak utrata produktywności czy szkody mająt-

kowe. Przemoc ze strony partnerów życiowych kosztuje kobiety sto trzy tysiące dolarów, a mężczyzn – dwadzieścia trzy tysiące dolarów w ciągu życia[78]. Te dane wskazują na znaczny wzrost w porównaniu z raportem Centers for Disease Control z 2003 roku, według którego konsekwencje przemocy domowej kosztowały amerykańskich podatników niemal sześć miliardów dolarów rocznie[79]. Raport ten nie uwzględniał kosztów procesów karnych, wydatków związanych z więziennictwem ani nikogo, kto nie ukończył osiemnastego roku życia.

Więzienie bynajmniej nie ogranicza przemocy w społecznościach, generuje jej jeszcze więcej. Schwartz zatem pyta: „Jaką mamy alternatywę?”. Opowiedziała mi historię, która towarzyszy jej od lat, stanowiąc tyleż wezwanie do działania, co i powód do nadziei. Była to opowieść o ocalałym z Holokaustu – kiedy strażnik obozu go bił, on ani na chwilę nie przestawał się uśmiechać. To zdenerwowało strażnika, zaczął go bić coraz mocniej, aż w końcu przerwał i zapytał więźnia, dlaczego się uśmiecha. Ten odparł: „Jestem wdzięczny, bo nie jestem taki jak ty”.

Moja rozmowa ze Schwartz zaczęła się jednak nie od początków RSVP, ale od niejakiego Tariego Ramireza. To właśnie historie taka jak ta niweczą wysiłki RSVP, sprawiają, że zaangażowani w projekt ludzie zaczynają powątpiewać, czy to wszystko, te wszystkie godziny, które poświęcają tym mężczyznom, wszystkie szanse, jakie im dają, i to po wielokroć, są tego warte. Czy brutalny mężczyzna może oduczyć się stosować przemoc?

Ramirez brał czynny udział w zajęciach RSVP. Był cichy, raczej powściągliwy, ale niczego nie unikał i zdawał się poważnie traktować materiał. Trzeba było czterech osobnych incydentów przemocy wobec jego dziewczyny Claire Joyce Tempongko, czterech interwencji policyjnych, czterech wniosków o zakaz zbliżania (które wydawano, a następnie odwoływano, wydawano i odwoływano), by w końcu przekonać sędziego, żeby wysłał Ramireza do więzienia – ale nawet wówczas dostał tylko sześć miesięcy. Przeszedł przez pierwszy etap RSVP i właśnie miał zacząć drugi, kiedy został zwolniony z San Bruno.

Wkrótce po wyjściu z więzienia Ramirez zabił Tempongko nożem. Zbrodni przyglądała się dwójka jej małych dzieci. Ramirez wielokrotnie dopuszczał się przemocy wobec dziewczyny, która w momencie śmierci miała zaledwie dwadzieścia osiem lat. Śledztwo przeprowadzone po zabójstwie przez zastępcę prokuratora miejskiego wykazało, że Ramirez wielokrotnie wyciągał Tempongko za włosy z mieszkania, groził jej potłuczoną butelką piwa, mówił, że spali jej dom i skrzywdzi dzieci, uderzył ją pięścią przynajmniej osiemnaście razy, dusił i wpychał jej palce do gardła, a także kilkakrotnie ją porwał[80]. I za to wszystko dostał pół roku odsiadki. Kiedy przeciętny człowiek, który niewiele wie o przemocy domowej, uważa, że wykroczenie to nic takiego, wystarczy przytoczyć sprawę Ramireza. W świecie przemocy domowej wykroczenia są jak strzały ostrzegawcze. Zbyt często nie zwraca się na nie uwagi.

Schwartz wiedziała, że ignorowanie tego, co zrobił Ramirez, byłoby hipokryzją z intelektualnego i emocjonalnego punktu widzenia. Co ważniejsze, wiedziała także, że o ile krzywda, jaką Ramirez wyrządził ofierze i jej najbliższym oraz całemu programowi RSVP, była ogromna i głęboka, o tyle dla niej nie była bynajmniej całkowitym zaskoczeniem. „Mężczyźni, którymi się zajmujemy, mają na koncie naprawdę paskudne sprawki” – powiedziała.

Ramirez nie ukończył całego programu, trudno zatem wyrokować o jego skuteczności na podstawie tego przypadku. Niemniej morderstwo odcisnęło głębokie piętno na wszystkich zaangażowanych osobach, na facylitatorach i personelu więzienia, a nawet na facetach, którzy siedzieli w jednym kręgu z Ramirezem i zwierzali się z najgorszych wspomnień i słabości. Schwartz powiedziała mi, że w dniu, w którym dowiedzieli się o morderstwie, wszyscy w więzieniu „zanosili się histerycznym, nieopanowanym płaczem”. Był to niewątpliwy kryzys, ale nie zachwiał on jej wiarą w tę pracę i zapotrzebowanie na nią. „To są bardzo delikatne i wrażliwe kwestie i nie ma co udawać, że odpowiedź jest prosta – powiedziała. – Spróbujmy porównać to do nowotworów. Ileś ludzi przechodzi chemioterapię, a potem ktoś umiera. Czy to znaczy, że mamy przerwać badania kliniczne?” Kontynuujemy je, ulepszamy, rozwijamy, próbujemy no-

wych kombinacji. „Właśnie o to chodzi – oznajmiła. – Ten program to taka próba kliniczna”.

Chcę zobaczyć, jak działa RSVP, umawiam się więc na spotkanie z Jimmym Espinozą. Jest wietrzny styczniowy poranek, a ja stoję przy wejściu do San Bruno, niemal rok po mojej pierwszej wizycie, podczas której Victoria opowiedziała swoją historię. San Bruno mieści się na wzgórzu na południowych obrzeżach San Francisco, w otoczeniu pastelowych domków jednorodzinnych. Jimmy mija teraz swobodnie grubą, metalową bramę. Wymienia żarty zarówno ze strażnikami, jak i więźniami. Jeden ze strażników, potężnie zbudowany facet, który – tak się akurat składa – jest gejem, opowiada o niedawnym urlopie, nie szczędząc przy tym historii o niechcianych awansach i autoironicznych uwag o tym, że jest „latającym Hawajczykiem”, a Jimmy zaśmiewa się do łez. (San Bruno to jedyne więzienie, w którym zetknęłam się ze strażnikami otwarcie mówiącymi o swoim homoseksualizmie. Strażnicy więzienni potrafią być beznamiętni, twardzi, a nawet brutalni; po prostu nigdy nie przyszło mi do głowy, że mogą wśród nich być geje, a moje zdziwienie to kolejny dowód, jak głęboko zakorzenione bywają stereotypy, nawet w kimś takim jak ja, kto właśnie stara się je obalić). Jimmy jest ubrany w beżową rozpinaną koszulę i spodnie bojówki w podobnym kolorze; wszystko tak luźne, że pewnie zmieściłby się w nich jeszcze ten latający Hawajczyk. Na czole ma okulary do czytania.

Na liście oczekujących na przyjęcie do skrzydła RSVP widnieje czasami kilkanaście nazwisk. W San Bruno panuje opinia, że w kapsule RSVP nikt się do ciebie nie dopieprza. Nic dziwnego, że chłopaki się tam pchają. Strażnicy też. W sądzie również warto pokazać sędziemu, że próbujesz się zmienić. Ale jest też ta druga strona, tak oczywista, że rzadko się o niej wspomina: ludzie nie chcą być w przemocowych sytuacjach. Kiedy słyszę – a słyszę to często – że przemoc jest po prostu w ludzkiej naturze, myślę o San Bruno i zastanawiam się, czy to prawda, bo jeśli tak, to dlaczego ludzie uznani za tak agresywnych, że trzeba ich odseparować od społeczeństwa, usiłują dostać się na oddział znany z braku przemocy?

Kapsuła przypomina akwarium z dywanową wykładziną, z półokrągłym biurkiem strażników pośrodku. Biurko stoi na niewielkim podwyższeniu, dzięki czemu widać stamtąd każdą celę i wszystkie zakątki całej kapsuły. Są tu dwa poziomy, a na środku – szerokie schody. W innych okolicznościach po takich schodach stąpałaby rodzina królewska. W dwudziestu czterech celach ze szklanymi frontami mieszka czterdziestu ośmiu facetów w wieku od osiemnastu do siedemdziesięciu lat. Są tu biali, czarni, Latynosi, Azjaci, ludzie z Bliskiego Wschodu – wszyscy mają na sobie pomarańczowe kombinezony i białe buty bez sznurówek. Na jednej ścianie wisi rząd telefonów na kartę. Gdy wchodzimy, pod wysokim sklepieniem panuje cisza jak w bibliotece. Niektórzy z więźniów to mordercy. Są tu też dilerzy i włamywacze. Ale każdy z nich ma na koncie przemoc domową. Wszyscy dopiero czekają na wyrok, co oznacza, że zachowują się najlepiej, jak potrafią. Najnowszy przybysz jest tu od trzech dni. Najstarszy stażem spędził tu dwieście dziesięć tygodni. Długość odsiadki wskazuje na to, z jak poważnych powodów tu trafił. W przeciwieństwie do wykroczenia (*misdemeanor*), naruszenie prawa zakwalifikowane jako zbrodnia (*felony*) pociąga za sobą wieloletnie postępowanie w systemie sprawiedliwości. Ale każdy z nich wie, jakie miał szczęście, że się tu znalazł. Jedno z fundamentalnych założeń tego programu to zero tolerancji dla przemocy.

Poza Jimmym obecni są dzisiaj dwaj inni facylitatorzy: Reggie Daniels i Leo Bruenn. Niektórzy z więźniów podchodzą do Jimmy’ego i witają się z nim twardym, „męskim” uściskiem dłoni, poklepaniem po plecach, czymś w rodzaju półuścisku albo po prostu skinieniem głowy. Rzucają ukradkowe spojrzenia w moją stronę, a kilku podchodzi i przedstawia się, zwracając się do mnie „proszę pani”. Grupa Reggiego wchodzi do sali, a Leo zabiera swoich ludzi na miejsce przed schodami. Jimmy i czternastu mężczyzn z jego grupy (oraz ja) przynosimy niebieskie plastikowe krzesła i ustawiamy je w niewielkim kręgu trochę dalej. Chłopaki siadają w ustalonej kolejności: ci, którzy są w kapsule najkrócej, siedzą po lewej stronie Jimmy’ego, a dalej według starszeństwa – facet, który jest w grupie najdłużej, znajduje się po jego prawej stronie. Kolejność ma znaczenie, ponieważ program prowadzą współuczestnicy – to jeden z

elementów, które odróżniają go od większości programów interwencyjnych dla sprawców przemocy. Nalegał na to Sinclair, zainspirowany systemem daltońskim, w którym uczniowie sami monitorują swoje postępy i kształtują własną edukację w ramach programu. Czuję na sobie zaciekawione spojrzenia. Żeby się tu dostać, musiałam przystać między innymi na to, że – na ile to możliwe – wezmę udział w procesie, nie będę wyłącznie zewnętrzną obserwatorką, która jest tu tylko po to, aby wyłuskać od tych mężczyzn zwierzenia o najgorszych chwilach w ich życiu. Stoi to w sprzeczności z większością założeń co do roli reportera, ale program ma przekonać uczestników, że wszyscy pochodzimy z tej samej społeczności i dźwigamy takie same problemy: potrzebę miłości, strach przed własną bezbronnością, duszący ciężar wstydu. Gdybym ograniczyła się do obserwacji, w pewnym sensie przyczyniłabym się do stworzenia dokładnie takiej hierarchii, jaką ten program stara się zdemontować. W innych grupach interwencyjnych siedzę cicho w kącie i słucham, ale tu przyjęłam rolę kogoś między uczestnikiem a widzem. I dlatego kiedy siadamy, Jimmy prosi mnie, żebym otworzyła spotkanie i powiedziała coś o sobie.

Zaczynam od imienia i miejsca zamieszkania, potem mówię im o tej książce i o uczelni, na której wykładam. Mówię, że przestępcom poświęcamy znacznie mniej czasu niż ich ofiarom. A potem opowiadam im ważniejszą historię – tę, dzięki której pewnie w ogóle zajęłam się pisaniem: że nie skończyłam szkoły średniej, tak jak wielu z nich, i że czasami stykałam się z przemocą. Nasze losy różnią się pod wieloma względami, ale wszyscy wiemy, co oznacza druga (albo trzecia czy czwarta) szansa i towarzyszący jej strach przed porażką. Spora grupa później dziękuje mi za to, że dałam im wgląd w swoje życie – ogarnia mnie wtedy poczucie bezbronności i chociaż jestem kobietą raczej świadomą własnych emocji, narasta we mnie niepokój i dyskomfort. Nawet teraz, pisząc te słowa, odczuwam wstyd.

Zastanawiam się, jak trudne musi być dla nich publiczne okazywanie bezbronności. Kiedy dorastałam, nikt mi nie mówił, że mam nie płakać, że nie wolno być mięczakiem, że muszę wygrywać, a jeśli nie wygram, to muszę walczyć, żeby następnym razem zwyciężyć. Owszem, słyszałam inne rzeczy. Oczywiście. Wiele z nich słyszała

też Michelle Monson Mosure. O tym, jakie dziewczyny powinny być i co robić, jak powinny się zachowywać. Mówiono mi, że mężczyzna to pan domu, a kobieta mu podlega. Ale żeby dzielić się wspomnieniami najbardziej wstydliwych chwil? Najbardziej upokarzających? James Gilligan, badacz przemocy, odpowiedzialny za wstępną ocenę programu RSVP, powiedział mi, że wielu uczestników przeżywa wstrząs nie na myśl o niestosowaniu przemocy, ale wtedy, gdy dociera do nich, że narzucono im, jak mają się zachowywać i kim mają być, co oznacza męskość i bycie mężczyzną. Powiedziano im, że jako mężczyźni mają prawo okazywać gniew, wściekłość i autorytet, ale nie empatię, dobroć, miłość, strach, ból, smutek, troskę, czułość czy którąkolwiek z „cech" uważanych zwyczajowo za kobiece. Usłyszeli też, że manipulują nimi siły potężniejsze od nich samych, ukształtowane przez świat, o którym nigdy nie myśleli w ten sposób, więc przeżywają szok. Czują ulgę, kiedy dowiadują się, że zostali zmuszeni do przemocy, a nie zrodzeni do niej.

Dzisiaj grupa ma coś w rodzaju odprawy. Później cała kapsuła idzie na spotkanie społeczności pod kierownictwem Leo, a po południu Jimmy poprowadzi grupę uzależnień. Jimmy zaczyna od zapytania ich o przemoc emocjonalną. Czy rozumieją, co to oznacza? Jak do niej dochodzi? Zajęcia w dużej mierze po prostu pomagają mężczyznom zidentyfikować własne uczucia: strach, smutek, empatię, wstyd, a nawet złość. W odczuwaniu pewnych rzeczy nie ma nic złego; źle jest odczuwać pewne rzeczy, a potem celowo ich unikać. Jimmy pyta:

– Dlaczego uzależnienie od narkotyków ma wpływ na bliskich?

– Bo chociaż niby z nimi jesteśmy, to tak naprawdę nas nie ma – mówi jeden z uczestników. Trochę po pięćdziesiątce, Afroamerykanin, siwe włosy. – Manipulujemy ich czasem i energią. Oni nas wołają, a my nie odpowiadamy… Manipulujemy przestrzenią w ich sercach.

Jego sąsiad kiwa głową – splecione w warkoczyki włosy ma związane w masywny węzeł. „Naskoczyłem na tę sukę, ale przyszedłem nafurany". Chodzi mu o to, że był lojalny wobec narkotyków, a nie partnerki. Musiał wziąć, zanim w ogóle poświęcił jej uwagę. Daje

przykład, jak kiedyś myślał, zanim dowiedział się tego, co teraz już wie.

– Znęcałem się nad [moją partnerką], chociaż nigdy jej nie tknąłem – mówi Devon. (Zmieniłam imiona wszystkich mężczyzn, żeby uchronić ich prywatność). – Ciągle piłem i uciekałem od niej. Zacząłem ćpać, a ona płakała. Znikałem na całe dni. Umniejszałem ją.

Jimmy mówi, że w programie ManAlive narkotyki i alkohol nie stanowią wymówki dla przemocy. „Jestem uzależniony od narkotyków. Jestem przemocowcem. To, że nie wracam do domu, to przemoc wobec rodziny. Nie biję ich, ale wciąż ich krzywdzę. Najpierw sam się izolujesz". W tle słyszę rozmowę chłopaków z grupy Bruenna, ale cała czternastka z tego kręgu wpatruje się wyłącznie w Jimmy'ego. Jest spokojnie i cicho, nijak się to ma do chaosu, jaki oglądamy na większości filmów o więzieniach.

– Wszyscy tkwimy w tym nierozwiązanym gównie, we wstydzie, że człowiek zostawił dzieci, kiedy pił albo wracał do więzienia – mówi osadzony o imieniu Gary. Bierze udział w programie drugi raz, za pierwszym go nie skończył. Kilku chłopaków cicho mu potakuje. Wielu mówi mi, że najgorsze w odsiadce jest to, że są z dala od dzieci.

Jimmy wykorzystuje ten moment, żeby opowiedzieć pierwszą historię. O najgorszej rzeczy, jaka mu się w życiu przytrafiła. W tej historii ma jakieś osiem, może dziewięć lat. Jego rodzice nadal są małżeństwem i się nie tłuką, więc to już coś. Ma rodzinę w całej okolicy. Jego babcia mieszka na drugim końcu ulicy. Kuzyni też są niedaleko. I jest jeszcze ten facet, krewny jego kumpla. Pewnego dnia kupuje mu alkohol. Jimmy to dzieciak z dzielnicy, w której jedna połowa mieszkańców to Włosi, a druga – Irlandczycy, pół na pół gliny i kryminaliści. Pije ten alkohol. Facet chce czegoś od małego Jimmy'ego. W końcu dał mu alkohol, prawda? Prezent. To dobry facet, prawda? Mały Jimmy to widzi, prawda? Może Jimmy mógłby teraz coś dla niego zrobić. To nie potrwa długo. Może Jimmy pozwoliłby facetowi, żeby go trochę podotykał? A może potem mały Jimmy mógłby dotknąć tego dorosłego faceta? A mały Jimmy to robi, chociaż chce mu się rzygać, bo przecież tak właśnie trzeba, prawda? Bo ma być posłuszny? Dorośli ustalają zasady, prawda? Dorośli wiedzą

wszystko. Odpowiedzi na wszystkie te pytania, które masz jako dziecko, poznasz, gdy będziesz dorosły. Prawda? Na przykład dlaczego przytrafia mi się ta okropna, obrzydliwa rzecz? A może to ja sprawiam, że ta okropna, obrzydliwa rzecz mi się przytrafia? I w końcu – czy teraz ja sam jestem okropną, obrzydliwą rzeczą?

To się zdarza dwa, może trzy razy. Mały Jimmy nie mówi nikomu. Nosi w sobie tę grozę jak garść stopionego asfaltu przez dziesiątki lat.

– To mój wstyd – mówi, kiedy opowiada dzisiaj tę historię. – Że z nim nie walczyłem.

Około dwunastu procent osadzonych mężczyzn w więzieniach takich jak San Bruno doświadczyło molestowania seksualnego przed osiemnastym rokiem życia. (W więzieniach stanowych ta liczba jest większa, a w przypadku chłopców, którzy dorastali w placówkach opiekuńczych, odsetek jest szokująco wysoki, sięga blisko pięćdziesięciu procent[81]). Kiedyś zapytałam Jimmy'ego, co by zrobił, gdyby zobaczył dziś tego faceta.

– Zabiłbym go – odpowiedział.

I nie byłam pewna, czy mówi poważnie, czy nie.

Mniej więcej w tym samym czasie dwie dziewczyny z okolicy, które opiekowały się nim na zmianę pod nieobecność rodziców, też go zaczęły prosić, żeby je dotykał. Jedna kazała mu to zrobić ustami, a on się brzydził. Miał jakieś dziewięć, dziesięć lat. Nie miał pojęcia, co robi, rozumiał tylko, że chodzi o seks. Wiedział o tym z filmów. Na filmach ludzie zdejmowali ubrania i jakoś tak dziwnie się na sobie poruszali, jak węże. Jedna z dziewczyn chodziła cały czas czymś naćpana. Był za młody, by wiedzieć, co to było, ale później została kurzajką. Kurzajki to ci, co byli wiecznie naćpani fencyklidyną. Z dziewczynami molestowanie trwało dłużej. Dwa, może trzy lata. Nie wiedział, czy to, co robi, jest złe, czy dobre. Wiedział tylko, że mu się to nie podoba. Myślał, że to jego wina. Myślał, że robi coś złego. Myślał o tym samym, co wszystkie molestowane dzieci – chłopcy i dziewczynki. Kiedy rodzina się dowiedziała, powiedzieli mu, że był jeszcze taki inny facet, który go chyba molestował, bo kiedy Jimmy

był malutki, to płakał za każdym razem na jego widok. Jimmy nie pamięta. Może. Kto wie. Ale wskazuje właśnie na ten moment.

– Molestowanie przez tego człowieka było najgorsze – mówi. – To przez to zrobiłem się agresywny. To przez to nie umiałem panować nad wściekłością, rozumiecie? Przez to kłamałem. Te wszystkie wady charakteru zaczęły we mnie narastać od tamtej chwili.

Rozglądam się po pomieszczeniu – czternastu więźniów patrzy mu prosto w oczy. Połowa kiwa głową, po części ze współczuciem. Po części z doświadczenia.

Klub zgubnego zagrożenia

Kiedy poznałam Jimmy'ego, nadzorował akurat stażystę, niejakiego Dontego Lewisa. Donte przeszedł przez program RSVP dwa razy (za pierwszym razem nie skończył, więc zaczął od nowa) i niedawno został zwolniony z San Bruno, po odsiedzeniu niemal całego czteroletniego wyroku. W parku w Yerba Buena Gardens, nad kawą i papierosem, opowiedział mi, jak kilka lat wcześniej wyszedł z więzienia na niecały tydzień i pojechał z kumplem Moochem do swojej byłej dziewczyny. Donte nie powinien był się tam znaleźć. Miał zakaz zbliżania do niej – rezultat wcześniejszego oskarżenia o porwanie, którego się dopuścił, gdy pewnej nocy przyłapał swoją dziewczynę Kaylę Walker[82] z innym mężczyzną. Owinął ją wtedy w prześcieradło i zawlókł po schodach do samochodu. Większość jego ubrań była nadal w domu Walker, bo mieszkali razem przez wiele lat, a jeśli o niego chodziło, to nadal uważał ją za swoją dziewczynę, niezależnie od zakazu zbliżania. Mówił o niej „moja suka".

Mooch podwiózł Dontego, a on wspiął się po drabince przeciwpożarowej na drugie piętro i otworzył szklane drzwi balkonowe do mieszkania Walker. Pamięta, że z jej sypialni dobiegał kawałek Ja Rule. Wpadł do pokoju, a ona tam była, w spodniach od piżamy z nadrukowanym Bobem Kanciastoportym, a w przeciwległym kącie siedział inny facet, kompletnie ubrany. Nazywał się Casper. Donte wyciągnął colta kaliber czterdzieści pięć, wycelował w nią, a Casper chciał mu wyrwać broń. „To nie dla ciebie" – krzyknął Donte. Wywiązała się szarpanina, Walker wybiegła z pokoju. Casper rzucił się na Dontego i przewrócił go na łóżko, Donte uderzył go łokciem w twarz i się wyrwał, ani na chwilę nie wypuszczając broni. Casper uciekł z mieszkania i wybiegł w noc. Donte zaczął szukać Walker.

Znalazł ją w salonie, z telefonem przyciśniętym do ucha. Nie chciał, żeby jego głos się nagrał, więc zapytał ją bezgłośnie: „Czy to gliny?". Nie odpowiedziała, ale jej oczy, jak pamięta, „były cholernie przerażone". Uderzył ją pistoletem w głowę, a ona się zachwiała.

Podciągnął ją za włosy. Telefon w którymś momencie wypadł jej z ręki, chociaż Donte nie wie, czy policja była wtedy na linii, czy nie. Uderzył ją jeszcze trzy albo cztery razy, aż zauważył, że chyba zemdlała; piana leciała jej z ust.

– Wiedziałem, że muszę ją zabić – mówi. – Nie było mowy, żebym wrócił do więzienia.

Stanął nad nią i skierował broń w dół. Mierzy ponad metr dziewięćdziesiąt, ma długie dredy z rozjaśnionymi końcówkami, a ramiona i nogi pokrywają mu tatuaże, więc robił dość przerażające wrażenie. Znali się z Walker od ponad pięciu lat, odkąd on skończył czternaście, a ona trzynaście. Cały ten czas była jego dziewczyną, a teraz musiał ją zabić.

Ale wtedy wkroczył Mooch i popchnął go w stronę drzwi.

Potem usłyszeli syreny. Uciekli z budynku i pobiegli za róg, gdzie mieszkała ciotka Dontego. Donte zakopał broń przed wejściem do jej mieszkania. Potem wbiegł do środka, wszedł na strych i tak zaczęła się pięciogodzinna akcja z policją. Miał tam ze sobą na strychu butelkę rémy martin i resztkę jointa, więc palił i pił, aż stracił przytomność. Obudziło go światło policyjnej latarki padające na jego twarz.

Po wyjściu z San Bruno w listopadzie 2014 roku Donte przeprowadził się do domu przejściowego – i tam go poznałam. W jego historii o własnej przeszłości strach mieszał się z dumą. W East Oakland, gdzie dorastał, panowała kultura „muzyki, wielkich kół, broni i zabijania”. Powiedział, że kto nie miał magazynku na trzydzieści naboi na glocku, ten nie był mężczyzną. Przemoc była sposobem na życie. Nawet jeśli nie chciałeś być jej częścią, to nie dało się zachować neutralności. Nikt nie miał wyboru. Donte mówi, że było jak w Bagdadzie. Cały czas wojna. Teraz rozumie, że to część „systemu wiary w męskie role”.

Kiedy Donte poznał Kaylę, rzadko używał jej imienia. Wszyscy mówili o swoich dziewczynach „suki” – „To moja suka”. Donte był wysoki i szczupły, miał brązowe oczy i tatuaż na szyi – napis: „Śmierć ponad hańbą”. Kiedy związał się z Kaylą, oboje byli bardzo młodzi, na długo zanim mieli szansę się zorientować, kim w ogóle są

na tym świecie. Byli praktycznie oseskami, które bawiły się w dom. To samo można powiedzieć o wielu związkach, w których czai się przemoc – krótkie zaloty, bardzo młodzi ludzie – a czasami na ich podstawie utrwalają się wzorce na całe życie. Widać to również w związku Michelle i Rocky'ego. Donte i Kayla byli razem przez kilka lat, ale on zawsze miał kogoś na boku. Nigdy nie myślał o tym, jak ją traktuje, nigdy nie myślał o stereotypach dotyczących płci czy o tym, jak kultura wpływa na jego działania. W więzieniu, kiedy przechodził przez program RSVP, przeczytał książkę *Inteligencja emocjonalna* i zaczął uczęszczać na zajęcia z psychologii i socjologii. Kiedy wyszedł na zwolnienie warunkowe, musiał się meldować w domu o dziewiętnastej, ale mu to nie przeszkadzało. Dzięki temu nie kręcił się po ulicach w nocy, gdy pokusy są największe. Ale trudno było tak żyć. Powiedział, że na stażu zarabiał około siedmiuset dolarów miesięcznie po opodatkowaniu. Miał gips na jednej ręce, ponieważ uderzył kogoś dosłownie chwilę po wyjściu z więzienia i niemal stracił staż w organizacji Community Works. Wyraził skruchę za to, co zrobił, a gips, jak powiedział, przypominał mu o tym, jak ważna to była walka – jego ja przemocowe kontra ja nieagresywne, przeszłość kontra teraźniejszość, ignorancja kontra wiedza. Miał wielkie marzenia. Chciał skończyć studia na lokalnej uczelni, może zrobić licencjat. Rozważał, czy nie zostać psychologiem. Jak by to było? Czy to w ogóle możliwe? Czy mógłby w końcu pomóc innym facetom takim jak on?

Wcześniej zapytałam Jimmy'ego, ilu stażystów takich jak Donte nadzorował przez cztery lata jako lider grupy. Przewrócił oczami i rzucił: „Kuuuurwa. Sam nie wiem". Było ich zbyt wielu, by wszystkich spamiętać. Z papierowego talerza na jego biurku unosił się zapach gorącej enchilady i smażonej fasoli. Współpracownicy i ludzie z biura szeryfa zawsze się nabijali z jego wagi. Chudy jak patyk, chociaż wiecznie je za trzech. Wokół pasa zwisały luźno brązowe dżinsy, podtrzymywane czarnym paskiem zapiętym na ostatnią dziurkę.

– Ilu z nich zostało liderami grup? – pytam o stażystów, których nadzorował.

– Żaden – odpowiada. – Tylko ja.

Donte miał niewielką szansę na powodzenie i dobrze o tym wiedział. „Moje stare ja dostało o wiele więcej amunicji niż nowe” – skomentował. Prostota i prawda jego wypowiedzi utkwiły mi w pamięci. Mówił tak, jakby ciągle był w gangu i działał na ulicy, ale raz na jakiś czas wygłaszał nieoczekiwane zdanie, w którym dawało o sobie znać jego nowe ja, jak wtedy, kiedy siedzieliśmy w holu eleganckiego hotelu w centrum San Francisco i jedliśmy organiczne truskawki – podczas gdy uczestnicy konferencji z identyfikatorami na smyczach przemykali obok nas, postukując obcasami na marmurowej posadzce, Donte właśnie mi opowiadał o tym, jak on i jego kumple mówili o kobietach „suki”. Dziewczyny – to jasne, ale nawet siostry i matki były sukami. Czasami mówiło się „moja stara”. Żadna kobieta nie miała tożsamości, żadna kobieta nie miała imienia. „Gdy nazywałem ją cały czas suką – powiedział nagle – tak naprawdę odbierałem jej tym człowieczeństwo”.

Zarówno Jimmy, jak i Donte zostali zatrudnieni przez Community Works, organizację z siedzibą w Oakland, która realizuje programy przeciwdziałania przemocy i zajmuje się reformami wymiaru sprawiedliwości. Community Works tworzy również szereg artystycznych i edukacyjnych inicjatyw, mających na celu rozwiązanie problemu przemocy i konsekwencji pobytu w więzieniu dla osadzonych i ich rodzin. Pewnego wieczoru zasiadam w grupie, której przewodzą wspólnie Jimmy i Donte, co jest częścią szkolenia tego ostatniego. Jak wszystkie kursy, które Jimmy prowadzi poza San Bruno, także i ten odbywa się w placówce biura szeryfa San Francisco. Niektórzy z uczestników dzisiejszego spotkania zaczynali od RSVP w San Bruno, ale zakończą zajęcia tutaj, w ramach cotygodniowego programu ManAlive. Mężczyźni czasami zgłaszają się do ManAlive dobrowolnie, ale to rzadkie przypadki, a ci, którzy uczestniczą w zajęciach z własnej woli, uczęszczają na kurs nie tutaj, w biurze szeryfa, ale w kościołach lub domach kultury, w grupach wspieranych przez takich ludzi jak Hamish Sinclair, nadal prowadzący wiele cotygodniowych spotkań[83]. Z ośmiu uczestników kursu czterej to Latynosi, dwaj są czarni, a dwaj biali. Wszystkim udział nakazał sąd. Większość ma na koncie wyroki skazujące za przestępstwa, ale kilku popełniło wykroczenia. Z reguły zmagają się z rozmaitymi proble-

mami: napaść z użyciem broni lub inne zarzuty kryminalne, nadużywanie narkotyków lub alkoholu, problemy psychiczne. Jako byli więźniowie i członkowie gangu Jimmy i Donte mają w tej populacji kapitał społeczny. Rozumieją język i zasady panujące na ulicach, doskonale wiedzą, co to znaczy dorastać w otoczeniu przemocy i jak trudno uwolnić się od nawyków. Spotykają się tu ze swoimi grupami co tydzień i jeśli uda im się dotrwać do końca, będą mieć za sobą rok nauczania tych mężczyzn czegoś, co w zasadzie sprowadza się do samoświadomości: kim się stają i jak wyglądają, kiedy są agresywni, jak ich przemoc wpływa na ich otoczenie oraz jak inaczej reagować na stresujące sytuacje.

Ludziom spoza tego świata wydaje się często, że przemoc wobec partnerów życiowych to problem sam w sobie, który wymaga osobnego rozwiązania. Służby socjalne również mają tendencję do traktowania takich kwestii w oderwaniu od pozostałych. Ale w domach, w których dochodzi do przemocy ze strony partnera, często współwystępuje także wykorzystywanie dzieci, alkoholizm i niestabilna sytuacja zawodowa czy mieszkaniowa. Może dojść do urazów mózgu albo innych poważnych schorzeń. Zdarza się, że edukacja bywa niedostępna albo utrudniona. Zajmując się tylko jedną kwestią, nie poradzimy sobie z pozostałymi. W ramach programów terapeutycznych – nie wspominając już o badaniach naukowych – coraz powszechniejsze jest zrozumienie, że problemy są wielowymiarowe i takie muszą być też środki zaradcze.

Biuro, w którym się znajdujemy, mieści się w ponurym dwupiętrowym budynku ukrytym pomiędzy magazynami, okna wychodzą na połacie betonu i asfaltu, a z pobliskiego wiaduktu dobiega uliczny hałas. Ma się wrażenie, że miejsce to nie widziało remontu od ostatniej wojny. Farba jest tak stara, że przy odpowiednim oświetleniu wygląda na żółtą. Na jednej ze ścian ktoś przykleił odręczny rysunek Elmo całującego Nemo. Na innej wisi plakat: „Jak powstrzymać trzydziestolatka przed pobiciem żony? Porozmawiaj z nim, kiedy będzie miał dwanaście lat”.

Donte zbiera markery i mokre chusteczki. Uczestnicy schodzą się, powoli, jakby to był dla nich rodzaj tortury – może i tak jest.

– Kto dzisiaj robi za sekretarza? – pyta Donte.

Mężczyzna w okularach przeciwsłonecznych i z metalową nakładką na zębach mówi, że on, po czym pisze na tablicy: „Cykl oddzielenia – zaprzeczanie, umniejszanie, obwinianie, zmowa”. Jedni przyjeżdżają prosto z pracy, inni z miejsca, gdzie przesiedzieli cały dzień. Pozdrawiają się kiwnięciem głowy, wymieniają żarty. Ktoś szepcze do sekretarza. Ten śmieje się i mówi:

– Pieprz się, gościu! – Po czym zwraca się do mnie: – Przepraszam za wyrażenie, proszę pani. – To jak sztuka, w której aktor nagle burzy czwartą ścianę.

Chciałabym pozostać niezauważona, ale jestem białą kobietą z klasy średniej, w średnim wieku, z notesem, a otaczają mnie mężczyźni z dredami, ogolonymi na łyso głowami, z zarostem na twarzach, w opuszczonych nisko na biodra dżinsach i bluzach sportowych, w drogich adidasach. Równie dobrze mogłam tu wejść prosto z planu filmowego. Albo raczej na plan filmowy. Inaczej niż w San Bruno, dziś nie będę brała udziału w zajęciach.

Któryś z nich śmieje się i mówi:

– Patrzcie tylko na to. Klub zgubnego zagrożenia.

Przez zgubne zagrożenie rozumieją dokładnie ten moment, w którym męskie oczekiwania są najbardziej zagrożone. To, co świat jest mężczyźnie winien, czego wymaga jego poczucie własnej wartości. Coś stanowi dla niego wyzwanie – może partnerka coś powiedziała albo zrobiła, a on na to reaguje. Może obraził go jakiś facet w barze. Może współpracownik powiedział mu, że coś spierdolił. To ułamek sekundy, który wszystko zmienia. Źrenice się zwężają, oddech przyspiesza, pięści się zaciskają, mięśnie tężeją, krew uderza ze zdwojoną siłą. Język ciała jest niemal uniwersalny, niezależny od podziałów rasowych, klasowych i kulturowych, a czasem nawet gatunkowych. Człowiek, lew, niedźwiedź. Ciało reaguje w ten sam sposób. Zgubne zagrożenie. Chwila, która – co Jimmy i Donte mają nadzieję pokazać tym mężczyznom – stanowi decyzję. Przemoc jako wyuczone zachowanie. Chociaż pewnie o tym nie wiemy, znamy zgubne zagrożenie pod inną nazwą – mówimy o „puszczających nerwach”. W wiadomościach pogrążona w żałobie sąsiadka albo płaczący współpracownik

stwierdzają: „Po prostu puściły mu nerwy”. Ale te puszczające nerwy to zasłona dymna, komunał, fikcja. Puszczające nerwy nie istnieją.

Trwa dwunasty tydzień programu. Skupiają się dziś na historii jednego faceta, Douga. Doug opowiada o zasadniczym wydarzeniu, które wpakowało go w kłopoty. Sinclair kiedyś określał to ćwiczenie mianem cyklu zniszczenia, ale zmienił nazwę na cykl oddzielenia, ponieważ z pedagogicznej perspektywy miało ono wykazać, jak człowiek w groźnym momencie oddziela się od tego, co Sinclair nazywa swoim „autentycznym ja”, i właśnie to oddzielenie pozwala zaistnieć przemocy.

Doug siada z pozostałymi uczestnikami.

– Cholera, ale się denerwuję – mówi.

– Udawaj, że stoisz na rogu Szesnastej i Julian i gadasz z kumplami – radzi mu Jimmy. Jednym z licznych zajęć, jakich imał się Jimmy przed RSVP, było prowadzenie taksówki. Często odwołuje się do tego doświadczenia w metaforach: co to znaczy utknąć w korku, jak znajomość tras może pomóc tego uniknąć. Zawsze, gdy wychodzę z biura, pyta mnie, w którą stronę jadę, a potem spogląda na zegarek: czy to godzina szczytu? W końcu proponuje trasę tak skomplikowaną, że rezygnuję po pierwszych czterech czy pięciu zakrętach. Fakt, że robi to za każdym razem, jest szalenie ujmujący. Nie chce, żeby ktokolwiek ucierpiał z powodu korków. A ruch uliczny jest jak przemoc: zawsze jest jakaś inna droga, dzięki której można ominąć problem.

Jimmy zwraca się do reszty grupy.

– Skupcie się teraz – mówi. – Nie komentujcie, jeśli usłyszycie coś, co wyda się wam zabawne. On może opisywać, jak pobił partnerkę, wy się zaśmiejecie, a on się zablokuje. To, co zrobiliśmy naszym partnerkom, nie jest śmieszne, więc trochę wyczucia. Podejdźmy do tego jak dojrzali ludzie. To jest poważna sprawa. To nie jest śmieszne.

Jimmy ma wiele tatuaży – na głowie ma napis „święty”; na plecach – „grzesznik”. Dżinsy zwisają z jego szczupłego ciała, ma na sobie za luźną białą koszulkę, a pasek wije się jak wąż na wysokości połowy uda. Mówi, że za nic nie może przytyć. Nikt nie wie dla-

czego. Współpracownicy się z tego nabijają. Chudy skurwiel. Ale Jimmy ma tajemnicę. To dlatego widać mu żebra, a dżinsy na nim wiszą.

– Dajcie mi dziesięć sekund – mówi Doug. Widzę, jak złożone między nogami ręce lekko mu drżą.

– Weź głęboki oddech – mówi Jimmy. – Po prostu przypomnij sobie, że żyjesz.

Jeden z przełożonych powiedział, żeby Donte częściej się odzywał, żeby interweniował, jeśli uzna to za potrzebne. Jeśli uda mu się przetrwać roczny staż, będzie miał zagwarantowaną pełnoetatową pracę w Community Works jako facylitator, tak jak Jimmy. Ma już za sobą sześć miesięcy. Wiele osób żywi wobec niego duże nadzieje, nie tylko on sam. Ale przed nim jeszcze ogrom pracy. Zaliczyć okres zwolnienia warunkowego i zamienić staż w prawdziwą pracę z prawdziwą wypłatą, a potem skończyć studia. Tyle straconego czasu do nadrobienia. Kiedy wcześniej rozmawiałam z nim w parku, czułam, że nawet umiejętność wyobrażenia sobie siebie samego w zawodzie psychologa jest dla niego czymś zupełnie nowym, że patrzenie w przyszłość, a nie tylko przetrwanie teraźniejszości, stanowi zupełnie odmienny sposób funkcjonowania w świecie.

– Moja dziewczyna poszła raz do innego alfonsa – mówi Jimmy. – Zgwałciłem ją. To straszne. To straszne, stary. Masz uczucia. To nie jesteś ty. Ale to byłeś ty, wtedy, tamtego dnia.

– To też byłem ja – mówi inny.

– Zaliczyłem czterdzieści dwa tygodnie [programu] – mówi trzeci – i popełniłem recydywę. Wróciłem do więzienia. – Zaczął program od nowa.

– Złamałem zakaz zbliżania i wracam tutaj – mówi inny.

Są jak drużyna piłkarska na przerwie w szatni, kiedy rezultat meczu jest tyleż bliski, co nieprzewidywalny. Wspierają się nawzajem, dają Dougowi znać, że wszyscy byli tam, gdzie on jest teraz, że nikt tutaj nie jest niewinny.

– Żyłem z kobiet, które nie miały ojców, kobiet, które doświadczyły przemocy seksualnej. – Jimmy na chwilę odchyla się z krze-

słem do tyłu, po czym wraca do poprzedniej pozycji. – A potem ukradłem im dusze.

W końcu Doug zaczyna. Jego eks, Ashley, była w swoim pokoju, a Doug akurat do niej wpadł. Po prostu przyszedł posiedzieć. Rozstali się tydzień wcześniej i postanowili, że zostaną przyjaciółmi. Pisała esemesy, piła bourbon Wild Turkey, trochę się z nim drażniła. Powiedziała mu, że nie może przestać myśleć o jakimś innym facecie.

– Kiedy o tym myślę, czuję zgubne zagrożenie – mówi Doug.

– Nie używaj słów programowych – prosi Jimmy.

Słowa programowe dają istotny kontekst dla zrozumienia własnych działań, ale w ćwiczeniu o cyklu oddzielenia, kiedy dekonstruuje się pojedynczy moment, mogą pełnić funkcję eufemizmu, sposobu na uniknięcie odpowiedzialności za swoje zachowanie. To różnica pomiędzy, powiedzmy, „moment zgubnego zagrożenia” a „uderzyłem ją pięścią w oko”. Zatem najpierw opowiada się historię, a potem grupa razem kontekstualizuje ją w pedagogicznych ramach programu, dołączając pewne elementy z tego, czego nauczyła się wcześniej. Na przykład: „Ten ułamek sekundy stanowił zagrożenie dla twojego systemu przekonań dotyczących męskich ról. I ten ułamek sekundy okazał się miejscem, gdzie wszedłeś w zgubne zagrożenie. I w tym ułamku sekundy oddzieliłeś się od swojego prawdziwego ja”.

Doug przeprasza. Bierze jeszcze jeden głęboki oddech, wbija wzrok w swoje buty. Wraca do opowieści. Mieli „problemy” przez około tydzień, a to była ostatnia kropla i to „eskalowało”. Jimmy zwraca uwagę na to słowo, mówi, że to słowo programowe, a Doug zaczyna jeszcze raz.

– Było źle, zrobiło się jeszcze gorzej… Pamiętam, że ciągle się uśmiechała, że grała ta piosenka *Friday, I’m in love*. Nie pamiętam, kto to śpiewa, ale za każdym razem, kiedy teraz słyszę ten kawałek, przypomina mi o tamtym dniu i strasznie mnie wkurza…

– Nie zbaczaj z tematu – odzywa się jeden z chłopaków.

Te upomnienia, ten język, to delikatne nakłanianie do trzymania się historii stanowią część programu. Pokazują, jak ważny jest język,

jak bardzo możemy sami się okłamywać, odchodzić od tematu, żeby uniknąć odpowiedzialności, jak używamy słów do przedstawiania własnej winy lub niewinności, jak łatwo jest manipulować i jak często manipulacja zaczyna się w naszych własnych umysłach, jak możemy zminimalizować nasz wpływ na kogoś innego. Później grupa potraktuje Douga surowiej, ale na razie pozwalają mu mówić.

– Ciągle się uśmiechała i popisywała przede mną, że ma innego faceta – mówi Doug. Była już wtedy na rauszu, a on złapał butelkę, wziął sześć czy siedem głębokich łyków. – Czułem się, jakby się mną bawiła… Zaprosiłem ją do przemocy, powiedziałem jej, żeby mnie uderzyła, a ona to zrobiła. Pamiętam, że podniosłem rękę i po prostu uderzyłem ją w twarz, chyba zostawiłem jej ślad na nosie… Potem znów się na mnie rzuciła i od tamtej chwili nie pamiętam, co się działo. Pamiętam, że byłem naprawdę pijany przez jakieś pięć minut i zdałem sobie sprawę, że jestem agresywny, i wyszedłem z pokoju, a jej babcia stanęła między nami… Byłem już wtedy półprzytomny. – Przerywa na chwilę, zastanawia się, a potem kontynuuje. – Jedna rzecz, uderzyłem w drzwi i przepchnąłem przez nie pięść, uderzyłem w ścianę i zostawiłem spory ślad…

– Przepchnąłeś pięść czy nią uderzyłeś? – pyta Jimmy.

– Uderzyłem. Przebiłem się przez drzwi i zrobiłem dziurę albo wgniecenie w płycie gipsowej. – Doug mówi dalej, jak groził, że rozwali twarz temu drugiemu facetowi, a potem wyszedł z jej mieszkania. Historia wyłania się w kawałkach, tylko częściowo linearna. Doug przypomina sobie poszczególne rzeczy i wraca do nich. Była tam jej babcia. Odpychał Ashley stopą, zanim ją uderzył. Po wyjściu z jej mieszkania usłyszał w oddali syreny, wiedział, że jadą po niego, i usiadł na krawężniku, żeby poczekać, skulił się, próbował wyglądać „tak bezbronnie, jak się da, żeby mnie nie poturbowali podczas zatrzymania”. Mówi, że kiedy przyjechali policjanci, żartowali sobie z niego, pytali, czy jest gejem, mięczakiem, rasistą.

Opowiedzenie tej historii zajmie mu jakieś dziesięć minut.

– Mogę ci zadać pytanie precyzujące? – rzuca Donte. Tak to przedstawiają, jako pytanie „precyzujące”, bo dzięki temu uczestnicy wiedzą, że pytający nie chce ich urazić.

Doug kiwa głową.

– Kiedy mówisz „przytrzymywałem ją stopą”, jaka była pozycja? To znaczy, co wy wtedy robiliście?

– Leżałem na jej łóżku – odpowiada Doug – i starałem się ją odpychać. Użyłem stopy, żeby ją odsunąć.

– Kiedy na kimś stawiam stopę, to jest to przemoc fizyczna – stwierdza Donte.

Doug potakuje.

Jimmy dziękuje mu za szczerość i zaciera ręce. Kiedy Doug powiedział, że „rozwali twarz” tamtego drugiego faceta, to była słowna groźba, oznajmia grupie.

– Mogę zadać ci pytanie precyzujące? – zwraca się do Douga. – Czy kiedykolwiek zwróciłeś się do niej inaczej niż jej własnym imieniem?

– Tak.

– Co to było?

– Pamiętam, jak nazwałem ją szmatą – mówi Doug. – Chyba też powiedziałem o niej „zdzira”.

– To spory składnik. Ten werbalny element.

Donte włącza się w kwestii wyzwisk.

– Posłuchaj, stary, do tego, żebym podniósł na nią rękę, wystarczy, że już nie jest Ashley, tylko zdzirą. Trzeba zmienić jej imię, czaisz?

Jimmy prosi Douga, żeby opisał, jak jego ciało poruszało się po pokoju tamtego wieczoru. Co robił z mięśniami?

– Zaciskałem je – mówi Doug.

A tętno?

– Skoczyło.

Jimmy wstaje na chwilę, pyta, czy ciało Douga było rozluźnione, czy sztywne?

– Sztywne.

A potem Jimmy przyjmuje postawę, pokazuje Dougowi i grupie, jak to wygląda. Plecy ma lekko zakrzywione jak u boksera, pięści zaciśnięte, twarz twardnieje. Jedno ramię lekko wysunięte do przodu, ciężar ciała na przedniej części stóp, jak gdyby był gotowy do skoku. W kontekście pomieszczenia, gdzie panuje atmosfera stosunkowego spokoju i odprężenia, jest to zaskakujący kontrast, a niektórzy z obecnych przeżywają w tym momencie objawienie, kiedy na własne oczy widzą, co ich ciało komunikuje, nawet jeśli nie wypowiadają żadnych słów.

– To jest właśnie to – mówi Jimmy, nie zmieniając pozycji. – Ona właśnie to widzi.

Wydobywa reakcję układu limbicznego ciała na zagrożenie, jak na widok osaczonego dzikiego zwierzęcia. Donte i Jimmy nakłaniają Douga, żeby wyciągnął wnioski. Jak by to wyglądało w oczach kogoś innego w tamtym pokoju? Ten człowiek z zaciśniętymi pięściami, wysokim pulsem i usztywnioną postawą?

To by wyglądało przerażająco.

To by wyglądało strasznie.

To by wyglądało źle.

Oto początek. Zwróć uwagę na swoje ciało.

Następny jest język. Część z tego staje się natychmiast oczywista. Na przykład zastąpienie wyzwisk imieniem partnerki. Ale język ogólnie jest znacznie bardziej subtelny. Działa zarówno na poziomie świadomym, jak i podświadomym. Idą dalej, z trudem, słowo po słowie, sekunda po sekundzie. Nie mów „cipka”. Nie przeklinaj. Nie mów „moja stara”. Nie mów „zdzira”, „szmata”, „kobieta”. Używaj imion. Używaj określenia „partnerka”. Utrzymuj kontakt wzrokowy z osobą, do której mówisz, albo z grupą. Siadaj prosto. Nie garb się. Kiedy opisują zdarzenia, które ich tu sprowadziły, muszą używać zwrotów w pierwszej osobie, zaimków dzierżawczych. To nie jest „nasza” przemoc, ani „męska”, ani „społeczna”. To jest „moja” przemoc. Weź na siebie swoją przemoc. Bądź odpowiedzialny za swoją przemoc.

Kiedy wykonują to ćwiczenie w San Bruno, zabiera to czasami cały ranek. Godziny na zdekonstruowanie wydarzenia, które w praw-

dziwym życiu mogło trwać zaledwie kilka minut. Chłopaki nie muszą wybierać incydentu, przez który wylądowali w więzieniu, choć większość z nich to robi. Prosi się ich, żeby zwrócili uwagę na każdy zapamiętany szczegół: mowę ciała, tętno, oddech, mięśnie, ton głosu, słowa, uczucia, dźwięki i zapachy. Pewnego dnia w San Bruno Jimmy zapytał facetów z grupy, ile czasu ich zdaniem upłynęło, odkąd zaczęli wrzeszczeć na partnerkę, do momentu, gdy siedzieli w radiowozie. Chłopaki zgadywały, że dwadzieścia, dwadzieścia pięć minut, pół godziny, może godzina. „Nie – odparł Jimmy. – Dziesięć minut. Bam! Proszę bardzo, stary". Kilka minut na przejście od człowieka przez niedźwiedzia do więźnia. Ale dziś wieczorem z Dougiem robią całe ćwiczenie w mniej niż dwie godziny.

Stosujemy przymus, mówi im Jimmy. Stosują przymus wobec siebie samych, swoich ofiar, dzieci. To odsuwa ich od samych siebie. Jimmy mówi, że muszą być gotowi podjąć działanie. Ta świadomość plus działanie równa się zmiana. Widzę, że rozgląda się po grupie, wodzi wzrokiem od jednego faceta do drugiego.

– Teraz wam coś, kurwa, powiem – oznajmia Jimmy i wstaje. – Całe życie zdawałem sobie sprawę z różnych rzeczy. Zdaję sobie sprawę ze wszystkiego, co kiedykolwiek w życiu zrobiłem. Kłamstwa, oszustwa, kradzieże. Całe życie słyszałem: „Nie handluj narkotykami". „Nie bierz narkotyków, nie podnoś ręki na dziewczyny". Całe życie to słyszałem, ale i tak to robiłem. – Facet z łokciami na kolanach siada prosto. – To jest ważne, chłopaki. Skąd wziąć chęć, żeby powstrzymać swoją przemoc? – Milknie na chwilę, rozgląda się po okręgu. – Jeśli nie spojrzę na zniszczenia, które wyrządziłem, to będę miał na wszystko wyjebane.

Jimmy opowiada swoją drugą historię. Jaką najgorszą rzecz komuś wyrządziłeś? To był dzień, gdy porwał kobietę, którą kochał. Niemal ją zabił. Matkę jednego z czwórki swoich ukochanych dzieci. Swoją byłą partnerkę Kelly Graff. Byli w separacji, a Jimmy był wkurzony. To była jego kobieta. On ją odzyska. Zadzwonił do niej, powiedział, że ma dla niej pięćset dolarów, może podjedzie je odebrać? Kazała mu obiecać, że nic jej nie zrobi, a on to przysiągł. To jest właśnie ten przymus. Wynajął ciężarówkę, po czym bardzo, ale to bardzo się naćpał i czekał. Czekał, aż zobaczy, że wjeżdża samo-

chodem na ulicę, a kiedy tam była, tuż obok ciężarówki, wrzucił wsteczny i docisnął gaz, wbił się w jej samochód tak mocno i szybko, jak się dało. Mógł ją, kurwa, zabić. Skoczył do jej auta jak pantera i wyciągnął ją na zewnątrz, a ona krzyczała. Wrzucił ją na pakę ciężarówki i zamknął drzwi, a potem pojechał do jej domu. Władza i kontrola. „Był kompletnie nawalony, nie spał od kilku dni. Był debilem". Jego dzisiejsze ja potrząsa głową z niedowierzaniem, gdy myśli o jego dawnym ja. Dotarli do jej domu – domu, który z nią kiedyś dzielił – a on wyciągnął ją z ciężarówki i zawlókł do środka, i tam, jak mówi, jego pamięć się urywa. Może trochę się bili. Może ją spoliczkował. Jest pewien, że kilka razy uderzył nią o ścianę. Nie pamięta, ale mówi, że poszedł spać. Spał, a kiedy się obudził, już jej nie było, a on wiedział, że ma przejebane. Co za durny zjeb. Jak mógł pójść spać? Wybiegł z domu do knajpy na rogu, do której wszyscy chodzili, a facet stamtąd mu powiedział, że Kelly była tam wcześniej z koleżanką, wystraszona, kompletnie spanikowana, i że poszła na policję. A Jimmy uciekł. Ukrył się.

Kelly pamięta to zupełnie inaczej. Jimmy pewnego dnia zjawił się u niej w pracy, twierdząc, że jego babcia zmarła. Kelly wiedziała, że był z nią blisko związany, więc myślała, że mówi prawdę. Ale gdy tylko wyszła z nim na zewnątrz, od razu zauważyła, że kłamał. Byli razem, odkąd miała szesnaście lat, a on dwadzieścia sześć. Teraz mieli córkę, a Kelly skończyła dwadzieścia jeden lat.

Kiedy zobaczyła, że pod przymusem nakłonił ją do wyjścia, uciekła z powrotem do biura, gdzie była ochrona. Jak powiedziała mi przez telefon, Jimmy znalazł jej samochód na parkingu i go podpalił. Samochód był całkiem nowy, a straż pożarna w San Francisco zadzwoniła, by przekazać jej wieści. Powiedziała też, że to ona wynajęła ciężarówkę, żeby wyprowadzić się z ich mieszkania. Jimmy spalił jej samochód, więc pożyczyła auto od znajomego mamy, ale Jimmy ją śledził, wskoczył na miejsce pasażera, gdy jechała z pracy. Miał nóż, a ona pamięta, jak mówił: „Chcesz mnie zostawić, ty suko". Przez wiele lat służyła mu za worek treningowy. Manipulował nią, przymuszał, straszył. Ciągle ją śledził, nie pozwalał jej na spotkania ze znajomymi, oskarżał o zdradę. „Nie zostawię cię – okłamała go. – Po prostu musimy trochę od siebie odpocząć". Próbowała

go uspokoić, bo nie wiedziała, do czego jest zdolny. Odebrali razem ciężarówkę i pojechali do mieszkania w piwnicy, które opisała jako „loch”. Udało jej się go przekonać, że jest głodna, więc ją puścił, a ona – jak mi powiedziała – „uciekła, jakby to była ostatnia sekunda jej życia”.

Poszła z kuzynem prosto na posterunek policji, gdzie, jak mówi, na początku poprosili ją, żeby wróciła do domu po ten nóż i go przyniosła. Zapytała ich, czy całkiem im odbiło. Powiedziała, że w ogóle nie chcieli jej pomóc, ale w końcu wydali nakaz aresztowania Jimmy’ego. Tymczasem Kelly straciła samochód, dom, a w końcu pracę (została zwolniona po 11 września). To był najgorszy moment w jej życiu.

Pewnego ranka, zaledwie kilka dni po incydencie z ciężarówką, podrzuciła córkę do przedszkola, a Jimmy ukrywał się w pobliżu. Powiedziała, że zmusił ją, żeby zabrała dziecko z przedszkola, i przez osiem dni trzymał je obie w pokoju hotelowym pod bronią. To, co wydarzyło się w ciągu tych ośmiu dni, zostanie w niniejszej książce pominięte na wyraźną prośbę obojga.

Ona mówi, że w końcu udało jej się go zmanipulować i uciec.

On mówi, że sam zgłosił się na policję.

Pamięć jest krucha w epicentrum traumy.

Kiedy Jimmy opisywał ten moment, wspominał, że uciekał, ukrywał się, że bał się każdej usłyszanej syreny, że chodził ze spuszczonym wzrokiem. Był tak naćpany, że przez połowę czasu miał halucynacje, jak powiedziała mi Kelly. Więc może faktycznie niewiele pamięta.

Ale w końcu wpadł i prokurator chciał go oskarżyć o porwanie i napaść z użyciem śmiercionośnej broni, ale Kelly mówi, że zrobiło się jej go żal i wycofała większość zeznań. Opowiada mi to przez telefon, a ja słyszę w jej głosie, że dziś sama nie potrafi w to uwierzyć – że była kiedyś taką kobietą: kobietą, która wycofuje zeznania. W końcu sam się przyznał. Powiedział, że skazali go na cztery lata, a ona, że odsiedział nieco ponad rok.

Niemniej to właśnie wówczas trafił do RSVP i dowiedział się, co zrobił sobie, Kelly i ich córce, swojej społeczności, reszcie rodziny.

Opowiada chłopakom w swojej grupie, jak przemoc wywołuje efekt fali, jak skrzywdził Kelly, która skrzywdziła swoje dzieci, rodziców, swój krąg przyjaciół i tak dalej, i tak dalej. Przemoc to mrok, który wnika do społeczności, infekuje ją i się mnoży. Kiedy Donte mówi o East Oakland jako o Bagdadzie, myślę, że to właśnie ma na myśli, dokładnie to, o czym mówi Jimmy. Jak jedno brutalne działanie jednej osoby rodzi kolejne. Jak przemoc, na którą odpowiada się jeszcze większą przemocą, nigdy tak naprawdę nie rozwiązuje żadnego problemu. Mój były mąż, który całe życie zawodowe spędził w wojsku, mawiał, że problem z posiadaniem broni – niezależnie od tego, kim jesteś – polega na tym, iż jej obecność automatycznie stawia cię po jednej ze stron. Człowiek nie jest już neutralny. Sądzę, że przemoc działa tak samo. Rozbija poszczególnych ludzi, ale także rodziny, społeczności, miasta, kraje. To jest to, do czego Jimmy stara się dotrzeć poprzez swoją własną historię.

Zwroty, którymi Jimmy się określa – „samo dno”, „skurwiała menda” – to uliczny żargon, coś w rodzaju ostrej poezji: to zapewnia mu szacunek u ziomów na zajęciach. Ale tutaj nazwijmy go tym, kim naprawdę był w tamtej chwili i tamtego dnia. Był domowym terrorystą. To właśnie robią terroryści. Terroryzują. Wszyscy mężczyźni w skrzydle RSVP w San Bruno i poza nim. Są terrorystami w naszym otoczeniu, siewcami grozy, którą wielu ludzi, włączając w to przywódców naszego kraju, uważa po prostu za „prywatną” sprawę.

Jimmy odsiedział wyrok, a tuż przed zwolnieniem dostał list od Kelly. Nie pisała do niego przez cały czas odsiadki. Pamięta, że jej list kończył się zdaniem: „Proszę, nie zabijaj mnie”. (Ona mówi, że to była odpowiedź na jego list, w którym ponoć odmówił płacenia alimentów).

Kiedy opowiada tę historię, potrząsa głową, a wyrzuty sumienia znajdują wyraz w języku jego ciała. Ile kobiet w dziejach? – myślę. Ile z nich błagało takim samym zdaniem? Kobiety na całym świecie, w tysiącach języków, na przestrzeni wieków, od zarania ludzkości. „Proszę, nie zabijaj mnie”. Widzisz, jakie my, kobiety, jesteśmy grzeczne? Mówimy „proszę”, gdy błagamy o nasze życie.

– Ta biedna dziewczyna – Jimmy zwraca się do kręgu, przed którym nadal siedzi Doug. Jego głos cichnie niemal do szeptu. – Ta

biedna, biedna dziewczyna. Pytała moich kumpli, czy ich zdaniem ją zabiję, gdy wyjdę. – Pomieszczenie wibruje jego historią, tą straszną rzeczą, którą zrobił, i tym, jak doczołgał się z powrotem do własnego człowieczeństwa. – Ale ta dziewczyna jest dziś moją najlepszą przyjaciółką – mówi. – Wspiera mnie bezwarunkowo.

Kelly temu zaprzecza. Uwierzyła, że się zmienił, że „nauczył się akceptować to, co zrobił, wie, że to było złe". Powiedziała, że jest dzisiaj skromniejszy. To prawdopodobnie najlepszy moment w jego dotychczasowym życiu. A jednak. „Już nigdy w życiu nie zostanę z Jimmym sam na sam" – wyznała.

Jimmy milczy przez chwilę. Każdy facet tutaj ma za sobą podobną historię i każdy facet znajdzie się tam, gdzie dzisiaj znalazł się Doug. Jimmy patrzy na Douga.

– Kiedy zacząłeś pić ten bourbon, to była przemoc na sobie samym. Od tego to się zaczęło, prawda?

Doug kiwa głową, skubie nagniotki na dłoniach.

– Odepchnięcie jej to przemoc wobec niej, prawda? Tak samo uderzenie jej w twarz trzy razy. I przebicie ściany. Powiedziałeś facetowi, że rozwalisz mu twarz, prawda? To jest słowna przemoc, ta groźba.

Doug kiwa głową, uznaje kontekstualizację swoich działań.

Za Dougiem facet z metalową nakładką na zębach zapisuje wszystko na tablicy, zakreśla to, co oznaczają te chwile. Picie to „autoagresja". Wyzwiska to „przemoc słowna". Przebijanie ścian to „przemoc fizyczna".

– Mogę zadać ci pytanie precyzujące? – pyta Jimmy. – Jakie było twoje pierwsze zgubne zagrożenie?

Innymi słowy, prosi, żeby Doug zidentyfikował pierwszy raz, kiedy jego system przekonań na temat męskich ról został zakwestionowany.

W pedagogice ManAlive określa się tym mianem to, czego społeczeństwo każe mężczyznom oczekiwać. W grupie Jimmy, Sinclair albo ktokolwiek, kto prowadzi zajęcia, często zatrzymuje się w tym

momencie i prosi uczestników o podanie kilku przykładów systemu przekonań co do męskich ról: Mężczyzna nie traci szacunku. Mężczyzna nie daje się okłamać. Seksualność mężczyzny nie może zostać podana w wątpliwość. Mężczyzna jest autorytetem. Mężczyzny nie można zlekceważyć. Kobieta powinna być uległa, posłuszna, wspierająca mężczyznę. Kiedy system przekonań mężczyzny zostaje zakwestionowany, popada on w zgubne zagrożenie, i to właśnie wtedy przemoc jest wyborem. W ManAlive opisuje się to trochę górnolotnie: kiedy do głosu dochodzi „wewnętrzny zabójca", wówczas „autentyczne ja" mężczyzny znika. Zabójca działa w ciszy, samotnie. Zabójca wtapia się w tłum, ukradkiem niszczy ludzi, a następnie znika. Zabójca nie bierze na siebie żadnej odpowiedzialności. Zabójca nie ma poczucia moralności. Jimmy zwraca uwagę Douga na to, że w momencie zgubnego zagrożenia nie tylko nie zauważa swojej partnerki, ale także nie dostrzega już samego siebie, swoich własnych uczuć, własnych potrzeb, własnego ciała. Po prostu reaguje na wyzwanie, które rzucono jego systemowi przekonań, i to w tym jądrze konfliktu mieści się decyzja o tym, czy dopuścić się przemocy, czy nie. Pewien facet, który przeszedł przez program, powiedział, że nauczył się dosłownie robić krok do tyłu w takim momencie, żeby przekalibrować swój umysł i ciało. Czasami tak mała korekta to wszystko, czego potrzebują, by powstrzymać się, wziąć oddech, nie eskalować.

Jimmy ponownie pyta, kiedy Doug pierwszy raz znalazł się w sytuacji zgubnego zagrożenia.

– Kiedy powiedziała mi, że nie może przestać myśleć o tym drugim facecie – odpowiada.

– Skąd ja to znam – rzuca jeden z chłopaków.

– Kiedy powiedziałeś, że postanowiliście zostać przyjaciółmi – odzywa się Donte – to dla mnie zabrzmiało jak wyparcie.

Doug kiwa głową. Chciał ją odzyskać. Wypierał się własnych uczuć.

– „Nigdy w życiu nie byłem tak pijany" brzmi dla mnie trochę jak przerzucanie winy. I mówisz, że ona rzuciła się na ciebie, a to znowu jest jakby przerzucanie winy – mówi Donte. Obwinianie alkoholu.

Obwinianie jej. Obwinianie wszystkiego i wszystkich oprócz siebie samego. Doug przyznaje Dontemu rację.

Ciągną tak dalej przez kolejne dwadzieścia minut. Jeden z uczestników wskazuje na język ciała, gdy pojawiła się policja, a Doug siedział tam na krawężniku, czekając na nich, próbując, jak sam to określił, „wyglądać na jak najbardziej bezbronnego". „To brzmiało jak umniejszanie" – powiedział Dougowi ten facet. Zatem Doug wypierał się własnych uczuć i własnej roli w przemocy. Obwiniał swoją byłą dziewczynę i obwiniał tego drugiego faceta, groził im słownie i fizycznie i umniejszał własną rolę w tym wszystkim, i to wszystko tam było, w jego ciele i w jego słowach.

Być może największym wyzwaniem w całym tym programie jest to, że ludzie, którzy przez niego przeszli – czy to przez RSVP, czy to przez ManAlive – nadal funkcjonują w tym samym świecie co wcześniej. Chłopaki w San Bruno? Mają o wiele łatwiej niż ci, którzy są już na zewnątrz i starają się prowadzić życie bez przemocy, tam gdzie zmiany nie dotknęły niczego ani nikogo. Donte opowiadał mi wcześniej, jak jego matka i babcia dostrzegły w nim zmiany, ale im nie ufały. Nawet on sam sobie nie ufał. I nie miał niczego, czym mógłby zrekompensować ten brak równowagi w życiu, poza czasem.

Zanim wyjdą, Jimmy pyta grupę o intymność. O to, jak ją osiągnąć. Dowiedzą się o tym na innym etapie programu. Doug mówi: „Słuchajcie i otwierajcie się". „Słuchanie" oznacza słuchanie partnerek, ale także słuchanie samych siebie, własnych uczuć, własnych ciał.

– Nikt tu nikogo nie osądza – przypomina im Jimmy. – Żadnych rad, żadnych osądów, żadnych opinii.

Donte dziękuje Dougowi za odwagę, za to, że siedział tyle godzin przed zebranymi w kręgu nieznajomymi i odsłonił przed nimi jeden z najgorszych momentów w swoim życiu.

– Widziałem ten wyraz na twojej twarzy. Ja tak samo wyglądałem, bo naprawdę skrzywdziłem kogoś, kogo kochałem, rozumiesz? Więc chcę ci podziękować za wykonanie tej pracy. Naprawdę chcę, żebyś

zobaczył przemoc, jaką wyrządziłeś osobie, którą powinieneś kochać. Dzięki, bracie.

Doug kiwa głową, bierze głęboki wdech i wypuszcza powietrze, a potem się śmieje, bo zauważył w tej chwili reakcję własnego ciała i rozpoznał, że wyraża ulgę.

Dwa miesiące po spotkaniu grupy z Dougiem Donte zniknął. Nie odpowiadał na moje esemesy ani mejle. Próbowałam dzwonić na dwa numery komórkowe, które mi podał, i zostawiłam mu mnóstwo wiadomości. Cisza.

W końcu, po kilku miesiącach prób, znalazłam kogoś z Community Works. Donte został przyłapany w samochodzie z pistoletem należącym do kierowcy pojazdu, a policja go znowu zatrzymała. Na zwolnieniu warunkowym Donte musiał trzymać się z dala od broni palnej – czy to własnej, czy też należącej do innych osób. Znaleziono przy nim również w kieszeni grudkę cracku, więc wrócił do więzienia i czeka na proces. Przydzielono mu obrońcę publicznego. Wielokrotnie dzwoniłam do tego adwokata i napisałam do niego kilka mejli, ale nie odpowiadał na prośby o rozmowę. Gdyby Donte został skazany, miałby przed sobą perspektywę czternastu lat odsiadki. Gdyby dopisało mu wyjątkowe szczęście, dostałby rok.

Cały ten czas, który chciał nadrobić, studia, praca w Community Works, szansa na odbudowę własnego życia? Zastanawiałam się, co on teraz o tym wszystkim myśli. Donte był młodym czarnym facetem w starciu z systemem, który niezbyt często – jeśli w ogóle – wspierał młodych czarnych facetów. Miał sporą kryminalną kartotekę. Nie miał pieniędzy na porządnego prawnika. Wyglądało na to, że jego szanse są zerowe. Skończy jako kolejny przemocowiec, skazany na życie, które znał od zawsze, niesiony przez siły, z którymi sam nie mógł walczyć. Z tego, co wiem, Donte był ze mną szczery. Nie udawał, że jest dobrym człowiekiem. Wiedział, że nawalił. I powiedział mi też, że nie da się wyżyć z pensji stażysty w San Francisco. Kiedy jego pobyt w domu przejściowym dobiegł końca, planował przeprowadzić się do swojej matki, w samym środku dzielnicy, która wiele lat wcześniej postawiła go na trudnej drodze, nie dlatego, że chciał, ale dlatego, że nie miał wyboru. No jasne, pomyślałam. Oczywiście,

że miał crack w kieszeni. Co jeszcze miałby zrobić? Ma pracę i godzinę policyjną o dziewiętnastej. Community Works, Jimmy Espinoza, RSVP, wszyscy robili, co mogli dla Dontego Lewisa, ale walczyli z tym samym systemem, który miał inne priorytety, w którego strukturę wpisane były rasizm i klasizm, do tego przy ograniczonych zasobach i nieograniczonych potrzebach.

Chciałam porozmawiać z Dontem, ale nie miałam numerów do jego matki ani babci, a z nim samym nie mogłam się z oczywistych względów skontaktować przez telefon. Wtedy pewnego wieczoru zadzwoniła moja komórka. Z zakładu karnego Atwater. Na linii był więzień, który prosił mnie o zaakceptowanie połączenia. Po piętnastu minutach znam historię Dontego.

Było już około północy, a on szukał podwózki do domu. Wyprowadził się z domu przejściowego i mieszkał z mamą i babcią w East Oakland. Odebrał go „tata dziecka jego siostry". Facet był pijany, ale Donte nawet nie brał pod uwagę, że miałby z nim nie pojechać. Ostatnio jego nowa dziewczyna czepiała się tego, że Donte mieszka z mamą, ale co miał zrobić? Jego pensja nie wystarczała na życie w rejonie San Francisco. Ale starał się być czysty, działać zgodnie z zasadami programu, trzymać głowę prosto i nie tracić celu z oczu. Szef ostrzegał go, żeby nie spotykał się z nikim, kto mógł wpakować go w kłopoty, ale on powiedział, że wszystko w porządku. Da sobie radę.

Pomyślał, że sprzeda trochę cracku i podreperuje budżet. Nic wielkiego. Nic, co by go kosztowało udział w programie antyprzemocowym. Tamtej nocy miał w kieszeni małą torebkę. Widział to tak: nie miał najmniejszych nadziei na wyprowadzkę z domu matki przez długi, długi czas. Skończył dwadzieścia osiem lat, był za stary, żeby mieszkać z mamą.

Kierowca miał przy sobie też trochę zioła. Ledwo Donte wsiadł do samochodu, usłyszeli sygnał radiowozu, ale zamiast się zatrzymać, kierowca ostro skręcił, przejechał dwie przecznice i wbił się w ścianę. Donte twierdzi, że nic po tym nie pamięta. Obudził się w szpitalu, miał rozbitą wargę i twarz. Jest pewien, że poduszka powietrzna nie zadziałała. Gliny znalazły glocka ukrytego w pojemniku poduszki. To nie była poduszka Dontego. Twierdzi, że nawet nie wiedział o broni. Na podłodze samochodu leżał magazynek glocka i

kilka łusek po nabojach, które przetoczyły się, kiedy wjechali w tę ścianę. Krew Dontego rozbryznęła się dookoła. Nie widział, gdzie poleciała, ale jest pewien, że musiała rozprysnąć się po całym samochodzie, bo później zobaczył ślady na koszuli.

Wypadek nie miał w zasadzie znaczenia. Narkotyki trochę się liczyły, ale nie tak bardzo jak broń. Przebywając w pobliżu broni, Donte naruszył warunki zawieszenia kary i automatycznie dostał dwa lata więzienia. Dodajmy do tego, że jeśli jego DNA – na przykład z rozlanej krwi – zostanie znalezione na pistolecie, na magazynku, na którejkolwiek z łusek, to w najlepszym wypadku może się spodziewać czterech lat, a w najgorszym o wiele, wiele więcej, w zależności od ławy przysięgłych na procesie. Jego szef z Community Works napisał mu referencje. Chciał dotrzeć do niektórych chłopaków z grupy i poprosić o to samo, ale jego prawnik powiedział, żeby sobie dał spokój, to tylko rozzłościłoby sędziego.

– Rzecz w tym – powiedział mi Donte przez telefon tamtej nocy – że oni już mnie znają. Oni wszyscy już mnie znają. – Znał go sędzia, ludzie z dozoru sądowego podczas zwolnienia warunkowego, może nawet policja. Nawet jeśli go nie znali, to wyprzedzała go kartoteka. – Znają mnie z dawniejszych czasów, z tego, kim kiedyś byłem. Teraz już nie zmienią o mnie zdania.

Donte ostatecznie nie zdecydował się na proces. Przyznał się do winy, jak wielu innych w jego położeniu. Młody. Czarny. Spłukany. Kartoteka kryminalna. Dostał jeszcze sześć lat, i tym razem nie było to małe, przytulne więzienie z programami edukacji, sprawiedliwością naprawczą i terapią przez sztukę. Tym razem trafił do zakładu federalnego, najpierw w Atwater, a potem, w połowie wyroku, do więzienia federalnego na granicy stanów Pensylwania i Nowy Jork, tysiące kilometrów od wszystkiego, co znał.

Potem próbowałam dotrzeć do Jimmy’ego, ale on też przepadł.

Skupisko na szczycie

Mniej więcej w tym samym czasie, gdy Hamish Sinclair zadawał swoje zasadnicze pytanie, dlaczego mężczyźni biją się nawzajem, David Adams, aktywista społeczny z Bostonu, prowadził w Boston Men's Center comiesięczne spotkania, jak sam mówi, „bardzo w stylu lat siedemdziesiątych" – przez co rozumie rozwój świadomości, trzymanie się za ręce i wspólne śpiewy. Pewnego dnia do Adamsa zgłosiło się kilka znajomych z tej samej społeczności. Założyły one grupę dla maltretowanych kobiet i poprosiły Adamsa o pomoc. Powiedziały, że pomoc ofiarom, wsparcie ze strony społeczności to jedno, ale co z mężczyznami, którzy dopuścili się przemocy? Dlaczego nie można było tego powstrzymać? Kobiety nie uważały, że pomaganie sprawcom stanowi zadanie dla nich, więc poprosiły Adamsa, aby się do nich przyłączył. Sinclair miał założyć ManAlive dopiero za kilka lat. Nie było żadnych prawdziwych badań nad tym, co zrobić z męską agresją. Adams i jego znajome znacznie wyprzedzili resztę kraju; na ustawę VAWA trzeba było poczekać jeszcze kilkadziesiąt lat.

Pierwsze spotkania odbywały się w mieszkaniu Adamsa. Zapraszali maltretowane kobiety do dyskusji na temat tego, co przemoc wyrządziła im i ich dzieciom. Adams nie wiedział wówczas, że należałoby to uznać za interwencję antyprzemocową, ale przedsięwzięcie stanowiło swego rodzaju sprawiedliwość naprawczą. Nie było jednak żadnego planu, żadnego protokołu, żadnych wytycznych dotyczących najlepszych praktyk. Adams i jego koledzy uczyli się instynktownie. „Byliśmy tacy naiwni – mówi dziś. – Myśleliśmy, że wystarczy, jak powiemy im, że to coś złego, [a oni przestaną]".

Na podstawie doświadczeń z tego wczesnego okresu Adams napisał rozprawę doktorską, w której próbował przeanalizować to, co dzieje się w domach przemocowych, a do czego nie dochodzi w domach, gdzie nie ma przemocy. Adams dorastał z ojcem brutalem, wiedział

zatem doskonale, jak taka ukryta przemoc może zniszczyć rodzinę. W swoim doktoracie przyjrzał się opiece nad dziećmi i pracom domowym tam, gdzie dochodziło do znęcania, i porównał to z domami, w których przemoc nie występowała. Zakładał, że badania te potwierdzą jego teorię, iż sprawcy przemocy w znacznie mniejszym stopniu uczestniczą w pracach domowych i opiece nad dziećmi. Odkrył jednak ze zdziwieniem, że obie grupy mężczyzn były zaangażowane w mniej więcej równym stopniu – odpowiadali za dwadzieścia jeden procent obowiązków domowych[84]. Grupy te różniły się od siebie tym, że partnerzy, którzy nie stosowali przemocy, wiedzieli, że im jest łatwiej, doceniali to, że ich żony pracowały na podwójnym etacie, zaś ci, którzy znęcali się nad partnerkami, mówili: „Robię o wiele więcej niż większość facetów, ale czy ona to docenia?”. Badania Adamsa wykazały, że ze swojej perspektywy oprawcy uważali, że „nie docenia się ich za to, co robią, nieważne, co robiły ich żony”. Natomiast mężczyźni, którzy nie dopuszczali się przemocy, „mawiali: ależ ja mam szczęście. Moja żona tak dużo robi. A to uznanie wiele znaczyło dla ich żon”. Przemocowcy byli też bardziej krytyczni wobec tego, jak ich żony prowadziły dom.

Adams zdał sobie wtedy sprawę, że kliniczny narcyzm tych mężczyzn powstrzymywał ich przed uświadomieniem sobie w pełni, jak ich zachowanie wpływa na ich ofiary. „Narcyzm filtruje to, jak wszystko postrzegają” – powiedział mi Adams.

David Adams, podobnie jak Hamish Sinclair, zdaje się ucieleśniać geografię i kulturę otoczenia. Jest nieco bardziej od Sinclaira zdystansowany, mówi nieco ostrożniej. Jest poważny, mniej skłonny do żartobliwej konfrontacji z mężczyznami w swoich grupach, raczej milczący. Ma kręcone, siwiejące włosy, wąsy i – jak wiele osób zaangażowanych w pracę w opiece społecznej – doświadczył przemocy w dzieciństwie. Przemocowy, emocjonalnie niedojrzały ojciec. Matka, która odwracała wzrok. Jego najstarsze wspomnienie pochodzi z czasów, gdy miał cztery lata, a babcia zabierała go do kamieniołomu granitu, w którym pracował jego ojciec. Powiedział, że babcia nienawidziła jego ojca, z wzajemnością. Tego dnia stanął z nią nad krawędzią, a ona wskazała na jedną z maleńkich kropek pracujących głęboko w dziurze i powiedziała: „To twój tata”. Adams odparł, że nie,

jego tata jest o wiele większy. To niemożliwe, ten malutki człowieczek, nie większy niż mrówka z jego perspektywy? Ale w końcu zrozumiał, o co chodzi. Jak mały był jego ojciec i jak on sam mógł zostać innym człowiekiem. Była to jedna z najtrwalszych i najważniejszych lekcji jego życia, coś, co dziś nazywa największym darem otrzymanym od babci. Kiedy dorastał, za wszelką cenę chciał być inny od ojca, który drwił z edukacji i uważał, że chłopcy powinni być twardzi. Adams siedział z nosem w książkach przez dwadzieścia lat, aż do chwili, kiedy właśnie to pogardzane przez ojca wykształcenie umożliwiło mu ucieczkę. „Dzieci są dosyć dosłowne – powiedział mi Adams – a to było prawdziwe objawienie, że nie muszę być taki jak on”.

Adams w końcu zapoczątkował przedsięwzięcie, które powszechnie uznaje się za pierwszy w kraju program interwencyjny dla sprawców przemocy: Emerge. Koncentruje się on na zachowaniach związanych z kontrolą i agresją w związku, a obok projektu z Duluth jest to prawdopodobnie najbardziej rozpowszechniony program tego typu w USA. Trwa czterdzieści tygodni i obejmuje różne tematy, od skutków znęcania się nad członkami rodziny po zazdrość i zdrową komunikację. Kilka lat temu w ramach Emerge zaczęły się również odbywać zajęcia z rodzicielstwa. Jak mówi Adams, nikt nie chce identyfikować się jako „przemocowiec”, więc Emerge zmienił sposób mówienia o tym, czym się zajmują. Około trzydziestu procent uczestników zgłasza się teraz dobrowolnie, a reszta wskutek nakazu sądowego. (W skali kraju mniej więcej pięć procent uczestników większości programów interwencyjnych dla sprawców przemocy rozpoczyna je z własnej woli).

Hamisha i Adamsa łączy jedna rzecz, wspólna dla genezy ich projektów – to kobiety zmusiły ich obu do działania, feministki wskazały na potrzebę znalezienia męskich sojuszników. Chciały, żeby mężczyźni przyłączyli się do ich walki.

Pewnego dnia, na samym początku naszej znajomości, Adams opowiedział mi historię kobiety, która przyniosła na spotkanie grupy nagranie swojego męża przemocowca. Na taśmie mąż mówił: „Nie czułbym takiego gniewu i wściekłości, gdybym nie był w tobie tak szaleńczo zakochany”. Adams po raz pierwszy tak naprawdę usłyszał

wówczas i zrozumiał, jak dalece w manipulowaniu innymi mogą posunąć się zdolni sprawcy. Jak romantyzują zarówno własną przemoc, jak i zazdrość. Stosują wymówki w stylu: „Tak bardzo cię kocham, że to przez ciebie to robię”. „Nie zrobiłbym X, gdybyś ty nie zrobiła Y” – racjonalizacja. Obwinianie i wyparcie. Adams i inni badacze zwracają uwagę na ramy uczuć tego rodzaju. Umniejszają one przemoc, racjonalizują przemocowe zachowanie i zrzucają winę na ofiarę. I to działa. Oto cykliczna triada: umniejszanie, racjonalizowanie, obwinianie. A potem przychodzą wyrzuty sumienia. Żarliwe, pełne łez przeprosiny, obietnice poprawy zachowania, uwielbienie i zapewnienia o miłości. Scenariusz jest uderzająco podobny, niezależnie od tego, kto mówi.

Pewnego ranka siedziałam na sali sądowej w Cleveland podczas kilku rozpraw dotyczących przemocy domowej. W jednym przypadku sprawca złamał zakaz kontaktu i wielokrotnie dzwonił do ofiary. Zadzwonił do niej ponad czterysta razy w ciągu trzech tygodni. Ona odbierała blisko dwadzieścia procent tych telefonów. Prokurator Joan Bascone odtworzyła dla sądu tylko kilka z nagranych rozmów, podczas gdy sprawca, z ogoloną głową, w zielonym kombinezonie więziennym, stał przed sędzią Michelle Earley i uśmiechał się drwiąco. Oto mała próbka z tego, co mówił na nagraniach:

> Daj mi jeszcze jedną szansę. Jeszcze jedną. Więzienie nie jest tego warte. To gówno nie jest tego warte.
>
> Wyolbrzymiasz to. Tylko się z tobą drażniłem. Nie chciałem cię zabić… Czemu ciągle ze mną walczysz, zamiast pomóc mi się stąd wydostać? Czemu ty też nie przeprosisz, że nie było cię całą noc?
>
> Jestem w tobie zakochany, ty suko, i żałuję, bo przez ciebie przeżywam pierdolone piekło. Dlaczego mi to robisz?
>
> Nie jestem ci winien żadnych wyjaśnień… Nie zrobiłaś nic, tylko wsadziłaś mnie do więzienia. Nie wysłałaś żadnych listów ani zdjęć. Nie obchodzi mnie, czy przyjdziesz do sądu. Nie będę już do ciebie dzwonił.
>
> Nie musisz przychodzić do sądu. Oni będą o mnie mówić, to powiesz im, żeby się, kurwa, zamknęli. Oni ci kłamią. Po prostu powiedz im, że złożysz wniosek o oddalenie sprawy. Nie pozwól, żeby prokurator dał ci jeszcze jedną szansę na przyjście do sądu.

Nie musisz podpisywać. Nie otwieraj drzwi… Ufam ci. Chyba nic nie robisz. Nie jesteś na tyle durna.

Pójdziemy tam i załatwimy sprawę oficjalnie. Ja wierzę w małżeństwo. To zobowiązanie na całe życie… Poczekaj tylko, aż wyjdę. Mam tam ludzi, którzy cię obserwują.

Obwinianie, umniejszanie, racjonalizowanie, przeprosiny i obietnice: wszystko tam było, w jego własnych słowach. Przymus, manipulacja, emocjonalna i werbalna przemoc, groźby, dehumanizacja. Jego próby przekonania jej, że jest silniejszy od systemu, że wie więcej niż system. Nagrania odtworzone tego dnia w sądzie trwały ponad godzinę, było tam o wiele więcej niż to, co tu zawarłam, a ja wówczas zauważyłam: ani razu nie użył jej imienia.

W ostatnich dwóch dziesięcioleciach grupy interwencji antyprzemocowej, jak Emerge i ManAlive, znacznie rozszerzyły działalność; obecnie w całym kraju jest ich ponad półtora tysiąca. Choć ich celem jest powstrzymanie fizycznej przemocy i zastraszania, istnieją też bardziej zróżnicowane programy, które pomagają sprawcom rozpoznać destrukcyjne wzorce, zrozumieć szkody, jakie wyrządzają, rozwijać empatię wobec partnerek i kształcić się w zakresie inteligencji emocjonalnej. Jednakże wykorzystywane w nich metody i filozofie są bardzo zróżnicowane. Nadal utrzymuje się przekonanie, szczególnie rozpowszechnione wśród organów ścigania, że takie projekty to strata czasu i pieniędzy, co szalenie frustruje Adamsa. Poszczególne certyfikaty różnią się w zależności od stanu. Nakazy sądowe są różne. Programy zajęć są różne. Jakość liderów grup jest różna. Czas trwania programu jest różny. Jeśli zaś chodzi o oddziaływanie społeczne, to jest to młoda dziedzina, która wciąż się rozwija. Sędziowie także często nie rozróżniają, powiedzmy, interwencji antyprzemocowej od kursu kontroli złości, więc może się zdarzyć, że sędzia wyśle sprawcę na ten ostatni, nawet w jurysdykcji, w której ma do dyspozycji mnóstwo grup interwencyjnych. Fakt, że tylko pięćdziesiąt pięć procent mężczyzn, którzy zgłaszają się do Emerge, faktycznie kończy program, świadczy o jego rygorystycznych zasadach i skuteczności – tak twierdzi Adams[85]. „Zawsze jestem nieufny wobec progra-

mów, które wykazują wyższy odsetek kończących je uczestników. To jest tak jak w złej szkole. Wszyscy ją kończą”.

Jeśli ofiara potrzebuje przeciętnie siedmiu lub ośmiu prób, żeby odejść od sprawcy przemocy, to dlaczego oczekujemy, że sprawcy uda się za pierwszym razem? Adams wyjaśnia, że badania nad skutecznością programów zwykle mierzą wszystkich przestępców jedną miarą, czyli zarówno tych, którzy rezygnują, jak i tych, którzy dotrwali do końca. A u tych ostatnich zaobserwujemy przecież inne wyniki. Im dłużej uczestnicy pozostaną w programie, tym większe prawdopodobieństwo trwałych zmian. „To nie jest sytuacja typu »wszystko albo nic«” – powiedział Adams. W *The Future of Batterer Programs* [Przyszłość programów antyprzemocowych], obszernym opracowaniu na temat obecnego stanu programów interwencji antyprzemocowych, Edward W. Gondolf stwierdza, że w zasadzie jesteśmy wciąż we wczesnej fazie, i przestrzega przed zbytnim przywiązaniem do idei predykcyjnej oceny ryzyka: „Programy antyprzemocowe oraz cały system prawa karnego stoją obecnie przed trudnym zadaniem – jak zidentyfikować szczególnie niebezpiecznych mężczyzn. […] Odnotowujemy zatem przejście od prognozowania do bieżącego zarządzania ryzykiem, a to pociąga za sobą konieczność wielokrotnej ewaluacji, monitorowania i rewizji metod interwencyjnych”**[86]**.

Kontrolę złości nierzadko myli się z interwencją antyprzemocową – sądy w całym kraju nadal często wysyłają sprawców przemocy na kurs kontrolowania złości, jak choćby w przypadku futbolisty Raya Rice’a w 2014 roku. Pewnego razu, jadąc windą, uderzył on swoją dziewczynę – obecnie żonę – tak mocno, że straciła przytomność. Jednak sędzia z New Jersey oddalił oskarżenia o przemoc domową i nakazał mu udział w takich właśnie zajęciach**[87]**. Wskazuje to na głębokie niezrozumienie natury przemocy. (Pomimo publicznych zapewnień NFL nie zrobiła nic w kwestii przemocy domowej. Jesienią 2017 roku co najmniej pół tuzina nowych graczy miało na koncie zarzuty dotyczące przemocy domowej, ale i tak trafili do ligowych drużyn, a w chwili, kiedy piszę te słowa, NFL nie zdołała wdrożyć ani jednej reformy zaleconej przez komisję utworzoną w następstwie skandalu z Rayem Rice’em, o czym poinformowała mnie Deborah

Epstein, profesor prawa na Georgetown University, która w 2018 roku zrezygnowała z udziału w komisji na znak protestu po tym, jak władze ligi zignorowały problem[88]). Przeprowadzona w 2008 roku ocena stu dziewięćdziesięciu programów korekcyjno-edukacyjnych dla sprawców przemocy wykazała, że u większości uczestników nie stwierdzono znaczącego poziomu złości, a jedynie niewielki ich procent plasował się w podwyższonych rejestrach[89].

Grupa Adamsa i inne podobne podmioty zazwyczaj przekazują sądom informacje na temat tego, czy sprawca przestrzega prawa i czy jego chęć zmiany jest szczera. Składają kuratorom comiesięczne raporty o każdym sprawcy i pozostają w stałym kontakcie z ofiarami, informując je o postępach uczestników spotkań. Jest to, szczerze powiedziawszy, jeden z najbardziej użytecznych elementów każdej grupy interwencyjnej – odpowiedzialność wobec kuratora, sądu i ofiar. „Możemy być oczami i uszami sądu – powiedział mi Adams. – Ofiary próbują zdecydować: pozostać czy odejść; jeśli słyszą od nas, że sprawca nadal je obwinia, łatwiej im podjąć decyzję”.

Pewnego wieczoru uczestniczę w sesji Emerge. Spotkania odbywają się w sali konferencyjnej w piwnicy zwyczajnego budynku w miejscowości Cambridge, nieopodal Bostonu. Tutejsza zabudowa różni się od porośniętych bluszczem gmachów z czerwonej cegły, typowych dla Harvard University – to mniej wyszukana, przysadzista, przemysłowa wersja Cambridge dla klasy robotniczej.

Do sali wchodzi siedmiu mężczyzn; siadają na składanych krzesłach i wymieniają się nieco wymuszonymi żartami. Wywodzą się z różnych grup wiekowych, rasowych i ekonomicznych, choć brakuje wśród nich przedstawicieli mniej uprzywilejowanych społeczności z centrum miast, na jakich miałam się natknąć później w San Bruno. Jeden z mężczyzn ma na sobie garnitur i krawat, pachnie płynem po goleniu. Na dżinsach innego widać plamy zaschniętego gipsu. Pierwszy raz w życiu siedzę na spotkaniu grupy przestępców. Nie znam jeszcze projektu ManAlive ani Hamisha Sinclaira. Rozmawiam z ofiarami od lat, ale nie spędziłam nigdy czasu ze sprawcami. Ciągle jeszcze noszę w głowie obraz oprawcy jako wściekłego potwora, człowieka, po którym od razu widać niekontrolowany gniew. Kogoś,

w kim łatwo rozpoznać „złego faceta”. Może nawet wierzyłam wtedy, że instynkt ostrzeże mnie przed takim człowiekiem. I od razu uderza mnie to, a właściwie głęboko mnie niepokoi, jak niewiarygodnie normalni wszyscy ci mężczyźni się wydają. Ot, grupka kolesi, z którymi poszłabym na piwo. Naprawdę są czarujący. Zabawni, towarzyscy, nieśmiali, nerwowi. Niektórzy przystojni, inni nie, dobrze ubrani albo wręcz przeciwnie. Są everymanami. Jak powiedział mi Adams, jedną z cech przemocy domowej jest fałszywe założenie, że sprawcy są niejako ciągle wściekli; tymczasem ich gniew koncentruje się na konkretnym celu – partnerce albo najbliższej rodzinie partnerki. W rezultacie przyjaciele i znajomi sprawcy są często zaskoczeni, gdy słyszą, że kogoś pobił. „Najbardziej zaskakuje to, że [sprawcy przemocy] sprawiają wrażenie takich normalnych facetów – wskazał Adams. – Przeciętny przemocowiec jest całkiem sympatyczny”. Adams ma tu na myśli to, że oczekujemy rogów i ogonów, a zamiast tego otrzymujemy urok i uprzejmość. To właśnie tak sprawcy przyciągają ofiary. „Oczekujemy kogoś nieustannie wściekłego” – stwierdza Adams. Tymczasem zaledwie co czwarty agresor pasuje do tej definicji. Tym, co ich naprawdę cechuje, jest nieelastyczna osobowość. Jak wskazuje Adams: „Pierwsze, co mi przychodzi na myśl, to sztywny, zerojedynkowy sposób myślenia”.

Tego wieczoru Adams skupia się na uczuciach uczestników w stosunku do rodziców, a w szczególności do ojców. Ojciec jednego z mężczyzn prowadził elitarny program studiów wyższych. Inny opisuje ojca jako seksualnego drapieżnika, zmagającego się z uzależnieniami. Co najmniej pięciu z siedmiu obecnych było świadkami, jak ich ojcowie stosowali przemoc wobec kobiet. W przeciwieństwie do RSVP i wielu (może nawet większości) innych programów interwencyjnych w Emerge zawsze obecna jest jedna kobieta – współprowadząca. Powody tego są dwojakie: po pierwsze, zespół złożony z kobiety i mężczyzny, którzy działają na równych prawach, może posłużyć jako wzorzec dla członków grupy. Jednak Adams odkrył również, że w początkach programu biorący w nim udział mężczyźni rzadko przejawiali zachowania, które odzwierciedlały ich ogólny stosunek do kobiet, jak przerywanie im, podważanie ich pomysłów czy całkowite ignorowanie, ale w grupie natychmiast zwracali uwagę na

takie postawy. Adams prosi uczestników, by ocenili swoich ojców – mają do wyboru kategorie „dobry”, „zły” lub „pośredni”. Na siedmiu tylko jeden uznaje rodzica za „złego”. A przecież opowiadają o ojcach uzależnionych od alkoholu, bijących matki do krwi, o razach, pasach, jakie dostawali przez całe dzieciństwo. Siedzę tam i słucham, zdumiona, że nie widzą ani siebie, ani swoich matek jako ofiar własnych ojców. Uderzyło mnie wtedy szczególnie mocno, że mężczyźni i kobiety naprawdę widzą i odczytują świat w tak odmienny sposób. Rzecz jasna, doświadczyłam tego na własnej skórze z moim ówczesnym mężem – pamiętam, jak tłumaczyłam mu po wielokroć, że go słucham, kiedy twierdził, że było inaczej. Słuchałam go, ale się z nim nie zgadzałam. Ale tamtego wieczoru, gdy tam siedziałam – może dlatego, że byłam obserwatorką z zewnątrz, nie próbowałam przedstawić jakiegoś aspektu własnego życia – ta konkretna ilustracja abstrakcyjnej idei z jakiegoś powodu przejęła mnie dreszczem. Pomyślałam wtedy, jakie to zadziwiające, że małżeństwo może długo trwać.

Adams musi im kilkakrotnie przypomnieć, że można kochać ojca i jednocześnie być wobec niego krytycznym. Mężczyźni ciągle opowiadają o tym, jak ich matki prowokowały ojców.

Kiedy rozmawiam o tym później z Adamsem, nie jest bynajmniej zaskoczony, że uczestnicy usprawiedliwiają i kontekstualizują złe zachowanie ojców, demonizując jednocześnie matki.

– To jest część procesu – mówi. – Zinternalizowali egoistycznego, narcystycznego ojca… [Ale] nie można pouczać ludzi. Dostają informacje, a z czasem, miejmy nadzieję, zaczną się zmieniać.

Nazajutrz wybrałam się na lunch z jednym z uczestników grupy Adamsa. Pojechaliśmy jego ciężarówką do knajpy z burgerami w Cambridge; otworzył przede mną drzwi, pozwolił, żebym zamówiła pierwsza, upewnił się, że restauracja będzie odpowiadać moim potrzebom. Innymi słowy, był uprzejmy, wręcz czarujący. Miał na sobie czapkę z daszkiem, opuszczoną nisko nad usianą piegami twarzą. Wiedziałam, że ma pod trzydziestkę, ale wyglądał, jakby dopiero tydzień wcześniej zaczął się golić. Otrzymał sądowy nakaz ukończenia programu Adamsa i przyznał mi się do tego, że poprzedniego wieczoru okłamał grupę na temat spożywania alkoholu, co było naruszeniem warunków kary w zawieszeniu. Umniejszał przemoc, której do-

puścił się wobec byłej partnerki, powiedział, że owszem, dusił ją, aż prawie straciła przytomność, ale zrobił to tylko raz, po tym jak ona rzuciła się na niego i go podrapała. Uważał, że oboje byli odpowiedzialni za przemoc wobec siebie nawzajem, ale tylko on musiał za to zapłacić. Nie rozumiał, że w przeciwieństwie do duszenia zadrapania nie mogły skończyć się śmiercią, i postrzegał swoje zachowanie jako zwykłą wymianę „coś za coś". Jak miało się później okazać, ten facet nie dokończył programu; wyprowadził się na zachód i przypuszczalnie zabrał ze sobą wszystkie swoje złe zachowania. Chociaż może się mylę. Może zostało mu coś z tych kilku tygodni zajęć, które zaliczył. Zanim skończyliśmy jeść, wyznał, że kiedy pokonał początkową wrogość wobec grupy, program wywarł na niego wpływ. „Na takich zajęciach nie możesz sam siebie okłamywać co do podjętych decyzji – stwierdził. – Dotarłem w życiu do punktu, w którym nie mogę już sobie wmawiać, że nie jestem taki zły".

Kiedy Adams rozpoczął badania nad tym, jak zmienić zachowanie agresywnych mężczyzn, zanim jeszcze powiązał to zjawisko z narcyzmem, niemal wszystkie badania z lat sześćdziesiątych i siedemdziesiątych opisywały przemoc domową jako produkt kobiety manipulantki, która prowokuje męża. Przekonanie, że przemoc to wynik prowokacji ze strony ofiary, pokutuje po dziś dzień. Na początku lat osiemdziesiątych Ellen Pence, aktywistka organizacji antyprzemocowej z Minnesoty, stworzyła koncept Koła Władzy i Kontroli[90]. Koło obejmuje osiem sposobów, które przemocowiec wykorzystuje do utrzymania władzy i kontroli: zastraszanie, przemoc emocjonalna, izolacja, wyparcie i obwinianie, wykorzystywanie dzieci, szykany, kontrola finansowa oraz brutalna siła i groźby słowne. Aktywistki antyprzemocowe podkreślają, że sprawca nie funkcjonuje na co dzień ze świadomością, że dąży do władzy i kontroli. Zamiast tego mówi rzeczy w rodzaju: „Ja tylko chcę, żeby ona była miła [posłuszna i służalcza] i podawała obiad o szóstej". Albo: „Ja tylko chcę, żeby posprzątała dom i położyła dzieci spać". Albo: „Ja ją tylko lekko popchnąłem. Ona przesadza z tą reakcją". Albo: „Nie potłukłbym tego talerza, gdyby ona nie wrzeszczała". Wszystko to wariacje na ten sam temat. (Później usłyszałam, jak Jimmy Espinoza mówi uczestni-

kom zajęć, żeby uważali na słowa „tylko”, „jeśli” i „ale”, i uznałam, że to dość dobre podsumowanie).

Podobnie jak Sinclair, Adams uważa, że ludzie są agresywni z wyboru. W poświęconym prewencji i interwencji antyprzemocowej artykule z 2002 roku, który napisał wspólnie z Susan Cayouette, współdyrektorką Emerge, stwierdza: „Wielu przemocowców wykazuje się uprzejmością w części – jeśli nie wręcz większości – pozarodzinnych relacji, co wskazuje na to, że potrafią praktykować postawę opartą na szacunku wobec innych, gdy tak postanowią”.

Dla Adamsa ów skrajny narcyzm leży u podstaw zrozumienia przemocowców, i choć w powszechnym wyobrażeniu narcyz to ostentacyjny odmieniec, który nie umie przestać mówić o sobie, w rzeczywistości często są to osoby wysoko funkcjonujące, charyzmatyczne i odnoszące sukcesy zawodowe. Narcyzi „ukrywają się wśród nas – mówi Adams – i tworzą skupisko na szczycie”. Takich ludzi nie jest łatwo rozpoznać, po części dlatego, że mają wyjątkowo rozwinięte umiejętności interpersonalne, a my „żyjemy w świecie, który staje się coraz bardziej narcystyczny. Najbardziej liczy się sukces”. Adams zwraca uwagę na typ „charyzmatycznego narcyza, otoczonego uwielbieniem przez innych”. To rodzaj przemocowca z elit, który dzięki pieniądzom i koneksjom unika konsekwencji prawnych. To człowiek, dla którego status i reputacja są wszystkim. Zarówno Adams, jak i inni naukowcy, z którymi rozmawiałam, często mówią o naszych zbiorowych wyobrażeniach przestępców, zwłaszcza morderców; zakładamy, że to ludzie, którzy są nieustannie wściekli, podczas gdy tak naprawdę nie sposób ich odróżnić od ogółu społeczeństwa.

Jak wyjaśnia mi Adams, przeciętny przemocowiec „wydaje się sympatyczniejszy niż jego ofiara, ponieważ przemoc domowa dotyka ofiar o wiele bardziej niż sprawców. Przemocowcy, inaczej niż ofiary, nie mają problemów ze snem. Nie tracą pracy, nie tracą dzieci”. Często uważają się za swego rodzaju wybawców. „Mają poczucie, że ratują kobietę w potrzebie. To kolejny aspekt narcyzmu… Ponadto chcą być za to nieustannie doceniani”. Tymczasem „wiele ofiar sprawia wrażenie osób z poważnymi problemami. Bo właśnie o to tutaj chodzi: »Tak to załatwię, żeby nikt cię nie zechciał«”.

Życie ofiar jest pełne problemów. Często są to osoby zmagające się z uzależnieniami lub żyjące w skrajnym ubóstwie. Wiele z nich cierpi z powodu traumy będącej konsekwencją przemocy doświadczonej w dzieciństwie. Takie przypadki są najtrudniejsze, między innymi dlatego, że ofiary bywają niewiarygodnymi świadkami. „Dlatego właśnie przemocowcom tak często udaje się oszukać system – powiedziała mi aktywistka organizacji zajmującej się przemocą domową. – Oni potrafią być przeuroczy, a ofiara sprawia bardzo negatywne wrażenie”. Nawet w sądzie – jak powiedział mi kilka lat temu detektyw Robert Wile – „większość [ofiar], które trzeba wezwać do złożenia zeznań podczas rozprawy, to osoby, które mają liczne problemy ze zdrowiem psychicznym, a my musimy przedstawić je w jak najlepszym świetle, żeby można było wsadzić typa, który je pobił. A kto nie musi odzywać się ani jednym słowem? On. On po prostu tam siedzi”.

Komentarz Wile’a przypomniał mi o kobiecie, którą spotkałam tylko raz, kiedy po latach maltretowania udało jej się odzyskać własne życie. Jedna z kwestii, które trudno tak naprawdę wyjaśnić, dotyczy tego, jak przemoc powoduje powolną erozję w osobie, która jej doświadcza, jak często jej ofiary mówią, że przemoc emocjonalna jest o wiele gorsza niż fizyczna. W swojej książce Gondolf ukazuje przemoc domową jako proces, a nie pojedyncze zdarzenie, a mimo to cały nasz system sądownictwa karnego skupia się na zdarzeniach, a nie procesach. Tamta kobieta miała doświadczenie w pracy socjalnej, a ja godzinami słuchałam jej wyjaśnień, w jaki sposób to, że były mąż się nad nią znęcał, sprawiło, że stopniowo znikała, kawałek po kawałku. Za pierwszym razem było to tak nagłe i tak dziwne, że założyła, iż to tylko jednorazowy incydent. Szli wzdłuż ruchliwej ulicy na Manhattanie, kłócili się, a on nagle pochylił się i ugryzł ją w policzek tak mocno, że połowa jej twarzy pokryła się siniakiem, a ślady zębów były widoczne przez wiele dni. Kiedy zobaczył, co zrobił, zabrał ją do drogerii, żeby kupić podkład i jakoś to zakryć. Podobnie jak wielu innych zapewniał o tym, jak bardzo jest skruszony. Przerażony tym, co zrobił. Płakał. Przepraszał. Składał obietnice. „Wtedy jeszcze protestowałam – powiedziała mi – a potem zupełnie się załamałam i chodziło już tylko o przetrwanie”. A on nadal ją maltreto-

wał, przemoc eskalowała z roku na rok. Rzucał jej piłeczkami golfowymi w twarz, gdy jechała autostradą, albo zarzucał jej koc na głowę i ją dusił. Kiedy sprawy zaszły tak daleko, że obawiała się o własne życie, potrafił sam pójść do sklepu, kupić jej kosmetyki do zatuszowania efektów swojej własnej agresji i wręczyć je jej bez słowa przeprosin. Wówczas, jak sama mówi, była tak zgnębiona, że miała wrażenie, jakby już nic z niej nie pozostało, łupina ze skóry i kości, bez ducha, pozbawiona sprawczości, nic, tylko powolne, bolesne pełzanie ku utracie świadomości. Jednocześnie zaś czuła, że gdyby tylko wiedziała, jak sprawić, żeby zobaczył siebie jej oczami, toby się zmienił, stał człowiekiem, za jakiego go uważała. To powszechny motyw. Jako kobiety nieustannie otrzymujemy przesłanie, że odpowiadamy za życie emocjonalne i zdrowie rodziny, że odpowiedzialność za to, by mężczyzna się zmienił, spoczywa w istocie na nas. „Tylko tak mogę opisać to, co mi się przytrafiło: jedna część mnie tak jakby umarła, a potem drugą rozpaliło przekonanie, że moja miłość nas uzdrowi – powiedziała. – Ale musiałam przestać kochać siebie i przelać całe to uczucie wyłącznie na niego”. Innymi słowy, jego narcyzm nie pozwalał nawet na to, by zadbała o samą siebie.

Wstydziła się tego, co stało się z jej życiem i małżeństwem, do tego stopnia, że bardzo długo nikomu się do tego nie przyznawała. Wmawiała sobie, że przecież ma perspektywy na karierę zawodową i dyplom ukończenia studiów; powinna „wiedzieć lepiej”, tak została wychowana przez feministkę. Nie była niezamożna. Nie była niewykształcona. Miała liberalne poglądy, pochodziła z klasy średniej, była biała. Miała długie blond włosy i śnieżnobiały hollywoodzki uśmiech. A jednak oto ona, u boku mężczyzny, który w jakiś sposób wyrugował z niej człowieczeństwo. Przemoc musiała być po części jej winą, myślała. Cierpiał na zespół stresu pourazowego. Musiała okazać mu więcej cierpliwości. Walczył za swój kraj na wojnach z dala od jego granic. Była mu to winna, mówiła sobie. Przecież wszyscy inni się od niego odwrócili. Przecież tak naprawdę nie miał nikogo poza nią. Przecież to mu przysięgała. Miłość, szacunek, w zdrowiu i w chorobie, na dobre i na złe. To był jej obowiązek – zostać, pomóc mu przejrzeć na oczy i uleczyć własny ból. Nie umiała sobie wyobrazić, przez co on musiał przejść. Gdzie była jej empatia? Jej

cierpliwość? Myślała, że kiedyś mu się polepszy, przemoc się skończy i wszystko będzie dobrze.

A potem pewnego dnia obudziła się i uciekła. Jej przypadek był tak ekstremalny, że zakwalifikowała się do programu ochrony świadków – jej adres utrzymywano w tajemnicy, przesyłki dostarczał prywatny kurier, a przy drzwiach i oknach zainstalowano kamery. Powrót do siebie zajął jej lata. On tymczasem dostał bransoletkę z GPS-em na kostkę u nogi, dożywotni zakaz zbliżania do niej i wstępu na teren hrabstwa, gdzie mieszkała i pracowała, nie wspominając już o mieście. Odsiedział wyrok w więzieniu. I w końcu, kilka lat po odejściu od niego, zrobiła coś, co niegdyś kochała, a o czym już prawie zapomniała: poszła pobiegać. Na zewnątrz. Na świeżym powietrzu. I wtedy właśnie poczuła, że jest naprawdę wolna.

Przejmująca obecność niewytłumaczalnego

Pewnej nocy Patrick O’Hanlon i jego żona Dawn nie spali aż do świtu. Ich córka April położyła się spać kilka godzin wcześniej. O’Hanlon od miesięcy cierpiał na przewlekłą bezsenność, do tego stopnia, że czasami kładł się w sypialni April, a ona spała z matką. Było to dla niego upokarzające, ale wszystko go budziło: chrapanie Dawn, ich ciasne mieszkanie, stres związany z pracą. Musiał do niej daleko dojeżdżać i często bywał tak zmęczony, że zasypiał w pociągu. Pewnego razu Dawn znalazła go śpiącego w szafie.

Zmienił posadę jakiś rok wcześniej i mocno to przeżył. Zaledwie garstka ludzi wiedziała, że przechodzi trudny okres – Dawn, April, jego matka, szef. Ale nikt nie zdawał sobie sprawy, jak źle się sprawy miały. Cierpiał na głęboką depresję – „poważne zaburzenie depresyjne”, jak to później określono – i zaczął słyszeć głosy, które mówiły mu, że „nie ma wyjścia” i powinien „skończyć z tym wszystkim”[91]. Unikał miejsc, gdzie mógłby mieć styczność z obcymi – na przykład wind. Wielokrotnie przyglądał się balustradzie w budynku, w którym tymczasowo mieszkała jego rodzina, i próbował ocenić, czy wytrzyma ciężar, jeśli się powiesi. Wyobrażał sobie, jak skacze z wysoko położonych miejsc, uderza w ścianę, wjeżdża prosto pod pędzące samochody. Gromadził lekarstwa. Dawn od tygodni dzwoniła do teściowej i mówiła, że boi się o męża; Alice O’Hanlon zaczęła coraz częściej dzwonić do syna, obawiając się, że może zrobić sobie krzywdę.

Wszyscy martwili się, że popełni samobójstwo. Nikt nie wiedział, jak bardzo wówczas cierpiał, aż do tamtej nocy, gdy wszedł do pokoju córki i – zanim ją udusił – powiedział jej, że „wysyła ją do Jezusa”. Nie broniła się. Stamtąd poszedł do własnej sypialni i uderzył Dawn w głowę, po czym ją też udusił. Potem wsiadł do samochodu i jeździł przez kilka godzin, aż w końcu zatrzymał się przed sklepem całodobowym. Zatrzymał się, żeby kupić sznur. Zatrzymał się, żeby zadzwonić do pastora i powiedzieć mu, co zrobił.

W literaturze przedmiotu określenie „zabójstwo rodzinne”, lub inaczej „rodzinobójstwo”, stosuje się w sytuacji, gdy doszło do zabójstwa partnera życiowego i co najmniej jednego dziecka. (Część naukowców kwalifikuje tak zabicie całej rodziny). Jest to niewątpliwie rzadkie przestępstwo, a jeszcze rzadziej pojawia się w badaniach socjologicznych. Znalazłam zaledwie garstkę naukowców, którzy poruszyli tę kwestię w publikowanych pracach. Jeden z autorów stwierdził, że zabójstwo rodzinne to co najwyżej „przypis” w badaniach nad przemocą.

Pierwszy znany opis takiego przypadku w Stanach Zjednoczonych pochodzi z połowy XVIII wieku. W ciągu kolejnych dwóch stuleci do zabójstw rodzinnych dochodziło średnio trzy razy na dekadę. A potem, w latach dziewięćdziesiątych XX wieku, odnotowano trzydzieści sześć przypadków. Między rokiem 2000 a 2007 – sześćdziesiąt. A od 2008 do 2013 roku w badaniach Family Violence Institute zarejestrowano sto sześćdziesiąt trzy przypadki zabójstw rodzinnych, które pochłonęły łącznie czterysta trzydzieści pięć ofiar. Dane nie uwzględniają sytuacji, gdy dzieci zabijały rodziców (ojcobójstwo/matkobójstwo) lub rodzic zabijał wyłącznie dzieci (dzieciobójstwo). Jak mówi Neil Websdale, dyrektor Family Violence Institute i autor książki *Familicidal Hearts* [Co czują zabójcy rodzin], od czasu kryzysu gospodarczego z 2008 roku do zabójstwa rodzinnego dochodzi średnio trzy razy w miesiącu. Innymi słowy, o ile statystyki dotyczące niemal wszystkich pozostałych typów zabójstw w Stanach Zjednoczonych od kilkudziesięciu lat stale spadają, o tyle do zabójstw rodzinnych dochodzi coraz częściej.

W programach interwencyjnych dla sprawców przemocy najczęściej uczestniczą mężczyźni z klasy robotniczej, biali i z mniejszości etnicznych, a populacja więzienna składa się w przeważającej mierze z niezamożnych białych i członków mniejszości. Tymczasem w rodzinnych zabójstwach przodują biali mężczyźni z klasy średniej i wyższej średniej. Dysproporcje rasowe oczywiście najbardziej uwidaczniają się w więzieniach w całym kraju – przedstawiciele mniejszości trafiają do nich znacznie częściej za te same przestępstwa, które białym mężczyznom cały czas uchodzą na sucho dzięki pienią-

dzom, powiązaniom lub wykształceniu. Weźmy na przykład Roba Portera, Erica Schneidermana czy Donalda Trumpa – oto jak działają uprzywilejowani biali mężczyźni z zapleczem finansowym. Jednak w zabójstwach rodzinnych jest odwrotnie: przytłaczająca większość mężczyzn, którzy zabijają całe swoje rodziny, to biali reprezentanci klasy średniej lub wyższej średniej, często wykształceni, zamożni – przynajmniej do chwili poprzedzającej morderstwo. O niektórych sprawcach, takich jak Scott Peterson, oczekujący na wykonanie wyroku śmierci za zamordowanie żony i nienarodzonego dziecka, czy Chris Watts, skazany na dożywocie w listopadzie 2018 roku za zabicie żony, dwóch córek i nienarodzonego syna, ogólnokrajowe gazety rozpisują się przez wiele miesięcy[92]. Zabójstwo rodzinne to jedyna odmiana zabójstwa w wyniku przemocy domowej, którą trudno dopasować do któregokolwiek z pozostałych wzorców. Być może z tego względu, że zbrodnia tak mroczna nie mieści się nam w głowach, a sprawcy niemal zawsze popełniają samobójstwo, zjawisko to rzadko staje się przedmiotem badań naukowych. Możliwe, że Websdale, który jest również dyrektorem Krajowej Inicjatywy do spraw Analizy Zgonu w Wyniku Przemocy Domowej (National Domestic Violence Fatality Review Initiative – NDVFRI), to jedyny naukowiec w Stanach Zjednoczonych, który zajmuje się tym zagadnieniem.

Być może to oczywiste, ale o tego typu historiach mówi się najtrudniej. Rzadko pojawiają się w relacjach medialnych, lecz to nie powinno dziwić, zważywszy na ich mroczny charakter, jak i emocjonalną odporność, jakiej wymagają. Po części jednak stanowią wyzwanie z czysto praktycznych względów: większość sprawców zabija się sama. A ci, którzy przeżywają, zazwyczaj nie chcą rozmawiać z dziennikarzami.

Jak się okazało, Patrick O’Hanlon należał do nielicznych wyjątków: oto sprawca, który przeżył i był gotów ze mną rozmawiać. Sądzę, że początkowo nasze rozmowy były dla niego sposobem na uzyskanie rozgrzeszenia, na usprawiedliwienie się przed innymi. Idealnie pasował do definicji narcyzmu Davida Adamsa, kilkakrotnie stwierdził nawet, że jego zdaniem świat czeka na jego słowa. W pewnym momencie musiał jednak zdać sobie sprawę, że ja go nie rozgrzeszę. Po kilku miesiącach wywiadów postanowił, że nie chce już w nich

więcej uczestniczyć. Przez jakiś czas prowadziliśmy na ten temat pertraktacje. Dla mnie jako dziennikarki z etycznego i praktycznego punktu widzenia sprawa była jasna: nie można zastrzec treści już raz autoryzowanych. Na wywiadach z nim spędziłam jakieś czternaście godzin, zapisałam kilka notesów. Miałam prawo opublikować jego historię. Jednocześnie mieszkam i pracuję w kraju, którego przywódca uznaje media za „wroga ludu”. Jako dziennikarze za wykonywanie obowiązków zawodowych jesteśmy wyzywani, otrzymujemy pogróżki i pozwy sądowe (a zdarzały się nawet przypadki zabójstw), zatem takich decyzji nie podejmujemy lekkomyślnie. Poza tym nikt nie chce narazić się człowiekowi, który wymordował całą swoją rodzinę.

Ostatecznie doszłam do wniosku, że jego historia, nawet jeśli mocno okrojona, to dla mnie jedyny sposób, by zbadać, dlaczego zabójstwa tego typu stają się coraz częstsze. Nazwisko sprawcy i imiona członków jego rodziny zostały zmienione, nie ujawniam też żadnych innych danych, które mogłyby pozwolić na jego identyfikację. Spora część informacji, które tu zawarłam, pochodzi z protokołów sądowych, akt policyjnych lub innych publicznie dostępnych dokumentów.

Patrick O’Hanlon to wyprostowany, spięty mężczyzna o szpakowatych włosach; ma na sobie dżinsy, koszulę z krótkimi rękawami i ciężkie buty – więzienny uniform. Jego okulary zostały sklejone taśmą. Jest gładko ogolony i schludny. Mówi cicho. Nasze rozmowy odbywają się w więziennej sali bez okien, na ścianach dokoła wiszą inspirujące plakaty ze zdjęciami szybujących orłów, purpurowych zachodów słońca i wodospadów, z przesłaniem, by „wierzyć” w możliwość zmiany, by nigdy nie tracić nadziei. Sztuka z supermarketu. O’Hanlon nie ma na sobie kajdanek, ale towarzyszy mu strażnik, który pozostaje z nami przez cały czas, a także rzecznik więzienia i kamerzysta, który nagrywa każdą rozmowę. Moje spotkania z O’Hanlonem trwały po pięć lub sześć godzin, w miejscu, gdzie odsiaduje dwa wyroki – za zabójstwo Dawn i April. O’Hanlon opisuje niewielki obszar, coś w rodzaju więziennego patio, gdzie czasami czuje zapach przyrody i od czasu do czasu widzi czubki drzew. „Wię-

zienie nie jest takie złe” – mówi. Ja zastanawiam się, w porównaniu do czego.

Ojciec O’Hanlona prowadził małą firmę, która zbankrutowała, więc to matka utrzymywała rodzinę. „Musiał brać pieniądze od mamy – mówi O’Hanlon. – To było upokarzające”. W rezultacie ojciec O’Hanlona pił za dużo i za dużo krzyczał, a czasami terroryzował rodzinę swoimi wybuchami. Pewnego razu wyciągnął nóż i groził, że go użyje na każdym, kto zrobi krok w jego kierunku. O’Hanlon pamięta, jak stawiał się tacie, aż w końcu podszedł sąsiad i zabrał ojca. (Matka O’Hanlona twierdzi, że nie pamięta incydentu z nożem, mówi tylko, że jej mąż krzyczał i czasami czymś rzucał). Mimo to O’Hanlon mówi: „Nie powiedziałbym, że ojciec był agresywny, raczej kochający”.

Jak wiele dzieci dorastających w domach, w których panuje przemoc – słowna lub fizyczna – O’Hanlon nie opisuje ojca jako człowieka brutalnego. Tym samym wpasowuje się we wzorzec mężczyzn, których spotkałam w grupie Davida Adamsa tego wieczoru, gdy rozmawiali o swoich rodzicielach. Mój rozmówca bagatelizował przemoc ojca i częściej mówił o zachowaniu matki. „Moja matka nie była aniołem – powiedział mi. – Gdyby go mniej prowokowała, bardziej szanowała jego pozycję jako męża…”

Zapytałam raz O’Hanlona, jak jego zdaniem wygląda przemoc. Opisał krzyki i wrzaski, ktoś rzuca meblami, wszyscy sąsiedzi słyszą awantury. Przytoczył incydent z nożem na dowód, że ojciec nie był agresywny. „Inny [bardziej] brutalny człowiek użyłby tego noża” – powiedział. Najwyraźniej nie zdawał sobie sprawy, że z zewnątrz jego dom rodzinny wyglądał dokładnie tak jak jego własny opis przemocy.

Family Violence Institute mieści się w jednopiętrowym budynku, dzielonym z korpusem szkolenia oficerów rezerwy i magazynem używanych mebli biurowych, na głównym kampusie Northern Arizona University w miejscowości Flagstaff. Drzwi pozostają zamknięte na klucz, a nad wejściem zamontowano kamery, ponieważ Websdale’owi w przeszłości grożono śmiercią – posuwali się do tego

głównie sprawcy przemocy domowej w sprawach, które konsultował jako kryminolog.

Wiele lat temu, w ramach przygotowań do zajęć, które wówczas prowadził, przeglądał archiwa pod kątem przypadków zabójstw rodzinnych w Ameryce. Natknął się wtedy na sprawę niejakiego Williama Beadle'a. Beadle był szanowanym biznesmenem, któremu w 1782 roku groziło bankructwo; następnie zabił swoją żonę i czwórkę dzieci siekierą. Websdale zainteresował się tą historią, zaczął więc przeszukiwać archiwa i znajdował coraz więcej podobnych przypadków. Jak wspomina: „Wyglądało na to, że coś łączy te wszystkie sprawy, od lat osiemdziesiątych XVIII wieku po dziś dzień". Przypadki, gdy szanowany mężczyzna popada w głębokie tarapaty finansowe i jedyne wyjście, jakie przychodzi mu do głowy, to zabić całą swoją rodzinę, a na końcu siebie samego. Beadle tak pisał o upokorzeniu bankructwa: „Jeśli człek, co niegdyś żył dobrze, chciał dobrze i dobrze postępował, nieuchronnym zrządzeniem losu popada w ubóstwo, a potem stawia czoło drwinom […], staje się niczym podłość wcielona".

Websdale zaczął gromadzić sięgające kilkuset lat wstecz dane na temat zabójstw rodzinnych w całym kraju, a w 2010 roku opublikował na ich podstawie książkę *Familicidal Hearts*, w której identyfikuje dwa podstawowe typy zabójców rodzinnych: typ „wściekły i represyjny", czyli osoby z długą historią przemocy domowej, oraz „opanowany i szanowany". Sprawcy drugiego typu cieszą się w swoich społecznościach dobrą reputacją – podobnie jak William Beadle – i nic nie wiadomo, jakoby dopuszczali się przemocy; tacy sprawcy zabijają z wypaczonego poczucia altruizmu. Oba te zjawiska nakładają się na siebie, ale właśnie to drugie pozostaje zagadką dla badaczy. (Jacquelyn Campbell nie do końca zgadza się z powyższą klasyfikacją, argumentując, że w przypadku zabójstw rodzinnych przemoc domowa zawsze czai się w tle, nawet jeśli brakuje jej jednoznacznych dowodów. Campbell i Websdale przyjaźnie rywalizują ze sobą i choć często się nie zgadzają, to zawsze robią to niezwykle grzecznie). Typ opanowany i szanowany to kategoria, która najbardziej odczuwa skutki recesji gospodarczej. Nie ma wątpliwości, że właśnie tak należy zakwalifikować Patricka O'Hanlona – typ szanowanego,

opanowanego obywatela, któremu pewnego dnia po prostu „puściły nerwy”.

„W teorii »puszczania nerwów« nie bierzemy pod uwagę kumulacji emocjonalnej represji” – stwierdza Websdale. Opanowani i szanowani zabójcy pochodzą zazwyczaj z klasy średniej lub wyższej. Bardzo często są biali. (Mężczyźni stanowią dziewięćdziesiąt pięć procent wszystkich sprawców zabójstw rodzinnych w Stanach Zjednoczonych; Websdale odnotował w swoich badaniach z lat 2008–2013 stu pięćdziesięciu czterech mężczyzn oraz tylko siedem kobiet). W ich rodzinach panuje zwykle tradycyjny podział płci, co oznacza, że mężczyzna zarabia na życie, a kobieta zajmuje się rodziną i domem. (Nie oznacza to, że kobiety nie pracują, ale raczej, że to one odpowiadają za emocjonalne potrzeby domu). Rocky Mosure stanowi przykład takiego modelu. Często bywają religijni w porównaniu z ogółem społeczeństwa, cechuje ich pewne fundamentalistyczne zacięcie, a także sztywno ograniczony wachlarz emocji – wszystko to idealnie pasuje do Patricka O’Hanlona. Często są skrajnie odizolowani od społeczności. Sytuacja materialna – utrata pracy, rangi lub statusu, groźba bankructwa – może okazać się katalizatorem zabójstwa.

Altruizm objawia się u nich w postaci przekonania, że ratują rodzinę przed losem gorszym niż morderstwo. Na przykład znana sprawa z Florydy z 2010 roku dotyczyła bezrobotnego maklera Neala Jacobsona, który zabił swoją żonę i synków bliźniaków w ich siódme urodziny; mieszkali na ogrodzonym osiedlu w Wellington na Florydzie, w domu, który mieli wkrótce stracić z powodu bankructwa. Do innego słynnego przypadku doszło w Walii, gdzie Robert Mochrie zabił swoją żonę i czwórkę dzieci – on także stał w obliczu bankructwa. Wygląda na to, że w obu tych przypadkach – i wielu innych – żony nie miały pojęcia o finansowej ruinie rodziny. Websdale zwraca uwagę, że takie sekrety to kolejna cecha charakterystyczna tych zabójców. „Zadziwia to, ile tajemnic mają w swoim życiu ci mężczyźni”.

David Adams także nie do końca zgadza się z kategoriami proponowanymi przez Websdale’a, po części dlatego, że uważa, iż przedstawiają one przestępcę jako „ofiarę”. Jego zdaniem kategorie te są

mniej istotne niż jego teoria narcyzmu. Jak komentuje: „Jeśli masz takie wyolbrzymione poczucie własnej wartości i twoje narcystyczne ego doznaje urazu, to wybuchasz”. Adams mówi tu nie tylko o osobach z kolosalnym poczuciem pewności siebie, ale o naukowo sklasyfikowanym zaburzeniu osobowości. Tacy narcyzi „żyją własnym wizerunkiem i dla niego umierają”. Kiedy ów wizerunek jest zagrożony, na przykład wtedy, gdy ich kłamstwa wychodzą na jaw lub ktoś odkrywa jakąś ich tajemnicę, wybuchają i „narzucają” własne rozwiązanie partnerkom i dzieciom. W skrajnych przypadkach rozwiązaniem tym jest zabójstwo.

Sytuacja materialna wielu osób z kategorii „opanowanych i szanowanych” sugeruje związek pomiędzy tym, co sprawcy postrzegają jako katastrofę finansową, a morderstwem ich rodzin. Na sto sześćdziesiąt jeden przypadków, które zespół Websdale’a odnotował w latach 2008–2013, osiemdziesiąt jeden miało miejsce w latach 2009–2010. Jack Levin, kryminolog z Northeastern University, przyjrzał się zabójstwom rodzinnym z pierwszych czterech miesięcy 2008 roku – siedem przypadków – i ustalił, że w zestawieniu z pierwszymi czterema miesiącami 2009 roku ich liczba niemal się podwoiła – do dwunastu. (Wprawdzie są to stosunkowo niewielkie liczby, ale mowa o czynach ekstremalnych). Wówczas stopa bezrobocia wzrosła niemalże dwukrotnie w wyniku recesji. „Uważam, że istnieje wyraźny związek między bezrobociem i indeksem Dow Jones a wskaźnikiem zabójstw rodzinnych, szczególnie w przypadku sprawców opanowanych i szanowanych – stwierdza Websdale. – Powiedziałbym, że zachodzi tu zależność odwrotna o opóźnionym działaniu”.

James Gilligan, autor książki *Violence. Reflections on a National Epidemic* [Przemoc. Rozważania o narodowej epidemii] i ewaluator w programie RSVP w momencie jego powstania, w swoich badaniach dostrzega dowody na to, że liczba zarówno zabójstw, jak i samobójstw rośnie wraz z kryzysem ekonomicznym. „Istnieje wyraźna granica – wskazuje Gilligan. – Jeśli mężczyzna traci pracę, może czuć się wykastrowany i pozbawiony męskości, a wówczas pojawiają się u niego tendencje do samobójstwa lub zabójstwa albo jednego i drugiego […]. To jest mentalność apokaliptyczna”. Richard Gelles, dyrektor Centrum Badań nad Młodzieżą i Polityką Społeczną na Pen-

nsylvania University, także wskazuje na ekonomiczne czynniki stresogenne, ale ostrzega jednocześnie, że w obecnych warunkach społecznych i politycznych sytuacja prawdopodobnie ulegnie dalszemu pogorszeniu. „Możesz grać według zasad, a mimo to i tak stracić emeryturę, pracę, dom, a do spłacenia zostaje ci jeszcze pięćdziesiąt tysięcy dolarów kredytu studenckiego, bo kiedy ogłaszasz upadłość, musisz nadal spłacać te pożyczki – mówi. – Mamy tu do czynienia z kiwaniem jednego sektora populacji”. Jego zdaniem rozpad amerykańskiej klasy średniej to sygnał ostrzegawczy.

Są też tacy, którzy uważają, że aspekt ekonomiczny jest nieco bardziej dyskusyjny. Marieke Liem, naukowczyni na Harvard University, która bada przemoc w rodzinie, ustaliła wyraźną korelację między stopą bezrobocia a zabójstwami rodzinnymi w latach 1976–2007, jednak kolejna analiza, obejmująca lata 2000–2009, wykazała, że między tymi dwiema kwestiami istnieje jedynie „słaby związek”. Jacquelyn Campbell uważa, że gospodarka i bezrobocie to „czynniki stresogenne” w odniesieniu do wszystkich form przemocy domowej, ale nie stanowią one odrębnych przyczyn.

Po ukończeniu liceum O’Hanlon złożył podanie o przyjęcie na prestiżową uczelnię. Uważał, że nikt w niego nie wierzył. Rodzeństwo nie traktowało jego aspiracji poważnie i czasami go wyśmiewało. „Wierzyłem w Boga. Powiedziałem: jeśli jesteś prawdziwy, pomóż mi”. A Bóg, jak mówi, odpowiedział na jego modlitwę. Został przyjęty i rozpoczął życie otoczony szacunkiem, jaki dzięki temu zyskał.

Patrick O’Hanlon poznał swoją żonę Dawn tuż po ukończeniu studiów. Mówi, że zrobiła na nim wrażenie. Była ambitna, pracowała na pełen etat, studiowała wieczorowo i była kompletnie spłukana. O’Hanlon powiedział, że to była miłość od pierwszego wejrzenia; martwił się, że Dawn nie stać na opłacenie czynszu, i czuł, że ma obowiązek jej pomóc. Zadał więc sobie pytanie: „Co zrobiłby Jezus?”. W odpowiedzi usłyszał, że by ją uratował. Szybko się pobrali. O’Hanlon mówi, że Dawn zawsze była zdeterminowana; w końcu zrobiła dyplom i znalazła nową pracę. Po kilku latach urodziła im się córka April.

O'Hanlon pamięta, że przed ich ślubem Dawn często była zbyt zajęta i nie miała czasu się z nim spotkać. Kiedyś wykładowca zadał jej referat na zajęcia, a O'Hanlon napisał tę pracę za nią. Chciał się z nią zobaczyć, jak wyjaśnił, a ta praca „stała na przeszkodzie". A to oszustwo? – zapytałam go. Często próbował mnie przekonywać, że jest człowiekiem honoru. „Jeśli chodzi o mnie – odparł, kwitując moje pytanie machnięciem ręki – to przecież nie ja oddałem ten referat".

A potem przyszedł 11 września 2001 roku i samolot spadł na Pentagon. Mówi, że nic nie pamięta od momentu, kiedy się o tym dowiedział, do chwili, kiedy zadzwonił do Dawn później tego samego ranka. Przeszedł ponad trzy kilometry, ale nie pamięta tego spaceru. To wówczas – jak mówi – „Patrick O'Hanlon zaczął tracić rozum".

Neil Websdale wskazuje na wiele możliwych przyczyn wzrostu liczby rodzinobójstw. Mówi, że męskość stanowi duże obciążenie dla mężczyzn, którzy nie potrafią zaakceptować feminizmu. Teoria przemocy domowej wskazuje na potrzebę władzy i kontroli sprawcy i pyta, dlaczego ofiara po prostu nie odejdzie. Ale Websdale twierdzi, że sprawcy są w pewnym sensie tak samo bezbronni przez własną niezdolność do życia bez ofiary. „Ja nie pytam: »Dlaczego ona nie odejdzie?« – wyjaśnia – tylko: »Dlaczego on zostaje?«. Ci mężczyźni są często skrajnie zależni od partnerek. Widzą w nich łączniczki ze światem uczuć, który przeważnie jest im obcy. Często żywią niejasny wstyd z powodu własnej męskości, którego nie rozumieją". Websdale nazywa to wielkim paradoksem przemocy domowej – sprawca może kontrolować partnera czy partnerkę, a jednocześnie nie wiedzieć, jak kontrolować to uzależnienie.

Gilligan zgadza się z oceną Websdale'a co do zmiany ról płciowych. „Za każdym razem, gdy zachodzi jakakolwiek poważna społeczna transformacja – jak było w przypadku ruchu praw obywatelskich, który zakończył segregację rasową w USA – wywołuje to gwałtowny sprzeciw, z czym moim zdaniem mamy do czynienia także w reakcji na zmieniające się obyczaje seksualne i role płciowe. [Do głosu dochodzą] wówczas najbardziej bigoteryjne, seksistowskie i homofobiczne postawy, nawet jeśli ogół społeczeństwa staje się bardziej tolerancyjny". Gilligan uważa, że przemoc należy traktować

jako problem zdrowia publicznego, co w najbardziej radykalnej wersji oznacza, że jego zdaniem można jej zapobiec. „Zachowujemy się tak, jakby po osiągnięciu dojrzałości ludzie potrafili radzić sobie ze wszystkim, co ich spotyka – stwierdza – ale faktem jest, że są o wiele bardziej bezbronni i delikatni, niż nam się wydaje. A potem jesteśmy zaskoczeni, gdy widzimy, że się łamią”.

Nie ma wątpliwości, że żyjemy w epoce, w której zarówno postęp, jak i sprzeciw wobec niego, który przywołuje Gilligan, przybierają skrajne formy. Wielu zabójców zostawia manifesty pełne bigoteryjnej, rasistowskiej i mizoginicznej retoryki – jak na przykład Dylann Roof, Elliot Rodger czy Alek Minassian. Czasami najwyżsi przywódcy kraju normalizują zjadliwy seksizm i rasizm tych zabójców, ich roszczeniowość. Nie jest tajemnicą, że prezydenci – począwszy od Thomasa Jeffersona, a skończywszy na Ronaldzie Reaganie i Billu Clintonie – byli oskarżani o gwałt (w przypadku Jeffersona oskarżenia te zostały już dawno potwierdzone). W porównaniu z wcześniejszymi przypadkami – od systemowych gwałtów Jeffersona sprzed ery emancypacji po liczne zdrady Johna Kennedy’ego i Billa Clintona, a nawet bezwstydną mizoginię Donalda Trumpa – różnica polega nie tylko na tym, że dzisiejsza zacięta retoryka wyzwala, moim zdaniem, skrajną przemoc, głównie w formie masowych strzelanin, ale także na tym, że do takiej przemocy dochodzi w tym samym czasie, kiedy większość kobiet bardzo otwarcie i głośno domaga się zmiany na lepsze. Dzisiaj już nie zakłada się, że będziemy znosić molestowanie w pracy czy w akademikach, a nawet niekończące się zdrady partnerów. Kobiety walczą o zmianę prawa, o lepsze traktowanie przez wymiar sprawiedliwości i organy ścigania. Kiedy to piszę, tysiące kobiet maszeruje przed siedzibą Sądu Najwyższego, protestując przeciwko nominowaniu do sądu najwyższej instancji w kraju białego mężczyzny z uprzywilejowanej klasy wyższej, na którym ciąży oskarżenie o usiłowanie gwałtu. Tysiące kobiet ubiega się o urzędy, więcej niż kiedykolwiek wcześniej, a w Kongresie nigdy nie było ich więcej niż teraz. Czy żyjemy zatem w epoce, w której postęp zwycięży, podobnie jak w innych współczesnych ruchach kulturalnych i społecznych? Zapytajcie mnie o to za dwadzieścia lat. Mam jednak głęboką nadzieję, że słuszna jest teoria Jamesa

Gilligana, mówiąca o tym, że po wielkich wstrząsach społecznych następuje postęp.

Wielu badaczy, w tym Websdale i Adams, wspomina też o niebezpiecznych konsekwencjach skrajnego wstydu. W słynnym już wystąpieniu na konferencji TED, zatytułowanym *Słuchając wstydu*, Brené Brown, która przedstawia się jako „badaczka wrażliwości", mówiła między innymi o korelacji wstydu z przemocą, depresją i agresją. Powiedziała, że wstyd jest „zorganizowany według płci". U kobiet wynika ze sprzecznych często oczekiwań dotyczących rodziny, pracy, związków; u mężczyzn sprowadza się do tego, by „nie uchodzić za […] słabego". Nazywając wstyd „epidemią naszej kultury", Brown cytuje badania Jamesa Mahalika z Boston College, który analizował wyobrażenia na temat standardów płciowych w całym społeczeństwie amerykańskim. Dla kobiet te standardy uwzględniały takie pojęcia, jak: „ładna, szczupła, skromna, inwestuje wszystkie dostępne zasoby w swój wygląd". Dla mężczyzn: „kontroluje emocje, praca ma pierwszeństwo, dąży do statusu, brutalny".

Kiedy zadzwoniłam do Mahalika z prośbą o komentarz, odparł, że chodzi nie tyle o to, że poszczególni mężczyźni popierają przemoc, ile o ogólną reakcję kulturową w Stanach Zjednoczonych. Przytoczył przykłady dotyczące polityki zagranicznej czy niepokojów społecznych, mówił również o tym, że nasza pierwsza zbiorowa reakcja ma charakter przemocy: jak uzbrojona w sprzęt do tłumienia zamieszek policja w Ferguson czy działania wojskowe na Bliskim Wschodzie. Nawet to, jak portretuje się mężczyzn w hollywoodzkich produkcjach, pokazuje, że przemoc stanowi istotny element popularności filmów. Jak stwierdził: „Z jakiegoś powodu postawiliśmy znak równości pomiędzy przemocą a rozwiązywaniem problemów".

W kartotece psychiatrycznej O'Hanlona wstyd przewija się nieustannie. Wstydzi się, że nie dostał awansu; wstydzi się, że przeniesiono go na posadę, do której czuł się źle przygotowany; wstydzi się, że nie umiał otrząsnąć się z rozpaczy. Podczas jednej z ostatnich sesji terapeutycznych przed odejściem ze służby prowadzący go psycholog napisał: „Nauczył się, że odrobina pokory tak naprawdę wzmacnia, a nie osłabia. […] Niskie ryzyko samookaleczenia lub wyrządzenia krzywdy innym".

Jeśli zapytać O'Hanlona, dlaczego to zrobił, odpowie, że nie wie. Jeśli zapytać go o radę w kwestii prewencji, udzieli rozmaitych odpowiedzi. A ja pytałam go za każdym razem, gdy z nim rozmawiałam. Oto kompilacja tego, co powiedział w trakcie tych wywiadów: „Nie bierz na siebie zbyt wiele. Nie wynoś się ponad innych. Nie bądź chciwy na awanse, na zyski finansowe. Nie pracuj tak ciężko. Obniż oczekiwania. Nie bądź zbyt ambitny. 11 września. Trzeba zająć się podejściem do chorób psychicznych w tym kraju. Trzeba przyjrzeć się lekom, które biorą. Wina ocalałego. Powinienem był przeczytać Księgę Hioba. Nie wiesz, jak daleko jeżdżę do pracy, jakie jest moje życie. Bezsenność. Kiedy masz raka, możesz poprosić przyjaciela o pomoc. Ale nie przy depresji".

Problem w tym, że tak naprawdę ma rację w każdej kwestii.

Po 11 września O'Hanlon podjął pracę w instytucji federalnej. Wtedy też zaczął mieć problemy ze snem. Powiedział, że ciągle widział obrazy worków na zwłoki[93] i owiniętych flagą trumien. Pewnego razu zapytałam go, dlaczego nie wyjechał za granicę do pracy, a wtedy ten opanowany zwykle człowiek wybuchł. „Tylu ludzi mi mówi: »Jesteś mięczakiem. Czemu nie pojedziesz do Iraku? Do Afganistanu?«". Jego głos nagle zabrzmiał głośno w sali. „Miałem dziewiętnaście lat, celowali do nas z broni. Zgłosiłem się na ochotnika. Mur berliński jeszcze wtedy stał. Byłem tam, naprzeciwko haubic i czołgów w Niemczech. Nie mów mi, że byłem mięczakiem. Po 11 września postawili mnie na warcie, na najwyższym poziomie bezpieczeństwa. Ci wszyscy kolesie w terenie? Oni mieli wsparcie mojego biura".

Reakcja O'Hanlona sugerowała, że poruszyłam czuły punkt. Nagabywany, O'Hanlon wyznał później, że nikt nie nazwał go mięczakiem prosto w oczy, ale on i tak to wyczuwał. „Czterogwiazdkowy generał mawiał: »Nie mierz żołnierza bliskością walki« – rzucił, a potem dodał: – Nie mów mi, że nie jestem odważny. Że nie jestem patriotą".

W miarę jak pogarszała się bezsenność O'Hanlona, pogłębiała się też jego depresja. Nadal chodził do psychiatry, który przepisywał mu rozmaite leki w różnych dawkach, co zdaniem O'Hanlona mogło zwiększyć jego stres. Odbywał również terapię poznawczo-behawio-

ralną i uczęszczał na terapię ogólną do momentu odejścia ze służby. Na kartach oceny z tego czasu, kiedy pytano go, czy ma myśli samobójcze, O'Hanlon zawsze zaznaczał pole „nie", ale mówi, że to była nieprawda. Miał myśli samobójcze. Ale nie chciał zaznaczać tej rubryki, bo straciłby uprawnienia i dostęp do tajnych informacji, i prawdopodobnie także pracę. Nie miał pojęcia, jak miałby utrzymać rodzinę bez tej pracy. Wiedział, że jest chory, bardzo chory, ale wiedział też, że z bardzo praktycznych powodów nie może się do tego przyznać.

Jak mówi, kiedy zbliżał się moment odejścia ze służby, stres zaczął go przytłaczać. W tym samym czasie April zaczęła się buntować. Czuła, że rodzice ją tłamszą, nadmiernie kontrolują, wiecznie oczekują najlepszych wyników w szkole; nie wolno jej było nocować u koleżanek ani nikogo zapraszać. Pewnego razu rodzice przyłapali ją na oszustwie i dali jej klapsa. Wkrótce potem rodzina przeniosła się do małego, tymczasowego mieszkania i wpłaciła zaliczkę na dom, który był jeszcze w budowie.

A potem O'Hanlon odszedł ze służby.

Czasami w przypadku zabójstwa rodzinnego miejsce zbrodni zdradza pewien stopień troski, który przejmuje człowieka dreszczem i daje pewien wgląd w motywację zabójcy. William Beadle zebrał krew bliskich do pojemnika, żeby nie zrobić bałaganu, a następnie ułożył ciała trzech córek na podłodze i przykrył je kocem. Dzieci Jacobsona i Mochriego leżały w łóżku, przykryte; Mochrie zmył krew córki ze ściany i wypił preparat zwalczający chwasty, zanim się powiesił. Inny zabójca ułożył złote monety na powiekach bliskich, co prawdopodobnie miało im pomóc w drodze w zaświaty. Websdale opisuje symbolikę tego rodzaju jako emocjonalną architekturę sprawy. „Na poziomie metafory świadczy ona o zrozumieniu ich trudnej sytuacji, które jest jednak nietrafione. Stoi to w sprzeczności z perspektywą nauk społecznych; wymaga wnikliwości literackiej". Na przykład użycie hantli jako narzędzia zbrodni według Websdale'a oznacza, że sprawca „zabija swoją męskością. Być może nie chciał tego zrobić. Być może to niezamierzone […] nierozwinięte rozumienie, co to znaczy czuć wstyd".

W dzisiejszej wykładni chrześcijaństwa Bóg dosłownie poświęca własnego syna – w akcie ostatecznego synobójstwa – by świat mógł zostać zbawiony. Być może to Rzymianie przybili Jezusa do krzyża, ale to wszystko było częścią bożego planu. Biblia obfituje w podobne przykłady. Abraham przyprowadził swojego syna, Izaaka, na ołtarz i przygotował do złożenia go w ofierze, ale Bóg zatrzymał go w ostatniej chwili, gdy Izaak miał już związane ręce i nogi, a na gardle nóż. Bóg powiedział, że Abraham przeszedł przez tę próbę, udowodnił swoją miłość. O'Hanlon cytuje Księgę Izajasza 53,8–9: „Po udręce i sądzie został usunięty; a kto się przejmuje Jego losem? Tak! Zgładzono Go z krainy żyjących; za grzechy mego ludu został zbity na śmierć. Grób Mu wyznaczono między bezbożnymi, i w śmierci swej był na równi z bogaczem, chociaż nikomu nie wyrządził krzywdy i w Jego ustach kłamstwo nie postało". W religii, w której zabijanie rodziny jest nie tylko zracjonalizowane, ale wręcz celebrowane jako najwyższa postać miłości, oddania i wiary, być może ten związek nie jest tak naciągany. Sam O'Hanlon mówi, że aby go ocalić, potrzebne były trzy życia: Jezusa Chrystusa, Dawn O'Hanlon i April O'Hanlon.

Był – jak sam przyznaje – „letnim" chrześcijaninem aż do chwili morderstw. „Pytam Boga: »Dlaczego? Dlaczego? Czy nie było żadnego innego wyjścia?«" O'Hanlon uważa, że Bóg chciał przez te morderstwa zwrócić jego uwagę, naprostować go, przywrócić mu wiarę w Pana, w służbę. Opowiada mi, że Bóg czyni przez niego cuda, ratuje innych więźniów. Kilkakrotnie sugeruje, bym zatytułowała ten rozdział „Triumf nad tragedią". Pytam go, gdzie ten triumf. Bo co do tragedii nie ma wątpliwości. Mówi, że jeszcze nie przyszedł, ale przyjdzie. Mówi mi, żebym przyjrzała się sprawie pastora Ricka Warrena i samobójstwa jego syna, albo Creigha Deedsa, byłego kongresmena, którego syn zaatakował nożem tuż przed popełnieniem samobójstwa. O'Hanlon uważa, że łączą go z nimi choroba psychiczna i przekucie czegoś negatywnego w pozytyw. Jednak postrzega zarówno ich, jak i siebie samego jako ofiary.

Dlaczego? – pytam. Pytam go o to w kółko. Dlaczego to zrobiłeś? On też sobie zadaje to pytanie. Czasami odpowiada. Jak mogłeś? – pytam, choć nie spodziewam się, by kiedykolwiek znalazł właściwą odpowiedź. „Bóg nie odpowiedział na żadne z pytań Hioba. Odparł:

»Gdzie byłeś, gdy tworzyłem świat?«. Bóg przekierował wzrok Hioba ku suwerennemu Bogu, którego nie możemy pojąć – mówi O’Hanlon. – Mnie mówi to samo, co powiedział Hiobowi. Nie skupiaj się na tym, co się stało, skup się na tym, co możesz dla mnie zrobić”.

O’Hanlon mówi, że jego bezsenność pogłębiła się po odejściu ze służby i to wówczas zaczął myśleć o zabójstwie i samobójstwie. W dzienniku, który wtedy prowadził, zapiski stają się coraz bardziej rozpaczliwe. Na dwa miesiące przed zabójstwem napisał: „Proszę, pomóż!”. Pięć razy. Dwa tygodnie później: „Proszę, oszczędź moje życie. Proszę, pomóż mi. Panie, pomóż! Oszczędź Dawn i April”. W opinii psychiatrycznej po morderstwie psycholog sądowy napisał, że O’Hanlon „opisywał uporczywe, natrętne myśli o zabiciu siebie, a także zabiciu żony i córki, by oszczędzić im dalszych problemów i cierpienia. Pan O’Hanlon wierzył, że może sam przezwyciężyć te myśli, i nie chciał mówić o nich głośno, by nie stały się bardziej realne”.

Dla wielu osób odejście ze służby wiąże się z bolesną i trudną zmianą. A O’Hanlon przyjął później szeregową posadę, choć jego zdaniem była poniżej jego godności. Wysłał mi kiedyś listę możliwych obszarów badawczych – wina ocalałego, samobójstwo – a te sugestie wydały mi się nie tyle próbą manipulacji, ile poszukiwaniem odpowiedzi. Badacze mówią czasem o „wieloprzyczynowości” w sytuacji, gdy istnieje wiele potencjalnych przyczyn danego zdarzenia lub działania. Depresja, bezsenność, wstyd, utrata statusu. Jednak Websdale odrzuca ten termin. „Ludzie myślą, że jeśli znajdą wystarczająco dużo zmiennych, mogą obliczyć iloraz szans, sformułować wzór i zidentyfikować przypadki bardzo wysokiego ryzyka, ale ja uważam, że w ten sposób ignorują złożoność kondycji ludzkiej – wyjaśnia. – Na pewnym poziomie mówimy o dojmującej obecności niewytłumaczalnego”.

O’Hanlon rozważał samobójstwo, ale taka perspektywa napełniła go wstydem i nie umiał sobie wyobrazić, że zostawiłby Dawn i April z ciężarem takiego upokorzenia. Całymi latami przepisywano mu lekarstwa: ambien, zoloft, klonopin, wellbutrin, oleptro, remeron, pa-

xil, ativan, lunesta. Przyznał, że czasami zmniejszał dawki i chował połowę w koszu w łazience, o czym Dawn nie wiedziała. Nie mógł znieść mentalnej mgły, w której się pogrążał, kiedy brał leki, a także dlatego, że jak powiedział: „Wiedziałem, że kiedyś będę ich potrzebował".

Zaczął wierzyć, że ludzie się z niego śmieją. Nigdzie nie wychodził. Siedział w domu na fotelu i wpatrywał się w sufit, z głową odrzuconą do tyłu i bezwładnym ciałem. April to widziała, mówiła mu: „Rozchmurz się, tato". Matka O'Hanlona powiedziała April, żeby pocieszała ojca, a ona się starała. Ale za każdym razem, gdy próbowała, on czuł się jeszcze gorzej – miał wyrzuty sumienia, że obciąża ją odpowiedzialnością za swoje problemy, swoje urojenia. Powinien być wystarczająco silny; był w końcu głową domu. Co było z nim *nie tak*?

Presja narastała. Bunt córki, straszny dojazd do nowej pracy, której nienawidził, rodzina gnieżdżąca się na maleńkiej przestrzeni, utrata statusu zawodowego; ich mieszkanie poważnie straciło na wartości przez kryzys. Jednocześnie deweloper, który budował ich nowy dom, sprawiał kłopoty, nie przestrzegał kodeksu, jak powiedział O'Hanlon. Kłócili się o budowę, a deweloper ponoć w końcu przystał na rozwiązanie umowy. Chociaż O'Hanlon mówi, że byli wypłacalni i deweloper zwrócił im zaliczkę, z akt sądowych wynika, że w rezultacie mieli dziesiątki tysięcy dolarów długu. W dniach poprzedzających morderstwa Dawn musiała zwrócić wszystkie meble, które kupiła do nowego domu. „To było tak – opowiada O'Hanlon – jakbyśmy wszyscy byli skazani".

O'Hanlon mówi, że kochał rodzinę. Bardzo ich kochał. „Nie żywiłem do nich nienawiści – deklaruje. – Nie czułem ani grama nienawiści do mojej rodziny poprzedniej nocy. Żadnych negatywnych uczuć, nadal, nic. Nie mam żadnego motywu". Po morderstwach O'Hanlon jeździł samochodem z tą liną, szukając miejsca, gdzie mógłby się powiesić, aż w końcu zdał sobie sprawę, że będzie musiał poczekać do zmroku. Połknął ponad tuzin tabletek zolpidemu, po czym zadzwonił do pastora, który wezwał policję. Podczas przesłuchania był tak naćpany zolpidemem, że teraz nic z tego nie pamięta. (Odczytano mu

prawa, kiedy był pod wpływem leku, i obecnie utrzymuje, że naruszono tym przepisy). Po aresztowaniu próbował popełnić samobójstwo, uderzając głową w metalową futrynę drzwi celi. Zemdlał w kałuży własnej krwi, miał piętnastocentymetrową ranę i uraz kręgosłupa, który powinien był go sparaliżować. Fakt, że przeżył – wymagał wielu operacji – że w ogóle może się poruszać, jest dla O'Hanlona dowodem na to, że Bóg utrzymał go przy życiu nie bez powodu. Biegły, który przeprowadzał wówczas konsultację psychiatryczną, napisał, że O'Hanlon tak mocno uderzył w ościeżnicę, że nie było wątpliwości co do jego intencji. „Jest to bezspornie choroba psychiczna" – orzekł lekarz.

Za każdym razem, gdy odwiedzałam O'Hanlona, siadał i ponownie podkreślał, że nie jest takim człowiekiem, takim mordercą, jakim go odmalowano. „Jeśli chodzi o mnie – mawiał – zostałem poprawiony. Oto jestem w tym zakładzie karnym, który ma funkcję poprawczą. I zostałem poprawiony". Trzyma w celi radio. Ma prawo do trzynastu książek, a więzienie zatwierdza przesyłki z Amazona. Jest tam niewielka bieżnia i niedawno zaczął znowu biegać, kiedy skręcona kostka w końcu się zagoiła. Jedno okrążenie zajmuje mu trzy minuty, robi ich dwanaście. Nazywa siebie wzorowym więźniem, przez co rozumie, że nie wdaje się w bójki ani nie nęka funkcjonariuszy. Prowadzi zajęcia z Biblii dla współwięźniów i często pomaga im pisać listy, a potem wysyła je do przyjaciół i rodziny. Łamie przepisy, kiedy podczas rozmów telefonicznych łączy się jednocześnie z dwiema osobami, ale z jakiegoś powodu uważa, że ta zasada go nie obowiązuje.

W przypadku O'Hanlona kilkoro ekspertów wskazało na zdrowie psychiczne jako prawdopodobny czynnik w zabójstwie rodzinnym, choć ława przysięgłych odrzuciła argument obrony, jakoby był „niewinny z powodu niepoczytalności". (Od zespołu Websdale'a dowiedziałam się, że według ich ustaleń obrońcy sprawców zabójstw rodzinnych często korzystali z tej strategii, ale niemal nigdy nie przyniosła ona rezultatów; członkini zespołu do spraw analizy zgonu powiedziała mi również, że nie natknęła się jeszcze na dochodzenie, w którym nie pojawiłby się motyw „niezaspokojonych potrzeb w zakresie zdrowia psychicznego"). W jakim stopniu opór przed wyjaśnie-

niem czynu O'Hanlona jego stanem psychicznym wynika z panujących w USA uprzedzeń dotyczących zdrowia psychicznego? Empatia łatwo nam przychodzi wobec ludzi cierpiących na problemy psychiczne, jeśli cieszą się oni powszechną estymą i gdy ich działania dotyczą tylko ich samych (jak na przykład Robin Williams), ale nasze zrozumienie słabnie – być może słusznie – gdy te działania wpływają na życie innych, jak to, co się stało z O'Hanlonem.

James Gilligan mówi, że powinniśmy traktować ludzi takich jak O'Hanlon jako przedmiot badań. „Musimy spojrzeć grozie w oczy, jeśli mamy kiedykolwiek zrozumieć przyczyny ludzkiej skłonności do przemocy na tyle, by zapobiec jej najbardziej destrukcyjnym przejawom" – napisał w książce *Violence*. „Samobójstwo nie stanowi rozwiązania problemu zabójstwa; obie formy przemocy są równie zabójcze".

Jedno z pierwszych pytań, jakie kiedykolwiek zadałam O'Hanlonowi, dotyczyło tego, czy uważa, że pójdzie do nieba. „Absolutnie" – odparł. Dawn i April, rzecz jasna, już tam są.

Następnie opowiedział mi, że Bóg trzyma słoik na wszystkie chwile przepłakane przez nas w życiu; zbiera i przechowuje nasze łzy. Zamilkł na chwilę, a potem dodał: „Myślę, że kiedy pójdę do nieba, zostanę tam powitany z otwartymi ramionami".

Niemniej wierzy też, że jego własna żałoba nigdy się nie skończy. Mówi, że nadal nie potrafi patrzeć na zdjęcia April. Ostatnio zauważył, że skończyłaby teraz liceum. „Kiedy biegam na dziedzińcu albo jem, modlę się, żebym mógł usiąść z rodziną – mówi mi, ale zaczyna płakać i przesuwa się niespokojnie na krześle, próbuje się uspokoić mantrą. – Mam wybór. Mogę iść do przodu albo do tyłu; mogę być negatywny albo pozytywny, i wybieram…" Nie kończy zdania. Odrzuca gwałtownie głowę do tyłu, a potem szlocha, ramiona ma wyciągnięte prosto przed siebie, dłonie zwarte – w modlitwie – albo zaciśnięte w pięści, nie wiem. Nie przerywam mu, ale to nieznośny dźwięk, nigdy nic podobnego nie słyszałam. O'Hanlon dalej zawodzi, stara się powstrzymać wycie, odzyskuje kontrolę, a jego ciało prowadzi doskonale widoczną wojnę z samym sobą. Kiedy tego dnia kończymy rozmowę, siedzę przez chwilę w bezruchu wraz z więziennym rzecznikiem i kamerzystą i nikt się nie odzywa; to tak, jakby

ktoś nas zaciągnął w miejsce tak mroczne i pełne nieszczęścia, że trzeba niemałego wysiłku, żeby przebić się na powrót do światła dziennego.

I wtedy do mnie dociera, że właśnie dlatego O'Hanlon w ogóle zgodził się ze mną porozmawiać – że próbuje w ten sposób znaleźć jakiś sposób na życie ze sobą w tym świecie. Korepetycje, pisanie listów, studiowanie Biblii. Przebija się z ciemności na tyle, by przetrwać każdą godzinę każdego dnia. To czyściec, w którym spędzi resztę życia: poprzez tysiąc drobnych gestów i modlitw będzie próbował wyzwolić swój ból z tej jednej kolosalnej, przerażającej chwili.

Historia Patricka O'Hanlona to historia niezłomności, determinacji i wytrwałości. Jest to swoiście amerykańska opowieść o ciężkiej pracy i stawianiu czoła przeciwnościom, aż wreszcie osiągnie się nieuchronny sukces, obiecywany od początku. Ale co, jeśli kluczem do tego wszystkiego nie jest ciężka praca ani uparta determinacja, tylko raczej odporność na własne niepowodzenia, umiejętność pogodzenia się z porażką? Co by było, gdyby Patrick O'Hanlon wybrał inną drogę? Zajął się sprzedażą nieruchomości? Został inżynierem oprogramowania? Takie pytania większość z nas zadaje sobie w odniesieniu do własnego życia. Jak decyzja X doprowadziła do akcji Y. Przypadkowe spotkanie. Szybka decyzja. Skręt w lewo zamiast w prawo, a wszystko mogło się potoczyć zupełnie, ale to zupełnie inaczej.

Kolana superbohatera

Głos mężczyzny dobiega z głośnika czarnego telefonu, ustawionego na środku stołu z laminatu. Na jednej ścianie ciągną się białe tablice, na drugiej okna. Kolejne stoły są poustawiane byle jak w sali konferencyjnej, urządzonej w kolorystyce typowej dla biur w całym kraju: kość słoniowa, krem, beż. Wokół stołu kilkunastu policjantów słucha w milczeniu.

– Zostawcie nas, kurwa, w spokoju – mówi głos. – Po prostu zostawcie nas, kurwa, w spokoju.

A potem połączenie się urywa.

Nad telefonem stoi dwóch policjantów. Mają zaledwie kilka sekund na podjęcie decyzji, co powiedzieć, gdy oddzwonią do tego mężczyzny. Czy mają mu przekazać, że dom jest otoczony przez funkcjonariuszy specjalnej jednostki SWAT? Czy mają mu polecić, żeby wyszedł z rękami do góry? Jeden z policjantów dzwoni. Mężczyzna odbiera: „Czego, kurwa, chcesz?”.

– Posłuchaj, Ronnie – mówi policjant. – Najszybciej się nas stąd pozbędziesz, jeśli wyjdziesz razem z Melissą na zewnątrz. – Melissa to dziewczyna Ronniego. Zabarykadował się z nią w domu.

– Nic, kurwa, złego nie zrobiłem – mówi Ronnie. – Muszę tylko pogadać z Melissą. Mam, kurwa, otwarte oczy na to, co się dzieje.

– Nie chcę, żeby komuś stała się krzywda – mówi policjant. Ma na imię Matt. – Ale słyszeliśmy wystrzał…

– Nie było żadnego wystrzału – oznajmia Ronnie, a potem dodaje: – To był tylko strzał w sufit.

– Muszę wiedzieć, że Melissie nic się nie stało.

– Nic jej nie jest, kurwa. Nie twój jebany interes, co robię. Nie mieszaj się do moich spraw, a ja nie będę się mieszał do twoich. – Ronnie się rozłącza. Jesteśmy na obrzeżach San Diego w słoneczne lipcowe popołudnie.

Obok Matta jest jeszcze Chris oraz kilku innych funkcjonariuszy. Jeden z nich zapisuje czas z dokładnością do sekundy, za każdym razem, gdy Ronnie się rozłącza albo jego gniew się nasila. 13.00. 13.01. 13.03. 13.08. 13.09. 13.15. Zestawienie pozwoli potem zidentyfikować ewentualne punkty albo tematy zapalne. Funkcjonariusz, który nadzoruje zespół, przekazuje Mattowi i pozostałym informacje zebrane na podstawie rozmów prowadzonych równolegle przez innych policjantów lub detektywów – z przyjaciółmi, członkami rodziny, znajomymi Ronniego i Melissy. Dowiadują się o poprzednich związkach, przemocy w rodzinie, bójkach ulicznych czy zatargach z prawem oraz o historii zatrudnienia. Do tablic przyczepiono kilka sporych arkuszy papieru, na których widnieją informacje o Ronniem i Melissie, ich historii, członkach rodziny i wszystkim, co można wywnioskować na temat dynamiki ich relacji. Gdy pojawiają się kolejne informacje, daty istotne dla związku i zatrudnienia, kilku policjantów natychmiast wszystko zapisuje. Inne incydenty przemocy. Krzywdy, których Ronnie doznał w dzieciństwie. Historia wyłania się stopniowo, policjanci odtwarzają ją we fragmentach, w czasie rzeczywistym, w nadziei, że uda im się pogodzić osobowość Ronniego i jego przeszłość z tym, co dzieje się tu i teraz. Dowiadują się, że dziś rano koleżanka z pracy przyjechała po Melissę, ale kiedy ta podeszła do drzwi, miała rozciętą wargę, wyglądała na zdenerwowaną i przestraszoną i powiedziała, że nie może wyjść. Ta koleżanka, Denise, zadzwoniła na policję; nazywają ją stroną zgłaszającą. Policjanci rozmawiali z siostrą i bratem Ronniego. Ustalili, że jego ojciec bywał agresywny, że Ronnie miał z nim napięte relacje. Dowiedzieli się również, że Ronnie zdradzał Melissę z jedną z jej przyjaciółek i że Melissa od jakiegoś czasu przestała wychodzić z ich wspólnymi znajomymi. Ona jeździ do pracy i wraca do domu, a oni rzadko ją widują. Jedna z byłych dziewczyn Ronniego mówi policji, że nigdy nie widziała, żeby był agresywny; mówi również, że jej zdaniem on ciągle ją kocha, policja podejrzewa jednak, że kobieta żywi do Ronniego uczucia, więc to, co mówi, nie jest do końca wiarygodne.

Siedzą tu już kilka godzin. Funkcjonariusze zgromadzeni wokół Matta próbują zebrać wszelkie informacje i ocenić niebezpieczeństwo sytuacji. Największa odpowiedzialność spoczywa na Matcie,

musi dopilnować, żeby Ronnie nie przestał z nimi rozmawiać, żeby się uspokoił i wypuścił Melissę całą i zdrową. Na sali panuje wyczuwalne napięcie, ale jest też dziwnie cicho, niczym w bibliotece, gdzie grupka dzieciaków szepcze w kącie. Policjanci uwijają się jak w ukropie, ale słychać niemal wyłącznie dzwonek telefonu oraz głosy Ronniego i Matta. Jedno nieopatrzne słowo czy dźwięk może sprowokować Ronniego. Jedno właściwe zdanie i Matt nawiąże z nim porozumienie. W policyjnym żargonie nazywa się to „haki i kolce". Haki przyciągają Ronniego i go uspokajają, a kolce wyprowadzają go z równowagi. Matt niechcący zdenerwował Ronniego takim kolcem kilka minut wcześniej, gdy wspomniał o koledze Melissy z pracy, niejakim Macku. Ronnie, jak się okazuje, uważa, że Mack i Melissa mają romans.

– Niech się trochę wyładuje, niech spali tę energię – mówi Matt. – Przynajmniej wścieka się na mnie, a nie na nią.

– W końcu się zmęczy – mówi inny policjant.

Ale to spekulacje, bo zirytowany Ronnie ciągle się rozłącza, wkurza i nic nie wskazuje, by zamierzał wypuścić Melissę. Równie dobrze może być już martwa. Albo dom może być zaminowany. Możliwe, że Ronnie ma tam cały arsenał broni, i to takiej o sporej mocy. Zabarykadował już drzwi, żeby Melissa nie mogła wyjść.

Matt oddzwania.

– Hej, Ronnie, rozłączyłeś się. Upewniam się tylko, że nic wam nie jest.

– Wszystko w porządalu – odpowiada Ronnie, ale nie brzmi bynajmniej, jakby było w porządalu.

– Okej, okej – mówi Matt. Głos mu trochę drży. Jest młody, tuż przed trzydziestką. – Hej, powiedz mi, gdzie pracujesz?

Od razu widać, że popełnił błąd.

– Chuj cię obchodzi mój życiorys! I tak wszystko o mnie wiesz. Śliski jesteś jak gówno w przerębli. Pojebało cię? Za kogo ty mnie masz?

Bam.

Matt potrząsa głową. Wie, że spieprzył. Jego kolega Chris siedzi obok i mówi, że nic nie szkodzi. Błąd nowicjusza. Ale nie ma wątpliwości, że Matt już nie ma szans dogadać się z Ronniem, więc postanawiają powierzyć to zadanie Chrisowi. Przekazanie w sytuacji z zakładnikiem ma krytyczne znaczenie. To nie może wyglądać na przekazanie. A Chris i jego zespół nie mogą kłamać. Nie mogą obiecywać tym facetom, że nie zostaną oskarżeni, że wszystko będzie w porządku, jeżeli tylko wyjdą z rękami do góry. A jednak muszą ich jakoś namówić, żeby wyszli z domu i w zasadzie poszli prosto do celi w areszcie.

Na omówienie strategii mają zaledwie kilka sekund pomiędzy kolejnymi telefonami. W przeciwieństwie do innych sytuacji kryzysowych, kiedy sprawca bierze jako zakładników obce osoby, a upływ czasu często pomaga w rozładowaniu sytuacji, w kontekście przemocy domowej czas nie działa na ich korzyść. Im dłużej trwa zajście, tym bardziej prawdopodobne, że sytuacja może się zaognić i zakończyć przemocą. Muszą być otwarci, ale stanowczy, okazać pewność siebie, ale i empatię. Do dyspozycji mają tylko słowa. To całkowite przeciwieństwo sposobu, w jaki zazwyczaj funkcjonują, opartego na wyraźnym rozróżnieniu silnych i bezsilnych. Używając narzędzi, które Hamish Sinclair nazywa „intymowaniem”, muszą nakłonić sprawcę do scedowania kontroli. Nie mogą wydawać mu rozkazów. Nie mogą wysuwać żądań. Nie mogą rzucić na ziemię przestępcy, który ich nie słucha, i zakuć go w kajdanki. Wszystko, co mają w tej chwili, to słowa. A niektórzy policjanci radzą sobie na tym polu lepiej niż koledzy.

Postanawiają zorganizować przekazanie w następujący sposób: Matt powie Ronniemu, że przyjrzy się sytuacji Macka, przesłucha go na temat jego relacji z Melissą, a telefon przekaże swojemu partnerowi, Chrisowi.

Znowu dzwonią.

– Ronnie, to prawda. Mamy o tobie sporo informacji – zaczyna Matt.

– Pierdol się, ty kurwo zakłamana – mówi Ronnie. – Zakłamany Matt.

Matt pozwala mu się wygadać, a potem testuje opracowany plan działania, mówi mu, że przyjrzy się temu Mackowi, a tymczasem przekaże słuchawkę Chrisowi. Ronnie klnie na drugim końcu linii, nazywa Matta kłamcą, mówi mu, że nie ma zamiaru się z nim zaprzyjaźniać. Chwilę to trwa. Ronnie się rozłącza. Matt w kółko oddzwania.

– Słuchaj – mówi Matt, gdy Ronnie wreszcie na chwilę milknie. – Ten cały Mack. Ten koleś jest stary. Ma jakieś sześćdziesiąt pięć, siedemdziesiąt lat. Wiedziałeś o tym?

Sugestia jest czytelna. Melissa jest młoda, nie skończyła jeszcze trzydziestki. Nie ma mowy, żeby sypiała z kimś o wiele starszym. (Zastanawiam się, czy ci policjanci widzieli jakiś hollywoodzki film).

Ronnie też to zauważa.

– Słyszałeś o nowoczesnej chemii, skurwysynu? – mówi. – Robią teraz taką niebieską pigułkę, od której masz kutasa twardszego niż kolana superbohatera. – Klik.

Kiedy Matt oddzwania, mówi Ronniemu, że porozmawia z Mackiem i że Chris przejmie teraz słuchawkę.

– A ten Chris też tak kłamie? – pyta Ronnie. – Jak kogoś dajesz do telefonu, to lepiej, żeby chujek był uczciwy, jasne?

Chris przejmuje pałeczkę.

– Hej, Ronnie, tu Chris. Co się dzieje? – mówi.

I od razu błąd. Wiadomo, że Matt, Ronnie, Chris – wszyscy wiedzą, „co się dzieje". Ale nie można za to winić Chrisa. To takie ogólne powitanie. Pewnie każdy z nas od tego by zaczął. Ale w sytuacji z zakładnikiem każde słowo jest kluczowe, każda sekunda ma znaczenie, i nie chodzi tylko o same słowa, ale o to, jak są wypowiadane, o ich emocjonalny kontekst. Autentyczność. A Ronnie jest bystry, wyczuwa to wszystko. W odpowiedzi rzuca:

– Z ciebie też jest taki zakłamany skurwiel?

Przeciągają tak linę przez jakiś czas; Chris dzwoni, stara się znaleźć jakieś dojście, hak, jakiś sposób, żeby nawiązać kontakt, a Ronnie się rozłącza. Dzwonił już trzy, cztery, pięć, siedem, piętnaście razy.

– Słyszę, że jesteś zdenerwowany – mówi Chris.

– Bez jaj, serio? Musi być z ciebie zajebisty detektyw – oznajmia Ronnie. – Dlaczego po prostu nie zostawicie mnie w spokoju? Nie dogadamy się.

– Chcemy się dogadać, Ronnie, ale najpierw musimy się upewnić, że wszystko gra – mówi Chris. – Mogę porozmawiać z Melissą? Czy z nią wszystko w porządku?

– Jak chcesz tę sukę do telefonu, to ja ci ją dam. Wyrzucę tę sukę przez jebane okno, jak chcesz. – Ronnie odwraca głowę od telefonu i krzyczy w pustkę. – Ej, suko, rusz dupę, te gliny chcą z tobą gadać! – Ale nie daje jej do telefonu. Zamiast tego znowu sugeruje, że wyrzuci ją przez okno, mówi, że pójdzie szybko, że ona nawet tego nie poczuje.

– Ronnie, Ronnie – zwraca się do niego Chris. – Martwię się, kiedy tak mówisz. Nie chcę, żeby komukolwiek stała się krzywda.

– Rany Julek, Jezu Chryste – mówi Ronnie. – Boże drogi. To co mam, kurwa, zrobić? Wypierdalajcie stąd!

Rozłącza się.

Chris rozmawia z przełożonym, który radzi mu omówić z Ronniem to, co Chris wie o całej sytuacji.

– Hej, na razie wiemy tyle, że Denise przyszła po Melissę. Ktoś usłyszał jakieś strzały, ale może to pomyłka.

– Czyli mam wszystko bagatelizować? – pyta Chris.

– Po prostu powiedz mu, co wiesz, dlaczego nie możemy odejść. Że jej koleżanka po nią przyjechała i zobaczyła trochę krwi. Że ten wystrzał jest trochę niepokojący. Nie mówię, żeby to całkiem minimalizować, ale nie rób z niego Ala Capone.

Chris kiwa głową. Wciska guzik w telefonie.

Postanawiam wybrać się do sali obok i zobaczyć, co u Ronniego.

Ronnie to Lou Johns, emerytowany policjant. Jesteśmy w San Diego na szkoleniu z zakresu negocjacji kryzysowych dla funkcjonariuszy organów ścigania, specjalnie ukierunkowanym na sytuacje przemocy domowej. Kiedy powiedziałam znajomym, że jadę na szkolenie z ne-

gocjacji i uwalniania zakładników, natychmiast wyobrazili sobie bank i grupkę mężczyzn w maskach narciarskich. Wprawdzie brakuje dokładnych statystyk na ten temat, ale William Kidd, który prowadzi tegoroczne szkolenie, mówi, że około osiemdziesięciu procent wszystkich zajść z zakładnikami w USA jest wynikiem przemocy domowej. FBI dopiero od niedawna zaczęło gromadzić dane na temat zajść z zakładnikami, ale tylko w tych jurysdykcjach, które dobrowolnie podają takie informacje. Obecnie w bazie danych biura figuruje ponad siedem tysięcy takich przypadków. I choć w całym kraju odbywają się szkolenia z zakresu negocjacji kryzysowych dla FBI, organów ścigania i całego szeregu podobnych agencji, to tylko tu, w San Diego, terroryzm wobec partnerów życiowych stanowi centralny temat zajęć.

Inaczej niż w sytuacjach, gdy zakładnikiem jest obca osoba, przemoc domowa zmienia cały scenariusz zajścia, wprowadza napiętą sytuację z niezwykle niebezpiecznym ładunkiem emocjonalnym. Inny facylitator, Gary Gregson, kierownik oddziału w firmie szkoleniowo-doradczej DPREP, mówi, że w tradycyjnej sytuacji z udziałem obcych zakładnicy są kartą przetargową. „Ktoś, kto napadł na bank, wykorzysta zakładników do ucieczki”. Tymczasem w przypadku przemocy domowej jest dokładnie odwrotnie. Sprawca, który przetrzymuje zakładników, chce zostać dokładnie tam, gdzie jest. Jego celem nie jest bynajmniej ucieczka, nie musi nawet pozostać przy życiu. Jemu chodzi o utrzymanie kontroli. „Sprawca chce, żeby ofiara się wycofała, żeby przeprosiła – mówi Gregson. – Albo zapłaciła karę za to, że się mu sprzeciwiła”. Ta zasadnicza różnica wpływa na każdy aspekt negocjacji. Emocjonalny ładunek relacji między sprawcą a ofiarą potęguje niebezpieczeństwo. Do przemocy może dochodzić przez cały czas trwania negocjacji. A także do przymusu. Gregson przypomina uczestnikom, że mają do czynienia z manipulantami, że muszą się strzec przed przejawami przyjaźni czy zaufania. Podkreśla, że maltretowane żony i dzieci często zdradzają objawy syndromu sztokholmskiego, identyfikując się lub sprzymierzając z oprawcą, nawet w następstwie porwania czy przetrzymywania siłą. (Nazywa się to czasami traumą więzi).

Gregson mówi, że dla funkcjonariuszy najtrudniejszym aspektem negocjacji jest moment, kiedy muszą „zdjąć czapkę policjanta i założyć kapelusz negocjatora". Podczas wcześniejszego szkolenia jeden z policjantów miał za zadanie przeprowadzić wywiad z siostrą „Ronniego". Szybko stało się jasne, że nie docenia różnicy między wywiadem a przesłuchaniem. „Nie chcemy, by czuła, że wywieramy na nią nacisk – powiedział później Gregson. – Chcemy, by czuła się w tym środowisku komfortowo. Pomyślcie o tym raczej w kategoriach społecznych niż śledczych".

Nie ma co ukrywać, że związek organów ścigania z kwestią przemocy domowej jest dość problematyczny. Policja często – choć nie zawsze – jest pierwsza na miejscu w przypadku agresji w domu. A jak wykazały badania, nawet jeśli nie dochodzi do aresztowania sprawcy, reakcja policji może być istotnym czynnikiem odstraszającym od ponownego użycia przemocy, jak również może zwiększyć prawdopodobieństwo, że ofiara będzie miała dostęp do wsparcia ze strony lokalnych służb i takich opcji jak zakaz zbliżania[94]. Ale policjanci sami bywają sprawcami – wskaźniki przemocy domowej wśród funkcjonariuszy są od dwu do czterech razy wyższe niż wśród ogółu społeczeństwa. Widziałam niedawno nagranie, na którym policjanci przyjechali na wezwanie do byłej żony ich kolegi z pracy. Opisała, jak włamał się do jej domu, groził, że zabije ją i jej nowego chłopaka, jak latami znosiła z jego rąk maltretowanie, kiedy byli małżeństwem. Kilka sekund później na nagraniu z kamery osobistej widać, jak ci sami funkcjonariusze stoją na jej podjeździe i żartują ze sprawcą – ich współpracownikiem. Nie lekceważą incydentu całkowicie, ale mówią mu, żeby się przez jakiś czas nie wychylał. A on przysięga, że wcale nie wyważył jej drzwi. Umniejsza wagę zajścia. Zaledwie kilka dni później ten sam człowiek zabił kobietę i jej nowego chłopaka, po czym popełnił samobójstwo. Wcześniej w San Diego słuchałam, jak William Kidd odgrywa rolę byłego dowódcy SWAT, Davida Powella. Prawdziwy Powell złamał zakaz zbliżania i został wezwany na posterunek policji przez swojego przełożonego. Kiedy nie stawił się na wezwanie i zadzwonił z informacją, że ma zakładników, jednostka SWAT, którą niegdyś dowodził, otoczyła jego dom. Po siedmiogodzinnych negocjacjach Powell wyszedł na ganek i

ostrzelał byłych kolegów. W odpowiedzi otworzyli do niego ogień i zabili go na miejscu.

Poświęcony temu zajściu artykuł lokalnej gazety z New Jersey cytuje słowa szefa policji, który stwierdza, że incydent nastąpił w wyniku „sytuacji domowej”[95]. To kolejny problem – język używany do opisania tego, co jest przecież przestępstwem. Spory domowe, przemoc domowa, prywatne konflikty, niestabilne relacje, maltretowanie, agresja w rodzinie. Wszystko to konstrukcje bierne, które eliminują odpowiedzialność nie tylko sprawcy, ale również organów ścigania. Nie wolno zacierać faktu, że przemoc domowa jest przestępstwem, a zwłaszcza nie powinny tego robić jednostki, którym powierzono zadanie ochrony społeczeństwa przed przemocą. Sama co prawda używam w niniejszej książce wyrażenia „przemoc domowa”, ponieważ to ono najczęściej pojawia się w odniesieniu do zjawiska, które badam. Istnieje jednak termin znacznie dokładniejszy, który ponadto oddaje swoistą dynamikę psychiczną, emocjonalną i fizyczną w takich sytuacjach, mianowicie „terroryzm ze strony partnera życiowego”.

W scenariuszu opartym na losach Davida Powella organizatorzy szkolenia w San Diego odnieśli się bezpośrednio do potencjalnej stronniczości funkcjonariuszy zaangażowanych w zatrzymanie lub negocjacje z innymi policjantami w sytuacji kryzysowej. Gregson zapytał, jak może wpływać na nich świadomość tego, że negocjują z innym policjantem. Uczestnicy szkolenia przyznali, że taki scenariusz byłby trudny, ale upierali się, że postępowaliby zgodnie z procedurami, podobnie jak w przypadku innych negocjacji w sytuacji kryzysowej.

Jednak wydziały policji w całym kraju nadal nie potrafią dyscyplinować funkcjonariuszy, którzy dopuszczają się przemocy domowej. Przeprowadzone w Los Angeles badanie obejmujące dziewięćdziesiąt jeden zgłoszeń o przemocy domowej z rąk policjanta wykazało, że w trzech czwartych przypadków skargi te nie zostały nawet uwzględnione w ocenie okresowej sprawcy[96]. Takie sytuacje jak sprawa Davida Powella, kiedy postępowanie funkcjonariusza nie spotyka się z natychmiastową reakcją – a bywa, że takiej reakcji nie

ma wcale – nie należą bynajmniej do wyjątków[97]. Wydziały policji w całym kraju nie wyciągają konsekwencji wobec funkcjonariuszy za te same przestępstwa, za które codziennie aresztuje się cywilów. W badaniu przeprowadzonym na Florydzie w latach 2008–2012 stwierdzono, że o ile tylko mniej więcej jeden procent funkcjonariuszy zachowuje stanowisko, jeśli w wyniku testu zostaną w ich organizmie wykryte narkotyki, a w przypadku potwierdzenia kradzieży – siedem procent, o tyle blisko trzydzieści procent policjantów oskarżonych o przemoc domową rok później nadal pracuje na tym samym stanowisku[98]. Ofiary niechętnie zgłaszają przypadki przemocy domowej, obawiając się działań odwetowych, a policjanci nie tylko mają dostęp do broni, ale także znają prawo i mają kontakty z prokuratorami, sędziami i administracją publiczną. Partnerka policjanta wie doskonale, że każdy telefon na numer alarmowy zostanie zarejestrowany w systemie komputerowym w radiowozach na terenie danej jurysdykcji, łącznie z adresem, z którego wykonano połączenie, nazwiskiem sprawcy, zgłaszanym incydentem i innymi informacjami, które mogą natychmiast zaalarmować przyjaciół lub kolegów policjanta. Mało tego, co najmniej jedna czwarta departamentów policji w USA nie ma pisemnych procedur dotyczących postępowania w przypadkach wezwania do przemocy domowej[99].

Jednak kodeks milczenia, który często powstrzymuje współpracowników przed interwencją, nawet jeśli wiedzą o przemocy albo ją podejrzewają, to coś więcej niż tylko plemienna filozofia „my kontra oni”, gliniarze kontra cywile (choć większość policjantów, których spotkałam, do pewnego stopnia tak właśnie czuje). Oskarżenie o przemoc domową stróża prawa pociąga za sobą wyjątkowo poważne konsekwencje dla sprawcy – często jest równoznaczne z utratą pracy, ponieważ skazani nie mogą posiadać broni palnej. Jednocześnie stres związany z wykonywaną pracą przekłada się na wyższe wskaźniki przemocy w rodzinie, a także alkoholizm, częstsze rozwody i samobójstwa. Lekcje na temat systemu wiary w męskie role, które pamiętam z zajęć Jimmy’ego Espinozy, mają zastosowanie w dowolnym wydziale policji w tym samym stopniu co w więzieniu San Bruno.

Lou Johns, który odgrywał dziś Ronniego, to negocjator kryzysowy o najdłuższym stażu w historii San Diego. Żartuje, że obecnie

czas spędza głównie na polu golfowym – to znaczy, kiedy akurat nie ma go tutaj i nie pomaga w szkoleniu nowych rekrutów, takich jak dwudziestu jeden uczestników, którzy zjechali tu w tym tygodniu z całej Kalifornii. Johnsa poprzedza reputacja, jego „smykałka do słów”, jak mówią inni facylitatorzy. („Słyszałaś to o kolanach superbohatera?” – zapytał, kiedy weszłam do biura, gdzie odgrywał Ronniego. Zaśmiał się przy tym cicho. Miał wyciszony mikrofon w telefonie. Na drugim końcu linii słyszałam, jak Chris próbuje nawiązać kontakt, jak szuka „haczyka”. Johns wrzucił do ust pistację).

Kiedy pierwszy raz wezwano go na negocjacje, chodziło o samobójcę. Człowiek na moście. Johns bardzo się stresował. Było zimno, padał lodowaty deszcz, wiał wiatr, ponad trzydzieści kilometrów na godzinę, godzina trzecia nad ranem. Dziewczyna tego faceta sypiała z jego bratem. Johns powiedział mu, że to zjebana sytuacja. To nie powód, żeby się od razu zabijać, ale fakt, całkiem zjebana. Facet poprosił o chociaż jeden powód, dla którego powinien żyć, o jedną wymówkę, coś, czego wcześniej nie słyszał.

– Chodzi ci o jakiś dowcip? – zapytał go Johns.

– Tak – odparł tamten. – Opowiedz mi dowcip, którego jeszcze nie słyszałem.

Johns powiedział:

– Zejdziesz z tego mostu, jak powiem ci coś, czego jeszcze nigdy nie słyszałeś.

Facet powiedział, że to zrobi. Więc Johns mówi:

– Dobra, to słuchaj tego: stoję tu z tobą i odmrażam sobie czarne dupsko. Jak mi wsadzisz kijek w dupę, to będziesz miał czekoladowego loda na patyku.

Facet zszedł z mostu.

Johns ma w zanadrzu pełno tego typu historii, nieoczekiwanych i zabawnych. Raz przyszedł na miejsce, a tam ekipa SWAT w pełnym rynsztunku otoczyła budynek. Stali tak od kilku godzin. Nikt jeszcze nie skontaktował się ze sprawcą. Johns zadzwonił do niego i powiedział: „Hej, stary, może wyjdziesz, co?”. I ten facet to zrobił. Tak po prostu. Są też historie bez szczęśliwych zakończeń, te, w których

człowiek nie schodzi z mostu, a mąż nie wypuszcza żony, ale o nich Johns mówi mniej. Takie opowieści zna każda komenda policji i to one sprowadziły niemal każdego uczestnika na to szkolenie.

Johns przepracował dwadzieścia lat jako negocjator w San Diego. Jak mówi, na początku, czyli pod koniec lat dziewięćdziesiątych, nikt tak naprawdę nie zastanawiał się nad przemocą domową. „Kiedyś to było tak: dobra, skurwysynu, idziesz do więzienia. Jak kobieta zaczynała gadać głupoty, mówiło się: wali mnie to, czy będę musiał tu wrócić i wsadzić was oboje".

Rozłącza rozmowę z Chrisem. Telefon dzwoni sekundę później.

– Ronnie – mówi Chris – to mnie naprawdę frustruje, kiedy tak się ciągle rozłączasz.

– Ej, ty chuju, wiesz co? W dupie mam twoje frustracje – oznajmia Lou/Ronnie. – Raz, dwa, trzy. Rozłączam się! – Klik.

Johns odwraca się do mnie.

– Jak weszły w życie te przepisy o przemocy domowej, to od razu wszystko zrobiło się jaśniejsze – mówi. – Widać było, co tak naprawdę się dzieje.

Na początku XXI wieku dzięki szkoleniom i rosnącej świadomości na temat przemocy domowej policjanci zyskali nowy kontekst – dlaczego sprawcy są agresywni i jak potrafią manipulować, z czego wynika ponowna trauma, którą policja niekiedy fundowała ofiarom, dlaczego czasami wydawało się, że ofiary chcą zostać w przemocowych relacjach. Wcześniej na szkoleniu Kit Gruelle, jedna z mediatorek, przedstawiła sytuację, która niewiele różniła się od historii Michelle Monson Mosure – na jej przykładzie pokazała, jak ofiara może odbierać dzieci ze szkoły, chodzić do sklepu, załatwiać różne sprawy, wyglądać na „wolną", a mimo tego nadal być bierną zakładniczką pod kontrolą partnera, który przekonał ją, że nigdy nie ucieknie od niego żywa.

Odgrywana sytuacja trwa kolejną godzinę. Chociaż na pierwszy rzut oka wygląda to na improwizację, Johns ma przed sobą scenariusz. Nie wie, jak zareagują policjanci przez telefon, ale ma pewne wskaźniki co do emocjonalnego tonu sytuacji i chce, żeby funkcjonariusze je wychwycili – na tej podstawie decyduje, co powiedzieć.

Wie na przykład, że musi doprowadzić ich do frustracji, więc rozłącza się i przeklina. Wie, że jego reakcje powinny im wskazywać, kiedy popełnią błąd – jak wtedy, gdy za często go sobie przekazywali. Wie również, że nie może się wyłącznie przeciwstawiać. Musi im pozwolić zarówno na haczyki, jak i kolce. Później scenariusz przewiduje także dla niego tendencje samobójcze, kiedy to powie coś w stylu: „Sam już nie wiem. Pieprzyć to wszystko. To wszystko gówno warte. Na chuj mi to wszystko. Melissa i tak już mnie nie kocha". Policjanci na drugim końcu linii powinni zauważyć tę zmianę w tonie i zinterpretować ją jako oznakę zwiększonego zagrożenia. Jeśli sprawca uważa, że nie ma po co żyć, niebezpieczna sytuacja może okazać się śmiertelna w skutkach. To nie przypadek, że samobójstwo jest jednym z czynników ryzyka określonych przez Jacquelyn Campbell.

W kolejnej sali inny policyjny emeryt odgrywa Ronniego na potrzeby innej grupy uczestników szkolenia. Niełatwo się patrzy, jak policjanci po raz pierwszy próbują negocjacji. W głosie funkcjonariuszy często słychać zdenerwowanie, a scenariusz jest przejmująco prawdziwy, zarówno dla nich, jak i dla mnie. Nie ma znaczenia, że znajdujemy się w ceglanym biurowcu przy autostradzie w San Diego. Większość negocjacji odbywa się przez telefon, między ludźmi, którzy się nie widzą, dopóki cała sprawa nie dobiegnie końca (a w wielu przypadkach nigdy nie mają okazji się zobaczyć). Trwa drugi dzień szkolenia, a Kit Gruelle rozsyła mejlem artykuł prasowy. W stanie Georgia były porucznik zabił żonę, z którą był w separacji, oraz jej chłopaka. Na nagraniu kamery osobistej miejscowego policjanta podczas wcześniejszego incydentu, do którego doszło o trzeciej nad ranem, widać, jak rzuca się na nią, nie zważając na obecność funkcjonariuszy. Groził jej przy nich, mówił: „Wiesz, co się stanie". A jednak nie został wówczas aresztowany. Kazano mu oddać wszystkie pistolety. Mimo to znalazł dostęp do broni. Kolejny tego typu incydent wydarzył się na kilka tygodni przed szkoleniem, w Orlando, gdzie chłopak, który miał na koncie maltretowanie byłej partnerki, po trwających dobę negocjacjach zabił zakładników – czworo dzieci – po czym popełnił samobójstwo.

Prawdziwe historie przewijają się przez całą sesję. Historie facylitatorów, w tym z czasów ich pracy w policji (większość z nich jest teraz na emeryturze). Historie, które rozgrywają się w tym samym czasie, gdy uczestnicy siedzą na zajęciach. Historie lokalne i z całego kraju. Codzienne historie o wściekłych mężczyznach, przerażonych kobietach i bezbronnych dzieciach. Nieustanny strumień historii sprawia, że odgrywane tu scenariusze robią wrażenie prawdziwego życia, że mają wagę prawdziwego życia. A w dobiegających z głośnika głosach policjantów słychać niepewność i lęk przed pomyłką, desperackie próby znalezienia tej jednej, jedynej frazy, która pozwoli im dotrzeć do sprawcy.

Wszystkie scenariusze wykorzystywane na szkoleniu powstały na podstawie rzeczywistych wydarzeń. Ronnie i Melissa byli kiedyś prawdziwą parą dokładnie w takiej sytuacji, jaką policjanci odgrywali w tym tygodniu. Nazajutrz Gruelle rozsyła mejla z kolejnym przypadkiem przemocy domowej, kiedy sprawca wziął zakładników. I kolejnego, jeszcze tego wieczoru, z lotniska, gdzie wszyscy czekamy na loty do domu pod różnymi bramkami. A kiedy wracam do domu z zaczerwienionymi oczami, w skrzynce odbiorczej czekają na mnie jeszcze dwa.

W niemal każdym miejscu, jakie odwiedziłam w trakcie pisania tej książki, odbywałam również przejażdżkę w radiowozie lokalnej policji. Starałam się w miarę możliwości wybierać weekendowe wieczory. (Pewnie nie muszę dodawać, że prawie zawsze przydzielano mi najbardziej liberalnego, zabawnego przedstawiciela wydziału, choć raz, w Waszyngtonie, trafiła mi się funkcjonariuszka, dla której był to dopiero czwarty patrol i która była tak spięta, jak gdybym potajemnie szpiegowała ją w imieniu zwierzchników. Trochę się zdenerwowałam, kiedy zapytała, czy zabrałam kamizelkę kuloodporną). Pytałam ich wszystkich o przemoc domową ze strony funkcjonariuszy oraz o broń i przemoc domową w ogóle. Wszędzie, od Kalifornii po Massachusetts, odpowiadali, że postąpiliby z kolegą z pracy dokładnie tak samo jak z cywilnym sprawcą.

W ani jednym przypadku im nie uwierzyłam.

Co do broni, to wszyscy mówili, że cywile powinni mieć do niej mniejszy dostęp.

W to uwierzyłam.

Pistolety sprawiają, że ich praca staje się wykładniczo bardziej niebezpieczna, o wiele mniej przewidywalna, a w przeciwieństwie do wielu cywilów popierających prawo do broni są aż nadto świadomi, jak chaotycznie i nieprzewidywalnie toczą się wydarzenia, gdy pojawia się pistolet. Mój były mąż zwykł mawiać: „Z bronią nie da się negocjować". Wierzył, że dyplomacja daje większe szanse na to, by wszyscy wyszli z tego żywi, nie tylko sprawca.

Pomysł, że broń może „uratować" każdego w każdej sytuacji, zawsze wydawał mi się podejrzany. Pistolet to bierne narzędzie, robi to, co każe mu zrobić człowiek. A ludzie popełniają błędy. Wyobrażam sobie włamanie do domu; ktoś śpi w łóżku i nagle budzi się, a tam w ciemności pochyla się nad nim obcy człowiek. Jak broń trafia w ręce właściciela domu? Jak się ją odbezpiecza? Jak kula trafia do celu w ciągu tych kilku sekund? Może to spokojny dom; właściciel budzi się, sięga pod materac, po cichu wyciąga pistolet, po cichu go odbezpiecza, cicho schodzi na dół na palcach. Słyszy złodzieja, ale złodziej nie słyszy jego. Cicho znajduje złodzieja z telewizorem w rękach i strzela. A może to się dzieje w kinie. Facet wchodzi po ciemku i zaczyna strzelać. Ktoś na widowni też ma broń, to ten dobry. On też strzela. A może to pokój hotelowy. Facet zaczyna strzelać. Kilkanaście osób w tłumie ma broń, ale to dobrzy ludzie. Dobra broń. Zaczynają odpowiadać ogniem. Jak odróżnić dobro od zła? Celowe od przypadkowego? Może to snajper na stacji benzynowej. Ktoś w toyocie ma broń. To ten dobry. On też strzela. Może to dzieciak, a inny dzieciak ma broń. Dobry dzieciak z bronią. Dobry nauczyciel z bronią. Skąd wiesz, skąd ja mam wiedzieć, skąd ktokolwiek ma wiedzieć, kto jest kim, który pistolet jest jaki, w tych milisekundach paniki? Dokąd biec, jak się ukryć? Jak plastikowe siedzisko obite tkaniną ma zatrzymać kulę? Drzwi samochodu? Drzwi szafki? Głośnik? Pulpit z płyty wiórowej? Nieważne, kto jest dobry, a kto nie. Kule nie mają żadnych moralnych preferencji. Każdy znany mi scenariusz przemocy domowej miał jedną wspólną cechę, gdy była w nim obecna broń: nigdy, przenigdy nie ma czasu do namysłu. Nóż daje ci

sekundę na ucieczkę. Kula nie. Pistolety zwiększają niebezpieczeństwo dla wszystkich stron. Cały czas myślę o tej kobiecie ze spotkania w Montanie, o emerytowanej pielęgniarce z robótką na drutach, która powtarzała: „Pozbądźcie się tej pieprzonej broni”. Mówiła to w pokoju, w którym ponad połowa osób była uzbrojona, a ona o tym doskonale wiedziała. *Pozbądźcie się tej pieprzonej broni*.

Przez kilkadziesiąt lat zarówno naukowcy, jak i sami stróże prawa twierdzili, że wezwania w przypadkach przemocy domowej należą do najniebezpieczniejszych interwencji policyjnych. Z pewnością są też najmniej przewidywalne. Prawdą jest również to, że wielu policjantów w całym kraju zginęło lub zostało rannych podczas wezwania do przemocy domowej. W badaniu, które obejmowało okres czternastu lat, wykazano, że mniej więcej czternaście procent z siedmiuset siedemdziesięciorga jeden zabitych policjantów i policjantek (średnio nieco ponad pięćdziesięcioro rocznie) zginęło w wyniku wezwania do przemocy domowej – dziewięćdziesiąt siedem procent z broni palnej[100]. W pierwszych badaniach, kiedy zadawałam policjantom to samo pytanie podczas wspólnej jazdy radiowozem, niemal zawsze słyszałam w odpowiedzi, że interwencje w przypadkach przemocy domowej są ich zdaniem najbardziej niebezpieczne (niektórzy zaliczali do tej kategorii także kontrolę drogową). Jednak w ciągu ostatnich dwóch czy trzech lat funkcjonariusze zaczęli wymieniać historie o aktywnych strzelcach. To jest scenariusz, którego obawiają się najbardziej. W raporcie, w którym przeanalizowano dane FBI na temat incydentów z udziałem aktywnych strzelców w latach 2008–2012, autorzy stwierdzili, że w blisko czterdziestu procentach przypadków sprawca przestawał strzelać, kiedy na miejsce przybyła policja; w strzelaninach, które trwały nawet po przybyciu policji, funkcjonariusze organów ścigania ginęli od kuli w mniej więcej piętnastu procentach przypadków. W podsumowaniu autorzy raportu stwierdzają, że incydenty z udziałem aktywnych strzelców, w policyjnym żargonie znane pod akronimem ASE, to coraz powszechniejsze zjawisko i obecnie stanowią one jedną z najczęstszych przyczyn zgonów funkcjonariuszy policji[101]. Raport nie wspomina ani sło-

wem o tym, że wiele sytuacji z udziałem aktywnych strzelców zaczyna się od przemocy domowej.

Nie tylko policjanci chcieliby widzieć mniej broni w rękach cywilów. Jedna trzecia kobiet w Stanach Zjednoczonych trzyma dziś broń w domu, ale mniej niż dwadzieścia procent z nich twierdzi, że zapewnia im to poczucie większego bezpieczeństwa, a ponad połowa chce wprowadzenia bardziej rygorystycznych ogólnokrajowych przepisów dotyczących broni[102]. Ryzyko spowodowania śmierci w przemocowej sytuacji wzrasta ośmiokrotnie, jeśli jedna ze stron ma broń[103]. Od kilku dziesięcioleci obowiązuje uchwalony w 1996 roku zakaz posiadania broni, zwany poprawką Lautenberga; na jego mocy osoby skazane za wykroczenia związane z przemocą domową tracą prawo do posiadania lub nabywania broni palnej, badania jednak wykazały, że przepis jest rzadko egzekwowany[104]. Wykroczenia (*misdemeanors*), co należy podkreślić, mają w amerykańskiej legislacji szeroki zakres definicji, od prostego policzka po duszenie niemal ze skutkiem śmiertelnym, przy czym te definicje zależą od stanu. Poszczególne stany powinny uchwalić własne ustawy zobowiązujące sprawców do oddania broni, a w chwili, kiedy to piszę, tylko szesnaście wprowadziło takie zapisy[105]. Prawo federalne zasadniczo nie ma zastosowania wtedy, gdy sprawca nie pozostawał w związku formalnym, prawnie uznanym za małżeństwo[106] (często nazywa się to „luką na chłopaka”). Poprawka Lautenberga nie obejmuje również stalkingu, co oznacza, że dziesiątki tysięcy stalkerów są dziś w Ameryce legalnie w posiadaniu broni palnej[107].

April Zeoli, jedna z czołowych ekspertek w dziedzinie broni i przemocy domowej oraz profesor na Michigan State University, w badaniu przeprowadzonym wspólnie z Danielem Websterem przyjrzała się czterdziestu sześciu największym miastom w Ameryce, by zobaczyć, jaki wpływ – jeśli w ogóle jakikolwiek – mają ograniczenia dotyczące posiadania broni na zabójstwa popełniane przez partnerów życiowych. Ku zaskoczeniu badaczy okazało się, że federalny zakaz posiadania broni palnej przez sprawców skazanych za przemoc domową wcale nie zmniejszył liczby takich zabójstw[108]. Zeoli twierdzi, że istnieje wiele przyczyn takiego stanu rzeczy, w tym nie-

egzekwowanie przepisów, brak wiedzy w lokalnych jurysdykcjach na temat ograniczeń oraz duża swoboda decyzyjna sędziów w niektórych stanach, jeśli chodzi o wprowadzenie zakazu. Co więcej, przepisy są nieprecyzyjne.

> Jeśli masz prawo, które stanowi, że dana osoba nie może posiadać broni palnej, ale które już nie dodaje, kto miałby ją odebrać, jak ma zostać usunięta, gdzie przechowywana i kto ponosi tego wszystkiego koszty, […] i zostawiasz to w gestii lokalnych jurysdykcji, […] to daje to sporą swobodę działania ludziom, którzy niekoniecznie chcą wprowadzić to prawo w życie.

Jednak w dwudziestu czterech stanach, w których obowiązują ograniczenia w dostępie do broni palnej dla osób z zakazami zbliżania, w tym także tymczasowymi, prawo ma dość istotny wpływ na sytuację. Obecnie osiemnaście stanów posiada też przepisy, które pozwalają policji na konfiskatę broni palnej na miejscu, gdzie doszło do przemocy domowej[109]. Badanie Zeoli wykazało, że liczba zabójstw z udziałem partnerów życiowych zmniejszyła się o dwadzieścia pięć procent w miastach, w których przepisy o zakazie zbliżania były klarowne i egzekwowane.

„Nie zawsze chodzi o śmierć od kuli” – mówi Teresa Garvey, była prokurator i doradczyni prawna AEquitas, organizacji zrzeszającej konsultantów prawa w zakresie ścigania sprawców przemocy domowej. „[Pistolety są] używane do grożenia, uzasadniania gróźb oraz do wzmocnienia środowiska zastraszenia”[110]. Używa się ich jako narzędzia do zadawania ciosów i do przypomnienia, kto ma pełnię władzy. Jak Donte Lewis, który uderzył swoją dziewczynę pistoletem tak mocno, że z ust zaczęła jej się wydobywać piana. Co roku w Stanach Zjednoczonych ma miejsce trzydzieści trzy tysiące przypadków przemocy domowej z użyciem broni palnej – liczba ta przekracza liczbę zabójstw popełnianych przez partnerów życiowych[111]. Broń odbiera ofiarom wszelką siłę przetargową.

Najczęstszym argumentem przemawiającym za posiadaniem broni jest to, że dzięki niej kobiety są bezpieczniejsze. Że nie ma znaczenia, czy zabronimy przemocowcom kupowania lub posiadania broni palnej; jeśli będą chcieli wyrządzić krzywdę innej osobie, znajdą spo-

sób, by to zrobić. Ale Zeoli mówi: „To po prostu nie jest prawda. […] Przyszły [sprawca] nie zastąpi broni innym przedmiotem”[112]. W raporcie złożonym przed Komisją do spraw Bezpieczeństwa Publicznego i Bezpieczeństwa Wewnętrznego David Adams oznajmił, że on także postanowił sprawdzić tę teorię wśród czternastu morderców, z którymi przeprowadzał wywiady. „Jedenastu na czternastu mężczyzn, którzy użyli broni, przyznało, że nie zabiliby, gdyby nie mieli do niej dostępu – powiedział Adams komisji. – Wielu brutalnych przemocowców i tak ma już motyw, by zabić partnerkę, obecną lub byłą; przestańmy im tak bardzo ułatwiać dostęp do środków, które pozwolą im to zrobić”[113].

Kit Gruelle powiedziała mi, że to jest właśnie największe nieporozumienie dotyczące broni i przemocy domowej. „Broń dramatycznie zwiększa zagrożenie dla kobiet – stwierdziła. – Dopóki w związku nie pojawi się broń, kobieta wciąż ma wrażenie, że może poradzić sobie z tym, co się dzieje, czy to dzięki ucieczce, zamknięciu drzwi do pokoju, czy w jakikolwiek inny sposób”[114]. Jak zauważa, ci, którzy głoszą argumenty za posiadaniem broni i wymagają od kobiet, żeby się uzbroiły, w gruncie rzeczy zmuszają je do naśladowania tego, co robią ich oprawcy. Takie poglądy zdominowały całą narrację, obarczając winą ofiary za to, że nie zrobiły wszystkiego, co mogły, by się chronić. „To nie jest wada charakteru, jeśli [kobieta] nie czuje się naturalnie predysponowana do tego, żeby strzelić do ojca [swoich] dzieci” – mówi Gruelle i dodaje, że gdyby kiedykolwiek wyciągnęła broń na męża, który ją maltretował, to on „zabrałby jej pistolet i ją wyśmiał”.

Z przejażdżek radiowozami wywnioskowałam, że bez względu na to, jak często przełożeni policji mówią o przemocy domowej, tak naprawdę to kultura danego wydziału i system przekonań danego funkcjonariusza czy funkcjonariuszki będą dyktować, co dzieje się na ulicach. Pewnej sobotniej nocy w Montanie towarzyszyłam w patrolu policjantowi z ponaddziesięcioletnim stażem[115]. Trochę po północy dostał wezwanie na „domówkę”. Podjechaliśmy do przyczepy, obok której zaparkowały już dwa inne radiowozy. Za pick-upem stała płacząca kobieta z luźno spiętymi włosami, a jej mąż rozmawiał z kil-

koma policjantami na podjeździe. Mężczyzna, z którym przyjechałam – nazwijmy go Dan – minął kobietę i skierował się do wejścia do przyczepy. Dwoje dzieci z wybałuszonymi oczami, na oko poniżej piątego roku życia, kręciło się w okolicy, to wchodząc do środka, to znowu wychodząc. Inny policjant przeczesywał teren obok przyczepy w poszukiwaniu noża. Mężczyzna wezwał policję, kiedy kobieta zagroziła mu nożem. Po jego telefonie wybiegła z przyczepy i wyrzuciła nóż. Oboje pili.

Na miejscu było już ośmiu policjantów, sami biali mężczyźni. Kobieta miała na sobie rozciągniętą czarną koszulkę i legginsy. Obserwowała, jak funkcjonariusze wchodzą do jej przyczepy i wychodzą na zewnątrz, na podwórko. Trzech rozmawiało z jej mężem, z nią nie rozmawiał nikt.

– On uderzył mnie pierwszy – powiedziała, ocierając policzki.

Stałam przy przyczepie i robiłam notatki. Podniosłam na nią wzrok, dając jej znać, że usłyszałam, ale nie chciałam się odzywać. Wyraźnie myślała, że jestem jedną z nich.

Powiedziała, że ma nóż do ochrony, bo mąż się na nią rzuca po powrocie do domu z imprezy. Wtedy w drzwiach przyczepy stanęła starsza dziewczynka, nastolatka, zebrała dwójkę mniejszych dzieci i zaprowadziła je do środka. Kobieta miała na stopach zielone crocsy.

– Powiedziałaś o tym policji? – zapytałam ją.

Kiwnęła głową.

– Uderzył cię już wcześniej?

Znowu kiwnęła głową, a jej twarz skrzywiła się od płaczu. Czekałam, czy któryś z policjantów podejdzie do niej i zada jej jakieś pytania, może oszacuje ryzyko, ale żaden nie przyszedł. Sama zadałam jej kilka pytań, które znałam z Oceny Zagrożenia. Czy ją podduszał? (Tak). Czy wszystkie dzieci były jego? (Nie). Czy miał broń? (Tak). Czy miał pracę? (Tak). Ale wtedy zjawił się funkcjonariusz i powiedział jej, że ma z nim jechać. Poszłam do Dana, mojego kierowcy, i powiedziałam mu, że według kobiety facet ją maltretuje. Dan kiwnął głową.

– Niestety to on po nas zadzwonił. Więc musimy ją aresztować.

W tym momencie nastolatka wyszła przed przyczepę i zaczęła krzyczeć na policjantów.

– Aresztujecie ją? Ją?

Policjant znalazł nóż i uniósł go w górę.

– Powinniście jego aresztować!

– To on nas wezwał – powiedział Dan.

Dwójka dzieci wróciła na zewnątrz. Było oczywiste, że emocje się nasilają. Kobieta siedziała na tylnym fotelu radiowozu i patrzyła przez okno szeroko otwartymi oczami.

– Możecie przynajmniej nie aresztować jej przy dzieciach? – powiedziała nastolatka. – Zabiorę je gdzieś.

– Gdzie możesz je zabrać? – zapytał Dan.

– Do parku. – Dochodziła pierwsza nad ranem.

– Zabierzesz je do parku w środku nocy? – ciągnął Dan.

Kiwnęła głową, jakby to był całkiem rozsądny pomysł.

– Wejdźmy do środka – zaproponował Dan i pokierował ją z powrotem w kierunku wejścia do domu. Poszłam za nimi, a kiedy weszliśmy do niewielkiej przyczepy, przywitał nas niewiarygodny bałagan. Połączona z pokojem dziennym kuchnia była potwornie brudna. Na blatach piętrzyły się naczynia, garnki, papierowe talerze pokryte zeschniętymi resztkami jedzenia. Wszędzie było pełno much. Zasłony na oknach były podarte. Miejsce cuchnęło papierosami, niemytymi ciałami, pleśnią, starym jedzeniem. Na piętrowym łóżku był tylko jeden materac. Na podłodze leżał balonik ze starej prezerwatywy. W ciasnym pomieszczeniu, ramię w ramię, ustawiło się pół tuzina policjantów.

– Nie chcę, żeby tu został – powiedziała dziewczyna. – Jeśli zamierzacie ją aresztować, to jego też musicie.

Dan zapytał, czy dziewczyna boi się zostać z nim sama w domu. Przewróciła oczami jak typowa nastolatka.

– Uderzył cię już kiedyś?

Skinęła głową.

– Wieszakiem.

Nad pomieszczeniem dominował ogromny telewizor, na ekranie leciały kreskówki. Dwójka młodszych dzieciaków miała oczy szkliste z wycieńczenia. Nie okazywały żadnych emocji. Żadnego strachu ani radości, ani ciekawości, ani zdziwienia. Nastolatka spierała się z policjantami, a ja zastanawiałam się, jak to wszystko wygląda z jej punktu widzenia – sześciu dużych mężczyzn w jej salonie, ona siedzi na kanapie, a oni nad nią górują. Któryś chodził po korytarzu, świecił latarką po pogrążonych w nieładzie pokojach. Dziewczyna niewiele mówiła, a ja pomyślałam o zajęciach z negocjacji. „To nie jest przesłuchanie, tylko wywiad”. Żaden z tych policjantów nie wpadł na to, żeby cofnąć się na chwilę i odczytać nastrój, przykucnąć do jej poziomu, zwrócić się do niej jakimś prostym, podnoszącym na duchu zdaniem, zapytać na przykład, jak mogliby pomóc. Czy ma do kogo zadzwonić? Czy potrzebuje jedzenia? Zamiast tego otoczyli ją, w kamizelkach kuloodpornych, z bronią, sprzętem i syczącymi krótkofalówkami. Zostawili ją w tej ruinie, dokąd wkrótce, prawdopodobnie za kilka godzin, miał wrócić mężczyzna, który ich maltretował, a kobieta, która mogła być równie agresywna, ale przynajmniej w jakimś stopniu ich chroniła, może nie wrócić w ogóle. Było to dla mnie w pewnym sensie szokujące. Ci policjanci ani na chwilę nie przestali być uprzejmi. Znali prawo. Ale byli też zupełnie nieprzygotowani do działania czy myślenia w sposób, który sugerowałby, że rozpoznają psychologiczną złożoność sytuacji, konsekwencje tego, jak wyglądają z perspektywy dziecka. To była trauma, która rozgrywała się w czasie rzeczywistym. Nie interesowały ich ani rozsypka ludzkich emocji, ani żadne przyszłe następstwa tej chwili. Jednocześnie ich praca przygotowywała ich wyłącznie do rozróżniania dobra i zła, przestępców i cywilów.

W Massachusetts pojechałam z patrolem na wezwanie – brat napadł na siostrę. Przyjechała na posterunek, zapłakana, żeby złożyć doniesienie. Funkcjonariusz, który przyjmował jej zeznania, zaproponował jej coś do picia, wodę albo filiżankę kawy, zapytał, czy chciałaby zostać przez jakiś czas, żeby się pozbierać (zgodziła się). Potem porozmawiał z nią przez minutę czy dwie o przemocy w rodzinie, o tym, jakie to ciężkie doświadczenie, jak dobrze, że się zgłosiła. Same ogólniki. Nie zrobił nic wielkiego – zaproponował jej wodę, chwilę

na pozbieranie myśli, okazał jej odrobinę empatii. Ale o to chodzi. Zrobił tak mało, jednak to wystarczyło, by zasygnalizować, że oboje są ludźmi, a to w ostatecznym rozrachunku znaczyło dla niej tak wiele.

Kiedy wróciliśmy do radiowozu, Dan powiedział, że zadzwonią do opieki społecznej, a dwoje młodszych dzieci trzeba będzie gdzieś umieścić, przynajmniej tymczasowo, a całkiem możliwe, że na stałe, chyba że kobieta udowodni, że nadaje się na matkę. Biorąc pod uwagę, w jakim stanie był dom, nie wyobrażam sobie, żeby mogło jej się to udać. „Mogliśmy to lepiej rozegrać” – przyznał. Przynajmniej to już coś, ta świadomość. Nie zaprzeczyłam. A jednak wiele miesięcy później miałam przekonać się na własnej skórze, jak trudno jest działać nawet we własnym interesie, podczas mojej własnej minikonfrontacji ze stróżem prawa.

Sezon na odkrycia

Jadę przez węglowe zagłębie na granicy stanów Pensylwania i Nowy Jork. Lato 2018. Deszczowe. Kilka miesięcy wcześniej na mój telefon przyszła wiadomość z numeru, którego nie rozpoznałam. („Hej, Ray, nie pakuję się w żadne kłopoty! Siedzę sobie spokojnie”). To był Donte Lewis, znalazł się w Pensylwanii, w federalnym zakładzie karnym Canaan.

Po kilku miesiącach starań dostałam pozwolenie na odwiedziny. Mogłam się o nie ubiegać jako dziennikarka, ale próbowałam tego w Atwater w Kalifornii i nigdy nic to nie dało. Potem został przeniesiony, więc zdecydowaliśmy się zrobić z tego normalne widzenie, jak robią to wszyscy inni, co okazało się tyleż pouczające, co głupie z mojej strony, i mogło przynieść fatalne skutki dla nas obojga.

To, co chciałabym wiedzieć, choć podejrzewam, że nie ma na to szans, to czy Donte może nie uciekać się do przemocy w takim miejscu jak Canaan, a jednocześnie utrzymać się przy życiu. Czy przemoc to coś, co może włączyć, żeby przeżyć, powiedzmy, w federalnym zakładzie karnym, a wyłączyć, kiedy stamtąd wyjdzie? Wkrótce widzę na własne oczy, jak drobne niesprawiedliwości urastają tutaj do czegoś druzgocącego. Na przykład automaty do sprzedaży. Napis na nich mówi, że korzysta się z nich na własne ryzyko. I faktycznie, tracę przynajmniej pięć dolców, a napój w puszce kiwa się jak pijany żołnierz, na wpół wysuwa z plastikowego pierścienia i opiera o szybę, zamiast spaść do podajnika. To taka mała rzecz, sprawny automat do sprzedaży, który nie pozbawia cennych banknotów dolarowych ludzi z niewielkim ich zapasem.

Ale wszystko tutaj jest autorytarne, czy ma to sens, czy nie, czy wydaje się logiczne, czy też stanowi tylko okazję do zademonstrowania, kto ma władzę, a kto nie. Dotyczy to zarówno przyjezdnych, jak i więźniów. Na podłodze są linie, których nie wolno przekroczyć, barierki z chowanych pasów, jak te na lotnisku, które służą do tego, żeby zatrzymać ludzi w tym czy innym miejscu. Poczekalnia dla go-

ści przed kontrolą bezpieczeństwa jest cicha jak kościół podczas modlitwy. Ale panuje tu też napięcie. Jakby pojedyncze kichnięcie mogło zakłócić równowagę. To jest strefa bez emocji. Żadnego śmiechu.

Żadnych pogawędek. Żadnego bezpośredniego kontaktu wzrokowego. Strażnik z przodu jest poważny, młody, może nowy w tej pracy. Nie ma w sobie tej twardości, którą widziałam u innych strażników, tego znużenia i napiętej postawy kogoś, kto od bardzo dawna odpowiada za innych ludzi, a zwłaszcza za innych mężczyzn. Nazywam to postawą „ja wiem lepiej”. Wiem lepiej niż ty, jak działa ten system. Wiem lepiej niż ty, jak źli są ci ludzie. Wiem lepiej niż ty, jak szeroki jest zakres ludzkiej demoralizacji.

Do więzienia trafiam dwie minuty po dziewiątej rano. Podobnie jak wszystkie zakłady karne, w jakich byłam, ten również mieści się pośrodku pustkowia, na szczytach zielonych wzgórz, w otoczeniu dzielnicy robotniczej. Przed jednym z domów widzę zniszczony drewniany ganek, na podwórku pełno wyblakłych plastikowych zabawek i wyszczerbionych doniczek, a nad wejściem widnieje napis „Shangri La”.

– Spóźniła się pani na odprawę o dwie minuty – mówi mi strażnik za biurkiem. Na stronie internetowej widnieją godziny odwiedzin, od ósmej do trzeciej po południu. – Liczą o dziesiątej. Pani wróci później.

Wychodzę i siadam w samochodzie. Słucham stacji NPR. Czytam „Timesa”. Gram w głupią grę na telefonie, Township. Wracam o dziesiątej.

– Dopiero zaczęli liczyć. To trwa około godziny.

Wracam do samochodu. NPR. „Times”. Township. Wracam o jedenastej. W kolejce stoi kilkanaście osób, które najwyraźniej właśnie się pojawiły. O ile wiem, oprócz mnie jeszcze tylko dwie są białe. Oto niesprawiedliwość rasowa systemu więziennictwa w danych demograficznych poczekalni. Poza tym czekają niemal wyłącznie kobiety.

Strażnik daje mi klucz do skrytki, każe zamknąć w niej kluczyk do samochodu. „Czyli biorę ten kluczyk – podnoszę malutki kluczyk

do szafki – żeby zamknąć ten drugi kluczyk”. Podnoszę brelok z kluczami. On kiwa głową.

Nie wiem, dlaczego mówię takie rzeczy na głos. Moja najlepsza przyjaciółka, która zna mnie od dwudziestu pięciu lat, mówi mi, że mam problem z władzą. Zamykam breloczek w szafce.

Mogę mieć przy sobie jedną przezroczystą torbę, a w niej klucz do szafki, trochę pieniędzy, błyszczyk do ust, notes i długopis. Potem okaże się, że trzy z tych pięciu przedmiotów to kontrabanda.

W końcu, tuż po południu, zostajemy zabrani do głównej sali spotkań, pozbawionego okien, betonowego sześcianu z niebieską taśmą na podłodze, oznaczającą linie, których więźniowie i goście nie mogą przekroczyć. Niewielka grupa strażników, którzy wyglądają jak kupa mięśni nasiąkniętych sterydami, siedzi za biurkiem pod ścianą. Cała ta sytuacja to jeden wielki banał. Zwłaszcza ponurzy strażnicy, którzy krzyczą na nas, kiedy pod automatem gromadzi się zbyt wiele osób, i wskazują na niewielki napis, który oznajmia, że mogą tam stać najwyżej dwie naraz. Staram się rozszyfrować stojącą za tym logikę. Zostaliśmy pozbawieni wszelkich możliwych akcesoriów, więc jakie to ma znaczenie, czy pod automatem znajdzie się nas jednocześnie czworo czy pięcioro? (Jest sześć automatów, a zanim moja wizyta dobiegnie końca, wszystkie będą zepsute). Nie mam problemów z czytaniem, a mimo to ten napis trudno było zauważyć. Znieważają nas, zawstydzają. „Umiecie chyba czytać?” – mówi strażnik. Moje ego ma ochotę mu wykrzyczeć, że jestem, do kurwy nędzy, uniwersyteckim profesorem. Ja mu tak poczytam, że wczołga się z powrotem pod skałę, spod której wypełzł. Zamiast tego patrzę na niego, podnoszę w dłoni zwitek banknotów dolarowych i mówię: „Powiedziano mi, że będzie bufet”. Przez chwilę wygląda na zaskoczonego. Wiem, że cieszę się podwójnym, a może i potrójnym przywilejem. Jestem gościem, nie więźniem. Jestem biała. Jestem wykształcona. Nie jestem dumna, że czasem zachowuję się w ten sposób, że uciekam się do humoru tam, gdzie najwyraźniej nie ma nań miejsca. Żałuję, że nie słucham częściej swojego wewnętrznego redaktora. (Naprawdę chciałabym mieć wewnętrznego redaktora). On patrzy na mnie przez chwilę, a potem odchodzi. Później dowiem się, że w 2013 roku strażnik zginął tu z ręki więźnia. Ci ludzie każdego dnia boją się

o własne życie. Są prawdopodobnie nisko opłacani, przepracowani, wyczerpani. Moje życie to luksus, z którego nie zdaję sobie sprawy.

Zastanawiam się, czy rozpoznam Dontego. Minęły już prawie trzy lata. Około dwunastej trzydzieści widzę, jak wychodzi z zamkniętego korytarza w musztardowym kombinezonie i beżowych sandałach z gumy. Wydaje się o wiele starszy. Twarz ma szarą i matową. Sporo przybrał na wadze. Wygląda niby tak samo, ale też zupełnie inaczej. Jak własny starszy brat. Jego włosy nadal mają blond końcówki, ale teraz dredy nosi spięte z tyłu jak długi ogon. Na czole widzę maleńki tatuaż, coś jak loczek. Ma podbite oko.

Koszykówka. Tak się dorobił tej śliwy.

– To nic takiego – mówi, kiedy mnie ściska na powitanie.

Żałuję, że czuje potrzebę, by mnie okłamywać.

Zakład Canaan jest podzielony na geografie, mówi. Musisz być lojalny wobec swojej geografii. Gangi, które na zewnątrz byłyby śmiertelnymi rywalami, jak Crips i Bloods, tutaj mają sojusz.

– Jest setka kolesi z Nowego Jorku – opowiada mi – i tylko czterech z Kali.

Muszą trzymać się razem. W poczekalni niektóre kobiety mówiły mi, że to więzienie jest ciężkie. Trzeba zadzwonić, zanim się przyjdzie, bo inaczej człowiek tu dociera, a na miejscu okazuje się, że zarządzili blokadę. Siedzą tu somalijski pirat, sympatyk Al-Kaidy i członkowie osławionego kartelu narkotykowego z Tijuany. Współpracownik rodziny przestępczej Gambino zamordował tu towarzysza z celi w 2010 roku, zaledwie pięć lat po otwarciu więzienia. Obok Canaan znajduje się zakład satelita o minimalnym poziomie bezpieczeństwa, gdzie jak mówi mi strażnik, odsiadują wyroki skazani za przestępstwa bez użycia przemocy albo przestępcy w „białych kołnierzykach”. Mają znacznie więcej swobody. Widzą słońce.

Donte bierze tu udział w programie antynarkotykowym, choć narkotyki nie były dla niego problemem, w przeciwieństwie do Jimmy’ego. Jeśli przejdzie przez ten program, to może wyjdzie trochę wcześniej. W momencie wydania tej książki zostanie mu niecały rok.

Donte mówi mi, że nadal korzysta z programu ManAlive, ale czasami to, czego się tu uczy, stoi w sprzeczności z tamtymi zasadami i to go dezorientuje.

– Zinternalizowałem lekcje, wiesz? Ale nikt tutaj tego nie zrobił.

Kiedy zwołują poranne spotkanie, ktoś musi poprowadzić grupę, a kiedy nadchodzi jego kolej, twierdzą, że mówi jak biały facet.

– Nic nie poradzę na to, co wiem, jarzysz? – stwierdza. – Rzeczy, których nauczyłem się od Jimmy'ego i Leo. W kółko mówię „Czuję to" i „Czuję tamto", a ci kolesie nie chcą się ze mną intymować. Nie są zainteresowani.

Zatem jest sam. W sensie mentalnym jest zupełnie sam. Poza tym jego babcia zmarła ponad rok temu, a jemu pękło serce. Nie rozmawia z mamą za często. Wciąż jest trochę zły na siostrę, która nie pozbyła się z życia swojego byłego, tego faceta, który prowadził samochód w noc aresztowania Dontego. Mówi, że włącza i wyłącza lekcje, które dostał w Kalifornii, kiedy ich potrzebuje, mówi, że jest teraz o wiele bardziej dojrzały. Czasami chce pomóc znajomemu i mówi o inteligencji emocjonalnej albo oczekiwaniach wobec męskości. Innym razem dogaduje się z innymi kolesiami dla ochrony, wykorzystuje system, jak tylko może, wie, że jest w zgubnym zagrożeniu, ale musi być dla własnego przetrwania. Mówi, że stara się zachować spokój.

Więc pytam go:

– Jak się naprawdę dorobiłeś tej śliwy?

Odrzuca głowę do tyłu i wybucha śmiechem. Brakuje mu jednego zęba z przodu. Opiera dłoń na bicepsie.

– Nooo… – mówi, przeciągając sylabę. – Miałem sprzeczkę, można tak powiedzieć.

Kiwam głową.

– Nie żartuj – mówię.

– To naprawdę nic takiego – stwierdza.

Współlokator z celi wkurzył się na niego, chciał się bić. Donte powiedział mu: „Człowieku, nie zamierzam z tobą walczyć. Obaj jesteśmy z Kali. Musimy trzymać się razem". Poza tym Donte uważa, że

prawdopodobnie mógłby mu zrobić krzywdę. Tamten nie jest zbyt duży. Donte ma ponad metr dziewięćdziesiąt, niewiele mu brakuje do dziewięćdziesięciu kilo. Umie się bić. Ale czyż nie tak myślą wszyscy faceci? Mówię mu to. Że gdyby tylko chcieli, to oni wygraliby tę walkę, ale nagle wszyscy są altruistami i ratują tego drugiego przed furią, którą mogliby wyzwolić, ale nie chcą. Bardzo wielkomyślnie.

Donte śmieje się, kiwa głową, przyznaje mi rację.

– Ale poważnie. To nie jest duży facet, jarzysz?

Ale współlokator z celi i tak go uderzył. Donte powiedział, że to nic takiego, ale był wkurzony, bo miał się spotkać ze mną i to by wyglądało naprawdę kiepsko. Faktycznie, tak to wygląda.

Za mną na ścianie wisi obrazek, scena w parku z ławką, który wygląda, jakby go namalował gimnazjalista albo licealista. Co jakiś czas więzień podchodzi tam z kobietą i dzieckiem i robi zdjęcie na tle fałszywego parku. Jedna dziewczynka, może sześcioletnia, ma na sobie fioletową, błyszczącą koszulkę z napisem „Najlepszy dzień w życiu”.

Donte ma nadzieję, że w Community Works znajdzie się dla niego praca, kiedy wyjdzie. Chce znowu dokończyć swój staż. Nic nie wie. Jimmy, Leo, nikt się z nim nie kontaktował, ale nadal ma nadzieję. A potem może, jak mówi, może uda mu się przyjechać na wschód. Patterson, New Jersey. Albo Jersey City. Ma jakichś krewnych. To by było z dala od znajomego środowiska Oakland. Uważa, że potrzebują tam ManAlive. Może mógłby coś zacząć.

Jego towarzysz z celi dostał list, kiedy Donte był jeszcze w Atwater, od dziewczyny, która znała Kaylę Walker, niegdysiejszą miłość jego życia. Ponoć w liście było napisane, że Kayla przywaliła jakiejś innej dziewczynie butelką rémy martin. Pierwsza myśl Dontego była taka, że może to on był odpowiedzialny za zrujnowanie jej życia.

– Zastanawiam się, czy to ja ją tego nauczyłem – mówi, a na twarzy maluje mu się wyraz skruchy.

Później, kiedy wychodzę z więzienia, jeden ze strażników zabiera mi zeszyt, trzy godziny notatek. Wiedziałam, że to niedozwolone, ale pomyślałam, że zabiorą mi go podczas kontroli bezpieczeństwa, jeśli naprawdę nie wolno go ze sobą zabrać. Tak samo z błyszczykiem do ust. I biustonoszem na fiszbinach. Jak na lotnisku. Podnieś go pod

światło i wyrzuć do śmieci. Nadzorca mówi mi, że mógłby zawiadomić FBI już na podstawie pierwszej strony moich notatek, w których opisuję salę spotkań z więźniami, niebieską taśmę na podłodze. Wybucham głośnym śmiechem (co, warto podkreślić, stanowi najgorszą możliwą reakcję). Oboje wiemy, że FBI nie zajmie się czymś takim w niedzielne popołudnie, ale wiemy także, że nie powinnam śmiać się głośno ze strażnika, który właśnie mnie upomina. Potem mówię mu, że to nie ma znaczenia, bo obraz tego pomieszczenia mam na stałe utrwalony w mózgu.

Mówi, że ten notes to kontrabanda. Podaję mu błyszczyk do ust. To też jest kontrabanda, prawda? Wkładam ręce za plecy i zaczynam zdejmować stanik.

– To też? – pytam. Uśmiecham się. Stoi za nim sześciu strażników. Widzę, że z kieszeni jego spodni wystaje mój notatnik.

– Na stronie internetowej nie ma nic o notesach – mówię mu.

Ma regulamin w drugiej kieszeni. Wyciąga go i zaczyna mi go czytać. Właściwie to nie ma w nim mowy o żadnym notesie.

– Widzi pan? – pytam. – Widzi pan?

– Jeśli nie ma o tym mowy, to nie jest dozwolone.

Mówię, że tampony też nie. O nich też regulamin nie wspomina. Czyli też nie wolno? Kobiety mają krwawić na podłogę?

Szczerze mówiąc, na tym etapie wiem już, że nie odzyskam swojego notesu. Że oboje wdaliśmy się w rywalizację, a on ma za sobą widownię, przed którą nie ustąpi. Żeby użyć słów programowych: znalazłam się w stanie zgubnego zagrożenia, tak samo jak on, a on ma za sobą wsparcie kolegów i tylko jedno z nas ma tu jakąś faktyczną władzę. Poza tym w tym momencie rozpoznaję własną roszczeniowość. Jestem dziennikarką. Jestem biała. Jestem wykształcona. Ale jaki ma sens to, że stawiam mu wyzwanie? Co ja robię? Czy nie nauczyłam się niczego od Jimmy’ego Espinozy i Dontego Lewisa oraz Hamisha Sinclaira, Davida Adamsa, Neila Websdale’a i wszystkich innych mężczyzn, z którymi przeprowadzałam wywiady przez ostatnie kilka lat? Co ja robię?

I wtedy wiem, bo nagle ogarnia mnie wstyd. Odwracam się i wychodzę z więzienia do samochodu, gdzie chwytam za komputer i wpisuję wszystko, co zapamiętałam z trzech godzin spędzonych z Dontem. Jego podbite oko, więzienne sojusze, małą dziewczynkę w fioletowej koszulce, automaty, jego wyrzuty sumienia z powodu Kayli. To właśnie tam, siedząc w samochodzie na parkingu, uzmysławiam sobie, że to nie fakt, że złamałam zasady, naprawdę mi przeszkadza. Nie chodzi nawet o to, że próbując je złamać, zignorowałam przywilej, jaki mi przysługuje. (Wyobraźmy sobie, że jedna z regularnych odwiedzających, czarna kobieta, która przychodzi w każdą niedzielę, oczekuje, że ujdzie jej na sucho to, co ja chciałam zrobić). Liczy się to, że przecież powinnam być mądrzejsza. Żałuję, że w tej chwili nie zachowałam się dokładnie odwrotnie. Żałuję, że kiedy ten nadzorca przyszedł z moim notesem w kieszeni i powiedział mi, że to kontrabanda, nie odparłam: „Ma pan rację. Naprawdę mi przykro”.

Tuż przed pożegnaniem z Dontem, kiedy obiecałam wrócić i odwiedzić go ponownie, a także wysłać mu kilka książek, zapytałam go, co myśli o czasie spędzonym w Community Works, gdy przez te kilka miesięcy pracował z Jimmym poza biurem szeryfa, z brutalnymi mężczyznami, choć nie był jednym z nich. O tej krótkiej chwili wytchnienia. Jego życie przez dziesięć lat było więzieniem, było otoczone przemocą, poza tymi kilkoma miesiącami. Odparł, że to był pierwszy raz, kiedy otaczali go ludzie, którzy w niego wierzyli. I to sprawiło, że uwierzył w siebie. Podsumował to jednym słowem. „Odkrycie”. Tak to widział. Czas prawdziwych „odkryć”.

Może pewnego dnia znowu tam wróci.

Ci, którzy pękają

Mija kilka lat, zanim znów spotkam Jimmy'ego Espinozę. Wszystkie te miesiące, kiedy nie był w stanie przytyć? Kiedy był chudy jak patyk mimo diety złożonej z gigantycznych burrito okraszonych smażoną fasolą? Okazało się, że wrócił do ćpania. Wrócił do narkotyków. Wrócił do tego gówna, choć tak ciężko pracował, żeby się z niego wydostać. Zgłosił się do zamkniętej placówki tuż obok biura szeryfa, gdzie prowadził zajęcia ManAlive. Zadzwonił do mnie na komórkę w sobotni wieczór. Powiedział, że to ciężka droga, ale tym razem jest zdeterminowany, żeby wytrwać. Żeby nie stosować przemocy. Żeby rzucić picie. Żeby utrzymać pracę. Żeby być lepszym, silniejszym, twardszym, przyznać się do swoich słabości, bo jeśli się do nich przyzna, jeśli przyzna, jak mu ciężko, stanie się silniejszy. W Community Works czeka na niego praca. Kiedy zapytałam go, co z książką, czy nadal chce, żebym o nim pisała, zamilkł na chwilę. Potem powiedział: „Kurwa, no pewnie, że tak. To jest prawda. Moje życie to walka każdego dnia. Każdego cholernego dnia".

Skończył roczny odwyk i wrócił do biura szeryfa, do prowadzenia zajęć. Jest zdrowszy niż kiedykolwiek. Przybrał na wadze, zaczyna każdy dzień od pompek, a kończy na lokalnej siłowni. Porównujemy bicepsy. Przez kilka miesięcy mieszkał w ośrodku dla uzależnionych, a potem znalazł własne mieszkanie. Pierwszy podnosi rękę, jeśli ktoś zapyta, kto tu jest zjebem, w każdej grupie musi przypominać, że jest jednym z nich. Oprócz ManAlive w San Bruno prowadzi też grupę anonimowych narkomanów, jeździ po kościołach i ośrodkach społecznych w okolicy i nie udaje, że to wszystko jest łatwe.

To ciągła walka, dla niego i dla wszystkich facetów, z którymi pracuje, żeby nie wrócić do poprzedniego życia. Do narkotyków, na ulicę, do tego, jak kiedyś żył. A to nadal go ciągnie, czuje to w brzuchu, w głowie. Mówi o heroinie i kokainie, jakby to były księżniczki z bajki, Śnieżka i Kopciuszek, tak je nazywa. Jest w tej paraleli coś niepokojącego, ale nie wytykam mu tej potencjalnej mizoginii, bo

byłoby to niesprawiedliwe w chwili, gdy zebrał się na odwagę, żeby pójść na odwyk, i naprawdę się stara. Narkotyki to piękne, seksowne, cudowne, wabiące kobiety, kobiety leżące w białej pościeli w miękkim świetle, kuszą go i uwodzą. To nie są trójwymiarowe, prawdziwe kobiety, ale tymczasowe kochanki. Straszne kusicielki, dręczycielki. Wie, że dadzą mu chwilę ekstazy w zamian za tę przepełnioną głębokim strachem świadomość, jaka przychodzi wraz z porażką, wraz z aktem przemocy wobec własnego ciała, jak on sam by to określił.

Dostał drugą szansę. I trzecią. I czwartą. Przeżył jedno życie, dwa, trzy, siedem. Myśli, że to jego ostatnie. Przysięga chłopakom w swoich grupach, rodzinie, mężczyznom i kobietom, którzy mieszkają z nim w ośrodku leczenia, przemocowcom i alkoholikom, narkomanom i trzeźwym uzależnionym, facetowi, który co miesiąc odbiera od niego czek na czynsz, dzieciom i kobietom, które niegdyś kochał i maltretował, a także współpracownikom takim jak Reggie i Leo. Ślubuje i przysięga, i zazwyczaj dociera do końca dnia, a wtedy odczuwa rodzaj głębokiej ulgi, że oto znowu mu się udało. Spośród wszystkich przyrzeczeń, jakie składa niezliczonym rzeszom ludzi, najgłębsza przysięga jest zarezerwowana dla niego samego.

Na facebookowym profilu pisze o walce. O tym, jak kuszą go te dwie, Śnieżka i Kopciuszek. Jakie są piękne. Jak hipnotyzujące. Ale on się nie podda. Nie tej nocy. I miejmy nadzieję, że następnej też nie. Co dalej, tego nie widzi, albo nie chce patrzeć. To nie jest tak, że się zahibernował, mówi. Nie ukrywa się. Po prostu trzyma się z dala od miejsc, które go ciągną, od zakamarków w Haight tętniących żywymi, głębokimi wspomnieniami, od pewnych ulic, gdzie wystarczy spojrzeć w górę na okna, a natychmiast przypominają się całe wszechświaty: „Ta dziewczyna mieszkała tam, w tym mieszkaniu – powiedział mi pewnego popołudnia, wskazując okno nad sklepem z drogą męską odzieżą. – A ja siedziałem tam i patrzyłem na moje dziewczynki”. Jego dziewczynki, to jest część tego obrazu. Mężczyzna. Okno. Zaciśnięte mięśnie. System reagowania w pogotowiu. Mogę go sobie wyobrazić jako niedźwiedzia.

Ćpać chodził gdzie indziej. Krył się z tym szajsem. Nafurany alfons to bezbronny alfons. Nafurany alfons traci dziewczynki, traci terytorium. Bardzo długo nikt nie miał pojęcia, że ćpa. Walił w żyłę w

jakimś pokoju motelowym, leżał w poprzek łóżka i czuł się chujowo. Sam się wyzywał we własnej głowie za to, że jest takim ludzkim śmieciem. Ale to go nie powstrzymało. Nic go nie powstrzymało.

Blizna nad prawym okiem, schowana w brwi, brak sześciu zębów. Śmieje się z tego, jak wygląda. Jak gangster. Jak bandzior. Jak facet, którego w życiu nie przedstawiłabyś tacie. Ale mówi o miłości. Jego babcia zmarła w wieku dziewięćdziesięciu siedmiu lat i pękło mu serce, potem napisał, jak bardzo go kochała. Kiedy na ulicę zajeżdżało w nocy z piskiem opon dziesięć, dwanaście radiowozów, ona modliła się, żeby nie przyszli po jej wnuka, po Jimmy'ego. Wiedziała, że był alfonsem. Czasami przyprowadzał swoje dziewczynki do niej do domu, a ona robiła im coś do jedzenia, patrzyła na nie i mówiła: „Wiesz, że robisz w małpim biznesie, a ten tutaj to małpa", po czym wskazywała na Jimmy'ego.

Idę z nim do biura szeryfa na nowe zajęcia. Byłam tu już wcześniej, kilka lat temu, kiedy Donte był jeszcze stażystą, ale dziś wieczorem siedzimy w sali na górze. Około jednej trzeciej grupy to nowicjusze, co oznacza, że będą wyciszeni. Siadają w kręgu w kolejności starszeństwa. Mają na sobie luźne bluzy, za duże dżinsy, pochlapane farbą koszulki. Ci mężczyźni są zmęczeni, wielu z nich ma za sobą cały dzień pracy, a teraz tu przyszli, bo mają nakaz sądowy. Niektórzy zaczęli ten program w San Bruno i kończą go tutaj w ramach zwolnienia warunkowego. U przynajmniej kilku wyczuwam otwartą wrogość. Kalendarz z poprzedniego roku zatrzymał się na czerwcu. Kilka stołów odsunięto na bok, pod ścianę.

Z zewnątrz dobiega hałas ruchu ulicznego. W pobliżu mieści się lokalny areszt, a tuż za nim – główna siedziba firmy Airbnb. Takie właśnie jest San Francisco dla Jimmy'ego i jemu podobnych, dla ludzi, którzy nie mogą liczyć na tłuste kąski z Doliny Krzemowej: miejsce pełne dychotomii. Przy jednym krawężniku pod ogrodzeniem z metalowej siatki leży masa potłuczonych butelek po alkoholu, a przecznicę dalej lokalny browar sprzedaje hipsterom piwo po piętnaście dolców za kufel.

Jimmy zaczyna od pierwszego punktu programu.

– Odpowiedzialność – mówi. – Co to znaczy?

– Etap pierwszy: powstrzymać swoją przemoc – odpowiada mu jeden z mężczyzn.

W San Bruno wszyscy faceci w programie dopiero czekają na wyrok, co przekłada się na najlepsze zachowanie. Na zajęciach siedzą prosto jak klasowi prymusi. Na zewnątrz rozpraszały ich rozmaite czynniki – związki, narkotyki, alkohol, gangi, broń, kto wie co jeszcze. W więzieniu są tylko oni, ich historie i czas. I powiedzmy sobie jasno: Jimmy też ma w tym swój udział. Jego praca ma ogromne znaczenie. Nie jest naiwny i wie, że za jego determinację do prowadzenia czystego, wolnego od przemocy życia w dużej mierze odpowiada fakt, że otrzymuje stałe wsparcie, także w postaci wypłaty. Ale tutaj, w społeczeństwie obywatelskim, ci faceci na powrót słyszą zew wszystkich tych starych wyzwalaczy, dawnego sposobu życia. Swoich znajomych, biznesów, kobiet. Połowa uczestników wygląda, jakby byli na najlepszej drodze do krainy snów. Jeden facet trzyma łokcie na kolanach i gapi się w dywan. Innemu opadają powieki. Trzech z obecnych tu mężczyzn nosi pod spodniami monitorującą opaskę elektroniczną. Jeden ma dwie, po jednej na każdej nodze.

Ale Jimmy to nie jakiś profesorek z frymuśnej uczelni. Jest jednym z nich. Rozumie ich zmagania, zna je na wylot. Nie z książek i nie z badań – inaczej niż ktoś taki jak ja, intelektualnie – ale z trzewi. Towarzyszyłam mu podczas sesji dość często i wiem, że on doskonale widzi tych facetów, którzy uważają się za niewidzialnych. Tych, którzy przychodzą pijani. Tych, którzy zasypiają. Którzy się zginają wpół. Którzy gapią się na niego prowokująco, gdy mówi. On ich widzi. On wie. Raz na jakiś czas musi kogoś wywalić z zajęć, kogoś, kto przyjdzie nawalony albo kto nie bierze udziału, a wtedy sąd się dowiaduje, a Jimmy mówi, że czasem facet wraca do tej samej grupy, z której został wywalony.

„Odpowiedzialność” – mówi Jimmy. Cztery sposoby na to, by znaleźć się w stanie zgubnego zagrożenia. Pierwszy to zaprzeczanie. „Ja tego nie zrobiłem. To nie byłem ja”. Następny to umniejszanie. „Żeby umniejszyć efekty mojej przemocy” – mówi im. Słowa takie jak „ale” i „tylko” są tu wskazówkami. „Uderzyłem ją tylko raz. Tylko trochę ją popchnąłem. Ale ona rzuciła się na mnie pierwsza”.

Obwinianie i zmowa to dwa pozostałe sposoby. „Ona uderzyła mnie pierwsza – mówi. – Pyskowała mi”. To jest obwinianie. Zmowa polega na tym, że, powiedzmy, inny facet siedzi tam obok ciebie. „Ej, koleś, pozwolisz jej tak do ciebie mówić? Gdybym był na twoim miejscu, tobym jej pokazał”.

Jimmy mówi im, że jeśli będą się trzymać z dala od tych czterech zachowań, nigdy więcej go nie zobaczą, „chyba że w parku, na meczu Gigantów”.

Śmieją się. Jimmy przypomina im historię o Kelly, o tym, jak ją porwał. To druga z jego trzech kluczowych opowieści i większość z nich już ją wcześniej słyszała.

– Wszystko w raporcie policyjnym było prawdziwe na sto dwadzieścia pięć procent. Wszystko, co powiedziała, było absolutnie prawdziwe – mówi. Opuszcza głos i robi krok w ich stronę, wygina ciało w łuk, pochyla, przyciąga ich uwagę. I to działa. Siadają prosto i słuchają. – I wiecie co? Każdy raport policyjny na mój temat: ja to zrobiłem. Nie mam pojęcia, jak to jest, kiedy cię niesłusznie aresztują. Nie mam pojęcia, jak to jest, kiedy ktoś nakłamie na mój temat. I to właśnie staram się wam pokazać. Wiem o tym i nie jestem przez to wyjątkowy, ale wiem, że nikt nigdy o mnie nie nakłamał. To wszystko prawda. I to właśnie mnie tutaj trzyma. Nie chcę żyć, oglądając się przez ramię. Nie chcę, żeby moja partnerka bała się za każdym razem, jak wchodzę do domu.

Wycofuje się w stronę tablicy, prostuje, pociera ręce. Ma na sobie beżowe spodnie i sportowe buty.

– Jarzycie trochę, o co mi chodzi? – pyta.

Jeden facet mówi: „Nie”.

– Co tydzień będziesz to słyszeć – ciągnie z uśmiechem Jimmy. – Nie bój nic. Praca zaczyna się od zgubnego zagrożenia. Rozbijcie to na dwa słowa. Zgubne oznacza śmierć, jasne? Zagrożenie. Śmiertelne niebezpieczeństwo. Jedziesz autostradą, ktoś ci zajeżdża drogę i mówisz: „Kurwa!”. I podnosisz ręce. – Pokazuje rękami, przyjmuje postawę obronną.

Jeden z nich mówi:

– Twoja męskość została zakwestionowana.

Jimmy kiwa głową. Mówi im, że ich tętno wzrasta, mięśnie twardnieją, twarz wykrzywia grymas. To wszystko jest podświadome. Nie wiedzą tego, ale to odpowiedź układu limbicznego na zagrożenie. Jimmy demonstruje, przesadza przy tym i błaznuje, a oni się śmieją.

Mówi, że wszyscy jako małe dzieci nauczyli się, że chłopcy nie płaczą.

– Tata albo mama mówili: „Nie płacz. Opanuj się”, prawda? Dlaczego nie? To bolało. Dlaczego nie płakać? Co jest niby złego w płaczu? Chłopcy nie mogli płakać, kiedy ich bolało, jak się przewrócili, ale moja córka? Nawet mi nie mówcie. Podnosiło się ją, przytulało i całowało, a syn słyszał, żeby przestać płakać. – Kręci głową. – Teraz, z całą tą edukacją, mówię: „Chodź tu, mały. Mam ochotę płakać razem z tobą. Wiem, że to boli. Już dobrze. Płacz”.

Mówi o tym, jak dorastał, wierząc, że kobiety mają służyć mężczyznom, bo patrzył, jak jego babcia i kuzynki robią jedzenie, podają je i sprzątają, a chłopcy w tym czasie siedzieli i oglądali mecz. Czego oni wszyscy zostali nauczeni? A teraz jest dorosłym mężczyzną i już wie, bo musiał nauczyć się, jak się wykarmić, jak robić własny pieprzony omlet.

– Nie umiałem nikogo doceniać – mówi o swoich poprzednich dziewczynach, o Kelly. – Nigdy nie miałem złej partnerki. Miałem złe nastawienie.

– To na pewno – mówi jeden z chłopaków. Jimmy się śmieje.

Mówi, że ma wielu ludzi, którzy go kochają, ale kiedy był młodszy, to się nimi nie przejmował. Teraz wydaje mu się to niedorzeczne. Dawniej martwił się, jak zaimponować innym mężczyznom, innym alfonsom, innym ulicznym gangsterom, takim jak on.

– Przejmuję się jakimiś skurwielami, których nawet nie znam. Chcę być takim męskim skurwielem. A kiedy jestem zajęty robieniem wrażenia na osobie, której nie znam, krzywdzę ludzi, którzy mnie kochają.

Mówi, że to był jego wewnętrzny zabójca. Wewnętrzny przymus, który podpowiada mężczyznom, żeby byli agresywni, który ukrywa

mężczyzn przed ich autentycznymi uczuciami, wzmacnia ten męski system przekonań.

– Nazywamy nasz wizerunek zabójcą. Dlaczego? Bo zabójca porusza się w ciszy. Zabójca nie wychodzi na ulicę. Nie jeździ wielkim cadillakiem, nie napieprza muzyką i nie jara gibona. Ten skurwysyn mieszka na przedmieściach, prowadzi firmę budowlaną, czaicie? Ma trójkę dzieci w katolickiej szkole.

Jimmy chodzi teraz po sali, do przodu i do tyłu, jak po ringu bokserskim. Każdy zabójca jest inny. To zależy od wewnętrznych kłamstw, w które każe ci wierzyć. Jimmy mówi, że to „manipulujący, agresywny dziwkarz". Staje w miejscu.

– Każde z tych słów jest głębokie, kiedy mowa o zbrodni przeciw twoim córkom.

Właśnie o to tu chodzi – mężczyźni potrafią zrozumieć kogoś, kto chce, żeby jego córka była bezpieczna, żeby nie miała styczności z facetami takimi jak oni, ale jakoś nie obejmuje to ich partnerek. Ten pogląd zawsze mnie uwierał; czy cudza historia coś dla nas oznacza tylko wtedy, gdy widzimy w niej siebie samych, nasze własne losy? Czy nie możemy po prostu wierzyć, że wszyscy powinni być bezpieczni, a nie tylko ci, którzy przypominają nam nasze matki i córki? Czy do empatii niezbędne jest podobieństwo położenia? W Jimmym było coś jeszcze. Kiedy wspominałam mu, że muszę porozmawiać z Kelly, poznać jej wersję zdarzeń, może pogadać z jego dziećmi albo z jego rodzicami, milkł. Rozmawiałam raz z jego ojcem, ale chyba nie był specjalnie zadowolony, że jego syn rozmawia z dziennikarką. Oznajmił mu to w mojej obecności. „Będziesz jej o sobie opowiadał?" – zapytał, gestem wskazując na mnie. Jimmy odparł, że nie ma problemu, ale jego ojciec potrząsnął głową. A Jimmy po prostu znikał, gdy planowałam rozmawiać z tymi ludźmi, z jego rodziną. Mówił, że nie chce wywoływać w nich kolejnej traumy, a ja to rozumiałam. Wszyscy dbamy o bezpieczeństwo naszych bliskich. Ale potem zadałam mu drugie pytanie: „Dlaczego decydujesz za dorosłe kobiety – córkę, matkę, byłą dziewczynę – z kim mogą rozmawiać, a z kim nie?".

To wtedy Jimmy przestał się do mnie odzywać.

W końcu skontaktowałam się z Kelly, jego byłą. Zgodziła się udzielić mi oficjalnego wywiadu. Powiedziała mi, że wszyscy ich znajomi i członkowie rodziny znali już tę historię. Kelly opisała się jako „główna historia Jimmy'ego". Rozumiała, że opowieść o niej stanowi część jego misji przeciw przemocy, a także jego własnego zdrowienia. Nieszczególnie jej się to podobało, że musiała poświęcić własną prywatność dla jego powrotu do zdrowia, a także dla powrotu do zdrowia mężczyzn, których nigdy nie poznała. Ale pogodziła się z Jimmym, odbudowała własne życie i – jak stwierdziła – już nigdy więcej nie pozwoli, żeby jakiś facet nią poniewierał.

Powiedziała mi, że Jimmy to pierwszy człowiek, który ją dobrze traktował, przynajmniej na początku. Miał dużo pieniędzy i był miły, choć Kelly opisuje go także jako „drapieżnika". Po latach, kiedy wreszcie nabrała odwagi, by go opuścić, ludzie mówili, że z niego „rezygnuje". Czuła się bardzo winna, ale nigdy nie wróciła. Jej córka, jak mówi, ma teraz wspaniałe relacje z ojcem, ale to nie ma nic wspólnego z Kelly. Ona i Jimmy są jej rodzicami, to wszystko. Kiedy zapytałam ją, czy wierzy, że naprawdę się zmienił, powiedziała, że owszem, ale stwierdziła też, że przy niej pewnie by wybuchł w ciągu minuty. To sprawia, że trzyma się od niego na dystans.

Zanim się rozłączyłyśmy, zapytałam ją, czy uważa, że brutalny mężczyzna może się naprawdę uwolnić od przemocy. Zastanowiła się przez chwilę. „Pewnie mogą się wyzbyć przemocy w dziewięćdziesięciu procentach. Ale jest w nich jakaś niewielka część, której nie da się naprawić".

Jimmy zaś już nigdy więcej się do mnie nie odezwał.

Jimmy powiedział mi kiedyś, że wie, kiedy kobieta chce go „naprawić". Że rozpoznaje u kobiet pewien fetysz ocaleńca – oto niegdyś brutalny mężczyzna, a odrodził się jako człowiek, który nie boi się własnych słabości i uczuć. Nie ma nic bardziej seksownego niż facet świadomy własnych emocji, prawda? Kiedy patrzę na jego profil na Facebooku, widzę, że nie kłamie. Pod każdym wpisem zainspirowane jego historią kobiety nie szczędzą mu komunałów. Powiedział, że jedna kiedyś przyleciała z drugiego końca kraju, żeby się z nim spotkać.

A to mnie trochę uwiera. Powiedziałabym nawet, że wkurza. Faceci tacy jak Jimmy nie są niezwykli. Nie są godni szczególnej uwagi. Robią po prostu to, co powinni – nie biją kobiet. Jeśli w ogóle można mówić o jakimś triumfie, to jest to ich przeciętność. David Adams też jest sceptycznie nastawiony do tego, jak nasza kultura fetyszyzuje opowieści o przezwyciężeniu przeciwności. Do głosu znów dochodzi tu ich narcyzm, ta charyzma, która od początku ich cechowała. „Stąd łatwa droga, żeby zostać nieprzewidywalnym, charyzmatycznym postrzeleńcem, który nigdy nie bierze odpowiedzialności za przemoc, której się dopuszcza”.

Jimmy opiera się o tablicę, jego głos znowu nabiera tego chropowatego brzmienia.

– Urodziłem się i wychowałem w ulicznym gangu – mówi. – Mógłbym teraz wrócić w pełni do tamtego życia. W tej chwili. Miałem czteromiesięczny nawrót w 2014 roku. Wróciłem w kwietniu 2015. Wiecie co, chłopaki? Prowadzę piękne życie. Trzymam się pozytywnych ludzi. Później wieczorem idę na siłownię, a potem zjem coś dobrego. Wezmę prysznic i położę się do łóżka.

– To jest dobre życie! – mówi któryś.

– Owszem. – Jimmy kiwa głową. – Mogę nawet wpaść na spotkanie AA o dziesiątej. Jestem w rozsypce. Mam nad czym pracować. Nie muszę was naprawiać. Muszę naprawić siebie, bo to ja jestem problemem. I chcę, żebyście wszyscy to samo zrobili, ale wiecie co? Prawda jest taka, że facet po prawej nie da rady, ale facet po lewej da. Uda się dziesięciu procentom z was. Siedziałem tam, gdzie wy teraz, przez dwa lata. Nic do mnie nie docierało. Nie chciałem odstawić narkotyków, zakończyć niezdrowych relacji, zejść z ulicy. Byłem w czarnej dupie. I nie zamierzam się przez was stresować. To jest cała, bezlitosna prawda. Nie zamierzam was niańczyć ani wam niczego ułatwiać. Więc jeśli chcesz tu przychodzić co tydzień i spać, to masz pecha, stary. Bo cokolwiek cię tu sprowadziło, ta sytuacja się powtórzy… a jeśli nie znasz tego materiału, to zrobisz dokładnie to, co zrobiłeś ostatnim razem… a ja tu będę siedział jak jakiś pieprzony ptasiarz. Więzienie jest jak jezioro Tahoe. Zawsze otwarte. Bądźcie tu i bądźcie obecni.

Jimmy przechodzi tu do trzeciej historii, tej, którą słyszałam tylko raz i nigdy nie mogłam zweryfikować z nikim z jego bliskich. Tej, która wstrząsnęła nim najbardziej. Nie jest długa ani szczególnie niezwykła. A jednak Jimmy mówi, że to była najbardziej bolesna chwila w jego życiu.

– Miała dwanaście lat – mówi. Jego córka była molestowana seksualnie, przez kogoś, kogo wszyscy znali.

– Musiałem podjąć parę poważnych decyzji – mówi im. – Albo pójdę i rozwalę temu skurwielowi łeb, bo miałem po temu słuszne powody, co nie? Odsiedziałbym jakieś trzydzieści lat, ale to nic wielkiego. I tak jestem gangsterem. Urządziłbym się wygodnie w każdym zakładzie, każdym. Czyli co, mam zabić tego skurwysyna czy nic nie zrobić?

On *myślał*, że taki wybór ma przed sobą w momencie, kiedy dotarła do niego wiadomość. Zabić tego faceta albo nie. Ale, jak mówi, zdał sobie sprawę, że tak naprawdę nie taka stała przed nim decyzja. Tak naprawdę musiał zdecydować co innego: „Czy uznam, że tu chodzi o mnie, i pójdę zabić tego skurwiela? Czy może chodzi o moją córkę, więc powinienem się nią zająć?". Jeśli zabije tego typa, sam się usunie z życia córki w chwili, gdy ona najbardziej go potrzebuje.

– O, kurwa – szepcze któryś nowicjusz.

– Dopilnuję każdego z was, zrobię co się da, żeby wasze partnerki się nie bały, kiedy będziecie wracać do domu – oznajmia Jimmy cicho. – Pracuję na pierwszej linii frontu dla ofiar i chcę zobaczyć, jak się bierzecie za poprawę swojego życia, bo to będzie znaczyło, że na świecie jeszcze jedna kobieta jest bezpieczna.

Część III

Środek

W szczelinach

Mniej więcej w tym samym czasie, kiedy Rocky zabił Michelle i ich dzieci, na drugim końcu kraju Dorothy Giunta-Cotter próbowała się uwolnić od maltretującego ją męża Williama. Razem z najmłodszą córką Kristen uciekła do schroniska w stanie Maine, a lokalny sędzia właśnie odrzucił jej wniosek o tymczasowy zakaz zbliżania dla męża. Sędzia stwierdził, że nie ma jurysdykcji do wydania nakazu ochrony, ponieważ Dorothy mieszka w stanie Massachusetts.

Zatem Dorothy zadzwoniła na gorącą linię do ośrodka pomocy ofiarom przemocy domowej w swoim rodzinnym mieście Amesbury w stanie Massachusetts. Nigdy wcześniej nie dzwoniła do Centrum Kryzysowego Jeanne Geiger i nikt tam nie znał jej historii. Niemniej porozmawiała z aktywistką Kelly Dunne. Kelly Dunne zazwyczaj nie pracowała w niedziele, ale tego szczególnego dnia akurat była w pracy, a coś w głosie Dorothy sprawiło, że instynktownie rozpoznała niezwykle niebezpieczną sytuację. Dunne znalazła miejsce dla Dorothy i Kristen w schronisku w Salem. Później tego samego dnia spotkała się tam z nimi, a Dorothy opowiedziała jej o swoim niewiarygodnie dramatycznym położeniu.

Rozmawiały przez cztery długie godziny. Dunne pamięta niezwykłą cierpliwość Kristen, która siedziała pod drzwiami pokoju, podczas gdy jej matka szczegółowo opisywała całe dziesięciolecia przemocy tak skrajnej, że Dunne do tej pory zachowuje niektóre szczegóły w tajemnicy (tamtego dnia złożyła taką obietnicę Dorothy i dotrzymała słowa). William zepchnął Dorothy ze schodów, podbił jej oczy, porwał ją i przetrzymywał w magazynie przez noc, pobił, gdy była w ciąży, i zagroził, że zabije ją i wywiezie jej ciało tak daleko, że nikt nigdy jej nie znajdzie. W tych rzadkich przypadkach, gdy Dorothy jechała na pogotowie, William czasami wyrzucał jej leki przeciwbólowe. Nie pozwalał jej pracować, a całe jej życie ograniczało się do ich dwu córek. William pracował jako instalator sieci, więc

przekonał ją, że zna lokalizację wszystkich schronisk w Nowej Anglii.

Dorothy wierzyła również, że ojciec ma prawo widywać swoje dzieci. Każda umowa o podział opieki albo harmonogram odwiedzin wymagałaby ciągłych negocjacji z Williamem. Zatem nawet gdyby mogła udowodnić przemoc – a nie mogła, bo nigdy nie wezwała policji – według przepisów William miał swoje prawa. Uznała, że jeśli będzie mieszkała w tym samym domu, to istnieje szansa, że będzie mogła chronić córki. Dlatego wracała, raz za razem.

Ale tym razem przysięgła Dunne, że nigdy więcej nie wróci. Tym razem William przekroczył wszelkie granice: podniósł rękę na Kristen, która miała wówczas jedenaście lat, po raz pierwszy w życiu. Usiadł na jej klatce piersiowej, przez co nie mogła oddychać – i to skłoniło Dorothy do działania. Dla wielu ofiar przemocy impulsem, który w końcu popycha je do działania, jest moment, kiedy ich dziecku dzieje się krzywda. Znęcanie się dorosłego nad innym dorosłym to jedno, ale nad dzieckiem? Często to właśnie chwila, w której ofiara postanawia, że więcej nie zniesie.

Podobnie jak wielu sprawców, William był na tyle bystry, żeby wykorzystać system. Po tej ostatniej ucieczce do Maine wysłał do szkoły Kristen list, w którym napisał, że jego żona jest niestabilna psychicznie i zabrała dziecko bez jego zgody; oznajmił, że jeśli Dorothy będzie chciała zabrać dokumentację Kristen – która będzie jej potrzebna do zapisania dziecka do jakiejkolwiek innej placówki – to szkoła powinna się z nim natychmiast skontaktować. W liście nadmienił, że nic z powyższego nie miało związku z przemocą w domu Cotterów – co było na tyle dziwne, że szkoła skontaktowała się z lokalną policją. W tym samym czasie William Cotter udał się do Wydziału Policji Amesbury i zgłosił zaginięcie bliskiej osoby. Jak powiedział mi Rick Poulin, policjant, który przyjął zgłoszenie, Cotter obawiał się, że żona użyje ich kart kredytowych. „Był bardzo defensywny jak na kogoś, kto zgłasza zaginięcie – powiedział Poulin. – Od razu mnie to zaalarmowało”. Poulin skontaktował się również z administracją szkoły, a nawet poszedł osobiście do Centrum Kryzysowego Jeanne Geiger i porozmawiał tam z aktywistką. Sprawa była dziwna, ale na ile mogli się zorientować, nikt nie złamał żadnego

prawa. Nie było zgłoszeń przemocy, nikt w rodzinie nie miał na koncie żadnych zatargów z prawem, nie było żadnego powodu, żeby William znalazł się na policyjnym radarze. To było, zanim Dorothy zadzwoniła na gorącą linię w Maine, a William wyglądał na praworządnego obywatela.

Dunne mówi, że zachowanie Williama jest typowe dla sprawców. Chcą pokazać ofiarom, że wiedzą, jak grać systemem na własną korzyść. Dorothy była w Maine, a tym listem do szkoły William „próbował ją wypłoszyć".

Dunne poradziła Dorothy, żeby została w schronisku, obiecała porozmawiać z adwokatem z centrum kryzysowego i wymyślić strategię, jak tylko złożą wniosek o zakaz zbliżania, co planowali zrobić z samego rana. A wtedy Dorothy powiedziała Dunne coś, co wprawiło ją w osłupienie: „Mam dość schronisk".

Dorothy trafiała do schronisk w całej Nowej Anglii, dotarła nawet do Pensylwanii. I za każdym razem w końcu wracała, bo nie mogła się wiecznie ukrywać. William nigdy nie pozwoliłby jej odejść. Nigdy nie zgodziłby się na rozwód. Dzieci musiały być zapisane do szkoły, bez względu na to, gdzie była i przed czym uciekała. Jej własna rodzina mieszkała w Massachusetts. Jak mogła zostawić matkę i siostrę? Najbliższych, którzy mogli ją wesprzeć? Pewnego dnia musiałaby znaleźć pracę, żeby utrzymać siebie i córki.

Dorothy powiedziała Dunne, że nie zrobiła nic złego, więc dlaczego to ona zawsze musi uciekać? Uważała, że William i tak zna większość schronisk, więc nie było sensu się przed nim ukrywać. Nigdzie się nie wybierała. Nie tym razem, już nigdy więcej. Później Dunne powiedziała, że to był moment „o, cholera". „Nie mieliśmy żadnego planu dla kobiety, która nie chciała iść do schroniska – wspomina. – Schronisko to był cały nasz plan".

Dorothy i Kristen spędziły tę niedzielną noc w schronisku w Salem, a nazajutrz poszły do sądu z Dunne i prawnikiem z centrum. Sąd wydał zakaz zbliżania – z jednym zastrzeżeniem: William powiedział sędziemu, że potrzebuje dostępu do garażu, w przeciwnym razie nie będzie mógł się dostać do narzędzi pracy. Zatem sędzia pozwolił Williamowi odbierać rano narzędzia z domu i zwracać je wieczorem.

To było niezwykłe orzeczenie, ale William nie był wcześniej notowany jako sprawca przemocy, a musiał jakoś utrzymać pracę, gdy uzgadniali z Dorothy kwestie związane z ich małżeństwem.

Po rozprawie William opuścił dom. A Dorothy i Kristen wprowadziły się tam z powrotem.

Dom Dorothy miał dwa piętra ponad położonym na parterze garażem. Znajdował się tuż obok niewielkiego parkingu dla sąsiadów, których domy stały tak blisko siebie, że ledwo można było wcisnąć między nie rękę. Wynajmowany przez Dorothy dom miał elewację z biało-zielonych desek, a stare drewniane schody prowadziły na wąski ganek z dwojgiem drzwi wejściowych. Centrum kryzysowe zmieniło zamki, zainstalowało system zabezpieczeń, a Dorothy i jej córkom dało telefony komórkowe. Kobieta dostała też do noszenia specjalny naszyjnik alarmowy na wypadek sytuacji kryzysowej. Ale pewnej nocy, gdy Dorothy gotowała, przypadkowo nacisnęła guzik i pod dom zjechało pół tuzina radiowozów. Tak ją to zawstydziło, że zdjęła naszyjnik i powiesiła go w sypialni.

Dziesięć dni po powrocie do domu Dorothy poszła do garażu, do swojego samochodu. Miała jechać na rozmowę kwalifikacyjną do supermarketu sieci Shaw's. Nagle William, który miał zakaz zbliżania się do niej, złapał ją od tyłu i zakrył jej usta dłonią. „Przestań krzyczeć albo cię zastrzelę" – ostrzegł ją. Kaitlyn, ich starsza córka, usłyszała odgłosy szarpaniny i pobiegła na dół, gdzie zobaczyła matkę przetrzymywaną przez ojca jako zakładniczkę. „Jej usta krwawiły […] i wyglądała na przerażoną – napisała Kaitlyn w oświadczeniu. – Ja […] stałam z mamą i tatą, chciałam się upewnić, że nic się nie stanie". Po dwóch i pół godziny William wyszedł, a nazajutrz Dorothy poszła na posterunek policji i złożyła doniesienie o tym, że William złamał zakaz zbliżania; zgłoszenie przyjął detektyw Robert Wile. Długo z nim rozmawiała; nigdy wcześniej jej nie spotkał. Opowiedziała Wile'owi o swoim mężu: „Za każdym razem, gdy mam z nim kontakt, on mnie przeraża".

Wile wspomina, że Dorothy była spokojna i racjonalna. Powiedziała mu, że w schronisku będzie musiała dzielić pokój z dwiema córkami, co zwiększa prawdopodobieństwo, że jeśli William je znajdzie, to zabije wszystkie trzy. W domu, jak powiedziała, istnieje

większe prawdopodobieństwo, że „to będę tylko ja". Wile nie wiedział, jak zareagować. „W zasadzie mówiła mi: »Przygotowuję się na własną śmierć, a wy co robicie?« – powiedział mi Wile. – A ja nie mogłem znaleźć żadnych słów".

Zanim Wile, którego wszyscy nazywają Bobby, poznał *Dorothy*, przez ponad dwadzieścia lat służył w policji i z czasem dorobił się rangi detektywa. Często był wzywany jako pierwszy na miejsce najgorszych zbrodni w okolicy – dzieci zabite przez rodziców, żony zabite przez mężów. W Amesbury w stanie Massachusetts nie zdarzały się przypadkowe przestępstwa, na przykład strzały z jadącego samochodu czy napad, który kończy się nieumyślnym zabójstwem. W Bostonie, oddalonym zaledwie o godzinę drogi, owszem, ale Amesbury to jedno z tych typowych robotniczych miast w Massachusetts, z małymi centralnymi placami i chodnikami z czerwonej cegły, z urokiem kolonialnej estetyki Nowej Anglii. Niemniej zajmowało też niechlubne pierwsze miejsce pod względem przemocy domowej w hrabstwie Essex. A jeśli dochodziło tu do morderstw, to sprawca i ofiara znali się wzajemnie, co oznacza, że niemal zawsze były to akty prywatnej przemocy. Dla Wile'a „domówki" były szalenie frustrujące. Jak praktycznie wszyscy stróże prawa nie po to został policjantem, żeby rozstrzygać kłótnie o masło między małżonkami. Jego nastawienie sprowadzało się do następującej postawy: „To chyba jakiś żart. Znowu wzywają mnie do tego domu?". I choć sprawa Dorothy, jej fatalistyczna wizja własnej przyszłości, wyróżniała się na tym tle, nadal myślał o „domówkach" w ten sposób.

Wile wydał nakaz aresztowania Cottera. 21 marca 2002 roku William w towarzystwie swojego prawnika zgłosił się do Sądu Rejonowego w Newburyport. Dunne powiedziała, że Cotter wiedział, co robi. Znał system. Pojawił się pod koniec dnia w piątek, z adwokatem. Z kartoteki wynikało, że ma na koncie tylko kilka wykroczeń drogowych i czeki bez pokrycia. Miał stałą pracę jako instalator i trener lokalnej młodzieżowej drużyny sportowej. Sędzia tego dnia nie wiedział o dziesięcioleciach maltretowania Dorothy, nie znał szczegółów złamania zakazu zbliżania, nie wiedział, że William kiedyś śledził żonę, a potem ją porwał. Nie wiedział, że zepchnął ją ze schodów, gdy była

w ciąży, ani że ją dusił kablem od telefonu. Prokurator nie miał także oświadczenia Dorothy, w którym streszczała dwadzieścia lat maltretowania. Może gdyby Wile wiedział, że Cotter będzie w sądzie tego popołudnia, mógłby się tam stawić i przedstawić sędziemu więcej informacji. Może mógłby zadzwonić do kogoś w sądzie, ostrzec ich przed Cotterem, ale Wile miał oświadczenie Dorothy tylko z dnia, w którym przyszła na komisariat. Wiedział, że boi się męża, ale nie miał pojęcia, jak ów potwornie się nad nią znęcał. Dunne wiedziała, ale Wile nie miał z nią kontaktu. Dunne dowiedziała się o przemocy dopiero w ostatnich tygodniach życia Dorothy, ale nigdy nie rozmawiała o niej z policją. Wile nie znał wówczas nawet żadnej z aktywistek lokalnej organizacji zajmującej się przemocą domową, w tym Kelly Dunne czy Suzanne Dubus, które w kolejnych latach miały się stać kluczowymi punktami na jego orbicie. Nikt w sądzie nie dysponował tyloma informacjami, żeby mieć Cottera na radarze.

Wszystkie te krytyczne luki w systemie mają często największy wpływ na to, kto żyje, a kto umiera – włącznie z brakiem komunikacji między sądami karnymi i cywilnymi – i nadal nie zostały usunięte nie tylko w tym konkretnym hrabstwie w Massachusetts, ale także w stanach i hrabstwach w całym kraju. Sam fakt, że przemocą ze strony partnerów życiowych tak często zajmują się sądy cywilne zamiast karnych, daje wgląd w to, jak my jako społeczeństwo nadal ją postrzegamy. Pierwszy „sąd rodzinny” w kraju, jak go nazywano, działał w Buffalo w stanie Nowy Jork. Wydawało się to wówczas nie lada innowacją w sądownictwie – oto miejsce, gdzie rodziny mogą rozwiązywać kwestie związane z rozwodem i opieką nad dziećmi, bez konieczności wizyty w sądzie karnym. Kolejne dekady pokazały jednak, że w praktyce przemoc domowa została wrzucona do jednego worka z innymi sprawami rodzinnymi, takimi jak opieka nad dziećmi i rozwód, choć jest to przecież kwestia karna. Wyobraźmy sobie, że jakiś mężczyzna, kompletnie obcy, dusi innego mężczyznę kablem telefonicznym, spycha go ze schodów, uderza go pięścią tak mocno, że łamie mu kość oczodołu. Do takich napaści dochodzi codziennie w wyniku przemocy domowej, ale jeszcze nie spotkałam prokuratora, który traktowałby je równie poważnie jak wtedy, gdy mają miejsce poza kontekstem przemocy domowej. „Zszokowało mnie, że bliskiej

osobie można zrobić coś, czego nie zrobiłoby się na ulicy ani podczas bójki w barze" – powiedziała mi była prokurator z Ohio Anne Tamashasky. W dniu, w którym William Cotter pojawił się w sądzie, zapłacił pięćset dolarów i wyszedł za kaucją kilka minut po tym, jak się zgłosił.

Pięć dni później William przybył do domu Dorothy w kamizelce taktycznej i uzbrojony w gaz pieprzowy, kajdanki, pasy z amunicją i strzelbę z odciętą lufą. Kaitlyn była u koleżanki, Kristen, nieświadoma, otworzyła drzwi wejściowe. Gdy tylko Dorothy usłyszała jego głos, zabarykadowała się w swojej sypialni. William odepchnął Kristen, wpadł do domu i wyłamał drzwi do sypialni Dorothy. Wyciągnął ją ze środka w kilka sekund. Kristen pobiegła na górę i zadzwoniła do sąsiadki, a ta zadzwoniła na numer alarmowy – taką strategię wymyśliła Dunne, żeby Kristen nie musiała zmagać się z psychologicznym ciężarem wzywania policji do własnego ojca. Radiowóz przyjechał po kilku minutach.

Czasami, kiedy odtwarzam sobie w głowie tę scenę, zatrzymuję ją w tym kluczowym momencie: Dorothy, jeszcze żywa, przetrzymywana jako zakładniczka przez męża przemocowca, na miejscu policjanci – wygląda, jakby przyjechało tu pół posterunku – z bronią wyciągniętą i gotową do strzału. Rodzina była już wówczas znana stróżom prawa, za sprawą Poulina, jak i detektywa Wile'a, od dnia, w którym Dorothy przyszła z nim porozmawiać. Wile rozumiał już wtedy, że Cotter jest niebezpieczny, może nawet bardziej niż ktokolwiek inny, i przekazał pozostałym, że powinni mieć na niego oko. I oto ten moment: William żyje. Dorothy żyje. Dyspozytor jest na linii. Policja jest na miejscu.

Czy to była ta scena, którą sobie wyobrażała, kiedy siedziała z detektywem Wile'em i mówiła mu, że zginie we własnym domu? Miała trzydzieści dwa lata, nie była nawet w połowie życia. Miała wyjątkową urodę aktorki z lat czterdziestych, coś jak nieco przystępniejsza Hedy Lamarr albo Loretta Young.

Czy Dorothy zdążyła sobie przypomnieć ten fatalny dzień, gdy miała piętnaście lat i spotkała chłopca, który twierdził, że zakochał się w niej od pierwszego wejrzenia? Czy winiła tę młodą wersję samej siebie? Czy zastanawiała się nad tym, jak jej kultura popycha

małe dziewczynki do miłości, mówi im, że miłość wszystko zwycięży? Czy zastanawiała się kiedyś, dlaczego nie opowiadamy więcej historii o klęsce miłości? Nie wierzę, że miłość podbija wszystko. Tak wiele rzeczy na tym świecie wydaje się potężniejszych niż miłość. Obowiązek. Wściekłość. Strach. Przemoc.

Wyobrażam sobie Kristen, jedenastoletnią, jak ukrywa się pod łóżkiem, nie wiedząc, co się wokół dzieje. Ciąży na niej potworna świadomość, że to ona wpuściła ojca do środka. Myślała, że za drzwiami stoi jej koleżanka. Straciłam matkę, kiedy byłam w wieku Kristen. To był nowotwór, cywilizowana śmierć, jeśli coś takiego w ogóle istnieje. Ale rozumiem poniekąd potworną desperację, jaką Kristen musiała odczuwać, błagania, jakie mogła wówczas kierować do dowolnego niewidzialnego boga, byle tylko ocalił jej matkę. I rozumiem też to: że jakkolwiek straszny jest ten pojedynczy moment śmierci, jakkolwiek nawiedzają nas potem te ostatnie kruche sekundy, to stratę zdefiniują następujące po niej lata. Jej skalę, jej okrutną wieczność, niczym stalowa brama wielkości samego świata, która zamyka się w mgnieniu oka.

Nieruchoma scena nagle rusza. Kiedy dyspozytor oddzwonił do Kristen, żeby potwierdzić przybycie policji, William odebrał telefon na dole. Powiedział dyspozytorowi, żeby odwołał funkcjonariuszy albo „komuś naprawdę stanie się krzywda”. Jego głos brzmiał surowo, ale dziwnie beznamiętnie, jakby nadal wierzył, że to wszystko jest w jego zasięgu, jakby myślał, że to tylko kolosalne nieporozumienie, jego prywatna sprawa do załatwienia. David Noyes dotarł do drzwi jako pierwszy. Słyszał, jak Dorothy krzyczy: „Zabije mnie! On mnie zabije!”. Noyes, w kamizelce z kevlaru, też miał broń w pogotowiu. Padał deszcz. Wszyscy byli w policyjnych ubraniach przeciwdeszczowych. Kevlar, pas ze sprzętem i poncho przeciwdeszczowe utrudniały manewrowanie. Dyspozytor, rzecz jasna, nie odwołał interwencji. Noyes wyważył drzwi w tym samym momencie, w którym William zastrzelił Dorothy; Noyes powiedział, że rozbłysk wystrzału był tak silny, że oślepił go na chwilę, wystarczająco długo, żeby William zdążył skierować broń na siebie. Całe zajście zostało zarejestrowane na nagraniu dyspozytora. Dorothy krzyczy w tle, huk, jej głos natychmiast cichnie, a potem męskie głosy wykrzykują rozkazy. Po-

nad tą chaotyczną wrzawą słychać zawodzenie: „Nieeeeee!”, wykrzyczane przez jedenastoletnią dziewczynkę do słuchawki.

Gdy wieść o zabójstwie Dorothy rozeszła się po całym komisariacie, a następnie po sąsiadach, rodzinie, przyjaciołach, mediach, organizacjach walczących z przemocą domową, aż dotarła do sądu i sędziego, który widział Williama i wypuścił go za kaucją, to było tak, jakby całe miasto pogrążyło się w żałobie. Ci, którzy jej nie znali, byli tak samo zdruzgotani jak znajomi. Sprawa Dorothy stała się najgłośniejszym zabójstwem w historii Amesbury. Kaitlyn i Kristen straciły oboje rodziców jednocześnie. Matka Dorothy i jej siostra, cała jej rodzina, były zdruzgotane. A dla Dunne i Dubus to było katharsis. „Po zabójstwie Dorothy wpadliśmy w instytucjonalny marazm” – powiedziała mi Dubus. Fakt, że mieli świadomość, w jak niebezpiecznym położeniu znajdowała się Dorothy, że gorzej mogło być tylko wtedy, gdyby biwakowała na linii frontu w strefie wojny, nie złagodził bynajmniej ich udręki i poczucia winy. Wręcz przeciwnie, wydawało się, że pogarsza to ich sytuację.

Kiedy zapytałam Dunne dlaczego, odpowiedziała bez wahania: ponieważ śmierci Dorothy „można było od początku zapobiec”. Jeśli nie potrafili uratować najbardziej oczywistych przypadków, takich jak Dorothy, która przewidziała własne morderstwo, ofiar, które miały pełną świadomość, że są w niebezpieczeństwie, to jaki był sens ich pracy? Schronisko też miało w tym swój udział: dlaczego jedyną reakcją ma być zabranie niewinnej ofiary i umieszczenie jej pod kluczem? Później gazety przekręciły relację miejscowej policji i sędziego, który zwolnił Williama Cottera za kaucją; niektórzy komentatorzy prasowi wzywali sędziego do rezygnacji. Dubus, ówczesna dyrektorka generalna Centrum Kryzysowego Jeanne Geiger, zwołała spotkanie, na które zaprosiła prokuratora okręgowego i przedstawicieli wydziału policji, w tym detektywa Wile’a, żeby wspólnie przeanalizować, dlaczego zawiodły standardowe procedury reagowania. Wydawało się, że wszyscy wykonali swoje zadania prawidłowo. Jedynym odstępstwem od zasad postępowania była decyzja samej Dorothy, kiedy odmówiła powrotu do schroniska. Dla Dunne oznaczało to, że błąd tkwi w procedurach.

W 2003 roku, kiedy ciągle próbowano ustalić, jak mogło do tego dojść, Dunne poleciała do San Diego na konferencję poświęconą przemocy domowej. Jedną z zaproszonych mówczyń była Jacquelyn Campbell – mówiła o Ocenie Zagrożenia. Dunne uderzyły nie tylko dane przytaczane w referacie, ale także zupełnie nowy sposób ilościowego ujęcia tych informacji, który pozwalał zilustrować zwiększone niebezpieczeństwo. Campbell powiedziała, że najważniejszym czynnikiem wskazującym na możliwość zabójstwa w wyniku przemocy domowej jest wcześniejsze występowanie fizycznej przemocy. Wydaje się to oczywiste, ale często właśnie ta eskalacja zostaje przeoczona. Tymczasem system Oceny Zagrożenia pozwala oszacować niebezpieczne zachowania, takie jak groźba samobójstwa czy dostęp do broni. Campbell opowiada o tym, że połowa kobiet zabitych przez swoich partnerów miała za sobą przynajmniej jedną próbę uzyskania pomocy ze strony policji albo systemu sądownictwa karnego. Były to okazje, żeby zarejestrować markery ryzyka. Jak powiedziała Campbell, ryzyko zabójstwa rozgrywa się na spektrum czasowym, a rośnie na przykład wtedy, gdy ofiara próbuje odejść od oprawcy albo gdy zmienia się sytuacja w domu – pojawia się ciąża, nowa praca czy przeprowadzka. Niebezpieczeństwo utrzymuje się na wysokim poziomie przez trzy miesiące po rozstaniu, stopniowo maleje przez kolejne dziewięć, a po roku znacznie spada.

Były też inne znaczniki ryzyka, nowe dla Dunne. Na przykład że duszenie to inna kategoria przemocy niż, powiedzmy, uderzenie w twarz. Albo że sprawcy zazwyczaj dzielą się na dwie kategorie, jeśli chodzi o ich ciężarne partnerki: tych, którzy nasilają przemoc, i tych, którzy jej całkowicie zaprzestają na te dziewięć miesięcy. Przymusowy seks to kolejny znacznik ryzyka, podobnie jak kontrolowanie większości codziennych czynności partnerki. Dunne siedziała na widowni coraz bardziej wzburzona. Słuchała wystąpienia Campbell, a w jej myślach równolegle toczyła się zupełnie inna narracja: „Tak było z Dorothy. Tak też było z Dorothy. I to też Dorothy. Tak samo. Dorothy. Dorothy, Dorothy, Dorothy, Dorothy”.

Po raz pierwszy usłyszała wtedy o Ocenie Zagrożenia – narzędziu, które Campbell opracowała z myślą o pogotowiu ratunkowym. Dunne przeprowadziła pośmiertną Ocenę Zagrożenia Dorothy i oka-

zało się, że zdobyłaby osiemnaście punktów, mniej więcej tyle samo co Michelle Monson Mosure. Sytuacja Dorothy znalazła się w najwyższej możliwej kategorii ryzyka zabójstwa w wyniku przemocy domowej, a nikt z nich nawet o tym nie wiedział. Dunne zdała sobie sprawę, że to właśnie dlatego wydawało się, iż tej śmierci można było łatwo zapobiec. Bo tak faktycznie było. Tak zaczęły powstawać zręby procedur. Po raz pierwszy od zabójstwa Dorothy Dunne poczuła nieśmiałą nadzieję.

Po powrocie z Kalifornii razem z Dubus natychmiast zaczęły się zastanawiać, jak wykorzystać pracę Campbell do prognozowania, które przypadki przemocy domowej niosą ze sobą większe prawdopodobieństwo zabójstwa. Dunne przyświecał dwojaki cel: po pierwsze, zidentyfikować przypadki wysokiego ryzyka i stworzyć dla nich plany działania, oraz po drugie – na ile to możliwe, unikać sytuacji, w których ofiara trafia do schroniska. Obie aktywistki wiedziały, że muszą opracować program do identyfikacji potencjalnych przypadków, które mogłyby podzielić los Dorothy. A jeśli sytuację tych ofiar można poddać ocenie i skategoryzować, to zabezpieczenia, jakie by wokół nich zbudowano, też mogłyby działać na tym samym czasowym spektrum zagrożenia, które zidentyfikowała Campbell. Bo jeśli można je przewidzieć, to znaczy, że można im też zapobiec. Na ich zaproszenie Campbell przyjechała do Massachusetts ze swojego domu w Baltimore i wzięła udział w pracach nad projektem i wdrożeniem ich pomysłów. Przez cały kolejny rok Dunne i jej zespół spotykali się z policjantami w Amesbury i Newburyport, prokuratorami okręgowymi, kuratorami sądowymi, doradcami interwencyjnymi i przedstawicielami szpitali. Wiedzieli, że kluczowe kwestie to przepływ informacji i przełamanie barier komunikacyjnych. Gdyby wszystkie osoby w każdej instytucji i każdym urzędzie w mieście – sędzia w sądzie, detektyw w wydziale policji, aktywistka w ośrodku kryzysowym, pracownik socjalny w szkole, pielęgniarka na pogotowiu i tak dalej – dysponowały kompletem informacji o Williamie i Dorothy, a nie jedynie ich fragmentami, istniała bardzo duża szansa, że Dorothy ciągle by dziś żyła. William mógł zostać w areszcie. Można go było zmusić do oddania broni. Można było mu założyć opaskę monitorującą z GPS-em. To były te wszystkie luki, które

Dunne i Dubus musiały jakoś wypełnić. Przeanalizowały, jakie służby można jeszcze włączyć do planu bezpieczeństwa dla danego scenariusza. Czy biuro dozoru sądowego mogłoby pomóc w sprawniejszym przekazywaniu informacji sędziom? Czy policjanci mogliby rozpoznawać niektóre czynniki ryzyka podczas interwencji? Czy pogotowie ratunkowe mogłoby pomóc w identyfikacji potencjalnych ofiar przemocy domowej? Czy policja mogłaby dzielić się sprawozdaniami z aktywistkami z centrum kryzysowego? Czy grupy interwencyjne mogłyby wymieniać informacje z centrum kryzysowym? Na każdym etapie aktywistki rozmawiały o praktykach, kwestiach prawnych, standardach ochrony prywatności, a przede wszystkim o tym, jak usprawnić obieg informacji pomiędzy poszczególnymi instytucjami. Analizowały prawo stanowe i przepisy o ochronie prywatności, ustalały, jakimi informacjami można się zgodnie z prawem dzielić z innymi urzędami, a jakimi nie.

Udzielanie informacji oznaczało komunikację pomiędzy odrębnymi jednostkami. Największa bariera kulturowa dzieliła wydział policji i centrum kryzysowe. Najpierw należało zająć się stereotypami płciowymi istniejącymi między tymi dwoma podmiotami, i to na poziomie osobistym. Biuro Dunne składało się głównie z kobiet, wydział policji – głównie z mężczyzn. Wile powiedział mi kiedyś, że przed utworzeniem Zespołu Wysokiego Ryzyka lokalni policjanci uważali Dunne i inne aktywistki z centrum kryzysowego za „Klub »Facet to Świnia«". „Nie mieliśmy z nimi do czynienia" – powiedział, bo powszechne wśród policjantów było poczucie, że kobiety, które pracują w takich miejscach jak centra kryzysowe, najzwyczajniej ich „nie lubią". Dunne śmieje się z tej charakterystyki. „Oni nas mieli za feminazistki, a my ich za dupków, którym zależy wyłącznie na nadgodzinach" – powiedziała. Ale kiedy się spotkali – aktywistki i policjanci – dowiedzieli się więcej na temat specyfiki problemów, z jakimi każdy z nich się borykał. Dzięki rozmowie z Wile'em Dunne zaczęła dostrzegać, dlaczego funkcjonariusze są sfrustrowani, kiedy muszą jechać na kolejną interwencję do tego samego domu. A policjanci tacy jak Wile zaczęli lepiej rozumieć trudne okoliczności, które sprawiają, że ofiary nie odchodzą. Dunne mogła im wyjaśnić, dlaczego ofiara, która okazuje wrogość wobec interweniujących stró-

żów prawa, a solidaryzuje się ze sprawcą przemocy, często próbuje się w ten sposób chronić i wysyła komunikat nie do policji, ale do swojego kata. Widzisz moją lojalność? Proszę, nie zabijaj mnie, kiedy ci gliniarze wyjdą.

W nowym systemie ośrodek kryzysowy miał stanowić centralny punkt komunikacji. Stworzyli zespół, do którego zaproszono po jednym przedstawicielu każdej możliwej organizacji czy instytucji – od pogotowia ratunkowego, przez sądownictwo, więzienie, policję, po aktywistki i szereg innych. Postanowili spotykać się co miesiąc i omawiać sprawy uznane za obarczone wysokim ryzykiem, a także – w ramach zawiłych przepisów o zachowaniu poufności – dzielić się informacjami o każdym podejrzeniu potencjalnego zabójstwa. Podjęli decyzję, by na dobre odejść od formuły pracy w oderwaniu od pozostałych instytucji. „To właśnie w szczelinach dochodzi do morderstw" – powiedziała później Dunne.

Na początku 2005 roku pierwszy w kraju Domestic Violence High Risk Team rozpoczął działalność. Przyświecał mu jeden cel – wypełnić szczeliny.

Schronisko na miejscu

Kiedy organizacje na rzecz kobiet wprowadziły kwestię przemocy domowej do świadomości społecznej, wydawało się, że najlepszym wyjściem będzie tworzenie schronisk. Zabierzcie ofiarę z miejsca, gdzie może jej się stać krzywda. W wielu stanach nadal brakowało przepisów, które zabraniałyby bicia żony. Przemoc ze strony partnerów życiowych była postrzegana jako prywatna sprawa rodzinna, a w nielicznych badaniach nad tym zjawiskiem nadal pokutowało przekonanie, że winę za takie incydenty ponoszą ofiary, które tę przemoc prowokują. Musiały minąć dziesiątki lat, zanim idea, by pociągnąć mężczyzn do odpowiedzialności za ich brutalne zachowanie, stała się częścią debaty w kraju. Tworzenie schronisk stanowiło pierwszą, koordynowaną na szczeblu krajowym próbę rozwiązania problemu przemocy wobec partnerów życiowych, a w latach sześćdziesiątych, siedemdziesiątych i osiemdziesiątych, a nawet jeszcze dziewięćdziesiątych XX wieku było to w zasadzie jedyne rozwiązanie, jakie można było zaproponować kobietom w niebezpiecznej sytuacji. W 1964 roku Kalifornia otworzyła schronisko dla kobiet, które były ofiarami partnerów alkoholików, chociaż na ogół źródła podają, że pierwsze schroniska przeznaczone wyłącznie dla maltretowanych kobiet powstały w stanach Maine i Minnesota. Schroniska bez wątpienia ratowały życie wielu tysiącom kobiet – i tak jest do dziś. W ciągu czterdziestu lat sieć schronisk nieustannie się rozszerzała, a obecnie jest ich ponad trzy tysiące[116].

Nie ma jednej, spójnej definicji schroniska – może to być łóżko w pokoju hotelowym na jedną noc albo dom, w którym mieszkają dwa tuziny rodzin. W miastach o dużej gęstości zaludnienia jako schroniska funkcjonują czasem małe apartamentowce albo ośrodki z pojedynczymi mieszkaniami, przypominające trochę motele. Poza większymi miastami schroniska to zazwyczaj domy jednorodzinne w dzielnicach mieszkalnych, gdzie ofiarom i ich dzieciom przydziela się jeden pokój, a kuchnię, łazienkę oraz jadalnię i pokoje dzienne

dzieli od sześciu do dziewięciu rodzin. Obowiązują tam przepisy, które regulują godziny powrotu i obowiązki. W przeszłości w schroniskach nie wolno było przebywać chłopcom powyżej dwunastego roku życia i zwierzętom domowym, a większość kontaktów z przyjaciółmi lub rodziną, w tym z pracodawcą ofiary, odradzano ze względów bezpieczeństwa. (Obecnie stan Nowy Jork tworzy pierwsze w kraju schronisko, które będzie przyjmować także zwierzęta domowe, zaś w 2015 roku w Arkansas otworzono pierwsze schronisko dla mężczyzn). Schronisko to coś więcej niż po prostu bezpieczne miejsca do spania; oznacza, że kobieta, a także jej dzieci muszą całkowicie porzucić dotychczasowe życie. Oznacza zniknięcie z widoku.

To właśnie o tym pomyślała Kelly Dunne, kiedy Dorothy oświadczyła, że nie pójdzie do schroniska. Kelly Dunne zdradziła mi kiedyś „mały brudny sekret” – schronisko to „bilet do opieki społecznej”. Jeśli kobieta potrzebuje azylu, a najbliższe wolne łóżko znajduje się na drugim końcu stanu, to będzie musiała je natychmiast przyjąć, nawet jeśli oznacza to porzucenie pracy, szkoły dzieci i przyjaciół. Dunne powiedziała, że jeden z obrazów najczęściej ją prześladujących po dwudziestu pięciu latach pracy w tym zawodzie to widok kobiet stojących na krawężniku z dziećmi, z walizką, czekających na autobus, który zabierze je przez cały stan do jedynego miejsca, gdzie tej nocy było wolne łóżko w schronisku. Coś takiego stawia całe życie na głowie. Czasami bywa to niezbędne, ale i tak pęka od tego serce.

Dunne mówi, że coraz więcej ofiar broni się przed pobytem w schronisku. Zastanawiają się, czy będą mogły dalej pracować albo opiekować się starszymi rodzicami, umówić się na wizytę do lekarza albo spotkanie ze znajomymi, posłać dziecko na szkolną zabawę, zabrać rodzinne pamiątki, publikować posty na Facebooku czy Instagramie. „Odpowiedź na wszystkie te pytania brzmi: nie – wyjaśnia Dunne. – Schroniska były pomyślane tak, żeby zdjąć odpowiedzialność z systemu sądownictwa karnego. Mówiło się: »Gdyby się naprawdę bała, toby poszła do schroniska«, a kiedy kobiety tego nie zrobiły, zakładaliśmy, że wcale się tak bardzo nie boją”. Przypadek Dorothy nauczył ją, jak niebezpieczne może być takie założenie.

W ostatnich latach schroniska i ośrodki kliniczne starają się lepiej dostosować do potrzeb ofiar przemocy. Często zachęca się mieszkanki do podejmowania pracy, a w schroniskach, które mogą sobie na to pozwolić, instaluje się systemy zabezpieczeń. Niektóre placówki pozwalają obecnie nastoletnim chłopcom na pobyt z matkami, inne – na zabranie zwierząt domowych albo na kontakt z przyjaciółmi i rodziną. Pewnego popołudnia Candace Waldron, była dyrektor wykonawcza Działać na rzecz Zmiany (Healing Abuse Working for Change), agencji kryzysowej w Salem, zorganizowała dla mnie wizytę w nowym, nowoczesnym schronisku. Zastąpiło ono placówkę, w której mieszkały Dorothy i *Kristen*, czyli malutki domek w bocznej uliczce, położony tak blisko oceanu, że wąskie chodniki były zasypane piaskiem. W nowym schronisku, usytuowanym przy szerokim bulwarze, w elegancko odrestaurowanym budynku w stylu wiktoriańskim, z dyskretnie rozmieszczonymi kamerami bezpieczeństwa, mogło mieszkać osiem rodzin, które miały trzy oddzielne kuchnie do dyspozycji. Były tam winda i pokój z zabawkami dla dzieci; ściany w korytarzach i nad schodami pomalowano na jasne barwy i rozwieszono na nich obrazy z kwiatami. Na podwórku ustawiono małą piaskownicę. Jak na schronisko miejsce było jasne i przestronne, a jednocześnie pozbawione osobistych akcentów, jakie większość z nas ma w domu: zdjęć rodzinnych, plakatów, dziecięcych rysunków, bibelotów, zabawek, książek czy płyt kompaktowych.

Wszystko jest tu na najwyższym poziomie: miejsce do zabawy, bezwzględne bezpieczeństwo, przyzwoite warunki życiowe. A jednak nawet najlepsze schronisko wywraca życie do góry nogami. Niemniej aktywistki takie jak Dunne krytykę tych placówek przypłaciły środowiskowym ostracyzmem. „To nie jest popularna opinia w branży antyprzemocowej” – powiedziała Dunne. I to pomimo faktu, że w przeważającej większości schroniska są chronicznie niedofinansowane, otwierają się i zamykają według widzimisię twórców budżetu danego stanu lub okręgu, a dowody wskazują, że w zasadzie nie dają ofiarom i ich rodzinom ani wytchnienia, ani długoterminowego rozwiązania.

W odpowiedzi na mój artykuł w „New Yorkerze”, w którym omówiłam wiele powyższych kwestii, pewna czytelniczka napisała:

> Jako założycielka jednego z pierwszych schronisk w kraju nie zgadzam się z twierdzeniem […], że schroniska to w istocie „bilet do opieki społecznej”. Zespoły wysokiego ryzyka stanowią ważną innowację, ale docierają tylko do niewielkiego odsetka ofiar, które są już znane organom ścigania lub odpowiednim służbom. Model ten jest najbardziej efektywny w ramach kompleksowego podejścia do zapobiegania przemocy domowej, które obejmuje również udzielenie schronienia. Schroniska zapewniają bezpieczne zakwaterowanie i wsparcie psychologiczne ofiarom i ich bliskim, z których zdecydowana większość ma za sobą doświadczenie wieloletniego maltretowania, ubóstwa i bezdomności. Jest to miejsce, w którym osoby doświadczone przemocą po raz pierwszy w życiu mówią, że czują się bezpiecznie. Służby pomocnicze kładą nacisk na edukację, zatrudnienie oraz organizację stabilnego, przystępnego cenowo miejsca do zamieszkania. Nasz Zespół Wysokiego Ryzyka, zrzeszający ponad dwadzieścia pięć lokalnych organizacji i instytucji, wielokrotnie wysyłał rodziny do schronisk, kiedy naprawdę była to dla nich jedyna opcja[117].

Nie mogę się nie zgodzić z argumentami autorki listu. Muszę zatem przyznać, że mamy do czynienia z niełatwą koegzystencją tych dwu rzeczywistości: schroniska są konieczne i ratują życie, ale jest to również koszmarne rozwiązanie.

Dunne także przyznaje, że schronisko bywa czasami konieczne. Opisuje niedawny przypadek: napastnik otrzymał od sądu nakaz noszenia opaski z nadajnikiem GPS, która pozwoliłaby monitorować jego ruchy. Nie stawił się jednak na wezwanie, więc w zasadzie pozostaje nielegalnie na wolności; dla jego ofiary schronisko było w tej sytuacji najbezpieczniejszą opcją. Często pobyt w placówce nawet na jedną czy dwie noce przynosi efekty i pozwala wyciszyć nieco emocje. Jednak Dunne mówi, że schroniska to więzienia dla kobiet, z surowymi zasadami i ustalonymi godzinami wyjścia, i dodaje, że dzieci wyrwane ze znajomego środowiska, z dala od domu i przyjaciół, przeżywają czasem traumę. Nawet w najlepszych schroniskach, takich jak to, które widziałam w Massachusetts, umieszcza się w jednym miejscu wiele osób po ciężkich przejściach. Rodzinom najczęściej przydzielany jest jeden duży wspólny pokój.

Dunne proponuje, by wyobrazić sobie dowolne inne przestępstwo, w którym to ofiara traci swobody obywatelskie i to ją obciąża się ko-

niecznością zabiegania o zmiany. „Schroniska uratowały życie maltretowanych kobiet. Ale jednocześnie wydawało mi się to głęboko niesprawiedliwe, że tylko tyle mamy im do zaoferowania”.

Obecnie dąży się do tego, by w miarę możliwości utrzymać ofiarę w jej społeczności, nie wysyłać jej do schroniska, tylko zbudować wokół niej swego rodzaju mur bezpieczeństwa. Jedną z metod wykorzystywanych w ramach takiego podejścia jest tak zwane zakwaterowanie przejściowe. Różni się od schroniska tym, że oferuje więcej długoterminowych mieszkań, a w większości przypadków – większą autonomię. W wielu miastach funkcjonuje dziś jakaś wersja mieszkalnictwa przejściowego, więc aby dowiedzieć się, jak właściwie wyglądają takie mieszkania i czym różnią się od schroniska, poprosiłam o spotkanie Peg Hacskaylo, byłą dyrektor wykonawczą organizacji Dzielnicowe Stowarzyszenie na rzecz Bezpiecznego Mieszkalnictwa (District Alliance for Safe Housing) w Waszyngtonie i założycielkę programu budownictwa przejściowego, chwalonego w całym kraju jako wzór do naśladowania.

Przyjechałam na miejsce pewnego letniego popołudnia. Z zewnątrz budynek niczym szczególnym się nie wyróżniał. Na bocznym podwórku za płotem, który otaczał całą działkę, mieścił się mały plac zabaw dla dzieci. Powiedziano mi wcześniej, że będę musiała zadzwonić domofonem – drzwi strzegła jedna kamera, a kolejne rozmieszczono w kluczowych miejscach wokół kwartału. Wysokie żelazne ogrodzenie – w zasadzie niemożliwe do sforsowania – wznosiło się po obu stronach chodnika prowadzącego do wejścia.

Sam budynek znajduje się w jednej z nieco zaniedbanych dzielnic Waszyngtonu, choć powoli i tu nadciąga gentryfikacja, przez co przystępne cenowo mieszkania – stolica to piąte najdroższe miasto w kraju – stają się jeszcze trudniejsze do znalezienia. W chwili gdy to piszę, przeciętny czynsz za jednopokojowe mieszkanie wynosi ponad dwa tysiące dwieście dolarów miesięcznie[118]. To problem, z którym zmaga się każde miasto w Ameryce, a szczególnie te, gdzie stosunkowo niedrogie mieszkania znikają w zastraszającym tempie: San Francisco, Nowy Jork, Boston, Waszyngton, Chicago, Los Angeles i wiele innych.

– W przeszłości, gdyby ofiara przemocy domowej zgłosiła się do odpowiednich służb w mieście po pomoc lub schronienie i wyjaśniłaby, że jest bezdomna z powodu [tej przemocy], powiedzieliby jej: „Proszę się zgłosić do schroniska dla ofiar, my się tym nie zajmujemy” – mówi mi Hacskaylo. – A system tych schronisk był tak mały i miał tak niewiele możliwości, że […] ofiary szły do placówki, a kiedy kończył się czas pobytu, wracały do pomocy społecznej i mówiły: „No dobrze, potrzebuję mieszkania”. A [pomoc społeczna] pytała: „Pani jest w schronisku?”. Ofiara potwierdzała, więc ludzie z pomocy odpowiadali: „Czyli w takim razie nie jest pani bezdomna”.

Hacskaylo mówi, że próbowano to obejść w następujący sposób: ofiarę formalnie eksmitowano z lokum przyznanego jej w ramach programu pomocy, tylko po to, by mogła zgodnie z prawem zadeklarować, że jest teraz bezdomna i potrzebuje mieszkania.

W wielu przypadkach prowadziło to do błędnego koła bezdomności, przemocy i schroniska, bezdomności, przemocy i schroniska. Nawet dzisiaj grupa zadaniowa pod przewodnictwem stołecznej Koalicji przeciw Przemocy Domowej donosi, że co trzecia bezdomna kobieta w Dystrykcie Kolumbii straciła mieszkanie bezpośrednio w wyniku przemocy.

W biurze Hacskaylo ściany są fioletowe, a sufit – czerwony. Ona sama ma na sobie oliwkową lnianą sukienkę, w której wygląda, jakby się unosiła w powietrzu. Zaplecione włosy owinęła kolorową apaszką. Powiedziała mi, że w 2006 roku w mieście działały jedynie dwa schroniska, w których było łącznie czterdzieści osiem łóżek tylko dla kobiet i dzieci (bez mężczyzn). Tymczasem rocznie policjanci odbierali ponad trzydzieści jeden tysięcy telefonów w sprawie przemocy domowej. (Przemoc domowa została uznana w Waszyngtonie za przestępstwo dopiero w 1991 roku[119]). Dwie główne stołeczne organizacje – Dom Ruth (House of Ruth) i Dom Mojej Siostry (My Sister’s Place) – wspierały rocznie tysiąc siedemset ofiar jakąś formą pomocy. Przepaść między potrzebami a możliwościami była gigantyczna i przytłaczająca.

Hacskaylo zrezygnowała wówczas z funkcji dyrektorki w Domu Mojej Siostry i podjęła pracę w rządowym Biurze do spraw Prze-

mocy wobec Kobiet (Office on Violence Against Women – OVW). Kiedy koalicja grup działających na rzecz ofiar przemocy domowej przekonała Radę Miejską Dystryktu Kolumbii o ogromnej potrzebie stworzenia dodatkowych schronisk, radni wyasygnowali w budżecie milion dolarów dla każdego, kto zapewni bezpieczne mieszkania. Brak funduszy stanowi największe wyzwanie dla organizacji non profit, więc wydawało się, że to nic prostszego – w zasadzie całe konto bankowe tylko czekało, aż ktoś wykorzysta je do zaspokojenia oczywistej i ogromnej potrzeby społecznej. Mieli gotowy przepis na rozwiązanie problemu: potrzeba plus finansowanie.

Tyle tylko, że nikt się po te fundusze nie zgłosił.

To była niezwykła sytuacja – ogromna pula środków finansowych i brak wnioskodawców.

Hacskaylo, która znała środowisko instytucji pomocowych w Dystrykcie Kolumbii, otrzymała zadanie wyjaśnienia przyczyn takiego stanu rzeczy. Zorganizowała serię spotkań grup fokusowych i przez cztery miesiące próbowała ustalić, na czym polega problem. Odpowiedź okazała się szalenie prosta: istniejące podmioty, które zajmowały się problemem przemocy domowej, były tak przeciążone, zapotrzebowanie na ich usługi było tak duże, że nikt nie był w stanie wdrożyć tak ogromnego nowego programu. Nie chodziło tu bynajmniej o brak wizji, ale raczej o to, że wszystkie te organizacje zmagały się, indywidualnie i zbiorowo, z niedoborem personelu. Zatem Hacskaylo poszła do swoich przełożonych i powiedziała: „Posłuchajcie, to jest moja pasja, moja miłość. Jeżeli nie macie nic przeciwko, założę organizację non profit i sama się tym zajmę”.

Hacskaylo dziś się z tego śmieje. „Wszystko zrobiłam na wspak”.

Ale w ciągu pół roku zebrała zarząd, złożyła papiery, żeby uzyskać status organizacji non profit, pozyskała sponsora, napisała wniosek o dotację i znalazła budynek na sprzedaż. Jak mówi, nie jest religijna, ale fakt, że tyle rzeczy tak szybko się ułożyło, sugerował jej, że „działała tam jakaś większa siła”.

W lipcu 2007 roku jej nowa organizacja do spraw przemocy domowej – DASH – podpisała umowę na kupno budynku, w którym poznałam ją latem 2017 roku. Przyjęli nazwę Cornerstone Housing

Program. Musiały minąć jeszcze trzy lata, zanim budynek został wyremontowany, zatrudniono pracowników i pozwolono im rozpocząć przyjmowanie ofiar i ich dzieci. Tymczasem Hacskaylo zorganizowała więcej grup fokusowych, które potwierdziły to, co już wcześniej wiedziała: że wiele osób, które doświadczyły przemocy, albo trafiło do systemu schronisk dla bezdomnych, albo wracało do sprawców z powodu braku alternatywy mieszkaniowej. Różne źródła podają, że doświadczenia przemocy domowej ma za sobą od dwudziestu pięciu do osiemdziesięciu procent bezdomnych kobiet, w zależności od badania. A bywa jeszcze gorzej. W miastach, w których policja zgodnie z przepisami może karać za tak zwaną immisję (*nuisance citations*), przemoc domowa staje się główną przyczyną eksmisji. W swojej książce *Evicted* [Eksmitowani] Matthew Desmond pisze, że w Milwaukee kary za immisję w wyniku przemocy domowej przewyższają wszystkie inne tego typu upomnienia łącznie (jak naruszenie porządku publicznego czy posiadanie narkotyków), a osiemdziesiąt trzy procent właścicieli nieruchomości, którzy zostali w ten sposób ukarani, eksmitowało uciążliwych lokatorów albo groziło im eksmisją, co powoduje, że ofiary przemocy nie tylko rzadziej wzywają policję, ale także często dotyka je dodatkowy problem w postaci eksmisji. Desmond wspomina, że szef policji w Milwaukee był kompletnie zaskoczony, kiedy wskaźniki zabójstw w wyniku przemocy domowej wzrosły, a „jego własny wydział postawił maltretowane kobiety przed niemożliwym wyborem: milczeć i dalej znosić przemoc albo wezwać policję i pogodzić się z eksmisją”[120].

Po otwarciu Cornerstone Hacskaylo ze zdziwieniem skonstatowała, że aktywistki z innych podmiotów zajmujących się przemocą domową lub pomocą społeczną dzwonią do jej organizacji równie często jak kobiety, które uciekają od przemocowej relacji i potrzebują lokum. Mówiły: „Mam tu ofiarę [przemocy domowej] i nie wiem, co robić”. Hacskaylo powoli zaczynała dostrzegać, w jakiej izolacji działają poszczególne służby zajmujące się pomocą dla bezdomnych, jak niesprawna jest komunikacja między nimi, co uniemożliwia jakąkolwiek współpracę. „A w wyniku tego ofiary wypadają przez szczeliny” – powiedziała, opisując piekło błędnego koła, w którym znalazło się tyle osób doświadczonych przemocą.

Równolegle z tworzeniem Cornerstone Hacskaylo zaczęła również szukać mieszkań przejściowych w obiektach rozproszonych; obiekty rozproszone to w zasadzie jednostki, których wynajem DASH wynegocjował z właścicielami dla swoich klientek. W Waszyngtonie, gdzie ceny na rynku mieszkaniowym należą do najwyższych w kraju, zapotrzebowanie na takie rozproszone obiekty nieustannie rośnie, niedrogich mieszkań i chętnych do współpracy partnerów trzeba więc poszukiwać coraz dalej poza granicami miasta. Jednak, jak mówi Hacskaylo, w tym samym czasie, gdy dzięki programowi mieszkań przejściowych ofiary w całym kraju mają szansę na stabilizację, Agencja Mieszkalnictwa i Rozwoju Miast (Housing and Urban Development Agency – HUD) odchodzi od tego pomysłu, twierdząc, że jest zbyt drogi w stosunku do efektów. W zamian HUD proponuje coś, co określa jako „szybkie przekwaterowanie", a co polega na tym, że osobom, które doświadczyły przemocy domowej, zapewnia się dotowane mieszkanie na okres – zaledwie – od czterech do sześciu miesięcy.

Hacskaylo mówi, że dla większości ofiar to po prostu za krótko. Często są to osoby zadłużone na znaczne kwoty, ich zdolność kredytowa została zrujnowana przez oprawcę albo od dłuższego czasu nie pracowały. Czasami chcą skończyć studia albo przejść szkolenie zawodowe. DASH opłaca za nie czynsz przez dwa lata. W niektórych przypadkach mogą ubiegać się o przedłużenie tego okresu o kolejne sześć miesięcy, po czym przysługuje im wsparcie przez następne dwa lata, w postaci częściowo subsydiowanego mieszkania. A nawet wtedy, jak mówi Hacskaylo, może się okazać, że to za mało czasu. Myślę o Michelle Monson Mosure i o tym, w jak dalekiej perspektywie planowała własne przetrwanie. Uczyła się, organizowała kupno domu od ojca i powoli budowała zdolność kredytową na własne nazwisko, a potem zamierzała podjąć pracę jako pielęgniarka. Czy trwające od czterech do sześciu miesięcy wsparcie cokolwiek by jej dało?

Hacskaylo jest tym wszystkim sfrustrowana, ale wie, że musi działać w rzeczywistości, w której żyje, a nie w tej, którą sobie wymarzyła. Jeśli tylko może, robi wszystko, żeby taką rzeczywistość stworzyć. Dziś pracuje nad modelem ogólnokrajowym (National Al-

liance for Safe Housing – NASH), opartym na tym, co stworzyła w DASH. Powiedziała mi, że w 2013 roku rozpoczęła nowy program pilotażowy, który całkowicie zmienił jej sposób myślenia o przetrwaniu przemocy domowej. Nazywa się on *Survivor Resilience Fund*, czyli po prostu jest pulą pieniędzy na pomoc ofiarom. Jak wskazuje Hacskaylo, „konwencjonalne podejście polega na tym, że jeśli ofiara chce się wyrwać z przemocowej sytuacji, musi zostawić własny dom, zabrać dzieci daleko od znajomego środowiska i zacząć wszystko od nowa, a to zazwyczaj oznacza pobyt w schronisku, a następnie w innym subsydiowanym lokum, znalezienie nowej pracy, nowej szkoły, poskładanie swojego życia do kupy". Dokładnie to, z czym spotkała się taka osoba jak Dorothy Giunta-Cotter. Projekt pilotażowy pokazał również, że wiele ofiar mogłoby samodzielnie utrzymać mieszkanie, ale boryka się z chwilowymi problemami finansowymi. Może nie mają dość oszczędności na kaucję i czynsz za pierwszy miesiąc; może nie stać je na wyposażenie nowego lokum. Może ich oprawca narobił długów w ich imieniu. Niezależnie od sytuacji Survivor Resilience Fund pozwala po prostu ominąć tę pierwszą wielką przeszkodę finansową, a dzięki temu beneficjentka może zostać we własnej społeczności.

„Dla mnie – wyjaśnia Hacskaylo – to była całkowita zmiana paradygmatu, bo przez całe życie zawodowe zajmowałam się schroniskami i tymczasowymi mieszkaniami". Mówi, że w zasadzie pieniądze, które mogą zaoferować, pomagają ofierze uniknąć bezdomności w wyniku prywatnej przemocy. Ale fundusz udowodnił też, że konwencjonalne podejście nie zawsze się sprawdza, że ofiary nie chcą opuszczać własnego środowiska, a w wielu przypadkach nie chcą nawet całkowitego odcięcia od oprawców. Chcą być bezpieczne, ale chcą też, by w życiu ich dzieci obecni byli oboje rodzice, zatem fundusz daje im możliwość zorganizowania sobie domu we własnej społeczności, a w wielu przypadkach pozwala uniknąć angażowania systemu sądownictwa karnego. „Kiedy ofiara ma jakieś dochody – mówi Hacskaylo – to jej sytuacja jest pewniejsza i może domagać się bezpieczeństwa i sprawiedliwości".

Zanim skończymy, Hacskaylo zabiera mnie na krótką wycieczkę po Cornerstone, który działa od 2010 roku, a dziś ma czterdzieści

trzy kawalerki i dwupokojowe mieszkania; DASH pokrywa czynsz przez dwa lata, co – jak mówi Hacskaylo – zwykle wystarcza, żeby ofiara uporządkowała swoje finanse, spłaciła długi, a może i zaoszczędziła trochę pieniędzy na wszelkie inne ewentualne potrzeby, na przykład na terapię odwykową, a także, żeby znalazła szkołę dla dzieci. W jednym z pomieszczeń znajdują się mała sala fitness z telewizorem oraz dwa wspólne pokoje dla dzieci – jeden dla młodszych i drugi dla starszych, a na zewnątrz także plac zabaw. Dwa razy w tygodniu do szkoły przychodzą wolontariusze przeszkoleni w zakresie dziecięcej traumy, a organizacja non profit założona przez dwóch absolwentów *Corcoran School of the Arts and Design* prowadzi z dziećmi zajęcia terapii artystycznej. W podziemiach ściany ozdobione są profesjonalnie oprawionymi rysunkami dzieci, a co jakiś czas odbywają się tu wystawy, podczas których dzieciaki oprowadzają odwiedzających jako kuratorzy. W mieszkaniach są podłogi z drewna, nowo wyremontowane aneksy kuchenne i duże okna z widokiem na okolicę, przez które wpada światło słońca.

Cornerstone oferuje doraźne wsparcie: nie jest to piękne miejsce do życia, ale jest samodzielne. Hacskaylo mówi, że to jak pierwsze mieszkanie po studiach. Jednak w niczym nie przypomina schroniska, gdzie wszystko jest wspólne, wszystko trzeba z kimś negocjować. Rodziny mają zapewnioną prywatność; większość z około sześćdziesięciorga dzieci, które mieszkają tu w danym momencie, nie wie nawet, że uczestniczy w programie przeciwdziałania przemocy domowej. Takie mieszkania są swego rodzaju wizualnym symbolem nadziei – że ofiary i ich dzieci mogą liczyć na przyszłość bez przemocy. Można też o tym myśleć inaczej: wraz z niezależnością przychodzi upodmiotowienie.

W ogniu

Siedzę w sali konferencyjnej w centrum Newburyport, przy stole otoczonym fotelami obitymi jasnozieloną tapicerką. Po mojej lewej stronie, u szczytu stołu, zasiada Kelly Dunne, ubrana w czarną spódnicę i buty na płaskim obcasie, z jasnymi włosami spiętymi w kok na czubku głowy. Ma przed sobą stos dokumentów w szarych teczkach. Detektyw Wile, w szortach khaki i sportowych butach, świeżo po powrocie z urlopu, siedzi naprzeciwko Howiego Adamsa, sierżanta policji z Newburyport. Wile ma na sobie głęboką opaleniznę. Tuż za nim rzeka Merrimack wpada do Oceanu Atlantyckiego, a białe żaglówki kołyszą się na akwamarynowej wodzie, tworząc typowy letni krajobraz Nowej Anglii. Reklamy zachęcają do wypraw na obserwację wielorybów i wycieczek na Śliwkową Wyspę. Samo Newburyport, niegdyś opustoszałe, robotnicze miasteczko, przeszło gentryfikację, a dziś butiki, ekologiczne restauracje i lokalne galerie mnożą się tu jak grzyby po deszczu. Przy stole siedzą przedstawiciele i przedstawicielki biura kuratora sądowego, departamentu policji w Merrimack, programów interwencyjnych dla sprawców przemocy i lokalnego szpitala. Spotkanie prowadzą Dunne i jej współpracownica Kate Johnson.

Przyjechałam do Newburyport, ponieważ teoretyczna świadomość, że komunikacja może usprawnić system, to jedno, ale ja chciałam zobaczyć na własne oczy, jak Zespół Wysokiego Ryzyka opracowuje strategię ochrony ofiary przed niebezpieczeństwem. Zgodziłam się nie podawać żadnych danych na temat omawianych przez Dunne przypadków, a także nie cytować żadnych członków zespołu opieki zdrowotnej, których obowiązuje tajemnica lekarska. Jeśli jakiś szczegół stanowiłby część dokumentacji publicznej, na przykład raportu policyjnego, mogłam go wykorzystać, ale w przeciwnym razie mogłam włączyć do książki konkretne detale z jednej sprawy tylko wtedy, gdy pojawiały się w wielu przypadkach; na przykład sprawca grozi, że połamie płyty CD i poderżnie gardło swojej żonie. Wydaje

się, że tak nietypowy detal pozwoli na identyfikację konkretnego małżeństwa, ale jak się okazuje, Dunne często napotyka tę konkretną groźbę (choć przypuszczalnie coraz rzadziej wraz ze wzrostem popularności platform streamingowych… Zdaję sobie sprawę, że brzmi to dość śmiesznie, ale jest też prawdopodobnie prawdziwe. Spotify ratuje życie). Takie ustalenia zagwarantują bezpieczeństwo ofiar, a jednocześnie pozwolą mi zobaczyć, jak to wszystko działa.

Większość spraw kieruje do rozpatrzenia organizacja Dunne albo jeden z wydziałów policji, a zespół głosuje za tymi, którymi należy się zająć. (Sprawy pozostają czasem aktywne przez całe lata). Około dziesięciu procent wszystkich przypadków przemocy domowej to sytuacje wysokiego ryzyka. Członkowie zespołu sprawdzają każdą sprawę pod kątem zmian – ciąża, próba odejścia od partnera, zwolnienie warunkowe, naruszenie zakazu zbliżania, utrata pracy, prowokacyjny post na Facebooku. Analizują historię przypadków i wzorce zachowań sprawców przez pryzmat opracowanych przez Campbell wskaźników ryzyka. Poprzedniego dnia Dunne wręczyła mi stos kilkudziesięciu raportów policyjnych z utajnionymi nazwiskami, żeby dać mi wgląd w to, z czym ona ma do czynienia na co dzień. Usiadłam na miękkiej kanapie w nieużywanym pokoju w centrum kryzysowym, a z korytarza dobiegał dźwięk automatów do zagłuszania (w ten sposób chroni się prywatność klientek podczas spotkań z aktywistkami). Przypominało mi to studio jogi – wszystkie te stonowane kolory i miękkie światło – ale stało w szokującej sprzeczności z grozą, o której czytałam:

> „Nie wiem, jak trafiłam na podłogę w kuchni, ale następne, co pamiętam, to jak [X] jest nade mną i dusi mnie obiema rękami". „[X] groził mi w przeszłości, że mnie zabije, wsadzi do zamrażarki, a potem wsadzi moje ciało na łódź i wyrzuci do oceanu. Powiedział też, że może mnie zabić i wrzucić moje ciało do szamba". „[X] przyciskał ją wielokrotnie do rur grzewczych". „[On] …wypatroszyłby ją i powiesił jak jelenia, żeby się wykrwawiła". „Jeżeli przyprowadzę do domu inną kobietę, zrobisz z nią, co ci każę. Ja jestem twoim panem, ty jesteś moją niewolnicą. Jeśli nie zrobisz tego, co mówię, i nie będziesz mnie uszczęśliwiać, zabiję cię". „[X] często grozi [jej] śmiercią, w tym łamie jej płyty w samochodzie […] i grozi, że jej poderżnie gardło podczas jazdy".

> „[X] trzymał ją jako zakładniczkę pod karabinem … i powiedział, że »ustawi się« ponad tysiąc metrów dalej i »ją zdejmie«”.

Wcześniej rozmawiałam z jedną klientką, której oprawca, były mąż, na wniosek zespołu miał założoną opaskę monitorującą z GPS-em. (Przydzielono jej ochronę na ponad rok w ramach programu Commonwealth of Massachusetts Address Confidentiality). Powiedziała mi: „On nie ocenia sytuacji tak jak ktoś, kto ma coś do stracenia”. Przypomniało mi to cytat z książki Jamesa Baldwina *Następnym razem pożar*: „Najniebezpieczniejsze stworzenie w każdym społeczeństwie to człowiek, który nie ma nic do stracenia”.

Dzisiaj Dunne i Johnson mają czternaście spraw do omówienia. Jeden z pierwszych problemów, jakie napotykają, dotyczy prywatności informacji medycznych. Były mąż dusił ofiarę. Kobieta zadzwoniła do centrum kryzysowego, uzyskała zakaz zbliżania i trafiła na listę wysokiego ryzyka. On zaś dostał wyrok w zawieszeniu. Ale w zeszłym tygodniu zadzwonił do niej i groził samobójstwem. Kobieta wezwała pogotowie i zabrano go do szpitala. Potem trafił do aresztu za złamanie zawieszenia i siedzi tam do tej chwili. Zespół musi ustalić, jaką strategię działania przyjąć, kiedy sprawca wyjdzie na wolność. Czy można go skierować na przymusowe leczenie na oddziale psychiatrycznym? Czy można coś wywnioskować na podstawie jego zachowania w szpitalu? Przedstawicielka szpitala Moe Lord głównie milczy, chociaż mogła być obecna, gdy go przyjmowano na oddział, i kojarzyć jego nazwisko z wcześniejszego spotkania Zespołu Wysokiego Ryzyka; przepisy regulujące kwestię poufności danych stanowią, że nie wolno jej zdradzać niemal żadnych informacji. Lord wyjaśnia teraz Dunne, że nie może komentować jego zachowania. Ogólnie rzecz biorąc, mówi, że często widzi facetów, którzy przychodzą do szpitala w opaskach z GPS-em na kostce, i wie, że prawdopodobnie są przemocowcami z wyrokiem w zawieszeniu. Widzi też kobiety z podejrzanymi obrażeniami, ale jeśli pacjentka sama nie omówi z nią sytuacji, to Lord nie może nawet wezwać policji w sprawie naruszenia zakazu zbliżania. Mimo to przyszła tu dzisiaj, ponieważ jeśli pozna te przypadki, będzie mogła podjąć próbę interwencji w sprawie znanych jej ofiar, gdyby któraś znalazła się na pogotowiu. Przy-

najmniej będzie mogła przekazać jej informacje o organizacji Dunne i poradzić, jak uzyskać konkretną pomoc.

– Czy w ogóle istnieje jakiś mechanizm, który pozwoliłby wezwać policję, kiedy on wyjdzie? – pyta ją Dunne.

– Jeśli wiemy o tym, a on da nam pozwolenie – odpowiada Lord.

– Czyli on może tak po prostu wyjść stamtąd? – pyta Dunne, mając na myśli szpital. To niebezpieczny scenariusz. Złamał zakaz zbliżania, a ofiara wezwała na niego policję, co prawdopodobnie zaostrzy sytuację i jeszcze bardziej go zdenerwuje.

Lord kiwa głową.

Na twarzy Dunne maluje się frustracja. Zerka w rozłożone przed nią dokumenty, marszczy czoło w skupieniu. Zawsze sprawiała na mnie wrażenie osoby, którą trudno wyprowadzić z równowagi, która zachowuje spokój w obliczu stresu.

Obecny na sali kurator mówi, że ofiara przyszła do niego po tym, jak wezwała policję, a detektyw Wile – jak się okazuje – zna sprawcę. Referuje historię oskarżeń ze strony innych ofiar (których nie wolno mi tu opisać). Wile mieszka w tej części kraju przez całe swoje życie. Wygląda na to, że zna wszystkich mieszkańców każdego miasteczka w okolicy, a na spotkaniach często wspomina o tej czy innej rodzinie oraz o latach nieustannych problemów i narkomanii, czy też o tym, że czyjś brat poślubił czyjąś siostrę z sąsiedniej przecznicy, a teraz on, Wile, obserwuje, jak dzieci tamtych dzieci zaczynają sprawiać kłopoty. Lubi słowo „cymbał”.

– Myślę, że może mieć tu zastosowanie precedens Tarasoff – mówi Dunne. Ma na myśli wymóg, by pracownik służby zdrowia psychicznego ostrzegł potencjalną ofiarę, jeśli istnieje wiarygodne zagrożenie. Czasami nazywa się to po prostu „obowiązkiem ostrzegania”.

Lord rozważa to, kiwa głową i odpowiada:

– Jeśli będę o tym wiedziała. – Innymi słowy, jeśli będzie wiedziała, że sprawca, którego rozpozna z przypadku omawianego na spotkaniach, może stanowić realne zagrożenie dla ofiary po wyjściu ze szpitala.

– Myślę, że właśnie znalazłyśmy rozwiązanie – mówi Dunne do Lord. – Jeśli w przyszłości będziemy mieli bardziej niebezpieczną sprawę, jeśli dowiesz się od kuratorów, że jest tylko nakaz, nie możesz nic zrobić. Ale gdybyś usłyszała informacje nieco inaczej… Na przykład, że groził jej śmiercią, to wtedy jest Tarasoff.

Lord potakuje.

Zespół opracowuje skoordynowany plan dla każdego przypadku. Czasami policja podjeżdża na chwilę na miejsce albo odwiedza rodzinę. Odnotowują samochody przed domem, zapalające się lub gasnące światła o nietypowych porach. Pamiętam historię policjanta, który zobaczył zapalone światło w oknie na górze domu przydzielonego mu do obserwacji. Podjechał, zapytał ofiarę, czy wszystko w porządku. Okazało się, że jej dziecko przypadkowo włączyło światło na strychu. Policjant odjechał, po czym zawrócił – sprawcy, którzy śledzą swoje ofiary często obserwują podjeżdżające radiowozy, po czym atakują, kiedy policjant znika za rogiem. Ale policja w tej części kraju dobrze zna tę taktykę ze spotkań zespołu. Zatem funkcjonariusz okrążył kwartał i zjawił się przed budynkiem dwie minuty po tym, jak stamtąd odjechał, by zastać tam sprawcę, który właśnie wysiadał z samochodu.

W innych przypadkach przemocowiec dostaje opaskę z GPS-em albo ustala się dla niego strefy zakazane – zazwyczaj całe miasta – gdzie nie ma wstępu. Można umieścić ofiarę w tymczasowym mieszkaniu, pomóc jej w znalezieniu albo opłaceniu prawnika czy przeszkolić w zakresie bezpieczeństwa. Można zmienić zamki albo zapewnić nowe telefony komórkowe dzieciom i ofierze.

„Jeśli zależy nam na zdrowiu ofiary na dłuższą metę, nie wystarczy zadbać o to, żeby jej nikt nie zabił – mówi Dunne. – Kiedy agresor idzie do więzienia, fizycznie może być bezpieczna, ale jej życie może się rozpaść bez wsparcia. Trzeba przywrócić tę ofiarę do stanu, w jakim znajdowała się przed doświadczeniem przemocy”.

Dla Dunne ma to krytyczne znaczenie. Ofiary często zmagają się z własnymi problemami. Uzależnienie, bieda, bezrobocie. Dunne nie próbuje naprawić każdego aspektu ich życia. Stara się wyrwać je z niebezpiecznej sytuacji i dać im przestrzeń, w której będą mogły po-

myśleć nad rozwiązaniem szerszych problemów, takich jak praca czy uzależnienie. Zapewnić im emocjonalną, fizyczną i psychiczną przestrzeń do rozwiązania części tych pozostałych problemów.

„Klucz do opanowania przemocy domowej – wyjaśnia Dunne – to zająć się nią w fazie wykroczeń”. Jednym z najtrudniejszych zadań jest powstrzymanie eskalacji przemocy. Jednak aby tak się stało, wykroczenia muszą być traktowane o wiele poważniej, niż zazwyczaj się podchodzi do przypadków przemocy wobec partnerów życiowych. Jak w sprawie Tari Ramireza i Claire Joyce Tempongko z San Francisco. Niektóre z najbardziej skrajnych aktów przemocy w takich sytuacjach uznaje się za wykroczenia, a sprawcy otrzymują za nie szokująco lekkie wyroki. Ramirez, przypomnijmy, został skazany zaledwie na sześć miesięcy. Nawet Donte Lewis otrzymał tylko cztery lata za porwanie swojej dziewczyny i uderzenie jej tak mocno w głowę, że piana zaczęła jej lecieć z ust i straciła przytomność. A wielu sprawców takich jak Ramirez przechodzi od wykroczenia do morderstwa. Tyle że dla sądownictwa wyzwanie polega na tym, jakie postawić zarzuty i jak dalece sąd może i zechce zareagować, żeby powstrzymać to zachowanie.

Jednym z najskuteczniejszych narzędzi dla Zespołu Wysokiego Ryzyka w Massachusetts jest przepis dotyczący kaucji, tak zwany paragraf 58A, czyli przesłuchanie w sprawie niebezpieczeństwa. Standardowa rozprawa o ustanowienie kaucji ma na celu określenie ryzyka ucieczki przestępcy, podczas gdy prokurator okręgowy może powołać się na paragraf 58A i zażądać, by oskarżony, również taki z czystą kartoteką, pozostał w areszcie nawet w fazie wykroczeń, bez ustanowienia kaucji do czasu procesu sądowego, jeśli zostanie uznany za wystarczające zagrożenie dla jednostki lub społeczności. Przepis ten mógł zapobiec zwolnieniu Williama Cottera i uratować życie Dorothy, ale w tamtym czasie rzadko stosowano go w przypadkach przemocy domowej, zatem Dunne nie miała o nim pojęcia, a poszczególne instytucje i służby dysponowały zaledwie fragmentarycznymi, rozproszonymi informacjami na temat sytuacji w rodzinie Cotterów. W Massachusetts przestępca może być przetrzymywany w areszcie przez sto osiemdziesiąt dni. „Do przemocy często dochodzi między postawieniem w stan oskarżenia a decyzją sądu – stwierdza

Dunne. – Więzimy przestępcę, żeby nie trzeba było więzić ofiary". W nielicznych stanach istnieje tak jasno określony przepis dotyczący potencjalnego niebezpieczeństwa, a podczas szkoleń Dunne zachęca aktywistki, by sprawdziły pod tym kątem prawodawstwo w swoich stanach. Wiele z nich po prostu o tym nie wie, choć nawet gdy zaglądają do przepisów określających zasady ustalania kaucji, niemal zawsze są zawiedzione. W kwietniu 2018 roku Pensylwania stała się dopiero drugim stanem, który uchwalił ustawę pozwalającą sędziemu na uwzględnienie tego, jak potencjalnie niebezpieczny jest sprawca przemocy domowej[121].

Paragraf 58A należy do kategorii przepisów znanych jako areszt prewencyjny, a Dunne mówi, że w trakcie szkoleń, które przeprowadza w całym kraju, niemal nigdy nie spotyka innych aktywistek, które mogłyby się powołać na coś w tym rodzaju. Większość z nich pyta, co zrobić, żeby doprowadzić do ustanowienia takiego prawa w ich jurysdykcjach. „W wielu stanach obowiązuje instytucja aresztu prewencyjnego – wskazała Cherise Fanno Burdeen, dyrektor naczelna Pretrial Justice Institute, organizacji, która współpracuje ze społecznościami w zakresie skutecznych praktyk dotyczących kaucji. – Ale jest bardzo rzadko wykorzystywana. Systemy stosują rozmaite sposoby na obejście przepisów, które niestety nie zawsze się sprawdzają, co oznacza, że codziennie niebezpieczni ludzie wychodzą na wolność bez żadnego nadzoru".

Przepisy o areszcie prewencyjnym powstały na podstawie ustawodawstwa federalnego, ustawy o reformie systemu kaucji z 1984 roku, która zezwala na tymczasowe aresztowanie oskarżonego, jeżeli zostanie on uznany za wystarczająco niebezpiecznego dla innej osoby lub dla społeczności. Ocena potencjalnego zagrożenia obejmuje między innymi takie czynniki, jak: charakter przestępstwa, dowody przeciw oskarżonemu czy historia działalności przestępczej – przepisy te wykorzystywano najczęściej w sprawach dotyczących gangów lub narkotyków, choć w Massachusetts odnotowano znaczny wzrost ich stosowania w przypadkach przemocy domowej.

Nikt nie śledzi, jak często przeprowadza się takie przesłuchania – czy to w Massachusetts, czy to w pozostałej części kraju – a ponadto każdy stan różni się nieznacznie pod względem tego, jak wdrażane są

przepisy o areszcie prewencyjnym i na jakiej podstawie. Wspólnym elementem są jednak kontrowersje, czy areszt prewencyjny w ogóle należy stosować. „Konstytucja USA raczej krzywo patrzy na karanie za przyszłe czyny – oświadczył mi Ronald S. Sullivan Jr., dyrektor Harvard Criminal Justice Institute. – Karzemy za przeszłe czyny, które zostały udowodnione. Natomiast w tym przypadku wsadzalibyśmy ludzi za kratki, bo uważamy, że dopiero będą niebezpieczni". Ale Viktoria Kristiansson, doradczyni AEquitas, argumentuje za zachowaniem tego typu rozwiązań, twierdząc, że „automatycznie stwarzają one dla sędziego inny kontekst do analizy dowodów".

Zatrzymanie sprawcy przed procesem pomaga oszczędzić ofiarom konieczności pobytu w schronisku; daje im czas na znalezienie innego mieszkania, zaoszczędzenie pieniędzy, zorganizowanie wsparcia i być może znalezienie pracy. „Wiemy, że aresztowanie, samo w sobie, daje ochronę – powiedziała mi Dunne. – Chodzi o to, żeby przerwać ten nasilający się cykl przemocy". Przetrzymywanie sprawcy w więzieniu przed wydaniem wyroku w sądzie daje ofiarom czas na przegrupowanie, na uporządkowanie życia przed procesem, gdy poziom zagrożenia ponownie wzrośnie. Dunne mówi, że to miało krytyczne znaczenie dla powodzenia każdej sprawy. Ani jeden spośród przestępców monitorowanych za pośrednictwem GPS-u z kartoteki Dunne nie ponowił napaści, a prawie sześćdziesiąt procent z nich trafiło do aresztu na czas postępowania przygotowawczego w wyniku przesłuchania dotyczącego niebezpieczeństwa. Co prawda nikt nie sprawdzał, jak często wykorzystywano paragraf 58A przed utworzeniem Zespołu Wysokiego Ryzyka, ale Dunne mówi, że przed zabójstwem Dorothy widziała „jakieś pięć takich przypadków w ciągu trzech lat. Teraz mamy dwa w miesiącu".

Ostatni przypadek tego dnia to imigrantka i jej agresywny partner. Obecnie mężczyzna siedzi w areszcie za napaść i pobicie – co zagraża jego statusowi imigracyjnemu – ale para ma małe dziecko, które przebywa obecnie poza granicami kraju z rodziną sprawcy. Rodzina zagroziła, że jeśli zarzuty wobec sprawcy nie zostaną oddalone, młoda matka może już nigdy nie zobaczyć swojego dziecka, a jeśli jej partner zostanie deportowany, zanim ona je odzyska, również

mogą jej go nigdy nie oddać. Oznacza to, że kobieta, która chce zeznawać, musi się liczyć z ryzykiem utraty dziecka; tak naprawdę nie może sprawiać wrażenia, jakby stała po stronie oskarżenia. Jest to sytuacja bez wyjścia, zarówno dla ofiary, jak i dla prokuratury. Choć jeszcze do tego nie doszło, zespół jest w pełni przygotowany na to, że kobieta odwoła zeznania. Sierżant Adams opisuje historię pary w raporcie z nocy aresztowania, którego nie mogę tu przytoczyć, poza tym, że sprawca odizolował partnerkę do tego stopnia, że nie pozwolił jej dzwonić na komórkę do nikogo innego i porozstawiał po domu kamery, żeby ją śledzić.

Wile proponuje poprawkę do zgłoszenia, kilka dodatkowych zarzutów, które jak mówi, „dadzą prokuraturze jakieś pole manewru. Jeśli z jednego incydentu da się wyciągnąć osiem czy dziewięć zarzutów, to większa szansa, że ona będzie musiała zeznawać na procesie, a on przyzna się do niektórych”. Wile odnosi się tutaj do kilku różnych aspektów. Pierwszym z nich jest próba postawienia osobie dopuszczającej się przemocy jak największej liczby zarzutów, żeby wynegocjować częściową ugodę, nawet pomijając samą kwestię przemocy. Czy można postawić zarzuty narkotykowe? Czy w domu znajduje się nielegalna broń? To daje również większe szanse, że przynajmniej część zarzutów się utrzyma. Drugi element, do którego odwołuje się Wile, to oskarżenie oparte na dowodach. Na „dowodach”, czyli nie na „świadkach”. Prokuratura powinna przedstawić w sądzie wystarczająco dużo dowodów, żeby ofiara-świadek nie musiała się stawiać osobiście i zeznawać w obecności swojego oprawcy. Takimi dowodami mogą być zdjęcia, zeznania złożone pod przysięgą, zeznania naocznych świadków, wcześniejsze akta lub nagrania telefonów na numer alarmowy.

Właśnie w ten sposób Stacy Tenney i bliscy Michelle mogli doprowadzić Rocky’ego Mosure’a przed sąd niezależnie od tego, czy Michelle złożyłaby zeznania, gdyby tylko znaleźli tego węża. Mogliby to połączyć z oświadczeniem, że Rocky groził im wszystkim bronią dziadka Michelle albo – gdyby o tym wiedzieli – że wiele razy śledził Michelle w drodze na uczelnię i z powrotem, że porwał dzieci, by ją szantażować. Gdyby mogli doprowadzić do jego zatrzymania przed procesem, dowiedzieliby się, że ciągle tracił pracę, że brał nar-

kotyki. Mieliby więcej danych, mogliby podjąć skuteczniejsze działania, gdyby wtedy, w 2001 roku, istniał Zespół Wysokiego Ryzyka, dzięki któremu wymiana informacji stworzyłaby pełniejszy obraz sytuacji ponad biurokratycznymi podziałami.

Instytucja oskarżenia opartego na dowodach w sprawach dotyczących przemocy domowej istniała, gdy Michelle wycofywała zgłoszenie. Ellen Pence, aktywistka z Duluth w stanie Minnesota, która opracowała koncepcję Koła Władzy i Kontroli, domagała się jej wprowadzenia już w latach osiemdziesiątych. Ale dopiero kiedy Casey Gwinn, ówczesny pełnomocnik miasta San Diego, zwrócił uwagę na jej wysiłki i zaczął wnosić do sądu w swojej jurysdykcji jedną taką sprawę po drugiej, inicjatywa zaczęła się na dobre rozwijać. Gwinn pojechał do Duluth i spotkał się z Pence osobiście, wysłuchał jej argumentów, po czym wrócił do San Diego w samą porę na pierwszy w swojej karierze proces oparty na dowodach. Była to sprawa o przemoc domową przeciw urzędującemu sędziemu Joemu Davisowi. Dziewczyna Davisa wycofała zeznania, a następnie zniknęła. Ale Gwinn i tak wniósł oskarżenie.

Po czym, na oczach lokalnych dziennikarzy i przed obiektywami kamer telewizyjnych, spektakularnie przegrał.

To była upokarzająca porażka. Proces przyciągnął uwagę mediów w całym regionie, zważywszy, że toczył się przeciw sędziemu. Jak powiedział mi Gwinn: po prostu „kompletnie się wygłupiłem. […] Nie miałem pojęcia, co robię”.

Ale po wygranej Davisa prokurator z San Diego John Witt wezwał Gwinna do swojego biura i powiedział mu, że najbliższe tygodnie będą trudne dla nich obu, dla całego biura, ale że wierzy w to, co Gwinn próbował zrobić. „Powiedział mi, żebym zastanowił się, jak wygrywać takie sprawy” – wspomina Gwinn.

Gwinn zaczął wnioskować o wydanie nagrań telefonów na numer alarmowy we wszystkich przypadkach przemocy domowej, czego przed sprawą Davisa nigdy nie robił. Poprosił też policję o dokumentację fotograficzną wszystkiego: miejsca zajścia, ofiar, nawet sprawców awanturujących się na tylnym siedzeniu radiowozu. Postanowił gromadzić każdy dostępny skrawek materiału dowodowego. Odwie-

dział lokalne wydziały policji i prosił o zbieranie coraz większej ilości dowodów. Kiedy jeden z sierżantów powiedział mu, że cała jego misja to bzdura, że te sprawy nigdy nie trafią do sądu, Gwinn stworzył system powiadamiania policji o dalszych losach każdego postępowania.

Gwinn prowadził kolejno dwadzieścia jeden spraw, wszystkie dotyczyły wykroczeń związanych z przemocą domową. Wszystkie odbyły się bez zeznań ofiary.

Wygrał siedemnaście.

Kiedy w 1994 roku uchwalano ustawę VAWA, Gwinn od dawna szkolił prawników w całym kraju w zakresie postępowania opartego na dowodach w sprawach dotyczących przemocy w rodzinie. (Określenie „oparte na dowodach" jest trochę mylące, ponieważ – technicznie rzecz biorąc – wszystkie procesy opierają się na dowodach). Doszedł do przekonania, że jeśli zeznania ofiar nie są konieczne, żeby sądzić morderców, to możemy też w ten sam sposób ścigać za pobicie. W 1996 roku Gwinn został wybrany na pełnomocnika miasta San Diego i dotrzymał złożonej podczas kampanii obietnicy, że jego biuro poświęci dziesięć procent swojej aktywności problemowi przemocy domowej. Dziś prokuratorzy z całego kraju przyjeżdżają do niego na szkolenia. Gwinn powiedział, że w latach osiemdziesiątych XX wieku w niektórych jurysdykcjach ścigano mniej niż pięć procent przypadków przemocy domowej, a pod koniec lat dziewięćdziesiątych XX wieku – już osiemdziesiąt procent[122].

A potem, w 2004 roku, przyszedł Crawford.

W sprawie Crawford przeciw Waszyngtonowi Sąd Najwyższy orzekł, że na rozprawie świadkowie muszą poddać się tak zwanemu przesłuchaniu krzyżowemu, chyba że dany świadek z jakiegoś powodu nie może się stawić (jest na przykład chory lub nie żyje). Sąd stwierdził, że oskarżony ma konstytucyjne prawo do zadawania pytań stronie oskarżającej, że wcześniejsze oświadczenia świadków, którzy nie stawili się na rozprawie, należy uznać za pogłoski. A dowody oparte na pogłoskach są niedopuszczalne[123]. Oznaczało to, że prokuratura nie może już wykorzystywać wcześniejszych zeznań

ofiary, która boi się stawić w sądzie, ale fizycznie jest zdolna do stawiennictwa.

Od czasu tego orzeczenia sądy stanowe nadal mają pewne pole manewru i mogą ustalać według własnego uznania, jaki materiał dowodowy dopuścić, ale ogólnie rzecz biorąc, sprawa Crawforda odcisnęła głębokie piętno na inicjatywie na rzecz postępowania opartego na dowodach w sprawach dotyczących przemocy domowej w całym kraju. Obecnie zeznania ofiar są często niedopuszczane w postępowaniu sądowym, jeśli świadek nie chce współpracować (co zdarza się aż w siedemdziesięciu procentach przypadków)[124]. „W debacie nad zasadnością postępowania opartego na dowodach to nie kwestia dowodów stanowi przeszkodę – powiedział Gwinn. – Nie chodzi tu o ewentualną wygraną w tych sprawach. Chodzi o normy i wartości kulturowe. A u podstaw tego wszystkiego leżą niewiarygodne wręcz pokłady mizoginii”.

Jeden z argumentów wysuwanych przeciw modelowi z Newburyport stwierdza, że trudno byłoby go zastosować w środowisku miejskim, gdzie panuje ogromne zagęszczenie, zasoby są ograniczone, a interwencje związane z przemocą domową odbywają się w zasadzie non stop. Mark Gagnon, były szef policji w Amesbury, nie zgadza się z tymi zarzutami. „Większa społeczność dysponuje większą ilością zasobów – mówi. – Wszystko da się zrobić, tylko na innym poziomie”. Dunne zdaje sobie sprawę z wyzwania, jakim jest rozszerzenie projektu na większą skalę, ale wskazuje, że to kwestia podziału terytorium na mniejsze, łatwiejsze do zarządzania jurysdykcje. Władze obszarów miejskich w stanie Massachusetts, takich jak Framingham, Lynn i Cambridge, wysłały przedstawicieli na szkolenia prowadzone przez Dunne i Wile’a oraz powołały Zespoły Wysokiego Ryzyka. „Myślę, że jedną z zalet tego modelu jest to, że zmienia nie tylko sytuację ofiar, ale wszystkich – powiedziała Mary Gianakis, była dyrektor organizacji Głosy przeciw Przemocy (Voices Against Violence) i szefowa Zespołu Wysokiego Ryzyka. – Zmienia sposób, w jaki każdy pojedynczy trybik w całej machinie podchodzi do przemocy domowej. […] Myślę też, że stanowi wyraźny sygnał dla sprawców: że jako społeczność nie będziemy tolerować tego rodzaju

przemocy. […] To ważne przesłanie, ponieważ wpływa na zmianę kultury”.

Kelly Dunne i Robert Wile przeszkolili jak dotąd dziesiątki tysięcy ludzi w całym kraju. Zgłaszały się do nich grupy od Kalifornii po Luizjanę, od Florydy po Illinois. Campbell mówi, że o ile ona odpowiada za badania, o tyle to Dubus i Dunne wprowadziły teorię w życie. „Czerpały z mojej pracy, a teraz ja czerpię z tego, co one robią” – dodała. Joseph Biden, wówczas wiceprezydent USA, wychwalał program z Amesbury w październiku 2010 roku, kiedy wspomniał o działalności Suzanne Dubus podczas uroczystości zorganizowanej w Białym Domu z okazji Miesiąca Świadomości Przemocy Domowej. „Musimy wdrożyć ten projekt zamiast tego, co robiliśmy do tej pory, i powtórzyć ten sukces” – powiedział do zebranych.

Zdaniem Dunne ich sukces pokazuje, jak pozornie trudny problem można rozwiązać stosunkowo niskim kosztem poprzez koordynację, dzielenie się informacjami i najzwyklejszą czujność. „W przypadku Dorothy szukaliśmy alarmu przeciwpożarowego, kiedy wszystko już stało w ogniu – powiedziała Dunne. – Tak się nie da działać. Potrzebny jest sprawdzony system”. Przed utworzeniem zespołu w 2005 roku w samym tylko Amesbury rocznie dochodziło średnio do jednego zabójstwa w wyniku przemocy domowej. Od początku trwania programu żadna ze spraw monitorowanych przez Dubus i Dunne nie zakończyła się zabójstwem. Równie ważne dla Dunne jest jednak to, że do schroniska trafiło niespełna dziesięć procent ofiar, a przed 2005 rokiem odsetek ten wynosił ponad dziewięćdziesiąt procent. Dla Dubus to oczywiste, że należy stworzyć model, w którym ofiary się chroni, a nie wygania z domu. „Właśnie to jest w tym wszystkim najgorsze – powiedziała mi. – To, co robimy, wychodzi taniej. O wiele taniej niż dochodzenie w sprawie o morderstwo, proces i utrzymanie więźnia”.

Pod koniec 2012 roku Biuro Departamentu Sprawiedliwości do spraw Przemocy wobec Kobiet w Waszyngtonie przeznaczyło pół miliona dolarów na wdrożenie na szerszą skalę Programu Wysokiego Ryzyka, wraz z innym projektem ze stanu Maryland, zwanym Programem Oceny Śmiertelności. Pierwotnie rozważano dwanaście miejsc w całym kraju, w tym Rutland w stanie Vermont, nowojorski

Brooklyn oraz Miami na Florydzie. Ostatecznie zielone światło dostało od OVW tylko jedno miasto: Cleveland w stanie Ohio[125].

W stanie Ohio od 1 lipca 2016 roku do 30 czerwca 2017 roku odnotowano sto piętnaście zabójstw związanych z przemocą domową[126]. W samym tylko roku 2016 miało miejsce ponad siedemdziesiąt tysięcy przypadków przemocy domowej (nieco ponad połowa sprawców została postawiona w stan oskarżenia)[127]. „Siedemdziesiąt tysięcy zgłoszeń" – powiedział Tim Boehnlein z Centrum Obsługi Świadków/Ofiar Hrabstwa Cuyahoga, który stoi także na czele Zespołu Wysokiego Ryzyka w Cleveland wspólnie z Domestic Violence and Child Advocacy Center. „To oznacza wiele osób dotkniętych przemocą domową, wiele rodzin".

Departament policji w Cleveland przyjął podział na pięć dzielnic; w trzech dzielnicach wewnętrznych wyznaczono funkcjonariuszy do spraw przemocy domowej, ale ani pierwsza, ani piąta – położone odpowiednio najdalej na wschodzie i na zachodzie miasta – nie mogły poradzić sobie z przytłaczającą liczbą codziennych wezwań do przypadków przemocy domowej. Zatem to właśnie tam miasto postanowiło wdrożyć eksperymentalny projekt Zespołu Wysokiego Ryzyka, który rozpoczął się w październiku 2016 roku.

Dunne zadzwoniła do mnie do domu pewnego popołudnia, tuż po moim powrocie ze szkolenia w Cleveland. „Jest ktoś, z kim musisz się spotkać – powiedziała. – O nic nie pytaj. Po prostu jedź".

Pod presją

W ciemnym, zadymionym mieszkaniu, zastawionym sprężynowymi kanapami w kolorze czekoladowego brązu, zawodzi bosy maluch. Dzieciak, nazwijmy go Joey, ma aureolę loczków na głowie i przewraca właśnie metalowe krzesło kuchenne. Inny chłopiec je podnosi. Joey ponownie je przewraca, i to kilka razy. W kuchni gra włączony telewizor. Na stole stoi miska rozmiękłych płatków śniadaniowych, których nikt nie je. Naprzeciwko mnie siedzi milczący nastolatek o jasnej skórze. Powiedzmy, że ma na imię Mark. Jest przyzwyczajony do wrzasków młodszego brata, który ma autyzm. Ma też inne rodzeństwo o innych specjalnych potrzebach. Maluch maszeruje do salonu i biegnie na kolana matki, po czym chwyta wizytówkę, którą ona położyła na stole.

– Joey – mówi policjantka siedząca obok kobiety. – Joey, nie ruszaj teraz tej kartki.

W głosie detektyw Martiny Latessy pobrzmiewa akcent typowy dla wielkomiejskich metropolii. Może Bronx. Wschodnie Wybrzeże, jakaś trudna dzielnica. Tyle że ona nigdy nie mieszkała poza Cleveland, gdzie się teraz znajdujemy. Joey ją ignoruje. Nie bardzo wiadomo, czy rozumie. Policjantka uśmiecha się do chłopca.

– Ej – mówi – słyszysz mnie, Joey? Nie ruszaj tej kartki.

Joey biegnie z powrotem do kuchni z wizytówką w ręku. Podskakuje na podłodze, pada na pupę i czołga się gdzieś, gdzie go nie widzę. Twarz detektyw Latessy poważnieje, kiedy tylko Joey znika za drzwiami. Zwraca się do matki:

– Przydzielili mnie do twojego przypadku, bo jestem z jednostki do spraw przemocy domowej. Nie jestem z piątej dzielnicy [gdzie znajduje się ten dom]. Mój dział to grupa zadaniowa, Jednostka Redukcji Zabójstw. – Milknie, czeka, aż jej słowa wybrzmią.

Zabójstwa.

Redukcja.

Jednostka.

Ma teraz pełną uwagę kobiety. Nazwijmy ją Grace. Grace naciąga rękawy obszernego swetra na dłonie i kurczy się na kanapie. Skupia się całkowicie na Martinie. Mark siedzi po drugiej stronie Martiny, pociera ręce między kolanami i obserwuje twarz matki. Jest blady jak ściana.

– Skoro ja zajmuję się twoją sprawą – mówi Martina – to znaczy, że grozi ci najwyższe możliwe niebezpieczeństwo śmierci, jasne? Rozumiesz mnie?

Po twarzy Grace zaczynają spływać łzy.

– Niełatwo słyszeć takie rzeczy?

Kobieta kiwa głową.

W kuchni Joey wyje. To wrzask, od którego pękają bębenki, a nerwy napinają się jak postronki. Siedzimy na miękkich, pozapadanych kanapach, a w klatce na półce kręci się kawia.

– Musisz mi pozwolić wykonywać moją pracę – mówi Martina. – Żebym mogła chronić ciebie i twoje dzieci, dobrze?

Grace wyciera nos rękawem, kiwa głową. Włosy ma zaczesane do tyłu w kucyk. Ktoś prowadzi Joeya do pokoju na tyłach, jego pisk cichnie nieco, co przynosi nam chwilową ulgę. Ale po kilku sekundach chłopiec wraca i znów skacze po oparciu fotela.

– To będzie trudne – mówi Martina. Nie zwraca uwagi na wycie Joeya, jak gdyby w ogóle go nie słyszała. – Ale nie da się tego uniknąć. Odzyskasz swoje życie, zaczniesz je odzyskiwać już dzisiaj, dobrze?

Grace kiwa głową, raz po raz.

Martina odwraca się nagle do Marka.

– Głaszczesz ją czasem?

Dopiero po chwili dociera do mnie, co ma na myśli: nerwową kawię w klatce.

– Tak – szepcze Mark w odpowiedzi, na wpół potwierdzenie, na wpół pytanie.

– Lepiej, żebyś nie dokuczał temu zwierzakowi – mówi policjantka. Uśmiecha się do chłopca i wskazuje na zwierzątko długopisem. Potrzeba chwili, by zrozumieć, jak naturalnie przyszła jej ta zmiana tonu, kiedy odczytała atmosferę w pokoju. Właśnie powiedziała młodemu chłopcu, że jego matce grozi śmierć, i teraz ta matka zanosi się płaczem. Niewiele jest rzeczy bardziej przerażających dla dziecka niż płaczący dorosły, który przecież powinien mieć wszystko pod kontrolą, znać na wszystko odpowiedź. Martina ma wrodzony talent do odczytywania atmosfery, manewrowania wokół delikatnych emocjonalnych krawędzi. Wie, jak poprawić nastrój. A jeśli właśnie usłyszałaś w obecności nastoletniego syna, że lada moment możesz zostać kolejną ofiarą morderstwa w mieście – możesz się teraz pozbierać.

– Lepiej, żeby przez cały czas miała jedzenie i wodę – mówi Martina bardzo oficjalnym głosem „policjantki, która umie żartować z dziećmi”. Mark się uśmiecha. Podciąga kolana do podbródka i opiera na nich głowę, przypatrując jej się z mieszaniną zachwytu i nieśmiałości.

Martina pokazuje Grace policyjne zdjęcie:

– Czy to on?

Aby zrozumieć, jak skuteczna jest Martina Latessa, wystarczy pomyśleć o plastikowej figurce zwierzęcia, którą trzyma na biurku. Z przodu ma ciało żaby, z tyłu – kameleona i jest tak kolorowa, że jakiekolwiek próby identyfikacji nie mają najmniejszego sensu. Nic podobnego nie występuje w naturze. Pod jednym kątem wygląda jak jedna rzecz, pod innym jak inna, a gdy spojrzeć na nią jako całość – stanowi swoją własną kategorię. Efekt jest rozbrajający, zabawny i odrobinę niedorzeczny.

Nie trzeba daleko szukać, by znaleźć metafory w świecie Martiny.

Jest jedną z dwojga detektywów w Cleveland zajmujących się przemocą domową – sprawami wysokiego ryzyka. Pełen tytuł brzmiałby: detektyw do spraw przemocy domowej wysokiego ryzyka, ale jest nieporęczny w użyciu. W wymagającym, dużym obszarze miejskim to zupełnie nowe stanowisko. Ona i jej odpowiednik,

Greg Williams, mogą być jedynymi tego typu funkcjonariuszami w kraju. (W wielu miejscach pracują detektywi lub zwykli policjanci zajmujący się przemocą domową, ale ja nie spotkałam jeszcze nikogo, kto zajmowałby się wyłącznie sprawami wysokiego ryzyka w dużym mieście. Kelly Dunne też nie jest pewna, czy poza Martiną i Gregiem jest jeszcze ktoś taki, a w każdym razie nigdy z nikim się nie zetknęła). Zatem nazwa stanowiska też jest siłą rzeczy wyjątkowa.

Martina jest wręcz stworzona do tej pracy – nigdy nie spotkałam nikogo z policji, kto byłby od niej skuteczniejszy w sprawach przemocy domowej. Kiedy jej o tym wspominam, parska: „Kłamczucha!”. Ale rumieniec ją zdradza. (Kiedy przedstawia mnie kolegom z wydziału, mówi: „To jest Rachel »Nienawidzę policji z Cleveland« Snyder”. Później dowiem się, że najlepsza strategia obrony to nazwać ją fanką Steelersów). Ma w sobie coś z kameleona – w ciągu kilku minut potrafi zakomunikować Grace, że grozi jej niewiarygodne niebezpieczeństwo, żartować z Markiem, jakby to był kolejny zwykły dzień w życiu nastolatka i jego zwierzaka, i bawić się z Joeyem. Większość ludzi, w tym i ja sama, prawdopodobnie zignorowałaby autystycznego malucha, ewentualnie zapytała, czy ktoś mógłby się nim na chwilę zająć. Martina wprowadza go prosto do akcji. W ten subtelny sposób przekazuje Grace: „Widzę, jak skomplikowane jest twoje życie, i wcale mnie to nie zniechęca”. Później powie mi, że rozpoznała u niego autyzm, jak tylko przekroczyła próg.

Nie mogę się oprzeć wrażeniu, iż nie bez znaczenia jest tu fakt, że Martina jest kobietą, choć jej przełożona, Shamode Wimberly, nie zgadza się z tym. Wimberly uważa, że płeć nie ma znaczenia, jeśli ktoś jest dobry w tym, co robi. A Martina zdaje się wykonywać pracę za trzy osoby. Jednak moim zdaniem istotne jest również to, że jest kobietą i zwraca się głównie do kobiet. Znaczące jest także to, że spotyka się z ofiarami w ich własnych domach, w domach przyjaciół i rodziny, zamiast zmuszać je do przechodzenia przez biurokratyczny labirynt wydziałów i sądów oraz centrów kryzysowych. Że żartuje, pyta o resztę życia, poświęca im tyle czasu, ile potrzeba. Znaczące jest również to, że jest tylko jedną osobą, z bardzo ograniczonym zasobem.

Martina dorastała po zachodniej stronie Cleveland, a jej rodzice wychowali trzynaścioro dzieci. Ma tyle siostrzenic i tylu bratanków, że podaje ich liczbę w zaokrągleniu (do czterdziestu). Kiedy spotykam ją po raz pierwszy, mówi mi, że dorastała w domu, który wychodził na posiadłość Ariela Castro, gdzie ten przez dziesięć lat przetrzymywał Michelle Knight, Amandę Berry i Ginę DeJesus. Nikt nie mógł w to uwierzyć, kiedy rozeszły się wieści o tej sprawie. Ten dom stał tak blisko, o rzut kamieniem. Cała okolica była jak małe miasteczko, każdy tu znał kogoś, kto znał te dziewczyny. Mówiło się o nich często, o tym, że tak po prostu zniknęły.

Przejeżdżamy obok domu, w którym dorastała Martina, dwupiętrowego, powojennego budynku z drewnianą elewacją i dwuspadowym dachem. Policjantka prowadzi ciemnoniebieski nieoznakowany radiowóz, z silnikiem V-8, fotelami obitymi pluszem, sprawnym zawieszeniem i radiem, z którego od czasu do czasu dobiega policyjny szyfr. Jej kręcone włosy są zaczesane do tyłu w koński ogon, ciasno jak u gimnastyczki olimpijskiej. Zwalnia i pokazuje mi miejsce po drugiej stronie ulicy, gdzie kiedyś było podwórko Castro. Od tego czasu dom jest zburzony. Martina, która pracuje w policji w Cleveland od osiemnastu lat, zdążyła się dosłużyć rangi detektywa, kiedy w 2013 roku znaleziono te trzy kobiety.

Kiedy Martina była dzieckiem, zamordowano sąsiada z domu obok. Mężczyznę o imieniu Nick, który jadł gołębie i wrzucał kości na podwórko jej rodziny. Nie pamięta jego nazwiska. Mordercami okazali się chłopak starszej siostry Martiny i jego koledzy. („Odsiedzieli dwadzieścia pięć lat, już wyszli” – powiedziała mi). Morderstwo bardzo ją wystraszyło. Ulica zakorkowana przez policyjne wozy, na miejscu pełno sanitariuszy i koroner. I nagle wszyscy odjechali, a ona zaczęła płakać. Policzyła domy: Nick mieszkał w pierwszym z brzegu, a jej dom był drugi. Myślała, że jej rodzina będzie następna. Że jutro ten, kto zamordował Nicka, przyjdzie i zamorduje ją i resztę bliskich. Detektyw z wydziału zabójstw zobaczył, jak płacze, przyszedł i usiadł z nią na ganku. Obiecał jej, że wpadnie później i sprawdzi, jak się miewa. Martina mówi, że to właśnie tamtego dnia, w tamtej chwili postanowiła nie tylko, że chce być policjantką, ale że chce być detektywem do spraw zabójstw.

Próbuje spełnić to marzenie od trzydziestu lat. Brzmi to trochę jak apokryf, jak gdyby była to opowiastka na użytek dziennikarki. Tyle że za każdym razem, kiedy wracam do Cleveland i spędzam kilka dni z Martiną Latessą, widzę, że to morderstwo sąsiada ciągle jest obecne w jej myślach. Całymi latami szukała informacji o tej sprawie, chciała się dowiedzieć, jak nazywał się tamten detektyw. Ale dokumentacji z lat osiemdziesiątych nie skomputeryzowano i niczego nie znalazła. Czasami w korytarzu spotyka kogoś znajomego – funkcjonariusza z jednostki specjalnej, policjanta z drogówki, nowicjusza – a tamto zabójstwo sąsiada w jakiś sposób pojawia się w rozmowie. Pewnego dnia zabrała mnie do wydziału zabójstw, stanęła w drzwiach i zapytała zgromadzonych: „Znaleźliście już dla mnie miejsce? To jest Rachel »Nienawidzę policji z Cleveland« Snyder”. Żarty z tego, że chce przenieść się do wydziału zabójstw, to już tradycja. Jeden z detektywów pyta, czy znalazła te stare akta sprawy, o której ciągle mówi. Latessa odpowiada, że nie, ale któregoś dnia zejdzie do piwnicy, gdzie przechowywane są stare, ręcznie pisane dokumenty. Pewnego ranka, idąc na rozprawę, wpada przypadkiem na jednego ze swoich dawnych mentorów, który przeszedł już na emeryturę i od czasu do czasu pracuje jako ochroniarz w sądzie. Martina pyta go, czy jego zdaniem ma szanse dostać się do wydziału zabójstw, kiedy zwolni się miejsce. „Dlaczego chcesz tam pracować? – pyta ją emerytowany policjant. – Tam nie ma co rozwiązywać. Wszyscy nie żyją”. Mężczyzna mówi mi, że ma koszulkę z napisem: „Mój dzień zaczyna się, gdy twój się kończy”. (Miesiąc później opowiadam o tym emerytowanemu policjantowi z San Diego, a on to kwituje: „A, tak. Chyba każdy w policji ma taką koszulkę”).

Lynn Nesbitt, aktywistka pomagająca ofiarom przemocy, która pracuje przy biurku tuż obok Martiny, stwierdza, że nie mogą nawet znieść myśli, że Martina mogłaby odejść. Sama Martina też jest chyba rozdarta. Nie mówi tego wprost, ale podejrzewam, że wie, jak jest wyjątkowa. Rumieni się, słuchając komplementów, ucieka przed nimi w sarkazm. (Jej ulubione powiedzonka to: „Weź, nie kłam” oraz „Porąbane jakby kot wysrał”). Zawsze była jedną z tych kobiet, które muszą funkcjonować w świecie mężczyzn, a teraz, być może po raz

pierwszy w jej policyjnej karierze, jej płeć okazuje się zaletą. Namawia ofiary, by mówiły, w sposób, jakiego nigdy nie widziałam u mężczyzny. Nawet niektórzy detektywi z jej własnej jednostki, sprawni profesjonaliści, nie są w stanie nawiązać takiej współpracy z ofiarą jak ona. Istnieją statystyki, wedle których w niektórych jurysdykcjach w przypadkach przemocy domowej zaledwie dwadzieścia procent ofiar chce współpracować z organami ścigania. A w całym kraju jest mnóstwo policjantów, którzy nadal uważają, że jeśli ofiara nie będzie współpracować, to nie ma sensu nawet pisać raportu, nie mówiąc już o wniesieniu oskarżenia przez prokuratora.

Martina chodziła do szkoły katolickiej, nosiła mundurek i w ogóle. Grzeczna dziewczynka. Wychowywała się w nieciekawej, niezbyt bezpiecznej okolicy. Kiedy wracała do domu ze szkoły, mijała zużyte igły. Miała wówczas tylko mgliste pojęcie, do czego służą. Inne dzieciaki pytały ją, czy chce zapalić zioło, czy chce napić się piwa, spróbować tego czy tamtego narkotyku, ale jej odpowiedź była zawsze taka sama: nie. Nie, nie, nie. W wieku dziewięciu lat postanowiła zostać detektywem wydziału zabójstw i ani na chwilę nie zmieniła zdania. Pilnowała, żeby żyć czysto. Mieszkała w getcie, ale z getta nie była. Jej rodzice kłócili się, ale w domu nie dochodziło do przemocy. Powiedziała, że w jej rodzinie wprawdzie to ojciec nosił spodnie, ale to matka mu je wybierała.

Pewnego popołudnia, gdy miała jakieś dziesięć czy jedenaście lat, była akurat u starszej krewnej, kiedy mąż kobiety wrócił do domu i zaczął ją bić. To przestraszyło Martinę. Wybiegła na zewnątrz i popędziła w dół ulicy do budki telefonicznej. Zadzwoniła do starszego brata, powiedziała mu, co się dzieje. „Nawet nie przyszło mi do głowy, żeby zadzwonić na policję” – powiedziała. Brat przyszedł i razem wrócili do tamtego domu, ale mąż zdążył już sobie pójść, a krewna Martiny powiedziała, że wszystko jest w porządku, nic wielkiego się nie stało i po prostu lepiej o tym zapomnieć.

Najważniejszą częścią życia Martiny, poza pracą w policji, jest sport. W ostatniej klasie liceum ukarano ją za coś, co – jak dziś mówi – tak naprawdę zrobiła jej przyjaciółka (nie chce mi powiedzieć, co to było), i została wyrzucona z drużyny koszykarskiej. Była wtedy kompletnie zdruzgotana. Koszykówka stanowiła centrum jej świata

od czasów gimnazjum. Z całej trzynastki rodzeństwa miała prawdopodobnie największy talent do sportu – od softballu po golfa, ale to koszykówka była wówczas jej prawdziwą miłością. W końcu usłyszała od koleżanki o lokalnej lidze, która organizowała rozgrywki na terenie publicznych ośrodków rekreacyjnych w Cleveland. Ostatnią klasę spędziła, grając mecze w całym mieście, co dla niej – uczennicy katolickiej szkoły z dobrego domu – było jak przyspieszony kurs ulicznych zasad. Nagle zaprzyjaźniła się z sąsiadami, którzy mieszkali wokół niej przez całe jej życie, ale zawsze byli dla niej obcy. Należały do nich siostry Koziol – wszystkie podchodziły do sportu równie poważnie jak ona – a jedna z nich, Maryanne, zaproponowała jej posadę trenerki dzieciaków w Cudell Recreation – w tym samym miejscu, gdzie zginął później pewien chłopiec, Tamir Rice.

„Te siostry Koziol zrobiły ze mnie twardzielkę" – mówi. Trenowała sześcio- i siedmiolatków, juniorów koszykówki i prowadziła letni program dziecięcej ligi baseballu. Później trenowała dziewczynki i nastolatki. Softball, siatkówka, gdziekolwiek była potrzebna. Poznawała dzieci, które były ofiarami przemocy, dzieci, których rodzice byli narkomanami, dzieci w rodzinach zastępczych. Dzieciaki, które wpadły w bezlitosny system biedy i przemocy. Po raz pierwszy usłyszała uliczny żargon, zobaczyła dilerów z sąsiedztwa, którzy kręcili się w pobliżu i szukali okazji. „Praca [z siostrami Koziol] przygotowała mnie na to, co czekało na mnie w policji – opowiada. – Jasna cholera. Bez tej twardej szkoły, którą mi dały, nigdy, przenigdy bym sobie nie poradziła".

Jedna z sióstr, Sue Koziol, grała w żeńską piłkę nożną i zachęciła Martinę, żeby przyszła na eliminacje. Dostała się do drużyny bez wysiłku i zdobyła z nią jedenaście ogólnokrajowych tytułów mistrzowskich, rozgrywając mecze w całym kraju przez kolejne dziesięć lat. Potem zwerbowała ją drużyna Cleveland Fusion, występująca w lidze National Women's Football Alliance. Futbol kontaktowy. Kiedy wpisałam jej nazwisko w Google po raz pierwszy, znalazłam artykuł o jej karierze w zespole Fusion – to był moment, kiedy się dowiedziałam, że istnieje kobieca liga futbolu kontaktowego. (Martina już nie gra, ale nadal trenuje zawodniczki). To, czego nauczyła się na bo-

isku – nie w szkole czy na podwórku, ale w formalnych drużynach – stało się niezbędne w jej pracy policyjnej.

– Do tego, żeby uprawiać sport, potrzeba trenera – mówi.

Jesteśmy w jej biurze, wyposażonym w szare biurka i brązowe krzesła na kółkach, dokładnie takie jak za czasów administracji Nixona. Gdy rozmawiamy, Martina pochyla się w moją stronę. Siedzę na rozwalonym krześle wciśniętym między jej biurko a biurko siedzącego za nią Williamsa, który pewnego razu wyjął sztuczne oko, a potem włożył je na powrót, bo chciał mi pokazać, że może to zrobić.

– Trzeba nauczyć się słuchać czyichś rad, krytyki. Po prostu trzeba zamknąć ryj i słuchać – mówi.

To jest jedno z jej narzędzi podczas pracy z ofiarami. Martina nie podchodzi do nich, jakby były słabe czy bezsilne. Nie pyta, dlaczego nie odeszły, dlaczego wyszły za mąż, dlaczego zaszły w ciążę. Informuje je o ich sytuacji, o sytuacji ich dzieci, ale ostatecznie najważniejsze, co może zrobić, to ich wysłuchać. „Te ofiary przemocy domowej nie mają głosu. W domu nie mogą mieć własnego zdania. [Oprawcy] każą im się zamknąć, nie odzywać – mówi. – Więc jak z nimi siadam, to widać, z jakim trudem opowiadają całą historię, tak samo było z Grace, jak ona płakała, jak się męczyła, ale czasem dobrze jest wyrzucić to z siebie. Staram się dać im tę szansę".

Na biurku przed nią leży kameleonożabojaszczur, tuż obok stosu akt spraw na różnych etapach dochodzenia. Beżowe telefony w biurze są tak stare, że pamiętają czasy, gdy na ekranach telewizorów królował serial *Barney Miller*. („Mamy opcję czekania na linii dla dzwoniących, ale nie da się nigdzie przełączyć – wyjaśniła mi wcześniej. – Ludzie myślą, że jesteśmy po prostu leniwi"). Ktoś przyniósł hummus, a Martina uznała, że strasznie się z nim trzeba babrać przy jedzeniu. Ma słabość do napoju mountain dew i płatków śniadaniowych, ale przy mnie tylko raz zdarzyło jej się zatrzymać gdzieś na posiłek – i to tylko dlatego, że jak podejrzewam, głód dosłownie wyglądał mi z oczu. „Gdybym miała powiedzieć, co czyni kogoś dobrym dochodzeniowcem, to byłaby to cierpliwość" – deklaruje. Następnie dodaje, prawdopodobnie specjalnie na mój użytek: „Uważaj, zaraz bluznę; po raz pierwszy bluzgam przy tobie [przez „pierwszy"

rozumie pięćdziesiąty]… ale czasami policjanci i detektywi muszą się, kurwa, zamknąć i po prostu słuchać”.

Na ścianie za jej biurkiem wisi cytat z Calvina Coolidge’a: „Nie oczekuj, że wzmocnisz słabych, osłabiając silnych”. Obok jest plakat zawodnika drużyny Cleveland Cavaliers – głowa Martiny została doklejona w Photoshopie do jego ciała. Jeśli obrazisz Cavsów, Martina cię rozjedzie. Plakat to dzieło innego detektywa o imieniu TJ, który robi takie prezenty dla wszystkich w biurze. TJ zaproponował mi kiedyś, że pokaże mi akta swoich spraw z jednego roku – 2016. Poszliśmy do drugiego pokoju, wyciągnęliśmy szufladę z aktami, potem drugą, a kiedy wróciliśmy do jego biura, pokazał mi kolejne pudła pod stołem konferencyjnym. W pierwszym roku działalności zbadali tysiąc sześćset spraw pod kątem potencjalnego niebezpieczeństwa, z czego mniej więcej połowa została uznana za przypadki wysokiego ryzyka. Przed utworzeniem zespołu szacowali, że trafi do około trzydziestu przypadków wysokiego ryzyka miesięcznie. Tymczasem w pierwszym miesiącu działalności, w październiku 2016 roku, mieli ponad osiemdziesiąt przypadków, które wstrząsnęły nimi wszystkimi[128]. Teraz mają średnio blisko pięćdziesiąt spraw miesięcznie. Przemoc w Cleveland ma wiele twarzy – gangi, narkotyki, złodziejstwo. Ale przede wszystkim to przemoc domowa.

Ładowanie komory

W domu Grace Martina pokazuje jej zdjęcie policyjne. Lynn Nesbitt, aktywistka, siedzi po drugiej stronie. Grace potwierdza, że to on, jej partner – nazwijmy go Byron. Podpisuje się na dokumencie, który trafi do raportu Martiny.

– Mam mdłości, jak na niego patrzę – mówi Grace.

– Okej – odpowiada Martina i odkłada papier do teczki, którą trzyma na kolanach. – Już nigdy więcej nie będziesz musiała go oglądać. Wyciąga pusty formularz, ignorując ciągłe popiskiwanie Joeya, dźwięk telewizora, a nawet łzy Grace, i prosi kobietę, żeby opowiedziała jej swoją historię.

– Wszystko czy tylko…? – pyta Grace.

– Wszystko – odpowiada Martina.

Martina jest znana z tego, że w swoich raportach pisze o szczegółach. W świecie przemocy domowej raport policyjny bywa pierwszym krokiem w ramach tego, co może wyglądać jak niekończący się i niezrozumiały system. Ale ma kluczowe znaczenie. Niekompletny raport oznacza, że ewentualne zarzuty nie zostaną postawione, a zatem sprawca, co do którego istnieje ogromne prawdopodobieństwo, że wkrótce zabije – jak na przykład Rocky Mosure – może się łatwo wywinąć. Martina mówi, że podczas licznych szkoleń powtarza policjantom z patroli, że lepiej przesadzić ze szczegółami, niż coś pominąć. Prokuratorzy w całym kraju, z którymi rozmawiałam, uznają rzetelność raportów policyjnych za najważniejszy element potrzebny do poprowadzenia sprawy.

Tego właśnie dotyczy najczęstsza skarga, jaką słyszę: że raporty policyjne są nieprecyzyjne, dwuznaczne, źle napisane, pozbawione szczegółów. W rezultacie prokuratura ma wątłe podstawy do wszczęcia postępowania albo wręcz nie ma żadnych. Weźmy na przykład raport Training Institute on Strangulation Prevention, w którym wskazano, że funkcjonariusze bagatelizowali omawiane incydenty, ponie-

waż nie byli odpowiednio przeszkoleni w rozpoznawaniu urazów związanych z duszeniem, jeśli nie są widoczne na pierwszy rzut oka, takich jak utrata pamięci, chrapliwy głos, oddanie moczu czy zaczerwienienie twardówki oka[129]. Takie raporty pozostawiają prokuratorom skąpy materiał dowodowy.

Myślę o tym, co by się stało, gdyby ktoś taki jak Martina poszedł do domu rodziny Mosure – nie wezwał Michelle do biura, ale poszedł tam – i zobaczył dzieci, zobaczył, jak Rocky ją kontroluje, i zdołał przekonać Michelle, że system będzie ją chronić. Martina powiedziała mi, że trzeba zobaczyć środowisko ofiar, odwiedzić je w domu. „Mogłam trzymać Grace u nas cały dzień, ale wolałam pojechać tam, gdzie ona czuje się komfortowo – powiedziała. – To daje mi wyobrażenie o tym, kim są, gdzie się to wszystko stało… Zawsze mówię: »Byłabym gównianym detektywem, gdybym nie ruszyła dupy z fotela, nie pojechała do niej do domu, nie porobiła własnych zdjęć«. Potrzebne mi coś, co można zobaczyć”.

Grace opowiada swoją historię Martinie. Ona i Byron mieszkali razem przez kilka lat[130]. Mają wspólne dzieci, a ona ma również dzieci z poprzedniego związku. Pięć dni temu Byron wrócił do domu z pracy pijany, wpadł do środka i od progu pytał, gdzie jest jego broń. „Pod łóżkiem” – powiedziała mu. Wyszedł na zewnątrz, żeby zdjąć jakiś sprzęt z samochodu, więc ona wyciągnęła broń spod łóżka i wyszła przed dom, żeby mu ją podać. Kiedy ją zobaczył, zaczął się wygłupiać, jakby miał zamiar ją przejechać samochodem. Nie potrafiła ocenić jego nastroju, czy był poważny, czy tylko tak żartował. Trudno było go odczytać, bo był pijany. Była na wpół śpiąca. Więc „podniosła pistolet”, a jemu „całkiem odbiło”. Martina prosi ją o wyjaśnienie, jak trzymała broń. Wycelowaną w niego? W jego kierunku?

– Nie, nad swoją głową – mówi Grace.

– A potem co się stało?

– On zaczyna się wygłupiać, jakby chciał mnie zamordować. Więc wróciłam do domu i schowałam broń z powrotem pod łóżko.

Poszedł za nią i pytał, co z nią zrobiła. Wtedy zadzwonił dzwonek do drzwi. Zrobiło się większe zamieszanie, wrogość narosła. Był środek nocy, około drugiej nad ranem. Ostatnio ktoś ciągle to robił, dzwonił do drzwi, a potem uciekał. Nigdy nie otwierali. Ale Grace mówi, że Byron oskarżał ją ostatnio o zdradę i wykorzystał dzwonek do drzwi jako dowód tej teorii. Nie wiedziała, kto stawał pod drzwiami, i żadne z nich nie poszło sprawdzić, ale takie zdarzenie miało miejsce kilkakrotnie w ciągu ostatnich kilku tygodni.

Martina pyta, czy Grace wie, kto to był.

– Nie mam pojęcia.

Byron wyciągnął broń spod łóżka. Grace oprzytomniała, zrobiła się czujna. Joey spał na kanapie. „On to odciąga". Grace dłońmi naśladuje odbezpieczanie broni. Nie zna fachowego słownictwa.

– To się nazywa „załadowanie komory" – wyjaśnia Martina. – Nabój trafia do komory pistoletu.

Grace kiwa głową. Jej syn Mark zaciska palce, dłonie trzyma między kolanami, oczy wbija w podłogę. Joey nadal wrzeszczy i skacze na różnych meblach, które udało mu się przewrócić.

– Potem kazał mi położyć się na łóżku – ciągnie Grace – i przycisnął mi go do skroni. – Pociąga nosem, stara się powstrzymać płacz, wyciera twarz wyciągniętym rękawem swetra. – Czułam, że końcówka się rusza. Nie wiem. Nie wiem, jak to powiedzieć.

– To tak, jak ten przycisk na długopisie, prawda? – mówi Martina i demonstruje czynność.

Grace kiwa głową.

– Powiedział: „Wiem, że się z kimś pieprzysz. Ja jeden ci pomagałem, nikt inny, a ty się z kimś pieprzysz". Ciągle mówił, że będziemy dzisiaj w wiadomościach.

Martina przerywa jej co kilka sekund, dopytuje o ten czy inny punkt: przy której skroni trzymał broń? Jak długo to trwało? Gdzie były dzieci? Jak długo dzwonił dzwonek do drzwi? Co on mówił? Co ona mówiła?

Grace mówi dalej. Byron opowiada jej w kółko, jak to będą w wiadomościach, jak tylko jemu na niej zależy, bo wszyscy mają ją w

dupie, a ona go słyszy, ale jednocześnie jakby go nie słyszała, bo on trzyma tę broń przy jej skroni, a ona słyszy to klikanie, więc po prostu leży tam z zamkniętymi oczami i się modli.

– O co się modliłaś? – pyta Martina.

– Żegnałam się w myślach z dziećmi i mówiłam im, że je kocham, bo byłam pewna, że mnie zabije. – Grace znowu zaczyna płakać, a Lynn podaje jej chusteczkę.

Mark też trochę płacze, ale próbuje się powstrzymać, a ja widzę, jak jego klatka piersiowa unosi się i opada gwałtownie. To młody chłopak u progu dorosłości, uwięziony pomiędzy uczuciem, że chce uratować swoją mamę, a potrzebą, by to ona się nim opiekowała.

Chcę się tutaj na chwilę zatrzymać i podkreślić, jak łatwo byłoby to wszystko pominąć i pognać naprzód, jak ważne jest to, żeby naprawdę zrozumieć. Ocena Zagrożenia daje pojęcie o ryzyku, stanowi rodzaj matematycznej kalkulacji życia, w którym istnieją nieskończone zmienne. Martina docieka szczegółów, o których mało kto by pomyślał – policja, aktywistki, a nawet adwokaci. Oni pytają o fakty, o opis sekwencji kolejnych wydarzeń podczas incydentu przemocy, ale nie przyjdzie im do głowy zapytać, co dana osoba myślała lub czuła w tym momencie. Tymczasem z odpowiedzi Grace Martina dowiaduje się nie tylko, że Byron jest niebezpieczny i igra z cudzym życiem, ale także jak bezbronna jest sama Grace. Myślała, że umrze. Czasem właśnie stąd bierze się rozbieżność, która wybrzmiewa wtedy, gdy ludzie mówią, że ofiary nie są świadome niebezpieczeństwa własnej sytuacji – one nie tyle są nieświadome, ile nie wiedzą, że wiedzą. To rodzaj dysonansu poznawczego. Martina podkreśli to, co Grace wie, ale czego może nie być w pełni świadoma: że może zaufać własnej ocenie zagrożenia. Ona jest Michelle. Ona jest Dorothy.

Nawet jeśli Byron nie chciał jej zabić, Grace mówi, że był pijany i miał odbezpieczony pistolet, mógł się poślizgnąć, przypadkowo pociągnąć za spust.

– Czy on słyszał, jak się modlisz? – pyta Martina.

– Nie – odpowiada Grace. Kręci głową.

Martina pozwala jej się pozbierać. Poprosiła innego chłopca, który siedział w pokoju na tyłach domu, żeby popilnował Joeya, za-

brał go z salonu. Potem Grace mówi, że Byron ściągnął ją za włosy z łóżka i spoliczkował. A może ją uderzył pięścią. Nie pamięta dokładnie. To zdarzyło się trzy razy. Te uderzenia albo policzki. Wokół jej oka widać ślady, ale już zbladły. Nie mogła zadzwonić na policję przez prawie tydzień, bo on nie pracował, więc trzymał ją w domu. To właśnie o takich biernych zakładniczkach mówi Kit Gruelle. Po tym wszystkim Byron nie musiał jej nawet tknąć palcem. Już się go bała.

Mieszkała z nim przez cały ten tydzień, słuchała go, udawała, że wszystko jest w porządku, że z nią wszystko w porządku, że to, co zrobił, było w porządku. Jej miłość przez długi czas przyćmiewała jego przemoc, ale tym razem, gdy nazajutrz po raz pierwszy w życiu kupił jej kwiaty, naprawdę ją przestraszył. Przez pięć dni udawała, że miłość nadal wystarczy, by mu wybaczyć (a może ona też chciała jeszcze w to wierzyć, choć przez chwilę). Udawała, że go kocha, żeby ocalić życie swoje i dzieci. A kiedy pojawiło się okno na wolność – gdy Byron pojechał do pracy – uciekła. Zabrała dzieci i pobiegła przez miasto. I to było wczoraj. Od razu zadzwoniła na policję, oni wysłali radiowóz, żeby odebrać od niej zgłoszenie, a raport wylądował dziś rano na biurku Martiny, ponieważ policjanci uznali, że sytuacja Grace jest potencjalnie niebezpieczna, i tak oto wszyscy się tu znaleźliśmy. Nie minął jeszcze dzień, odkąd Grace uciekła z domu, i nie do końca jeszcze wie, co ją czeka dalej: reszta życia czy nieuchronna śmierć.

Grace mówi, że po tym, jak ją uderzył, upadła na podłogę i udawała, że straciła przytomność. Potem wspomina Martinie i Lynn Nesbitt, niemal na marginesie, że kilka lat wcześniej miała uraz mózgu. W zasadzie nic jej nie jest, ale obawiała się, że jego bicie mogło pogłębić ten wcześniejszy uraz i teraz przypadkowo umrze. Kiedy tak leżała na podłodze, udając, że zemdlała, on ją przejrzał. Złapał ją pod pachy, podniósł, uderzył nią o ścianę i powiedział: „Chcesz udawać martwą? Dobra. Jak chcesz udawać martwą, to cię teraz zastrzelę".

W tym momencie Joey wpada do pokoju, wspina się matce na kolana i wyrywa jej wizytówkę Martiny.

– Joey – mówi Martina – Joey, nie ruszaj tej kartki! – Ale uśmiecha się do chłopca, otwiera wizytownik, wyjmuje kolejny kartonik i

wręcza go Grace.

Jak mówi mi później Martina, sygnałem, że sytuacja Grace jest naprawdę niebezpieczna, było właśnie to, że udawała utratę przytomności. „To dla mnie oznaka, że jest bardzo źle – powiedziała. – Musisz udawać, że jesteś nieprzytomna?” Po masowej strzelaninie ludzie często opisują, jak udawali martwych, żeby się uratować. Na przykład w Sutherland Springs Rosanne Solis powiedziała dziennikarzom: „Udawałam, że nie żyję, a to uratowało mi życie”[131]. Po nocnej strzelaninie w klubie Orlando Pulse młody mężczyzna o nazwisku Marcus Godden powiedział: „[…] leżałem na ziemi. Słyszałem strzały. Udawałem, że nie żyję”[132]. W Oregonie, w Tobago, w Missisipi, w Norwegii, w Anglii – ofiary strzelanin używają dokładnie tego samego wyrażenia: „Udawałem/udawałam, że nie żyję”. Dla ofiar terroryzmu ze strony partnerów życiowych jest to bezwarunkowa reakcja, mechanizm przetrwania. Udają martwych, raz po raz.

Kiedy Grace kończy opowiadać swoją historię, Martina powtarza ją w najdrobniejszych szczegółach, tym razem to ona opowiada ją Grace, bo chce mieć pewność, że wszystko się zgadza.

– Nie chcę ci wkładać słów w usta – mówi.

Czy ten pierwszy policzek był przed czy po tym, jak przyłożył ci broń do głowy? Czy najpierw rzucił cię na łóżko, czy o ścianę? Ciosy pięścią czy policzki? Co się stało potem? Kazał ci przysiąc, że nie wezwiesz na niego glin, bo zabrałby Joeya? Dobrze. Dobrze. Dobrze. Martina notuje to, co mówi Grace.

Grace znów wspomina o kwiatach, które kupił następnego dnia. Wtedy naprawdę się wystraszyła. Bo nigdy wcześniej nie kupował jej kwiatów. Nie przepraszał. Ale kupił jej te kwiaty. Przypomina mi to plakat w biurze Martiny: „Pobił ją sto pięćdziesiąt razy. Kwiaty dostała tylko raz”. Różowo-biały bukiet na wieku trumny. Byron powiedział jej, że jeśli kiedykolwiek zadzwoni na policję i go zgarną, to napuści na nią miejscowy gang. Zulusów. Powiedział jej, że są mu to winni.

– Co za debil – mówi Martina o Byronie. Ona wie wszystko o Zulusach. – Oni są bardziej jak klub towarzyski, nie tak jak Heartless

Felons. Z policyjnego punktu widzenia nie przejmuję się Zulusami, co jednak nie oznacza, że nie znajdzie się tam jakiś narwany idiota.

Grace kiwa głową, ale nie wygląda na przekonaną. Nesbitt pyta, czy badał ją lekarz (nie badał). Joey biega tam i z powrotem, goni między salonem, kuchnią i pokojem na tyłach, szybki jak jaszczurka.

– Może zabierzesz go stąd na chwilę? – Martina prosi Marka.

Kiedy wychodzą, policjantka siada na skraju kanapy, naprzeciwko Grace.

– To jest teraz dla ciebie najbardziej niebezpieczny moment – mówi – więc musimy się pospieszyć i załatwić ten nakaz.

Jest niedziela, ale nakaz zostanie wydany od ręki. Martina zapisuje numer swojej komórki. To jej druga komórka, telefon przeznaczony wyłącznie dla ofiar, z którymi się spotyka. Mówi Grace, żeby dzwoniła do niej o każdej porze dnia i nocy. Podczas kilku wizyt w mieście spędzę z Martiną wiele dni, odwiedzając jedną ofiarę po drugiej – każdej z nich mówi to samo: dzwoń do mnie o każdej porze dnia i nocy, świątek, piątek czy niedziela.

– Zgarniemy Byrona – oznajmia Martina. – Jesteś w mojej drużynie. Ale ten nakaz ochrony nie jest odporny na noże. Nie jest kuloodporny. Więc jeśli go zobaczysz, musisz zadzwonić na policję. Musisz dać mi znać. Możesz zadzwonić do mnie z płaczem, możesz powiedzieć, że chcesz do niego wrócić. Nieważne, jak bardzo go kochasz, musisz do mnie zadzwonić, jak poczujesz taką potrzebę.

Grace kiwa głową, płacze ze strachu i ulgi. Przysięga, że tym razem nie wróci. Przysięga.

Joey wpada do pokoju, kręci głową jak oszalały.

– Joey! Co się dzieje?! – woła do niego Martina, jakby był jej zaginionym bratankiem. Mark wchodzi do pokoju, chwyta brata i wychodzi. Wszystko rozgrywa się w ułamku sekundy. Komiczne wyczucie czasu. Dobrana para.

Nesbitt zaczyna teraz Ocenę Zagrożenia dla Grace. Czy on cię dusił? Pobił cię w ciąży? Czy ma dostęp do broni? Czy nadużywa substancji psychoaktywnych? Czy jest bezrobotny albo miewa problemy z pracą? Czy w domu są dzieci, które nie są jego? Czy groził, że cię

zabije? Groził, że popełni samobójstwo? Groził, że zrobi krzywdę dzieciom? Czy kiedykolwiek udało mu się uniknąć aresztowania za przemoc domową? Czy zostawiłaś go po wspólnym zamieszkaniu? Czy kiedykolwiek cię dusi (poddusza)? Czy kontroluje wszystkie lub większość twoich codziennych czynności? Czy jest stale zazdrosny? Czy wierzysz, że może cię zabić?

Tak, tak, tak, tak, tak. Na każde pytanie – tak. Na wszystkie – tak. Wraz z kolejnymi odpowiedziami nasila się emocjonalna reakcja Grace, jej twarz wygina się w grymasie, kobieta raz po raz ociera łzy, a ja podejrzewam, że musi teraz myśleć o wszystkich poprzednich incydentach, po których do niego wracała, o wszystkich decyzjach, za które pewnie się teraz obwinia, o wszystkich przypadkach, kiedy nie wezwała policji. Myśli pewnie o twarzach swoich dzieci, być może wyobraża sobie wściekłą twarz Byrona i zastanawia się, jak mogło do tego dojść. Żadna ofiara przemocy domowej – mężczyzna czy kobieta, dorosły czy dziecko – nie zakłada, że jest typem osoby, która mogłaby się znaleźć w takiej sytuacji. Niezależnie od naszych wyobrażeń na temat ofiary jedno jest pewne: nikt z nas nie widzi siebie w tej roli.

Jedyne, co ewentualnie potrafimy sobie wyobrazić, to cios. Gdyby ktoś, z kim się spotykamy, nas uderzył, to koniec, natychmiast go zostawiamy. Tymczasem rzeczywistość jest zupełnie inna. Sytuacja ewoluuje stopniowo. Partner, któremu może się nie spodobać twój makijaż. Albo wyzywający strój. Może powie, że to dla twojego bezpieczeństwa. Kilka miesięcy później może krzyczeć trochę głośniej niż przedtem. Może czymś rzucić – widelcem, krzesłem, talerzem. (Warto zauważyć, że jeśli ten talerz odbije się od ściany i rozbije, a jeden z odłamków skaleczy cię w twarz, to w opinii Sądu Najwyższego stanowi to „celową” przemoc[133]). Potem, po kilku tygodniach albo miesiącach, gdy czasami układało się między wami świetnie, a czasem niezbyt dobrze, możesz usłyszeć, że on wie, jak mężczyźni na ciebie patrzą, że widzi wzrok innych mężczyzn na tobie. Możesz nawet uznać to za komplement. Ale on wtedy doda, że wolałby, gdybyś częściej zostawała z nim w domu. Może to też jest dla twojego „bezpieczeństwa”. A ta twoja jedna koleżanka, ta głośna? On wie, że ona go nie lubi. I zanim się zorientujesz, co się dzieje, ta koleżanka

znika z twojego życia. Potem, po kilku latach, on traci pracę, wraca do domu w kiepskim nastroju i popycha cię na ścianę. A ty wiesz, że to przecież nie on, on tak naprawdę wcale taki nie jest. Jesteś z nim już tyle czasu. Stracił pracę, każdy by się wkurzył na jego miejscu. Poza tym przeprosił, prawda? Wyglądał na naprawdę skruszonego. A za miesiąc wymierzy ci policzek, odepchnie z całej siły, rzuci następnym talerzem. Ani przejmowanie kontroli, ani znęcanie się nie pojawiają się z dnia na dzień, nie spadają jak cios pięścią. Jedno i drugie sączy się w twoje życie powoli, przenika je niczym rakotwórczy gaz.

W przypadku maltretowanych mężczyzn, którzy stanowią od piętnastu do czterdziestu procent ofiar w USA (w zależności od przywołanego badania[134]), piętno jest jeszcze większe. Mężczyźni rzadko idą do schroniska. Rzadko wzywają policję. Ta sama kultura, która nakazuje kobiecie za wszelką cenę utrzymać rodzinę razem i szukać miłości, jednocześnie odpowiada za to, że mężczyzna w sytuacji przemocy czuje się pozbawiony męskości i zawstydzony, że został ofiarą, bo jest słaby, bo nie jest prawdziwym facetem. To ta sama kultura, która uczy mężczyzn, że reakcją na jakiekolwiek zewnętrzne zagrożenie albo wewnętrzny ból może być przemoc, ale nigdy łzy. To kultura, która ogranicza zarówno ofiarę, jak i sprawcę, maltretowanego i kata.

W związkach jednopłciowych wcale nie wygląda to lepiej. Partnerzy równie rzadko zgłaszają się na policję czy do organizacji pomocowych, mimo że wskaźniki przemocy są generalnie wyższe w parach LGBTQ w porównaniu z heteroseksualnymi, przy czym w grupie osób transseksualnych i biseksualnych wskaźnik przemocy jest najwyższy spośród wszystkich tych grup[135].

Grace uzyskała najwyższy możliwy wynik Oceny Zagrożenia. Niektórym ofiarom trzeba wyjaśnić, co to znaczy, w jakim są niebezpieczeństwie. Ale nie Grace. Widzę po jej łzach, po potrząsaniu głową, że wie dokładnie, co te wszystkie „tak” oznaczają.

– Co jest ze mną nie tak? – pyta cicho, nieomal bezgłośnie. – Dlaczego czuję wobec niego taką empatię? Jakbym czuła się winna, że mówię o Byronie?

– To w porządku, jeśli go ciągle kochasz – mówi Nesbitt i kładzie dłoń na kolanie Grace. – Ale my tu teraz jesteśmy i zrobimy, co w naszej mocy, żeby zapewnić tobie i twoim dzieciom wszelką potrzebną pomoc. – Opowiada historię, może prawdziwą, choć równie dobrze apokryficzną. Był u nich w jednostce taki jeden detektyw, cierpiał na nietolerancję laktozy. No i traf chciał, że jego ulubioną potrawą były lody. Uwielbiał lody. Ale za każdym razem, gdy je jadł, to chorował. Taki pech. Tak się akurat złożyło. To nie znaczyło, że przestał mieć na nie ochotę. Po prostu wiedział, że jeśli je zje, to zachoruje.

Grace to rozumie.

– To będzie najtrudniejsza rzecz, jaką kiedykolwiek zrobisz – mówi jej Martina. – I najodważniejsza. – Wydaje mi się, że zaraz wygłosi Grace pogadankę, surowo, choć z troską będzie jej tłumaczyć, dlaczego musi naprawdę go zostawić. Ale nic takiego nie następuje. Martina wspomina natomiast o dzieciach, o tym, że były świadkami przemocy, że Grace jest za nie odpowiedzialna. – Środowisko, w którym wychowujemy nasze dzieci, będzie miało głęboki wpływ na to, kim zostaną, gdy dorosną – mówi. – A ci mali chłopcy mogą zacząć robić to samo innym.

– Wiem, wiem. – Grace ociera oczy chusteczką.

Ale Martina jej nie odpuszcza.

– Dzięki tobie będą teraz wiedzieli, że tak nie wolno, jasne?

Grace kiwa głową.

Później pytam Martinę, czy myśli, że Grace naprawdę zostawi Byrona, a ona potakuje. Mówi, że czasem widać, kiedy ofiara jest gotowa, kiedy ma już dość bycia ofiarą i chce zostać ocalałą. W literaturze na temat przemocy domowej mówi się, że maltretowana osoba podejmuje średnio siedem prób, zanim naprawdę odejdzie[136]. Ale nie do końca tak jest, ponieważ ofiary najpierw przechodzą emocjonalną separację, czasami na wiele lat przed tym, zanim będą fizycznie zdolne do odejścia. W przypadku Grace było oczywiste, że niezależnie od strachu przed Byronem i smutku, jaki wywoływała w niej perspektywa rozstania, myśl o tym, że dzieci miałyby się wychowy-

wać bez niej, stanowiła teraz siłę napędową jej decyzji. Byron przechylił szalę.

Jednak Martina nie ryzykuje, jeśli chodzi o tego typu obietnice. Za często widziała, jak ofiary wracają. Zatem kiedy Grace kończy składać zeznania, a wszystkie papiery są zabezpieczone w teczce, Martina siada wygodniej na kanapie i spogląda na Grace.

– Opowiem ci o mojej siostrze. Jej prawdziwą historię. Możesz to sobie potem sprawdzić.

Prawdziwa wolność

Martina miała starszą siostrę o imieniu Brandi. Brandi mieszkała kilka godzin drogi od Cleveland, w Warren w stanie Ohio. Siostry rzadko się kontaktowały, ale pewnego dnia, latem 2015 roku, córka Brandi, Bresha, pojawiła się na progu domu Martiny. Bresha zasypała ciotkę opowieściami o wieloletniej przemocy doświadczanej z rąk ojca. Okrutnej, przerażającej przemocy. Całkowicie odciął Brandi i Breshę oraz resztę dzieci od rodziny; Martina rozpoznała taktykę izolacji. I wiedziała częściowo o przemocy. Kilka lat wcześniej Brandi trafiła do szpitala z atakami padaczki i udarem po ciężkim pobiciu. Jej stan był tak poważny, że wezwano do niej księdza z ostatnim namaszczeniem. Martina odwiedziła Brandi w szpitalu. „Straciła czucie w lewej stronie ciała – mówi Martina – i nawet nie pamięta, że wtedy u niej byłam".

Po tym wydarzeniu Brandi odeszła od męża na pół roku i wprowadziła się z dziećmi do swojej matki. Ale w końcu do niego wróciła, a Martina i jej bliscy niemal całkiem stracili z nią kontakt, aż do dnia, w którym Bresha przyjechała do Martiny i oznajmiła, że nie wróci do domu. Bresha błagała, żeby Martina pozwoliła jej zostać, powiedziała, że ojciec zabije ich wszystkich, jeśli wróci. Martina zadzwoniła do opieki społecznej. Zadzwoniła na policję. Zaangażowała wiele osób.

Mąż Brandi połamał jej żebra i palce, podbił jej oczy[137]. Brandi powiedziała, że chyba złamał jej kiedyś nos, ale nie poszła wtedy do lekarza. Jonathan kontrolował pieniądze, życie towarzyskie, życie zawodowe (pracowali razem). Kobieta nie miała własnego samochodu, nigdy nie miała odrębnego konta w banku. Brandi była w takiej rozsypce, że nie potrafiła samodzielnie myśleć, nie umiała podejmować decyzji, nie wiedziała, jak zapewnić bezpieczeństwo swoim dzieciom. Martina powiedziała, że to był najgorszy przypadek przemocy domowej, z jakim się kiedykolwiek zetknęła.

Rok później Bresha znów uciekła. „Tym razem była trochę starsza, przyszła do mnie do domu – opowiada Martina. – A wtedy zauważyłam, że ma na ramionach ślady po cięciu. Miała czternaście lat”.

Martina mówi, że Bresha była bliska samobójstwa, trzeba ją było zawieźć do szpitala. Bresha powiedziała wszystkim, że woli być martwa, niż wrócić do domu, do ojca. „28 lipca – mówi Martina – wzięła pistolet ojca i zastrzeliła go, gdy spał”.

Tego dnia Martina wstała wcześnie, wypuściła swoje pieski (Sammy'ego, Barkleya i Bosco) i zauważyła, że ma mnóstwo nieprzeczytanych esemesów i nieodebranych połączeń. Była 5.36. Trzydzieści sześć minut po piątej rano – taki szczegół zapamięta ktoś, kto pisze dużo policyjnych raportów. Wiedziała, że coś jest nie tak, ale bała się sprawdzić, co dokładnie. Jej rodzina wciąż dochodziła do siebie po tym, jak jeden z jej bratanków przedawkował – nagrywał się Martinie na pocztę głosową, gdy nagle jego głos na linii po prostu zamilkł. Okazało się, że stracił przytomność, udławił się własnymi wymiocinami po zażyciu trefnych narkotyków i zmarł. Martina ciężko to przeżyła. Byli ze sobą mocno związani, a on zostawił troje małych dzieci. Wyglądało na to, że wszyscy z całej rodziny dzwonili do Martiny, kiedy potrzebowali pomocy.

Psy wróciły, a Martina zobaczyła, jak siostra wjeżdża na podjazd przed domem. To był znak, że stało się coś naprawdę strasznego, coś tak poważnego, że poczuła, jak żołądek podchodzi jej do gardła ze strachu. Siostra przekazała jej wiadomość. Bresha zastrzeliła ojca.

Martina pamięta, że zrobiła chwiejny krok do tyłu i niewiele brakowało, żeby się przewróciła.

Chwilę potem zadzwonił jej telefon. To była Bresha. „Nic nie mów – poleciła jej Martina, wiedząc, że wszystko, co powie, może być użyte w sądzie. – Ani słowa, ani jednego słowa. Nawet nie wymawiaj mojego imienia. Nie odzywaj się, dopóki nie przyjadę”.

Martina popędziła autostradą do Warren. Zanim dotarła do wydziału policji, media podchwyciły sprawę Breshy. Wiadomość rozeszła się natychmiast po całym stanie Ohio, a jeszcze tego samego dnia trafiła na pierwsze strony gazet, od „New York Timesa” po „Da-

ily Mail” w Wielkiej Brytanii. Później pisały o niej nawet magazyn „People” i portal Huffington Post.

Po zakończeniu opowieści w salonie zapada gęste od emocji milczenie. Grace nie odrywa wzroku od piegowatej twarzy Martiny. W końcu policjantka przerywa ciszę.

– Twoje dzieci widzą to wszystko… Kiedy mówię, że to wszystko wpływa na dzieci, to oznacza, że musisz trzymać się z dala od tamtego domu… Musisz zadbać o bezpieczne otoczenie dla nich. Jeśli nie dasz rady tego zrobić, to ja się tym zajmę.

Grace obiecuje.

– Całe lata to znosiłam. Mam dosyć. – Mówi, że została po części dlatego, że bała się schroniska, a nie miała gdzie się podziać. Zatrzymała się na razie u jednego ze swoich byłych, a nad nią mieszka jej przyjaciółka.

– Nie wracaj, kiedy skończą ci się pieniądze albo jedzenie – mówi Martina i obiecuje, że w razie potrzeby pomogą. – Jeśli zadzwonisz do mnie i powiesz, że zmieniłaś zdanie, czego się spodziewam, to ci to wyperswaduję, ale pamiętaj, że wtedy zrobię, co do mnie należy. Wezwę opiekę społeczną do dzieci.

Na twarzy Grace pojawia się pierwszy ślad uśmiechu. Mówi Martinie, że jest absolutnie, w stu procentach pewna. Tym razem nie wróci.

Historia siostrzenicy i siostry Martiny wypełnia połowę naszych rozmów. Towarzyszy jej nieustannie, tak jak tamto zabójstwo sąsiada, jest obecna w każdej chwili, niczym powietrze wokół nas. Martina opowiada mi o tym, jak prokuratorzy chcieli osądzić Breshę jak osobę dorosłą, ale ona wiedziała, że jeśli do tego dojdzie, to będzie oznaczało koniec życia jej siostrzenicy. „Byłaby tylko kolejną młodą czarną dziewczyną, która utknęła w systemie” – powiedziała mi. Obiecała Brandi, że zrobi dla Breshy wszystko, co w jej mocy, ale poleciła jej też słuchać poleceń. Założyła stronę na GoFundMe, żeby pokryć koszt honorarium adwokata dla siostrzenicy. Rozmawiała z prasą, z kim tylko się dało o tym, jak do tego wszystkiego doszło. Hashtag #FreeBreshaNow stał się symbolem nie tylko rasowej

niesprawiedliwości w sądownictwie i organach ścigania, ale także zarzewiem ruchu Black Lives Matter. Przed budynkiem sądu w Cleveland i w miastach na terenie całego kraju miesiącami odbywały się demonstracje.

W wywiadzie dla kanału Vice News siostra Jonathana, Talema Lawrence, powiedziała, że Bresha zabiła ojca we śnie, bezbronnego, i dlatego jest morderczynią. Ale krewni zabitego przyznali również, że dziewczyna potrzebuje psychologicznego wsparcia, żeby poradzić sobie ze „swoimi problemami” i tym, co zrobiła. Uparcie twierdzili, że przemoc domowa nie miała „nic wspólnego” z morderstwem, ponieważ nie zabiła go w trakcie walki. Aktywistki dobrze znają ten scenariusz – maltretowana kobieta zabija oprawcę, kiedy ten śpi. Sen to jedna z nielicznych chwil, kiedy przemocowiec nie może się bronić. Sen to moment, gdy maltretowane kobiety, które w końcu odważyły się walczyć, czasami zabijają swoich oprawców. (Inne zabijają w akcie samoobrony). Wiele kobiet przebywa dziś w celach więziennych w całym kraju, ponieważ w sądzie nie pozwolono im przytoczyć we własnej obronie historii doświadczonej przemocy domowej.

Dowodów na przemoc ze strony Jonathana nie brakowało. W 2011 roku, kiedy pobił Brandi tak, że wylądowała w szpitalu, kobieta z powodzeniem wnioskowała o wydanie dla niego zakazu zbliżania. Opowiadała o jego groźbach, że zabije ją i dzieci, jeśli kiedykolwiek spróbuje odejść, o latach bicia, izolacji i kontroli. Powiedziała, że musi go budzić w środku nocy i pytać, czy może skorzystać z łazienki, bo tak silna była jego paranoja, że ona go zdradza. Po wydaniu zakazu razem z trójką dzieci przeniosła się do miejscowości, gdzie mieszkali jej rodzice, do Parmy w Ohio. Te sześć miesięcy to jedyny czas, kiedy Martina miała jakikolwiek znaczący kontakt z siostrą.

Ostatecznie Jonathan przekonał Brandi, że się zmieni. I zniesiono zakaz zbliżania. Martina pamięta, jak jej matka szlochała, gdy Brandi wracała do męża. „Właśnie się dowiedzieliśmy o tych potwornościach, jakie jej wyrządzał… Mówiłam: »Mamo, ona to zrobi jeszcze z dziesięć razy. One zawsze wracają«”.

Martina wiedziała, że nie może zmusić siostry, żeby trzymała się z dala od Jonathana. Brandi nie mieszkała w jurysdykcji Martiny, bo

tylko tam mogłaby stworzyć wokół niej jakiś system wsparcia, a tamtejszy wydział policji nie miał wyspecjalizowanej jednostki zajmującej się sprawami przemocy domowej, ani nawet oddelegowanego specjalnie do takich przypadków funkcjonariusza[138]. (Mieli aktywistkę w sądzie). Martina rozmawiała z posterunkiem policji w Warren, powiedziała im, kim jest, kim jest jej siostra, streściła historię rodziny. Obiecali jej, że zrobią wszystko, co w ich mocy, będą częściej przejeżdżać pod domem Brandi i informować o swojej obecności. Martina nie uwierzyła w te zapewnienia, ale czuła, że niewiele może zrobić, dopóki siostra nie podejmie decyzji o odejściu. Wszyscy eksperci od przemocy domowej, z jakimi rozmawiam, podkreślają, że to kluczowy krok: ofiara musi zdecydować, że ma dość. „Więc przez kolejne dwa lata wzywaliśmy [policję], żeby do nich zajrzeli – opowiada Martina. – A oni ją przesłuchiwali przy nim. Brandi nic nie mówiła”.

Oto długotrwały efekt przemocy, której doświadcza się przez całe życie – nastawiasz się wyłącznie na przetrwanie. Mózg, który reaguje na ciągły atak, nadal wysyła sygnały o niebezpieczeństwie; zwiększony poziom kortyzolu, adrenaliny i innych hormonów stresu przyczynia się do całej masy zaburzeń psychosomatycznych. Najczęściej pojawia się dysocjacja, ale ofiary chronicznej przemocy domowej zmagają się z całym spektrum problemów, od emocjonalnych po fizyczne, jak długotrwała utrata zdolności poznawczych, problemy z pamięcią czy zaburzenia snu. Mogą cierpieć z powodu deficytów uwagi albo rozdrażnienia. Niektórzy badacze wiążą z nieleczonymi urazami szereg dolegliwości fizycznych, między innymi fibromialgię i poważne zaburzenia trawienia. W swojej książce *Strach ucieleśniony* Bessel van der Kolk pisze: „Najważniejszym zadaniem mózgu jest zapewnienie nam przetrwania, nawet w najgorszych warunkach. […] Przerażenie wzmaga potrzebę więzi, nawet jeśli źródło pocieszenia jest zarazem źródłem strachu”[139]. Van der Kolk uważa, że o ile obecnie największą uwagę poświęca się stresowi pourazowemu u żołnierzy, o tyle trauma, także ta, której doświadczają ofiary przemocy domowej, jest „o wiele szerszym problemem zdrowia publicznego, być może nawet największym, jaki nam zagraża”[140].

Martina powiedziała mi, że wezwania na „domówki” różnią się od pozostałych interwencji policyjnych. Normalnie jest tak, że odbierasz telefon, dokonujesz aresztowania, piszesz raport i to w zasadzie wszystko, jeśli chodzi o daną osobę. „My wyjeżdżamy tylko do ludzkich koszmarów – mówi. – Domówki są zupełnie inne niż reszta pracy… Prowadzę mniej spraw, ale za to wymagają one o wiele większego zaangażowania”. Nierzadko zdarza się, że Martina widuje ofiarę dość często, by przejść z nią na ty. Sprawy są emocjonalnie trudne dla ofiar, a często dodatkowo komplikują je uzależnienia i problemy finansowe. Martina musi wziąć to wszystko pod uwagę, gdy doradza klientkom lub spotyka się z prokuratorami w danej sprawie. Czasami źródłem komplikacji są same ofiary. Pewnego dnia odwiedziłyśmy z Martiną młodą, osiemnastoletnią dziewczynę. Zdobyła siedem punktów w Ocenie Zagrożenia. (W modelu Campbell jest dwadzieścia pytań, ale zespół z Cleveland dostosował go do lokalnych uwarunkowań i ta wersja składa się łącznie z jedenastu punktów). Nie był to wynik szczególnie wysoki, ale Martina wie, jak ważne jest, by zająć się problemem przemocy, gdy ofiary są jeszcze młode. Aktywistki od lat ostrzegają, że często cykl przemocy rozpoczyna się w młodości – przed dwudziestką, a nawet w okresie dojrzewania. A tu nastolatka oświadcza policjantce, że nie zamierza zgłosić przestępstwa. Martina chciała stanąć twarzą w twarz z tą dziewczyną, nawet jeśli miałoby jej się nie udać przekonać nastolatki do zmiany zdania. Martinie nie chodziło nawet o to, żeby namówić ofiarę do złożenia zeznań. Jej cel był znacznie prostszy: chciała, żeby ta dziewczyna usłyszała od przynajmniej jednej osoby dorosłej, że przemoc wobec niej nie jest normalna.

Osiemnastolatka była jeszcze w liceum, mieszkała z matką. Brat jej chłopaka był w domu w tym samym czasie co my. Wcześniej dziewczyna zostawiła Martinie wiadomość na poczcie głosowej, kazała jej pilnować własnych spraw, obsypała ją przekleństwami. Martina i tak do niej oddzwoniła, powiedziała, że jest w drodze, nawet jeśli dziewczyna nie zamierza wnioskować o wniesienie oskarżenia.

– Jeśli [twój chłopak] coś ci zrobi – Martina oznajmiła jej zaraz po naszym przybyciu – to wyjdzie na to, że to ja zawaliłam, jasne?

– Jasne – odpowiedziała dziewczyna. Miała na szyi sporą ranę, ale twierdziła, że to pamiątka po bójce z koleżanką ze szkoły.

– Boisz się go? – zapytała Martina.

– Właściwie to nie – odparła tamta. – Tylko czasami, jak się kłócimy, to wtedy tak. Ale to normalne. Tak samo było z moim tatą.

Martina przestała pisać i wbiła wzrok w dziewczynę.

– To *nie jest* normalne. Nawet tak nie mów – powiedziała. – To nie jest normalne. Posłuchaj mnie. Jeśli się boisz, to w porządku. Nic dziwnego, że się boisz, jesteś bardzo młoda. Masz moją wizytówkę, zadzwoń do mnie, jeśli ten facet cię tknie.

Potem Martina zwróciła się do brata, który kręcił się po drugim pokoju.

– To twój brat. Co jest z wami nie tak, chłopaki?

– Dlaczego od razu „chłopaki”? – rzucił. – Ja też mam problemy.

– Ale on jest porąbany, prawda? – powiedziała. Nie przewróciła oczami, ale równie dobrze mogła to zrobić.

– Wszyscy są porąbani – stwierdził. – Tak sobie dajemy radę.

Matka dziewczyny była w łazience, przygotowywała się do wyjścia do pracy. Staliśmy przy kuchennym stole, obok pustego salonu, pozbawionego jakichkolwiek mebli.

– Nie można po prostu bić ludzi – powiedziała mu Martina. – Zgadzasz się?

– Zgadzam, zgadzam – odparł. – Skoro tak pani mówi.

Co oczywiście zabrzmiało, jakby bynajmniej się z nią nie zgadzał.

Ostatecznie sąd zdecydował – być może pod naciskiem opinii publicznej – że siostrzenica Martiny odpowie za swój czyn jako nieletnia. Trafiła do więzienia dla młodocianych na rok i wyszła w lutym 2018 roku. Jeśli dotrzyma warunków, jej kartoteka zostanie wyczyszczona, gdy skończy dwadzieścia jeden lat. Ale dla Martiny ta historia wcale się nie skończyła. „Ona przez pierwsze czternaście lat życia była maltretowana, a dwa kolejne przesiedziała w celi… więc nigdy nie była tak naprawdę wolna” – mówi. Rozmawia z siostrzenicą mniej więcej raz w tygodniu. A jej siostra Brandi powoli uczy się sa-

modzielnie funkcjonować. Martina pokazała jej, jak planować budżet, i kupiła jej samochód, żeby Brandi mogła jeździć do córki, kiedy ta siedziała w więzieniu, kilka godzin drogi od domu. Martinie jednak nieustannie towarzyszy egzystencjalna troska – jak dopilnować, żeby Bresha sama nie skończyła jako ofiara w związku. Tylko czas pokaże, czy jej się to uda.

Poprzez Brandi i Breshę Martina miała okazję zanurzyć się w swoistej dynamice emocjonalnej i psychologicznej czynu przestępczego. To dość niezwykły punkt oglądu sytuacji. Martina to ktoś więcej niż policjantka, która mówi cywilom, co robić, udaje, że wszystko będzie łatwe, że takie problemy wcale nie są częścią jej własnego świata. Zmagała się z nimi w niemal każdym możliwym aspekcie: publicznym, prywatnym, zawodowym, osobistym. Obserwuje je, kiedy siedzi w sądzie. Codziennie widuje różne wersje Brandi, Breshy i Jonathana. Nie tylko zbrodnię i karę, ale także straszne, przerażające żniwo przemocy – *czy* i *jak* odbudujesz swoje życie, *czy* i *jak* przekonasz dzieci do innych wyborów niż te, których sama dokonałaś. Oto dziedzictwo przejawów emocjonalnego i fizycznego terroru.

Zanim wyjdziemy od Grace, Martina poświęca kilka minut na plan bezpieczeństwa. Rozmawiają o harmonogramie, o pracy Grace. O tym, czy może ją zmienić albo jeździć tam inną drogą, wchodzić i wychodzić zabezpieczonymi drzwiami, żeby Byron nie mógł jej tak łatwo śledzić. Woła Marka z powrotem do pokoju i mówi, że jeśli zobaczy Byrona w drodze do szkoły lub z powrotem, ma biec tak szybko, jak to możliwe, do najbliższego domu i zadzwonić na policję.

– Uciekaj od niego jak najdalej. Otwórz jakieś drzwi i wejdź prosto do środka. Wzywaj policję. Krzycz głośno. Wskocz do czyjegoś samochodu. Nieważne. Cokolwiek zrobisz, i nie chcę cię tu przestraszyć, Mark, nie możemy dopuścić, żeby cię złapał i powiedział o tym twojej mamie. Wtedy będziemy mieli duży problem.

Joey wyskakuje z kuchni i rzuca się na podłogę w salonie.

– Joey?! – Martina uśmiecha się do niego szeroko. – Co się dzieje?

Malec ją ignoruje. Wspina się na matkę.

– On cię zabije – mówi Martina do Grace. – Mówię ci. To jest najważniejszy moment. Musisz zrozumieć, że jego cały świat właśnie się skończył, prawda? Byłaś dla niego workiem treningowym, jego celem z tą bronią.

Grace ociera twarz Joeya chusteczką. Mark przyjmuje szczerość Martiny jak coś oczywistego. Przemoc ze strony ojczyma nie jest dla niego nowością.

Martina wręcza Grace bilet autobusowy, żeby mogła dojechać do sądu, bo nie ma samochodu. Poleca kobiecie zapisać numer alarmowy w telefonie komórkowym, bo tak będzie łatwiej dostępny. Przypomina jej, że jest na drodze do wolności, do odzyskania życia.

– Przestań myśleć o tym, co zrobiłaś źle. Spójrz na to, co dobre – mówi. – Zadzwoniłaś na policję. Zgodziłaś się ze mną spotkać. Pozwoliłaś mi zrobić zdjęcia. Załatwiliśmy nakaz ochrony. Zaraz będzie nakaz aresztowania. – Grace uśmiecha się, składa kolejne obietnice Martinie, a Joey wraca do kuchni i zaczyna skakać po krześle.

Na odchodnym Martina zatrzymuje się w drzwiach i odwraca do Grace. Pyta o policjantów, którzy przyjechali po telefonie Grace, o tych, którzy byli pierwsi na miejscu.

– Byli dla ciebie mili? – pyta ją.

– O tak – odpowiada Grace. – Byli bardzo mili.

– Dobra – mówi Martina.

Zadaje to samo pytanie każdej klientce. Czy policja była miła? Czy zrobili to, co do nich należy? Czy zachowywali się uprzejmie? Nikt nie każe jej o to pytać, robi to z własnej inicjatywy. Policja w Cleveland, o czym Martina dobrze wie, od dawna ma fatalną reputację z powodu korupcji i uprzedzeń rasowych. Zabójstwo Tamira Rice'a spowodowało, że formacja znalazła się w centrum uwagi opinii publicznej w całym kraju. „Najtrudniej jest wezwać do kogoś policję – mówi mi później. – Każdemu może się przytrafić zły dzień, ale zależy mi na tym, jak ludzie postrzegają policję. Dla policji powinno być ważne, co ludzie czują".

– Jak się teraz czujesz? – Martina pyta Grace.

– Czuję wszystko naraz – mówi jej Grace. – Szczęście, smutek i strach.

Kiedy Byron trafia przed sąd, zapada decyzja o założeniu mu opaski z GPS-em. Słyszy szereg zarzutów, między innymi napaść przestępczą, narażanie dzieci, porwania i zastraszanie.

Później siedzimy nad pizzą, kiedy Martina odbiera telefon od Grace. Byron ukradł jej kartę kredytową i narobił długów. Martina krok po kroku tłumaczy Grace, co zrobić: zadzwonić do firmy obsługującej karty kredytowe, uzyskać nową kartę, anulować starą, zachować dokumentację. Martina mówi, że doda to do swojego raportu. Może i nie mieści się to w zakresie jej obowiązków, ale i tak odbiera te telefony. „Skoro muszę zająć się twoją sprawą, to znaczy, że problem jest poważny – wyjaśnia, gdy rozłącza się z Grace. – Ale staram się działać tak jak detektyw, którego powinna mieć moja siostra".

Mija ponad rok i pewnego zimowego popołudnia rozmawiam z Martiną przez telefon. Grace wytrzymała kilka miesięcy, znacznie dłużej, niż Martina się spodziewała. Ale potem, zgodnie z przewidywaniami, wycofała zeznania. Zamiast kary więzienia Byron dostał zwolnienie warunkowe. A Grace? Ostatnio Martina słyszała, że wróciła do Byrona. Zanim się rozłączymy, Martina stwierdza: „Jestem pewna, że znów się odezwie".

Cieniste ciała

Waszyngton jest kompletnie nieruchomy, a ja chodzę wokół głównego budynku sądu i szukam jedynych drzwi, które – jak mi powiedziano – będą otwarte. Jest sobotni wieczór, po dwudziestej drugiej, dwa tygodnie przed Bożym Narodzeniem. Spodziewamy się opadów śniegu i, jak to zwykle w Dystrykcie Kolumbii bywa, chodnik posypano zbyt grubą warstwą soli, która teraz trzeszczy mi pod butami i wydaje złowieszczy pogłos w nieco upiornej ciszy w centrum miasta. Spędziłam tu mnóstwo czasu w ciągu dnia, kiedy okolica tętni życiem i kręci się tu pełno prawników i mieszkańców, a często także turystów, którzy szukają Galerii Narodowej, bo źle skręcili gdzieś w rejonie Pennsylvania Avenue i Piątej Ulicy. Niewiele jest na świecie rzeczy, które przyprawiają o gęsią skórkę bardziej niż urzędowy budynek w dużym mieście w środku weekendowej nocy. Poza tym nie mogę znaleźć tych jednych jedynych otwartych drzwi.

Okrążam cały kwartał, a potem wracam tą samą trasą. Fasadę budynku z gładkiego wapienia zdobią wąskie okna. W końcu widzę strażnika za głównym wejściem; przed wzrokiem postronnych ukrywają go mrok i framuga drzwi.

– Widziałem, jak pani tędy przechodziła za pierwszym razem – mówi żartem. Przedstawia się jako „człowiek od popcornu”. Dostawca przekąsek dla pechowców, którzy muszą tu być o tej porze. W rzeczy samej, czuć delikatną woń popcornu.

– Pani chwilkę zaczeka – mówi, a potem dzwoni do biura na górze.

Waszyngton w Dystrykcie Kolumbii to dziwne miejsce do życia. Cieszy się nieco przesadzoną reputacją, zważywszy na niewielką powierzchnię (sto siedemdziesiąt sześć kilometrów kwadratowych, o jedną trzecią mniej niż Boston, choć oba miasta liczą około siedmiuset tysięcy mieszkańców). Ludzie z innych części kraju mówią o Waszyngtonie, że jest nudny (to ci z Nowego Jorku i Los Angeles) albo

pełen skorumpowanych, pozbawionych przyzwoitości osobników (zasadniczo reszta USA). Ja sama lubię go porównywać do Los Angeles – kolejnego miasta, które budzi bardzo konkretne skojarzenia w osobach z zewnątrz. Ale rzeczywistość jest taka, że w obu tych miejscach można zbudować sobie życie zupełnie niezależne od tych skojarzeń. Poza takimi sytuacjami jak ta, gdy szkolna wycieczka mojej córki została kiedyś zatrzymana, bo akurat przejeżdżał w obstawie samochód prezydenta, łatwo zapomnieć, że jestem w stolicy kraju. Dla mnie najbardziej charakterystyczną cechę tego miasta stanowi jego fundamentalna dychotomiczność: rząd narodowy niekoniecznie mający cokolwiek wspólnego z kontekstem, w którym działa. Tak jest obecnie, odkąd mamy rząd składający się z konserwatywnej większości, zaś obywatele miasta tworzą jedną z najbardziej liberalnych społeczności w kraju[141]. Władze lokalne prowadzą tak postępową politykę, że koleżanka, która pracuje w rządzie, w żartach opisała nas jako praktycznie socjalistyczne miasto.

Dla mnie oznacza to, że Waszyngton to miasto, z którego doskonale widać politykę na poziomie makro, a ludzi na poziomie mikro. Tu, na niewielkim obszarze miejskim, gdzie wszystkie problemy, z jakimi zmaga się każde miasto – brak mieszkań w przystępnych cenach, przestępczość, ubóstwo, przemoc, gentryfikacja – konkurują o niezwykle ograniczone zasoby, Waszyngton wdraża najnowsze, najbardziej innowacyjne programy. Dystrykt Kolumbii, podobnie jak coraz więcej miast w całym kraju, przyjął filozofię koordynacji i komunikacji, którą aktywistki takie jak Ellen Pence, Kelly Dunne czy Kit Gruelle promują od dziesięcioleci i starają się zaszczepić na polu przeciwdziałania przemocy domowej w mieście. I właśnie dlatego przyjechałam tu w tę zimową noc, do upiornego sądu, żeby zobaczyć fundament tej akcji – tak zwaną linię reakcji.

Facet od popcornu pokazuje mi podniesione kciuki, odkłada telefon i kieruje mnie do windy. Gdy wysiadam z niej na piątym piętrze, natychmiast gubię się w labiryncie symetrycznych, identycznych korytarzy. Trwa to na tyle długo, że w końcu słyszę zza rogu głos, który woła:

– Halo? – Jak się okazuje, wołająca to kobieta, która spędziła tu niemal dziesięć godzin i właśnie wychodzi. – Nie martw się – mówi

mi. – Wszyscy się tu gubią.

DC Safe prowadzi całodobowy telefon alarmowy, dostępny siedem dni w tygodniu. Mają w sumie trzydzieści aktywistek, a oprócz osób, które odbierają telefony, w domach dyżurują dwie kolejne. Nakazy ochrony, którymi się zajmują, są wydawane przez sądy cywilne. W przeciwieństwie do Zespołów Wysokiego Ryzyka czy też większych, skoordynowanych akcji społeczności, DC Safe działa krótkofalowo – zazwyczaj w ciągu kilku dni – w nadziei na to, że uda się zorganizować dla ofiary miejsce, gdzie będzie mogła podjąć decyzję o bardziej długofalowych konsekwencjach. Najczęściej dzwonią policjanci podczas interwencji w jednym z ośmiu miejskich okręgów. Następnie aktywistki formułują doraźny plan dla ofiar i najczęściej oddzwaniają do nich i omawiają sytuację w ciągu kilku minut po aresztowaniu sprawcy. Oznacza to, że linia reakcji jest punktem centralnym koła z nieograniczoną liczbą „szprych". Aktywistki pomagają policjantom sprawdzić ewentualne nakazy ochrony, nakazy aresztowania czy inne sprawy w toku. Ale pomagają również ofiarom w nieskończenie wielkiej liczbie pozornie drobnych, a jednak znaczących kwestii. Mają partnerstwa, relacje i umowy z rozmaitymi podmiotami z całego miasta: są to, owszem, schroniska, ale także ślusarze, sklepy spożywcze, organizacje dla ofiar, hotele, prawnicy. Jeśli funkcjonariusz zadzwoni na linię reakcji, aktywistka może znaleźć miejsce w schronisku na kilka nocy, zorganizować torbę z pieluchami i mlekiem w proszku dla kobiety, która uciekła z domu, skontaktować ją z pielęgniarką sądową w lokalnym szpitalu, przeszkoloną w zakresie urazów związanych z przemocą domową, załatwić jej kupon na zakupy w sklepie spożywczym, jeśli sprawca kontroluje pieniądze, albo zapłacić za taksówkę, która ją zawiezie w bezpieczne miejsce. Aktywistki pomagają klientkom poruszać się po meandrach systemu uzyskiwania nakazu ochrony, ubiegać się o przejściowe lub długoterminowe mieszkania oraz uzyskać dostęp do bezpłatnej pomocy prawnej.

Aktywistki DC Safe towarzyszą również policji, kiedy to tylko możliwe. Jeżdżą na wezwania dotyczące przemocy domowej ze specjalnie oddelegowanym do tego funkcjonariuszem, dzięki czemu mogą od razu udzielić ofierze wsparcia. Wiele jurysdykcji coraz czę-

ściej zatrudnia aktywistki dla ofiar przemocy domowej w departamentach policji (w Nowym Jorku planowano, że do 2019 roku takie stanowisko zostanie utworzone na każdym posterunku we wszystkich pięciu dzielnicach), a niektóre, jak Cleveland, robią to od lat. DC Safe natomiast dąży do tego, by aktywistki nie tylko pracowały w departamentach policji w całym Waszyngtonie, ale też jeździły z funkcjonariuszami. Docelowo organizacja dąży do tego, by aktywistka zawsze była obecna w radiowozie na każdej zmianie, ale na razie brakuje do tego personelu. Tej nocy, gdy pojechałam radiowozem do północno-wschodniego okręgu, w samochodzie policyjnym w innym okręgu była aktywistka, choć się wówczas nie spotkałyśmy.

Natalia Otero, która założyła DC Safe wspólnie z Elizabeth Olds, powiedziała mi, że w momencie kryzysowym ofiary nie są w stanie podejmować świadomych decyzji koniecznych dla ich bezpieczeństwa. Ofiary i sprawcy przemocy trafiają do służb zajmujących się przemocą domową oczywiście za pośrednictwem policji i centrów kryzysowych, ale także pogotowia ratunkowego, administracji szkół, współpracownic i duchownych. Zatem wyzwanie dla Otero polegało na tym, jak sprawić, by ofiary pokonały przeszkody powstrzymujące je przed podejmowaniem bardziej świadomych decyzji. Raporty policyjne są pełne opisów ofiar, które uciekły, jak stały, nawet bez butów, płaszcza czy dokumentów. Kobieta, z którą rozmawiałam kiedyś w San Diego, spędziła weekend uwięziona w swoim domu; jej chłopak w końcu zabrał ją do sklepu spożywczego, a kiedy wjeżdżał z powrotem na podjazd, otworzyła drzwi samochodu i wyskoczyła. Nie miała pieniędzy, dowodu osobistego ani telefonu komórkowego. W tamtej chwili myślała tylko o jednym: uciec. Nie zastanawiała się, dokąd i jak, ani nawet do kogo zadzwonić po pomoc. Liczyło się tylko jedno: ucieczka. Ofiary skupiają się na drobnych kwestiach, bo te duże są często zbyt trudne do ogarnięcia w sytuacji chaosu i strachu. Otero powiedziała mi, że największa różnica, jaką widać u ofiar, gdy zaspokoi się podstawowe potrzeby na dzień, dwa czy na tydzień, to „ich poziom kompetencji. Są w znacznie lepszej formie, żeby podejmować długoterminowe decyzje”.

Rozmawiam z Otero w restauracji w Penn Quarter, zaledwie kilka minut spacerem od sądu. DC Safe ma tyle agencji partnerskich, tak

liczne potrzeby finansowe i tak wiele planów i programów, że Otero żyje w ciągłym ruchu. Mówi mi, że wiedziała o Zespołach Wysokiego Ryzyka, o Ocenie Zagrożenia i o pracy Campbell niemal od początku ich działalności. Od lat pracuje dla organizacji na rzecz ofiar przemocy domowej, ale ukończyła studia biznesowe na Georgetown University. Potraktowała problem nie tyle jako kwestię społeczną, ile jako wyzwanie dla biznesu, rynek z niezaspokojonymi potrzebami. W Waszyngtonie wykonywano rocznie trzydzieści tysięcy telefonów na numery alarmowe w związku z przemocą domową, a nie istniało żadne rozwiązanie umożliwiające ich kategoryzację i odpowiednie planowanie działań. „Potrzebowaliśmy jednej centrali telefonicznej, jednej organizacji, która byłaby punktem wyjścia dla wielu służb ratunkowych w całym mieście” – powiedziała mi Otero. Chciała także, by taka instytucja miała siedzibę w sądzie, gdzie można uzyskać dostęp do akt, prokuratury i sędziów. W 2011 roku inaugurowała działalność linii reakcji, a obecnie DC Safe obsługuje ponad osiem tysięcy osób rocznie.

Chcę wierzyć, że to wszystko coś zmienia – skoordynowane akcje społeczne, takie jak program DC Safe, Zespoły Wysokiego Ryzyka, aktywistki działające w partnerstwie z policją czy programy interwencyjne dla przemocowców. Chcę wierzyć, że coraz lepiej potrafimy pracować z ofiarami i postępować ze sprawcami, że dostrzegamy, jak destrukcyjnie przemoc domowa oddziałuje na rodziny i społeczności. Chcę też wierzyć, że to wszystko jest jednocześnie wezwaniem do działania dla całego kraju. Jednak kiedy to piszę, przypomina mi się, jak siedziałam w tym upiornym sądzie o północy, niecałe sześć przecznic od Kapitolu, gdzie Kongres zaledwie kilka tygodni wcześniej, we wrześniu, nie zdołał uchwalić ustawy o przemocy wobec kobiet na 2018 rok. Przydzielił natomiast na potrzeby VAWA prowizoryczne finansowanie na kolejne trzy miesiące i tym razem – inaczej niż kiedy VAWA przeszła po raz pierwszy przy wsparciu obu partii – nie było ani jednego republikańskiego współsponsora[142]. A właśnie dziś dostałam zarówno mejla, jak i post na Facebooku z informacją o nowym raporcie Violence Policy Center, z którego wynika, że od 2014 roku liczba zabójstw kobiet popełnianych przez

partnerów życiowych wzrosła o jedenaście procent[143]. Warto zauważyć, że raport ten obejmuje wyłącznie pojedyncze incydenty, a nie masowe strzelaniny, zabójstwa rodzinne lub inne zbiorowe zgony. A później, zaledwie kilka dni po opublikowaniu tego raportu, nasz obecny prezydent stanął na trawniku przed Białym Domem i oznajmił, odnosząc się do kontrowersyjnej rozprawy w Sądzie Najwyższym: „Nastał przerażający czas dla młodych mężczyzn w Ameryce, gdzie możesz być winnym czegoś, czego może wcale nie jesteś winny”. Powiedział to 2 października, dwa dni po Miesiącu Świadomości Przemocy Domowej, o którym nie wspomniał.

Napływają też inne smutne sygnały. W Cleveland były sędzia Lance Mason, znany w przeszłości jako sprawca przemocy domowej, zabił swoją byłą żonę, uwielbianą przez uczniów nauczycielkę Aishę Fraser. To nie była dzielnica Martiny, do morderstwa doszło w Shaker Heights. Jednak uświadomiłam sobie przy tej okazji, że nie możemy przecież oczekiwać, by jedna osoba rozwiązała problem. Potem w poniedziałek, 19 listopada 2018 roku, doszło do kolejnej masowej strzelaniny w chicagowskim Mercy Hospital, ale fakt, że jej genezą była przemoc domowa, został pominięty w niemal wszystkich relacjach medialnych. W Mercy Hospital od kul zginęły trzy osoby, ale celem była lekarka Tamara O’Neal, eksnarzeczona strzelca. Najlepiej wyraziła to Melissa Jeltsen w nagłówku artykułu, który ukazał się na portalu Huffington Post: „Tamara O’Neal została niemal wymazana z opowieści o swoim własnym morderstwie”[144].

Są też inne czynniki, które mnie martwią, zwłaszcza te niewidzialne. Nieprzyjemna mizoginia wkradająca się w obszary, które wydawały się w pełni oddane idei równości kobiet. Na przykład Kongres. Albo Biały Dom z naszym obecnym prezydentem, tym od „złap je za cipkę”. Sąd Najwyższy to kolejny przykład. Prześladują mnie słowa Kit Gruelle o naszej obecnej sytuacji politycznej: „Cofamy się w przerażającym tempie”.

Jest coraz więcej powodów do obaw, gdy chodzi o przemoc z użyciem broni. Pomimo ustawodawstwa federalnego, które daje stanom i poszczególnym jurysdykcjom prawo do odbierania broni skazanym sprawcom, w tym stalkerom, istnieje wiele dowodów na to, że nawet z tym nie dajemy sobie rady. W latach 2010–2016 liczba sztuk broni

wyprodukowanej w Stanach Zjednoczonych niemalże się podwoiła, z 5,5 miliona do 10,9 miliona – a przytłaczająca większość pozostała tutaj, na amerykańskim terytorium[145]. Z pewnością nie jest przypadkiem, że stany o największej liczbie sztuk broni na mieszkańca, w tym Karolina Południowa, Tennessee, Nevada, Luizjana, Alaska, Arkansas, Montana i Missouri, mają również najwyższy wskaźnik zabójstw w wyniku przemocy domowej[146]. W badaniu do swojej książki *Why Do They Kill* [Dlaczego zabijają] z 2007 roku David Adams zapytał czternastu mężczyzn, którzy odbywali karę więzienia za zamordowanie partnerki, czy zrobiliby to samo, jeśli nie mieliby broni. Często przytacza się bowiem argument, że jeśli ktoś chce zabić, to znajdzie sposób. Ale jedenastu skazanych odparło, że nie, nie zabiliby, gdyby nie mieli dostępu do broni[147]. W badaniu opublikowanym w październiku 2018 roku badaczka April Zeoli przyjrzała się stanom, w których każda osoba objęta zakazem zbliżania automatycznie musi oddać broń, i stwierdziła, że nastąpił dwunastoprocentowy spadek liczby zabójstw popełnianych na partnerach życiowych, a jednak zaledwie piętnaście stanów wymagało oddania broni w takich przypadkach[148]. Zeoli ustaliła też, że w Kalifornii, gdzie wprowadzono bardziej surowe restrykcje, na mocy których każda osoba – zarówno partner życiowy, jak i partner z randki (Kalifornia nazywa to zamykaniem „luki na chłopaka”) – skazana za wykroczenia z użyciem przemocy musi oddać broń, odnotowano zaskakujący spadek liczby zabójstw w wyniku przemocy domowej o dwadzieścia trzy procent[149]. Pięćdziesiąt Amerykanek *co miesiąc* ginie zastrzelonych przez partnera; nie wiemy, ile z nich jest przy użyciu tej broni zastraszanych, kontrolowanych i uciszanych. (A potem również są zabijane – innymi metodami. Dźgnięte nożem, uduszone, wypchnięte z jadących samochodów, otrute). Stany Zjednoczone są najbardziej niebezpiecznym dla kobiet rozwiniętym krajem na świecie, jeśli chodzi o przemoc z użyciem broni[150]. Nie jest to kwestia partyjnych podziałów, liberałowie kontra konserwatyści, choć rozumiem, że wiele osób postrzega to w ten sposób; dla mnie to jest moralny imperatyw.

Dlaczego nasza broń jest dla nas ważniejsza niż nasi obywatele?

Nie przychodzi mi do głowy nic poza tą emerytowaną pielęgniarką z Montany, tą, która robiła na drutach, prowadząc jednocześnie dochodzenie w zespole do spraw analizy zgonu. „Pozbądźcie się tej pieprzonej broni”.

Myślę jednak, że są też powody do nadziei. Patrzę na mężczyzn wokół mnie, na przyjaciół, kolegów z pracy, braci i mężów znajomych, i wszędzie widzę sojuszników. Widzę mężczyzn, którym zależy, którzy bez ogródek mówią o kobiecym braku poczucia bezpieczeństwa i otwarcie odrzucają tchórzliwą mizoginię, jaka przenika USA i resztę świata. Obserwuję coraz większą świadomość wśród osób LGBTQ, wśród kobiet i mniejszości, wśród moich studentów i studentek. Wszyscy oni wiedzą więcej niż my dwadzieścia lat temu.

Są też i inne liczne oznaki nadziei. Powstało mnóstwo aplikacji na smartfony, dzięki którym ofiary, w tym nastolatki i studentki, mogą uzyskać wsparcie w sytuacji kryzysowej lub pomoc w niebezpieczeństwie albo znaleźć informacje o bezpiecznym noclegu, a osoby postronne dowiedzą się, jak interweniować. Takich aplikacji są dziesiątki, a wiele stworzono we współpracy z Campbell[151]. W tym samym czasie, kiedy powstawał Zespół Wysokiego Ryzyka, Casey Gwinn, były pełnomocnik miasta San Diego, zainicjował działalność ośrodków sprawiedliwości rodzinnej, które w założeniu mają zrzeszać jak najwięcej różnych organizacji i instytucji – o ile to możliwe, pod jednym dachem – aktywistki, prawników, terapeutki oraz policję i wymiar sprawiedliwości, dzięki czemu ofiary nie muszą powtarzać swojej historii po wielokroć. Wszystkie zgłoszenia przyjmuje jednostka, w której można też na przykład otrzymać pomoc przy składaniu wniosku o nakaz ochrony, skontaktować się ze służbami odpowiedzialnymi za opiekę nad dziećmi, zorganizować szkolenie zawodowe albo uzyskać informacje na temat kartoteki policyjnej. Program był na tyle innowacyjny, że administracja Busha przeznaczyła dwadzieścia milionów dolarów na jego wdrożenie, a dziś w Stanach Zjednoczonych oraz w dwudziestu pięciu innych krajach działa ponad sto trzydzieści takich ośrodków[152].

Najnowsze przedsięwzięcie Gwinna to Camp Hope, czyli organizowane w różnych lokalizacjach letnie obozy dla dzieci z przemoco-

wych domów – ich celem jest przerwanie tego cyklu przemocy.

Działalność Campbell wciąż przynosi coraz to nowsze owoce. To na podstawie opracowanej przez nią Oceny Zagrożenia powstał znakomicie przyjęty w całym kraju program Dave'a Sargenta, byłego policjanta ze stanu Maryland. Sargent sprowadził rozbudowany formularz Campbell do trzech podstawowych pytań, które policja może zadać na miejscu zdarzenia i szybko oszacować niebezpieczeństwo:

1. Czy sprawca/sprawczyni kiedykolwiek użył(a) przeciw tobie broni lub groził(a) ci bronią?

2. Czy groził(a), że zabije ciebie lub twoje dzieci?

3. Czy uważasz, że może próbować cię zabić?[153]

Jeśli trzykrotnie padnie odpowiedź „tak", funkcjonariusze zadają osiem kolejnych pytań oraz dzwonią na lokalną infolinię do spraw przemocy domowej, a jej przedstawicielka kontaktuje się następnie z ofiarą na miejscu. Czas ma kluczowe znaczenie – Sargent jest w pełni świadom, jak często do zabójstwa w wyniku przemocy domowej dochodzi w sytuacji, która gwałtownie eskalowała. W lokalnych mediach, raportach policyjnych oraz aktach prokuratury można znaleźć niezliczone warianty frazy: „Ja wcale nie chciałem jej zabić". Program Oceny Śmiertelności Sargenta, znany też jako Model Maryland, stosuje się w ponad trzydziestu stanach oraz w Waszyngtonie[154].

Istnieją również inne oznaki, które pozwalają przyjąć, że w naszym podejściu do tego szczególnego rodzaju przemocy zachodzą głębokie strukturalne zmiany społeczne i kulturowe. W Stanach Zjednoczonych działa obecnie ponad dwieście sądów karnych specjalizujących się w sprawach przemocy domowej (pod tym względem prym wiodą stany Nowy Jork i Kalifornia). Rośnie świadomość specyfiki psychologii przemocy domowej, między innymi tego, dlaczego ofiary wycofują zeznania albo nie pojawiają się w sądzie, a także tego, jak użyteczna jest współpraca z aktywistkami wspierającymi ofiary, zarówno w samym sądzie, jak i w prokuraturze[155]. Jednak ponad czterdzieści procent tych sądów nadal tylko incydentalnie wysyła sprawców przemocy na kursy interwencyjne.

Nie ma wątpliwości, że poczyniliśmy wielkie postępy w traktowaniu przemocy domowej jako kryzysu zdrowia publicznego. Szacuje się, że dzięki samej tylko ustawie VAWA liczba przypadków przemocy domowej spadła o sześćdziesiąt cztery procent między rokiem 1993 – to jest przed przyjęciem nowego prawa – a 2012[156]. Niemniej Lynn Rosenthal, była doradczyni Białego Domu do spraw przemocy wobec kobiet, ostrzega, że radość z tego sukcesu byłaby przedwczesna. „Prawdopodobieństwo, że dziewiętnastolatka zostanie skopana w domu przez partnera, jest zasadniczo takie samo jak wtedy, gdy zaczynaliśmy” – powiedziała. Stalking uznaje się teraz za przestępstwo (*felony*) w ponad czterdziestu stanach[157]. Duszenie – w czterdziestu pięciu[158]. Coraz głośniej mówi się, że ofiary nie powinny trafiać do schroniska, ale pozostać w swojej społeczności.

Kiedy umawiam się z Rosenthal na rozmowę, ma właśnie za sobą serię spotkań z młodzieżą w szkołach średnich w całych Stanach Zjednoczonych. Celem projektu, zorganizowanego pod nazwą Youth Leads, była próba określenia najlepszych praktyk rozwiązywania problemów związanych z przemocą na randkach wśród nastolatków. Raport rządowej agencji Centers for Disease Control z 2017 roku stwierdza, że ponad osiem milionów dziewcząt przed osiemnastym rokiem życia doświadczyło gwałtu lub przemocy ze strony partnera, a w przypadku chłopców liczba ta wynosi około czterech milionów[159]. Eksperci z całego świata przekonują, że kwestię przemocy na randkach należałoby poruszać z młodzieżą już między dwunastym a trzynastym rokiem życia. Rosenthal powiedziała mi, że podczas spotkań z licealistami zachwyciło ją to, jak młodzi ludzie, zwłaszcza chłopcy, rozmawiają o kwestiach przemocy domowej i seksualnej. „Ci młodzi faceci mają zupełnie inny stosunek do siebie nawzajem i do kobiet – powiedziała, porównując ich do starszych pokoleń. – Sami mają wiele pytań na ten temat… Nie pozwalają rówieśnikom [na przemoc seksualną] bez jakiejś formy konfrontacji”.

Jadłyśmy lunch w lokalnej knajpce, Busboys and Poets, której właściciel Andy Shallal to jeden z najbardziej znanych działaczy w mieście pełnym bardzo znanych działaczy. Na ekranie telewizora, tuż za Rosenthal, jej były szef Barack Obama wygłaszał właśnie przemó-

wienie w Republice Południowej Afryki. Rosenthal powiedziała wówczas coś, co mnie zaskoczyło, a co nigdy wcześniej nie przyszło mi do głowy. „W pewnym sensie największymi beneficjentami ruchu kobiet są mężczyźni – stwierdziła. – Spójrz choćby na tych wszystkich facetów, którzy mają dziś zupełnie inne relacje ze swoimi dziećmi. Rozmawiają z nimi, chodzą na szkolne imprezy. W mojej okolicy mężczyźni zawsze odprowadzają swoje dzieci do przedszkola, do szkoły. Spójrz, jak zaangażowani są młodzi ojcowie. Sytuacja nie jest idealna, większość obowiązków nadal spoczywa na barkach kobiet, ale pewne rzeczy już się zmieniły".

Z perspektywy czasu trudno pojąć, że kwestię o tak głębokich społecznych konsekwencjach jak przemoc w rodzinie można było kiedykolwiek uważać za sprawę prywatną. Przemoc rodzinna nie stanowi bynajmniej odosobnionego problemu. Jest podstępna, infekuje szereg innych obszarów, z którymi nasze społeczeństwo musi sobie poradzić – jak edukacja i opieka zdrowotna, ubóstwo i uzależnienia, zdrowie psychiczne i masowe strzelaniny, a także bezdomność i bezrobocie. Biorąc pod uwagę rozpiętość zagadnień, na które wpływa przemoc domowa, wszelkie rozwiązania, jakie planujemy na przyszłość, muszą uwzględniać ten zakres. Nie możemy zajmować się problemem bezdomności bez uwzględnienia faktu, że przemoc domowa dotyka tyle bezdomnych rodzin. Nie możemy skutecznie niwelować różnic w wykształceniu ani ubóstwa, nie odnosząc się jednocześnie do tego, w jakim stopniu przemoc domowa może stanowić główną przyczynę takich problemów. Myślę o budżecie ustawy VAWA – mikroskopijnym w stosunku do innych wydatków rządowych – i przypominam sobie radę Rosenthal: „Inwestować wszędzie". Nie chodziło jej o nieograniczone zasoby, ale o to, by zastosowane rozwiązania uwzględniały złożone mechanizmy, poprzez które przemoc domowa generuje wiele pozostałych problemów.

Rosenthal mówi, że ruch #MeToo to znak postępu, że to nie wzięło się znikąd. Przypomina jej czasy procesu O. J. Simpsona, kiedy o przemocy domowej zaczęto rozmawiać na skalę ogólnokrajową. Z tych rozmów wynikły zmiany: konkretne, przełomowe, ważne zmiany – o wielu z nich piszę w tej książce. „Ruch #MeToo

wyrósł na wieloletnich fundamentach. Mnóstwo ludzi angażowało się w tę debatę, aż nagle warunki okazały się odpowiednie".

David Adams także dostrzega wyjątkowe możliwości, jakie stwarza dzisiejszy klimat. „[Obecna sytuacja] jest niewątpliwie przykra – powiedział mi niedawno – ale myślę, że jednocześnie [ożywiła] młodych ludzi… Coraz więcej osób, szczególnie kobiet i mniejszości, zaczyna się mobilizować".

W całej mojej karierze reporterskiej niejednokrotnie natykałam się na pozornie drobne zmiany, które jednak stanowiły o różnicy między życiem a śmiercią, między dobrą decyzją a złą. Torba z pieluchami i pieniędzmi na jedzenie, laminowany nakaz ochrony, a nie papierowy świstek, rozprawa wyznaczona na popołudnie, a nie wczesny poranek, wizyta w domu ofiary, a nie oczekiwanie, że to ona przyjdzie, dosłowny krok w tył podczas kłótni zamiast kroku naprzód. Gdybym miała sprowadzić wszystkie zmiany na tym polu do jednej idei, od której wszystko zależy, byłaby to komunikacja. Nie tylko między poszczególnymi instytucjami, ale także między ideologiami i programami politycznymi, ludźmi, systemami i dyscyplinami. Tak wiele ze zmian, jakie widziałam podczas podróży po kraju, do tego właśnie się sprowadzało. Zespoły Wysokiego Ryzyka, ośrodki sprawiedliwości rodzinnej, programy młodzieżowe, interwencje dla przemocowców i inicjatywy sądowe, zespoły do spraw analizy zgonu i policyjne procedury, a także wiele innych programów łączył jeden, dostępny zupełnie za darmo zasób: wszyscy ze sobą rozmawiali.

Tego wieczoru, gdy odwiedziłam centralę interwencyjną w Waszyngtonie, przy telefonie siedziała pewna kobieta (nazwijmy ją Naomi) **[160]**. Jak wiele jej koleżanek po fachu, pełni cztery dziesięciogodzinne nocne dyżury w tygodniu. I podobnie jak wiele osób, które zajmują się tym problemem, Naomi po raz pierwszy zetknęła się z przemocą domową we własnej rodzinie. Kiedy dorastała, wielokrotnie trafiała z matką do schroniska dla ofiar. Później zaczęła pracować jako wolontariuszka w tym samym ośrodku, w którym dawniej pomieszkiwała z mamą. Kilka aktywistek pamiętało ją jeszcze z czasów dzieciństwa.

Dziś wieczorem siedzi za biurkiem w siedzibie organizacji DC Safe. Na półce pod ścianą stoją książki: *Next Time She'll Be Dead* [Następnym razem będzie martwa]. *Loving to Survive* [Kochać, by przetrwać]. *When Love Hurts* [Kiedy miłość boli]. Pierwszy telefon to zgłoszenie policjanta – dzwoni z domu kobiety, której wnuk wrócił naćpany, rzucił krzesłem o podłogę w jadalni i połamał je na kawałki. To nie pierwsza tego typu sytuacja. Oficer podaje Naomi daty urodzenia, numery kontaktowe, imiona i nazwiska babci i wnuka, a następnie streszcza zajście. Naomi wprowadza to wszystko do bazy danych. Do obowiązków dyżurującej osoby należy oznaczenie każdej sprawy wysokiego ryzyka w systemie, dzięki czemu aktywistki na jutrzejszej zmianie będą mogły podjąć kolejne działania. Rozmowa z funkcjonariuszem zajmuje zaledwie kilka minut (w przypadku mniej poważnych incydentów policjanci czekają ze zgłoszeniem do końca swojej zmiany). Chwilę później Naomi dzwoni do babci – nazwijmy ją Irma – i przedstawia się jej, a potem pyta:

– Czy byłaby pani zainteresowana złożeniem wniosku o nakaz ochrony?

Irma odpowiada, że pół roku wcześniej próbowała uzyskać zakaz zbliżania, ale powiedziano jej, że skoro jej wnuk nie jest agresywny, to się nie kwalifikuje.

– Chciałabym, żeby mu ktoś pomógł – mówi Irma. – Może eksmisja coś da. Nie wiem, jak to się robi.

Naomi mówi, że skoro sytuacja najwyraźniej eskaluje, Irma może tym razem otrzymać nakaz i że organizacja DC Safe pomoże jej złożyć wniosek. Będzie musiała przyjść do biura w poniedziałek rano. W Waszyngtonie działają dwa sądy do spraw przemocy domowej, a sędziowie są do nich przydzielani na rok.

– Próbowałam dać mu szansę – mówi Irma. – Dowiedzieć się, czemu jest taki wściekły.

– Wygląda na to, że niewiele to dało – odpowiada Naomi.

– Nic nie dało. Muszę działać dalej.

– Na mocy tego nakazu będzie musiał opuścić lokal – mówi Naomi. – Może pani także wnioskować o wysłanie go na obowiązkową terapię dla alkoholików lub narkomanów albo na ogólną terapię. Sę-

dzia może uwzględnić wniosek z tymi zapisami. – Naomi tłumaczy kobiecie, gdzie ma się udać w poniedziałek, co powiedzieć, gdy dotrze na miejsce. Podpowiada jej, żeby zabrała ze sobą coś do czytania i jedzenia i przygotowała się na kilka godzin czekania. – Biuro prokuratora skontaktuje się z panią, żeby zapytać, czy chce pani z nimi współpracować przy stawianiu zarzutów – wyjaśnia Naomi. – Proszę się upewnić, że ma pani włączony telefon i że go pani nie wyciszyła. Będą dzwonić tylko raz i nie zostawią żadnej wiadomości. Dzwonią między ósmą a południem.

W Waszyngtonie obowiązuje nietypowa formuła nakazu ochrony, na mocy której sprawca może pozostawać w kontakcie z ofiarą, uczestniczyć w wychowywaniu dzieci, a czasem nawet dalej mieszkać z nią pod jednym dachem. Akronim HATS, używany na określenie tego rozwiązania, oznacza zakaz nękania (*harassment*), napaści (*assault*), grożenia (*threatening*) i stalkingu. Niemniej ani sprawca, ani ofiara nie musi się wyprowadzać. Taka opcja ma oczywiste wady, jednak w mieście takim jak Waszyngton, gdzie brak przystępnych cenowo mieszkań stanowi jedno z największych wyzwań, z jakimi borykają się organizacje pomocy społecznej**[161]**, pozwala – jak to wskazuje Naomi – „wyznaczyć wyraźną granicę, wysłać sygnał, że sprawa jest poważna. Działa jak ostrzeżenie”. Ofiary często nie chcą, by przemocowiec opuścił dom. Mogą potrzebować wsparcia finansowego i rodzicielskiego. „Klientki często mówią: »Mamy dzieci. Wspólnie płacimy rachunki. Nie mogę go wyrzucić«. Dzięki takiemu rozwiązaniu chętniej [składają wniosek]”.

Mijają kolejne godziny, większość zgłoszeń dotyczy stosunkowo niegroźnych incydentów, jak w przypadku babci i jej wnuka. Dzwonek telefonu rozbrzmiewa w pustym pomieszczeniu stłumionym dźwiękiem. Nocą w siedzibie pogotowia dla ofiar przemocy jest cicho i spokojnie, zupełnie inaczej, niż to sobie wyobrażałam. Spodziewałam się rzędów telefonów i wielu rozmów naraz. Ale nie, jest tu tylko ta jedna kobieta, ten jeden telefon, to jedno biurko. Naomi ma na sobie czerwony golf, który podkreśla zieleń jej oczu; na blacie obok komputera leżą podręczniki. Jeśli trafi się akurat spokojniejsza noc i Naomi ma trochę czasu dla siebie, uczy się do zajęć, na które uczęszcza za dnia. Chce zostać psycholożką.

Dzwoni klientka, która obecnie przebywa w schronisku. Ogrzewanie działa, ale temperatura jest ustawiona na piętnaście stopni Celsjusza i nikt nie ma dostępu do zamkniętej skrzynki z termostatem. Kolejny telefon – były chłopak kobiety, której przyznano nakaz ochrony, zabrał jej kluczyki do wynajętego samochodu i odjechał. Do breloczka przypięty był też klucz do mieszkania, a zapasowego dzwoniąca nie ma. Naomi umawia ślusarza na wymianę zamków jeszcze tej nocy[162], po czym dzwoni do konserwatora w schronisku, który odpowiada za dostęp do termostatu.

Nad ranem dzwoni policjant z jednej z zamożniejszych dzielnic północno-zachodniego Waszyngtonu. Kobieta była duszona, ale przeżyła i jej stan jest stabilny. Funkcjonariusz używa określenia „dławić”. Para niedawno się rozstała i wdała się w kłótnię. Sprawca został aresztowany. Policjant mówi, że zaproponował kobiecie obdukcję (pielęgniarka sądowa, która pracuje w Washington Hospital Center, była akurat na dyżurze), ale ta odparła, że jej nie potrzebuje. Naomi zadaje kilka pytań na temat tej kobiety. Jak się zachowywała? Co zapamiętała z zajścia? Policjant mówi, że dławienie trwało tylko kilka sekund, że kobieta wcześniej piła alkohol, ale nie stwierdził żadnych oznak duszenia. Jej głos nie był chrapliwy. Nie było żadnych śladów.

Następnie Naomi dzwoni do innej aktywistki dyżurującej tej nocy i wspólnie z nią zastanawia się, czy powinna mocniej nalegać na obdukcję. Po kilku minutach decydują, że nie jest to sytuacja wysokiego ryzyka, a ponieważ sprawca został aresztowany, bezpieczeństwo kobiety nie jest w tej chwili zagrożone. Ofiara obiecała przyjść do sądu w poniedziałek rano i złożyć wniosek o nakaz ochrony.

Uderza mnie, jakie to wszystko jest banalne. Te stosunkowo drobne akty przemocy. Policja dzwoni i rozmawia z Naomi tak samo beznamiętnie jak z dyspozytorem. Stało się to i to. I do kolejnego zajścia. Pogotowie dla ofiar to tylko część ich procedury. Inaczej mówiąc, odrębne systemy i kultury nie są już oddzielone żadnymi barierami, które należałoby zlikwidować. Cała sprawa nabrała czysto proceduralnego charakteru. Ta powszedniość stanowi chyba jej największy sukces.

Od wielu lat zajmuję się sprawami najwyższego ryzyka, opisuję mężczyzn, którzy zabili całe swoje rodziny; zespoły odpowiedzialne za analizę przypadków, gdy było już za późno na pomoc i doszło do tragedii; rodziny, aktywistki oraz przedstawicieli policji i innych służb z otoczenia Michelle i Dorothy oraz tysięcy pozostałych ofiar, którym nie dane było przeżyć. Spędziłam tyle czasu zanurzona w tej mrocznej rzeczywistości, że niemal całkowicie przeoczyłam sens tej nocy z Naomi. Właśnie to miała na myśli Kelly Dunne, a ja tak długo tego nie rozumiałam. Że jeśli chcemy mieć szanse w walce z przemocą domową, to musimy ją przerwać na etapie wykroczeń, zanim się przekształci w coś większego. Uświadomiłam sobie, że na dłuższą metę zgłoszenia, które Naomi odbierała od policji i klientek, stanowiły oznakę ogromnego postępu.

Naomi wyszła z biura nieco wcześniej niż zwykle, ale zabrała ze sobą telefon komórkowy i kontynuowała pracę do końca zmiany. Chciała zdążyć przed śnieżycą. Waszyngton jest przygotowany na wiele rzeczy: ataki terrorystyczne, polityczne impasy czy zawieszenie działalności rządu. Jednak śnieg zawsze zaskakuje miasto. Dochodzi trzecia nad ranem, kiedy opuszczam budynek sądu, znów w ciszy, przerywanej jedynie dźwiękiem moich kroków. Kiedy czekam na kierowcę Lyfta, dociera do mnie nagle, że Naomi symbolizuje postęp nie tylko przez to, czym się zajmuje, ale także ze względu na swoją historię. Sama była ofiarą przemocy, ale znalazła własny sposób na przerwanie jej cyklu. Została skrzywdzona, a teraz pomaga uzdrawiać innych. Stworzyła dla siebie miejsce w systemie, podobnie jak Jimmy, a pewnego dnia może i Donte. Tak jak Victoria, kobieta, którą poznałam kilka lat wcześniej w więzieniu San Bruno, a którą ojciec planował kiedyś zabić w restauracji Denny’s. Niemal każda poznana przeze mnie osoba z tej branży doświadczyła przemocy – jako ofiara, sprawca albo świadek. Hamish Sinclair i David Adams mieli brutalnych ojców. Suzanne Dubus pewnej zimowej nocy została zgwałcona przez dwóch mężczyzn. Jacquelyn Campbell miała byłą uczennicę, Annie; Martina Latessa – siostrę, Brandi. Jimmy i Donte mieli mężczyzn, którymi niegdyś byli. Za każdym i za każdą z nich ciągnął się cień innego istnienia, jakaś straszliwa historia. Ale teraz wszyscy oni przerywali ten cykl i zmieniali przyszłą narrację.

O czymś mi to przypomniało. Pewnego wieczoru kilka lat temu siedziałam z Dunne w jej biurze. Było lato, pora kolacji dawno minęła. Dunne zawsze była niezwykle rzeczowa, kiedy rozmawiała ze mną o swojej pracy. Obserwowałam ją podczas szkoleń, jak odtwarza nagranie z telefonu na numer alarmowy zarejestrowane w dniu śmierci Dorothy, skupiona na tym, co wynika z tej sprawy, jak historia Dorothy pokrywa się z wynikami badań Campbell, jak idealnie do nich pasuje, niczym lustrzane odbicie. Zgadzały się nie tylko wszystkie znaczniki ryzyka i oznaki eskalacji, ale też inne kwestie, tak powszechne w ekstremalnej przemocy. Miłość od pierwszego wejrzenia, młodość Dorothy, chorobliwa zazdrość Williama. Tak samo było w przypadku Michelle i Rocky'ego. Podczas tych szkoleń Dunne nigdy nie okazywała emocji. Była skrupulatna, niewzruszona. Uosobienie prawniczki, którą zresztą niemal została.

Tego wieczoru pokazała mi coś, co zapisała w dniu, kiedy poznała Dorothy: „Wysokie zagrożenie śmiercią". Słyszałam o tej notatce od Dubus, czytałam o niej w lokalnej gazecie. Chciałam ją zobaczyć. Nie powiedziałam o tym Dunne, ale ja również nie potrafiłam zapomnieć o śmierci Dorothy. Kiedy przed laty pisałam o niej dla „New Yorkera", pakowałam lunch, jechałam wypożyczonym samochodem na Green Street i siedziałam pod domem Dorothy, jedząc kanapkę. Nie mam pojęcia, co tak naprawdę robiłam. Nie było tam żadnych śladów jej życia ani śmierci, ulica była cicha, wręcz sielankowa. Czasami miałam wrażenie, że czuję zapach morza. Wyblakła hulajnoga leżała na trawie jak rekwizyt. Był to dla mnie czas, gdy – pomiędzy kolejnymi wywiadami i zbieraniem materiałów – mogłam pogrążyć się w rozmyślaniach. Być może Dorothy także stała się cieniem w moim życiu. Jako reporterzy zwykle opowiadamy historie żyjących, rozmawiamy z osobami, które wywierają wpływ na wydarzenia, na zmianę prawa, które żyją i mają się dobrze. Jednak w przypadku przemocy domowej podejrzewam, że często tak naprawdę komunikujemy się ze zmarłymi.

Zapytałam Dunne, co by dziś powiedziała Dorothy, gdyby ta wróciła z martwych i stanęła na progu jej biura.

Dunne zaczęła coś mówić, ale nagle przerwała, jakby jej ciało niespodziewanie uderzyło w niewidzialną ścianę. Zerwała się zza biurka

i podeszła do szafki na dokumenty, kryjąc się przed moim wzrokiem. Słyszałam jej urywany, ostry oddech, pociąganie nosem.

– Nikt nigdy wcześniej mnie o to nie pytał – odparła.

Siedziałam bez słowa.

Wróciła za biurko, otarła oczy i spojrzała na mnie.

– Powiedziałabym, że ją przepraszam – szepnęła.

Od Autorki

W ostatnich miesiącach pracy nad tą książką moja macocha trafiła do hospicjum. Latem 2015 roku zdiagnozowano u niej raka jelita grubego, zmarła we wrześniu 2017 roku. Na mniej więcej trzy tygodnie przed śmiercią, gdy siedziałam obok jej łóżka szpitalnego w domu, który dzieliła z moim ojcem, powiedziała mi, że zarówno w jej pierwszym małżeństwie, jak i w jej rodzinnym domu obecna była przemoc. (To nie matka, która wychowywała ją po odejściu ojca, odpowiadała za przemoc w dzieciństwie). Ona i mój ojciec byli małżeństwem od trzydziestu ośmiu lat, a ja badałam przemoc domową w Ameryce od niemal ośmiu. Wstrząsnęło to mną do głębi.

Bardzo długo nasza relacja nie była szczególnie bliska, ale w ostatnich latach nawiązałyśmy lepszy kontakt. Dlaczego nigdy mi nie powiedziała? Czyżbym nie zapewniła jej wystarczająco bezpiecznych warunków do takiej rozmowy? Było tyle pytań, które chciałam jej zadać, ale ona odmówiła, i słusznie. Nie chciała o tym rozmawiać, a szczerze mówiąc, zanim ujawniła te informacje, wiedziałam o przemocy domowej o wiele więcej niż większość ludzi. Czegokolwiek dotyczyły wspomnienia, którymi nie chciała się podzielić, i tak mogłam je sobie wyobrazić. Wiedziała, że umiera, i nie chciała myśleć o żadnym z mrocznych rozdziałów swojego życia. Była całkowicie skupiona na moim ojcu, na bólu, który sprawi nam jej śmierć, i na tym, że nie będzie mogła patrzeć, jak jej wnuki dorastają.

Jeśli osoba, którą znałam od trzydziestu ośmiu lat, ukrywała przede mną fakt, że doświadczyła przemocy, to co to mówi o nas, o tym, jak radzimy sobie z przemocą, która wydarza się tu i teraz, wśród nas, z tym wstydem i piętnem, jakie wciąż jej towarzyszą? Kiedy moja macocha w końcu umarła, staliśmy z ojcem w kuchni i zanosiliśmy się płaczem. Po raz drugi w życiu byłam świadkiem tej konkretnej sceny – ojciec opłakiwał żonę, którą rak przedwcześnie mu zabrał, ale tym razem byłam dorosła i zrozumiałam o wiele więcej z tego, przez co ona przeszła, przez co on przechodził. Przepraszał mnie tamtego dnia i przez kolejne tygodnie za każdym razem,

gdy się załamywał, za to, że „nie był silniejszy”. Oto mężczyzna, który właśnie stracił swoją drugą żonę, a jednak nie uważał, że ma prawo do publicznych łez. Dlaczego? Powiedziałam mu, że dzięki łzom staje się w moich oczach silniejszy jako mężczyzna, jako mąż, jako ojciec, bo łzy oznaczają, że nie boi się pełnego spektrum ludzkich emocji. To lekcja, którą chciałabym przekazać wszystkim mężczyznom.

To właśnie z tych powodów, tych dwóch chwil – jednej z moją macochą i jednej z ojcem – jej właśnie dedykuję tę książkę. Jestem wdzięczna, że zanim odeszła, zdążyłam jej o tym zamiarze powiedzieć.

Posłowie

Z okien salonu w chicagowskim domu mojej przyjaciółki roztaczał się olśniewająco piękny widok na rezerwat North Pond – sześciohektarowy zbiornik wodny, siedlisko dzikiej przyrody i szlak krajobrazowy, gdzie można spotkać ponad dwieście gatunków ptaków i zwierząt wędrownych, w tym sokoły wędrowne i puchacze wirginijskie. Z okna widziałam całe rodziny krzyżówek i gęsi kanadyjskich pływających po stawie. Podczas każdej wizyty, bez względu na porę roku, spacerowałyśmy razem wzdłuż brzegu, a ona pokazywała mi żółwie ukryte w gęstwinie roślinności albo wiewiórki na ścieżce przed nami. Czasem na długim konarze orzesznika przysiadała czapla. Za North Pond rozciągała się droga Lake Shore Drive, a dalej złociste piaski plaży Fullerton i jezioro Michigan – długie na blisko pięćset kilometrów i szerokie na niemal dwieście, więc niewiele mniejsze niż morze. To właśnie ten widok przychodzi mi do głowy, gdy myślę o mojej przyjaciółce Michelle – a robię to teraz po wielokroć każdego dnia; myślę o stratach, które spadły na nią jednocześnie, jednego ranka, po jednym telefonie. Straciła dom i miasto, rytm życia, stabilną pracę i ten widok z okna. Straciła też brata i szwagierkę.

Brat Michelle, Jason, pracował w Departamencie Stanu, a jego żona Lola – w Departamencie Handlu; oboje zajmowali ważne stanowiska i w związku z tym dużo podróżowali po całym świecie. Żadnego z nich nie znałam tak blisko jak Michelle, z którą przyjaźniłam się od dwudziestu lat. Nasza przyjaźń rozkwitła na dobre podczas długich przechadzek i rozmów na rozmaite głębokie tematy: co zrobić, by nasze życie miało znaczenie? Jak zachować otwartość i serce, skoro na świecie jest tyle zła? Szukałam u niej mądrości – prowadziła oblegany przez pacjentów gabinet terapeutyczny w Chicago – i odkryłam, że jest jedną z tych nielicznych osób, z którymi mogę rozmawiać dosłownie godzinami.

Jej dwie ukochane siostrzenice, córki Jasona i Loli, przyjeżdżały do niej na wakacje, czasami na miesiąc albo nawet dłużej. Dziewczynki spędzały czas ze swoją fajną ciotką i brały udział w półkolo-

niach w mieście. Michelle zabierała je czasem ze sobą do naszych wspólnych znajomych – dorośli gawędzili przy winie, a dzieci się bawiły. Miałam wówczas w Chicago całą grupę przyjaciół, których poznałam po studiach. Ale potem, jedno po drugim, wszyscy zaczęli stamtąd wyjeżdżać. Ja wyprowadziłam się pierwsza – do Kambodży, a potem do Waszyngtonu. Ostatecznie większość z nas przeniosła się do stolicy: Ann i Mike, Don i Soleak, wszyscy poza Michelle i może jeszcze jedną czy dwiema osobami. Przyjaźń przetrwała kolejne małżeństwa i dzieci, przeprowadzki i zmiany kariery zawodowej. Nasze dzieci wychowywały się jak kuzyni i kuzynki. Michelle nas odwiedzała, a my błagaliśmy ją, żeby się przeprowadziła. Mówiliśmy, że najfajniejsi chicagowianie przenoszą się do Waszyngtonu. Czasami podawałam jej całą listę powodów: mieszkańcy Waszyngtonu potrzebują terapii bardziej niż ludzie w Chicago! Waszyngton to po prostu przedmieście Nowego Jorku! My mieszkamy w stolicy!

W końcu Jason i Lola, po latach spędzonych w rozmaitych miejscach na całym świecie, przenieśli się do Waszyngtonu, do tej samej dzielnicy, w której mieszkałam z moim ówczesnym mężem. Ich starsza córka trafiła do tej samej klasy co moja i dziewczynki natychmiast się zaprzyjaźniły, choć nie miały pojęcia o niezwykłej sieci powiązań, jaka łączyła ich rodziców. „Znacie się dłużej, niż pamiętasz” – powiedziałam córce, kiedy po wielu tygodniach jej opowieści o nowej koleżance wreszcie to do mnie dotarło. Mało tego: Michelle była ciotką jej przyjaciółki. Ta sama Michelle, która była kimś w rodzaju ulubionej ciotki dla wszystkich naszych dzieci. Świat wydawał się naprawdę bardzo mały. Kiedy Jason przyszedł rano po córkę, która u nas nocowała, powiedziałam mu: „Nie uwierzysz, ale twoja siostra to jedna z moich najbliższych przyjaciółek”. Uśmiechnął się. „To ty jesteś Rachel! – odparł. – Ta Rachel od Michelle!” Powiedzieliśmy Michelle, że teraz naprawdę musi się tu przeprowadzić. Wszechświat praktycznie o to błagał.

W 2017 roku Jason i Lola zaczęli mieć problemy. Nie wiedziałam, czego dokładnie dotyczyły. Nie byłam z żadnym z nich jakoś szczególnie blisko zaprzyjaźniona, nie licząc tych kilku niezwykłych punktów łączących ich życie z moim i naszych córek. W pewnym momencie Michelle pomyślała, że Loli, która przechodziła wówczas

przez rozwód, może przydać się rozmowa ze mną. (Sama byłam tuż po rozwodzie). Skontaktowała nas i kilka razy wyszłyśmy na drinka. Było oczywiste, że Lola ma w sobie mnóstwo gniewu, i to takiego, który był mi dobrze znany. Taki gniew oznacza po prostu: „Mam dość. Skończyłam z tym. Chcę się wyrwać". Lola zaczynała się wówczas zmagać z okołorozwodową biurokracją, w której łatwo utknąć na zdecydowanie zbyt długo. Ja właśnie zakończyłam ten etap. Opowiedziała mi trochę o sobie i w kilku kwestiach jej sytuacja rzeczywiście wydała mi się znajoma (mąż, który nie zgadza się na rozwód, żona odnosząca większe sukcesy zawodowe). Niemniej, niezależnie od tego, ile nas łączyło, nie chciałam znaleźć się w niezręcznym położeniu – w końcu przyjaźniłam się blisko z siostrą mężczyzny, od którego Lola próbowała odejść. Łatwo wówczas o komplikacje. Trzymałam więc dystans – rozmawiałam z Jasonem i Lolą głównie o tym, kiedy nasze córki mają się spotkać i co słychać w szkole. Kiedy Michelle przyjeżdżała do miasta, zatrzymywała się u mnie, a obie jej siostrzenice też zostawały u nas na noc. Siedziałyśmy w piżamach i oglądałyśmy filmy do późna, a rano na śniadanie jadłyśmy naleśniki.

7 czerwca 2019 roku wysiadłam właśnie z samolotu i odsłuchałam wiadomość od spanikowanej Michelle. Byłam w połowie trasy promocyjnej książki *Śladów pobicia brak*, miałam za sobą niezliczone rozmowy z osobami, które przychodziły do mnie po autograf; uwielbiałam te spotkania, ale też się ich bałam. Jedna z kobiet powiedziała, że jej córka zginęła zaledwie kilka miesięcy wcześniej. Inna, zapłakana, zapytała, czy mogę pomóc jej odzyskać dzieci. Zmierzałam właśnie po odbiór bagażu i słuchałam, jak Michelle mówi, że coś się stało w domu jej brata, a ona nie wie co, więc czy mogę do niej oddzwonić? Sprawa była bardzo pilna. Nawet nie odsłuchałam wiadomości do końca, po prostu wybrałam jej numer. Odebrała natychmiast, a jej głos brzmiał głucho, jakby dobiegał z głębi jej trzewi, niby znajomy, a jednak obcy, bo nigdy jej takiej nie słyszałam.

– Coś się dzieje u Jasona – powiedziała.

Zapytałam, co takiego.

– Lola jest ranna. Albo on się sam zranił. Nie wiem. – Michelle mówiła urywanymi zdaniami, pomiędzy jednym panicznym wde-

chem a drugim, wszystko powtarzała. Dzwoniła do niego w kółko, a potem do Loli, ale żadne nie odbierało. Kilka minut wcześniej zadzwonił do niej Jason i powiedział, że on i Lola „zawiedli dziewczynki”, ich córki, i poprosił ją o „opiekę nad nimi”. Powiedział Michelle, żeby jak najszybciej przyjechała do Waszyngtonu. Potem się rozłączył. Od tamtej pory Michelle nie mogła się z nim skontaktować. Rozmawiała ze mną z portu lotniczego O’Hare, gdzie usiłowała kupić bilet na najbliższy lot.

Biegiem pokonałam lotnisko, a po drodze zadzwoniłam do byłego męża, który mieszkał kilka przecznic od Jasona i Loli, i poprosiłam go, żeby poszedł sprawdzić, czy nic im nie jest. Kiedy przyjechał, na miejscu była już ekipa SWAT. Paul, mój były, połączył mnie z dowódcą i podałam mu dane kontaktowe Michelle, imiona dziewczynek, nazwę szkoły. Zapisał te informacje. Zanim dotarłam z lotniska, dom został oficjalnie oznaczony jako miejsce zbrodni, a Jasona lub Lolę (nie wiedzieliśmy wówczas, które z nich) zabrano karetką do szpitala. Ich córki były jeszcze w szkole, a my omawialiśmy logistykę: jak je odebrać, gdzie je zabrać i na jak długo. To Michelle powinna im przekazać wieści, ale co ma im powiedzieć? W pewnym momencie przypomniałam sobie, że mieli psa. Zabrał go jakiś sąsiad. Tego wieczoru miała się odbyć uroczystość zakończenia roku dla piątoklasistów, rocznika mojej córki i ich najstarszej dziewczynki; dzieci przygotowywały się do występu od tygodni. Mamy zaczekać i powiedzieć im po wszystkim? Czy w ogóle darować sobie imprezę? Zadzwoniłam do dyrektorki. Córki Jasona i Loli odebrała opiekunka, przyjaciółka ich matki. Michelle wylądowała tuż po południu i pojechała prosto do dziewczynek.

Reszta stopniowo zbierała się u mnie w domu. Najpierw mój były mąż i córka, potem cały waszyngtoński gang z Chicago, później dołączyły do nas Michelle, jej matka i kuzynka, psychoterapeutka dziecięca, a także kilkoro innych przyjaciół. Przepełniała nas nerwowa energia, jaką czuje się w momentach, kiedy ziemia usuwa się znienacka spod nóg; wiedzieliśmy, że dzieje się coś strasznego. Musieliśmy coś zrobić, ale nie wiedzieliśmy co. Co jakiś czas przyjeżdżała policja i rozmawiała z Michelle i jej mamą. Ktoś pomyślał, że warto

zamówić jedzenie. Możliwe, że to byłam ja. Nie było mnie w domu od tygodni. Miałam straszną ochotę zabrać się do sprzątania, mimo tych wszystkich ludzi, żeby zaprowadzić jakiś porządek w tym chaosie.

Poprzedniego wieczoru na spotkaniu autorskim w Cleveland miałam okazję przedstawić uczestnikom detektyw Martinę Latessę, specjalistkę w zakresie przemocy domowej. Od tego czasu Michelle, która zaledwie dwa tygodnie wcześniej przyleciała do Waszyngtonu na premierę mojej książki, sama stała się częścią historii opowiadanej przez tyle kobiet podczas tych spotkań – niemal zawsze są to kobiety. Była to historia o życiu, rodzinie, o rozpadzie społeczności. Ironia sytuacji była dla nas wszystkich oczywista, ale nikt nie miał odwagi o tym wspomnieć otwarcie, przynajmniej nie na początku. Na jednym ze spotkań autorskich pewna kobieta wstała przed dwustuosobową publicznością i oznajmiła, że nie może wrócić do domu, nie może wyjść z tej sali, bo boi się, że jeszcze tego dnia zginie. Zapytała, co powinna zrobić. Jej życie było bezpośrednio zagrożone. Zwróciłam się do zebranych o pomoc, zapytałam o lokalne służby, organizacje, o kogoś, kto mógłby z nią porozmawiać. A teraz wszystkie te historie, cała ta groza i trauma wdarły się w samo serce mojego domu i życia oraz – co może nawet jeszcze ważniejsze – w życie mojej córki i mojej przyjaciółki oraz dwóch innych niewinnych małych dziewczynek, i zmieniły je raz na zawsze. Po dziś dzień nie umiem tego wyrazić słowami.

Minęło wiele godzin, zanim się dowiedzieliśmy, co tak naprawdę się stało, a wszystkie szczegóły wyszły na jaw dopiero po kilku tygodniach. Wczesnym popołudniem dotarła do nas wiadomość, że Lola zmarła; wieczorem okazało się, że Jason także nie żyje. Michelle tak to teraz opisuje: „Mój brat odebrał sobie życie po tym, jak odebrał je swojej żonie”. Język opisu ma dla niej znaczenie, ponieważ w jakiś sposób oddaje desperację i ból brata, jednocześnie uwzględniając potworność tego, co zrobił. Przyjaciele i rodzina Loli z pewnością ujęliby to inaczej, ale ja uważam, że należy pozwolić każdej osobie znaleźć swój własny środek wyrazu. Bólu dla nikogo tu nie zabraknie.

Michelle porzuciła dawne życie 7 czerwca i już nigdy nie wróciła do domu. Wyobraźcie to sobie. Po prostu spróbujcie to sobie wyobrazić. Kiedy to piszę, Michelle finalizuje właśnie sprzedaż mieszkania w Chicago, tego z widokiem na rezerwat przyrody. Całe lato wszystkim, co miała, był tylko plecak, z którym przyleciała tamtego czerwcowego dnia, kiedy jeszcze nie wiedzieliśmy, co się stało. Nosiła moje ubrania, o wiele na nią za duże, sypiała w moim pokoju gościnnym, pożyczała ode mnie buty. Spodziewała się zapewne, że wyjeżdża najwyżej na kilka dni, tymczasem wyglądało to tak, jak gdyby wszechświat w mgnieniu oka miotnął nią w całkowicie inne miejsce. Nowa lokalizacja to najmniejszy problem. Czekało ją jednak zupełnie nowe życie, musiała zacząć wszystko od nowa jako samotna matka, z niekończącą się biurokracją, z którą wciąż jeszcze się zmaga i będzie się zmagać w najbliższej przyszłości. Musi też jakoś odbudować karierę zawodową. Jeśli można w tym wszystkim mówić o jakimś błogosławieństwie, to jest to fakt, że my – jej plemię na całe życie – jesteśmy wszyscy przy niej i ją wspieramy. Zdajemy sobie sprawę, jak wielkie szczęście mają te dziewczynki, że otacza je wspólnota, którą znają i kochają, że są z ciotką, którą znają i kochają, niemniej…

Niemniej.

Oto historia zabójstwa w wyniku przemocy domowej – dotyka bezpośrednich ofiar, ale także tych, których życie zostało bezpowrotnie rozdarte. Rodzin, przyjaciół, współpracowników, sąsiadów, całej społeczności. Przed 7 czerwca 2019 roku cieszyłam się przywilejem, z którego nawet nie zdawałam sobie sprawy – opowiadałam o przemocy domowej z punktu widzenia zewnętrznej obserwatorki. Jednymi z pierwszych osób, o których pomyślałam, kiedy dowiedzieliśmy się o Jasonie i Loli, były Sally Sjaastad i Sarah Mosure. Gdy dotarły do nich wieści o tym, co się wydarzyło – nie wiem jak – obie do mnie napisały, a ja się rozpłakałam na widok ich mejli. Ze wszystkich niesamowitych osób wokół mnie – od przyjaciółek po specjalistki takie jak Jackie Campbell i Kelly Dunne – to z Sally i Sarah najbardziej chciałam porozmawiać. Sally i Sarah wiedziały, co czuję. Kiedy w końcu się z nimi skontaktowałam, nasze rozmowy zaczęły coś we mnie leczyć. „Aż za dobrze znam tę konsternację, żałobę, wściekłość

i dosłowny ból, jaki ty i twoja przyjaciółka musicie teraz odczuwać – napisała do mnie Sarah. – Serce mi pęka na myśl o Tobie, Twojej przyjaciółce i tych niewinnych dziewczynkach”. Ledwo znalazłam słowa, żeby wyrazić swoją wdzięczność.

Michelle mieszka dziś blisko mnie, a z fajnej ciotki zmieniła się w matkę zastępczą. Całe lato spędziłyśmy w stanie emocjonalnego szoku. Czasami patrzę na nią – czy wspominałam, że jest oszałamiająco piękna? Wysoka i szczupła, elegancka, ciemnowłosa, emanuje wewnętrznym spokojem – a wtedy ogarnia mnie przemożna chęć, żeby ją objąć, powiedzieć, że nie mogę w to uwierzyć. Po prostu nie mogę w to wszystko uwierzyć. Ludzie, którzy ją spotykają, od prawników po innych rodziców z sąsiedztwa, są zdumieni, jak sprawnie radzi sobie z tą sytuacją, jak płynnie pokonuje najgorsze meandry, jakie można sobie wyobrazić, niczym kropla wody spływająca po szybie. Spokojnie, stabilnie i niewzruszenie, skupiona wyłącznie na dziewczynkach, które są teraz pod jej opieką. Kocha je tak jak zawsze: bezgranicznie, bezwarunkowo, tak jak każdy rodzic kocha swoje dziecko.

„Przemoc domowa to bynajmniej nie problem prywatny, ale najbardziej paląca kwestia zdrowia publicznego” – to, co lata temu napisałam we wstępie do *Śladów pobicia brak*, odczuwam dziś w sposób, który wówczas był dla mnie abstrakcją. Przesłanie, że przemoc domowa dotyka każdego i każdej z nas, staje się jeszcze ważniejsze, jeszcze bardziej naglące. Na kilka tygodni przed premierą niniejszej książki w Stanach Zjednoczonych opublikowano najnowsze dane, według których liczba zabójstw związanych z przemocą domową rośnie nieustannie od 2015 roku, a od 2017 roku wzrosła o trzydzieści trzy procent**[163]**.

W innych krajach wygląda to podobnie. W Kanadzie, gdzie w ciągu ubiegłego dziesięciolecia liczba przypadków przemocy domowej oraz w związkach spadała, obecnie takie incydenty „przybierają na sile”; sierżant policji w Calgary powiedział lokalnemu reporterowi, że znajdują się w epicentrum „epidemii”**[164]**. W Republice Południowej Afryki, gdzie przemoc wobec kobiet przybrała rozmiary ogólnonarodowego kryzysu, co trzy godziny ginie jedna kobieta –

szacuje się, że wskaźnik ten jest pięciokrotnie wyższy niż w Europie Zachodniej[165]. Kiedy piszę te słowa, we Francji odbywa się właśnie cykl konferencji z udziałem policji, urzędników i stowarzyszeń na rzecz ofiar przemocy domowej, które mają na celu walkę z rosnącą liczbą przypadków kobietobójstwa; według „New York Timesa” w 2019 roku setne zabójstwo w wyniku przemocy domowej odnotowano we Francji wcześniej niż kiedykolwiek przedtem – redakcja magazynu określiła to mianem „makabrycznego rekordu”[166].

W latach 2011–2018 w Turcji liczba zamordowanych kobiet wzrosła prawie czterokrotnie[167]. Organizacja Narodów Zjednoczonych szacuje, że w Rosji ginie rocznie dwanaście tysięcy kobiet[168]. W Brazylii, gdzie dane są trudne do potwierdzenia i niemal na pewno zaniżone, od 2018 roku liczba kobietobójstw wzrosła o cztery procent[169]. W Hiszpanii poziom przemocy domowej i seksualnej jest tak alarmujący, że 20 września 2019 roku działaczki wyszły na ulice dwustu pięćdziesięciu hiszpańskich miast, aby w ten sposób zaprotestować przeciw zaniedbaniom ze strony prawodawców; demonstracje te nazwano „feministycznym stanem wyjątkowym”[170]. A oto inne feministyczne stany kryzysowe: kobietom w Chinach rzadko udaje się uzyskać zakaz zbliżania dla przemocowca, mimo że chiński rząd chwalił się ustawą przeciw przemocy domowej z 2016 roku[171]. Konserwatywne rządy na Węgrzech, w Polsce i Chorwacji od dziesięciu lat ograniczają finansowanie organizacji kobiecych i wycofują się z polityki równości płci[172]. Ponad miliard kobiet na świecie nie ma ochrony prawnej przed przemocą domową[173].

Wprawdzie historie przedstawione w tej książce rozgrywają się w Stanach Zjednoczonych, ale terror ze strony partnera oraz zabójstwa w wyniku przemocy domowej wyglądają tak samo bez względu na kraj. Agresywne zachowania, role przypisane poszczególnym płciom, przymus, psychologia działań ofiary i, co być może najważniejsze, wskaźniki ryzyka – wszystkie te zjawiska są wciąż obecne na całym świecie. Mam nadzieję, że moja książka to tak naprawdę tylko początek długiej i wnikliwej międzynarodowej debaty. Chcę nią zachęcić czytelników do pogłębienia wiedzy i umiejętności koordynacji, ulepszania polityki systemowej i zmiany narracji kulturowej, opracowa-

nia planu dalszego działania. Właściwie mam dla wszystkich jedno zadanie: *zróbcie, co w waszej mocy, by ta publikacja stała się nieaktualna*. Nie mam jednak złudzeń co do tego, że jedna książka rozwiąże problem, a ponadto zdaję sobie sprawę, że niektóre z poruszonych w niej kwestii należałoby omówić równolegle z innymi, równie pilnymi tematami, takimi jak stosowanie kary więzienia na masową skalę czy strategii interwencyjnych w dzieciństwie.

Nie wydaje mi się, żeby rozwiązaniem tego problemu były areszt i więzienie. Pobyt za kratami na ogół nie sprawia, że człowiek staje się mniej agresywny, co zresztą opisuję na poprzednich stronach. Uważam, że miarodajne owoce może przynieść tylko taka dyskusja o przemocy domowej i jej skutkach, która będzie toczyć się w ścisłej korelacji z debatą na temat reformy więziennictwa. Jednym z elementów, jakie warto rozważyć w jej ramach, są nowe i lepsze metody wykorzystania sprawiedliwości naprawczej. Zastanawiałam się ostatnio nad tym, dlaczego nie mamy pogotowia telefonicznego dla sprawców przemocy na wzór tego, co oferujemy ofiarom w sytuacji kryzysowej albo alkoholikom, którzy walczą z chęcią sięgnięcia po drinka. Dlaczego nie ma sponsorów wspierających ludzi, którzy ukończyli program interwencji antyprzemocowej? Jak mogły się potoczyć losy Dontego, gdyby miał wsparcie kogoś takiego?

Uważam również, że musimy skuteczniej zająć się przyczynami przemocy domowej poprzez programy dla młodzieży. W USA organizowane są co prawda obozy letnie dla dzieci z przemocowych domów, ale takie inicjatywy dotyczą wyłącznie następstw przemocy. W niektórych szkołach działają programy interwencyjne, ale nie możemy po prostu zrzucać tego obowiązku na szkolnictwo, któremu i tak już brakuje środków, a nauczyciele są przepracowani. Zmiany systemowe nie mogą mieć doraźnego, improwizowanego charakteru. Poza tym jak mielibyśmy uczyć młodzież, czym jest chorobliwa zazdrość, skoro w kulturze popularnej stalking przedstawiany jest jako coś romantycznego, a w filmach takich jak *Zmierzch* romans polega na tym, że mężczyzna przygląda się śpiącej kobiecie?

Przystępując do pracy nad niniejszą książką, uznałam, że powinnam w niej przedstawić sytuację przemocy domowej w jej obecnym kształcie, a nie taką, jaką mamy nadzieję zobaczyć, w jaką wierzymy

czy jakiej byśmy chcieli. Celowo unikałam sugestii rozwiązań, po części dlatego, że jako reporterka mam za zadanie opisać tę historię, a nie zmieniać ją w trakcie opowiadania. Dziś jednak uważam, że powinniśmy próbować wszystkiego, każdego pomysłu, bez ograniczeń, niczego nie pomijać, ponieważ ten problem jest tak ogromny, a życie tak kruche, że po prostu nie stać nas na to, by tracić więcej czasu, a już na pewno ani jednego istnienia ludzkiego.

Recepcja książki zaskoczyła mnie, ale i zainspirowała do tego, by dalej zajmować się tym tematem i opowiadać coraz bardziej złożone historie z naszego życia w ramach rozwijającej się debaty. Powstają kolejne tłumaczenia na szereg języków, a w Stanach Zjednoczonych w wielu okręgach od wybrzeża do wybrzeża jest to lektura obowiązkowa dla stróżów prawa, sędziów i aktywistek. Cel, który przyświecał mi podczas pracy, był prosty: sprawić, by przemoc domowa znalazła się w polu zainteresowania opinii publicznej. W zamierzeniu miała to być bardzo podstawowa książka, która być może mogłaby zachwiać obecnym stanem rzeczy – a ten, z czym chyba wszyscy się zgodzimy, polegał w dużej mierze na ignorowaniu problemu. Nie napisałam jej dla ekspertów, chociaż niezmiernie cieszy mnie, że tak wielu specjalistów i specjalistek w tej dziedzinie ją przeczytało i skontaktowało się ze mną. Napisałam ją, by oddać głos głównie ofiarom i sprawcom, ale także aktywistkom z pierwszej linii frontu. Jednak przede wszystkim myślę, że napisałam ją dla laika, który niczego nie wie, ale wszystko zakłada. Dla kobiety, która kwestionuje naturę własnego cierpienia. Dla mężczyzny, który uważa, że to ciągle jest problem kobiet. Dla młodzieży LGBTQ, która czuje się zupełnie niewidoczna. I dla osoby takiej jak ja, która zupełnie nieświadomie powiela rozmaite błędne przekonania. Tym samym napisałam tę książkę dla osoby, którą kiedyś sama byłam, zanim dowiedziałam się tego wszystkiego, co już dziś wiem.

Październik 2019

Podziękowania

Obojętnie jakie wymagania stawiamy dziełom dziennikarstwa literackiego, najważniejszy element to czas. Kiedy opowiadasz czyjąś historię, która – tak się składa – dotyczy najgorszej rzeczy, jaka kiedykolwiek się tej osobie przytrafiła, może to wymagać niezwykłych nakładów czasu. Z tego powodu jestem głęboko wdzięczna rodzinom Rocky'ego Mosure'a i Michelle Monson za poświęcony mi czas oraz za zaufanie i wiarę, jakie mi okazali. Skłamałabym, gdybym powiedziała, że czasami nie płakałam wraz z nimi. Zatem następujące osoby zechcą przyjąć wyrazy mojej najgłębszej wdzięczności: Sally Sjaastad, Paul Monson, Sarah i Gordon Mosure, Alyssa Monson i Melanie Monson. Chciałabym również podziękować tym, którzy poświęcili mi swój czas nie raz czy dwa razy, ale wielokrotnie, w niektórych przypadkach przez całe lata. Są to: Jimmy Espinoza, Donte Lewis, Hamish Sinclair, David Adams, Neil Websdale, Kit Gruelle, Sunny Schwartz, Reggie Daniels, Leo Bruenn, Ruth Morgan, Peg Hacskaylo, Natalia Otero, Martina Latessa, Jacquelyn Campbell, Lee Johnson, Suzanne Dubus, Kelly Dunne, Robert Wile, Casey Gwinn, Gael Strack, Sylvia Vella, Joan Bascone, James Gilligan, Joan McCracken, Gary Gregson, William Kidd, Lou Johns, Maureen Curtis i Lynn Rosenthal. Dziękuję Nikki Allinson, która po trzykroć sprawdzała wszystkie moje obliczenia. Szczególnie chciałabym podziękować Matthew Dale'owi, który zmarł przed publikacją tej książki, ale którego bezgraniczne zaangażowanie na rzecz ofiar było dla mnie inspiracją.

Za hojne wsparcie pragnę podziękować DC Commission on the Arts and Humanities, College of Arts and Sciences na American University, a zwłaszcza Columbia School of Journalism, oraz Neiman Foundation for the Lukas Work-in-Progress Award Harvard University. Wszyscy umożliwiliście to, co często wydawało się niemożliwe.

Zawsze uważałam, że granica, która oddziela przyjaciół od członków rodziny, jest niezwykle cienka, dlatego podziękowania kieruję do Was wszystkich razem: Ann Maxwell, David Corey, Andre Dubus

III, Fontaine Dubus, David Keplinger, Stephanie Grant, Danielle Evans, Donald Rutledge, Soleak Sim, Lance Lee, Zac Fisher, Lisen Stromberg, Ted Conover, Masha Gessen, Kate Woodsome, Elizabeth Flock, Julie Gibson, Yasmina Kulauzovic, Michelle Rieff, Tap and Mia Jordanwood, Lisa Eaves, Elizabeth Becker, Jen Budoff, Tom Heineman, Sarah Pollock, Katherine Ann Rowlands, Alison Brower, Marianne Leone, Chris Cooper, Richard Snyder oraz Joshua Snyder.

Zespół w Bloomsbury to najsympatyczniejsza, najbardziej kreatywna grupa ludzi, z jaką miałam przyjemność pracować: Sara Mercurio, Jenna Dutton, Nicole Jarvis, Valentina Rice, Marie Coolman, Frank Bumbalo, Katya Mezhibovskaya, Cindy Loh i Ellis Levine. Dołożyli wszelkich starań, bym wiedziała, że mój głos, głos autorki, jest dla nich zawsze na pierwszym miejscu. Jestem szczególnie wdzięczna moim redaktorom, Callie Garnett i Antonowi Muellerowi, których mądrość i klasa naznaczyły każdą stronę tej książki.

Mam świadomość, jak wiele zawdzięczam wsparciu koleżanek i kolegów z American University, którzy niezmiennie są dla mnie cichym źródłem inspiracji w moich intelektualnych i twórczych przedsięwzięciach. Podziękowanie kieruję zatem do następujących osób: Peter Starr, David Pike, Kate Wilson, Patty Park, Kyle Dargan, Dolen Perkins-Valdez, Richard McCann i Despina Kakoudaki. Dziękuję też redakcji „New Yorkera”, tym, którzy mieli do mnie cierpliwość, kiedy nie byłam pewna, czy w ogóle można znaleźć formę, by wyrazić to, co chciałam zakomunikować światu: Alanowi Burdickowi, Carli Blumenkranz, Dorothy Wickenden i Lauretcie Charlton.

Nie przesadzę w najmniejszym stopniu, jeśli stwierdzę, że ta książka nie byłaby tym, czym jest, bez niestrudzonej pomocy mojej asystentki Molly McGinnis, która czasami pytała: „Czy mam być dziś wspierającą badaczką czy autorytarną redaktorką?”. Zapamiętajcie to nazwisko. Molly ma przed sobą wielką karierę.

Susan Ramer – wiem, jakie to szczęście, że jesteś moją agentką od dwudziestu trzech lat. Nie pisałabym dzisiaj, gdyby nie Ty. Dziękuję za Twoją wiarę w moje słowa, za niestrudzone dążenie do tego, co najlepsze. Masz udział we wszystkim, co piszę.

I wreszcie Jazz: w Tobie znalazłam wszystko, co kocham i na czym najbardziej mi zależy na świecie.

Przypisy

Wstęp

[1] Oficjalna nazwa to Nadzwyczajna Izba Sądu Kambodży, której nie należy mylić z Międzynarodowym Trybunałem Karnym w Hadze. Podczas nieformalnych rozmów zwykliśmy nazywać trybunał w Kambodży po prostu trybunałem do spraw zbrodni wojennych.

[2] United Nations, *Home, the most dangerous place for women, with majority of female homicide victims worldwide killed by partners or family, UNODC study says*, unodc.org, bit.ly/2J6lv2i, dostęp: 2.01.2021.

[3] United Nations, *Violence against women 'most shameful', pervasive human rights violation, says Secretary-General in remarks on International Women's Day*, un.org, bit.ly/3rI2g17, dostęp: 2.01.2021.

[4] BBC News, *The women killed on one day around the world*, bbc.com, bbc.in/3rWUEb8, dostęp: 2.01.2021. Zob. także: United Nations, *Home, the most dangerous place for women…*, dz. cyt.

[5] Tamże.

[6] Callie Marie Rennison, *Intimate Partner Violence, 1993–2001*, U. S. Department of Justice, Office of Justice Programs, Bureau of Justice Statistics, bjs.gov, bit.ly/2KTiOT7, dostęp: 2.01.2021.

[7] Korespondencja mejlowa z Jacquelyn Campbell.

[8] National Statistics, ncadv.org, bit.ly/3n9LoN7, dostęp: 2.01.2021.

[9] Jing Sun i in., *Mothers' adverse childhood experiences and their young children's development*, „American Journal of Preventive Medicine” 2017, vol. 53, no. 6, s. 882–891.

[10] Everytown, *Women and children in the crosshairs. New analysis of mass shootings in America reveals 54 percent involved domestic violence and 25 percent of fatalities were children*, everytown.org, bit.ly/3o7mmiR, dostęp: 2.01.2021.

[11] W. Gardner Selby, *Domestic violence not confirmed as consistent predictor of mass shootings*, politifact.com, bit.ly/3n6GXCN, dostęp: 2.01.2021.

[12] CBS News, *Church gunman's wife says he cuffed her to bed, said he'd be "right back" before rampage*, cbsnews.com, cbsn.ws/3hHTxqX, dostęp: 2.01.2021.

[13] Sarah Ellis, Harrison Cahil, *Dylann Roof. Hindsights and 'what ifs'*, thestate.com, bit.ly/383vAHn, dostęp: 2.01.2021. Zob. także: Daniel Bates, *Charleston killer Dylann Roof grew up in a fractured home where his 'violent' father beat his stepmother and hired a private detective to follow her when they split, she claims in court papers*, dailymail.co.uk, dailym.ai/2X3kDzf, dostęp: 2.01.2021.

[14] Nie uwzględnia to budżetu na odszkodowania dla ofiar; zob. Office on Violence Against Women (OVW), *FY 2018 budget request at a glance*, justice.gov, bit.ly/3rLQVwT, dostęp: 2.01.2021.

[15] Office of Management and Budget, *An American budget. Fiscal year 2019*, whitehouse.gov, bit.ly/3uP6ft8, dostęp: 2.01.2021.

[16] Paul R. La Monica, *Happy Prime Day! Bezos worth $150 billion as Amazon hits all-time high*, money.cnn.com, cnn.it/2JDbAC9, dostęp: 2.01.2021. Jestem tak utalentowana matematycznie, że musiałam zadzwonić do nauczycielki mate-

matyki mojej córki piątoklasistki, która zweryfikowała moje wyliczenia. Dziękuję, pani Allinson!

[17] Naomi Graetz, *Wifebeating in Jewish tradition*, jwa.org, bit.ly/38XnwHx, dostęp: 2.01.2021.

[18] Tamże.

[19] Elizabeth Pleck, *Domestic tyranny. The making of American social policy against family violence from colonial times to the present*, Champaign, IL: University of Illinois Press, 2004.

[20] *History of domestic violence. A timeline of the battered women's movement*, Minnesota Center Against Violence and Abuse, Safety Network: California's Domestic Violence Resource, wrzesień 1999. Zob. także: Barbara Mantel, *Domestic violence. Are federal programs helping to curb abuse?*, „CQ Researcher" 2013, vol. 23, no. 41, s. 981–1004, library.cqpress.com, bit.ly/3rH2u8F, dostęp: 2.01.2021; Elizabeth Pleck, *Domestic Tyranny…*, dz. cyt., s. 17, 21–22.

[21] Jackie Davis, *Domestic abuse* (white paper), Criminal Justice Institute, cji.edu, bit.ly/3dYCTSr, dostęp: 2.01.2021.

[22] Vivian Acheng, *15 countries where domestic violence is legal*, theclever.com, bit.ly/3hyrDh8, dostęp: 2.01.2021.

[23] Anastasia Manuilova, *Nine months after new domestic violence law, Russian women still struggle*, themoscowtimes.com, bit.ly/386Z86X, dostęp: 2.01.2021.

[24] U.S. Department of Justice, Office of the Attorney General, *27 I&N Dec. 316 (A.G.2018), Interim Decision #3929*, justice.gov, bit.ly/3n8uRcm, dostęp: 2.01.2021.

[25] U.S. Department of Health and Human Services, Office on Women's *Health*, *Laws on violence against women*, womenshealth.gov, bit.ly/2X5xVv2, dostęp: 2.01.2021.

[26] National Center for Victims of Crime, Past Programs – Stalking Resource Center, victimsofcrime.org, bit.ly/3n3xtbv, dostęp: 2.01.2021.

[27] Tamże. W Wielkiej Brytanii stalking był tradycyjnie postrzegany jako zwykłe „nękanie”, mimo że corocznie donosiło o nim sto dwadzieścia tysięcy kobiet, co zdaniem ekspertów stanowi zaledwie jedną czwartą rzeczywistej liczby. Jednak w odróżnieniu od Stanów Zjednoczonych w 2012 roku rząd brytyjski przyjął ustawę, która umożliwiła ściganie stalkingu jako przestępstwa, a do 2015 roku liczba spraw sądowych wzrosła o pięćdziesiąt procent.

[28] National Domestic Violence Hotline, *About the Hotline – The History*, thehotline.org, bit.ly/2LewcBa, dostęp: 2.01.2021.

[29] Lethality Assessment Program, *Development of the Lethality Assessment Program (LAP)*, lethalityassessmentprogramdotorg.files.wordpress.com, bit.ly/2MjBGLi, dostęp: 2.01.2021.

[30] library.cqpress.com bit.ly/2Rx7dMz,, dostęp: 13.04.2021.

Proces O. J. Simpsona toczył się w czasach przed uruchomieniem krajowej infolinii do spraw przemocy domowej (nie wspominając już o internecie), nie prowadzono zatem ewidencji połączeń na szczeblu krajowym, ale jedynie regionalnym, zgodnie z informacjami przekazanymi przez schroniska i infolinie.

[31] Associated Press, *1 million women victims of domestic violence in ’91. Crime: A Senate panel estimates another 3 million attacks went unreported. Tougher laws are urged*, articles.latimes.com, lat.ms/3n3dzNz, dostęp: 2.01.2021.

[32] Cris Cillizza, *Why Donald Trump won’t condemn Rob Porter*, cnn.com, cnn.it/3pHxkMn, oraz *What if Donald Trump really cared about women’s safety?*, nytimes.com, nyti.ms/2X6ly1Q, dostęp: 2.01.2021.

Siostry nierozłączki

[33] Historycy podważają tę wersję i twierdzą, że jeśli wojownicy Kruków popełnili samobójstwo, to stało się to po drugiej stronie rzeki, zob. Clair Johnson, *Sacrifice cliff. The legend and the rock*, billingsgazette.com, bit.ly/3o9ECIr, dostęp: 2.01.2021.

Tata zawsze przeżyje

[34] W stanie Maryland stalking zawsze był traktowany w kategoriach wykroczenia (*misdemeanor*). W Montanie pierwsze złamanie prawa jest na ogół wykroczeniem, chociaż ustawa o stalkingu przyjęta tam w 2003 roku dopuszcza postawienie zarzutu przestępstwa (*felony*). Montana Code Annotated 2014, 45-5-220. Stalking – exemption – penalty, leg.mt.gov, bit.ly/3pJmWE4, dostęp: 2.01.2021. Zob. także: Montana Code Annotated 2014, 45-2-101. General definitions, leg.mt.gov, bit.ly/3hAlp09, dostęp: 2.01.2021. Stalking jest zabroniony we wszystkich pięćdziesięciu stanach, ale tylko kilkanaście z nich dopuszcza możliwość uznania go za przestępstwo, jeśli jest to pierwsze naruszenie prawa; zob. National Coalition Against Domestic Violence, *Facts about domestic violence and stalking*, speakcdn.com, bit.ly/3hCA3UG, dostęp: 2.01.2021. Zob. także: National Statistics, ncadv.org, bit.ly/3n9LoN7, dostęp: 2.01.2021. Nieco ponad czterdzieści stanów dopuszcza ściganie stalkingu jako przestępstwa, chociaż tylko trzynaście zezwala ofiarom na pozwanie stalkerów; zob. National Center for Victims of Crime, Past Programs – Stalking Resource Center, victimsofcrime.org, bit.ly/3n3xtbv, dostęp: 2.01.2021.

[35] Abby Ellin, *With coercive controle, the abuse is psychological*, well.blogs.nytimes.com, nyti.ms/355o6lh, dostęp: 2.01.2021.

[36] Evan Stark, *Re-presenting Battered Women: Coercive Control and the Defense of Liberty*, stopvaw.org, bit.ly/3hIZ6Wg,

dostęp: 2.01.2021.

[37] Home Office, the Rt Hon Karen Bradley MP, *Coercive or controlling behaviour now a crime*, gov.uk, bit.ly/3n8BXO2, dostęp: 2.01.2021.

Niedźwiedź idzie po ciebie

[38] Niektóre z informacji o tym, co napisała Michelle tamtej nocy, pochodzą z artykułu w lokalnej gazecie zatytułowanego *That black night*, autorstwa Eda Kemmicka z „Billings Gazette” i opublikowanego 23 listopada 2002 roku. Sally udostępniła mi również oryginalną wiadomość Michelle.

[39] Montana Code Annotated 1997, 45-5-206. Partner or family member assault – penalty, leg.mt.gov, bit.ly/2X2g6gH, dostęp: 2.01.2021.

[40] Kelly Dunne, komunikacja osobista, lipiec 2011, Newburyport, MA.

Osoba, którą kochasz, odbierze ci życie

[41] Campbell wylicza kobiety zabijane nie tylko z broni palnej; raport Violence Policy Center z września 2018 roku podaje liczbę pięćdziesięciu amerykańskich kobiet zabijanych każdego miesiąca, ale ta liczba obejmuje wyłącznie kobiety zabijane z broni palnej.

[42] Andrew R. Klein, *Practical implications of current domestic violence research. Part 1: Law enforcement*, National Criminal Justice Reference Service, nieopublikowane, kwiecień 2008; ncjrs.gov, bit.ly/38RTZ1O, dostęp: 2.01.2021.

[43] Office for the Prevention of Domestic Violence, OPDV Bulletin, opdv.ny.gov, zima 2014, on.ny.gov/387bYCl; State of

New York, Department of Correctional Services, *Female homicide commitments: 1986 vs. 2005*, lipiec 2007.

[44] Latina Ray przyznała się do winy i przyjęła wyrok jedenastu lat bez procesu. Jej historię opowiedziano w filmie dokumentalnym *Private Violence*.

[45] Kiedy to piszę, czyli w 2013 roku, zabójstwo jest na drugim miejscu, tuż za HIV/AIDS.

[46] *…60%…*, wywiad z dr Sylvią Vellą. Zob. też: Nancy Glass i in., *Non-fatal strangulation is an important risk factor for homicide of women*, „Journal of Emergency Medicine" 2007, vol. 35, no. 3, s. 330.

[47] Gael B. Strack, Casey Gwinn, *On the edge of homicide. Strangulation as a prelude*, „Criminal Justice" 2011, vol. 26, no. 3, s. 32–35, 69.

[48] Gael B. Strack i in., *A review of 300 attempted strangulation cases. Part* I*: Criminal legal issues*, „Journal of Emergency Medicine" 2001, vol. 21, no. 3, s. 303–309; wywiady z Gael Strack, Geri Greenspan, Jackie Campbell, Sylvią Vellą oraz Caseyem Gwinnem.

[49] Zob. też: Gael B. Strack, Casey Gwinn, *On the edge of homicide…*, dz. cyt.

[50] Gael B. Strack i in., *A review of 300 attempted strangulation cases…*, dz. cyt.

[51] Gael Strack określa to mianem „kontinuum przemocy".

[52] Wywiad z Sylvią Vellą.

[53] Korespondencja z Neilem Websdale'em, dyrektorem Family Violence Institute na Northern Arizona University.

[54] Wywiad z Gael Strack. Informacje o autonomicznym układzie nerwowym pochodzą od Deana Howleya, który omawiał wyłącz-

nie tło zagadnienia; zob. Gael B. Strack i in., *A review of 300 attempted strangulation cases…*, dz. cyt.

[55] Alliance for Hope International, Training Institute on Strangulation Prevention, *About us*, strangulationtraininginstitute.com, bit.ly/2LfldqU, dostęp: 2.01.2021.

[56] Kontekst wyroku Sądu Najwyższego przedstawiony przez Matta Osterriedera. 202.502.4653. Zob. też:

Na stronie 53 niniejszego odnośnika wskazówki dotyczące karania za uduszenie: ussc.gov, bit.ly/3n7MdpB, dostęp: 2.01.2021.

Tabela wyroków Sądu Najwyższego USA (zaczyna się od poziomu 14 dla przemocy domowej): ussc.gov, bit.ly/3pKC9Vw, dostęp: 2.01.2021.

W przypadku przyznania się do winy otrzymuje się 2 punkty, strona 371: ussc.gov, bit.ly/354bgDY, dostęp: 2.01.2021.

[57] Training Institute on Strangulation Prevention, *Strangulation prevention e-newsletter* (wrzesień 2017), myemail.constantcontact.com, conta.cc/3n7MU2b, dostęp: 02.01.2021.

[58] Zob. Alexa N. D'Angelo, *Maricopa County domestic-violence deaths drop after policy change*, azcentral.com, bit.ly/3hDEK0g, dostęp: 2.01.2021.

[59] Uwaga: dane na ten temat wskazują, że liczba ta wzrosła z czternastu do sześćdziesięciu procent, ale sierżant Dan Rincon mówi, że obecnie wynosi ona siedemdziesiąt pięć procent. Istnieje zatem różnica pomiędzy najnowszymi danymi a opublikowanymi pracami, które podają sześćdziesiąt procent (jak na stronie 2 ndvfri.org), jednak podczas szkoleń Rincon przytacza teraz siedemdziesiąt pięć procent, bo taką informację otrzymał od prokuratury okręgowej Maricopa.

[60] Training Institute on Strangulation Prevention, *Strangulation prevention e-newsletter* (wrzesień 2017), dz. cyt.

[61] Zob. też: Alice David, *Violence-related mild traumatic brain injury in women. Identifying a triad of postinjury disorders*, „Journal of Trauma Nurses” 2014, vol. 21, no. 6, s. 306–307.

[62] Korespondencja mejlowa z autorką.

[63] O przeszkodach w diagnostyce i leczeniu mówił głównie Dean Hawley. Potwierdziła to również Gael Strack, a adwokatka Geri Greenspan zaprezentowała bariery prawne.

Systemy, wypadki, incydenty

[64] National Domestic Violence Fatality Review Initiative Review Teams, ndvfri.org, bit.ly/3netHw4, dostęp: 2.01.2021.

[65] Montana Domestic Violence Fatality Review Commissions (wrzesień 2015), leg.mt.gov, bit.ly/2KUa92O, dostęp: 2.01.2021.

[66] John Hopkins Medicine, *Study suggests medical errors now third leading cause of death in the U.S.*, hopkinsmedicine.org, bit.ly/3hCguf7, dostęp: 2.01.2021.

Pokuta

[67] Cytat z transkrypcji rozmowy telefonicznej pomiędzy Hamishem Sinclairem i Edem Gondolfem z kwietnia 2014 roku, którą Sinclair udostępnił mi w prywatnej korespondencji, aby wyjaśnić swoją filozofię i program. Gondolf jest autorem książki *The Future of Batterer Programs*, Boston, MA: Northeastern University Press, 2012.

[68] David Frum, *Why didn’t the White House see domestic violence as disqualifying?*, theatlantic.com, bit.ly/38SJFqu, dostęp: 2.01.2021.

[69] Dla jasności: podniosłam rękę, ale jako dorosła osoba na widowni wypełnionej setkami rozbawionych, chichoczących dzieciaków nie miałam szans na to, że ktoś mnie zauważy. Tymcza-

sem moja córka zwijała się na swoim miejscu z zażenowania i żywiła nadzieję, że jej nie zawstydzę jeszcze bardziej, co oczywiście miałam zamiar zrobić.

[70] Nie należy mylić tego pojęcia z metodą z zakresu medycyny alternatywnej, również określaną jako NLP, obecnie w dużej mierze zdyskredytowaną, a niegdyś błędnie okrzykniętą remedium na wiele chorób – od raka przez parkinsona po zwykłe przeziębienie.

Patrzeć na przemoc w akwarium

[71] Jej imię zostało zmienione. Nie znam tożsamości ojca Victorii ani nie weryfikowałam jej relacji przedstawionej tego dnia w więzieniu. (Moim celem była obserwacja sprawiedliwości naprawczej w akcji).

[72] Nie miałam pozwolenia na rejestrację dźwięku w więzieniu.

[73] W swoim pamiętniku *Dreams from the Monster Factory* Schwartz opisuje wiele szczegółów związanych z tworzeniem programu RSVP.

[74] Bandy Lee, James Gilligan, *The resolve to stop the violence project. Transforming an in-house culture of violence through a jail-based programme*, „Journal of Public Health” 2005, vol. 27, no. 2, s. 149–155.

[75] Tamże, s. 143–148. Zyski wynikały między innymi z tego, że nie trzeba było ponownie aresztować i sądzić osób, które w przeciwnym razie mogłyby ponownie złamać prawo, a także z tego, że nie trzeba było ponosić ogólnych kosztów związanych na przykład z utrzymaniem osadzonych.

[76] Alissa Riker jest obecnie dyrektorką programu w San Bruno. Rozmawiałyśmy na ten temat przez telefon wiosną 2018 roku.

[77] Bandy Lee, James Gilligan, *The resolve to stop the violence project…*, dz. cyt., s. 143–148.

[78] Cora Peterson i in., *Lifetime economic burden of intimate partner violence among U.S. adults*, „American Journal of Preventive Medicine” 2018, vol. 55, no. 4, s. 433–444.

[79] Department of Health and Human Services, Centers for Disease Control and Prevention, National Center for Injury Prevention and Control, *Costs of intimate partner violence against women in the United States*, Atlanta, GA, 2003.

[80] Raport Amy S. Ackerman, zastępczyni prokuratora miasta, *Domestic Violence Investigation – December 2001*, sfgov.org, bit.ly/2KL6BzX, dostęp: 2.01.2021.

[81] Caroline Wolf Harlow, *Prior abuse reported by inmates and probationers*, Bureau of Justice Statistics (kwiecień 1999), bjs.gov, bit.ly/35kvoSz, dostęp: 2.01.2021.

Klub zgubnego zagrożenia

[82] Imię i nazwisko zmienione.

[83] W październiku 2018 roku Hamish Sinclair musiał zaprzestać prowadzenia zajęć z ManAlive w Glide Community Center, ponieważ departament do spraw nadzoru sądowego uznał, że osoby objęte nadzorem kuratorskim (czyli prowadzący, którzy pozostają pod takim nadzorem pomimo pomyślnego zaliczenia programu ManAlive i szkolenia dla facylitatorów) nie powinny mieć dostępu do akt innych uczestników pod nadzorem kuratora. Sinclair będzie prowadził zajęcia w alternatywnych ośrodkach, jednak pod warunkiem, że nie będą one powiązane z biurem do spraw nadzoru sądowego w San Francisco. Nie ma to wpływu na zajęcia, które Espinoza i jego koledzy z Community Works prowadzą w San Bruno czy w biurze satelicie.

Skupisko na szczycie

[84] Choć od czasu, gdy Adams pisał swoją rozprawę doktorską, sytuacja uległa nieznacznej poprawie, kobiety nadal wykonują większość obowiązków związanych z opieką nad dziećmi i pracami domowymi, a także to, co dziś określa się mianem „niewidzialnej pracy”, związanej z prowadzeniem gospodarstwa domowego; zob. Pew Research Center, *Raising kids and running a household. How working parents share the load*, pewsocialtrends.org, pewrsr.ch/2Lftg76, dostęp: 2.01.2021, oraz marketwatch.com, on.mktw.net/3hCsYDJ [link nieaktywny].

[85] Takie liczby podaje David Adams.

[86] Edward W. Gondolf, *The future of batterer programs. Reassessing evidence-based practice*, Boston: Northeastern University Press, 2012, s. 237.

[87] Aaron Wilson, *Ray Rice's domestic violence charges dismissed by New Jersey judge*, sun-sentinel.com, bit.ly/2KXLCKf, dostęp: 2.01.2021.

[88] Deborah Epstein, *I'm done helping the* NFL *Players Association pay lip service to domestic violence prevention*, washingtonpost.com, wapo.st/3hzSeKC, dostęp: 2.01.2021.

[89] Christopher Eckhardt i in., *Anger disturbances among perpetrators of intimate partner violence. Clinical characteristics and outcomes of court-mandated treatment*, „Journal of Interpersonal Violence” 2008, vol. 23, no. 11, s. 1600–1617.

[90] Ellen Pence, *Duluth Model*, Domestic Abuse Intervention Programs, Duluth, MN, theduluthmodel.org, bit.ly/38TfT4X, dostęp: 2.01.2021.

Przejmująca obecność niewytłumaczalnego

[91] Wielu sprawców zabójstw rodzinnych lub przemocy domowej twierdzi, że „słyszało głosy”, i zabiega o uniewinnienie z tytułu niepoczytalności. Taka linia obrony niemal nigdy się nie sprawdza. Przysięgli są – słusznie – sceptyczni wobec tego typu argumentów, zaś dowieść niepoczytalności jest bardzo, bardzo trudno.

[92] Już sam fakt, że te dwa przypadki znalazły się na pierwszych stronach gazet, pokazuje, jak kwestie rasowe dominują w narracji medialnej. Kiedy biały mężczyzna z klasy średniej zabija żonę i dzieci, jest to szokujące. Jednak gdy giną czarne kobiety i dzieci, jest to już mniej godne uwagi. Aczkolwiek w przypadku zabójstw rodzinnych, zważywszy na to, że ich sprawcami są przede wszystkim biali mężczyźni, trudno jest dokonać dokładnych porównań.

[93] Jestem raczej sceptyczna co do niektórych z tych obrazów – częściowo dlatego, że worków na zwłoki używa się w terenie, a O’Hanlon nie brał udziału w tych konkretnych operacjach, a częściowo dlatego, że stanowią one metaforę wojny, symbol emocjonalnego doświadczenia, które rzadko się wydobywa na światło dzienne.

Kolana superbohatera

[94] Annette Jolin i in., *Beyond arrest. The Portland, Oregon domestic violence experiment, final report*, Washington, D.C.: U. S. Department of Justice, 1988 (no. 95-IJ-CX-0054, National Institute of Justice, NCJ 179968); Eleanor Lyon, *Special session domestic violence courts. Enhanced advocacy and interventions, final report summary*, Washington, D.C.: U. S. Department of Justice, 2002 (no. 98-WE-VX-0031, National Institute of Justice, NCJ 197860); tejże, *Impact evaluation of special sessions domestic violence. Enhanced advocacy and interventions*, Washington, D.C.: U. S. Department of Justice, 2005 (no. 2000-WE-VX-0014, National Institute of Justice, NCJ 210362).

[95] Słowa te wypowiedział Richard Ivone, naczelnik policji; zob. Star-Ledger Staff, *Officer killed in 7-hour standoff was a former commander of Piscataway police* SWAT *team*, nj.com, bit.ly/3rLmlDF, dostęp: 2.01.2021.

[96] Tamże, zob. także: Police Family Violence Fact Sheet, National Center for Women and Policing, womenandpolicing.com, bit.ly/2X38Wsj [link nieaktywny].

[97] Tamże.

[98] Sarah Cohen i in., *Departments are slow to police their own abusers*, nytimes.com, nyti.ms/2JDLcIl, dostęp: 2.01.2021. Zob. także: Florida Department of Law Enforcement, Domestic Violence, Victim to Offender Relationship, fdle.state.fl.us, bit.ly/38THh2G [link nieaktywny].

[99] Meg Townsend i in., *Law enforcement response to domestic violence calls for service*, Washington, D.C.: U. S. Department of Justice 2006 (no. 99-C-008, National Institute of Justice, NCJ 215915).

[100] Shannon Meyer, Randall H. Carroll, *When officers die. Understanding deadly domestic violence calls for service*, „Police Chief" 2011, no. 78.

[101] J. Pete Blair i in., *Active shooter events from 2000–2012*, „Law Enforcement Bulletin", 7 stycznia 2014, leb.fbi.gov, bit.ly/2LbZald [link nieaktywny], dostęp: 2.01.2021. Zob. także: John P. Blair i in., *Active shooter events and response*, Boca Raton, FL: CRC Press, 2013.

[102] Niepublikowane badania zlecone przez „Marie Claire" i przeprowadzone przez Harvard University's Injury Control Research Center, udostępnione autorce.

[103] Zob. Jacquelyn Campbell i in., *Risk factors for femicide in abusive relationships. Results from a multisite case control study*,

„American Journal of Public Health” 2003, vol. 93, no. 7, s. 1089–1097.

[104] Sheryl Gay Stolberg, *Domestic abusers are barred from gun ownership, but often escape the law*, nytimes.com, asdf, dostęp: 2.01.2021.

[105] Everyton, *Does state law require abusers convicted of domestic violence misdemeanors to turn in their firearms when they become prohibited from having them?*, everytownresearch.org, bit.ly/2X3XXyR, dostęp: 2.01.2021. Te stany to: Hawaje, Kalifornia, Nevada, Kolorado, Luizjana, Tennessee, Minnesota, Iowa, Illinois, Maryland, Pensylwania, New Jersey, Massachusetts, Connecticut, Rhode Island, Nowy Jork i Dystrykt Kolumbii.

[106] W niektórych stanach powstały już odrębne przepisy, które próbują rozwiązać problem „luki na chłopaka”, jednak w chwili obecnej nie istnieje żadne prawo federalne, które by się nim zajmowało.

[107] Center for American Progress, *Disarm all domestic abusers*, americanprogress.org, ampr.gs/3b2lSXO, dostęp: 2.01.2021. Zob. także: Center for American Progress, *Women under the gun*, americanprogress.org, ampr.gs/3b0zVgv, dostęp: 2.01.2021.

[108] Zob. April M. Zeoli, Daniel W. Webster, *Effects of domestic violence policies, alcohol taxes and police staffing levels on intimate partner homicide in large* US *cities*, „Injury Prevention” 2010, vol. 16, no. 2, s. 90–95.

[109] Zob. Elizabeth Richardson Vigdor, James A. Mercy, *Do laws restricting access to firearms by domestic violence offenders prevent intimate partner homicide?*, „Evaluation Review” 2006, vol. 30, no. 3, s. 313–346, oraz *When men murder women. An analysis of 2013 homicide data*, Violence Policy Center (wrzesień 2015), vpc.org, bit.ly/387prtO, dostęp: 2.01.2021.

[110] Wywiad z Teresą Garvey.

[111] Trzydzieści trzy tysiące rocznie, zob. April M. Zeoli, Daniel W. Webster, *Effects of domestic violence policies…*, dz. cyt.

[112] Wywiad z April Zeoli.

[113] David Adams, *Statement before the Joint Committee on Public Safety and Homeland Security*, 13 września 2013, emergedv.com, bit.ly/2KUt7X4, dostęp: 2.01.2021.

[114] Na podstawie transkryptu rozmowy z Kit Gruelle.

[115] W niektórych jurysdykcjach przedstawiciele „mediów" nie mogą towarzyszyć policji podczas interwencji, pozwala się na to wyłącznie zwykłym obywatelom, w tym w moim rodzinnym Waszyngtonie. Pozwolono mi uczestniczyć w działaniach, pod warunkiem że zadbam o anonimowość funkcjonariuszy, z którymi rozmawiałam.

Schronisko na miejscu

[116] Według bazy danych krajowej infolinii do spraw przemocy domowej jest ich pięć tysięcy, ale liczba ta obejmuje zarówno schroniska, jak i agencje zajmujące się przemocą domową.

[117] Czytelniczką była Risa Mednick, dyrektor wykonawcza Transition House w Cambridge; zob. Risa Mednick, *Taking shelter,* newyorker.com, bit.ly/3hIASLF, dostęp: 2.01.2021 (w odpowiedzi na tekst Rachel Louise Snyder, *A raised hand*, „New Yorker", 22 lipca 2013).

[118] Michelle Goldchain, *A one-bed apartment in D.C. costs a median $2,270/month*, dc.curbed.com, bit.ly/355PoIf, dostęp: 2.01.2021.

[119] Metropolitan Police Department, *The police can help in domestic violence situations*, mpdc.dc.gov, bit.ly/389RXet, do-

stęp: 2.01.2021.

[120] Matthew Desmond, *Evicted*, New York: Broadway Books, 2016, s. 191–192.

W ogniu

[121] *Governor Wolf signs Tierne's Law, providing protections for victims of domestic violence,* governor.pa.gov, bit.ly/3oazRye, dostęp: 2.01.2021.

[122] Jeffrey Fagan, *The criminalization of domestic violence. Promises and limits*, prezentacja na konferencji na temat badań i oceny wymiaru sprawiedliwości w sprawach karnych w 1995 roku (styczeń 1996), ncjrs.gov, bit.ly/2MvTzH7, dostęp: 2.01.2021.

[123] Crawford v. Washington, oyez.org, bit.ly/3hAS9GB, dostęp: 2.01.2021.

[124] Brady Henderson, Tyson Stanek, *Domestic violence. From the crime scene to the courtroom*, Oklahoma Coalition Against Domestic Violence & Sexual Assault, 2008.

[125] Brooklyn stworzył swój własny Zespół Wysokiego Ryzyka, ale nie otrzymał funduszy OVW i nie umożliwił mi kontaktu z którymkolwiek z jego członków.

[126] Alissa Widman Neese, *115 deaths in a year paint grim picture of domestic violence in Ohio*, dispatch.com, bit.ly/3pBQcMO, dostęp: 2.01.2021.

[127] Zob. sprawozdanie prokuratora generalnego Ohio na temat przemocy domowej, ohioattorneygeneral.gov, bit.ly/2X44rxH, dostęp: 2.01.2021.

Pod presją

[128] Rachel Dissell, *Cleveland team tackles ‘high risk’ domestic violence cases to improve safety, reduce deaths*, cleveland.com, bit.ly/3ocLDIK, dostęp: 2.01.2021.

Ładowanie komory

[129] Gael B. Strack i in., *A review of 300 attempted strangulation cases. Part I: Criminal legal issues*, „Journal of Emergency Medicine” 2001, vol. 21, no. 3, s. 303–309.

[130] Niektóre szczegóły zostały pominięte, aby ochronić tożsamość Byrona, Grace i dzieci.

[131] Yuliya Talmazan i in., *Texas church shooting survivors recall hiding under pew as gunman fired*, nbcnews.com, nbcnews.to/38Vgumv, dostęp: 2.01.2021.

[132] Andrew Buncombe, *Orlando attack: Survivor reveals how he ‘played dead’ among bodies to escape nightclub killer*, independent.co.uk, bit.ly/3rO48W8, dostęp: 2.01.2021.

[133] Rachel Louise Snyder, *The court slams the door on domestic abusers owning guns*, newyorker.com, bit.ly/385ikSK, dostęp: 2.01.2021.

[134] Bert H. Hoff, CDC *Study. More men than women victims of partners abuse*, saveservices.org, bit.ly/387kzow, dostęp: 2.01.2021; Susan Heavey, *Data shows domestic violence, rape and issue for gays*, reuters.com, reut.rs/3b3pys3, dostęp: 2.01.2021; Martin S. Fiebert, *References examing assaults by women on their spouses or male partner. An annotated bibliography*, web.csulb.edu, bit.ly/3b22mL5 [link nieaktywny].

[135] Statystyczny podział na napaść fizyczną, gwałt lub stalking w związkach LGBTQ lub w odniesieniu do osób transpłciowych, zob. National Coalition against Domestic Violence, *Domestic*

violence and the LGBTQ *community*, ncadv.org, bit.ly/2MvZKuN, dostęp: 2.01.2021.

[136] National Domestic Violence Hotline, *50 obstacles to leaving*, thehotline.org, bit.ly/2KMSUR7, dostęp: 2.01.2021.

Prawdziwa wolność

[137] Andrea Simakis, *Bresha Meadows' cousin says he also was abused by Jonathan Meadows*, cleveland.com, bit.ly/3pLQdOa, dostęp: 2.01.2021.

[138] W roku 2016 miasto Warren w Ohio liczyło niespełna czterdzieści tysięcy mieszkańców (census.gov, bit.ly/3rPTr54, dostęp: 2.01.2021). Dla porównania: w Amesbury w Massachusetts, gdzie Robert Wile jest specjalnym detektywem do spraw przemocy domowej, mieszka szesnaście tysięcy osób, czyli niespełna połowa populacji Warren (census.gov, bit.ly/387Q5mj, dostęp: 2.01.2021), zgodnie z najnowszymi danymi spisu powszechnego w Stanach Zjednoczonych.

[139] Bessel van der Kolk, *Strach ucieleśniony. Mózg, umysł i ciało w terapii traumy*, przeł. Małgorzata Załoga, Czarna Owca 2018, s. 74, 174, 450.

[140] Tamże, s. 46, 61, 135, 350.

Cieniste ciała

[141] W Waszyngtonie nigdy nie zwyciężył republikanin. W wyborach w 2016 roku dziewięćdziesiąt jeden procent głosów przypadło Hillary Clinton. W San Francisco, kolejnym liberalnym bastionie – osiemdziesiąt cztery procent; zob. *2016 Presidential Election results*, nytimes.com, nyti.ms/3hBOb0h, dostęp: 2.01.2021.

[142] H.R. 6545 – Violence Against Women Reauthorization Act of 2018 – 15th Congress (2017–2018) cosponsors, congress.gov, bit.ly/389JE2i, dostęp: 2.01.2021. W głosowaniu z 1994 roku było piętnastu współsponsorów republikańskich: S. 11 – Violence Against Women Act of 1993 – 103rd Congress (1993–1994), congress.gov, bit.ly/3hCQa4w, dostęp: 2.01.2021.

[143] *When men murder women. An analysis of 2013 homicide data*, Violence Policy Center (wrzesień 2015), vpc.org, bit.ly/387prtO, dostęp: 2.01.2021.

[144] Melissa Jeltsen, *Tamara O'Neal was almost erased from the story of her own murder*, huffingtonpost.com, bit.ly/3n2Ommw, dostęp: 2.01.2021.

[145] Scott Horsley, *Guns in America, by the numbers*, npr.org, n.pr/38TOQGr, dostęp: 2.01.2021.

[146] Carolina Diez i in., *State intimate partner violence-related firearms laws and intimate partner homicide rates in the United States, 1991–2015*, „Annals of Internal Medicine" 2017, vol. 167, no. 8, s. 536–543. Zob. też: annals.org, bit.ly/3b2OkIU [link nieaktywny].

[147] David Adams, *Statement before the Joint Committee on Public Safety and Homeland Security*, 13 września 2013, emergedv.com, bit.ly/2KUt7X4, dostęp: 2.01.2021.

[148] Te stany to Kolorado, Kalifornia, Connecticut, Hawaje, Iowa, Illinois, Massachusetts, Maryland, Minnesota, Karolina Północna, New *Hampshire*, Nowy Jork, Tennessee, Waszyngton, Wisconsin; zob. everytownresearch.org, bit.ly/2KMuK9m, dostęp: 2.01.2021.

[149] April M. Zeoli i in., *Analysis of the strength of legal firearms restrictions for perpetrators of domestic violence and their impact on intimate partner homicide*, „American Journal of Epidemiology" 2018, vol. 187, no. 11, s. 2365–2371. Uwaga: badanie Zeoli odnosi się do „szerszych ograniczeń", czyli każdego, kto

został skazany za brutalne wykroczenie, a nie tylko za przemoc domową. Zgodnie z prawem stanowym obejmuje to większą część zachowań przestępczych, a więc nawet osoby, których nie skazano konkretnie za wykroczenia związane z przemocą domową, ale za dowolny rodzaj wykroczenia z użyciem przemocy, są zobowiązane do oddania broni palnej.

[150] Zob. everytownresearch.org, bit.ly/2KMuK9m [link nieaktywny].

[151] Szczegółowe informacje na temat aplikacji na smartfony można znaleźć w kompendium National Network to End Domestic Violence, zob. techsafety.org, bit.ly/389MFzE, dostęp: 2.01.2021.

[152] Krytycy twierdzą, że centra sprawiedliwości rodzinnej są kosztowne w utrzymaniu, niepraktyczne na obszarach wiejskich oraz często onieśmielają ofiary i przytłaczają je skalą biurokracji. Nie istnieje również jeden wspólny ogólnokrajowy model. Założyciele uważają natomiast, że obszary zainteresowane tworzeniem centrów powinny mieć swobodę w dostosowywaniu ich na własny użytek. W wielu przypadkach prowadzeniem tych podmiotów nie zajmują się ośrodki kryzysowe, przez co niektórzy sugerują, że nie stawiają głosu ofiary i jej potrzeb na pierwszym miejscu. Przytoczona liczba pochodzi z prywatnej korespondencji autorki z Caseyem Gwinnem w październiku 2018 roku.

[153] Maryland Network against Domestic Violence, *Lethality Assessment Program. The Maryland model*, Train-the-Trainer Curriculum for Law Enforcement and Domestic Violence Programs 2015, mnadv.org, bit.ly/2X3KcQN, dostęp: 2.01.2021.

[154] Program Oceny Śmiertelności, zob. lethalityassessment-program.org, bit.ly/38Q0mTk, dostęp: 2.01.2021.

[155] Melissa Labriola i in., *A national portrait of domestic violence courts*, Washington, D.C.: U. S. Department of Justice Center for Court Innovation, 2010, ncjrs.gov, bit.ly/3n6fmBt, dostęp: 2.01.2021.

[156] Lynn Rosenthal, *The Violence Against Women Act, 23 years later*, „Medium", 13 września 2017, medium.com, bit.ly/3rMUOS6, dostęp: 2.01.2021.

[157] Informacje zebrane przez autorkę i asystentkę badawczą przy wsparciu technicznym AEquitas.com.

[158] Dane opracowane przez Training Institute on Strangulation Prevention.

[159] Sharon G. Smith i in., *The national intimate partner and sexual violence survey (*NISVS*). 2010–2012 state report*. Atlanta, GA: National Center for Injury Prevention and Control, Division of Violence Prevention, Centers for Disease Control, 2017, cdc.gov, bit.ly/3n6MZ6j, dostęp: 2.01.2021.

[160] Dyżurujące aktywistki nie chciały ujawniać swoich prawdziwych nazwisk w obawie przed represjami ze strony sprawców.

[161] W ostatniej dekadzie Waszyngton stracił tysiące tanich mieszkań, a w 2020 roku wygasną dotacje do kolejnych trzynastu tysięcy siedmiuset lokali. Pod koniec 2017 roku miasto utworzyło fundusz w wysokości dziesięciu milionów dolarów, który ma pomóc zrekompensować poważne straty w tanim budownictwie mieszkaniowym poniesione w ostatnich latach. Mary Hui, *D.C. establishes $10 million fund to preserve disappearing affordable housing*, „Washington Post", 26 listopada 2017.

[162] Kobieta będzie musiała przedstawić dowód własności lokalu lub umowę najmu na własne nazwisko.

Posłowie

[163] Laura M. Holson, *Murders by intimate partners are on the rise, study finds*, „New York Times", 12 kwietnia 2019. Zob. także: Khalida Sarwari, *Domestic violence homicides appear to*

be on the rise. Are guns the reason?, „News@Northeastern”, 8 kwietnia 2019.

[164] Anne Kingston, *We are the dead*, „Maclean's”, 17 września 2019, macleans.ca, bit.ly/353YgOw, dostęp: 2.01.2021.

[165] *South Africa's staggering domestic violence levels pose a challenge*, France24, 9 kwietnia 2019, france24.com, bit.ly/2JGzE7a, dostęp: 2.01.2021.

[166] Laure Fourquet, *As deaths mount, France tries to get serious about domestic violence*, „New York Times”, 3 września 2019.

[167] Alisha Haridasani Gupta, *Across the globe, a „serious backlash against women's rights”*, „New York Times”, 4 grudnia 2019.

[168] Christina Asquith, *At least 12,000 people killed by domestic violence every year? Russia's not even sure*, PRI's The World, 10 marca 2017, pri.org, bit.ly/3rIZ99b, dostęp: 2.01.2021.

[169] The Brazilian Report, *Femicide hits all-time high in Brazil*, „Think Brazil”, 1 października 2019.

[170] Sam Jones, *'Feminist Emergency' declared in Spain after summer of violence*, „Guardian”, 20 września 2019, theguardian.com, bit.ly/2JJzIDe, dostęp: 2.01.2021.

[171] Alisha Haridasani Gupta, *Across the globe…*, dz. cyt.

[172] Andrea Krizsan, Conny Roggeband, *Towards a conceptual framework for struggles over democracy in backsliding states. Gender equality policy in Central Eastern Europe*, „Politics and Governance” 2018, vol. 6, no. 3, s. 90–100.

[173] Alisha Haridasani Gupta, *Across the globe…*, dz. cyt.

WYDAWNICTWO CZARNE sp. z o.o.
czarne.com.pl

Wydawnictwo Czarne
@wydawnictwoczarne

Sekretariat i dział sprzedaży:
ul. Węgierska 25A, 38-300 Gorlice
tel. +48 18 353 58 93

Redakcja: Wołowiec 11, 38-307 Sękowa

Dział promocji:
ul. Marszałkowska 43/1, 00-648 Warszawa
tel. +48 22 621 10 48

Skład: d2d.pl
ul. Sienkiewicza 9/14, 30-033 Kraków
tel. +48 12 432 08 52, e-mail: info@d2d.pl

Wołowiec 2021
Wydanie I